

Georgette Heyer

Oświadczyńy księcia

Tłumaczyła Weronika Mejer

PRZEDMOWA

Kiedy byłam mała, rodzice każdego lata zabierali mnie i moje rodzeństwo na trzy tygodnie nad ocean. W bibliotece publicznej w Nowym Jorku wolno było wtedy wypożyczać książki na sześć tygodni, dlatego nasz samochód był pełen tomów, które stanowiły równie niezbędny element wakacyjnego wyposażenia jak stroje kąpielowe. Któregoś lata, kiedy miałam dwanaście lat, zabrałam ze sobą książkę autorki, o której nigdy przedtem nie słyszałam. Była to powieść „Reluctant Widow” Georgette Heyer. Od razu połknęłam haczyk.

Czytając książki Heyer, zanurzamy się w zdumiewający świat, który nie przypomina XXI wieku. Panuje tam ścisła hierarchia społeczna, poczucie stosowności i niestosowności, szacunek dla konwenansu. Postacie poruszają się w owym znakomicie opisanym środowisku, w którym reguły postępowania wyznaczają najlepsze towarzystwo, nazywane też w książkach Heyer socjetą. Czytelnicy zostają weń wciągnięci i uczą się rządzących nim zasad równie szybko jak główna bohaterka czy bohater. Kupując książkę Georgette Heyer, nie nabywamy więc tylko powieści, uzyskujemy dostęp do pewnego świata.

Natychmiast po powrocie z owych pamiętnych wakacji udałam się do biblioteki i zapoznałam się z całą spuścizną Georgette Heyer. Nie było tam ani jednego tytułu, który by mi nie przypadł do serca, lecz miałam też kilku zdecydowanych faworytów. Jednym z nich była powieść „Oświadczyńy księcia”. Nie sięgałam potem po ten tom przez wiele lat, a kiedy zasiadłam do ponownej lektury przed napisaniem tej przedmowy, byłam równie zachwycona i zafascynowana jak za pierwszym razem.

Powieść „Oświadczyńy księcia” to „Duma i uprzedzenie” w ujęciu Georgette Heyer. Główny bohater, Sylvester Rayne, książę Salford, przypomina pana Darcy'ego, stworzonego przez Jane Austen - ma pieniądze, pozycję oraz bardzo dobre mniemanie o sobie. W miejsce Elizabeth Bennet mamy Phoebe Marlow - uroczą, szczerą i bystrą dziewczynę, która urodziła się po to, by przytrzeć

nosa każdemu, kto nie jest gotów o sobie powiedzieć, iż mu, wedle słów autorki, „korona z głowy nie spadnie”.

Jednym z głównych atutów powieści jest przedstawianie na przemian punktu widzenia dwojga głównych bohaterów. Niemal w każdym momencie wiemy, co każde z nich myśli, porównanie zaś ich opinii na temat tego drugiego staje się źródłem przezabawnych scen.

Najpierw poznajemy Sylvestra, Georgette Heyer po mistrzowsku przedstawia jego charakter już w pierwszym rozdziale. Jest księciem, co jest w Anglii najwyższym tytułem arystokratycznym, posiada rozległe włości oraz zatrudnia wielu ludzi. Jedną z jego zalet zostaje podkreślona na samym wstępie, mianowicie książę zna wynikające z jego pozycji obowiązki i się od nich nie uchyla. Poznajemy go pewnego pięknego poranka, kiedy zamiast udać się na polowanie, zostaje w domu, by pracować, ponieważ wcześniej umówił się z rządcą i prokurentem. Heyer pisze: Jako wysoko urodzony, został wychowany w taki sposób, by godnie kontynuować najlepsze tradycje rodu. Nie wątpił zarówno w swe prawo do wydawania rozkazów i żądania posłuszeństwa od wszystkich, których utrzymywał, a było ich doprawdy wielu, jak i nie kwestionował konieczności sprostania obowiązkom, które zostały złożone na jego barki”.

Zatem bohater pozytywny. Co więcej, intrygujący. Dla nas, zwykłych, ciężko pracujących ludzi, angielska arystokracja zawsze będzie fascynująca, a tu mamy do czynienia z kimś należącym do najwyższych kręgów socjety.

Po tej otwierającej scenie następuje rozmowa z matką, kiedy to ujawniają się inne cechy Sylvestra. Najwyraźniej darzy matkę głębokim uczuciem, co należy zaliczyć mu na plus. Jednak gdy pojawia się kwestia dotrzymującej matce towarzystwa kuzynki, wkrada się niepokojąca nuta. Panna Penistone jest osobą wyjątkowo mało bystrą (choć pełną dobrych chęci), co irytuje Sylvestra tak dalece, iż pragnie, by matka ją odprawiła. Księżna protestuje:

- Augusta nie jest zbyt mądra, przyznaję, ale przecież nie mogę jej odesłać.

- Z przyjemnością zrobię to za ciebie. Matka jest zaskoczona tą odpowiedzią, a gdy dowiaduje się, iż syn nie żartował, zaczyna się martwić. Choć nie jest to wyrażone wprost, czytelnicy domyślają się, że księżna troszczy się o los kuzynki, niezamężnej kobiety, nieposiadającej żadnego majątku. Życie takich kobiet w owym okresie bywało bardzo ciężkie, Sylvester jednak zdaje się zupełnie o to nie dbać, wszak to nie jego sprawa. Jeśli owa kobieta nie zadowala jego matki, należy ją odprawić.

To już nie jest godne pochwały.

W pierwszym rozdziale dowiadujemy się o bohaterze jeszcze jednej istotnej rzeczy. Cztery lata wcześniej stracił brata bliźniaka i jest oczywiste, że ta śmierć zostawiła w jego sercu głęboką ranę.

Ten motyw wielokrotnie powraca na kartach powieści, stopniowo czyniąc postępowanie Sylwestra coraz bardziej zrozumiałym dla czytelnika.

Kolejna cecha charakteru Sylwestra ujawni się przy okazji jego spotkania z Phoebe. Poznała go podczas balu w Londynie i powzięła o nim opinię bardzo przypominającą opinię Elizabeth Bennet o panu Darcym - jest arogancki i wyniosły. „Bycie księciem tak dalece stanowi część jego natury, że oczekuje on od wszystkich traktowania go z najwyższym szacunkiem”.

W rezultacie Phoebe czyni księcia czarnym

charakterem w napisanej przez siebie powieści, a opublikowanie „Zaginionego spadkobiercy” stanowi jeden z głównych wątków książki.

Phoebe jest ze wszech miar czarująca. W niczym nie przypomina kobiety, jaką Sylvester chciałby mieć za żonę. Owa dama musi być piękna, elegancka, mieć nieskazitelne maniery i doskonale umieć odegrać rolę księżnej Salford. Sylvester nawet sporządził listę pięciu panien, spełniających jego warunki, i poprosił matkę (ku jej zgrozie), by wybrała jedną z nich.

Phoebe nie jest piękna. Ponieważ jej ulubionym strojem jest suknia do konnej jazdy, nie jest też elegancka. Zamiast na balach, woli spędzać czas w stajni, doglądając ojcowskich koni. Sztuka wykwintnej konwersacji jest jej obca, gdyż ma zwyczaj mówić to, co naprawdę myśli (niebezpieczna cecha w każdym towarzystwie). Do tego ma złote serce.

Jedne z najbardziej uroczych scen mają miejsce w zasypanej śniegiem wiejskiej gospodzie, gdzie bohaterowie muszą spędzić kilka dni pod jednym dachem, opiekując się uszkodzonym przyjacielem Phoebe, Tomem, oraz końmi jego ojca. Niezapomniane są ciągłe utarczki między księciem, który próbuje wszystkim rządzić, a Phoebe, która nie przepuści żadnej okazji, by wytknąć mu jego wady. Najbardziej przypadł mi do gustu poboczny wątek przeziębionego służącego księcia. Phoebe od razu zauważa jego chorobę, Sylvester w ogóle jej nie dostrzega. Phoebe prawie miesza księcia z błotem, gdy ten próbuje wysłać biedaka na mróz po doktora.

Czytelnik orientuje się od razu, choć dla bohaterów nie jest to oczywiste, że ci dwoje są dla siebie stworzeni. Ona wyleczy go z dumy, on ją zaś z uprzedzeń.

Postacie drugoplanowe są równie ciekawe. Najlepszy przyjaciel Phoebe, Tom, oraz matka Sylwestra są opisani w sposób wyjątkowo ujmujący. Heyer miała jednak szczególny talent do tworzenia portretów komicznych.

Moją ulubioną postacią w tej powieści jest sir Nugent Fotherby, który poślubia bratową Sylwestra, Ianthe. Karykaturalny Fotherby jest człowiekiem, za jakiego Phoebe uważała Syhestrę - ma tak wysokie mniemanie o sobie (jest najbogatszy w całej Anglii), że poza sobą i swymi sprawami nie dostrzega zupełnie niczego. W dodatku jest niewiarygodnie głupi.

Scena w zajezdzie, gdy Fotherby odkrywa, że pies oderwał mu frędzle od butów, po czym sir Nugent i jego służący lamentują nad utratą wspaniałych ozdób, jest przekomiczna.

„Oświadczyzny księcia” jest nie tylko powieścią pełną wybornego humoru, ale i opowieścią o miłości. Podobnie jak Jane Austin, Georgette Heyer potrafi snuć pasjonujące historie miłosne bez jawnych odwołań do erotyki. Podczas okresu regencji było rzeczą nie do pomyślenia, by niezamężna panna choćby pocałowała mężczyznę, z którym nie łączyły jej więzi rodzinne, a Heyer jest wierna realiom opisywanej epoki. Szczerze jednak mówiąc, w jej powieściach seks wcale nie jest konieczny. Dzięki błyskotliwym dialogom Phoebe i Sylvestra czytelnik odgaduje, że ci dwoje wreszcie się połączą. Gdy powieść rzeczywiście kończy się pocałunkiem, sprawia to równą satysfakcję jak namiętna erotyczna scena pióra innej autorki.

Jeśli „Sylvester” jest pierwszą książką Georgette Heyer, jaką zamierzasz przeczytać, Czytelniku, to trudno było na początek wybrać lepszą. Ukazuje pełnię olśniewającego talentu autorki oraz przedstawia kilka z najciekawszych i najbardziej pamiętnych postaci, jakie kiedykolwiek stworzyła. A jeśli już znasz inne książki Georgette Heyer, przygotuj się na wyjątkową ucztę. „Oświadczyzny księcia” to jedna z jej najlepszych powieści.

Joan Wolf

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sylvester stał w oknie pokoju śniadaniowego, opierając dłonie o parapet, i spoglądał na roztaczający się przed nim widok. Wprawdzie wschodni fronton Chance nie wychodził na ozdobny ogrodowy staw, za to wzrok cieszyła lekko pofalowana rozległa połać trawnika, koszonego regularnie całe lato. Na jego środku pysznił się cedr, a na odległym skraju połyskiwały w promieniach zimowego słońca gałązki brzeziny, która była najdalej wysuniętą odnogą lasu Home Wood. Te zarośla wciąż nęciły Sylvestra, choć nie w taki sam sposób jak niegdyś, kiedy były krainą, gdzie za każdym krzewem czaił się smok, a leśnymi duktami nadjeżdżali źli rycerze. On i Harry, jego brat bliźniak, ucinali łby smokom oraz rozprawiali się z rycerzami. Teraz nie było już ani smoków, ani rycerzy, ani Harry'ego, który nie żył od prawie czterech lat, lecz w brzezynie wciąż kryły się bażanty, i to one tak

kusiły Sylvestra, tym bardziej że przez kilka poprzednich dni nie było mowy o polowaniu, ponieważ nocne przymrozki ścięły ziemię, w dodatku mroźny i porywisty wiatr zniechęcał do sięgania po fuzję nawet najbardziej zapalonego myśliwego. Tego dnia wiatr ucichł, zza chmur wyjrzało słońce, jednak niefortunnym trafem Sylvester, spodziewając się dalszej niepogody, postanowił akurat ten dzień poświęcić pracy. Oczywiście mógł zmienić zdanie i wysłać do

oczekujących na jego dyspozycje osób kamerdynera z wiadomością, że zobaczy się z nimi następnego poranka. Główny prokurent oraz rządca przybyli aż z Londynu, by zapoznać się z jego życzeniami, lecz nawet gdyby musieli pokonać tę drogę bez potrzeby, Sylvester nie widział powodu, dla którego mieliby narzekać. Po to ich zatrudniał, by byli na każde jego skinienie. Gdyby odesłał ich do miasta, nie podając powodu, przyjęliby to jako naturalny kaprys możnego chlebobdawcy.

Sylvester nie był jednak kapryśny i nie zamierzał ulec pokusie. Kaprysy państwa nieuchronnie demoralizowały służbę, tymczasem w przypadku zarządzania tak ogromną posiadłością sumienni i rzetelni pracownicy byli niezastąpieni. Sylvester rozpoczął dopiero dwudziesty ósmy rok życia, a odziedziczył majątek, mając lat dziewiętnaście, i nawet jeśli zdarzało mu się pozwalać sobie na szaleństwa i luksusy, nigdy nie traktował odziedziczonej schedy lekkomyślnie ani też nie uchylał się od żadnych związanych z nią powinności.

Jako wysoko urodzony, został wychowany w taki sposób, by godnie kontynuować najlepsze tradycje

rodziny, tak samo więc jak nie wątpił w swe prawo do wydawania rozkazów i żądania posłuszeństwa od wszystkich, których utrzymywał, a było ich doprawdy wielu, tak samo nigdy nie kwestionował konieczności sprostania obowiązkom, które zostały złożone na jego barki. Gdyby go spytano, czy jego wysoka, lecz i niezmiernie wymagająca pozycja stanowi dlań źródło satysfakcji, odpowiedziałby zgodnie z prawdą, że nie zastanawia się nad tym, aczkolwiek jest pewien, że nie życzyłby sobie zostać jej pozbawionym.

Oczywiście nikt nie zamierzał zadawać takiego pytania młodemu arystokracie, obdarzonemu majątkiem, tytułem i wrodzoną elegancją. Żadna zła wróżka nie pojawiła się u jego kolebki, by wyrównać szczęśliwe dary losu przypadłością fizyczną, na przykład garbem lub zajęczą wargą. Sylvester był wprawdzie średniego wzrostu, jednakże miał tak proporcjonalną budowę ciała, tak zgrabne nogi i tak ujmującą powierzchowność, że nierzadko nazywano go przystojnym, i nikogo to nie dziwiło. Gdyby był osobą niższego stanu, poczytano by mu za skazę nietypowy wygląd nieco skośnych oczu i brwi, lecz u księcia Salford uznawano je naturalnie za oznakę wytworności. Ci, którzy pamiętali jego matkę z okresu młodzieńczego rozkwitu, rozpoznawali tę samą linię czarnych brwi, cienkich, jakby namalowanych pędzelkiem, uniesionych ku skroniom. Księżnej ta cecha przydawała uroku, lecz Sylwestrowi mniej było z nią do twarzy. Kiedy czasem z irytacją marszczył brwi, wyginały się one jeszcze bardziej, przez co zaczynał odrobinę przypominać satyra.

Właśnie miał się odwrócić od okna, gdy jego uwagę przykuła drobna postać, która wychylną zza cisowego żywopłotu. Mały chłopczyk z pierścionkami jasnych loczków wokół okrągłej buzi biegł przez trawnik w stronę brzeziny. Jego nóżki w nankinowych spodniach aż śmigały. Biała fal-

banu żobotu zawinęła mu się pod jednym uchem, przygnieciona kurteczką, niewprawnie naciągniętą na niebieski zakieciak.

Sylvester roześmiał się i otworzył okno. Chciał życzyć Edmundowi udanej przygody, lecz w ostatniej chwili się zreflektował. Chłopczyk nie zatrzymałby się na wołanie guwenera lub niani, ale z całą pewnością zawróciłby na głos stryjka. Skoro już udało mu się uciec swym prześladowcom, nie należało zwiększać ich szans na schwytanie małego zbiega. To byłoby nie po sportowemu. Co gorsza, nastąpiłaby wtedy jedna z tych scen, których Sylvester serdecznie nie cierpiał. Edmund błagałby o pozwolenie, by iść do lasu, i niezależnie od tego, czy by je otrzymał, czy nie, księżę i tak musiałby wysłuchać niekończącej się litanii narzekań jego matki, wdowy po Henrym (którego rodzina zdrobniale nazywała Harrym). W zależności od sytuacji Sylvester usłyszałby od szwagierki, że jest okrutnikiem niedbającym o zdrowie bratanka albo też, dla odmiany, że jest pozbawiony serca, gdyż nie troszczy się o jego wychowanie. Lady Ianthe Rayne za nic nie chciała wybaczyć szwagrowi tego, że (według niej) nakłonił Henry'ego do uczynienia go jedynym opiekunem Edmunda. Było to absurdalne oskarżenie, gdyż testament został spisany z okazji ślubu Henry'ego

wyłącznie po to, by w razie jakiegokolwiek wypadku zapewnić potomstwu opiekę głowy rodu, czyli najlepszą. Nikt nie przypuszczał, a już najmniej sam Henry, że taka okoliczność rzeczywiście nastąpi. Wdowa podejrzewała szwagra o spisek, a Sylvester nie pojmował, jak można zarzucać jego prawnikowi dopisywanie czegoś do testamentu. Ponieważ mocno przeżywał śmierć brata, opuściło go zwykle opanowanie i, usłyszawszy zarzut Ianthe po raz pierwszy, pozwolił sobie na gorzką ripostę:

- Jeśli podejrzewasz, że chcę się dobrowolnie obarczyć tym dzieckiem, to jesteś bardziej niemądra, niż kiedykolwiek sądziłem!

Przyszło mu potem niejednokrotnie żałować tego nieprzemyślanego wybuchu, bo choć natychmiast odwołał swe słowa, nie zostały mu one nigdy zapomniane. Obecnie, gdy kwestia opieki nad Edmundem stawała się coraz bardziej paląca, matka chłopca nieodmiennie odwoływała się do tamtej wypowiedzi.

- Przecież i tak nigdy go nie chciałeś - wypominała. - Wszyscy słyszeli.

Częściowo była to prawda, gdyż dwuletni bratanek obchodził go wyłącznie z powodów rodzinnych, nie interesował go zaś zupełnie jako dziecko. Dwudziestoczteroletni Sylvester nie poświęcał mu zbytnej uwagi. Gdy Edmund nieco podrosł, widywał go częściej, ponieważ ilekroć przybywał do Chance, chłopiec nie odstępował na krok swego wspaniałego stryjka, który traktował go zupełnie inaczej niż mama i Button, niania Edmunda (a poprzednio jego taty i stryjka). Nie głąskał go i nie

całował, nie ganił za rozdarte ubranko, odzywał się krótko i do rzeczy, a chociaż czasem potrafił ostro mu przykazać, by nie przeszkadzał, to zawsze zachodziła też możliwość, że posadzi go przed sobą na siodle i zabierze na przejażdżkę po parku. Stryjek miał też mniej przyjemne cechy, lecz napawające Edmunda równie nabożnym podziwem - żądał absolutnego posłuszeństwa i nie puszczał płazem krnąbrności.

Zdaniem Sylvestra, Ianthe i Button (zwana przez panicza Guziczkiem) psuły chłopca, lecz rzadko ingerował bezpośrednio w ich metody wychowawcze, poprzestając na tym, że sam nie dawał się temu nad wyraz bystremu młodemu dżentelmenowi owijać wokół małego palca. Edmund szybko pojął, że na podziwianego stryjka zupełnie nie działają metody, którymi w lot rozbrajał mamę i nianię. Dzięki temu nie stał się rozpieszczony i kapryśny, a gdy miał sześć lat, Sylvester darzył go sentymentem już nie tylko ze względu na pamięć brata.

Edmund znikł mu z oczu i Sylvester zamknął okno. Należałoby zapewnić chłopcu odpowiedniejszego guwernera niż wiekowy i nieco niedołążny wielebny Loftus Leyburn, spowiednik jego matki. To Ianthe nalegała, by pastor udzielał jej dziecku pierwszych lekcji, a Sylvester, by nie prowokować kolejnych nieporozumień, uległ jej prośbom, choć miał na ten temat inne zdanie. Teraz zaś załamywała ręce, gdyż Leyburn nie potrafił upilnować chłopca, który nieustannie wymykał się do stajni, gdzie uczył się od parobków pospolitego języka. A czegoż ona się spodziewała? - pomyślał z irytacją Sylvester.

Odwrócił się, gdy do pokoju wszedł kamerdyner wraz z młodym lokajem, który zaczął sprzątać po śniadaniu.

- Reeth, przekaz Pewseyowi i panu Ossettowi, że zobaczę się z nimi w południe. Chale i Brough niech przyniosą o tej samej porze księgi rachunkowe i rejestry, przejrzą je. Uprzedź Trenta, by przygotował... - Zerknął przez okno. - Chociaż nie. Pewnie skończę koło czwartej, już nie będzie tak ładnie.

- Wielka szkoda, że wasza księżęca mość musi spędzić tak piękny dzień w gabinecie - zgodził się kamerdyner.

- Wielka, lecz nic nie da się na to poradzić. Pójdę dotrzymać towarzystwa księżnej pani. Dziękuję. - Sylvester uśmiechnął się miło, gdy lokaj podał mu upuszczoną przez przypadek chusteczkę.

Uprzejmość wobec służby nic go nie kosztowała, a przynosiła znakomite rezultaty, gdyż wystarczyło w odpowiednim momencie rzucić słówko pochwały czy zachęty lub okrasić uśmiechem nawet najsurowsze żądanie, a służący spełniali je bez szemrania, co więcej, z ochotą i nie szczędząc wysiłków.

Sylvester opuścił jadalnię. Wszedł do ogromnego holu i do (mogłoby się wydawać) innego stulecia, gdyż ta część imponującej rezydencji stanowiła pozostałość pierwotnego budynku, pochodzącego z epoki Tudorów. Potężne belki stropowe, obwieszane dawną bronią ściany, witrażowe okna z herbem oraz kamienne płyty podłogi kontrastowały z wykwintną elegancją pozostałych części pałacu, lecz nie pozostawały z nią w konflikcie.

Przeciwnie, z tego zderzenia powstawała bogata harmonia.

Majestatyczne stare schody prowadziły na obiegającą cały hol drewnianą galerię, a u ich stóp stały dwie zbroje, jakby strzegło ich dwóch rycerzy. Obok znajdował się ogromny kominek, na którym zionęło kilka bierwion. Przed paleniskiem leżał na płytach biało-brązowy spaniel. Ujrzawszy pana, suka uniosła głowę i zaczęła radośnie machać ogonem, lecz wyczuwszy zapach domowych pantofli, a nie butów do polowania, posmutniała, choć Sylvester poklepał ją po kształtnym łbie. W najlepszym przypadku będzie mogła poleżeć u stóp pana w jego gabinecie.

Pokoje księżnej składały się z sypialni, garderoby zraz przedpokoju prowadzącego do przestronnej : słonecznej bawialni. Matka Sylwestra rzadko opuszczała swe apartamenty, ponieważ od lat cierpiała na artretyzm, którego nie dawało się złagodzić żadnymi kuracjami zalecanymi jej przez najznakomitszych lekarzy. Przy pomocy dwóch osób chora była w stanie przejść do bawialni, lecz nie dalej, a gdy już opadła na fotel, nie mogła sama wstać. Z jej ust jednak nigdy nie padło słowo skargi.

- Bardzo dobrze - odpowiadała nieodmiennie, gdy indagowano, jak się czuje.

Czasem ktoś wyrażał księżnej współczucie z powodu monotonnego życia, replikowała wówczas ze śmiechem, że rozmówca lituje się nad niewłaściwą osobą, gdyż to raczej otoczenie nudzi się z nią, nie zaś ona z nim. Syn przywoził jej z Londynu najświeższe wieści z ich sfer, wnuk ją zabawiał, jak tylko dziecko potrafi, synowa rozmawiała z nią o najnowszej modzie, kuzynka cierpliwie wysłuchiwała jej poglądów i opinii, pokojówka stroiła ją z oddaniem, a stary przyjaciel, wielebny Leyburn, chętnie towarzyszył jej przy lekturze. Wyliczywszy to wszystko, zapytywała, czy nie należały jej raczej zazdrości. Niewielu osobom przyznawała się do pisania poezji, wiedzieli o tym tylko najbliżsi. Dwa tomy jej wierszy zostały nawet opublikowane, oczywiście anonimowo, jednakże wkrótce rozszyfrowano tożsamość autorki, co natychmiast znacząco podniosło ich wartość w oczach czytających elit.

Pisała coś właśnie na specjalnym blacie, nakładanym na poręczę fotela, kiedy Sylvester wszedł do bawialni. Ujrzawszy, kto przyszedł, odłożyła pióro i powitała syna przepięknym, ciepłym uśmiechem.

- Och, jaką przyjemność mi sprawiasz, mój drogi! Ale cóż za niedogodność dla ciebie, że musisz spędzać w domu pierwszy dobry dzień na łowy, jaki mamy od tygodnia.

- Tak, to doprawdy dokuczliwe. - Pochylił się, by pocałować ją w policzek. Oparła dłoń na jego ramieniu, stał więc przez chwilę pochyłony, badając jej twarz uważnym spojrzeniem. Nie sprawiała wrażenia cierpiącej, co go uspokoiło. Przeniósł wzrok na jej srebrne włosy, na których ujrzał misterną koronkę.

- Masz nowy czepek, mamó? Bardzo ci w nim do twarzy.

W jej oczach zamigotały wesołe iskiereki.

- To Anna kazała ci zwrócić uwagę na ten szczegół mojej toalety, przyznaj.

- Cóż za pomysł! Sam widzę, kiedy olśniewasz urodą, pokojówka nie musi mi tego mówić.

- Prawisz komplementy w tak czarujący sposób, że zaczynam się niepokoić. Z ciebie musi być straszliwy uwodziciel.

- Nie taki straszliwy, droga mamó... Wybacz, czy nie przeszkodziłem ci w pisaniu wiersza?

- Nie, to tylko list. Proszę, zabierz ten blat i przysuń sobie krzesło, poczytamy razem.

Do tego jednak nie doszło, gdyż do bawialni wpadła właśnie panna Augusta Penistone, daleka krewna księżnej i od lat jej dama do towarzystwa. Nieco nieskładnie poprosiła Sylwestra, by nie robił sobie kłopotu, gdyż ona jest od tego, zabrała blat, przysunęła księciu krzesło, a potem, zamiast dyskretnie się wycofać, została, uśmiechając się zyczliwie. Była koścista i niezręczna, jej brzydota dorównywała jej dobroci, a dobra była niezmiernie. Z niewyczerpaną cierpliwością i pogodą obsługiwała swęj możnej kuzynce. Niestety, jej inteligencja pozostawiała sporo do życzenia, a zwyczaj stwierdzania oczywistych rzeczy i zadawania niepotrzebnych pytań niezmiernie drażnił Sylwestra. Nie zdradzał tego, gdyż nie pozwalały mu na to nienaganne maniery, tego dnia jednak panna Penistone zdołała go sprowokować, stwierdzając najpierw ze zdziwieniem, że od kilku dni nie polował, potem na głos uprzytomniając sobie, że przecież nie było odpowiedniej pogody, a na koniec wybuchając wesołym śmiechem i pytając:

- To chyba nie było zbyt mądre, prawda?

- Nie przeczę - odparł uprzejmym tonem.

W tym momencie księżna wtrąciła się do rozmowy, namawiając kuzynkę, by ta skorzystała z pięknego dnia i udała się na przechadzkę. Augusta swym zwyczajem zaczęła komentować sytuację. Oczywiście chętnie wybrałaby się na spacer, gdyby Sylvester zechciał w tym czasie dotrzymać towarzystwa swej matce, czego z pewnością nie omieszka uczynić. Gdyby zaś księżna potrzebowała pomocy, wystarczy zadzwonić na Annę, a ta natychmiast przybiegnie. Wygłosiwszy te wszystkie głębokie uwagi, skierowała się w końcu ku drzwiom, które Sylvester szarmancko przed nią otworzył. W progu zatrzymała się jeszcze, by mu powiedzieć, że zostawia go teraz z księżną, z którą zapewne pragnie porozmawiać jak syn z matką.

- Doprawdy nie pojmuję, jak to odgadłaś, kuzynko.

- Och, to by dopiero było, jeśli po tylu latach nie potrafiłabym odgadnąć, co myślisz! — zawołała wesoło. - Idę więc... Nie trzeba otwierać przede mną drzwi, jakbym była kimś obcym. Zawsze cię o to proszę, kuzynie, ty jednak niezmiennie jesteś tak uprzejmy.

Skłonił się lekko, a potem zdecydowanie zamknął za nią drzwi.

- Nie zasłużyłeś na ten komplement - zauważyła księżna. - Mój drogi, nie rozumiem, jak mogłeś jej tak odpowiedzieć.

- Jej głupota jest wprost nie do zniesienia! - wybuchnął. - Czemu trzymasz przy sobie tę paplającą papugę? Przecież jej gadanina musi cię zamećzać!

- Augusta nie jest zbyt mądra, przyznaję, ale nie mogę jej odesłać.

- Z przyjemnością zrobię to za ciebie. Zaskoczył ją tym, lecz uznała, że syn mówi bez zastanowienia.

- Nedorzeczny chłopcze - zbeształa go łagodnie. - Wiesz równie dobrze jak ja, że to niemożliwe.

Uniósł brwi.

- Niemożliwe? A cóż mnie może powstrzymać?

- Nie mówisz tego poważnie - orzekła, wciąż jeszcze dość pogodnie.

- Jak najbardziej. Czy nie chciałabyś jej wysłać gdzieś daleko, najlepiej za ocean?

Uśmiechnęła się z lekkim żalem.

- Cóż, czasami tak. Tylko nie zdradź tego nikomu. Ja przynajmniej mam dość przyzwoitości, by wstydzić się takich myśli. - Spozrzęła zdumiony wyraz jego twarzy, więc wyjaśniła: - Przyznaję, trudno cenić Augustę, gdy wygłasza oczywiste uwagi i nie ma dość taktu, by zostawić nas samych, lecz mimo to jestem zadowolona z jej obecności. Zaręczam ci, to nic przyjemnego przez cały dzień usługiwać chorej osobie, ona zaś nigdy nie traci humoru, a o cokolwiek ją poproszę, spełnia me życzenia tak ochoczo, jakby owo reagowanie na każde moje skinienie sprawiało jej prawdziwą przyjemność.

- No, ja myślę!

- Ależ, Sylwestrze...

- Najdroższa mam, utrzymujesz ją, odkąd sięgam pamięcią. Dostaje od ciebie więcej, niż płaci się obcej osobie, zatrudnionej do dotrzymywania towarzystwa.-

- Mówisz tak, jakbyś żałował jej tych pieniędzy.

- Nie, jeśli naprawdę jest tego warta. Nie oszczędzam na służbie, lecz nie trzymam nikogo, kto na to nie zasługuje.

Spojrzała na niego z nagłym niepokojem, lecz odezwała się łagodnie:

- Naprawdę nie chciałabym stracić Augusty. Nie wiem, jak bym sobie bez niej poradziła, wierz mi.

- A więc kuzynka zostaje - zdecydował. - Nie chodziło mi wszakże o koszty. Płaciłbym jej dwa, a nawet trzy razy więcej, żebyś tylko była zadowolona. - Ponieważ matka skinęła na niego, pospieszył ku niej natychmiast. - Wiesz, że zawsze leży mi na sercu tylko twoje dobro. Wyglądasz na zmartwioną. Mamo kochana, nie chciałem sprawić ci przykrości.

- Wiem. - Ujęła jego dłoń i uściśnęła ją. - Nie dręcz się wyrzutami, bo nie sprawiłeś mi przykrości, jedynie zaskoczyłeś mnie trochę tą nieprzejeжданą postawą. Nikt wszakże nie ma mniej powodów do uskarżania się na twoją surowość niż ja.

Uśmiechnął się do matki we właściwy sobie, niezwykle ujmujący sposób.

- Zatrzymaj zatem przy sobie tę nieznośną kuzynkę, lecz przynajmniej pozwól mi żałować, że nie masz przy sobie kogoś odpowiedniejszego, kogoś, kto podzielałby twoje zainteresowania.

- Jest jeszcze Ianthe - przypomniała mu. - Owszem, też nie podziela mych zainteresowań, lecz potrafimy miło spędzać razem czas.

- Ale nawet ta wątpliwa pociecha, jaką jest towarzystwo Ianthe, nie potrwa już długo.

- Mój drogi, jeśli ta rozmowa zmierza ku temu, by zasugerować mi zatrudnienie drugiej damy do towarzystwa, to proszę, byś oszczędził nam obojgu czasu.

- Nie o takim rozwiązaniu myślałem. - Zamilkł na chwilę, po czym oznajmił dość obojętnym tonem: — Zamierzam się ożenić, mamo.

Tak ją tym zaskoczył, że księżna przez dłuższą chwilę nie znajdowała słów. Jej syn złamał niejedno serce, lecz straciła już nadzieję, by miał kiedykolwiek poprosić jakąś damę o rękę. Chyba utrzymywał więcej niż jedną kochankę, a przynajmniej miała powody do żywienia takich podejrzeń, gdyż siostra powtórzyła jej plotki o bardzo pięknych i bardzo kosztownych Greczynkach. Wyglądało na to, że Sylvester nie zamierzał się ustatkować.

- Mój drogi, skąd ta nagła decyzja? - spytała, nieco ochłonawszy z pierwszego zdziwienia.

- Nie aż taka nagła. Zamierzałem ci o tym powiedzieć już od pewnego czasu.

- Wielkie nieba! Nie spodziewałam się, że szykujesz mi podobną niespodziankę. Proszę, usiądź przy mnie i opowiedz wszystko.

Spojrzał na nią przenikliwie.

- Czy ucieszyłoby cię, gdyby się ożenił?

- Naturalnie!

- To przesądza sprawę.

Księżna nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Cóż za nedorzeczności wygadujesz. Dobrze, skoro już uzyskałeś moją zgodę, od której tyle uzależniasz, zechciej mi zdradzić szczegóły.

Sylvester zapatrzył się w tańczące w kominku płomienie.

- Nie mam wiele do powiedzenia. Jak się zapewne domyśliłaś, mam, nie pałam nadmierną chęcią do włożenia małżeńskich kajdan. Nie spotkałem dotąd kobiety, dla której byłbym gotów na takie poświęcenie. Harry spotkał i jeśli potrzebowałem czegokolwiek, by się utwierdzić w mej niechęci do...

- Proszę cię, nie mów tak - zaproponowała księżna. - Harry znalazł szczęście w małżeństwie z Ianthe i jakkolwiek jej uczucia do niego trudno by określić jako równie głębokie, była do niego serdecznie przywiązana.

- Tak przywiązana, że rok po jego śmierci myślała tylko o chodzeniu na bale, a teraz ochoczo oddaje rękę byłe nicponiowi. Nie broń jej, mam.

- Mieliliśmy chyba rozmawiać o twoim małżeństwie - przypomniała łagodnie.

- To prawda. Mniej więcej przed rokiem zrozumiałem, że znalezienie żony jest jednym z moich obowiązków jako głowy rodu. Nie chodzi o konieczność zapewnienia dziedzica, gdyż jest już Edmund...

- Tylko mu tego nie mów! Roześmiał się.

- Wcale by nie słuchał, gdyż na razie pragnie zostać poczytliwym i powozić dyliżansami. Chociaż nie, odkąd dostał od Keighleya do zabawy kawałek blachy, waha się, czy nie zostać gwardzistą. Gdyby usłyszał, że nic z tego nie wyjdzie, gdyż ma zająć moje miejsce, byłby rozczarowany.

- Teraz tak, lecz w przyszłości...

- To właśnie jeden z powodów, dla którego, jeśli w ogóle, mam się zenić, muszę to zrobić teraz. Później Edmund mógłby poczuć się oszukany. Dlatego też od kilku miesięcy rozglądałem się za odpowiednią kandydatką.

- Zdumiewasz mnie. Jeszcze chwila, a usłyszę, że sporządziłeś listę cech, jakie owa odpowiednia kandydatka powinna posiadać.

- Właściwie tak - przyznał. - Śmiejesz się, droga mam, lecz przecież sama przyznasz, że moja żona musi spełniać określone warunki. Przede wszystkim musi być dobrze urodzona.

- Z tym się oczywiście zgodzę, ale co jeszcze?

- Cóż, przed rokiem na drugim miejscu stawiałem urodę... - ciągnął w zamyśleniu (księżna pomykała więc, że w takim razie jego wybranka nie jest piękną). - Teraz jednak bystrość umysłu wydaje mi się cechą bardziej pożądaną. Nie zniósłbym towarzystwa kobiety ograniczonej. Nie chcę narażać cię na kolejną Augustę lub Ianthe.

- Jestem ci niezmiernie zobowiązana - wtrąciła z rozbawieniem księżna. - Inteligentna więc, choć niekoniecznie urodziwa. Kontynuuj, to niezmiernie interesujące.

- Nie posuwałbym się aż tak daleko; dama zupełnie pozbawiona walorów zewnętrznych nie wchodzi w rachubę. Jej wygląd musi być co najmniej ujmujący, w dodatku powinien odznaczać się taką gracją i wdziękiem jak twoje, droga mamó.

- Nie próbuj mnie zwodzić, pochlebco. Powiedz, czy znalazłeś wśród młodych panien taką, która spełnia twe warunki?

- Tak. Około tuzina. Po bliższym oglądzie zostało pięć.

- Pięć?!

- Tak, tylko pięć takich, przy boku których mógłbym w miarę znośnie spędzić większą część życia. Lady Jane Saxby jest ładna i miła. Córnka Barninghamów to osoba pełna życia i energii. Panna Bellerby jest przystojna i dość powściągliwa, co potrafię docenić. Lady Mary Torrington... Och, to klejnot czystej wody! Wreszcie panna Orton, mniej urodziwa od pozostałych, lecz o nieskazitelnych manierach. - Zamilkł i ponownie zapatrzył się w płonące polana. Księżna w napięciu czekała na dalsze słowa syna. Uniósł głowę i uśmiechnął się do niej. - Którą sobie życzysz, mamó?

ROZDZIAŁ DRUGI

Księżna odezwała się po dłuższej chwili, ochłonawszy ze zdumienia.

- Czemu tak się nade mną znęcasz, kochanie? Przecież nie pytasz mnie poważnie.

- Nie proszę, byś za mnie wybrała, lecz proszę o radę. Nie znasz żadnej z nich, lecz znasz ich rodziny, pewnie jedną z nich cenisz bardziej niż pozostałe.

- Sylwestrze, a której ty dajesz pierwszeństwo?.

- Żadnej. Gdy tylko zaczynam skłaniać się ku którejś, od razu znajduję u niej trudną do zniesienia cechę. Nie podoba mi się śmiech lady Jane i upodobanie panny Orton do gry na harfie. Nie jestem miłośnikiem muzyki, więc na myśl o tym, że w domu rozlegałyby się nieustannie jakieś potępieńcze dźwięki... Nie, nawet nie mówmy o tym. Lady Mary zaś...

- Dziękuję, usłyszałam już dosyć, by móc dać ci radę - przerwała mu pospiesznie księżna. - Nie uderzaj w konkury do żadnej z nich. Nie jesteś zakochany.

- Zakochany? Oczywiście, że nie. Czy to konieczne?

- Najważniejsze! Synu, zaklinam cię na wszystko, nie dawaj żadnej damie swego nazwiska, jeśli nie możesz jej ofiarować serca.

Uśmiechnął się z czułością.

- Ależ ty jesteś romantyczna, mamó.
- Za to ty nie masz w sobie ani odrobiny romantyzmu.
- Na pewno nie wtedy, gdy chodzi o małżeństwo.
- Czyli romantyzmu szukasz w romansach z tymi odzianymi tylko w muslin kobietami?

Sylvester nie zdołał powstrzymać się od śmiechu.

- Mówisz szokujące rzeczy, najdroższa mamó, nie poznaję cię. Tamto to zupełnie inna sprawa - ciągnął. - Zresztą, nie nazywałbym tego romansami, raczej przelotnymi przygodami. Nawet gdy jako gołowąs zadurzyłem się w najpiękniejszym rajskim ptaku, jakiego można sobie wyobrazić, ani mi przez myśl nie przeszło, by mogło to trwać dłużej. Zanadto potrzebuję swobody, by...

- Nie zgadzam się. Nie o pragnienie swobody tu chodzi, lecz o to, że jeszcze nie spotkałeś kobiety, która by wzbudziła w tobie trwałe uczucie.

- Przynaję, nie spotkałem. Od dziesięciu lat bywam na salonach i do woli kosztuję towarzystwa panien wystawionych przez rodziny na matrymonialnym targu, jeśli więc mój ciągle wolny stan nie świadczy o potrzebie swobody, to może tylko znaczyć, że mało wymagam. Zadowala mnie wiele z nich, na krótko wszakże, jesteś jedyną damą, jaką znam, której obecność nigdy mnie nie nuży.

Między wygiętymi brwiami księżnej pojawiła się pionowa zmarszczka. Słowa syna zrodziły w niej pewne obawy, choć wygłosił swą perorę żartobliwym tonem.

- Do woli kosztujesz ich towarzystwa? - powtórzyła z niepokojem.

- Tak. Spotkałem wszystkie, zaręczam ci.

- I niejedną uwodziłeś, jeśli mogę wierzyć temu, co mi powiedziano.

- Ach, cioteczka Louisa i jej plotki! - odgadł bezbłędnie Sylvester. - Droga mamó, jeśli okazywałem zainteresowanie różnym pannom, nie faworyzując tylko jednej, to przynajmniej nie można mi zarzucić, że którejs nieopatrznie narobiłem nadziei.

Nie rozbawiła jej ta błyskotliwa riposta. Z rozmowy wyłaniał się zupełnie inny obraz jej ukochanego syna, niż księżna hołubiła w sercu. Wahala się, co powinna mu powiedzieć, gdy nagle uchyliły się drzwi i rozległ się słodki, choć nieco płaczliwy głosik:

- Mama pozwoli, że wejdę?

W progu pojawiła się zjawiskowa piękność otulona aksamitną szafirową pelisą. Kapelusz z wysoko wywiniętą przednią częścią ronda stanowił idealne obramowanie dla jej ślicznej twarzy. Przy gładkich policzkach opadały złociste loki, pod delikatnymi brwiami widniały ogromne niebieskie oczy, nosek był prosty, czerwone usta zachwycająco wykrojone.

- Dzień dobry, moja droga, wejdź, proszę - rzekła księżna.

Zjawisko tymczasem dostrzegło szwagra, więc chociaż weszło, odezwało się już mniej serdecznym tonem.

- Och, nie wiedziałam, że Sylvester jest u mamy... Nie będę przeszkadzać, chciałam jedynie sprawdzić, czy nie ma tu Edmunda.

- Nie widziałam go dzisiaj. Sądziłam, że jest pod opieką pana Leyburna.

- Niestety, nie. Nikt nie wie, gdzie on się podziewa. Akurat teraz, gdy zamierzałam zabrać go na wizytę do Arkholmów. Wie mama, że od dawna wybierałam się do Grange i właśnie dziś mamy pierwszy od tygodnia dzień, gdy można to zrobić. A Edmund gdzieś przepadł.

- Pewnie wymknął się do stajni, mały urwis.

- Nie ma go tam, chociaż też się tego spodziewałam, przecież Sylvester zachęcił go do chodzenia w to okropne miejsce i od tej pory...

- Droga Ianthe, wszyscy chłopcy uwielbiają biegać do stajni, nie trzeba ich do tego zachęcać, moi też to robili. Ale powiedz, proszę, czy tę zachwycającą pelisę uszyto z owego aksamitu, który zamawialiśmy w ubiegłym miesiącu? Znakomicie leży.

Niestety, ta próba odwrócenia uwagi synowej od tematu okazała się nad wyraz niefortunna.

- Tak, to właśnie ten aksamit. I niechże sobie mama wyobrazi, że uszyto z niego też ubranko dla Edmunda, by wkładał je, gdy idziemy razem z wizytą. Jest piękne, kazałam je skroić według wzoru z obrazu Reynoldsa, nie pamiętam już, gdzie go

widziałam, ale jest tam taki śliczny smutny chłopiec w czerwonym ubranku, od razu pomyślałam, że chcę takie dla Edmunda, tylko nie czerwone, lecz niebieskie, będzie w nim wyglądać jeszcze ładniej.

- Spróbowałby nie... - mruknął Sylvester.

- Co powiedziałaś? - spytała podejrzliwie Ianthe.

- Nic.

- Z całą pewnością coś dokuczliwego. Wyśmiewałeś nasz wygląd, jak zgaduję.

- Mylisz się. Tworzylibyście zapierającą dech w piersiach parę, oczywiście pod warunkiem, że udałoby się przekonać Edmunda do stosownego zachowania. Widzę już, jak stoi u twego boku z malowniczo melancholijnym wyrazem twarzy... Och, lepiej nie! On ma taką minę, gdy obmyśla kolejnego figla.

- Sylvestrze, zamilknijże wreszcie - poprosiła księżna, z trudem powstrzymując się od śmiechu. — Nie słuchaj go, drogie dziecko, on tylko tak żartuje.

- Wiem, zawsze dworuje sobie ze mnie - odparła Ianthe, a jej policzki zaróżowiły się nieco. - Podburza też przeciw mnie Edmunda.

- I co jeszcze robię?

- Przede wszystkim nie dbasz o jego dobro. Zachęcasz go do chodzenia w różne miejsca, narażając go na niebezpieczeństwo.

- Jakie znowu niebezpieczeństwo?

- Na przykład może teraz leżeć na dnie stawu.

- Nie obawiaj się. Skoro już musisz wiedzieć, poszedł do lasu.

- A ty zapewne nie zawróciłeś go z drogi.

- Nie, ponieważ kiedy poprzednim razem przeszkodziłem mu w jego niecnym sprawkach, przez trzy dni opowiadałaś wszystkim, jakie to ze mnie monstrum bez serca.

- To nie ma nic do rzeczy. Najważniejsze jest teraz to, że Edmund mógł zmienić zdanie i pójść się bawić nad staw.

- Nie odważaj się, przynajmniej kiedy ja jestem w domu. Wie, że mu nie wolno.

- I jakże ja mam teraz jechać do Grange? - spytała rozdrażniona Ianthe. - Zostałabym w domu, lecz kazałam już zaprząć do powozu. Nie zaznam jednak ani chwili spokoju, nie wiedząc, czy moje jedyne dziecko nie leży na dnie stawu.

- Jeśli Edmund nie wróci na obiad, każę przeszukać staw dragami - obiecał Sylvester, podchodząc do drzwi i otwierając je na oścież. — Nawet jeśli nie dbam o bratanka, to z pewnością dbam o moje konie, skoro więc są zaprzężone, niech nie stoją bez ruchu na tym zimnie.

Dotknięta do żywego Ianthe bez słowa wybiegła z bawialni.

- Bardzo pouczające - zauważył Sylvester. - Oto troskliwa matka, która z niepokoju o jedyne dziecko jedzie oddawać się przyjemnościom.

- Przecież wie dobrze, że tak naprawdę nie ma powodu do obaw. Czemu wy dwoje zawsze musicie sobie dokuczać? Nie tylko ona jest wobec ciebie niesprawiedliwa, ty wobec niej również.

Lekko wzruszył ramionami.

- Nie zamierzam zaprzeczać. Gdybym dostrzegł u niej choć ślad tego przywiązania do Edmunda, które sobie przypisuje, znosiłbym ją cierpliwie. A cóż ona robi? Obsypuje go pieszczotami, gdy przyjdzie jej na to ochota, lecz kiedy tylko chłopiec zaczyna sprawiać kłopoty, ona natychmiast ma migrenę i dzieckiem musi zajmować się Button. Gdy chorował na ospę, nawet do niego nie zajrzała. Kiedy trzeba było usunąć mu ząb, zawiozła go do Londynu, bo miała wspaniały pretekst do wyjazdu. Nie zadała sobie jednak trudu, by zmusić go do pójścia do felczera. Ten ząb psuły się nie wiedzieć jak długo...

Księżna uniosła obie dłonie.

- Mój drogi, trzeba nie lada hartu ducha, by zabrać takie małe dziecko na wyrwanie zęba. Ja sama nigdy się na to nie zdobyłam, więc ją rozumiem. Zdawałam się na Button, która zadbałaby o to i tym razem, gdyby nie zmogła jej choroba. Serce mi krwawi, kiedy wspomnę, w jaki sposób

wzięłaś sprawy w swoje ręce. Złapać to biedne niewinne dziecko w parku, porwać je do kariatydy i zawieźć wprost do izby tortur. To było doprawdy okrutne, mój drogi.

- Serce to by ci krwawiło, mamó, gdybyś widziała jego buzię taką, jak ja ją wtedy ujrzałem. A kto ci powiedział, że go napadłem i porwałem? Ta bezrozumna pokojówka, która wyszła z nim na spacer? Ja go zawiozłem do Tiltona co koń wyskoczy, nie wachając się ani chwili. To wszystko, co trzeba było zrobić. Dlatego nie prosz, bym uwierzył w oddanie Ianthe dla Edmunda, bo aż krew się we mnie burzy! Och, nie mogę sobie darować, że dałem się namówić i zatrudniłem samego Lawrence'a, by namalował jej portret z dzieckiem na rękach. Miała taki kaprys, gdyż ktoś jej powiedział, że to wyjątkowo wdzięczna poza.

- Ustąpiłeś, by sprawić przyjemność bratu — przypomniała cicho księżna. - Na szczęście zdążył jeszcze zobaczyć gotowy obraz.

Sylvester podszedł do okna i zapatrzył się w przestrzeń. Po kilku minutach powiedział:

- Wybacz, mamó. Nie powinienem był tego mówić.

- To prawda. Spróbuj mieć więcej serca dla Ianthe, ona zasługuje na współczucie. Nie podobało ci się, gdy porzuciła czarne suknie i wraz z matką zaczęła znów bywać na salonach, ledwie minął rok żałoby. Ja też tego nie pochwalam, lecz czy możemy skazywać młodą, spragnioną zabaw kobietę tylko na nasze towarzystwo? Nie zrobiła nic niestosownego. - Zawahała się, po czym dodała: - Nie ma też nic gorszącego w jej pragnieniu, by ponownie wyjść za mąż.

- Toteż nie oskarżam jej o gorszące prowadzenie się.

- Nie, ale czynisz jej położenie jeszcze trudniejszym. Może nie jest najczulszą z matek, lecz odebranie jej Edmunda...

- Jeśli tak się to zakończy, nie będzie w tym mojej winy. Tu jest jej dom, Ianthe może mieszkać w pałacu, jak długo zechce. Może też razem z dzieckiem przenieść się do Domu Wdowy. Zobowiązałem się wszak jedynie do tego, że Edmund wychowa się pod moim okiem w Chance. Gdy Ianthe ponownie zawrze związek małżeński, może przyjeżdżać do syna, ilekroć tego zapragnie. Co więcej, obiecałem jej nawet, że czasem będzie mogła zabierać go do siebie, aczkolwiek nie na zbyt długo. Czyż nie okazałem więc serca? Jednakże nigdy, przenigdy nie przystanę na to, by Edmund miał dorastać pod okiem Nugenta Fotherby'ego! Dopuściłbym się w ten sposób zdrady brata, a chyba tego nie chcesz, mamó?

- Ach, nie! Czy sir Nugent jest doprawdy aż taki zły? Trochę znałam jego ojca, był to nad wyraz miły i zgodny człowiek, lecz syna chyba nigdy nie spotkałam.

- Nie ma czego żałować. Bajecznie bogaty lekkoduch, straszliwy głupiec, a do tego... Nieważne! Ładny byłby ze mnie opiekun, gdybym powierzył wychowanie Edmunda jemu i Ianthe. Czy wiesz, co Harry mi powiedział tuż przed śmiercią? „Zostawiam Edmunda pod twą pieczę,

bracie”. To nie była ani prośba, ani przypomnienie. Powiedział to, gdyż ta myśl musiała stać mu się w tamtym momencie pociechą, a Harry zawsze mi mówił, co myśli. -Spostrzegł, że księżna zakryła oczy dłonią, podszedł więc, ujął matkę za drugą rękę i uściśnął. - Wybacz,

wspominam o tym jedynie po to, byś mnie dobrze zrozumiała.

- Rozumiem cię, lecz wciąż nie wydaje mi się słuszne trzymanie dziecka w miejscu, gdzie będzie się nim zajmować stara Button i guwerner, który nie może za chłopcem nadążyć. Gdybym ja nie była tak bezużyteczna... - Urwała.

Znając dobrze opinię matki w tej kwestii, Sylvester nie podjął dyskusji z niedokończonym zdaniem, lecz odparł spokojnie:

- Ja również wziąłem to wszystko pod rozwagę i tym bardziej utwierdziłem się w decyzji o konieczności ożenku. Ianthe rychło pogodziłaby się z myślą, że przyjdzie jej tu zostawić syna, gdyby miał dobrą opiekę cioci. Nie narażałaby się wówczas na zyskanie niechlubnego piętna nieczulej matki. Ianthe niezmiernie dba o to, co się o niej mówi, skoro więc chlubi się swym oddaniem dla Edmunda

i nawet została tak uwieczniona dla potomności, nie może teraz zniweczyć tych wysiłków, porzucając dziecko na pastwę nikczemnego, okrutnego stryja. Gdybym jednak miał żonę, można byłoby utrzymywać, że moje usposobienie znacząco złagodniało pod wpływem połowicy.

- Ponosi cię fantazja. Ianthe nigdy nie nazwała cię nikczemnikiem.

Uśmiechnął się.

- Nawet jeśli nie użyła tego słowa, bez znużenia raczyła wszystkich opowieściami o tym, jak lekceważę dobro bratanka i jak niegodziwie go traktuję. Nie sądzę, by dawano jej wiarę bez zastrzeżeń, jednakże mam powody mniemać, że nawet Elvaston podejrzewa mnie o nadmierną surowość wobec chłopca.

- Cóż, jeśli lord Elvaston traktuje poważnie androny, jakie prawi jego córka, to zacznę mieć gorszą opinię o jego rozsądku - skwitowała cierpko księżna. - Och, nie mówmy już o Ianthe, mój drogi.

- Chętnie. Wróćmy więc do tego, co mnie dotyczy. Jaką kobietę mam poślubić, mamó?

- Biorąc pod uwagę twoje obecne nastawienie, nie powinienes poślubić żadnej. Kiedy już ci przyjdzie, powinienes poślubić taką, jaka ci przypadnie do serca.

- Te rady nie są ani trochę pomocne - poskarżył się Sylvester.

- Sądziłem, że matki snują matrymonialne plany dla swoich dzieci.

- Tak, a potem zazwyczaj wynika z tego tylko gorzkie rozczarowanie. Ja też kiedyś pragnęłam cię wyswatać, lecz zdarzyło się to tylko raz, miałeś wtedy zaledwie osiem lat, a twa przyszła oblubienica ledwie trzy dni.

- Zaczynasz mówić wielce obiecujące rzeczy, mamó! - wykrzyknął z zachętą w głosie. - Kim ona jest? Znam ją?

- Nie wymieniałeś jej nazwiska, lecz musiałeś ją widzieć, gdyż zeszłego roku została przedstawiona w salonach, ma za sobą pierwszy sezon w towarzystwie. Jej babka mi o tym pisała i nawet miałam cię poprosić, byś... -przerwała na moment, poirytowana na samą siebie i szybko wymyśliła nowe zakończenie dla rozpoczętego zdania: - ... zechciał przesłać tej pannie moje pozdrowienia, powstrzymałam się wszakże, gdyż trudno się spodziewać, by mnie pamiętała. To wnuczka lady Ingham.

- Meją czcigodnej matki chrzestnej? Mówisz więc o jednej z Inghamówien? Żałuję niezmiernie, ale którakolwiek z nich to jest, odpowiedź brzmi: „nie”!

- Ależ nie, chodzi o córkę lorda Marlowa! - odparła ze śmiechem. - Poślubił Verenę Ingham, moją najserdeczniejszą przyjaciółkę i najbardziej czarującą istotę pod słońcem.

- O, to brzmi coraz bardziej obiecująco - stwierdził z aprobatą Sylvester. — Ciekawe, czemu nigdy nie spotkałem uroczej lady Marlow? - Przerwał, a jego czoło przecięła pionowa zmarszczka.

- Nie, widziałem ją kiedyś! Nie zostałem jej przedstawiony, lecz obawiam się, że nawet jeśli w czasach twej młodości była czarująca...

- Na litość, ta straszna kobieta jest drugą lady Marlow! Verena zmarła w połogu, jej córeczka miała wtedy dwa tygodnie.

- Co za smutna historia... Opowiedz mi więcej o przyjaciółce, mamó.

- Nie wiem, czy to ci pomoże podjąć decyzję -odparła z powątpiewaniem, zastanawiając się jednocześnie, czy syn nie próbuje w ten sposób odwrócić jej myśli od smutnych wspomnień wywołanych rozmową o Harrym. - Verena Ingham nie była panną ani piękną, ani też starannie wykształconą, ani nawet choćby modnie ubraną. Potrafiła obrócić wniwecz wszelkie wysiłki, które miały uczynić z niej wytworną damę, a elegancko wyglądała tylko w jednym stroju, w sukni do jazdy konnej. Wyprawiała doprawdy szokujące rzeczy i wyobraź sobie, mój drogi, nikt nie miał jej tego za złe, nawet lady Cork! Zostałyśmy wprowadzone na salony w tym samym sezonie, rychło stałyśmy się przyjaciółkami od serca. Ja wszakże miałam więcej szczęścia, gdyż poznałam twego ojca. którego pokochałam od pierwszego wejrzenia, ona zaś odprawiała jednego konkurenta po drugim, a miała ich wielu. Uparcie utrzymywała, że konie wydają jej się o wiele bardziej interesujące. Biedna lady Ingham była w rozpaczycy! Wreszcie Verena poślubiła Marlowa, czego już doprawdy nie sposób pojąć. Musiała to uczynić dla jego talentów jeździeckich, gdyż niczym innym ten człowiek się nie rekomenduje. To cała historia, nieszczególnie frapująca, obawiam się. Czemu chciałeś ją poznać?

- By wiedzieć, jaką kobietą była matka owej panny. Znajac Marlowa, byłem skłonny przypuszczać, że jego córka musi być niezmiernie nudna, jenak skoro to również córka twej ukochanej przyjaciółki, może właśnie znaleźliśmy najodpowiedniejszą żonę dla mnie. Ty miałabyś do niej sentyment, a to dla mnie niezmiernie ważne. Oczywiście nie zamierzam obarczać się żoną, którą

dopiero trzeba przyuczyć, jak należy się zachowywać, lecz na szczęście w żyłach tej panny musi płwać dość krwi Marlowa, by osłabiło to wszelką niesforność odziedziczoną po matce. Ekcentryczka może wydawać się interesująca, nie przeczę, lecz na małżonkę się nie nadaje. Na pewno nie na moją.

- Cóż ty za głupstwa wygadujesz, mój drogi. I gybym sądziła, że mówisz poważnie, zaczęłabym się niepokoić.

- Kiedy ja mówię całkowicie poważnie. Myślałem, że w ten sposób sprawię ci przyjemność. Czy może być coś bardziej romantycznego niż ożenek z panną, która jest mi przeznaczona od kołyski?

Chociaż księżna uśmiechnęła się w odpowiedzi, nie wyglądała na rozbawioną. Sylvester przyjrzał jej się z troską, po czym spytał czułym tonem, którego używał wyłącznie w stosunku do matki:

- Coś cię martwi? Powiedz mi, proszę.

- Właśnie mówiłem mi o pięciu pannach, które by ci odpowiadały, teraz rozważasz kandydaturę kolejnej, o której istnieniu jeszcze przed dziesięcioma minutami nie wiedziałeś, a wszystko to czynisz tak, jakby cała rzecz polegała na dokonaniu przez ciebie wyboru pomiędzy nimi. Nie pomyślałeś o tym, że owa wybranka może odrzucić twe zaloty?

Sylvester rozpogodził się.

- Tylko tyle? Nie, o to nie musisz się martwić, mamó. Żadna ich nie odrzuci.

- Jesteś tego aż taki pewien?

- Jak najbardziej. Oczywiście wykluczając pannę Marlow, ponieważ jej serce może być już zajęte.

- Nawet jeśli jest wciąż wolne, sprawa nie jest przesądzona. A jeśli nie przypadniesz jej do gustu? - podsunęła księżna.

- Ja miałbym nie przypaść jej do gustu? — zawołał ze zdumieniem. - A czemuż to?

- Trudno mi powiedzieć, lecz nie da się wszakże tego wykluczyć.

- Ach, jeśli chcesz rzec, że, być może, panna nie zapala do mnie najgłębszym afektem, to muszę przyznać ci rację, tak zawsze może się zdarzyć, aczkolwiek nie pojmuję, czemu nie miałaby

tego zrobić, a już przynajmniej obdarzyć mnie najczulszą przyjaźnią. Czyżbyś przypuszczała, że moje maniery nie potrafią mi zjednać każdego, kogo tylko zechcę? A fe, mamó.

- Nie wątpię w twe walory, jednak oczarowanie aż pięciu znakomitych panien z najlepszego towarzystwa, i to do tego stopnia, by czekały na ofertę małżeństwa, to doprawdy zdumiewające osiągnięcie.

Sylvester nie zdołał się powstrzymać.

- Sama przyznałaś, że prawie komplementy w czarujący sposób.

Uśmiechnęła się, gdyż rzucił jej przy tym rozbijające spojrzenie, któremu nigdy nie mogła się oprzeć, jednocześnie jednak potrzęsła głową.

- Wstydzilibyś się. Mówisz jak firecyk.

- Tego bym nie chciał - odparł ze śmiechem. — jednak nie da się ukryć, droga mamó, że nie tylko pięć, ale cały tuzin panien wygląda, czy nie uderzę do nich w konkury. Nie jestem pozbawiony zalet, choć i wad mam tyleż samo co zwykły pan Smith czy Jones, moje wady są wszakże łatwe do przełknięcia, ba nawet trudne do zauważenia, tak gruba warstwą marcepanu je pokrywa.

- Czy naprawdę pragnąłbyś mieć żonę, która wyszła za ciebie wyłącznie ze względu na pozycję i majątek? - spytała księżna, unosząc brwi.

- Nie przeszkadzałoby mi to znanadto, o ile bylibyśmy w stanie zgodnie znośić swoje towarzystwo. Taka małżonka z pewnością nie narażałaby mnie na żadne dramatyczne sceny, czyli coś, czego nie znośę i czego sobie stanowczo nie życzę. Nawet roku bym z tym nie wytrzymał.

- Dramatyczne sceny stanowią nieodłączną część miłości, synu - zakomunikowała sucho księżna.

- Któż wie o tym lepiej ode mnie? - odparował zręczną ripostą, obdarzając matkę czarującym uśmiechem. - Gdybym jednak znalazł taką jak ty... Wskaż mi ją, a ja dołożę wszelkich starań, by zapalać do niej szalonym afektem i poślubię ją, nie dbając już o smutne następstwa.

- Teraz wygłosiłeś już największą niedorzeczność ze wszystkich.

- Bynajmniej. A mówiąc poważnie, chociaż zdarzyło mi się widzieć kilka udanych małżeństw z miłości, pozostałe, a jest ich więcej, z całą pewnością za udane uchodzić nie mogą. Och, bez wątplenia niektóre z tych osób byłyby zdumione, mogąc mnie teraz słyszeć i dowiadując się, że nie uważam ich za szczęśliwe. Być może, z niepojętych przyczyn sprawia im przyjemność życie pełne ciągłych utarczek, wybuchów zazdrości, wzajemnych wyrzutów i najgłębszych nieporozumień. Ja nie widzę w tym nic pociągającego, przeciwnie. Dlatego dobrze urodzona kobieta o nienaganych manierach, która mnie poślubi, by uzyskać tytuł księżnej, wywiąże się najlepiej z obowiązków żony. - Spojrzał na matkę pytająco. - A może oczekujesz, bym przywdział przybranie

mizerniejszej osoby i udał się za morze jak ów książę z bajki? Zawsze miałem go za głupca, jeśli chcesz wiedzieć. Trzeba nie mieć nic w głowie, by udawać człowieka z gminu w nadziei znalezienia odpowiedniej panny, można wtedy natknąć się jedynie na najzupełniej niestosowne osoby, których i tak nie można poślubić.

- To prawda - przyznała.

Gdy chodziło o matkę, Sylvester był zawsze niezmiernie uważny, uderzył go więc jej nieco znępany wyraz twarzy. Poczł wyrzuty sumienia.

- Zamęczam cię wygadywaniem tych głupstw. Czemu mi na to pozwalasz? Zapewne najdzie cię migrena, może nawet już ją masz. Czy przysłać ci Annę?

- Nie, nie trzeba. A mej głowie nic nie jest, zapewniam cię - odparła z czułym uśmiechem.

- Gdybym jeszcze mógł w to uwierzyć... -Pochylił się, by pocałować ją w policzek. - Zostawię cię, byś mogła wypocząć, nim ponownie zaczniesz nękać cię Augusta. Błagam, nie pozwól, by cię zadręczała.

Wyszedł, a księżna pozostała pogrążona w myślach, dopóki jej rozważań nie przerwała powracająca ze spaceru kuzynka.

- Droga Elizabeth, czemu siedzisz sama?! - wykrzyknęła panna Penistone. - Gdybym była wiedziała... Sylvester chętnie dotrzymałby ci towarzystwa znacznie dłużej, wierzę w to święcie, wyszedł zapewne jedynie dlatego, że spodziewał się mego rychłego powrotu. Tak oddanego syna nigdy nie widziałam, zawsze to powtarzam. On ma taki wzgląd na ciebie. Drugiego takiego i ze świecą nie znajdziesz.

- Tak, wobec mnie jest niezmiernie delikatny i dobry.

W głosie księżnej pobrzmiwała pewna melancholia, co zdarzało się niezmiernie rzadko. Panna Penistone, pragnąc ją pocieszyć, odezwała się takim tonem, jakim stara Button zazwyczaj starała się .. udobruchać Edmunda, gdy ten się na coś boczył:

- Sylvester dziś wyjątkowo przystojnie wyglądał nieprawdaż? Cóż za wspaniała postura, cóż za wykwiłtne maniery. Ach, ileż serc okryje się zgryzotą, gdy on wreszcie zapuka do tych jednych wybranych drzwi.

Zaśmiała się wesoło, lecz księżna nie wyglądała

na rozbawioną. Nic nie odpowiedziała, a jej dłonie spoczywające na poręczach fotela na przemian zaciskały się i otwierały. Bez wątpienia dręczyła ją obawa, czy tak wspaniała partia, jaką był jej ukochany syn, nie przypadnie w udziale jakiejś niegodnej tego zaszczytu osóbcie, uznała natychmiast Augusta. - Nie musisz się wszakże trapić, czy dokona stosownego wyboru — zapewniła pogodnym tonem, nie przestając wszak z niepokojem popatrywać na księżnę. - Wiele panien pragnie zarzucić na niego sieci i rzeczywiście można by się martwić, gdyby Sylvester nie

był tak rozsądny. Przyznaję, w pewnym momencie i ja poczułam wątpliwości, podzieliłam się nimi z Louisa, gdy bawiła tu latem, a ona odpowiedziała mi wprost, jak to ona potrafi: „Nic mu nie grozi, on za dobrze zna swą wartość”. To mnie uspokoiło, sądząc więc, że i ty możesz się więcej nie niepokoić.

Niestety, te słowa nie wywarły na księżnej pożądanego kojącego efektu, gdyż zakryła oczy dłonią. Panna Penistone odgadła wtedy w lot przyczynę złego samopoczucia kuzynki - biedna Elizabeth ani chybi znów miała za sobą bezsenna noc.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sylvester nie wspominał więcej o swych planach małżeńskich. Nie podejrzewał też, jak bardzo matka martwi się o niego, gdyż ilekroć ją odwiedzał, niezmiennie witała go uśmiechem i okazywała pogodę ducha. Gdyby odkrył, że coś ją trapi, zapewne złożyłby to na karb skrytej niechęci do tego ożenku, a wtedy zapewne bez trudu odstąpiłby od swych zamierzeń. Gdyby zaś wyjaśniła mu, skąd naprawdę biorą się jej narastające z każdym dniem lęki, najpierw zadreślałby się wyrzutami sumienia z powodu przysporzenia matce zgryzoty nieprzemyślanymi uwagami, a potem postarałby się obrócić całą sprawę w żart. On miałby się stać arogancki? Paradne! Owszem, znał parę osób, które można było określić tym mianem, i wyjątkowo źle znosił ich towarzystwo. O jego względy tymczasem powszechnie zabiegano, wiele pań domu chętnie puściłoby mu w niepamięć uchybienia, jakich mieli

w zwyczaju dopuszczać się zepsuci majątni arystokraci - oczywiście gdyby Sylvester takich uchybień się dopuszczał. Żadna dama nie miała najmniejszego powodu, by uskarżać się na brak grzeczności z jego strony. Co więcej, nawet najmniej znacząca osoba, która wyświadczyła mu jakąś usługę, choćby było nią podanie kapelusza, nie mogłaby powiedzieć, iż dał jej odczuć swą wyższość. Zdaniem Sylwestra, okazywanie dobrych manier jedynie ludziom dobrze urodzonym stanowiło oznakę złego wychowania i przynosiło ujmę, podobnie jak głośnie besztanie służących za niezręczność, a także obnoszenie się ze swą pozycją. Wszystko to napawało go najgłębszym niesmakiem. Nie miał też w zwyczaju przybywać na przyjęcia z dużym opóźnieniem, odmawiać brania udziału w tańcach uważanych za bardziej pospolite, wychodzić ze znużeniem zaledwie po półgodzinie, nie odpowiadać na zaproszenia, nie rozpoznawać swych dzierżawców i nie zamieniać choćby paru słów z każdym z gości, gdy w Chance urządzano dzień otwarty, by chętni mogli zwiedzić zamek i park. W tej sytuacji Sylvester

uznałby zarzut arogancji za zwykłą potwarz, rozsiewaną przez urażonego pana chlubiącego się arystokratycznymi koneksjami z którym on nie chciał się zapolować lub nuworyszkę z pretensjami, kiedyś musiał nieco przytrzeć nosa.

Księżna wiedziała o tym wszystkim, dlatego czuła się nieco zagubiona. Najchętniej zasięgnęłaby porady kogoś, komu dobro Sylvestra tak samo leżało na sercu, a kto zarazem wiedziałby lepiej od niej (gdyż ona widywała syna jedynie w swych

apartamentach), jak on zachowuje się w towarzystwie. Istniała tylko jedna taka osoba - lord William Rayne, wuj Sylvestra, ongiś przez dwa lata jego prawny opiekun. Księżna nie tylko lubiła go szczerze, ale i darzyła dużą estymą, zaczęła więc rozważać, czy nie podzielić się z nim swymi obawami. Rychło jednak uznała, że wszelkie próby wyklarowania mu przeczuć matczynego serca tylko nasuną podejrzenia, czy jego siostra z powodu długotrwałej choroby i przebywania w domu aby nie zdziwaczała. Lord William był staroświecki, bezpośredni na granicy obcesowości, miał dobre serce oraz niezmiernie zdecydowane poglądy w kwestii zachowywania się po pańsku. Jako jedyny potrafił wpłynąć na Sylvestra, którego serdecznie kochał i z którego był dumny. Uwagi wuja Sylvester wzięłby

sobie do serca, niestety, lord William prędzej zganiłby go surowo za zapominanie o swej znakomitej pozycji niż za wynoszenie się ponad innych.

Przyjechał on do Chance na święta Bożego Narodzenia i nie dość, że nie rozwiązał obaw księżnej, to jeszcze ją poważnie przygnębił, chociaż oczywiście nie miał takich intencji. Wychwalał Sylvestra pod niebiosa, szczególnie za sposób bycia.

— Bardzo przyjemny i grzeczny, droga siostrze, ale umie zachować odpowiedni dystans - mówił lord William do księżnej. - Nie zachodzi najmniejsza obawa, żeby mógł w czymkolwiek uchybić swej pozycji. Powiada, że chce się żenić. Wyśmienicie. Czas, by zadbał o potomstwo. Na mój rozum dobrze się do sprawy zabiera, nie omieszkałem wszak

napomknąć, o czym powinien przy tym pamiętać. Nie okazało się to konieczne, ale nie darowałbym sobie, gdyby postąpił niemądrze tylko dlatego, że ktoś mu w porę nie dał stosownej rady. Szczęściem jednak masz rozsądnego syna, ani mu w głowie romantyczne miłości i inne faramuszk!

Starym zwyczajem Rayne'ów wszyscy członkowie klanu zjechali jak co roku na święta do rodowej siedziby. Ponieważ rodzina była niezmiernie liczna, a niektórzy z gości bawili w Chance przez cały miesiąc, Sylvester - jako gospodarz i obecnie głowa rodu - miał mało czasu dla siebie, rzadziej też, niżby tego pragnął, widywał matkę. Obowiązki wobec gości traktował ze szczególną troską, na szczęście w tej kwestii mógł liczyć na pomoc szwagierki, która uwielbiała zabawiać gości i czyniła to z wyjątkowym wdziękiem, a ponieważ występowała również w imieniu księżnej,

niemogącej opuścić swych apartamentów, tym bardziej przykładała się do swej roli. W miarę przybywania kolejnych krewnych Ianthe zdawała się rozkwitać i promienieć coraz większą radością, zakłóconą jedynie tym, że mimo jej usilnych nalegań pan domu nie zgodził się na zaproszenie sir Nugenta Fotherby'ego. Czemu nie miałby gościć jej przyszłego męża, skoro chętnie widzi jej rodziców? - argumentowała. Nieoczekiwanie to właśnie oni stanęli po stronie Sylvestra, Ianthe więc nie mogła dłużej się na niego dąsać. Lord Elvaston, który sir Nugenta nie cierpiał, oznajmił bez ogródek, że jego noga nie postałaby w Chance, gdyby miał mieszkać z tamtym pod jednym dachem. Lady Elvaston była znacznie bardziej skłonna znośić Fotherby'ego, a to ze względu na jego olbrzymi majątek, jednak i ona uznała córkę za zupełne cielątko, które sądzi, że dając Sylwestrowi możliwość przyjrzenia się z bliska beztroskiemu dandysowi, usposobi go przychylnie do przyszłego męża.

Sylvester opuścił Chance pod koniec stycznia, dzień później niż ostatni, najdłużej ociągający się gość. Wybierał się do Blandford Park, dokąd wysłał już bezpośrednio z Leicestershire łowczych i naganiaczy, najpierw jednak pojechał do Londynu, nadmieniwszy matce, że ma tam ważną sprawę do załatwienia. Ponieważ do Blandford Park udawał się w celach łowieckich, nie zaś matrymonialnych, księżna pożegnała syna bez większego niepokoju, że ten oświadczy się w tym czasie jednej z owych pięciu stosownych kandydatek. Damy te na pewno nie gościły w Blandford Park, o tej porze roku nie bawiły również w mieście. W opinii księżnej Syvies-ter aż do początku nowego sezonu nie miał większych szans na wykonanie swego nierozważnego planu. Nie wiedziała jednak, jakież to ważny interes czekał na niego w Londynie; otóż Sylvester postanowił udać się z poranną wizytą do matki chrzestnej.

Owdowiała lady Ingham mieszkała przy Green Street w domu aż zagraconym licznymi meblami i obrazami, które zabrała z rodowej siedziby Ingham House, kiedy jej syn się ożenił, a ona przeprowadziła się do stolicy. Wywiozła ze sobą wszystko, co lubiła, utrzymując, że to jej prywatna własność, wniesiona w wianie, a ponieważ syn, i łagodna synowa nie potrafili stawić jej czoła, pozbawiła ich w ten sposób kilku starych rodowych pamiątek. Co prawda, obiecała w przypływie łaskowości, że zapisze je prawowitemu właścicielowi w testamencie. Zabrała też ze sobą kamerdynera, lecz akurat tę stratę młody lord Ingham przyjął bez większego żalu, ponieważ Horwich był nieco posunięty w latach i uparcie przywiązany do przestarzałych już obyczajów. Przez kilkanaście następnych lat kamerdyner oczywiście postarzał się jeszcze bardziej, wykonywał więc swoje obowiązki coraz wolniej i z coraz większą godnością, skutecznie odwodząc chlebodawczynię od zabawiania większej liczby gości na korzyść zapraszania paru osób na partyjkę kart czy kameralny wieczorek. Szczęściem dla niego lady Ingham nie przejawiała ochoty do wydawania huczniejszych przyjęć, zasłaniając się przy tym wiekiem i słabym stanem zdrowia,

jakkolwiek dopiero skończyła sześćdziesiąty piąty rok życia i nie wiadano, co jej właściwie dolega oprócz lekkiej podagry. Poruszała się z pomocą laski, a gdy tylko zachodziła obawa, że czeka ją jakiś nieprzyjemny wysiłek, choćby najmniejszy, natychmiast czuła zbliżające się spazmy i posyłała po sir Henry'ego Halforda, który tak doskonale potrafił rozeznac stan chorej, iż zawsze bezbłędnie doradzał jej dokładnie to, co chciała.

Kiedy kamerdyner wprowadził Sylvestra do zastawionego ciasno meblami salonu, siedząca w fotelu gospodyni powitała go niechętnym parsknięciem, nie zdradzając, jaką przyjemność sprawia jej wizyta chrzestnego syna. Oznajmiła lodowatym

tonem, że prawie już nie pamięta, jak Sylvester

wygląda, po czym zadała sobie trud i raczyła wyciągnąć rękę do pocałowania. Udobruchana wdziękiem, z jakim uniósł jej dłoń do ust, poprosiła, by usiadł przy kominku i powiedział, jak miewa się jego matka.

- Zostawiłem ją w dobrym zdrowiu - odparł. -Pozwól wszakże, pani, spytać mi o twoje.

Lady Ingham udzieliła mu wyczerpującej odpowiedzi, co trwało dwadzieścia minut, a trwałoby i dłużej, gdyby naraz nie uprzytomniła sobie, że przecież jest coś, czego niezmiernie pragnęła się dowiedzieć: Gwałtownie przerwała wyliczanie swych schorzeń i niedomagań.

- Nie mówmy już o tym. Doszły mnie słuchy o wdowie po twym bracie. Podobno wydaje się za tego największego modnisiarza? Znałam jego ojca, to był ckliwy gamoń, choć w towarzystwie uchodził za bardzo grzecznego. Za to syn, jak mówią, zadaje szyku. Zapewne ma zgrabną fortunę? Stary Fotherby musiał zostawić ciepły mająteczek.

- Och, Nugent jest bogaty jak sułtan.

- Doprawdy? No proszę! - Lady Ingham była pod wrażeniem usłyszonej nowiny. Po chwili namysłu indagowała dalej: - Spieszno jej do ponownego ożenku, nieprawdaż? A co będzie z chłopcem?

- Oczywiście zostanie w Chance. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Co? Twoja biedna matka miałyby zajmować się dzieckiem?

- Skądże! - Uniósł monokl i obracając go między palcem wskazującym a kciukiem, przyglądał się, jak płomienie rzucają na szkło złote refleksy. - Rozważam myśl o własnym ożenku.

- No, najwyższy czas - burknęła. - Torringtonówna, tak?

- Odpowiadałaby mi, gdybym miał pewność, że zamieszkanie w Chance nie wpędzi jej w melancholię. Potrzebuję żony, której towarzystwo uprzyjemni życie mojej matce.

Jeśli nawet lady Ingham uznała to za dziwny powód do brania ślubu, nie zdradziła się słowem.

- Czy obdarzyłeś już kogoś uczuciem? - spytała.

- W najmniejszym stopniu! Widzisz więc, pani, jaki mam z tym ambaras. Gdybyś zechciała udzielić mi rady...

Milczała przez minutę, mocno poruszona, co starała się ukryć. Sylvester widział to, czekał więc cierpliwie, bawiąc się monoklem.

- Możesz sobie nalać szklaneczkę wina - zaproponowała nagle. - Ja również się napiję, choć nie wątpię, że przyjdzie mi to odchorować.

Wstał i przeszedł na drugą stronę salonu, gdzie Horwich zostawił na stolyczku zastawioną srebrną tacę. Gdy chwilę później wrócił do kominka, podał lady Ingham kieliszek sherry, rzucając przy tym lekkim tonem:

- Gdybyś była, pani, matką chrzestną jak z bajki, czyli dobrą wróżką, starczyłoby ci skinać różdżką, by wyczarować dla mnie narzeczoną.

Usiadł na swoim krześle i rozpoczął nowy temat, lecz rozmówczyni przerwała mu już na samym początku.

- Może i nie mam czarodziejskiej różdżki, lecz odpowiednią narzeczoną dla ciebie mam. - Odstawiła kieliszek. - Potrzebna ci wdzięczna, dobrze urodzona panna o dobrych manierach i miłym usposobieniu. Gdyby z twego wuja Williama nie był taki fiksat, już dawno ten mariaż byłby ustalony i możesz być pewien, że bardzo dobrze byś na tym wyszedł. Cóż, w odróżnieniu od niego, ja się nie wtrącałam, chociaż miałam na to ogromną ochotę, gdy docierały do mnie słuchy o tym, jak czynisz awanse rozmaitym pannom. Teraz sam zwróciłeś się do mnie z prośbą o pomoc, a skoro pragniesz żony, która nie tylko będzie umiała sprostać swoim obowiązkom, ale i przypadnie do serca twej matce, to nie możesz zrobić nic lepszego, niż poprosić o rękę mej wnuczki. Nie chodzi mi wszak o żadną z Inghamównien, lecz o Phoebe, córkę Vereny.

Sylvester nie posiadał się z oburzenia. Matka chrzestna rozgrywała to zupełnie inaczej, niż sobie zaplanował. Jego starannie przemyślana niby to beztraska uwaga miała ją nakłonić nie do przyparcia go do muru (i jeszcze przyłożenia mu noża do gardła), lecz do zaprezentowania mu wnuczki (najlepiej na początku sezonu), by mógł ją sobie spokojnie obejrzeć. Ów brak delikatności rozdrażnił go i wzbudził jego niesmak. Pomysł poślubienia córki najserdeczniejszej przyjaciółki jego matki -całkiem przypadł mu do gustu, nie na tyle jednak, by Sylvester nie odstąpił od niego szybko, gdyby tylko okazało się, że panna Marlow nie spełnia warunków, jakie stawiał przyszłej żonie. Obcesowe zachowanie lady Ingham niemal wymuszało na nim, by się zadeklarował, a nic nie mogło bardziej

zniechęcić młodego człowieka, który od dziewiętnastego roku życia był panem samego siebie, jak również panem wielu innych osób.

- Doprawdy? - zdziwił się chłodno. - Czy ja miałem przyjemność poznać twą wnuczkę, pani? Nie przypominam sobie.

- Nie wiem, czy ją znasz. Przedstawiono ją w ubiegłym sezonie, co zresztą powinno było mieć miejsce wcześniej, lecz ponieważ chorowała na szkarlatynę, przełożono to o rok. W październiku ukończy dwadzieścia lat, widzisz więc, że nie ofiarowuję ci nieobytego dziewczątka. Co do reszty... Zapewne musiałeś ją parokrotnie widzieć, ponieważ brała udział we wszystkich najelegantszych przyjęciach, już ja o to zadbałam. Gdybym zostawiła sprawę w rękach Constance Marlow, nikt by tego nieszczęsnego dziecka nie zobaczył, gdyż ta okropna kobieta nie umie wykorzystać pobytu w mieście. Niedobrze, że Marlow poślubił Constance, zanim jeszcze Phoebe wyszła z powijaków. Nie znaczy to, by nie wypełniła swych powinności wobec pasierbicy, tego jej nie odmawiam. Moja wnuczka została wychowana bez zarzutu, co do tego nie ma dwóch zdań. - Spojrzawszy na Sylvest-ra, ujrzała charakterystycznie uniesione brwi, więc, nieco dotknięta, dodała ostrzejszym tonem: -Ja nie mogłam się nią zająć! W moim wieku i przy moim stanie zdrowia było to nie do pomyślenia!

Nie odpowiedział, a wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę. Skoro lady Ingham nie podjęła w poprzednim sezonie żadnych kroków, by zaprezentować mu wnuczkę, panna musiała być

nieszczególnej urody i nie mogła przypaść mu do gustu. Próbował sobie przypomnieć, czy widział młodą osobę przy lady Marlow, gdy parokrotnie zdarzyło mu się widzieć tę nieprzyjemną damę. Nie, nawet jeśli miała towarzyszkę, to ta nie zapisała się w jego pamięci.

- Phoebe nie jest piękną - odezwała się lady Ingham, jakby czytała w jego myślach. - W obecności macochy gaśnie i staje się niepozorna, lecz wedle mego mniemania nie jest osobą przeciętną. Jeśli lubisz porcelanowe ślicznotki, co mają cerę jak krew z mlekiem, to źle trafiłeś, ale jeśli szukasz bystrej panny o rozlicznych walorach, spodoba ci się. Co do jej majątku... Po ojcu nie odziedziczy dużo, lecz cały posag matki jest na nią zapisany. Oczywiście przypada też na nią część schedy po mnie. - Milczała przez chwilę, po czym odezwała się ponownie: - Ten związek uradowałby twoją matkę, a i mnie, nie ukrywam, również. Pragnę, by córka Vereny miała zapewnione godziwe życie. Nie dziedziczy bezpośrednio żadnego majątku, lecz jej dochód jest nie do pogardzenia. Jeśli chodzi o urodzenie, też nie można jej niczego zarzucić. Marlow może być głupcem, lecz pochodzi z wystarczająco dobrej rodziny, a Inghamowie mogą sięgać tak wysoko, jak tylko im się żywnie podoba, gdy chodzi o małżeństwo. Jeśli jednak mariaż z moją wnuczką nie jest po twojej myśli, nie wahaj się mi o tym powiedzieć.

To ostatecznie zraziło Sylvestra. Matka chrzestna wyraźnie starała się wymóc na nim, by zobowiązał się do małżeństwa z Phoebe. Cóż za niezręczne

posunięcie! Powinna wiedzieć, że już nieraz zastawiano na niego podobne pułapki. Wstał, uśmiechnął się z niezmaconym spokojem i odezwał się, unosząc jej dłoń do ust:

- Nie sądzę, pani, byś potrzebowała jakichkolwiek zapewnień, że wobec związku spełniającego moje wymagania nie mam żadnych obiekcji. Pozostaje mi tylko rzecz, że żywię nadzieję na poznanie panny Marlow... Może w tym sezonie? Och, cóż to będzie za przyjemność!

Nie dając w ten sposób żadnej jasnej wskazówki co do swych odczuć w tej kwestii, wyszedł od matki chrzestnej w złym nastroju, którego bynajmniej nie łagodziła świadomość, że sam był sobie winien, gdyż sprowokował kłopotliwą sytuację. Lady Ingham zaproponowała mu dokładnie to, co chciał uzyskać, przychodząc do niej, lecz skwapliwość, z jaką postanowiła wykorzystać szansę, była niemal równie obraźliwa dla Sylwestra jak próba wymuszenia na nim natychmiastowego zdeklarowania się. Co więcej, takie postępowanie było niemądre, ponieważ budziło w nim gwałtowną ochotę, by natychmiast wykreślić pannę Marlow z listy kandydatek na żonę i bez dalszej zwłoki oświadczyć się jednej z pozostałych pięciu. Niestety, niestosowność takiego zachowania uniemożliwiała mu danie lady Ingham tej pouczającej lekcji. Uznałaby je niechybnie za wyrafinowaną zniewagę (i miałyby rację), a wyrachowane obrażanie kogokolwiek było tak poniżej godności Sylwestra, że mógł jedynie z rezygnacją poddać się biegowi wypadków. Dopóki nie pozna rzeczonyj panny, dopóty ma związane ręce.

Przestał zajmować się tą sprawą, jednak tydzień później musiał sobie o niej przypomnieć, gdyż po przyjeździe do Blandford Park, znalazł tam wśród gości również lorda Marlowa.

Jego obecność nie budziła podejrzeń, gdyż on i książę Beaufort przyjaźnili się z dawien dawna, a ponieważ majątek Marlowa, Austerby, leżał w mało interesującym regionie na południe od Calne, książę Beaufort często zapraszał przyjaciela do siebie na polowania. Miał dwa tereny łowieckie, Jeden w Badminton, drugi w Heythrop, w którym stał dwór Blandford Park. Marlow częściej bywał w tym pierwszym, gdyż miał tam bliżej z Austerby, ale czasem pojawiał się i w drugim. Sylvester był gotów przypisać ich obecne spotkanie zbiegowi okoliczności, rychło jednak stało się dla niego jasne, że przypadek nie miał tu nic do rzeczy.

Lord Marlow był bezpośredni i dobroduszny, lecz nigdy dotąd nie okazywał młodszemu od siebie o całe ćwierć wieku Sylyestrowi nic więcej ponad zwykłą grzeczność. Tym razem jednak zdecydowanie go wyróżniał i obdarzał go daleko idącymi względami. Książę odgadł, że lady Ingham nie traciła czasu, dlatego też ostudziłby owe niewczesne atencje za pomocą lodowatej uprzejmości, do której uciekał się, kiedy było to dlań korzystne, gdyby spotkał tego znajomego gdziekolwiek indziej, a nie na polowaniu. Nieznośnie rubaszny, popełniający niezliczone gafy lord Marlow w Londynie i dosiada-jący jednego ze swych rodowodowych koni lord Marlow na łowach - to byli dwaj zupełnie różni ludzie. Na pierwszego można było spoglądać z poli-

rowaniem, drugi budził szacunek wszystkich myśliwych. Czy w gonitwie za zwierzyną konie musiały skakać przez drewniane ogrodzenia w Leicester-shire, czy przez kamienne murki na wyżynach Cotswold, Marlow zawsze znajdował się na przedzie, nie cofał się przed żadną przeszkodą, i nawet lord Alvanley nie dorównywał mu odwagą. Wszystkie zyski z odziedziczonego majątku, który szybko okazał się niewystarczający, przeznaczał na najprzedniejsze wierzchowce, a nigdy nie miał ich w stajniach mniej niż czternaście. Ambicją każdego młodego człowieka było, by lord Marlow wyróżnił go podczas łowów pochwałą lub udzieleniem dobrej rady. Chociaż Sylvester wiedział, czemu zawdzięcza jego nagłą łaskawość, nie był zupełnie obojętny na pochwały ani też niewdzięczny za radę, dzięki której zrozumiał, na czym polega sekret udanego brania przeszkod. Nim się spostrzegł, był już na tyle omotany, że pod koniec tygodnia przyjął zaproszenie do Austerby, gdy polowanie w Bland-ford Park dobiegło końca. Lorda Marlowa powszechnie uważano za głupca, nie był on wszak tak głupi, by zdradzić, że kieruje nim coś więcej niż chęć pokazania księciu, jak można mimo wszystko ciekawie spędzać czas na świeżym powietrzu w nieciekawej okolicy oraz (gdyby gość zechciał) sprzedać mu obiecującego pięciolatka, dla którego obecny właściciel był nieco za ciężki. Gościna miała przebiegać bez zbędnych ceremonii i uprzednich przygotowań, panowie zamierzali wyjechać z Blandford Park razem, księżę Salford miał właściwie wstąpić do Austerby niemal po drodze - ot, z prze-

lotną wizytą. Gospodarz ani słowem nie wspomniął o córce. Sylvester dał się przekonać, co więcej, był całkiem zadowolony z takiego obrotu spraw. Lord Marlow wykazał się nieoczekiwanym taktem, dzięki czemu uda się poznać jego córkę bez zaciągania żadnych zobowiązań, co będzie ze wszech miar lepszym rozwiązaniem niż konieczność udania się na przyjęcie w Londynie, na które księżę zostałby specjalnie zaproszony w celu spotkania młodej damy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Guwernantka w Austerby, osoba koścista, nieodmiennie odziana w ciemne, zapięte wysoko pod szyją i pozbawione ozdób suknie, prezentowała się doprawdy srogo. Miała płowe włosy ciasno przewiązane opaską i schowane pod czepkiem, blado-niebieskie oczy, ogorzałą cerę i wydatny, groźnie sterczący nos. Mówiła szorstkim basem, co wywierało jeszcze bardziej onieśmielające wrażenie.

Pozory jednak myliły, gdyż w piersi panny Sibylli Battery było gorące, dobre serce. Z wyjątkiem Elizy, trzeciej i najbardziej kochanej córki lady Marlow, wszystkie jej podopieczne uwielbiały guwernantkę. Phoebe, Susan, Mary, a nawet malutka Kitty zwierzały jej się ze swych

radości i smutków oraz lojalnie stawały w jej obronie, gdy rodzice przypisywali pannie Battery winę za różne drobne grzeszki córek.

Panna Phoebe Marlow, dziewiętnastoletnia młoda dama od zeszłego sezonu bywająca w towarzystwie, nie musiała już więcej przesiadywać w pokoju zwanym szkolnym, lecz - ponieważ bała się macochy i nie lubiła jej, sama zresztą będąc przez nią serdecznie niecierpiana - nadal chętnie zjawiała się na lekcjach włoskiego, gdyż dzięki temu mogła w miłym towarzystwie spędzać czas wolny od zajęć w stajni. Lady Marlow było to całkiem na rękę, gdyż mimo jej wszelkich wysiłków, by wychować pasierbicę na znakomicie ułożoną pannę z dobrego domu, żadna chłosta ani wszystkie godziny spędzone w zamknięciu nie zdołały wykorzenić z Phoebe tego, co jaśnie pani określała z największą odrazą jako szaląpanstwo i rozhukanie. Panna szalała konno po całej okolicy, a to na swej klaczy pod siodło, a to na którymś z ojcowskich koni do polowania, darła ubrania, kręciła się wśród stajennych, nie miała zdolności do robótek ręcznych, a dodatku (zdaniem lady Marlow) zanadto spoufalala się z panem Thomasem Orde'em, przyjacielem od kołyski, synem dziedzica z sąsiedztwa, a więc zwykłego ziemianina bez tytułu. Gdyby tylko macocha mogła przeprowadzić swą wolę, natychmiast ukróciłaby to wszystko, zakazując pasierbicy nawet zbliżania się do koni, lecz akurat w tej jednej (jakże palącej) kwestii małżonek zupełnie nie dawał posłuchu jej słowom. Był doprawdy najbardziej uległym z mężów, konie wszakże były jego namiętnością i lady Marlow już dawno się nauczyła, że wszelkie próby ingerowania w cokolwiek mającego z nimi związek muszą zakończyć się porażką. Jak wielu ustępliwych ludzi, lord Marlow, kiedy już przy czymś obstawał, robił to

z zaciętym uporem. Zdolności jeździeckie córki napawały go dumą, lubił zabierać Phoebe na polowania i nie wyobrażał sobie bez niej swoich stajen, w których nadzorowała pracę teoretycznie tylko podczas jego częstych wyjazdów, a praktycznie przez cały czas.

Gdy lady Ingham kategorycznie zażądała jego przyjazdu do Londynu, wyjechał z Austerby niechętnie i wśród narzekań, gdyż, wyjąwszy udział w polowaniach, był człowiekiem dość gnuśnym. Dwa dni później wrócił wszakże w doskonałym humorze i pełen niezwyklej życzliwości wobec swej byłej teściowej, która zaaranżowała dla Phoebe tak wspaniały związek, o jakim on sam nawet nie śmiałyby marzyć, ponieważ jego córka podczas pierwszego sezonu spędzonego w Londynie nie wypadła najlepiej. Macocha wymusiła na niej ścisłe przestrzeganie wszelkich konwenansów, a lord Marlow uważał po cichu, że jego małżonka przesadziła, do końca tłumiąc wrodzoną żywość Phoebe. Właśnie odrobina naturalnego wdzięku, a Phoebe miała go bardzo dużo, była niezbędną, by zatuszować takie mankamenty, jak bardzo szczupła, niemal chłopięca figura, ciemna cera oraz to, że prawdziwie piękne były tylko przejrzyste szare oczy - jeszcze bardziej zachwycające, gdy tańczyły w nich przekorne błyski.

Lady Marlow była dobrą chrześcijanką, nie chowała więc urazy do pasierbicy o to, że niespodziewanie spotyka ją ogromne szczęście, na które nie zasłużyła. Nie tylko nie miała jej tego za złe, ale nawet zamierzała dopilnować, by Phoebe w żaden

sposób nie zniechęciła do siebie tak znamienitego konkurenta podczas jego pobytu w Austerby.

- Uwierz mi, że nawet jeśli kaprys księcia każe mu starać się o córkę przyjaciółki swej matki, to nie poślubi on kobiety niezachowującej się w odpowiedni sposób - mówiła do męża. - Mniemam, że propozycja wyszła od lady Ingham, Phoebe więc dopiero będzie musiała wyrobić sobie dobrą opinię w jego oczach. Spotkał ją zeszłej wiosny w Londynie, ba, nawet zatańczył z nią na raucie u lady Sefton, ale nie spodziewam się, by ją rozpoznał.

- Czy nie sądzisz, moja duszko, że byłoby roztropniej nie uprzedzać jej, czemu on zamierza złożyć nam wizytę, oczywiście, o ile do tej wizyty dojdzie, czego, jak wiesz, nie możemy być zupełnie pewni? - odważył się podsunąć lord Marlow.

Nie, lady Marlow nie sądziła, by tak miało być roztropniej, chyba że jej małżonek życzył sobie kompromitacji córki, która zniechęci starającego się, stawiając się przed nim w zachlapanej błotem sukni do konnej jazdy, wyskakując z jakąś niestosowną uwagą lub też dając mu poznać swój charakter od jak najgorszej strony przez zbytne spoufalanie się z młodym Orde'em.

Lord Marlow oczywiście nie życzył sobie niczego podobnego i - aczkolwiek przyjaźń córki z Thomasem Orde'em, który był dla niej jak brat, nie wydawała mu się zdrożna - łatwo dał się przekonać, iż ksiązę Salford, stawiający przyszłej żonie wysokie wymagania, mógłby powziąć całkowicie błędne mniemanie na temat istoty stosunków łączących tych dwoje. Uznał więc konieczność położenia

kresu odwiedzinom Thomasa w Austerby i Phoebe w Manor House, choć liczył na to, że jego małżonka nie obrazi w ten sposób dziedzica. Lord Marlow lubił mieć dobre stosunki z sąsiadami, w dodatku ten był urzędnikiem królewskim, a konkretnie łowczym, i wodził polowania w całej okolicy. Chociaż lord polował zazwyczaj w innych hrabstwach, w żadnym wypadku nie byłoby mu na rękę poróżnić się z panem Orde'em. Małżonka jednak zażądała stanowczo, by zostawił sprawę w jej rękach, uległ więc, i to właściwie z zadowoleniem.

Ostatecznie ustalono, iż Phoebe nie dowie się o niczym, dopóki ksiązę nie przyjmie zaproszenia do Austerby, gdy więc z Blandford Park przybył służący z listem, że pod koniec tygodnia należy spodziewać się powrotu gospodarza wraz z gościem, lady Marlow posłała po pasierbicę.

Phoebe z dużym lękiem stawiała się w garderobie, gdzie czekała na nią lady Marlow, lecz gdy weszła, powitało ją spojrzenie jeśli nie serdeczne, to przynajmniej nie tak surowe i napawające strachem jak zazwyczaj. Macocha kazała jej zamknąć drzwi i usiąść, a wtedy spostrzegła nadprutą falbankę u sukni panny. Natychmiast zwróciła jej uwagę, potem wygłosiła kazanie piętnujące

niechlujstwo, na koniec zaś wyraziła nadzieję, że w najbliższej przyszłości nie będzie musiała się za nią czerwienić.

- Nie będzie mama musiała - obiecała Phoebe, zastanawiając się, czemu akurat najbliższa przyszłość jest tak szczególnie ważna.

- Posłałam po ciebie - ciągnęła lady Marlow - by powiadomić cię o zaszczytnym wyróżnieniu, jakie

cię spotkało. Nie waham się rzec, że szczęście, jakie stanie się twym udziałem, jest znacznie większe, niż na to zasługujesz, pozostaje mi więc mieć nadzieję, że mimo wszystko okażesz się go godną. - Przerwała, a pasierbica patrzyła na nią z rosnącym zdziwieniem. - Zapewne zastanawiałaś się, czemu twój ojciec pojechał do Londynu o tej porze roku? Ponieważ ta kwestia ani przez chwilę nie zaprzętała, myśli Phoebe, jej zdumienie jeszcze się zwiększyło. Lady Marlow nigdy nie pochwaliała ciekawości ani u pasierbicy, ani u własnych córek. Wszelkie próby wnikania w powody działań rodziców niechybnie spotkałyby się z najostrzejszą naganą.

- Jesteś zaskoczona, że poruszam takie sprawy w rozmowie z tobą - zauważyła macocha, widząc minę panny. - Czynię to jedynie dlatego, że twój ojciec podjął się trudów tej podróży właśnie dla twego dobra. Pojmiesz, jak wielką jesteś mu winna wdzięczność, gdy ci powiem, że zaaranżował niezmiernie korzystne małżeństwo dla ciebie.

Phoebe doskonale zdawała sobie sprawę, jak dalece nie spełniła pokładanych w niej oczekiwań, nie otrzymując podczas poprzedniego sezonu żadnej wartej uwagi próśby o rękę, na te słowa więc jej zdziwienie niemal sięgnęło zenitu.

- Wielkie nieba! - wyrwało jej się niechcący. - Kiedy ja... Przecież do mnie smalił cholewki tylko stary pan Hardwick, a i to ze względu na moją mamę!

W tym momencie struchlała i zaczerwieniła się, gdyż lady Marlow obrzuciła ją zimnym spojrzeniem bazyliuszka.

- Smalił cholewki! - powtórzyła złowrogim tonem. - Nie zamierzam pytać, od kogo uczysz się tak prostackiej mowy, ale może łaskawie mi powiesz, jak śmiesz wyrażać się tak w mej obecności?

- Mama zechce mi wybaczyć... - wyjąkała spłoszona Phoebe.

- Takie wyrażenia może i przystoją młodemu Orde'owi - docięła zjadliwie lady Marlow. - Żadna jednak panna, odrobinę choćby wytworna, nie może kalać sobie nimi ust. Gdybyś miała wyrazić się w podobny sposób w obecności księcia Salforda, to aż drzę na samą myśl, jakie byłyby tego konsekwencje!

- W obecności księcia Salforda? Jakże to możliwe, proszę mamy? Chcę powiedzieć, że nie trzeba się tego obawiać, gdyż ja go prawie nie znam. Nie wydaje mi się nawet - dodała po chwili namysłu - by mógł mnie w ogóle pamiętać.

- Mylisz się. Księżę zajędzie do nas z wizytą w przyszłym tygodniu i chyba potrafisz odgadnąć, w jakim celu.

- Nie domyślałam się tego zupełnie - odparła, bezskutecznie łamiąc sobie głowę nad tą zagadką.

- Przybywa prosić o twoją rękę. Och, zachowuj się, Phoebe, nie siedź tak z otwartymi ustami!

- O moją rękę? K-księżę Salford? - wyjąkała. Bynajmniej niezdegustowana tym wybuchem niedowierzania, lady Marlow łaskawie obdarzyła wychowankę czymś na kształt uśmiechu.

- Tak, przyznaję, trudno dać temu wiarę. To nieporównanie lepsza partia niż wszystko, czego kiedykolwiek się dla ciebie spodziewałam, zapew-

niam cię. Oczekuję, że teraz zechcesz wyrazić swą wdzięczność dla twego papy za jego dobroć i zapewnienie ci tak wspaniałej przyszłości.

- Niepodobna, by to była prawda! - zawołała gwałtownie Phoebe. - W dodatku ja wcale nie chcę za niego wychodzić!

Ledwo wypowiedziała te słowa, zadrżała, przerażona 'własną zuchwałością, i przez długą chwilę nie śmiała spojrzeć na macochę, by nie ujrzeć srogiego wyrazu jej twarzy. Ciszę przerwała lady Marlow, pytając, czy aby jej słuch nie myli. Oczywiście pytanie było retoryczne; Phoebe nawet nie próbowała odpowiadać.

- Możesz zawrzeć najznakomitszy związek, którego będzie ci zazdrościć parę tuzinów panien daleko od ciebie ładniejszych, a ty masz czelność powiedzieć, że nie chcesz?! Doprawdy, Phoebe...

- Ależ, proszę mamy, śmiem przypuszczać, że musiała zająć pomyłka. Rozmawiałam z księciem wszak jedynie raz, gdy tańczyłam z nim u lady Sefton. Dał mi odczuć, że moje towarzystwo go nudzi, a gdy raptem trzy dni później spotkałam go na tym wielkim publicznym balu w Almacku, nawet mnie nie zauważył.

- Dostyc tych niedorzeczności! - ucięła ostro lady Marlow. - Twoja sytuacja czyni cię jak najbardziej odpowiednią żoną dla mężczyzny o dowolnie wysokiej pozycji, choć w moim mniemaniu akurat ty nie nadajesz się do zrobienia równie dobrej partii. W każdym razie księżę musi być świadom tego, że zostałam wychowana tak, byś mogła spełnić największe wymagania.

- K-kiedy są inne, równie d-dobrze wychowane, a do tego d-dużo ładniejsze! - zaprotestowała Phoebe, kurczowo splatając palce.

- Masz nad nimi w oczach księcia jedną przewagę - odparła stanowczym tonem jej macocha. — Czy ma w tej materii rację, nie mnie osądzać, choć ja skłaniałabym się raczej do zdania... Nie, lepiej zmilczę. Wasze matki przyjaźniły się i właśnie z tego powodu jego wybór padł na ciebie. Uprzedzam cię o tym, byś nie zaczęła unosić się pychą. Nie ma nic bardziej odstręczającego u młodej panny niż nadmiernie wysokie mniemanie o sobie.

- Ja miałabym unieść się pychą? Nie dojdzie do tego - zapewniła pospiesznie Phoebe. - Księżę pragnie prosić o moją rękę, ponieważ nasze matki się przyjaźniły? Przecież to... to okropne! Ledwie mnie zna i nigdy nawet nie próbował wzbudzić mego zainteresowania.

- Z tego właśnie powodu zamierza złożyć nam wizytę - wyjaśniła lady Marlow takim tonem, jakby tłumaczyła coś osobie niezbyt roztropnej. - Pragnie lepiej cię poznać, ja zaś ufam, że nie okażesz się tak niemądra ani tak niewdzięczna, by zachowywać się w sposób mogący skłonić księcia do zmiany decyzji. - Urwała, by sprawdzić, jakie wrażenie wywarły jej słowa. Widząc minę pasierbicy, postanowiła zmienić taktykę.

Panna, choć zazwyczaj posłuszna, potrafiła czasem przejawiać upór. Macocha nie wątpiła ani przez moment w swą władzę nad nią i ostateczne wymuszenie całkowitej uległości, obawiała się wszakże, że jeśli Phoebe zacznie mieć te swoje kaprysy,

księżę Salford zniechęci się, zanim młoda dama zostanie przywołana do porządku. Odmalowała więc przed nią uroki owego świetnego mariażu, posuwając się do przekonywania pasierbicy, jak to wspaniałe być prawdziwą panią i mieć tyle służby. Ponieważ odpowiedziało jej kompletnie obojętne spojrzenie, natychmiast z ogromną swadą przedstawiła w czarnych barwach, co czeka Phoebe, jeśli nie zechce zostać księżną Salford. Owa przyszłość oznaczała przede wszystkim godne pożałowania życie w Austerby (gdyż nie można było oczekiwać, iż lord Marlow, mający jeszcze cztery córki, zechce dalej łożyć na tę niewdzięcznicę, jaką się okazała najstarsza), ponadto wyrzuty sióstr, którym tak świetne koneksje mogłyby zapewnić większe powodzenie, tymczasem Phoebe niegodziwie wzgardziła ich dobrem, jak również inne konsekwencje, bardzo liczne i równie dotkliwe, choć na razie owiane tajemnicą. Wszystko to razem zdołałoby przywołać do porządku nawet osobę dużo bardziej krnąbrną. Pobladła pasierbica rzeczywiście wyglądała na mocno przerażoną, macocha pozwoliła jej więc oddalić się i przemyśleć całą sprawę.

Phoebe uciekła do pokoju szkolnego, gdzie znalazła nie tylko Susan, zwaną przez rodzinę Sukey, lecz i dwie kolejne siostry - trzynastoletnią Mary i świętoszkowatą Elizę. Susan, zauważywszy od razu, że Phoebe ma coś ważnego do powiedzenia, natychmiast kazała Elizie iść do pokoju dzieciennego, a gdy ta, wielce obrażona, nie chciała posłuchać, bezceremonialnie wypchnęła ją za drzwi, mówiąc, że proszę bardzo, może iść poskarżyć się mamie, tylko niech potem uważa, jak będzie się kładła do łóżka. To złowieszcze ostrzeżenie podziałało, gdyż Eliza miała świeżo w pamięci obraz wstrętnego wielkiego czarnego ślimaka - z tych pozbawionych skorup - którego niedawno znalazła pod kołdrą, poszła więc dołączyć do najmłodszej z sióstr, najpierw jednak jeszcze wysyczała przez dziurkę od klucza, że Sukey jest najpaskudniejszym potworem na całym świecie. Niefortunnym dla niej zbiegiem okoliczności właśnie w tym momencie nadeszła korytarzem panna Battery i w ramach kary za używanie niestosownego dla

młodych dam języka wysłała ją już nawet nie do pokoju dziecinnego, ale do sypialni. Eliza pożałowała się płaczliwie, że siostry są dla niej niedobre, bo nie chcą jej opowiadać swoich sekretów, na co otrzymała reprimendę za wścibstwo i została stanowczo odprowadzona do sypialni. Potem panna Battery wróciła do pokoju szkolnego.

Podczas jej nieobecności Mary, najcichsza z całej piątki, zebrała książki i kajety, po czym spytała siostry, czy też ma wyjść.

- Tylko jeśli Phoebe sobie tego życzy - odparła Susan. - Ja nigdy nie mam nic przeciw twojej obecności, ty nie powtarzasz wszystkiego mamie.

- Och, nie, wcale nie chcę, żebyś wychodziła, Mary — zapewniła Phoebe. - To zresztą nie jest żadna wielka tajemnica. - Odwróciła się, słysząc odgłos otwieranych drzwi. — Sibby, wiedziałas o tym? Gzy mama ci powiedziała?

- Nie, choć niechcący usłyszałam część jej rozmowy z twoim ojcem - wyznała panna Battery.

Uznałam jednak, że nie powinnam ci niczego powtarzać, lecz kiedy dziś pani wezwała cię do siebie, odgadłam, co to może oznaczać. Ktoś poprosił o twą rękę.

- Nie! Naprawdę? - wykrzyknęła Susan.

- Tak, to znaczy... Nie jestem pewna, ale mama uważa, że on to robi, jeśli tylko będę się odpowiednio potulnie zachowywać.

- Cudownie! - Susan aż zaklaskała w ręce. - Kto to jest? Czemu nigdy nie powiedziałaś o nim ani słóweczka? Spotkałaś go w Londynie? Jest w tobie szaleńczo zakochany?

- Nie.

Ta zwięzła odpowiedź położyła kres zachwytom Susan. Panna Battery spojrzała na Phoebe z nagłym niepokojem, a Mary zauważyła nieśmiało, że osoby z najwyższych sfer się nie zakochują.

- To tylko mama tak mówi, a ja wiem, że tak nie jest - obruszyła się Susan. - Prawda, panno Battery?

- Nie umiem powiedzieć - ucięła stanowczo guwernantka. - Ty też nic na ten temat nie wiesz. Nie powinnaś myśleć o takich rzeczach.

- Też coś! Mam przecież prawie szesnaście lat i zamierzam wyjść za mąż tak szybko, jak się da! Phoebe, przestań się krygować i powiedz nam, kto to jest.

- Ja się nie kryguję, ja jestem zrozpaczona, to jest książę Salford!

- Co takiego?! - wykrzyknęła ze zdumieniem Susan. - Przestań sobie z nas żartować, okrutnico! Ponosi cię fantazja, za dużo ci się zachciewa! Ty miałabyś zostać księżną?

Phoebe wcale nie poczuła się dotknięta serdecznym wybuchem śmiechu siostry, za to Mary oznajmiła z całym przekonaniem:

- A ja myślę, że ona byłaby bardzo dobrą księżną.

Teraz już i Phoebe się śmiała, lecz panna Battery z powagą skinęła głową i poparła Mary.

- Jestem tego samego zdania.

- Jak możecie tak mówić? - zaproponowała zdumiona Phoebe. - Nigdy nie wiem, co jest modne w danym sezonie ani o czym rozmawiać z obcymi ludźmi, ani też...

- A on wie, co jest najmodniejsze? - przerwała jej z przejęciem Susan.

- Och, bardzo! To znaczy, nie jestem pewna, lecz nie wyobrażam sobie, by było inaczej. Zawsze jest bardzo elegancko ubrany, uczęszcza na wszystkie wykwintne przyjęcia i powozi parę przepięknych dropiatych siwków. Nie zdziwiłabym się, gdyby na samo oporządzenie koni wydawał rocznie sto funtów.

- W takim razie powinien ci się podobać - zauważyła Susan. - Ale powiedz, jaki on jest. Młody? Przystojny?

- Nie wiem, ile może mieć lat, ale nie wydaje mi się stary. Uważa się go za przystojnego, choć ja bym się z tym nie zgodziła. Tak naprawdę... - Urwała, zauważając niewinnie zaciekawione spojrzenie Mary. To nie był temat dla trzynastoletniej dziewczynki, ograniczyła się więc do podania informacji, że, jej zdaniem, księżę nie waży więcej niż sto funtów.

Mary, która miała znakomitą pamięć, powiedziała z nadzieją w głosie:

- Papa tyle ważył, jak był młody, kiedyś tak powiedział. I dodał jeszcze, że to najlepsza waga, jak jest gonitwa na twardym terenie. Czy księżę Salford poluje na twardym terenie?

Susan zniecierpliwiła się.

- A co to kogo obchodzi? I czy ty, Phoebe, musisz się tak droczyć? Czemu nie chcesz, żeby się oświadczył? Czy jest aż taki nieprzyjemny? Mnie by w zupełności wystarczyło, gdyby był bogaty i umiał się stosownie zachować. O nic więcej bym nie dbała. Pomyśl tylko! Będziesz mogła mieć własny dom, tyle nowych sukien, ile tylko zechcesz, no i wspaniałe klejnoty, oprócz tego, że będziesz mogła robić, na co przyjdzie ci ochota!

Panna Battery obrzuciła ją surowym spojrzeniem.

- Jeśli nie potrafisz powstrzymać się od wyrażania swych opinii w sposób, którego nie zawaham się nazwać prostackim, to najlepiej zrobisz, gdy w ogóle zamilkiesz. Zresztą już i tak minęła godzina, o której miałaś zacząć ćwiczenie sonatiny. Proszę się natychmiast do tego zabrać.

Sprytnie pozbywszy się w ten sposób Susan, panna Battery poleciła Maiy zająć się haftem, który miała podarować mamie na urodziny, sama zaś wyszła z pokoju, zabierając ze sobą Phoebe. Gdy zamknęła drzwi, odezwała się ściszym głosem:

- Uznałam, że lepiej będzie, jak nie będziesz dłużej rozmawiać na ten temat z Susan. To dobra dziewczyna, lecz wymaga odpowiedniego pokierowania. Wróćmy jednak do ciebie. Czemu jesteś aż tak przejęta?

- Ponieważ to doprawdy szokujące! - oznajmiła Phoebe, wyraźnie zdenerwowana. - Gdybym usłyszała to od kogoś innego, wzięłabym to za żart, ale przecież nie sposób, by mama... Och, w głowie mi się mąci! Zdaje mi się, że roku nie starczy, bym z powrotem doszła do siebie.

- Nie tak głośno - upomniała ją panna Battery. - Opowiesz mi wszystko w twoim pokoju. Spróbuj odzyskać panowanie nad sobą, moja droga.

Phoebe już bez słowa skargi podążyła za guwernantką do swej sypialni. Lady Marlow oszczędzała na niepotrzebnych luksusach, zabraniając rozpalać ogień w kominku w jakiegokolwiek sypialni poza własną, swego małżonka oraz gościnną (o ile był jakiś gość, co zimą zdarzało się niezmiernie rzadko). Wyziębiony i nieprzytulny pokój Phoebe wydawał się najmniej odpowiednim miejscem do zwierzeń. Na szczęście panna już dawno zdążyła uodpornić się na podobne niewygody. Panna Battery na wszelki wypadek wydobyla z przepastnej szafy ciepły szal i otuliła nim szczupłe ramiona podopiecznej.

- Jak rozumiem, nie życzysz sobie tego związku. Konkury księcia są dla ciebie jednak bardzo pochlebne, nie ukrywam. Ucieszyłoby mnie, gdybyś tyle osiągnęła w życiu. Powiedz, czy ty przypadkiem nie przywiązałaś się zanedo do tego szalonego pomysłu, by stać się niezależną i zamieszkać gdzieś tylko ze mną do towarzystwa? Jeśli tak, to odstęp od niego, bo ja i tak się na to nie zgodzę.

Nigdy nie sądziłam, by miało do tego dojść, zresztą zawsze wołałam, byś otrzymała dobrą propozycję małżeństwa.

- Och, nie, nie o to chodzi! Przecież nawet jeśli wyjdę za mąż, nie rozstanę się z tobą, któż inny miałby uczyć moje dzieci, jak nie ty? Sibby, czy ty wiesz, kim jest ten człowiek?

Guwernantka ze zdumieniem zmarszczyła brwi.

- Jak to kim? Księciem, sama powiedziałaś. Phoebe wybuchnęła śmiechem, w którym pobrzmiwała nuta hysterii.

- Przecież to mój hrabia Ugolino!

Mogłoby się zdawać, że to zadziwiające oświadczenie zdezorientuje pannę Battery, ona jednak zrozumiała je doskonale.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła, opadła na krzesło i ze zgrozą spojrzała na Phoebe. Znała hrabiego bardzo dobrze, właściwie można rzec, że była obecna przy jego narodzinach, za które to wydarzenie nawet w pewnej mierze ponosiła odpowiedzialność, gdyż to ona przez kilka lat pożyczała Phoebe romanse, które czytywała w wolnym czasie, by zapomnieć o tym, że spędza go samotnie. Zapisanie się do wypożyczalni w Bath było jedynym luksusem w jej życiu, a jedynym grzechem utrzymywanie lady Marlow w przekonaniu, że dostarczana co tydzień paczka zawiera wyłącznie książki umoralniające lub służące pogłębianiu wiedzy. Jej chlebodawczyni żywiła taką

abominację do literatury pięknej, że dziewczynkom nie wolno było czytać nawet bajek. Lady Marlow, równie despotycznej, jak mało spostrzegawczej, nigdy nawet nie zaświtało podejrzenie, by ktoś śmiał nie zastosować się sumiennie do jej poleceń, a już zwłaszcza ktoś taki jak zdyscyplinowana guwernantka.

Los chciał, że właśnie u jej córek panna Battery odkryła ogromnie żywą wyobraźnię, tak pogardzaną przez ich matkę. Szczególnym talentem do fantazjowania była obdarzona Phoebe, a kochająca ją szczerze i przepelniona współczuciem dla dziewczyny guwernantka jeszcze podsycała w niej tę zdolność, wiedząc z własnego doświadczenia, jaką ulgę mogą przynieść w niewesołym życiu wyprawy w krainę marzeń. Jej podopieczna zaczęła od pisania bajek dla sióstr, w których zresztą znalazła wdzięczne słuchaczki, a skończyła jako autorka prawdziwej powieści.

Phoebe napisała ją właściwie za jednym zamachem po zakończeniu sezonu i powrocie z Londynu, tworząc rzecz o wiele lepszą od wszystkich swoich poprzednich prób. Przecząca wszelkiemu prawdopodobieństwu akcja toczyła się nie wiadomo gdzie, bohaterowie postępowali w sposób zgoła niepojęty, niedorzeczność goniła niedorzeczność, lecz autorka miała tak przekonujący dar opowiadania i tak frapujące przygody wymyślała, iż nawet Thomas Orde, obdarzony bystrym i krytycznym umysłem, nie potrafił oderwać się od lektury i dopiero po jej zakończeniu uświadomił sobie, jak wiele z opisanych rzeczy było zupełnie nierealnych. Panna Battery, znająca się na literaturze lepiej od niego, wiedziała, że uroda dobrze opowiedzianej historii nie tkwi w prawdopodobieństwie. Główną umiejętnością Phoebe, rozwiniętą dzięki poczynio-

nym w Londynie obserwacjom, okazało się kreślenie znakomitych portretów postaci zaledwie kilkoma pociągnięciami pióra. Robiła to z takim humorem i swadą, że właśnie im „Zaginiony spadkobierca” zawdzięczał niezaprzeczalny urok i świeżość. Thomas narzekał na zbyt dużą liczbę postaci drugoplanowych, lecz panna Battery nie pozwoliła wykreślić ani jednego celnego portretu, ani jednej linijki z błyskotliwego, choć obojętnego dla akcji dialogu. Namówiła Phoebe do starannego przepisania całości na czysto, po czym wysłała zapakowany manuskrypt do Gilberta Otleya, swego kuzyna, współwłaściciela niedużego, lecz prężnego wydawnictwa Newsham & Otley.

Pan Gilbert Otley bez większego zapału spojrział na zapisany kajet, zapoznał się z listem kuzynki, a jego wątpliwości zwiększyły się jeszcze, gdy autorką powieści okazała się młoda dama z wyższych sfer. Zabrał wszakże książkę do domu i, ku swemu, zaskoczeniu przeczytał ją jednym tchem. Nie znał oczywiście nikogo z kręgów arystokracji, lecz zdołał się domyślić, że wiele postaci zostało wziętych z życia. Ponieważ półtora roku wcześniej wydawnictwo opublikowało inną powieść z kluczem, choć zupełnie odmienną, która cieszyła się ogromnym powodzeniem, pokazał „Zaginionego spadkobiercę” współnikowi.

Pan Harvey Newsham nieoczekiwanie zapalał ogromnym entuzjazmem do pomysłu wydania romansu. Kiedy Gilbert przypomniał mu, że publikują książki zupełnie innego typu, odparł nieco uszczypliwie, że po ostatnich porażkach sukces im nie zaszkodzi.

- Ale czy ludzie zechcą to czytać? - powątpiewał pan Otley. - Ot, taka sobie historyjka, właściwie zupełnie niemądra.

- A komu to przeszkadza?

- No, nie wiem. Dla mnie za dużo w tym fantazji. Do tej pory nie rozumiem wielu rzeczy. Właściwie jak, u licha, ten cały Ugolino dopadł tego swojego bratanka? I czemu się go nie pozbył, tylko zamknął go u siebie w zamku? A jeśli idzie o siostrę uwięzionego, która się tam jakimś cudem dostała, nie mówiąc już o tym nierozgarniętym bohaterze, i o to, że potem ta zakochana para odpływa razem z uratowanym chłopcem... Nie, to jest po prostu niemożliwe!

Pan Newsham zbył ten drobiazg machnięciem ręki.

- To bez znaczenia. Ta kobieta... - Stuknął palcem w rękopis. - Ta kobieta wie, jak pisać. Co więcej, opisała tu ludzi, których spotkała naprawdę, więc wszyscy jaśniepaństwo jak jeden mąż kupią jej książkę. - Obrzucił manuskrypt szacującym spojrzeniem. - Trzy tomy, pięknie oprawione - zawyrokował z namysłem. - Na początku sezonu, powiedz- my, w kwietniu. Oczywiście trzeba będzie to umiejętnie rozgłosić.

- To będzie dużo kosztować - zaproponował pan Otley.

- Skoro ma trafić na salony, nie możemy tego wydać byle jak. Colburn oprawił opowieść lady Caroline Lamb w tłoczoną skórę.

- Tak, ale ona na pewno za to zapłaciła.

- Nie widzę powodu, by ta nie miała zrobić tego samego - odparł optymistycznie pan Newsham. - Zaproponuj jej udział w zyskach, przy czym ona pokrywa wszelkie straty. A jak nam się powiedzie, to Colburn będzie zły jak lichy, że to nie do niego się zwróciła.

Ta perspektywa ucieszyła pana Otleya niezmiernie.

- W takim razie napiszę do mojej kuzynki, ale w przyszłym tygodniu, by się nie zdradzić, jak nam zależy. Ponarzekam na błędy i napomknę, że my takich rzeczy nie wydajemy.

Pan Newsham zaaprobował plan i w stosownym czasie list został wysłany, lecz negocjacje nie potoczyły się zgodnie z oczekiwaniami wydawców. Panna Battery odpisała, nie zwlekając. Przepraszyła za sprawienie kłopotu i za zmuszanie do lektury książki niestosownej dla wydawnictwa Newsham & Otley, poprosiła o zwrot manuskryptu, który zamierzała wysłać do Colburna, chyba że kuzyn poleci innego wydawcę, podziękowała za radę, oczywiście pozostawała szczerze oddana, podpisano: Sibylla Battery.

Ochłonawszy po porażce, pan Otley zaczął się dzielnie targować o pieniądze. Ostatecznie ustalono, że suma stu pięćdziesięciu funtów zostanie wysłana autorce na ręce panny Battery, gdy tylko wydawca otrzyma wpływy ze sprzedaży książki. Pan Otley walczyłby jak lew o obniżenie tej kwoty do pięćdziesięciu funtów, lecz w tym momencie wkroczył pan Newsham, który nie chciał, by obiecująca autorka, zrażona takim skąpstwem, następną książkę złożyła u konkurencji. Gdyby wiedział, jak

dalece jego hojność wpłynęła na dalsze decyzje panny Marlow, miałby dużą satysfakcję. Obiecana suma wydała jej się ogromna, dlatego też zrodził się wtedy w jej głowie pomysł, by opuścić Austerby, gdy tylko uzyska pełnoletność, osiąść gdzieś w towarzystwie panny Battery i oddać się wyłącznie dochodowemu powołaniu pisania powieści.

Oprócz guwernantki jedynie Thomas Orde wiedział o całej sprawie, dopóki jednak nie ujrzał odbitek korektorskieli, posądzał Phoebe o to, że go nabiera. Ujrawszy przesyłkę od wydawcy, był poci większym wrażeniem, niż chciał się do tego przyznać, nie omieszkał jednak uprzejmie powiedzieć dumnej autorce, że nigdy jej nie podejrzewał o umiejętność stworzenia czegoś choćby w połowie tak dobrego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Panna Battery, będąc kobietą dzielną, szybko ochłonęła z zaskoczenia.

- Wielka szkoda, że powzięłaś do niego niechęć, ale cóż, stało się, nie ma więc nad czym deliberować - oznajmiła stanowczo. - Aczkolwiek nie przypuszczam, by mógł być aż tak nikczemny, jak opisałaś hrabiego Ugolino.

- Och, nie! Wcale nie jest nikczemny, to znaczy, nie sądzę, by był, choć skąd mam to wiedzieć, skoro ledwie go znam. Stał się pierwowzorem Ugolina ze względu na niepokojący wygląd - książkę ma skośne brwi - i oczywiście z powodu wyniosłego sposobu bycia. Od początku miałam ochotę dać mu małą nauczkę.

- Ma nadmierne poczucie własnej ważności? -upewniła się nieco skonfundowana panna Battery. - Zanadto się obnosi z wysoką pozycją?

Phoebe zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

- Nie, nie to. To coś jeszcze gorszego. On w ogóle o tym nie myśli. Dla niego jest najzupełniej naturalne, że spotykają go same zaszczyty. Pojmujesz, o co mi chodzi, Sibby?

- Nie. Czemu właściwie miałby się nad tym zastanawiać?

- Niezmiernie trudno mi to wyjaśnić, lecz jestem przekonana, że doskonale mnie zrozumiesz, gdy go zobaczysz. Bycie księciem tak dalece stanowi część jego natury, że oczekuje on od

wszystkich traktowania go z najwyższą rewerencją. Nie twierdzą, by brakowało mu manier. Zachowuje się z ową arystokratyczną swobodą, pozwalającą mu okazywać grzeczność osobom, wobec których książę tak naprawdę żywi zupełną obojętność. Potrafi być zapewne bardzo ujmujący, gdy kogoś lubi, lecz w moim mniemaniu on ani trochę nie dba o to, co ktoś może o nim pomyśleć. Aczkolwiek przyznaję, że to, co inni myślą, niekoniecznie jest godne szacunku - dodała w zamyśleniu - biorąc pod uwagę, jak wszyscy zabiegają o jego względy i przypodchlebiają mu się w zgoła obrzydliwy sposób, Kiedy lady Sefton, która, pamiętasz, w mej powieści jest afektowaną i nerwową baronową Josceline, przyprowadziła go, żeby mi go przedstawić, zrobiła to tak, jakby wyświadczała mi największą przysługę.

- To nie ma znaczenia - przerwała jej panna Battery. - Najważniejsze, czy on też dał ci to odczuć.

- Ależ skąd! On nawet nie reaguje na pochlebstwa, tak dalece jest do nich przyzwyczajony, nie spojrzął więc na lady Sefton ani odrobinę łaskawiej.

Zresztą okazywanie zdawkowej grzeczności takim godnym pożałowania, nic nieznaczącym kobietom jak ja, pozbawionym urody i daru konwersacji, stanowi dla niego jeden z tych nużących obowiązków, jakie nakłada na niego wysoka pozycja.

- Na twym miejscu, moja droga, wstrzymałabym się z surowymi ocenami, zdaje się bowiem, że w rzeczy samej nic o nim nie wiesz - zauważyła trzeźwo guwernantka. —Jednego możesz być pewna. Jeśli rzeczywiście przyjeżdża się oświadczyć, żadną miarą nie traktuje cię ze zdawkową grzecznością.

- Nawet jeśli nie... Och, musiałby się bardzo zmienić, bym go polubiła i zechciała za niego wyjść - oznajmiła Phoebe. - Nie, nie mogłabym tego zrobić, Sibby.

- W takim razie nie przyjmiesz go - zawyrokowała panna Battery ze spokojem, którego bynajmniej nie czuła.

Phoebe obrzuciła ją bezradnym spojrzeniem. Zrozumiały się bez słów. Nikt lepiej od Sibylli nie wiedział, jak trudne jest położenie Phoebe i jak bezwzględna w swych wymaganiach potrafi być lady Marlow. Rozważywszy sytuację, guwernantka zaproponowała:

- Porozmawiaj z ojcem. Nie sądzę, by pragnął zmuszać cię do małżeństwa, które jest ci niemiłe.

Tę samą radę Phoebe usłyszała dzień później z ust Thomasa Orde'a, gdyż udało jej się niepostrzeżenie wymknąć do Manor House.

Przyjaciół był jedynym synem powszechnie szanowanego ziemianina, niezmiernie gospodarnego człowieka, który utrzymywał sforę ponad sześćdziesięciu ogarów, tuzin koni do polowania dla siebie, dla swego syna i dla dojeżdżaczy, kilka koni pociągowych, kilka koni pod

siodło, pół tuzina spanieli i ponad setkę kogutów do walk, a wszystko to przy dochodzie ośmiu tysięcy funtów rocznie i bez skąpienia swej małżonce tego, co eleganckiej damie jest niezbędne do życia, jak również bez czynienia oszczędności kosztem naprawy domostw swych licznych dzierżawców. Jego rodzina żyła w hrabstwie od wielu pokoleń, odznaczała się zamiłowaniem do sportów, polowań i wszelkiej aktywności na świeżym powietrzu. Żaden z jej członków nie został wybitną osobistością. Obecny dziedzic też nie miał na to zadatków, posiadał za to dużo zdrowego rozsądku, a wśród przyjaciół i znajomych cieszył się wyjątkowym mirem. Znał swą wartość, lecz nie potrzebował się z nią obnosić, cenił prosty styl życia, chociaż więc zatrudniał stangreta, kilku stajennych, paru niezbędnych do polowań dojeżdźaczy, psiarczyka, tresera do walk kogutów oraz leśniczego, sprawującego pieczę nad zwierzyną łowną, to w domu miał zaledwie troje służących, a gdy wyjeżdżał, wynajmował forysiów, zamiast po pańsku cały czas trzymać własnych.

Ojcem był dobrym i roztropnym, gdyby więc jego syn po ukończeniu szkoły przejawiał jakąkolwiek skłonność do dalszej nauki, wysłałby go na studia, choć oznaczałoby to wydatki, i to zapewne bardzo poważne, ponieważ tak zagorzały zwolennik wszelkich sportów jak Tom potrzebowałby na godne przeżycie w Oksfordzie sześciuset funtów rocznie, nie licząc długów, które niechybnie powstałyby w trakcie studiów. Dziedzic Orde czuł jednak potrzebę stworzenia synowi takiej możliwości, gotów więc był bez utyskiwania - i zarazem bez obnoszenia się z wielkodusznością - sprzedać część koni oraz wszystkie koguty. Nie poczuł się jednak rozczarowany, gdy Tom oznajmił, że wyjazd na studia to czysta strata czasu, gdyż książki go nie nęcą i nie dałby sobie rady ze zdawaniem egzaminów. W domu tymczasem miał mnóstwo fascynujących zajęć, wszak latem czekały go walki kogutów, polowanie z ogarami na polach, łowienie ryb, strzelanie do kuropatw, zimą zaś polowania w lesie i wyprawy na bażanty, a oprócz tego chciał poznać pod okiem rządcy tajniki hodowli i uprawy oraz zarządzania rodzinnym majątkiem. Ojciec uznał słuszność argumentów syna i pozwolił mu postępować po swojemu, postanowił jedynie z czasem wysłać go na trochę do miasta, by nabrał nieco ogłady.

Od roku Tom przebywał więc w domu, nie licząc jednego czy dwu wyjazdów do przyjaciół mieszkających w innych hrabstwach, i z zapałem oddawał się wszystkim zaplanowanym zajęciom. Coraz lepiej znał się na gospodarowaniu, co zdobywało mu rosnący szacunek i napawało jego ojca dumą, czego Tom był zresztą nieświadom.

Był to miły młodzieniec, niewysoki, lecz mocnej budowy, twarz miał szczerą, sposób bycia bezpośredni, po ojcu odziedziczył też rozsądek, choć na razie miał go tyle, ile można się spodziewać po młodym dżentelmenie, liczącym sobie dopiero

dziewiętnaście lat. Od dziecka doskwierał mu brak rodzeństwa, więc mieszkającą w sąsiedztwie rówieśnicę traktował jak siostrę. Gdy byli mali, Phoebe bez kłopotu dawała się

namówić na najbardziej ryzykowne przygody, potem równie szybko jak on nauczyła się jeździć konno, ba, trudno ją było prześcignąć, dlatego też nawet wyjazd Thomasa do szkoły z internatem i poznanie wielu nowych kolegów nie zdołały osłabić jego podziwu i przywiązania do przyjaciółki.

Kiedy przekazała mu najnowsze, zdumiewające wieści, okazał równie wielkie niedowierzanie jak Susan, gdyż, jak zauważył z istic braterską szczerością, Phoebe nie zaliczała się do dziewcząt mogących spodziewać się świetnego mariażu. Gdy w pełni przyznała mu rację w tej kwestii, dodał życzliwie:

- Nie chcę przez to powiedzieć, że ja nie ożeniłbym się równie chętnie z tobą jak z jakąś wyjątkowo znakomitą panną, bo gdybym już musiał się zenić, to prędzej ciebie poprosiłbym o rękę.

Podziękowała mu.

- Ale przecież ja to co innego - argumentował. - Nie jestem wytwornym księciem, w dodatku znam cię od zawsze. Niech zginę, jeśli wiem, czemu taki księżę miałby znaleźć w tobie upodobanie! Żadna z ciebie piękność, a kiedy twoja macocha jest w pobliżu, zachowujesz się tak, jakbyś do trzech zliczyć nie umiała. Nie rozumiem, jak udało mu się odgadnąć, że nie jesteś zupełnym głuptasem.

- Wcale tego nie odgadł. Chce się ze mną zenić, bo nasze matki się przyjaźniły.

- To banialuki - orzekł z politowaniem. - Kto

mógłby się oświadczać z tak nedorzecznego powodu?

- Mnie się wydaje, że to jego wysoka pozycja każe mu wybrać odpowiednią dla siebie żonę bez zwracania uwagi na takie rzeczy, jak uroda czy umiejętność prowadzenia ciekawej konwersacji.

- Ale ty i tak nie jesteś odpowiednią dla niego żoną - zaproponował Tom. - On ma chyba nie po kolei w głowie. Może i miło zostać księżną, ale radzę ci, trzymaj się od niego z daleka.

- Co mam więc zrobić? Tylko nie mów, błagam, że wystarczy, bym mu odmówiła, przecież doskonale wiesz, jaka jest mama. Nawet gdybym zdobyła się na odwagę, by się jej przeciwstawić, pomyśl, przez co musiałabym potem przejść. I nie namawiaj mnie na zlekceważenie jej gniewu, ponieważ popadłabym w niełaskę na całe miesiące, co by mnie wpędziło w takie przygnębienie, że nie mogłabym już pisać. Tak, wiem, to głupota z mojej strony, ale za nic nie chcę jej rozgniewać. Nie mogę znieść, kiedy ktoś mnie źle traktuje. Czuję, jakby uchodziło ze mnie życie.

Tom nie uznał tych słów za przesadę, gdyż wielokrotnie był świadkiem, jak Phoebe choruje z powodu doznawanych przykrości. Nie pojmował, skąd taka ogromna wrażliwość u tak nieustraszonej dziewczyny. Nie wahał się jej czasem nazywać szaloną, a zarazem wiedział, że w zetknięciu z surową krytyką natychmiast gasła w oczach, zmieniając się z żywiołowej amazonki,

która bez wahania ryzykowała skręcenie karku, w bezbarwną, zahukaną gąskę, która nie ośmielała się odezwać.

- Może lord Marlow jakoś zniechęciłby księcia, gdybyś do niego napisała, wyjaśniając mu całą sprawę? - spytał bez większego przekonania.

- Wiesz, jaki jest papa. Zawsze we wszystkim podporządkuje się mamie, by mieć spokój i wygodę, które bardzo sobie ceni. Jak zresztą mogłabym wysłać do niego list bez wiedzy mamy?

Zastanawiał się przez chwilę, marszcząc brwi.

- Nie, to rzeczywiście niemożliwe. Cóż... Jesteś najzupełniej pewna, że nie zdołasz polubić księcia? Wszystko wydaje mi się lepsze niż dalsze życie w Austerby. W dodatku sama powiedziałaś, że rozmawialiście z sobą zaledwie raz. Tak naprawdę nic o nim nie wiesz. Nie zdziwiłbym się, gdyby w rzeczywistości był dość nieśmiały; nieśmiali ludzie często zachowują się sztywno.

- Nie jest nieśmiały, a w jego zachowaniu nie ma sztywności. Jest pewny siebie i swobodny. Odzywa się zawsze uprzejmie ponieważ uważa się za tak ważną personę, że byłoby poniżej jego godności traktować kogokolwiek bez owej zdawkowej grzeczności, świadczącej o doskonałych manierach. A przy tym zupełnie nie dba o to, jak ludzie oceniają jego postępowanie, gdyż nie zaprzęta sobie głowy takimi drobiazgami, jak czyjaś opinia.

- Ty go nie tylko nie lubisz, ty go bardzo nie lubisz - ocenił Tom, uśmiechając się do niej.

- Zgadza się. Gdyby nawet było inaczej, jak mogłabym wyjść za niego, skoro w mej powieści uczyniłam z niego nikczemnika?

Tom wybuchnął śmiechem.

- Przecież nie musisz mu o tym mówić, głuptasie!

- Mówić? To nie będzie konieczne, przecież go opisałam, nie sposób się pomylić.

- Chyba nie sądzisz, że przeczyta książkę?

Phoebe spokojnie zносиła wszelkie uwagi przyjaciela na temat własnej osoby, lecz lekceważenie swego dzieła uznała za poważny afront.

- A czemuż to miałby jej nie czytać?! - wykrzyknęła z oburzeniem. - Przecież zostanie wydana!

- Tak, wiem, ale tacy ludzie jak książkę Salford na pewno nie będą jej kupować.

Zarumieniła się.

- Jeśli nie oni, to kto?

- Och, nie mam pojęcia. Pewnie młode panny, które lubią takie historie.

- Nie jesteś młodą panną, a też ci się podobało - przypomniała mu.

- Bo wiedziałem, kto jest autorką. - Na widok jej nieszczęśliwej miny dodał na pocieszenie: - W ogóle nie przepadam za książkami, skoro więc ja przeczytałem całą, to musi być bardzo dobra, i pewnie będzie chętnie kupowana. Rzecz w tym, że prawdziwe nazwisko autorki nie zostanie ujawnione i akurat tym nie ma się co martwić. Kiedy on zjedzie do Austerby?

- W przyszłym tygodniu. Oficjalnie po to, by obejrzyć tego pięcioletniego kasztanka, na którego papa szuka kupca. Ma też zamiar polować. Mama zachodzi w głowę, czy na obiad zaserwować mu wszystkich znajomych, jakich tylko się da, by zabawiali go wspólnymi siłami, Czy zdać się w tej kwestii na papę, który zaprosi sir Gregory'ego Standisha i starego pana Hayle'a na partyjkę wista.

- Boże wielki! - wykrzyknął ze zgrozą Tom. Phoebe zachichotała,

- Tak, to go oduczysz przyjeżdżania do Austerby w taki wstrętny, protekcyjny sposób! - skwitowała z satysfakcją. - Co więcej, mama nie pochwała tych wszystkich nowomodnych obyczajów, jego książęca mość będzie musiał więc zasiadać do kolacji już o szóstej po południu, co kłóci się z jego upodobaniami. A kiedy po posiłku przejdzie do salonu, odkryje ze zgrozą, że panna Battery sprowadziła na dół Susan i Mary. Następnie mama zechce, bym zagrała na fortepianie, bo już przykazała mi przez Sibby, żebym miała wspaniale opanowany ten nowy utwór, którego się ostatnio uczyłam. O dziewiątej Firbank przyniesie herbatę, a pół godziny później mama oznajmi księciu z dumą, że na wsi chodzi się spać wcześniej, i w rezultacie gość zostanie sam z papą, skazany na grę w pikietę lub coś podobnego. Mam nadzieję, że zanudzi się u nas na śmierć - dodała z satysfakcją.

— To całkiem prawdopodobne. Może będzie miał was tak dosyć, że w końcu wcale nie poprosi cię o rękę.

- Nie mogę nawet żywić takiej nadziei, skoro on właśnie w tym celu przyjeżdża. - Phoebe ponownie popadła w przygnębienie. - Musiał już podjąć decyzję, przecież rozmawiał kiedyś ze mną i wie doskonale, jak bardzo go nudzę. Och, Tom, próbuję rozważać to spokojnie, lecz im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej oczywiste staje się dla mnie, że zostanę zmuszona do tego wstrętnego mi

małżeństwa, i już teraz jestem chora z niepokoju, a nikt nie chce wziąć mojej strony, nikt!

- Dosyć tego! - przykazał Tom, biorąc Phoebe za ramiona i potrząsając nią. - Jak możesz mi coś podobnego mówić? Nikt? Wiedz w takim razie, że nie tylko ja, ale i moi rodzice ujmą się za tobą.

Z wdzięcznością uściśniła jego rękę.

- Wiem. Pani Orde jest dla mnie zawsze taka dobra... To wszystko jednak nic nie pomoże. Znasz moją mamę.

Znał, lecz rzekł wojowniczym tonem:

- Jeśli spróbuje zmusić cię do tego, a twój ojciec jej nie powstrzyma, nie sądz, że będę stał z boku jak jakiś gap i tylko się przyglądał. Gdy przyjdzie do najgorszego, wtedy lepiej będzie, jak w te pędy wyjdiesz za mnie. Nie powinno być nam znowu aż tak źle ze sobą, kiedy już się do tego przyzwyczaimy. W każdym razie wolę cię poślubić, niż zostawić w takiej biedzie. Z czegoż ty, u licha, się śmiejesz?

- Z ciebie, oczywiście. Tom, nie pleć głupstw! Tego nie da się zrobić, ponieważ mama tak się lęka, iż się w sobie zakochamy, że właściwie masz zakaz pokazywania się u nas. Ona nie będzie chciała słyszeć o naszym ożenku, a twój ojciec, jak sądzę, również.

- Dlatego musielibyśmy wziąć ślub w Gretna Green.

Phoebe była w szoku.

- Miałabym uciec z tobą do Szkocji, by tam udzielono nam ślubu? Ze wszystkich niedorzecznych... Tom, niedowarzona głowo! Nawet jeśli jest ze mnie szalona panna, to przecież do nieskrom-

ności mi daleko. Nie zrobiłabym czegoś tak okropnego, nawet gdybym była w tobie zakochana.

- No i dobrze - odparł, nieco urażony. -Mnie też się ten pomysł nie podoba, skoro więc wolisz poślubić Salforda, to nie ma o czym gadać.

Z czułością potarła policzkiem o jego ramię.

- Kiedy ja jestem ci bardzo wdzięczna - odparła ze skrucą. - Nie gniewaj się na mnie.

W cichości ducha jej odmowa sprawiła mu ulgę, dlatego bez trudu dał się udobruchać. Przykazał przyjaciółce jedynie, by w przyszłości dawała kosza nieco grzeczniej, a potem przyznał, że rzeczywiście potajemna ucieczka nie jest stosownym posunięciem, na koniec zaś obiecał wszelką pomoc, gdy tylko Phoebe wymyśli inny plan.

Niestety, nic innego nie chciało jej przyjść do głowy. Macocha zabrała pasierbicę do Bath, żeby obcięto jej włosy nieco bardziej twarzowo i by kupić jej nową sukienkę, niechybnie w celu usidlenia księcia. Ponieważ jednak, zdaniem lady Marlow, młodej pannie przystało nosić w towarzystwie wyłącznie suknie białe, różowe lub niebieskie - a w żadnych innych kolorach Phoebe nie prezentowała się gorzej - doprawdy trudno było odgadnąć, jakim cudem ten zdumiewająco hojny prezent miał zachęcić księcia do oświadczeń.

Dwa dni przed oczekiwaną wizytą wyglądało na to, że przynajmniej jeden z oficjalnych powodów przyjazdu gościa stał się nieaktualny. Stangret lorda Marlowa, potrafiący znakomicie przewidzieć pogodę, aczkolwiek nie aż tak dobrze, jak niemający sobie równych w całej okolicy pan Orde, zawyroko-

wał, że rychło spadnie śnieg, co zdawał się potwierdzać „Morning Chronicle”, przynoszący wiadomość o dużych opadach śniegu na wschodzie i północy. Wątpiła nadzieja, że w tej sytuacji książę odwoła swą wizytę, szybko zgasła, ponieważ nie otrzymano w tej sprawie żadnego listu od lorda Marlowa. Phoebe wpadła w panikę. Skoro gość przybywający po to, by polować i objeżdżać konia do kupienia, nie zrażał się perspektywą złej pogody, to musiał być zaiste zdeterminowany, żeby poprosić o rękę Phoebe. Będzie miał wiele okazji, by przeprowadzić swój zamiar, jeśli chłód zatrzyma wszystkich w domu... Próbowwała sobie wmówić, że książę przyjeżdża, ponieważ tak naprawdę pogoda się poprawia, ale nic na to nie wskazywało. Kiedy zaś pan Orde odwołał pierwsze planowane w tygodniu polowanie, po czym wyjechał do Bristolu, gdzie od pewnego czasu czekały na niego ważne sprawy, stało się oczywiste, że nie należy spodziewać się pogody sprzyjającej sportom i rozrywkom na świeżym powietrzu.

Zrobiło się naprawdę zimno, lecz śnieg jeszcze nie spadł, gdy lord Marlow, niezmiernie rad z siebie (co można zrozumieć), przybył do Austerby razem z oczekiwanym gościem.

- Widzisz, przywiozłem go - wyszeptał żonie do ucha na powitanie, jakkolwiek bardziej trafne byłoby stwierdzenie, że to Sylvester go przywiózł, odbyli bowiem podróż lekką kariolką księcia, którą on sam powoził, podczas gdy w obu krytych powozach jechał jedynie bagaż pod opieką służących. Kawalkadę zamykali dojeżdżacze lorda Marlowa wraz z masztalerzem i kilkoma stajennymi. Książę odesłał swoje konie z Blandford Park do Chance, nie miał więc tak licznych orszaków. Co prawda, Keighley, starszy stajenny, który kiedyś pierwszy wsadził Sylwestra na kucyka i nauczył go jeździć, stał z tyłu kariolki w charakterze pajuka, zaś forysie nosili liberie, lecz mimo to młodsze panny Marlow, obserwujące ów przyjazd z okien na piętrze, były głęboko rozczarowane skromnymi rozmiarami świty księcia. Wywierała mniejsze wrażenie niż orszak ich ojca, choć papa zabrał do Blandford Park tylko jeden powóz, a przecież nic mu nie szkodziło wziąć też i kariolki. Za to konie księcia prezentowały się wspaniałe, zarówno zaprzężone do powozu cztery gniadosze, jak i specjalnie trenowane do lekkiego chodu przepiękne siwki u kariolki, doskonałe nawet co do odcienia maści, jak mawiał lord Marlow. Książę miał nie tylko wspaniałe konie, ale i znakomicie powoził, zważywszy, z jaką gracją kariolka skręciła w aleję wiodącą do dworu. Na ten widok Mary wyraziła nadzieję, że, być może, teraz Phoebe myśli o nim lepiej.

Phoebe jednak nie miała zaszczytu oglądać przyjazdu księcia, lecz widziała, jak powoził faetonem w Hyde Parku i знаła jego umiejętności w tej dziedzinie. Nastawienie do księcia nie uległoby znaczącej zmianie, gdyby nawet ujrzała, w jak świetnym stylu poradził sobie z nad wyraz niewygodnym zakrętem. Siedziała wraz z lady Marlow w jednym z salonów, niechętnie wyszywając haft na tamborku. Musiała włożyć białą sukienkę przywiezioną z Bath, a ponieważ sukienka miała krótkie bufiaste rękawki, zaś w pokoju było chłodno mimo rozpalonego w kominku

ognia, odsłonięte szczuplutkie ramiona Phoebe pokryły się mało apetyczną gęsią skórką. Tymczasem w mniemaniu lady Marlow jej pasierbica nie mogła prezentować się lepiej. Strój, poza i rodzaj zajęcia były stosowne dla panny o nieskazitelnym pochodzeniu i nienagannym wychowaniu. Tak, lady Marlow mogła być dumna ze swych osiągnięć. Gdyby mimo wszystko nie doszło do oświadczeń księcia, na pewno nie nastąpiłoby to przez uchybienie z jej strony.

Panowie weszli do salonu, a lord Marlow wykrzyknął wesoło:

- Tak myślałem, że cię tu znajdę, duszko! Nie muszę przedstawiać księcia, tuszę, że już się znacie. Ach, jest i Phoebe! Znasz, książę, moją córkę, moją małą Phoebe, nieprawdaż? Proszę, czy mogłoby być coś przyjemniejszego? Małe grono rodzinne i tak, jak obiecywałem, żadnych zbędnych ceremonii.

Sylvester wygłosił gładką formułkę powitalną, gdy podawali sobie ręce z panią domu. Był zupełnie nie w humorze. Odkąd opuścił Blandford Park, miał dość czasu, by zdążyć pożałować swej decyzji. Znakomity myśliwy niekoniecznie musi być dobrym towarzyszem podróży, Sylvester szybko więc zapomniał o zaletach Marlowa, za to przypomniał sobie o jego wadach. Nim dojechali do Austerby, rozmowa z nim nie tylko znużyła księcia, ale i nastroiła go niechętnie do całej sprawy. Odkąd przyjął zaproszenie, lord Marlow, z natury bardzo wylewny, nie widział konieczności dalszego zachowywania pełnej dyskrecji, zaleconej mu przez

lady Ingham, i pozwolił sobie na kilka wyraźnych aluzji. Padły one jednak na nieurodzajny grunt i tylko zirytowały Sylvestra. W dodatku okazało się, że będzie on jedynym gościem w Austerby, czego doprawdy sobie nie życzył, gdyż w ten sposób jego Wizyta zwracała na siebie uwagę. Gdy gospodarz zapewniał, że nie będzie czynił żadnych zbytecznych ceremonii, Sylvester zrozumiał to jako obietnicę traktowania go tak samo jak innych gości, zapewne bawiących w Austerby, a zaproszonych tam jeśli nawet nie po to, by zapewnić mu ciekawe towarzystwo, to przynajmniej w celu zachowania pozorów. Marlowowi musiało więc diablo zależeć na wydaniu córki za męża, lecz jeśli sądził, że uda mu się podejść księcia Salforda, głowę wielkiego rodu Rayne, nakłaniając go do zrobienia czegokolwiek wbrew sobie, to szybko się przekona o swej pomyłce. Naraz Sylvester uprzytomnił sobie, że Marlow już go podszedł, uzyskując jego zgodę na przyjazd do Austerby. Tak go ta myśl rozdrażniła, że postanowił, o ile panna nie okaże się zdecydowanie nieprzeciętna, ostatecznie odstąpić od zamiaru związania się z tą rodziną.

Kiedy przybył na miejsce, złe pierwsze wrażenie dodatkowo wzmogło jego niechęć. Jeden rzut oka na hol wejściowy wystarczył, by Sylvester zrozumiał, że nie trafił do jednego z tych domów, w których czuł się dobrze. Wnętrze urządzone bezdusznie, sztywno. Małeńki ogień pełgający w kominku ani trochę nie ogrzewał ponurej, wyziębionej lodowatymi przeciągami przestrzeni. Chociaż Sylvester nie dopatrzył się żadnego uchybienia

u kamerdynera i dwóch wyszkolonych w Londynie lokajów, którzy odebrali od panów kapelusze i płaszcze, odgadł, że dom cierpi na niedostatek służby. Na pewno goście nie mają własnego służącego, dbającego o ich potrzeby. Zbyt był zde gustowany, by uprzytomnić sobie, że często przebywał z gościna w znacznie skromniejszych domostwach, a ich niedostatki nigdy mu nie przeszkadzały, ba, nawet ich nie zauważał. Gdyby jego mniej zamożni przyjaciele i krewni mogli się dowiedzieć, z jak surową krytyką Sylvester oceniał dom lorda Marlowa, byłiby niezmiernie zdumieni, a jedna z jego ulubionych kuzynek, młoda i pełna życia, która poślubiła niezamożnego majora dragonów, w ogóle by w to nie uwierzyła, gdyż żaden z jej gości nie dostosowywał się do warunków, panujących w jej dość biednym domu, lepiej niż Sylvester, żadnego też nie dawało się równie łatwo zadowolić prostymi rozrywkami, jakie mogła zaoferować. Różnica wszakże polegała na tym, że major Newbury i jego żona budzili gorącą sympatię Sylwestra, podczas gdy lord Marlow - niechęć, i to coraz większą.

Lady Marlow przyjęła go w sposób, który jej mąż podziwiał jako wyjątkowo dystyngowany, gościa zaś wprowadził niemal w osłupienie, ponieważ w rzeczywistości był protekcyjalny.

Po przywitaniu z gospodynią zwrócił się do panny Marlow, a wtedy potwierdziły się jego najgorsze przypuszczenia. Nie miała ani urody, ani prezencji, za to nieciekawą cerę i jeszcze mniej ciekawą figurę, do tego nosiła niegustowną sukienkę. Bezbarwnym głosem spytała, jak książę się miewa, czym utwierdziła go w przekonaniu, że jest mdła i pozbawiona charakteru. Zastanowił się, jak szybko uda mu się zakończyć tę wizytę.

- Oczywiście pamiętasz moją małą Phoebe, książę - powiedział wesoło gospodarz. - Wszak tańczyłaś z nią w Londynie.

- Ależ tak, naturalnie, pamiętam - zapewnił Sylvester, a zorientowawszy się, że to nieco za mało, dodał: - W Almacku, nieprawdaż?

- Nie, na raucie u Seftonów - skorygowała Phoebe. - Kiedy zobaczył mnie pan w Almacku, nie rozpoznał mnie pan.

Tej pannie brakuje nie tylko urody, ale i ogłady, pomyślał z oburzeniem. Czyżby chciała go zawstydzić? Bardzo dobrze, zaraz się przekona, czym to się kończy.

- Postąpiłem w sposób niewybaczalny. Może jednak po prostu nie zauważyłem pani.

Zarumieniła się aż po linię włosów i skierowała zaleknione spojrzenie na macochę. Sylvester przypomniał sobie wtedy uwagę lady Ingham, że jej wnuczka gaśnie w obecności lady Marlow. Zerknął na gospodynię i spostrzegł, że ta obrzuca pasierbicę miazdzącym spojrzeniem. Zrobiło mu się żal dziewczyny na tyle, że dodał:

- Nie pani pierwsza słusznie zauważa, że uchybiłem wymogom grzeczności w Almacku. Jednakże w tym klubie na wielkich balach publicznych panuje tak nieznośny tłok, że należy się raczej dziwić, gdy rozpozna się w ścisku najlepszych przyjaciół.

- O, tak, rzeczywiście - przyświadczyła Phoebe zaskoczona.

- Proszę spocząć, mości księżę - odezwała się władczo lady Marlow. - Był pan u Beaufortów, rozumiem, że trochę pan poluje. Ja sama nie oddaję się temu zajęciu, lecz mój mąż jest jego wielkim miłośnikiem.

- Och, nie mów tak do księcia, duszko! - zaprotestował lord Marlow. - Trochę poluje? Jest zawołanym jeźdźcem, teraz prowadził wszystkie gonitwy, innym trudno było za nim nadążyć.

Sylvester nie odpowiedział na to oczywiste pochlebstwo, jedynie obrzucił gospodarza enigmatycznym spojrzeniem. Lady Marlow zauważyła, że księżę Beaufort to wielce szacowny człowiek, ponieważ jednak po tej pochwalie przeszła do krytykowania jego syna, jej zdaniem godnego ubolewania dandysa, konwersacja utknęła, gdyż nikt nie podjął tematu. Lord Marlow zaczął opowiadać anegdotę z jakiegoś polowania, Phoebe zaś sięgnęła po tamborek i wykonując kolejne krzywe ściegi, przysłuchiwała się przez następne dwadzieścia minut rozmowie, która w innych okolicznościach zdawałaby jej się komiczna, w obecnych jednak męczyła ją niewymownie. Wkład lady Marlow w konwersację polegał na wygłaszaniu szeregu opinii, które swym zwyczajem wypowiadała tonem niedopuszczającym sprzeciwu. Jej mąż w celu ożywienia rozmowy wtrącał, gdy tylko mu się to udało, krotocwilne uwagi i rozwlekłe wspomnienia, nieodmiennie rozpaczliwie trywialne. Sylvester z kolei ograniczał się do krótkich, zdawkowych odpowiedzi, które nie zachęcały żadnego z jego rozmówców do kontynuowania tematu.

Słyszając, jak ojciec stara się dać z siebie wszystko, by zabawić gościa, Phoebe poczuła, że narasta w niej gniew. Owszem, papa uwielbiał rozprawiać, i nawet jego najzarliwsi wielbiciele nie mieli go za mądrego człowieka, lecz nie mogła znieść, że Sylvester traktuje z chłodną grzecznością o tyle odeń starszego człowieka, z całych sił pragnącego mu umilić czas. Jej awersja do gościa wzrosła jeszcze bardziej za to niedocenianie wysiłków jej ojca, i to do tego stopnia, że poczuła ukłucie rozczarowania, kiedy lady Marlow oznajmiła, iż kolacja będzie podana o szóstej, a księżę przyjął tę wieść nawet nie mrugnawszy okiem. Gdyby wiedziała, że po prostu nastawił się już wewnątrz na każdy możliwy dyskomfort i uchybienie, ponieważ nie spodziewał się po tym domostwie niczego dobrego, jej uraza zapewne sięgłaby zenitu.

Wróciwszy do pokoju, by przebrać się do kolacji, Phoebe znalazła zatknięty za ramę lustra zwitek papieru, a gdy go rozwinęła, zrozumiała, że musiał go tam zostawić Firbank, kamerdyner, który robił do niej dziwne miny, kiedy szła przez hol za lady Marlow. Wtedy zupełnie nie pojmowała znaczenia jego grymasów. Kartka okazała się listem od Toma, nieco rozczarowującym.

Właśnie udawał się na kolację do przyjaciół, zamierzał jednak wcześniej wrócić, by po drodze wpaść do Austerby i dowiedzieć się, jak Phoebe sobie radzi. Przemówił Firbankowi do ręki, wpuścił mnie bocznymi drzwiami. Jego zdaniem, możemy bezpiecznie rozmawiać w salonie przedpołudniowym, więc przyjdź tam, zanim wrócisz do swego pokoju. Nawiasem mó-

wiąc, poczta nadeszła dziś do Bath z czterogodzinnym opóźnieniem, bo śnieg pada już w Reading. Nie zdziwię się, jeśli w tych warunkach ten twój książkę zatrzyma się u was na cały tydzień.

W Austerby Phoebe była pozbawiona luksusu posiadania własnej pokojówki, co oznaczało, że nikt jej nie zmuszał, by przeznaczać na toaletę więcej czasu niż to absolutnie niezbędne. Szybko zdjęła muślinową sukienkę i nieco niezdarnie włożyła nietwarzową wieczorową suknię, wybraną przez macochę, lecz Phoebe nie zrobiła wiele, by poprawić swój wygląd, jedynie rozczesała loki i zapięła na szyi krótki sznur pereł. Cały czas nasłuchiwała męskich głosów, a gdy wreszcie rozległy się na korytarzu, wiedziała, że ojciec odprowadził gościa do jego pokoju. Była już wtedy gotowa, jeszcze tylko narzuciła na ramiona szal i pomknęła do garderoby ojca.

- Papo, czy mogłabym z tobą porozmawiać? Co prawda, towarzyszył mu lokaj, w dodatku

lord zdjął już surdut, lecz będąc z natury życzliwy, chętnie wysłuchałby córki, gdyby nie zauważył, że jest silnie wzburzona. Nie życzył sobie żadnych kłopotów, odezwał się więc z niezadowoleniem:

- Moja droga, jeśli to nie jest pilna sprawa wyjątkowej wagi...

- To jest bardzo pilna sprawa wyjątkowej wagi, papo!

Nie podobało mu się to coraz bardziej.

- No cóż... W takim razie mogę ci chyba poświęcić pięć minut.

Lokaj wyszedł, ledwie zaś zamknął za sobą drzwi, Phoebe wyrzuciła z siebie bez tchu:

- Papo, muszę ci coś powiedzieć... Ja nie znoszę księcia Salforda!

Stał przez chwilę, patrząc na nią bez słowa, najpierw wstrząśnięty, potem - gdy naszła go myśl, że jego poświęcenie nie zostało należycie docenione - rozgorączony.

- Też coś! - wybuchnął. - Znakomitą chwilę sobie wybrałaś, by mnie o tym powiadomić!

- Jak mogłam poinformować cię wcześniej? Gdybyś tylko zdradził mi przed wyjazdem do Blandford Park, co zamierzasz, papo. Wiesz przecież, że mama nigdy by się nie zgodziła na wysłanie posłańca z listem ode mnie, listem błagającym cię, byś nie czynił już nic więcej w tej sprawie. Proszę, nie gniewaj się na mnie. To doprawdy nie moja wina, że do tej pory nie wiedziałeś, jakie odczucia żywię w tej materii.

Rumiane policzki lorda Marlowa jeszcze pociemniały. Czuł się niecnie oszukany. Był niezmiernie dumny z wciągnięcia Sylwestra w sieć zarzuconą przez lady Ingham, ba, zdążył niemal

uwierzyć, iż sam ów plan wymyślił i że musiał zadać sobie wiele trudu dla dobra swej córki. Tymczasem cała jego troska została wzgardliwie odrzucona. Już samo to dotknęło go boleśnie, a wszak należało jeszcze dodać niezręczność sytuacji, w jakiej przyjdzie mu się znaleźć, gdy będzie musiał uprzedzić gościa o fiasku całego przedsięwzięcia, by zapobiec niechcianym oświadczeniom. Nawet nie chciał o tym myśleć. Starając się zbagatelizować protest córki, rzekł:

- Androny pleciesz! To zwykłe nerwy, moja

droga. Jesteś bardzo nieśmiała, któż może o tym wiedzieć lepiej niż twój ojciec? No i do tego jesteś taka wrażliwa... Dlatego od początku chciałem, byś nie wiedziała, w jakim celu on do nas przyjeżdża, ale, niestety, mama... Nie, to nie ma nic do rzeczy, bo krzywda już się stała. Jesteś zupełnie wytracona z równowagi. Wcale nie przeczę, że znając cel jego wizyty, znajdujesz się w kłopotliwym położeniu. Martwi mnie to, zaręczam ci, mama niepotrzebnie... Ach, zapomnijmy o tym! Przyjmij jednak moje zapewnienie, że dużo nad tą sprawą rozmyślałem. Salford okaże się dobrym mężem, o to jestem spokojny. Lepiej od ciebie potrafię ocenić charakter człowieka, to musisz przyznać. Salford mi się podoba. Chłop na schwał! - Zaśmiał się rubasznie. - Ha, idę o zakład, że całkiem niedługo sama będziesz się dziwić, jak mogłaś być taką gąską! Ależ ja się wtedy będę z ciebie śmiał.

- Papo, ja nigdy go nie polubię.

- Na Boga, dziecko, przestań pleść! — odparł gniewnie. - Ledwie go znasz. Słyszane to rzeczy, żeby taka smarkata kręciła nosem na tak majątnego konkurenta jak Salford? Powinnaś się raczej cieszyć, że los się do ciebie uśmiechnął.

- Papo, wiesz, że nigdy nie chciałabym ci sprawić przykrości, ale... - odezwała się błagalnie Phoebe.

- Daruj sobie te gładkie słówka! — przerwał jej gwałtownie. - Nie masz dla mnie żadnych względów. W jakiej sytuacji ty mnie stawiasz! Wielkie nieba, to przekracza wszelkie wyobrażenie. Mam więc poinformować Salforda, że ty go nigdy nie polubisz. Serce mi pęka, Bóg mi świadkiem! Ja tu zadaję sobie tyle trudu, a i koszty ponoszę, bo wszak jeśli jemu kasztanek przypadnie go gustu, to oczywiście muszę mu go odsprzedać po cenie, która mocno łupnie mnie po kieszeni. Nie wspominając już o tej nowej sukience dla ciebie i nie wiedzieć ilu butelkach wyśmienitego wina bordoskiego, które on wypije... Za partię zapłaciłem całe sto funtów, a zostało już nie więcej niż pięćdziesiąt flaszek, o ile Firbank się nie myli.

- Papo...

- Nie odzywaj się do mnie! - Wyładował na niej swój gniew, jak to często zdarza się ludziom słabym. - Nie mam cierpliwości dłużej z tobą rozmawiać! I co na to wszystko powie twoja matka?

- Nie powtórzysz jej tego przecież! - wykrzyknęła z lękiem Phoebe. - Prawda, że nie? Możesz napomknąć księciu, że moje uczucia okazały się inne, niż przypuszczałeś, a on się wtedy nie oświadczy. Jemu możesz, ale nie mamie...

- Jeśli stawiasz mnie w takiej sytuacji, mama musi to wiedzieć - odparował, natychmiast obracając jej przetrach na swą korzyść. - Będzie mi naprawdę przykro zdradzić jej, co tu zaszło między nami, ale jeśli będziesz się upierać przy swoim, nie widzę innego wyjścia. Dziecko, rozważ to ponownie. Salford nie miał jeszcze okazji, by się tobie naprawdę przyjrzeć; przynajmniej daj mu tę możliwość! Jeśli po kilku dniach jego pobytu uznasz, że nadal zupełnie nie potrafisz go polubić, wtedy porozmawiamy o tym ponownie. Na razie nic mamie nie powiem, a i ty jej o tym nie wspominaj.

No, zdaje mi się, że trochę cię uspokoiłem. - Poklepał ją po ramieniu. - A teraz idź już, bo inaczej księżę zejdzie na dół przede mną. Nie gniewam się na ciebie, bo choć miewasz dziwne pomysły, to w rzeczy samej dobra z ciebie dziewczyna, która wie, że może zdać się na swego ojca.

Wyszła bez słowa. Lord Marlow uznał optymistycznie, że udało mu się córkę przekonać, jednak prawda była inna, mianowicie Phoebe знаła go zbyt dobrze, by dalej naciskać. Jego niechęć do wszelkich komplikacji była silniejsza niż miłość do dzieci, a jeśli chodzi o owo zdanie się na niego, to mogła być pewna, że jeszcze przed snem wyjawii treść rozmowy żonie. Oczywiście nie chciałby córki do niczego zmuszać, ponieważ to też byłoby dlań niemiłe, ale przecież mógł posłużyć się w tym celu żoną, samemu umywając ręce.

W tej sytuacji Phoebe musiała do rana obmyślić takie wyjście z kłopotliwej sytuacji, które uchroniłoby ją przed atakiem lady Marlow. Miała bardzo mało czasu, a nie mogła oczekiwać pomocy od nikogo w Austerby. Gdyby poprosiła o nią pannę Battery, niemal z pewnością naraziłaby guwernantkę na utratę pracy, otrzymanie jak najgorszych referencji i kłopoty ze znalezieniem następnej. Mogła liczyć na Toma, lecz cóż on właściwie miałby dla niej zrobić? Jediną osobą naprawdę władną udzielić jej realnego wsparcia była jej babka. Co prawda, Phoebe nie znała jej zbyt blisko, gdyż rzadko u niej bywała, lecz nie wątpiła, że jest przez nią lubiana - w odróżnieniu od lady Marlow, której lady Ingham najserdeczniej nie znosiła. Gdyby Austerby leżało niedaleko Londynu, Phoebe bez chwili wahania uciekłaby się pod opiekę babki. Londyn jednak znajdował się w odległości całych dziewięćdziesięciu mil. Pisanie listu miało się z celem, gdyż trudno było oczekiwać, by mająca problemy ze zdrowiem niemłoda dama przybyła do hrabstwa Somerset w samym środku zimy celem ratowania wnuczki, gdyby zaś zaczęła załatwiać sprawę na odległość, nic by z tego nie wynikło. Babcia już parę razy udowodniła, że w bezpośrednim starciu z lady Marlow potrafi postawić na swoim, jednak gdyby obie strony ograniczyły się do wymiany listów, macocha bez trudu przeprowadziłaby swą wolę.

Snując takie refleksje, Phoebe popadała w coraz większe przygnębienie, przypomniawszy jej się wszakże, że ma się spodziewać odwiedzin Toma jeszcze tego wieczoru, a wtedy nadzieja w niej odżyła. Zaczęła snuć plany, które tak dalece ją zaabsorbowały, że zupełnie zapomniała o poleceniu macochy. Miała przyjść do jej garderoby, gdy tylko zakończy własną toaletę, a zamiast tego udała się do galerii, gdzie rodzina miała uciążliwy⁷ i nudny zwyczaj zbierać się przed każdym wspólnym posiłkiem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W galerii znajdował się już Sylvester, zupełnie sam, zajęty przeglądaniem jakiegoś periodyku. Stał przed kominkiem, w którym ogień pełgał ospale, za to dym wydobywał się z niego co i rusz. Książę był ubrany z właściwą sobie dyskretną elegancją w czarny surdut i spodnie oraz gładką białą kamizelkę. Za ozdobę służył mu tylko łańcuszek od dewizki, pojedynczy brylant w szpilce widocznej między fałdami fularu oraz ciężki herbowy sygnet. Nie hołdował żadnym ekstrawaganckim zwyczajom najmodniejszych dandysów, wyglądał jednak niezmiernie szykownie, a nienaganny krój jego surduta spowodował, że Phoebe poczuła się jeszcze bardziej niegustownie ubrana niż zazwyczaj.

Nie spodziewała się go tu zobaczyć, zatrzymała się więc gwałtownie.

— Och! - wyrwało jej się mimowolnie.

Nieco zaskoczony, uniósł wzrok. Odłożył periodyk i odezwał się uprzejmie:

— Zły to gość, który przychodzi na posiłek przed gospodarzem, nieprawdaż? Pozwoli pani, że przysunę dla niej krzesło do kominka. On trochę kopci, zapewne nie na tyle jednak, by komuś z domowników to przeszkadzało.

Przytyk był lekki, lecz nie umknął uwagi Phoebe. Z ociąganiem weszła do wąskiego, długiego pomieszczenia i usiadła na krześle, które książę ustawił niedaleko paleniska.

- Wszystkie kominki w Austerby kopcą, gdy wiatr wieje z północnego wschodu - wyjaśniła.

Nie miał powodu, by wątpić w słuszność tego oświadczenia, gdyż kominek w jego sypialni dostarczył mu wystarczająco dużo dowodów na jego prawdziwość.

- Cóż, widać każdy dom ma swoje osobliwości.

- A w pana domu żaden kominek nie kopci?

- O ile pamiętam, też im się to zdarzało, jednak udało się temu zaradzić - odparł, starając się nie pamiętać, jak często przysięgał w desperacji, zastawszy hol w Chance pełen gryzącego dymu, że wyrzuci średniowieczny kominek i wstawi nowoczesny.

- To miał pan szczęście - zauważyła.

Zapadła cisza. Panna Marlow wpatrywała się roztargnionym wzrokiem w inkrustowaną serwantkę, a jego książęca mość, nieprzywykły do takiego traktowania, przyglądał jej się z narastającą urazą. Już miał wrócić do czytania gazety, powstrzymała go przed tym jedynie myśl, że czyjś brak wy-

chowania nie stanowi najmniejszego powodu, by on zapomniał o dobrych manierach. Odezwął się tonem kogoś próbującego ośmielić wstydliwą pensjonarkę:

- Pani ojciec, panno Marlow, wspomniał, że jest pani wyśmienitą amazonką.

- Doprawdy? O panu zaś powiedział nam, że w Heythrop prowadził pan wszystkie gonitwy i pozostali nie mogli za panem nadążyć.

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem, lecz po chwili uznał tę uwagę za wynikającą z braku bystrości i obycia.

- Nic takiego nie miało miejsca, nie muszę chyba tego pani mówić.

- Oczywiście, że nie.

Niemal podskoczył z wrażenia. Nieuprzejmość jej zachowania była w rzeczywistości zamierzona! To obudziło nie tylko jego oburzenie, ale i zainteresowanie. Owa niepozorna panienska z prowincji mogła posiadać ukryte walory, choć nie pojmował przyczyny, dla której miałyby wygłaszać tak złośliwe uwagi. Jeśli wciąż czuła się urażona jego niemożnością przypomnienia sobie, gdzie z nią tańczył, to posunęła się za daleko - czyżby przypuszczała, że on będzie pamiętał każde nic nieznaczące dziewczę, z którym musiał z grzeczności raz zatańczyć? I cóż ona sobie wyobrażała, znowu popadając w milczenie i traktując go obojętnie? Spróbował zmienić taktykę.

- Panno Marlow, teraz pani kolej, by zaproponować temat konwersacji.

Przeniosła spojrzenie z serwantki na Sylvestra i popatrzyła na niego zupełnie beznamiętnie.

- Ja przecież nie prowadzę z panem żadnej konwersacji - oznajmiła zdecydowanie.

Zupełnie nie wiedział, czy ma się roześmiać, czy obrazić. W każdym razie zdołała go zaintrygować, uznał więc, że choć z całą pewnością nie zamierza ubiegać się o rękę tej okropnej panny, to byłoby ciekawie wy badać, co się kryje (jeśli w ogóle cokolwiek) za tymi zdumiewającymi manierami, gdy do galerii weszła lady Marlow. Ujrawszy gościa, uczyniła uwagę, że przyszedł za wcześnie, co zirytowało go na tyle, iż odparł:

- Proszę za to winić wiatr z północnego wschodu.

Gospodyni nie pojęła intencji gościa.

- Pan się myli, książę, nie zamierzam szukać winnych. Doprawdy, dobrze się składa, że przyszedł pan nie w porę. Moja pasierbica zabawia pana rozmową, jak widzę. Ciekawe, czego wasza konwersacja dotyczy.

- Trudno powiedzieć, by dotyczyła czegokolwiek - zauważył Sylvester. - Właśnie usłyszałem od panny Marlow, że nie prowadzi ze mną żadnej konwersacji. - Mówiąc to, zerknął na Phoebe, która posłała mu spojrzenie tak pełne wyrzutu, że postarał się osłabić wymowę swoich słów, dodając ze śmiechem: - W rzeczy samej panna Marlow weszła tu zaledwie przed minutą, nie zdążyliśmy więc porozmawiać.

- Moja pasierbica jest nieśmiała - odparła lady Marlow, obrzucając Phoebe karcącym wzrokiem.

Sylvester uświadomił sobie, że panna bynajmniej nie sprawiała wrażenia nieśmiałej, gdy tylko ochłonęła z pierwszego zaskoczenia. Według lady Ingham nie była osobą przeciętną, może więc kryło się w niej więcej, niż zdołał dotąd zaobserwować? Ponieważ nie czyniła żadnych wysiłków w celu zainteresowania go sobą, nasunął mu się wniosek, że nie zdawała sobie sprawy z prawdziwego celu jego przyjazdu. W takim razie mógł, uciekając się do swego wdzięku, spróbować wyciągnąć ją z tego dziwnego skrepowania, gdyż niczym mu to nie groziło. Obdarzył ją uśmiechem i rzekł:

- Pozostaje mi jedynie mieć nadzieję, że nie okaże się zbyt nieśmiała, by prowadzić ze mną konwersację, gdy już się nieco lepiej poznamy.

Nim jednak kolacja dobiegła końca, wszelkie pragnienie poznania Phoebe lepiej opuściło go, nie zostawiając po sobie nawet śladu, a jedyne, czego Sylvester naprawdę chciał, to znaleźć pretekst, by wyjechać z Austerby nie później niż następnego ranka. Męczył się podczas tego ciągnącego się w nieskończoność posiłku, z trudem znosząc monolog gospodyni, apodyktycznym tonem omawiającej tak istotne kwestie, jak rozliczne uchybienia ostatniego administratora parafii, świątobliwość lokalnego biskupa, upadek współczesnych obyczajów oraz poszanowanie tradycji w domu jej drogiego ojca. W przerwach monologu musiał wysłuchiwać ciągu myśliwskich wspominków gospodarza. Brwi Sylwestra unosiły się coraz wyżej i wyżej, nadając jego twarzy ironiczny wyraz, którego nie silił się ukrywać. Jeszcze nigdy nie spotkał się z podobnym traktowaniem! Zazwyczaj przyjęcie zaproszenia do znajomych oznaczało, że znajdzie

się w miłym i liczonym gronie, zaś gospodarze dołożą wszelkich starań, by dostarczyć gościom rozrywek i zajęć. Można było polować lub strzelać do rzutków, przy złej pogodzie grać w wista lub bilard, bawić się w przebieranki i żywe obrazy, tańczyć na pospiesznie zaimprovizowanych balach oraz gorliwie flirtować z najładniejszymi z dam. Tak właśnie zabawiał swoich własnych gości, a było to dlań tak oczywiste, że nigdy nawet nie podejrzewał, ile wysiłku kosztowało zapraszające go osoby podjęcie go w równie królewski sposób i zapewnienie mu tak urozmaiconych rozrywek. Rozumiał wszak aż nadto dobrze, że w Austerby popełniono ogromną gafę, nie dbając zupełnie o to, by umilić mu pobyt, skazując go na kolację jedynie w towarzystwie domowników, po posiłku

oferując wista z jakimiś dwoma obcymi panami, a za kilka dni obiecując wielką łaskę spotkania samego biskupa Bath i Wells.

Gospodyni podejmowała go tak, jakby wyświadczała mu tym wielką łaskę, a coś takiego spotkało go po raz pierwszy w życiu. Sylvester gardził pochlebstwami, nie lubił służalców, nie oczekiwał (przynajmniej świadomie) specjalnych względów, ale traktowanie go protekcjonalnie kompletnie wyczerpało jego cierpliwość.

W jego sypialni nie dało się wytrzymać z powodu wydobywającego się z kominka dymu, woda w miedzianym dzbanie okazała się ledwo ciepła, musiał więc wysłać własnego służącego do kuchni po ukrop, najstarsza córka gospodarzy nie wypowiedziała więcej niż pół tuzina zdań, odkąd weszli

do jadalni, a posiłek był równie długi, jak nienadzwyczajny i tylko o winie nie dało się powiedzieć złego słowa.

Kiedy lord Marlow, obiecując mu kilka robrów pikiety późniejszym wieczorem, zaprowadził go do bawialni, Sylvester pogodził się już z faktem, że przyjdzie mu spędzić nadzwyczaj nudny wieczór, lecz gdy jego wzrok padł na surową damę, odzianą w suknię z czarnej krepy i siedzącą sztywno na krześle nieco odsuniętym od pozostałych, otaczających półkołem kominek, zrozumiał, że czekało go coś znacznie gorszego, niż to sobie wyobrażał. Oprócz owej damy o nieprzystępnym wyrazie twarzy do towarzystwa dołączyły dwie panienki, starsza nad wyraz żywotna, o jasnej karnacji i niebieskich, nieco zbyt wypukłych oczach ojca, młodsza nieśmiała, o niezdrowej cerze, nieodważająca się mówić głośniejsz niż szeptem i przy lada okazji oblewająca się szkarłatnym rumieńcem. Lady Marlow przedstawiła mu córki, lecz dama w czerni nie dostąpiła już tego zaszczytu. Sylvester odgadł więc, że musiała to być guwernantka, i postanowił pokazać gospodyni, co myśli o jej kompletnym braku manier. Z najbardziej ujmującym uśmiechem skłonił się lekko pominiętej przy prezentacji damie, po czym skierował pytające spojrzenie ku lady Marlow, która nie mogła tego zignorować.

- Och, to panna Battery, guwernantka mych córek - rzuciła lekceważąco. - Proszę usiąść z nami przy kominku, mości książę.

On jednak wolał usiąść bliżej damy w czerni niż zgromadzonej przy ogniu rodziny. Uczynił jakąś grzeczną uwagę, guwernantka odpowiedziała spokojnie, choć jakby odrobinę szorstko, ani na moment nie spuszczał z niego przenikliwego spojrzenia, które mogło nieco wytrącać z równowagi.

Lord Marlow, przystępny i dobroduszny dla służby, nieświadomie podsycił niezadowolenie żony, odzywając się pogodnie:

- Panno Battery, jeszcze pani nie widziałem po powrocie do domu. Jakże się pani miewa? Chociaż nie, niepotrzebnie pytam, pani zawsze jest zdrowa jak rydz.

Sylvester skorzystał z okazji, by kontynuować rozmowę, spytał więc, czy jest może spokrewniona z rodziną o tym samym nazwisku mieszkającą w Norfolk.

- Nie sędzę - odparła. - Nie słyszałam o nich, dopóki wasza książęca mość nie raczył o nich wspomnieć

Nie zdziwiło go to, gdyż owa rodzina istniała wyłącznie w jego imaginacji, lecz pytanie odniosło dobry skutek, ponieważ przełamało pierwsze lody. Panna Battery, jakby nieco udobruchana, zdradziła, że pochodzi z Hertfordshire. W tym momencie lady Marlow przerwała niegrzecznie, mówiąc głośno, że gość zapewne zechce posłuchać muzyki i gestem zapędziła Phoebe do fortepianu.

Panna grała zupełnie bezduszenie, lecz ponieważ ani jej ojciec, ani macocha tak naprawdę nie znali się na muzyce, byli ukontentowani jej występem tak długo, jak nie zapominała nut albo nie trafiała w niewłaściwe klawisze. Sylvester również nie był zbyt muzykalny, wielokrotnie jednak miał możliwość

słyszeć najlepszych wykonawców, z łatwością przyszło mu więc ocenić, że Phoebe nie ma talentu ani wyczucia. Pocieszał się myślą, że przynajmniej nie grała na harfie, gdy jednak posłuszna życzliwym naleganiom ojca zaśpiewała słabym głosem jakąś nudną starą balladę, szybko doszedł do wniosku, że z dwojga złego chyba jednak wolałby harfę niż jej śpiew.

O wpół do dziewiątej młodsze panienki opuściły towarzystwo pod opieką guwernantki, następne pół godziny upłynęło na zdawkowej rozmowie, o dziewiątej podano herbatę. Sylvester domyślił się, że koszmarny wieczór powoli dobiega końca i szczęśliwie się nie pomylił. O wpół do dziesiątej lady Marlow oznajmiła, że w Austerby chodzi się spać wcześniej, oficjalnym tonem życzyła mu dobrej nocy i oddaliła się, zabierając ze sobą Phoebe. Gdy weszły na schody, macocha stwierdziła z zadowoleniem, że wieczór udał się znakomicie, a książę jej się całkiem podobał, choć sprawiał wrażenie osoby hołdującej nowomodnym obyczajom.

- Jutro na pewno nie będzie pogody do polowania, tak mówi twój ojciec - ciągnęła. - Jeśli tylko nie zacznie padać śnieg, zaproponuję księciu, by udał się na przechadzkę razem z tobą i twymi siostrami. Oczywiście będzie wam towarzyszyć panna Battery, dostanie jednak wskazówkę, by w stosownym momencie została nieco z tyłu wraz z dziewczynkami. Zakażę jej też stanowczo takiego wysuwania się na pierwsze miejsce. To, co zrobiła dziś po kolacji, było po prostu niesłychane!

Jeszcze parę godzin temu ten plan przejąłby

Phoebe trwoga, teraz jednak mogła go słuchać z zupełnym spokojem, gdyż zamierzała opuścić Austerby, zanim zostanie on zrealizowany. Na piętrze rozstała się z macochą i poszła do swego pokoju, wiedząc, że Susan i panna Battery nie omieszkają do niej przyjść. Dopiero po ich wizycie będzie mogła bezpiecznie udać się do salonu, w którym miał na nią czekać Tom.

Udało jej się szybko pozbyć siostry, lecz guwernantka nie spieszyła się z odejściem. Usiadła w nogach łóżka, wsunęła dłonie w rękawy grubej wełnianej podomki i powiedziała Phoebe, że nie była sprawiedliwa w ocenie księcia Salforda.

- Chyba go nie polubiłaś, Sibby?!- wykrzyknęła Phoebe.

- Nie znam go na tyle, by móc go polubić, na pewno jednak nie wzbudził mojej niechęci. Nie mam powodu, by myśleć o nim źle, potraktował mnie nadzwyczaj grzecznie.

- Tak, żeby zrobić na złość mamie - zauważyła bystro Phoebe. - Od początku wieczoru starał się przytrzeć jej nosa.

- Trudno go za to winić. Oczywiście nie powinnam tego mówić, ale sama wiesz, jaka jest prawda. Księżę ma też czarujący uśmiech.

- Nie zauważyłam.

- A ja tak. Gdybyś ty również to spostrzegła, nie uprzedziłabyś się do niego aż do tego stopnia. Co więcej, zniósł twoją grę jak prawdziwy dżentelmen - dodała z całą szczerością. - Chyba naprawdę zamierza się oświadczyć, skoro poprosił, byś wykonała jeszcze jeden utwór.

Panna Battery posiedziała jeszcze przez kilka minut, lecz ponieważ Phoebe okazała się głucha na wszelkie pochwały dotyczące gościa, postanowiła na razie zostawić sprawę własnemu biegowi i wyszła. Po pewnym czasie Phoebe wymknęła się z pokoju i udała się do zachodniego skrzydła. Znajdował się tam pokój szkolny, pokoje dziecinne, kilka sypialni oraz salon przedpołudniowy - dość zaniedbany i mimo szumnej nazwy w ostatnich czasach najczęściej używany jako zwykła szwalnia. Na środku okrągłego stołu stała pojedyncza lampa olejna, a przy jej słabym świetle Thomas Orde czytał „Księgę gospodarstwa domowego”, gdyż była to jedyna lektura, jaką znalazł w pomieszczeniu. Musiała mu jednak przypaść do gustu, bo na widok wchodzącej przyjaciółki uniósł głowę z szerokim uśmiechem i powiedział:

- Cóż za wspaniała książka, na honor! Możesz się z niej dowiedzieć, jak zakonserwować flaki, żeby w znakomitym stanie dotarły do Wschodnich Indii, co niezaprzeczenie jest wiedzą niezbędną do życia. Posłuchaj. „Weź świeże flaki...”

- Faj! - wzdygnęła się Phoebe, starannie zamykając drzwi. - Obrzydliwe! Odłóż to natychmiast.

- Wszystko w swoim czasie. Skoro nie pragniesz zgłębiać kwestii flaków, to co powiesz na „Wyborne danie na głów sześć do siedmiu za jedyne sześć pensów”? W sam raz na książęcy stół, śmiem twierdzić. Otóż przyrządza się je z płuczek cielęcych, chleba, łożu, owczej kiszki...

- Co ty wygadujesz? - zbesztala go. - Natychmiast przestań czytać te głupstwa!

- Solidnie wymytej - ciągnął Tom. - Jeśli nie lubisz kiszki owczej, możesz wziąć wieprzową...

W tym momencie Phoebe złapała książkę. Przez chwilę każde ciągnęło w swoją stronę, po czym Tom puścił.

- Na miłość boską, nie śmieć się tak głośno - poprosiła Phoebe. - Po przeciwnej stronie korytarza znajduje się pokój dziecinny. Och, Tom, nawet sobie nie wyobrażasz, jak straszny wieczór mam za sobą. Błagałam papę, by zniechęcił księcia i nakłonił go do wyjazdu, lecz to nic nie dało, tak więc muszę uciec.

Tomowi zrobiło się niewyraźnie, lecz mimo to mężnie podtrzymał ofertę, mówiąc:

- Obiecałem i słowa dotrzymam, możesz na mnie liczyć. Mam tylko nadzieję, że drogi na północy nie będą zasypane śniegiem. Dobrze, jedźmy do Gretna Green.

- Nie tak głośno! Jeśli obudzisz Elizę, a ona nas podsłucha, to wszystko powtórzy mamie, możesz być tego najzupełniej pewien. Nie myślę o potajemnym ślubie - oznajmiła oburzonym szeptem. - Mam plan, przemyślałam go podczas kolacji. Muszę jechać do Londynu, do babci. Powiedziała mi kiedyś, że gdybym potrzebowała pomocy, zrobi dla mnie wszystko, co tylko będzie możliwe... Wręcz jestem pewna, że ona stanęłaby po mojej stronie, gdyby tylko wiedziała, co się dzieje. Rzecz jednak w tym, że... Widzisz, mama kupuje mi wszystkie ubrania i zezwala mi mieć bardzo niewiele własnych pieniędzy. Czy mógłbyś... Czy pożyczysz mi pieniądze na dyliżans? Przejazd kosztuje trzydzieści

pięć szylingów, jak mi się zdaje, trzeba ponadto opłacić...

- Dam ci tyle, ile zechcesz - przerwał jej - ale przecież nie pojedziesz do Londynu dyliżansem. Nie mówisz tego poważnie.

- Jak najpoważniej. Nawet gdyby było mnie stać na karete pocztową, nie mogłabym nią jechać. Najpierw musiałabym ją wynająć, potem zmieniać konie na kolejnych stacjach pocztowych... Jak to sobie wyobrażasz? Nie zapominaj, że nie będę miała przy sobie żadnej osoby towarzyszącej, żadnej służby. Dlatego odbędę tę podróż znacznie bezpieczniej w zwykłym dyliżansie pośród innych podróżujących. Gdyby udało mi się zdobyć miejsce w jednym z tych specjalnych dyliżansów ekspresowych...

- Na to nie licz. Już w Bath są pełne i zabierają tylko osoby z listy pasażerów, nie można do nich po prostu wsiąść po drodze. W dodatku, skoro za Reading śniegi są tak głębokie, jak słyszałam, to dyliżanse i tak teraz nie kursują.

- Trudno. Pojadę zwykłym dyliżansem, a w takim miejsce znajdzie się na pewno, gdyż przy tej pogodzie niewiele osób będzie skłonnych podróżować, o ile nie zmusi ich do tego pilna sprawa. Już się zdecydowałam. Muszę opuścić Austerby, nim ktokolwiek zdoła temu zapobiec, czyli jutro o świcie. Potrzebowałabym dostać się do Devizes, ono jest bliżej niż Calne i z całą pewnością wiedzie tamtędy trasa do Londynu. Wzięłabym ze sobą tylko sakwojaż i może pudło na kapelusze, więc gdybyś... Tom, czy sądzisz, że mógłbyś zawieźć mnie do Devizes swoim gigiem?

- Przestań się certować! - ofuknął ją surowo. - Zawiozę cię wszędzie, dokąd tylko zechcesz, ale jest pewien poważny szkopuł. Nie myśl, że próbuję cię zniechęcać, lecz przez tę przeklętą pogodę twój plan może się nie powieść. Napytasz sobie prawdziwej biedy, jeśli nie uda ci się dotrzeć dalej niż do Reading. To się łatwo może zdarzyć, a wtedy tam utkniesz i nieprędko się wydostaniesz. Dopiero będziesz miała się z pyszna!

- Nie, już o tym pomyślałam. Jeśli dyliżans spróbuje pojechać dalej, to zostanę w nim, a jeśli drogi okażą się zupełnie nieprzejezdne, też sobie poradzę. Pamiętasz Jane, która była moją opiekunką, kiedy byłam małą? Otóż wyszła za kupca zbożowego, moim zdaniem, to akurat bardzo zacny rodzaj handlu, i zamieszkała w Reading. W razie konieczności będę więc mogła zostać u niej, dopóki śniegi nie stopnieją.

- Miałabyś mieszkać w domu kupca? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Dobry Boże, a czemuż by nie? Ten człowiek cieszy się bardzo dobrą opinią, a Jane na pewno zadba o mnie wspaniale, możesz być tego pewien. Wolisz, bym zatrzymała się w zajezdzie?

- Nie, bynajmniej. Wszakże... - Urwał. Chociaż plan Phoebe budził jego wątpliwości, sam nie potrafił wymyślić lepszego.

Zaczęła go przekonywać, przedstawiając mu korzystne strony swego pomysłu, jak również ponure konsekwencje pozostania w Austerby. To drugie rozumiał doskonale, Phoebe potrzebowała jednak trochę czasu, by zmienić jego pogląd na

temat samotnej podróży dyliżansem do Londynu. Skapitulował dopiero wtedy, gdy zdecydowała się iść do Devizes piechotą, skoro on ma obiekcje i nie chce jej zawieźć. Nie pozostało nic innego, jak ustalić szczegóły ucieczki, co nie zabrało im wiele czasu. Tom obiecał czekać o siódmej rano w alei biegnącej obok bocznej bramy Austerby, która prowadziła na pola, Phoebe ze swej strony zobowiązała się nie spóźnić i tak się rozstali - ona pewna powodzenia swego planu, on pełen „niepokoju.

Phoebe stawiała się na spotkanie punktualnie, Tom nie. Przez dwadzieścia stresujących minut przechadzała się po alei w tę i z powrotem wzdłuż chroniącego ją od wiatru żywopłotu, a rozszalała wyobraźnia podsuwała jej obrazy najróżniejszych nieszczęść, jakie mogły spaść na przyjaciela. Najbardziej prawdopodobne było to, że zasnął, co budziło nie tylko jej zdenerwowanie, ale i gniew.

Kiedy się ubierała i pośpiesznie wciskała do sakwojażu nocną koszulę, jeszcze trwała noc, lecz o siódmej rano było już jasno i lada moment mogła się tu natknąć na fornała czy parobka ze wsi. Dzień był ponury, z północy wiał zimny wiatr, graba powłoka chmur na niebie nie wróżyła nic dobrego. Irytacja i obawy Phoebe rosły z każdą chwilą, jednak znikły bez śladu, gdy ze zdumieniem ujrzała Toma powożącego nie lekkim gigiem, lecz kariolką, do której zaprzężono dwa krzepkie gniadosze.

Zatrzymał się obok przyjaciółki i bez zbędnych wstępów kazał jej podejść na przód zaprzęgu i przytrzymać konie. Posłuchała, lecz gdy odrzucił

przykrywający mu nogi pled i zeskoczył na drogę, zarzuciła go uwagami:

- Czemu wzięłaś kariolkę? Nie powinieneś był tego robić. Nic nie rozumiem!

Wstawił do kariolki jej sakwojaż

- A moim zdaniem, zrobiłem dobrze. Pewnie już myślałaś, że nigdy nie przyjadę? Przepraszam za spóźnienie, ale musiałem zawrócić do domu. Czekał, pudło na kapelusze włożymy pod siedzenie. - Wepchnął je tam, po czym szybko podszedł do Phoebe. - Teraz ja je przytrzymam. Wskakuj i bierz lejce, ale uważaj! Konie stały w stajni, odkąd ojciec wyjechał, więc aż je ponosi. Aha, znajdziesz tam stary płaszcz mego ojca, narzucić go na siebie i porządnie okryj nogi pledem. I nie dyskutuj, bo szkoda czasu! - dorzucił.

Zrobiła, jak jej polecił, lecz była tak zdumiona, że gdy tylko usiadł obok i wziął od niej cugle, spytała:

- Czyś ty oszalał, Tom? Co, na litość...

- Oczywiście, że nie oszalałem. Wczoraj zachowałem się jak kiep, nie pojmując, co właściwie powinienem zrobić. To przecież było jasne jak słońce, ale nie wpadłem na to. Przez całą noc nie spałem/chodziłem z kąta w kąt, rozważając sprawę. Dopiero kiedy znalazłem się za bramą, zrozumiałem, zawróciłem gig, napisałem list do matki i wzięłem kariolkę...

- Ale dlaczego? - przerwała mu.

- Ponieważ sam zawiozę cię do Londynu - odparł krótko.

Ogarnęło ją uczucie wdzięczności, lecz w chwilę później opadły ją wyrzuty sumienia.

- Nie, Tom, nie możesz tego zrobić.

- Cóż prostsze? Gniadosze dadzą radę przebiec dwa etapy, pewnie zdołają i więcej, jeśli nie będę ich zbyt poganiał. Potem będę musiał wynająć konie pocztowe, jednak jeśli w Reading okaże się, że drogi nie są mocno zasypane, powinniśmy zjechać do Londynu późnym wieczorem. Oczywiście nie będę się na to porywał, gdy usłyszymy w Reading niepomyślne wieści. Wtedy zawiozę cię do tego kupca zbożowego, a sam zatrzymam się w zajeździe. Jedyne kłopot w tym, że zmarzniesz, bo jest naprawdę zimno.

- Och, to bez znaczenia! Tom, doprawdy nie jestem pewna, czy powinieneś to robić. Może lepiej...

- A dla mnie jest bez znaczenia, co o tym myślisz - odparł. -T tak to zrobię.

- Ale twój ojciec...

— Mój ojciec z pewnością nie życzyłby sobie, bym pozwolił ci jechać samej. Mama też nie będzie się o to krzywić, bo zostawiłem list, w którym wyjaśniłem co i jak. Nic się nie przejmuj, nie napisałem, dokąd cię zabieram. Muszę cię uratować przed księciem, pewnie przez jakiś czas nie będzie mnie w domu, tyle tylko zdradziłem. Wszystko pójdzie jak z płatka, zobaczysz.

Phoebe nie była do końca usatysfakcjonowana jego poczynaniami, ponieważ jednak nie było szans, by odwieść Toma od jego pomysłu, a w dodatku lepiej było podróżować do Londynu w jego towarzystwie niż samej, powstrzymała się od wytaczania dalszych argumentów.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił, trafnie odczytując jej milczenie. - No i proszę, wplątaliśmy się w coś, co nazywają niezłą kabałą. Oby tylko nie zaczęło padać. Nie podoba mi się wygląd tego nieba, i to ani trochę.

- Mnie też nie, lecz jeśli dotrzemy do Reading, nie będę się już o nic martwić, bo gdyby się nawet wydało, w którą stronę się udaliśmy, nikt nas tam nie będzie szukał.

- Och, dojedziemy do Reading bez żadnego kłopotu - zapewnił beztrąsko Tom.

Odetchnęła głęboko, po czym rzekła z wdzięcznością:

- Tom, nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem ci zobowiązana. Szczerze powiedziawszy, wcale nie miałam wielkiej ochoty na samotną podróż do Londynu. Na szczęście teraz mogę być zupełnie spokojna.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W Austerby podawano śniadanie o dziesiątej, czyli zdaniem Sylvestra co najmniej o godzinę za wcześnie. Zazwyczaj w wiejskich dworach, gdy bawili w nich goście, serwowano pierwszy posiłek o jedenastej, czasem nawet w południe. Lady Marlow doskonale o tym wiedziała, oznajmiła jednak księciu, że nie pochwała tej nowej mody. Sylvester, dla którego zwoływanie wszystkich do stołu jak na rozkaz za pomocą dzwonka było wręcz obraźliwe, skwitował tę informację lekkim uśmiechem i grzecznym skinieniem głowy, powstrzymał się jednak od komentarza.

Nie minęło wiele czasu, gdy lord Marlow zaczął się głośno zastanawiać, gdzie też podziwiała się jego najstarsza córka. Żona, starannie bacząc na słowa, wysunęła przypuszczenie, że Phoebe udała się na poranny spacer.

- Udała się na spacer - powtórzył ze śmiechem lord Marlow. - Ona? Prędzej pobiegła do stajni.

Muszę ci powiedzieć, księżę, że nie ma żadnego sposobu, by trzymać tę dziewczynę z dala od koni. Powinieneś zobaczyć, jak jeździ. Ma znakomitą postawę, ba, nawet ręce trzyma dobrze, wielu o tym zapomina. Na pewno nie widziałeś innego jeźdźcy, który jest tak mały, a tak zapalczywy. Nie ma potrzeby jej pouczać, co to znaczy dać z siebie wszystko. Nic jej nie straszne, zagon, bruzda, ostry zakręt, podwójne ogrodzenie... dla niej to za jedno. Ba, widziałem raz nawet, jak leżała w rowie i obeszło ją to tyle, co nic.

Nieświadom wysiłków małżonki, która próbowała pochwycić jego spojrzenie, opowiadałby tak jeszcze długo, gdyby do salonu nie wszedł Firbank z wiadomością, że pani Orde pragnie z nim porozmawiać.

Pan domu był zaskoczony, a jego żona jeszcze bardziej.

- Ona zapewne chce zobaczyć się ze mną -zawyrokowała autorytatywnie. - Nie rozumiem, czemu nachodzi nas o tak wczesnej porze. To niestosowne. Firbank, przekaz pani Orde, że teraz jem śniadanie, lecz przyjmę ją niebawem.

Kamerdyner oddalił się, rychło jednak wrócił ze znękanym wyrazem twarzy. Pulchna, bystrooka dama niemal deptała mu po piętach.

- Zechcą mi państwo wybaczyć, ale jestem zmuszona narzucić się z mym towarzystwem bez dalszej zwłoki - odezwała się pani Orde, wyraźnie znajdująca się pod wpływem silnych emocji. — Sprawa jest tak wielkiej wagi, że nie mogę czekać.

- Ależ nie ma takiej potrzeby. Miło mi panią powitać - odparł pospiesznie lord Marlow.— Jestem zawsze do pani usług. Chciała pani ze mną rozmawiać... - Tak. W sprawie niecierpiącej zwłoki. Pańska córka, sir, uciekła z moim synem!

Wszyscy oniemieli na to oświadczenie, czemu

I trudno się dziwić. Nie czekając, aż słuchacze ochłoną z szoku, pani Orde dała pełen upust najgłębszemu wzburzeniu.

- Nie pojmuję, skąd takie zdziwienie na pani twarzy! - oznajmiła, obrzucając oskarżycielskim spojrzeniem gospodynię. - Poruszyła pani niebo i ziemię, by to właśnie tak się skończyło. Ja od razu wiedziałam, do czego dojdzie, gdy tylko syn mi powiedział, jak go traktowano w tym domu przez ostatnie dni. Przemilczę, jak dalece pani zachowanie jest obraźliwe, pozwolę sobie wszakże powiedzieć, że jako rodzice niczego mniej sobie nie życzymy niż związku z pani rodziną. Jestem ogromnie przywiązana do Phoebe, to biedne, drogie dziecko, ale mam w stosunku do syna inne plany i na pewno nie figuruje w nich branie ślubu w wieku zaledwie dziewiętnastu lat.

- Baniałuki! Żadnemu z nich dwojga taka myśl na pewno w głowie nie powstała! - wykrzyknął lord Marlow, próbując powstrzymać ten potok słów.

Pani Orde rozprawiła się z nim szybko.

- Nie, dopóki pańska żona o to nie zadbała! - rzuciła z gniewem. - Gdybym to ja żywiła podejrzenia co do ich przyjaźni, to gdybym postąpiła tak jak ona, wyrzuciłabym sobie brak rozumu. I jaki jest efekt jej działań? Ano taki, jak można było z łatwością przewidzieć.

- Wielkie nieba! - odezwała się lady Marlow, przerywając pani Orde. - Lada moment zacznę wierzyć, że postradała pani zmysły. Wpadła pani w jakąś osobliwą furję jedynie dlatego, że moja pasierbica udała się (w co nie wątpię) na małą przejażdżkę z pani synem.

- Na małą przejażdżkę! - wykrzyknęła z nieskrywanym politowaniem pani Orde. - Ona uciekła z domu i sama jest pani temu winna, lady Marlow, ponieważ traktowała pani tę biedaczkę niczym niewolnicę. Och, nie mam cierpliwości dłużej z panią rozprawiać. Nie przyszedłam do pani, lecz do ojca Phoebe. Proszę to przeczytać! - zażądała kategorycznie i wcisnęła gospodarzowi do ręki kartkę papieru.

Gdy uważnie czytał kilka zdań, które Tom pospiesznie skreślił do matki, lady Marlow zaczęła się domagać, by natychmiast pokazał jej list, Sylvester zaś dyskretnie odszedł na bok i stanął przy oknie. Osoba taktowna skorzystałaby z okazji i w ogóle wycofałaby się z pokoju, nie miał co do tego wątpliwości. Mężnie przyjął fakt, że widać nie należy do ludzi taktownych, i zaczął się zastanawiać, czy też mógłby zerknąć na owo pismo, które wyraźnie wstrząsnęło lordem Marłowem.

Tom nabazgrał, co następuje:

Droga mammo!

Muszę wyjechać, nie żegnając się z tobą, lecz nie martw się, proszę. Biorę kariolkę ojca, nie będzie mnie przez parę dni, nie umiem powiedzieć ile. Sprawy w Austerby potoczyły się tak, że to się stało nie do zniesienia. Trzeba ratować Phoebe i jestem przekonany, że ty i tata zrozumiecie mnie, gdy

dowiecie się o wszystkim, i myślę, że robię słusznie, bo zawsze bardzo ją lubiliście.

Rumiane policzki lorda Marlowa bladły w miarę lektury. Pozwolił, by żona wyrwała mu list z ręki.

- T-to niemożliwe! - zawołał, jękając się z wrażenia. - Nie sposób dać temu wiary! Dokąd oni mogli się udać?

- Otóż to. Dokąd? - spytała pani Orde. - Właśnie to pytanie mnie tu przywiodło. Gdyby mój mąż nie przebywał teraz w Bristolu... Ale zawsze tak jest. Gdy mężczyzna jest naprawdę potrzebny, nigdy go nie ma.

- Nie pojmuję, cóż by ta wiadomość miała oznaczać - oznajmiła lady Marlow. - Nawet nie będę udawać, że rozumiem. Żywię poważne podejrzenia, że pan Thomas Orde musiał być pijany, gdy to pisał.

- Jak pani śmie?! - krzyknęła pani Orde, popatrując gniewnie.

- Nie, nie, oczywiście, że nie był! - wtrącił z ogromnym pośpiechem lord Marlow. — Moja duszko, gdybyś łaskawie zechciała... Bardzo to wyjątkowa sytuacja... Oczywiście nie ośmielam się sugerować...

- Och! - Pani Orde aż tupnęła nogą. - Niechże pan tak nie stoi jak kto niemądry, wygadując rzeczy bez ładu i składu! Czy dla pana nic nie znaczy, że pańska córka w tym momencie ucieka dokądś z mężczyzną? Musi pan za nimi jechać. Trzeba się dowiedzieć, dokąd się udali. Susan może coś wiedzieć. Albo panna Battery. Phoebe mogła się z czymś zdradzić, a nawet jeśli nie, to któraś z nich, znając ją lepiej niż pan, prędzej się domyśli, jakie miała plany.

Lady Marlow już zamierzała zbyć tę sugestię, lecz jej mąż, mając świeżo w pamięci wieczorną rozmowę z córką, był poważnie zaniepokojony. Zdecydował, że natychmiast należy posłać po Susan i guwernantkę, pospieszył do drzwi, zawołał Firbanka. Gdy ten udał się na górę, pani Orde ulżyła swym skołatanym nerwom i wylała z siebie wszelkie urazy, jakie uzbierały się w jej sercu przez długie lata. Bez ogródek powiedziała lady Marlow, co myśli o jej manierach, sposobie traktowania innych, gruboskórności oraz porażającej głupocie. Rozpętała się awantura, w którą włączył się lord Marlow. W całym zamieszaniu nikt już nie zauważał obecności Sylvestra, on zaś nie czynił nic, by o sobie przypomnieć. Jeszcze nie przyszła na to pora, choć miał nadzieję, że ten moment niedługo nastąpi. Na razie przysłuchiwał się iście mistrzowskiej tyradzie pani Orde, z wdzięcznością notując w pamięci kilka wyjątkowo smakowitych anegdot, ilustrujących przywary lady Marlow, której zachowanie w poszczególnych sytuacjach pani Orde pamiętała z najdrobniejszymi detalami przez wiele lat.

Uciszyło ją dopiero nadejście guwernantki, której towarzyszyła nie tylko Susan, ale i Eliza. Lady Marlow w tym jednym, jakże zrozumiałym, przypadku natychmiast postanowiła wyjątkowo pozbyć się Elizy, lecz gdy chciała odesłać ją na górę, panna Battery zaoponowała ponurym tonem:

- Uznałam za swój obowiązek przyprowadzić ją tutaj. Twierdzi, że wie, dokąd udała się jej siostra. Nie chce mi się w to wierzyć.

- Phoebe nigdy by nic nie powiedziała Elizie - poparła guwernantkę Susan. - A już na pewno nie wtedy, gdy przede mną nie zdradziła się ani słowem.

- Wiem, gdzie pojechała - upierała się Eliza. -I miałam to powiedzieć mamie, bo mamie trzeba mówić wszystko.

- Dobrze już, dobrze - przerwał jej z irytacją lord Marlow. - Skoro wiesz, to powiedz mi natychmiast.

- Uciekła z Tomem Orde'em do Gretna Green, papo.

Ta zdumiewająca informacja została wygłoszona tonem tak pełnym satysfakcji, że Susan nie wytrzymała i wykrzyknęła impulsywnie:

- Zmyślasz, ty mała wstrętne intrygantko!

- Susan, udasz się do mojej garderoby i zostaniesz tam, dopóki nie przyjdę - rozkazała lady Marlow.

Ku jej największemu zaskoczeniu, małżonek ujął się za starszą córkę.

- Nie, nie, trzeba rozwikłać tę sprawę. W tym, co mówi Sukey, jest sporo racji.

- Jestem tego samego zdania - wtrąciła panna Battery.

- Eliza nigdy mnie nie okłamała - stwierdziła z kolei lady Marlow.

- Skąd wiesz,, że pojechała do Gretna Green? -zwróciła się do dziewczynki pani Orde.—

Powiedziała ci?

- Nie, proszę pani - odparła Eliza z tak niewinną miną, że Susan aż zaświerzbiała ręką, żeby jej przyłożyć. - To był ich sekret, a mnie było przez to smutno, bo źle mieć sekrety przed mamą i papą, prawda, mamusiu?

- Tak, bardzo źle, kochanie - przytaknęła łaskawie lady Marlow. - Cieszę się, że przynajmniej jedna z naszych córek ma poczucie tego, co jest właściwe.

- Cieszę się, że przynajmniej jedna z naszych córek ma poczucie tego, co jest właściwe.

- Możliwe... - zgodził się lord Marlow bez większego entuzjazmu - Skąd o tym wszystkim wiesz, dziecko?

- Nie chcę opowiadać takich rzeczy o siostrze, ale Tom przyszedł się z nią zobaczyć wczoraj wieczorem.

- Przyszedł tutaj? O której?

- Nie wiem, papo. Musiało być już bardzo późno, bo spałam.

- Jak spałaś, to nie możesz nic o tym wiedzieć -przerwała jej starsza siostra.

- Nie odzywaj się, Susan! - zażądała lady Marlow.

- Obudziłam się - wyjaśniła Eliza. - Usłyszałam głosy w salonie przedpołudniowym. Pomyślałam, że to rabusie, i wstałam. Chciałam iść do papy i mu powiedzieć, to mój obowiązek, żeby papa mógł...

- Och, ty kłamliwy bachorze! - zawołała z oburzeniem Susan. - Gdybyś naprawdę myślała, że to rabusie, naciągnęłabyś kołdrę na głowę i trzęsła się ze strachu!

- Susan, czy mam powtórzyć mój rozkaz? - spytała zimno lady Marlow.

Tym razem starszą z dziewczynek wzięła w obronę panna Battery.

- Słusznie powiedziała. Elizie wcale o to nie chodziło. Nie ma w niej krztyny odwagi. Wstała z ciekawości.

- Och, jakież to ma znaczenie? - ucieła pani Orde. - Przynajmniej wiemy na pewno, że Tom widział się z Phoebe, nim wczoraj wieczorem wrócił

do domu. Lizzy, słyszałaś ich, jak rozmawiali w salonie, tak? A o czym rozmawiali?

- Tego nie wiem, proszę pani. Tom odezwał się głośno, akurat gdy miałam biec po tatę. Czyli to nie złodzieje, pomyślałam sobie. Tom powiedział, że oby na północy nie było śniegu na drogach i że jadą do Gretna Green.

- Dobry Boże! - wykrzyknął lord Marlow - Ci młodzi... A co Phoebe na to?

- Kazała mu być ciszej i nic już nie słyszałam, bo wróciłam do łóżka.

Susan nie wytrzymała ponownie.

- Na odwrót. Wróciłaś do łóżka, bo nie mogłaś już więcej nic usłyszeć - sprostowała.

- Bardzo dobrze zrobiłaś - pochwaliła młodszą córkę lady Marlow. - Jeśli uda się ocalić twoją siostrę od poniesienia straszliwych konsekwencji, będzie to zawdzięczała twemu poczuciu obowiązku. Jestem z ciebie niezmiernie zadowolona, Elizo.

- Za pozwoleniem, proszę pani - wtrąciła panna Battery. - Czemu w takim razie poczucie obowiązku nie kazało jej natychmiast przyjść do mojej sypialni i uprzedzić mnie, co się dzieje? Nie, nie waham się powiedzieć, że w owej opowieści nie ma nawet słowa prawdy.

Lord Marlow spojrzał na nią z nagłym ożywieniem.

- Zaiste, racja! Tak, ja też chciałbym to wiedzieć. Czemu nie pobiegłaś obudzić panny Battery, Lizzy? Przyznaj, nic takiego się nie wydarzyło, zwykłe bajki nam tu opowiadasz. No, słucham, mów!

Eliza zaczęła płakać.

- Nie opowiadam bajek.

- Na litość, sir! - wykrzyknęła pani Orde. - Jakże dziecko w takim wieku mogłoby samo wymyślić taką historię? Skąd mogłoby wiedzieć o Gretna Green? Nie, ja nie wątpię w jej słowa, bo właśnie to podejrzewałam. Cóż innego mógł mieć na myśli Tom, pisząc taki list? Skoro chciał uratować Phoebe, to jak inaczej niż przez zawarcie z nią ślubu? I gdzie mógłby go zawrzeć, będąc wciąż niepełnoletnim, jeśli nie w Szkocji? Dlatego błagam... zaklinam pana, sir, niech pan jedzie za nimi!

- Toż to oczywiste, że trzeba jechać za nimi! - wykrzyknął, purpurowiejąc. - Zaklina mnie pani, też coś! Nie ma takiej potrzeby! Moja córka uciekła do Gretna Green jak zwykła... Och, niech no oni tylko poczekają, aż ich dopadnę!

- Czekać na pana to oni nie będą - zauważyła cierpko pani Orde. - Jak pan ich już złapie - czego nie mogę być pewna, gdyż mają nad panem parę godzin przewagi, w dodatku postarają się unikać głównej drogi tak długo, jak się da - to proszę łaskawie nie zapominać, że mój syn jest bardzo

młody, dopiero niedawno ukończył szkołę, a ponadto działał, w co nie wątpię, z jak najbardziej rycerskich powodów.

W tym momencie, widząc, że gospodarz zupełnie o nim zapomniał i zamierza wybiec z salonu, Sylvester postanowił przypomnieć o swej obecności. Odszedł od okna, wrócił do reszty towarzystwa i odezwał się uspokajającym tonem.

- Wcale nie będzie ich tak trudno dogonić, jest wielce prawdopodobne, że utkną w jakiejś zaspie. Na północy śnieg pada już od kilku dni, o ile mi

wiadomo. Drogi lordzie Marlow, nim pan wyruszy w pogoń za zbiegami, niech będzie mi wolno się pożegnać. W tych okolicznościach zapewne wolą państwo dłużej mnie tu nie oglądać. Proszę przyjąć podziękowania za miłą gościnę, wyrazy ubolewania, że musi ona tak szybko dobiec końca oraz zapewnienie o mojej dyskrecji, choć o tym chyba zapewniać nie muszę. Pozostaje mi jeszcze tylko życzyć panu rychłego powodzenia pańskiej misji i nalegać, by nie odkładał pan dłużej wyjazdu z powodu mojej skromnej osoby.

Wygłosivszy tę gładką przemowę, książę podał rękę lady Marlow, złożył po lekkim ukłonie pani Orde i pannie Battery, po czym opuścił salon, nim zaskoczony gospodarz zdołał zdobyć się na cokolwiek więcej niż parę słów mało przekonującego protestu.

Swale, lokaj Sylwestra, człowiek o nienagannych manierach, przyjął wiadomość o natychmiastowym wyjeździe z pełnym szacunku ukłonem i doskonale opanowanym wyrazem twarzy. John Keighley jednakże, mocno przeziębiony, nie ukrywał swej opinii.

- Za nic nie dojedziemy do Londynu, wasza książęca mość, nie przy takiej pogodzie. Nie uda się, żeby nie wiem co - zaprotestował otwarcie.

- Co do tego się zgadzam. Ale nie powiesz mi chyba, że nie dotrzemy do Speenhamland? Jeśli tak, chętnie ci udowodnię, że się mylisz.

Składający ubrania księcia Swale dyskretnie odetchnął z ulgą. Speenhamland oznaczało pobyt w niezrównanym zajęździe „Pelikan”, słynącym zarówno z wygod, jak i z wygórowanych opłat.

I księciu, i jego służącym będzie tam dużo przyjemniej niż w Austerby.

Ta miła perspektywa nie zrobiła wszakże żadnego wrażenia na Keighleyu.

- To ponad trzydzieści mil stąd, wasza książęca mość - zaoponował. - Po drodze trzeba zmienić konie, a i forsyków także, bo nasi nie dadzą sobie rady, jak przyjdzie przedzierać się przez śnieg.

- Och, nie zamierzam jechać powozem, jest za ciężki i za wolny. Wezmę kariolkę. Aha, pojedziesz ze mną. Swale, ty udasz się za nami powozem i dopilnujesz chłopców, żeby oszczędzali konie i żeby nie trzeba było ich wymieniać na pocztowe. Jeśli dotrzecie do „Pelikana”, gdy nas już tam nie będzie, w ten sam sposób, bez pośpiechu, ruszycie do Londynu. Spakuj mi więc do jednego kufra wszystko, czego będę potrzebował na kilka dni.

- Jeśli wasza książęca mość woli, bym to ja jechał z nim kariolką, to chętnie służę - zapewnił Swale mało szczerze, za to bardzo dzielnie.

- Nie, Keighley bardziej mi się przyda w drodze. Wierny służący westchnął ciężko i udał się do stajni. Pół godziny później, pogodzony już z losem, siedział w kariolce obok chlebobawcy, ponuro popatrując na coraz bardziej złowroźnie wyglądające niebo. Okutał się szczelnie grubym pledem i co jakiś czas przytykał do nosa nasączoną kamforą chusteczkę. Kiedy książę, próbując go rozruszać, rzucił jakąś żartobliwą uwagę, odparł tylko:

- Tak, wasza książęca mość.

Ponowna próba wciągnięcia go w rozmowę również nic nie dała, gdyż odrzekł krótko:

- Trudno powiedzieć, wasza książęca mość.

- Trudno powiedzieć? W takim razie wyjaw to, co myślisz, czyli że jest diabelny mróz, a ja, jak szaleniec, upieram się jechać aż do „Pelikana”. Możesz to śmiało powiedzieć, ja się nie obrażę, tobie trochę ulży i wprawi cię w lepszy nastrój.

- Nie zniżę się do takich sposobów, wasza książęca mość - odparł z wielką godnością.

- Nie zamierzasz gderać? To coś nowego - zauważył wesoło Sylvester, a gdy i ta uwaga nie wywołała zamierzonego efektu, poprosił rozbajajaco: - John, rozchmurz się wreszcie!

Odkąd przed wielu laty mały Sylvester po raz pierwszy użył wobec niego tego tonu, by przeprowadzić swą wolę, Keighley nigdy nie zdołał mu się oprzeć.

- Co tu dużo gadać - odezwał się zrzędlwym tonem. - Bardziej zwariowanej podróży jeszcze nie widziałem. Żeby tak pchać się prosto w śnieżycę. Tylko niech potem nie będzie na mnie, jak się zakopiemy w zaspie.

- Nic nam się nie stanie - zapewnił Sylvester. -Widzisz, cała rzecz w tym, że gdybyśmy nie wyjechali teraz, musielibyśmy zostać na jakiś tydzień. Może tobie się tam podobało, mnie nie. Już chyba prędzej bym wołał podłą karczmę.

Keighley zachichotał.

- Tak mi się też zdawało. Jak tylko usłyszałem, że kominek w pańskiej sypialni smrodzi, to pomyślałem, oho, długo tu nie pobędziemy. Swale też kręcił nosem na ten dym, pod tym względem jest wybredny.

- Podobnie jak ja. W każdym razie i tak nie mogłem zostać dłużej, skoro gospodarz musiał nagle wyjechać, prawda?

- Nie, wasza książęca mość. Zwłaszcza że wcale się panu nie uśmiechała dalsza gościna.

Sylvester roześmiał się i dalsza część podróży upłynęła im już w dobrej komitywie. W Devizes zaczęło padać, lecz udało im się całkiem szybko dotrzeć do Marlborough, gdzie zatrzymali się w „Zajeździe Zamkowym” i dali odpocząć koniom, a sami zjedli drugie śniadanie. Buzujący w

dużym kominku ogień oraz wspaniała strawa nasunęły Sylwestrowi myśl o dłuższym postoju. Może nawet by i został, gdyby nie obawa, że wciąż znajduje się zbyt blisko Austerby, żeby czuć się naprawdę bezpiecznie. Sprawę przesądziło przybycie dyliżansu pocztowego. Sylvester dowiedział się od woźnicy, że droga, choć zaśnieżona, nie jest w żadnym miejscu nieprzejezdna. Postanowił więc ruszyć dalej. Keighley został pokrzepiony napitkiem, który nazwał grzańcem, składającym się z dżinu, piwa, gałki muszkatołowej i cukru. Tym razem nie zgłaszał sprzeciwu, ponownie więc zaprzężono konie.

Następne dziesięć mil okazało się trudniejsze do przebycia. Za lasami Savernake księżę musiał raz czy dwa zatrzymać konie, by służący zsiadł z kozła i upewnił się, którędy biegnie droga, a gdzie już zaczyna się rów. Szczęśliwie udało im się dotrzeć do Hungerford bez niemiłych przygód. Wspaniałe siwki Sylvestra, ciągnące leciutką kariolkę, były zmęczone, lecz nie zgonione. Uznał, że gdy da im trochę

odpocząć, zdołają przebyć ostatni odcinek drogi do Speenhamland i „Pelikana”.

Kiedy wyruszyli ponownie, była czwarta po południu i oprócz złej pogody mieli przeciw sobie szybko zapadający zmierzch. Przy tak zachmurzonym niebie nie dadzą rady przed zmrokiem dotrzeć nawet do Newbury, uznał Keighley, lecz zbyt dobrze znał swego pana, by zdobyć się choć na słowo protestu. Sylvester nie przejmował się zawieją, gdyż miał żelazne zdrowie. Poważnie przeziębiony Keighley zastanawiał się, czy uda mu się namówić księcia, by zatrzymał się na noc w zajezdzie „W Pół Drogi” albo w jakimkolwiek innym, który napotkają. Ani on, ani Sylvester nigdy tedy nie jechali, nie znali więc trasy zupełnie i z łatwością mogli pobiłdźić. Szczęśliwie akurat na najtrudniejszym odcinku los im sprzyjał, gdyż natrafili na świeży ślad dyliżansu zdążającego do Bath i przez kilka mil podążali za nim. Niestety, padający śnieg wkrótce zaczął zasypywać ów ślad. Znakomity wzrok Keighleya wciąż jeszcze dostrzegał koleiny, gdy naraz w rowie zamajaczył rozbity pojazd. Zdążyła go już pokryć cienka warstwa śniegu, widać jednak było, że to lekki, sportowy powóz, który podążał na wschód, być może do Londynu. Sylvestra nagle coś tknęło. Ściągnął lejce.

- To kariolka, John - stwierdził, przyjrawszy się rozbitemu powozowi.

- Tak, wasza książęca mość. Ma złamany dyszel i strzaskane koła. Jeśli my też tak skończymy, to ładna historia!

- Ciekawe... - wycedził Sylvester. - Mało kto wzięłby kariolkę w taką pogodę. Ciekawe...

- Ale przecież oni uciekli do Szkocji - odparł Keighley, zdradzając tym samym, że wie znacznie więcej, niż mogłoby się wydawać.

- To tylko panna Eliza tak powiedziała. Ów młody Orde musiałby być zupełnym żółtodziobem, żeby w taką pogodę decydować się na dwustumilową podróż. Jeśli ów człowiek nie jest głupcem, to, być może, niedługo go poznamy, John. Cieszę się, że postanowiliśmy jechać do „Pelikana”.

- Z całym szacunkiem, wasza książęca mość, nie my postanowiliśmy, tylko pan - odparł ponuro sługa. - Co więcej, przepraszam za szczerość, nic panu po tej znajomości. Ani po ponownym spotkaniu z tą panną... O ile cokolwiek mi wiadomo w tej kwestii.

- Śmiem twierdzić, że jak zwykle wiadomo ci wszystko - odparł Sylvester, ruszając znowu. - Dobrze, przyjmijmy, że wpadli do rowu. Co się stało dalej?

- Skąd mam wiedzieć, wasza książęca mość? - odparł z irytacją Keighley. - Mógł przejeżdżać dyliżans i zabrać ich.

- A co z końmi? Nie należą do pana Thomasa, lecz do jego ojca. Chyba zadbałby o nie, nie sądzisz?

- Pewnie, jeśli jego ojciec jest ulepiony z tej samej gliny, co nieboszczyk ojciec waszej książęcej mości - skwitował z wisielczym humorem Keighley. - Panie święty, co myśmy się mieli, jak wasza książęca mość jako dziecko wziął tego gniadosza i...

- Nie przypominaj mi o tym, z łaski swojej. Pan Orde musiał jakoś wydostać konie z rowu i przeprowadzić je w bezpieczne miejsce. Nóg więc sobie nie połamały, lecz nie chce mi się wierzyć, by wszyscy wyszli z tego wypadku bez szwanku. Rozglądaj się uważnie, tu gdzieś niedaleko musi być karczma lub przynajmniej zagroda.

Keighley westchnął, lecz powstrzymał się od uwag. Nie ujechali nawet mili, gdy spostrzegł niedaleko od drogi niewielki, biednie wyglądający zajazd, do którego prowadziła wąska aleja.

- Ha, zaraz się przekonamy! - oznajmił Sylves-ter, skręcając w boczną drogę. Kiedy zatrzymał kariołkę przed wejściem, podał służącemu lejce. -Potrzymaj!

Keighley, wstrząśnięty tym dziwnym postępowaniem, pozwolił sobie na uszczypliwą uwagę:

- Tak, wasza książęca mość. Czy jeśli wasza książęca mość zabawi w tym miejscu dłużej niż godzinę, mam się kawalek przejechać, żeby siwki nie ochłody zanadto?

Sylvester jednak nie zwrócił uwagi na ten przytyk. Zeskoczył z kozła i wszedł do zajazdu „Pod Niebieskim Odyńcem”.

Za drzwiami ujrzał korytarz, po którego jednej stronie znajdowała się beczka z wodą, zaopatrzona w kurek, po drugiej zaś mała izba, wyglądająca na jadalnię dla gości. Naprzeciw wejścia pięły się wąskie schody, a na ich szczycie, spoglądając z niepokojem w dół, stała panna Phoebe Marlow.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wydała zdławiony okrzyk, a na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie, co Sylvester przyjął ze złośliwą satysfakcją.

- Jakże się pani miewa? - odezwał się życzliwie. Zacisnęła dłoń na poręczy i wbiła w niego przerażone spojrzenie.

- Mama...? - spytała bez tchu.

- Siedzi w kariolce, a jakże. - Widząc, że panna Marlow zbladła jak ściana, dodał: - Niech pani nie zachowuje się tak niemądrze. Chyba nie sądzi pani, że miałbym ochotę przewieźć pani macochę choćby marne trzydzieści jardów, o trzydziestu milach nawet nie wspominając?

Na jej policzki powrócił kolor.

- Nie, nie sądzę - odparła. - Ona zresztą nie raczyłaby wsiąść do kariolki. Co więc pana tu sprowadza, sir?

- Ciekawość, proszę pani. Natknąłem się po drodze na rozbity powóz i odgadłem, że jechał nim pan Orde.

- Och! A więc pan nie... - Urwała, nieco zmieszana, po czym spojrzała mu prosto w oczy i spytała otwarcie: - Nie szukał mnie pan, tak?

- Mówiąc szczerze, nie - odparł przeproszającym tonem. - Po prostu jadę do Londynu. Obawiam się, panno Marlow, że nastąpiło poważne nieporozumienie.

- Czyli nie zamierzał pan prosić o moją rękę?

- Lubi pani stawiać sprawy jasno. W takim razie odpowiem równie szczerze. Nie, nie zamierzałem.

Nie wyglądała na urażoną, przeciwnie, odetchnęła z ulgą.

- Nie zmienia to faktu, że sytuacja stała się nad wyraz kłopotliwa, lecz trudno, lepszy pan niż nikt.

- Dziękuję pani bardzo!

- Chodzi mi o to, że gdy pan wszedł, spodziewałam się ujrzeć tego nieszczęsnego stajennego!

- Jakiego znowu stajennego?

- Tego, którego pani Scaling, tutejsza gospodyni, wysłała do Newbury po zakupy, gdy zrozumiała, że z powodu śniegu zajazd może być odcięty od świata nawet przez parę tygodni. Stajenny do tej pory nie wrócił, a ponieważ ma rodziców w Newbury, prawdopodobnie został tam, korzystając ze złej pogody. Szkopuł w tym, że zabrał stąd jedyne konia. Są jeszcze gniadosze pana Orde'a, ale Tom nie chce słyszeć o tym, bym dosiadła jednego z nich. Byłoby to rzeczywiście

trudne, przyznaję, gdyż ani nie mam siodła, ani sukni do konnej jazdy, w dodatku na tych koniach nikt jeszcze nie jeździł wierzchem. Trzeba jednak jechać po lekarza, bo ta noga jest złamaną.

- Czyja noga? Konia?

- Och, nie, aż tak źle nie jest. Noga pana Orde'a.

- Skąd pani wie, czy jest złamana? - zdziwił się. - Jak on się tutaj dostał w takim razie? I kto wyprzągnął konie?

- Parobek, który tamtędy przechodził i przypadkiem stał się przyczyną całego nieszczęścia. Prowadził osła zaprzężonego do wózka. Jeden z gniadoszy wpada w szal na widok osłów, a ten jeszcze na niego zaryczał. Tomowi noga uwięzła w pledzie, no i w ten sposób ją złamał. Parobek pomógł mi wyprząc gniadosze, przeniósł Toma na wózek i przywiózł go tutaj, a ja przyprowadziłam konie. Razem z panią Scaling próbowałyśmy rozciąć but Toma, lecz chyba sprawiliśmy mu przy tym wiele bólu, bo zemdlął w połowie tej operacji. Tak więc tkwimy tutaj, ta noga jest ciągle niezłożona, a po doktora nie można posłać, bo ten okropny stajenny gdzieś przepadł.

Sylvester z trudem powstrzymał się od śmiechu,

- Proszę chwilę zaczekać. Wyszedł na zewnątrz.

- Wyprzęgnij konie i zaprowadź je do stajni, John - zwrócił się do Keighleya. - Zostajemy na noc. Tutejszy stajenny pojechał do Newbury, musisz sobie jakoś poradzić sam.

- Wasza książęca mość chce zostać... tutaj? - spytał wstrząśnięty służący.

- Owszem. Niedługo zrobi się zbyt ciemno na dalszą podróż.. - Z tymi słowy Sylvester wrócił do zajazdu.

Tymczasem Phoebe zeszła na dół, gdzie dołączyła do niej krzepka kobieta o stalowoszarych lokach, wymykających się spod czepka, i o ładnej, choć w tym momencie przerażonej twarzy. Na widok księcia dygnęła głęboko.

- To pani Scaling, sir, która okazała pomoc mnie i memu bratu - przedstawiła ją Phoebe, kładąc lekki nacisk na ostatnie słowo.

- Jak to miło z pani strony. - Sylvester obdarzył właścicielkę gospody ujmującym uśmiechem, który zawsze mu zjednywał ludzi i powodował, że chętnie robili wszystko, czego książę zapragnął.

- Moi awanturniczy młodzi przyjaciele znaleźli się pod dobrą opieką, jak widzę. Ich rodzice byliby z tego bardzo zadowoleni. Poleciłem służącemu wyprząc konie, lecz będzie musiała mu pani pokazać drogę do stajni. Czy może nas pani przyjąć na nocleg? Jest nas tylko dwóch.

- Z radością ugoszczę, sir, ale... To jest tylko zwykła, prosta karczma... A w najlepszym pokoju umieściłam już młodego panicza - tłumaczyła się gospodyni, przejęta obecnością tak znakomitego gościa.

- Och, nic nie szkodzi - uspokoił ją Sylvester, zdejmując rękawiczki, po czym zwrócił się do Phoebe: - Proszę zaprowadzić mnie do pani brata.

Zawahała się, a gdy pani Scaling pospieszyła na podwórko, spytała podejrzliwie:

- Po co chce pan widzieć się z Tomem? I czemu chce pan zostać tu na noc?

- Kto powiedział, że chcę? - rzucił przekornie, a oczy mu się śmiały. - Kieruje mną zwykle współczucie, proszę pani. Byłbym niegodziwcem, gdybym zostawił tego biedaka w rękach samych niewiast. Chodźmy do niego. Będzie bardzo rad z mego towarzystwa, zapewniam panią.

- Nie wydaje mi się - odparła, przypatrując mu się ponuro. - I nie podoba mi się, że mówił pan o nas do pani Scaling w taki sposób, jakby był naszym dziadkiem.

- Trochę czuję się jak wasz dziadek - zripostował. - Niechże mnie pani zaprowadzi do tego nieszczęśnika. Zobaczymy, co da się dla niego zrobić.

Phoebe nadał nie była przekonana, lecz po chwili namysłu zgodziła się niechętnie:

- Dobrze, chodźmy. Uprzedzam pana jednak, że nie pozwolę, by pan czynił mu jakiegokolwiek uwagi.

- Na litość, a kimże w końcu ja jestem, bym miał go łącać? - zdziwił się, idąc za nią na górę po stromych schodach.

Najlepszy pokój w gospodzie okazał się niską izdebką od frontu. Na kominku płonął ogień, okna zasłonięto, na stole paliła się lampa olejna, a na gzymsie nad kominkiem dwie świece. Ponieważ story w oknach i zasłony wokół łóżka były czerwone, mała sypialnia wydawała się przytulna i sprawiała całkiem przyjemne wrażenie. Tom leżał na łóżku podparty poduszkami i na poły przykryty kołdrą, zupełnie ubrany, choć bosy. Twarz miał bladą i cierpiącą, w zwróconych ku otwierającym się drzwiom oczach malował się ból.

- Tom, to jest... To księżę Salford. Koniecznie chciał, bym go przyprowadziła do ciebie.

Usłyszawszy tę zdumiewającą wiadomość, Tom poderwał się z poduszek, a potem, krzywiąc się z bólu, oparł się na łokciu. Mimo cierpienia był gotów na wszystko, byle tylko nie dopuścić do zabrania przyjaciółki z powrotem do Austerby.

- Chodź do mnie, Phoebe, i nie się nie bój -zażądał. - On nie może ci nic zrobić, nie ma nad tobą żadnej władzy i doskonale o tym wie!

- Niechże pan sobie daruje te dramatyczne sceny. - Sylvester podszedł do łóżka. - Nad żadnym z państwa nie mam władzy, nie zamierzam nikogo do niczego zmuszać, nie jestem jakimś czarnym charakterem z romansu. - Wyciągnął rękę na powitanie. - Jak się pan miewa?

Tom, kompletnie zbity z tropu, uściśnął mu dłoń i, zacinając się z wrażenia, odrzekł odruchowo:

- Dziękuję, d-dobrze, a p-pan?

- Lepiej od pana, jak sędzę. Mogę spojrzeć? -Odrzucił na bok kołdrę, a gdy Tom zacisnął zęby, powiedział uspokajająco: - Nie będę dotykał, proszę się nie obawiać. Widzę, że ktoś pana nieźle poturbował. Bardzo bolało?

Tom uśmiechnął się blado.

- Jeszcze jak!

- Naprawdę bardzo mi przykro, ale musiałyśmy zdjąć ten but - wtrąciła Phoebe. - Staraliśmy się zrobić to jak najdelikatniej.

- Wiem. Gorszy był ten dumny niedorajda, który twierdził, że potrafi nastawić kość.

Sylvester pokiwał głową, patrząc na spuchniętą i posiniaczoną nogę Toma.

- To brzmi okropnie...

- I takie też było - przyświadczył Tom. - To syn gospodyni, moim zdaniem, poszkodowany na umyśle.

- Nie, to tylko bardzo prosty człowiek - wtrąciła Phoebe. - Żałuję, że pozwoliłam mu cię tknąć, lecz ponieważ całkiem dobrze zajął się nogą konia, sądziłam, że da radę nastawić twoją. Tacy ludzie miewają duże doświadczenie. - Podchwyciwszy kpiące spojrzenie księcia, dodała z lekką urazą: - W naszej wsi jest ktoś taki, zupełnie nie-uczony, a leczy zwierzęta lepiej niż niejeden doktor.

- Zatem szkoda, że nie jest pan koniem, Orde -skwitował Sylvester. - Ile czasu minęło od wypadku?

- Nie wiem, sir, ale zdaje mi się, że już całe wieki.

- Co prawda, nie jestem końskim konowalem, lecz w moim mniemaniu trzeba złożyć tę kość jak najszybciej. Zobaczymy, co da się zrobić. Och, niechże nie patrzy pan na mnie z takim przerażeniem. Nic panu nie grozi. Jest tu ze mną Keighley, mój służący. Wcale się nie zdziwię, jeśli będzie umiał sobie z tym poradzić.

- Pański służący? - spytała z powątpiewaniem Phoebe. - A skąd on miałby znać się na takich przypadkach?

- Gdy byłem dzieckiem, zwichnąłem rękę, a on mi ją nastawił. Lekarz, który mnie potem oglądał, przyznał, że sam nie zrobiłby tego lepiej. Nawet jeśli Keighley nie potrafi złożyć złamanej nogi, powie nam o tym, zamiast męczyć kogoś bez potrzeby. Pójdę po niego.

Kiedy zostali sami, Tom przeniósł zaskoczone spojrzenie na Phoebe,

- Cóż on tu, u licha, robi? Myślałem wpierw, że nas ściga, lecz gdyby tak było, nie dbałby przecież o moje zdrowie.

- Nie wiem, co tu robi, ale na pewno nas nie szukał. On w ogóle nie przyjechał do Austerby, żeby się oświadczyć. Sam mi to powiedział. Nigdy w życiu nie czułam takiej ulgi.

Widoczne w oczach Toma zdumienie jeszcze się pogłębiło, lecz nie miał już siły o nic więcej pytać, gdyż ostatnie przejścia mocno go wyczerpały, a ból w nodze doskwierał coraz bardziej.

Wkrótce wrócił Sylvester, nie tylko ze służącym, ale i ze szklanicą napełnioną złocistobrazowym trunkiem, którą postawił na stoliku przy łóżku.

- Keighley mówi, że jeśli to zwykłe złamanie, to potrafi zaradzić - oznajmił wesoło. - Nie traćmy więc nadziei. Najpierw jednak należałoby przebrać pana w nocną koszulę, nie powinien pan leżeć w ubraniu.

Po raz pierwszy Phoebe spojrzała na księcia z aprobatą.

- Bardzo bym chciała, by udało się panu go do tego przekonać. Obie z panią Scaling powtarzamy mu to od samego początku, lecz za nic nie chce nas słuchać.

- Pani mnie doprawdy zdumiewa... Jeśli nadal będzie stawiał opór, zedrzymy z niego ubranie siłą. Tymczasem pani, panno Marlow, zechce zejść na dół i, na przykład, pomóc gospodyni drzeć prześcieradło na bandażu. Tak, wiem, nie ma pani ochoty zostawiać go na naszą łaskę i niełaskę, lecz pani obecność, proszę mi wierzyć, jest nam teraz ogromnie nie na rękę. No, niechże pani idzie, przygotuje mu gorące mleko z miodem, rosół albo cokolwiek innego, co uzna pani za stosowne.

Na twarzy Phoebe odmalował się upór, lecz Tom ze śmiechem poparł księcia:

- Och, idźże już!

Wyszła, ciągle nieprzekonana do Sylvestra, który grzecznie otworzył przed nią drzwi i odezwał się podejrzanie uprzejmym tonem:

- Oczywiście proszę niedługo wrócić.

Chory jednak czuł taką wdzięczność, że gdy księżę odwrócił się i mrugnął do niego porozumiewawczo, Tom nie mógł nie odpowiedzieć szerokim uśmiechem.

- Nie wiem, jak panu dziękować, sir. To dobra dziewczyna, ba, to szczerze złoto, ale...

- Tak, wiem - powiedział ze zrozumieniem Sylvester. - One zawsze muszą pomagać.

Tom przytaknął, jednocześnie przyglądając się z niepokojem służącemu, który, zrzuciwszy płaszcz podróżny, zaczął podwijać rękawy koszuli.

- Bierzemy byka za rogi. Lepiej niech pan zaciśnie zęby - zwrócił się do niego Keighley. - Muszę sprawdzić, czy ta noga jest złamana, bo, tak po prawdzie, co mi po tym, że pan tak mówi?

Tom przyznał mu słuszność, zaciśnął zęby, zwinął dłonie w pięści i w milczeniu, aż pocąc się z bólu, przetrwał badanie. Jazda na podskakującym

wózku oraz niefortunne zabiegi Willa Scalinga zdecydowanie pogorszyły stan jego nogi. Służący wreszcie wyprostował się.

- Tak, kość jest złamana, ale tylko strzałkowa, mogło być gorzej. Zdrowo pana poturbował ten głupek, co próbował pana leczyć. Jeśli teraz wystrugał zgrabne łubki, jak mu kazałem, to ani się pan obejrzy, a będzie znowu skakał jak ten zając.

- Jesteś pewien, John? - wtrącił Sylvester. - Mogą z tego wyniknąć jeszcze gorsze tarapaty.

- Nic złego mu nie zrobię, sir - zapewnił Keighley - Teraz trzeba go przebrać i położyć do łóżka. Muszę mu rozciąć bryczesy, żeby jeszcze bardziej nie zaszkodzić tej nodze.

Tom westchnął.

- Na toaletce leży moja brzytwa, można jej użyć, już i tak jest do niczego, cięto nią but.

- O brzytwę proszę się nie martwić, chętnie użyczę panu jednej z moich - pospieszył z zapewnieniem Sylvester.

Tom podziękował i pozwolił przebrać się w koszulę nocną. Gdy go ponownie położono, musiał przyznać, że jest mu bez porównania wygodniej. Następnie Keighley zszedł na dół po łupki i bandaż, zaś chory, blady jak ściana, zauważył z udawanym animuszem, że będzie wesół jak diabli, kiedy wreszcie cała operacja się zakończy.

- Doskonale pana rozumiem - zgodził się Sylvester, po czym podał mu szklanę, którą wcześniej przyniósł do pokoju. - Proszę to wypić, to pana wzmocni. Nalane bez kołnierzyka, niech pan doceni.

Tom obrzucił ciemny trunek powątpiewającym spojrzeniem, niemniej sięgnął po szklanę i podniósł ją do ust, lecz zaraz opuścił ją z powrotem.

- Kiedy to jest rum, sir!

- Tak. Nie lubi pan?

- Lubię, i to jeszcze jak. Po takiej porcji będę pijany jak bela.

- Cóż to komu szkodzi? Ach, martwi się pan, co powie panna Marlow? Proszę się nie obawiać, nie wpuszczę jej tutaj, dopóki się pan nie wyśpi i nie dojdzie do siebie. Proszę nie dyskutować, tylko wypić do dna i być wdzięcznym za tak dobre lekarstwo.

Kiedy Keighley wrócił jakiś czas później, na twarzy jego pacjenta malował się szeroki, choć niezbyt mądry uśmiech. Służący z aprobatą pokiwał głową.

- Aleśmy się zaprawili, co, sir? Teraz to już panu wszystko jedno, co będziemy z panem robić. Gdyby wasza książęca mość zechciał mi pomóc...

Alkohol nie znieczulił Toma aż do tego stopnia, by stał się zupełnie obojętny na ból, jednak zdecydowanie mu dopomógł przetrwać następne minuty. Zniósł je naprawdę dzielnie, do czego też przysłużyła się pochwała Keighleya, że twardy z niego chłop. Wkrótce najgorsze dobiegło końca, a chorego ogarnęła ogromna słabość. Kręciło mu się w głowie, noga go bolała, wszystko pływało mu

przed oczami, w końcu rum go uśpił. Słyszac charakterystyczne chrapanie pijanego, Keighley z zadowoleniem spojrzal na Sylvestra, który przygladal się młodzieńcowi ze ściagniętymi brwiami.

- Będzie z nim dobrze, wasza książęca mość.

- Mam nadzieję, lecz chciałbym, żeby jak najszybciej obejrzał go lekarz. Gdyby miały wyniknąć jakiegokolwiek kłopoty, nie chcę być za nie odpowiedzialny. On jest jeszcze nieletni. Po kiego diabła ja się w ogóle pakowałem w całą tę historię?

- Ba! - Keighley zdmuchnął świece. - Też się nad tym zastanawiam.

Opuścili sypialnię i zeszli do izby przy wejściu, gdzie przed kominkiem siedziała zdenerwowana Phoebe.

- John złożył nogę, pan Orde teraz śpi - poinformował ją Sylvester. - Właściwie już nic więcej nie da się zrobić, ale na wszelki wypadek... Co z pogodą? - Podeszedł do okna i odsunął storę. - Nadał pada, lecz jeszcze się nie ściemniło. Czy ma pani jakieś życzenia, panno Marlow?

Phoebe uśmiechnęła się do Keighleya, podziękowała mu, a potem spojrziała przepraszająco na Sylvestra.

- Chciałabym, żeby zobaczył go doktor. Jego matka z pewnością by sobie tego życzyła. Och, gdyby nie ja, nie doszłoby do tego wszystkiego. A najgorsze jest to, że lekarz mógł już tu być. Pani Scaling mówiła najpierw o konieczności jazdy do Newbury, tymczasem właśnie odkryłam, że jest jeszcze doktor Upsall, który mieszka w Hungerford. Gdybym wiedziała wcześniej, poszłabym po niego, cóż to dla mnie cztery mile. Nie wspomniała o nim, bo, o ile dobrze wywnioskowałam z jej słów, ona i tak nie mogłaby go wezwać. Nie przybyłby do równie skromnego zajazdu.

- Mam nadzieję, że ja okażę się dla niego

wystarczająco dobry - skwitował Sylvester. - Jak pani myśli, czy ten gamoń, syn gospodyni, dałby radę pokazać drogę do jego domu?

- Chyba tak, przynajmniej tak twierdzi. Zaczyna się jednak robić ciemno, może więc doktor nie będzie chciał nigdzie jechać, i to z kimś obcym?

- Nonsens. Od tego jest, zresztą dostanie za to uczciwą zapłatę. John, zaprzęgaj konie i powiedz młodemu Scalingowi, żeby z tobą jechał. Daj temu Upsallowi moją kartę wizytową i powiedz, że będę mu wielce zobowiązany, jeśli stawi się tu bez zwłoki.

- Dobrze, wasza książęca mość.

Phoebe, która słuchała tego z narastającym oburzeniem, poczekała, aż służący wyjdzie, po czym wykrzyknęła z naganą w głosie:

- Nie może pan wysłać tego biednego człowieka na taką pogodę!

Książę obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

- Sama pani sobie przecież życzyła, by pana Orde'a obejrzał lekarz. Jestem zresztą tego samego zdania i jakkolwiek choremu nie stałaby się żadna krzywda, gdyby w obecnym stanie poczekał do rana, jutro droga może być już nieprzejezdna. Trzeba to zrobić teraz.

- Dlatego, jeśli zechce pan pożyczyć mi swój powóz, sama po niego pojedę, skoro pan nie zamierza tego zrobić.

- Ja? A czemuż to ja miałbym jechać?

- Czy pan doprawdy nie widzi, że Keighley jest poważnie przeziębiony? - spytała gniewnie. - Przecież on już ledwo trzyma się na nogach, a pan jeszcze go wysyła na taki ziąb, w ogóle nie dbając, co może z tego wyniknąć. Zupełnie pana nie obchodzi, czy on nie nabawi się zapalenia płuc albo galopujących suchot.

Sylvester poczerwieniał z oburzenia.

- Przeciwnie, bardzo by mnie to obeszło. Byłoby to dla mnie wysoce niepożądane.

- Och, na pewno ma pan jeszcze wielu służących- Nie wydaje mi się, by kiedykolwiek miało panu zabraknąć ludzi, którzy zadbają, by zaoszczędzić panu choćby najmniejszego wysiłku.

- Owszem, mam wielu innych służących, lecz tylko jednego Keighleya. Otóż proszę sobie wyobrazić, panno Marlow, że wyjątkowo go cenię.

- Niestety, nie sposób dać temu wiary. Gdyby naprawdę był dla pana taki cenny, nie wiozłby go pan przy takiej pogodzie trzydzieści mil w otwartym powozie. Gdyby to pan był przeziębiony, wypuściłby się pan w podróż? Śmiem wątpić.

- Myli się pani. Nigdy nie zwracam uwagi na takie drobne niedyspozycje.

- Ale pan nie ma pięćdziesięciu lat.

- On też nie. Pięćdziesiąt lat, no, doprawdy! -wykrzyknął z rozdrażnieniem. - Ma zaledwie czterdzieści parę. Co więcej, gdyby nie czuł się na siłach, by ze mną jechać, powiedziałby mi o tym.

Phoebe uśmiechnęła się ironicznie.

- Doprawdy?

- Ależ oczywiście! - Sylvester zaperzył się i przez chwilę patrzył na nią chmurnym wzrokiem. Na jego policzkach znów wykwitły rumieńce, ale tym razem nie były to wypieki gniewu. - W każdym razie powinien był mi to powiedzieć. On doskonale wie, że ja bym nigdy... Wielkie nieba, pani ma mnie za człowieka bez serca.

- Bez serca nie, ale samolubnego tak. Moim zdaniem, pan nawet nie zauważył, że ten biedak jest chory.

Książę i na to w lot znalazł odpowiedź, lecz naraz przypomniał sobie, jak na wiadomość, że Keighley zachorował, poczuł najpierw irytację, a potem nadzieję, że się nie zaraził. Zarumienił się jeszcze bardziej i nic nie powiedział.

W tym samym jednak momencie Phoebe też sobie coś przypomniała i również się spłoniła - nawet mocniej niż Sylvester.

- Proszę mi wybaczyć, sir. Nie miałam prawa tak się do pana odezwać po tym wszystkim, co pan dla nas zrobił. Jest mi niezmiernie przykro.

- Nic się nie stało panno Marlow - odparł zimno. - Jestem wielce zobowiązany, że zechciała mi pani zwrócić uwagę na stan zdrowia służącego. Proszę więcej tym się nie kłopotać. Ze względu na moje samolubstwo nie pozwolę na to, by rozchorował się jeszcze bardziej i musiał się położyć do łóżka. Nie wyślę go do Hungerford.

Nim zdążyła odpowiedzieć, wrócił Keighley, szczelnie otulony grubym płaszczem podróżnym.

- Przepraszam, wasza książęca mość, ale zapomniałem pańskiej karty wizytowej.

- Zmieniłem zdanie, John. Ja pojedę.

- Pan? - zdumiał się Keighley. - A czy wolno mi spytać czemu? Jeśli wasza książęca mość nie ufa mi na tyle, by dać mi powozić siwkami, to chciałem przypomnieć, że to nie byłby pierwszy raz. A może jeszcze usłyszę, że nie tylko chce pan sam powozić, ale w ogóle obejdzie się beze mnie?

Gryzący sarkazm w głosie służącego przyniósł nieoczekiwany efekt, mianowicie rozbawił Sylwestra, tym samym wprawiając go z powrotem w dobry humor.

- Właśnie - zadeklarował, spoglądając nieco zagadkowym wzrokiem na wiernego, choć w tej chwili urażonego sługę. - Jadę sam. Nie, nie sam, muszę wziąć z sobą tego gamonia, który próbował połamać nogę pana Orde'a jeszcze bardziej. Mam nadzieję, że mnie nie zamorduje ani nic z tych rzeczy. Nie, nie spieraj się ze mną, John. Zdaniem panny Marlow chorujesz na galopujące suchoty, a ja za nic nie chcę być winien twojej śmierci. Zresztą, cóż ja bym bez ciebie począł? Gdzie mój płaszcz?

Zaskoczony służący spojrział z lekkim wyrzutem na Phoebe.

- Ja? Suchoty? Nic mi nie jest, panienko, mam tylko katar, to wszystko. Proszę, niech mi wasza książęca mość da swą kartę wizytową, bo muszę ruszać jak najszybciej, żebym i ja nie skończył w rowie. Ładna to by była wycieczka! Dlatego niech pan już dłużej nie żartuje sobie ze mnie.

- Mówiłem zupełnie poważnie. Nie pojedziesz. Pytałem o mój płaszcz. Zaniósłeś go do pokoju? Właśnie, gdzie jest mój pokój? Zaprowadź mnie do niego, a potem idź zaprząć konie. Och, nie, może to też ja powinienem zrobić? Panno Marlow, jak pani sądzi?

Na szczęście nie musiała odpowiadać na to prowokacyjne pytanie, ponieważ Keighley ponownie poprosił, by jego książęca mość raczył zaprzestać podobnych żartów, a do tego w

stanowczych słowach potępił niestosowność całego planu. Nie uchodzi, by księżę osobiście uganiał się po hrabstwie za byle konowalem.

- Nie tobie to oceniać - skwitował Sylvester. -Zaprzęgaj konie, z łaski swojej.

Ruszył ku drzwiom, lecz Phoebe zatrzymała go, mówiąc:

- Przepraszam, czy mogłabym... Nie śmiem prosić o dodatkową przysługę i obciążać pana ponad miarę, ale skoro już pan jedzie do Hungerford, to czy mógłby pan zdobyć dla mnie kilka uncji sal-miaku, pintę octu winnego i nieco olbrotu?

Wargi mu zadrgały podejrzenie, po czym księżę nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście, panno Marlow. Wszystko, czego pani sobie życzy. Czy ma pani dla mnie jeszcze jakieś zlecenia?

- Nie - odparła z powagą. - Zwykły ocet dostanę od pani Scaling. A jeśli nie znajdzie pan olbrotu, wezmę od niej smalec, o ile nie jest solony. Muszę zrobić okład na nogę konia - wyjaśniła, widząc, że on zaraz znowu zacznie się śmiać. - Niestety, jest mocno otarta, nie spostrzegłam tego wcześniej.

- Ja się temu przyjrzę, panienko - zaofiarował się żywo zainteresowany Keighley. -Pewnie otarcie się zaogniło? Zanim nałoży się maść, trzeba robić mokre ciepłe okłady.

- Tak, robię je co godzina, na pęciny obu koni. Och, Keighley, byłabym naprawdę zobowiązana, gdybyś zechciał ją obejrzeć i poradzić mi, czy powinnam na noc przyłożyć na nią kompres z otrąb.

- John, pomóż pannie Marlow, lecz najpierw zaprzęgnij siwki - wtrącił Sylvester. - Dopilnuj, żeby we wszystkich naszych sypialniach rozpalono ogień, zamów kolację do osobnego pokoju... Ach, nie, w tak małej gospodzie nie ma takich wygód... Powiedz więc gospodyni, że wynajmuję tę izbę tylko dla nas. Pana Orde nie budź. Czekaj na mnie z gorącym ponczem. I nie pozwól, by panna Marlow trzymała cię za długo w zimnej stajni.

Rzuciwszy tę zjadliwą uwagę, wyszedł. Służący podążył za nim i nie przestał go odwozić od jego planu aż do chwili, gdy księżę miał już wsiadać do kariolki.

- Do diaska, John, nigdzie nie jedziesz! Zostajesz i próbujesz się wyleczyć z przeziębienia. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że coś ci dolega, ośla głowo? Wziąłbym ze sobą Swale'a, a ty pojechałbyś powozem.

Powiedział to przepraszającym tonem, co zdumiałyby Keighleya niebotycznie, gdyby akurat nie przeżywał wstrząsu na myśl, że miałby odstąpić swe miejsce przy księciu komu innemu. Jedynie dlatego nie zwrócił uwagi na tę niezwykłą troskliwość. Nim znalazł słowa, w których mógłby wyrazić oburzenie tą jakże haniebną propozycją, księżę wskoczył na kozioł i ściągnął lejce. Siwki ruszyły. Obok Sylwestra siedział Will Scaling, niedbale ubrany i nazbyt wyrosnięty młody

człowiek, równie życzliwy jak tępy, który uśmiechał się szeroko, nadzwyczajnie zadowolony ze wspaniałej gratki, jaka mu się nadarzyła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Była prawie ósma wieczorem, gdy Sylvester wrócił do gospody „Pod Niebieskim Odyńcem”. Phoebe od godziny bez mała wyobrażała sobie, że spotkało go takie samo nieszczęście jak Toma, i żałowała, że wysłała go do Hungerford. Zaskoczył ją, kiedy wreszcie się zjawił, gdyż śnieg wytłumił odgłos końskich kopyt, w dodatku księżę zajechał wprost na podwórze i wszedł do zajazdu tylnymi drzwiami. Usłyszała w korytarzyku szybkie, zdecydowane kroki, a kiedy uniosła wzrok, stał już w progu wynajętej dla nich izby. Nawet nie zdjął wierzchniego okrycia, które było przemoczone i pokryte śniegiem.

Phoebe poderwała się.

- Och, wrócił pan bezpiecznie! - wykrzyknęła. - Nie mogłam sobie znaleźć miejsca, bałam się, że i pan miał wypadek. Czy przywiózł pan doktora?

- Owszem, zaraz tu będzie. Celowo przyszedłem przed nim. Czy w pani pokoju jest już rozpalone?

- Tak, ale...

- Proponuję więc, by posiedziała tam pani, zanim lekarz nie wyjedzie. Nie wspomniałem mu o pani obecności. Gospodyni wierzy pewnie, że pan Orde jest pani bratem, lecz nie da się wykluczyć, że ktoś inny może któreś z państwa rozpoznać. Hungerford nie leży aż tak daleko od Austerby, a lekarze spotykają wielu ludzi. Im mniej zaś osób będzie wiedziało o tej eskapadzie, tym lepiej.

- Nie sądzę, by mógł rozpoznać którekolwiek z nas - odparła z zimną krwią, która wydała się Sylwestrowi niestosowna, zważywszy na niemal kompromitującą sytuację, w jakiej panna Marlow się znajdowała. - Nie mogę wszakże odmówić panu słuszności, sir. Jeśli jednak nie ja zaprowadzę go do Toma, czy zechciałby pan to zrobić i powtórzyć mi potem, co powiedział doktor?

- Poleciałem Keighleyowi, by on się tym zajął. Zna się na tych sprawach znacznie lepiej ode mnie. W dodatku chciałbym się przebrać, zupełnie przemokłem. Jadła już pani kolację?

- Nie - przyznała. - Aczkolwiek po pańskim wyjeździe zjadłam kawałek chleba z masłem.

- Dobrzy Boże! Czemuż pani nie zjadła porządnej kolacji, skoro była głodna? - wykrzyknął z irytacją.

- Ponieważ chciał pan, by po powrocie czekał na pana ciepły posiłek, a pani Scaling ma tylko jedną córkę do pomocy, nie zdołałaby więc przygotować dwóch oddzielnych kolacji. Kiedy

dowiedziała się, kim pan jest, sir, wpadła w popłoch, gdyż, jak się pan domyśla, podejmowanie książąt nie należy do jej zwyczajów.

- Czy to znaczy, że dostaniemy fatalną kolację?

- Och, nie, przeciwnie. Pani Scaling szykuje dla pana prawdziwą ucztę.

Uśmiechnął się, słysząc to zapewnienie.

- Bardzo mnie to cieszy, bo jestem głodny jak wilk. Proszę zostać tutaj, nim Keighley nie zaprowadzi doktora na górę, a potem przemknąć do swego pokoju, bo wypada mi zaprosić Upsalla na szklaneczkę ponczu, nim wyprawimy go z powrotem do Hungerford. Pozbędę się go jednak tak szybko, jak się da.

Skinął głową i wyszedł, zostawiając Phoebe nie wiedzącą, co myśleć. Z jednej strony czuła się urażona, ponieważ dla księcia było oczywiste, że to on podejmuje decyzje i komenderuje wszystkimi, z drugiej jednak sprawił jej ulgę, przejmując na siebie część odpowiedzialności.

Gdy lekarz opuścił sypialnię chorego, zaryzykowała, podeszła do drzwi pokoju Toma i zapukała. Usłyszawszy zaproszenie, weszła i znalazła przyjaciela siedzącego na łóżku, wypoczętego po kilku godzinach snu, lecz mocno zaniepokojonego jej sytuacją, własną bezradnością oraz stanem koni ojca. Na szczęście Phoebe mogła go uspokoić co do koni, a o nią samą kazała mu się nie martwić, gdyż do Reading tego dnia i tak by nie dotarli, skoro więc musiała zatrzymać się w gospodzie, to równie dobrze mógł to być i ten zajazd.

- Tak, ale co z księciem? - zaoponował. - Co za niezręczna sytuacja. Oczywiście jestem mu ogromnie zobowiązany, ale...

- Trudno, po prostu zrobimy z niego jak najlepszy użytek, jego służący, powiem ci, jest niezrównany. Przyłożył koniowi na nogę kompres z otrąb i mówi, że jak będziemy regularnie smarować otarcie drugiego konia olbrotom, a potem przyłożymy wezykatorię, to nie powinno zostać nawet śladu..

- Oby miał rację! - zakrzyknął gorąco.

- O, ten człowiek wie, co mówi - zapewniła, po czym przypomniała sobie, że nie tylko konie ucierpiały w wypadku, zapytała więc Toma, co z jego nogą.

Uśmiechnął się, wiedząc doskonale, że zajęta końmi przyjaciółka niemal zupełnie zapomniała o jego obrażeniach.

- Doktor nie poprawiał nic po Keighleyu, posmarował mi tylko czymś skórę i zabandażował nogę na nowo, już w porządniejszych łubkach. Najgorsze, że kazał mi przez tydzień nie ruszać się z łóżka, a i potem nie będę w stanie zawieźć cię do Londynu. Co ze mnie za niezdara, żeby tak nas wywrócić. Przykro mi, ale to i tak nic nie pomoże. Co teraz zrobimy?

- Na razie nic nie da się zrobić. Śnieg ciągle sypie, rano pewnie i tak nie da się stąd wyjechać.

- Książę więc też będzie musiał zostać. Jak sobie poradzisz?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Przynajmniej już się go nie boję. I chociaż nie podoba mi się jego sposób bycia, bo on zachowuje się tak, jakby zawsze dostawał wszystko, czego chce, to przecież doceniam, jak bardzo skorzystaliśmy na jego obecności. W mej sypialni rozpalono w kominku, wyobraź sobie. W domu macocha nigdy na to nie pozwalała, chyba że byłam chora. Książę zażyczył sobie nie tylko ogrzewania wszystkich naszych pokoi, ale i jadalni wyłącznie do naszej dyspozycji, a ponieważ w tak małym zajeździe nie ma tylu izb, wynajął główną salę na dole, nie przejmując się tym, czy będzie to wygodne dla pani Scaling. Oczywiście ona nie oponowała, jest tak przejęta goszczeniem prawdziwego księcia, że pozwoliłaby mu zająć całą gospodę, gdyby tylko naszedł go taki kaprys.

- No wiesz, on jej przecież suto wynagrodzi wszystkie niedogodności, a w dodatku i tak nikt już się nie zjawi w taką noc - zauważył trzeźwo Tom. - Będziecie jedli kolację razem? Czy to nie będzie dla ciebie kłopotliwe?

- Owszem, trochę - przyznała. - Zwłaszcza jeśli on spyta, czemu wyjechałam do Londynu. Może jednak nie zapyta, może wciąż będzie się na mnie bocył.

- Bocył na ciebie? Za co? Nie wyglądało na to, by twoja ucieczka zbyt go obeszła.

- Och, nie, rzecz w tym, że się pokłóciliśmy. Chciał wysłać po lekarza tego biednego przeziębionego Keighleya, dasz temu wiarę? Tak mnie to zgniewało, że już nie mogłam tego znieść i... no, powiedzieliśmy sobie wzajemnie parę cierpkich uwag. W końcu jednak pojechał sam, więc nie żałuję. Właściwie jestem nawet zadowolona — ciągnęła w zamyśleniu. - Dopóki się nie przemówiliśmy, czułam się okropnie zażenowana, a nie ma nic lepszego, niż wdać się w sprzeczkę, żeby odzyskać rezon.

Tom nie potrafił spojrzeć na to z tak filozoficznym dystansem jak Phoebe.

- Wysłałaś go po lekarza?! - wykrzyknął ze zgrozą.

- Tak, co w tym dziwnego?

- Na Boga, to przekracza wszelkie wyobrażenie! Potraktowałaś go, jakby był... kimkolwiek! Jesteś doprawdy okropna. Po czymś takim on z całą pewnością nigdy ci się nie oświadczy.

- To by było wspaniale. Ale i tak mi się nie wydaje, by kiedykolwiek rozważał ten pomysł. Ciekawe, po co w takim razie przyjechał do Austerby. Niezmiernie mnie to dziwi.

Dalszą rozmowę przerwało wejście Keighleya, który przyniósł do pokoju obficie zastawioną tacę. Ani złamanie nogi, ani późniejsze wypicie porządnej porcji trunku nie zmniejszyły apetytu Toma, teraz interesowało go więc już jedynie, co znajduje się pod kilkoma wypukłymi metalowymi przykrywkami. Służący, postawiwszy tacę na stoliku obok łóżka, spytał z ojcowską troską, czy

Tom ma ochotę przekąsić coś niecoś, a kiedy został gorąco zapewniony, że tak, uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Zuch z pana! Proszę się tylko nie ruszać, ja tu wszystko urządzę tak, żeby było panu wygodnie, sir. Dla panienki jest nakryte na dole, jego książęca mość już czeka.

Przynaglona w ten grzeczny, lecz stanowczy sposób Phoebe wyszła z sypialni, obiecując choremu - na jego prośbę zresztą - że zajrzy do niego przed udaniem się na spoczynek. Tom ponieważ zaczął żałować swej prośby. Phoebe była zbyt niewinną i za bardzo z nim zaprzyjaźnioną, by ujrzeć w ich położeniu cokolwiek dwuznacznego, on jednak mocno odczuwał całą niestosowność sytuacji, powinien był więc chronić przyjaciółkę. Sylvester wydawał mu się całkiem przyzwoitym człowiekiem, tak naprawdę jednak nie znał go zupełnie, równie dobrze mógł być nieczułym uwodzicielem, który uzna przebywającą z nim sam na sam Phoebe za łatwy łup. Cóż ona wtedy pocnie, zupełnie pozbawiona opieki, gdyż jej obrońca został unieruchomiony w łóżku?

Sylvester wszakże nie miał głowy do amorów. Doskwierał mu głód, odczuwał też coraz większe zmęczenie i zaczynał być zły na siebie, że powodowany nagłym impulsem zajrzał do zajazdu „Pod Niebieskim Odyńcem”. Pomaganie uciekającym kochankom uwłaczało jego pozycji, a co gorsza, narażało go na publiczne potępienie, zresztą słuszne. Wpatrywał się więc w ogień płonący w kominku z marsem na czole, a gdy Phoebe weszła do izby i podniósł na nią wzrok, pochmurny wyraz jego twarzy jeszcze się pogłębił.

Zrozumiała to jako krytykę jej wyglądu, ponieważ wciąż miała na sobie ciężką suknię podróżną, on tymczasem zmienił spodnie z kozłej skóry i gruby surdut na pantalon i błękitny frak z cienkiego, wykwintnego materiału, pod szyją zaś miał świeży fular. Co prawda, był to strój przedpolu-

dniowy, lecz i tak Phoebe poczuła się w porównaniu z księciem nieelegancka i zaniedbana. Ku swemu zażenowaniu, zaczęła się przed nim tłumaczyć, mówiąc, że nie mogła się ubrać stosowniej, gdyż potem będzie musiała znów udać się do stajni.

On jednak w ogóle nie zwrócił uwagi na jej wygląd, odparł więc tym swoim niedbałym tonem, który nieodmiennie budził irytację i oburzenie Phoebe:

- Droga panno Marlow, nie widzę żadnego powodu, dla którego miałaby pani się przebierać do kolacji, ani też, pozwolę sobie dodać, dla którego miałaby pani chodzić po nocy do stajni.

- Muszę sprawdzić, czy koń nie pozbył się kompresu - odparła zdecydowanym tonem. - Nie mam ani trochę zaufania do Willa Scalinga.

- Może mieć pani całkowite zaufanie do Keighleya.

Pominęła to milczeniem, gdyż jakkolwiek sądziła, że służący, któremu właśnie zaczął dokuczać mocny kaszel, nie powinien wychodzić na zewnątrz, nie chciała wszczynać kolejnej kłótni z Sylrestrem akurat wtedy, gdy mieli zasiąść do wspólnej kolacji. Zerknęła na niego niepewnie i zauważyła, że jego niezadowolenie ustąpiło miejsca rozbawieniu. Nie zdając sobie sprawy z tego, że zmieniający się wyraz jej twarzy dość dobrze odzwierciedlał jej tok myślenia, ani że książe potrafił go trafnie odczytać, nie wiedziała, czemu przypisać jego zmianę nastroju, przyglądała mu się więc pytająco, z głową lekko przechyloną na bok.

Przypominała mu teraz niewielkiego ptaszka. Roześmiał się nagle i rzekł:

- Wygląda pani jak jaskółka. Wiem, zastanawia się teraz pani, czy mi powiedzieć to, co pani myśli, czy lepiej nie. Dobrze, zrobię, jak pani sobie życzy, przed snem zajrzę do koni, by się upewnić, czy jeden z nich nie zjadł okładu, a jeśli okaże się, że tak się stało, zaaplikuję mu nowy.

- Umie pan sporządzić okład z otrąb? - spytała sceptycznym tonem.

- Śmiem twierdzić, że lepiej od pani. Zazwyczaj nie zajmuję się tym sam, lecz w myśl starej dobrej zasady człowiek powinien wiedzieć więcej od swych stajennych i umieć zaradzić, gdy jego konie znajdują się w opałach. W dzieciństwie jednym z moich największych przyjaciół był nasz kowal, czyli, jak każdy kowal, najlepszy znawca końskich chorób.

Phoebe była pod wrażeniem.

- Ma pan własnego kowala? - spytała, na moment zapominając o wszystkim innym. — Mój ojciec nigdy nie widział takiej potrzeby, chociaż ja zawsze tego chciałam... Ale przecież nie może pan mieszać otrąb w tym ubraniu.

- Wolę to, niż ponownie narazić się na pani nieukontentowanie. W ten sposób wystawię się oczywiście na utyskiwania Keighleya, lecz nie będę na nie zważał. Ach, to mi przypomina, że miałem pani coś powiedzieć. Pomieszczenia dla służby nie oferują standardu, do jakiego John przywykł. Prawdę powiedziawszy, owo pomieszczenie jest tylko jedno, to mały stryszek nad stajnią, na którym sypia

ów nieobecny stajenny. Panuje tam przenikliwy ziąb, zgodzi się więc pani, że to przesądza sprawę. Wymyśliłem inne rozwiązanie, które, jak mierniam, spotka się z pani uznaniem. Otóż córka gospodyni odstąpi swój pokój memu służącemu, a sobie rozłoży siennik u pani.

- A czemu nie u swej matki? - spytała Phoebe, urażona tym, że Sylvester znowu próbuje wszystkim zarządzać według własnego widzimisię.

- Ponieważ nie ma tam dość miejsca.

- Keighley mógłby równie dobrze spać w jednym pokoju z Willem.

- Bałby się.

- Cóż za nedorzecznosc! Ten biedny chłopiec jest zupełnie niegroźny.

- Keighley serdecznie nie cierpi takich wiejskich półgłówków.
- Czemu więc nie może spać na sienniku w pańskiej sypialni?
- Ponieważ najprawdopodobniej mnie wtedy zarazi.

Phoebe zachnęła się, lecz nic nie odrzekła, gdyż na to nie znalazła odpowiedzi. Szczęśliwie zaraz potem w izbie zjawiała się zziębnięta panna Alice Scaling, dziewczyna pulchna, rumiana i szeroko uśmiechnięta, choć akurat ugięła się pod ciężarem tacy, na której piętrzyły się przykryte półmiski. Hałaśliwie postawiła tacę na kredensie, przez chwilę głośno łapała oddech, a potem dygnęła przed księciem i wyrecytowała:

- Z wyrazami szacunku od mamy. Są kurczaki, potrawka z królika, podroby zapiekane z ryżem, pudding mleczny, jabłka w cieście i niech wasza książęca miłość powie, czy chce tę resztkę pasztetu z baraniny, co to ja z mamą i Willem mielim na obiad. - Z korytarza dobiegło wyszczone szeptem sprostowanie, więc poprawiła się szybko: - To jest, wasza książęca nie miłość, tylko miłość niech powie, czy by chciała. Całkiem zgrabny kawałek się został. Dobry pasztet, palce lizać - zdradziła w zaufaniu.

- Dziękuję, nie wątpię, że pasztet jest dobry, ale nie wydaje mi się, byśmy potrzebowali jeszcze czegoś.

- Jakby co, to jest, przyniesę. - Alice z zapalem stawiała dania na stole. - I nie ma się co bać, że na jutro zbraknie, bo jutro ugotuję indyka. Z samego rana skręcę mu łeb, oskubię, wypatroszę i od razu pójdzie do gara. Wtedy będzie mięcusi - wyjaśniła. - Miała żem go chować, ale mama mówi, że książę ważniejszy od gulgota, nawet młodego. A potem kupim od pana Sharpa jego świnię i będą nóżki, i szyneczka, i schabik, i flaczki, i wszystko, wasza miłość. Nie, wasza miłość! Cięgiem mi się myli - przyznała z szerokim uśmiechem.

- Nazywaj mnie, jak chcesz, ale proszę, byś ze względu na mnie nie ukręcała łba indykowi - odparł Sylvester, jednocześnie rzucając ostrzegawcze spojrzenie Phoebe, która miała taką minę, jakby chciała parsknąć śmiechem.

- Ach, co tam indyk. Indyka możemy jeszcze kiedy mieć, a księcia pod pierwszym lepszym krzakiem nie najdziem.

Wygłosiwszy ostatnią sentencję, wyszła, tak zamaszyście zamykając drzwi, że głośne trzaśnięcie zagłuszyło nieopanowany chichot Phoebe.

- Cóż z pani za okropna osoba - zganiał ją Sylvester. - Nie wolno się wyśmiewać z prostaczków, czyż pani o tym nie wie?

- Kiedy to nie ona tak mnie rozbawiła, a widok pańskiej twarzy, gdy panna Scaling powiedziała, że jest pan ważniejszy od gulgota - wyjaśniła Phoebe, ocierając łzy. - Czy ktoś już kiedyś powiedział panu coś takiego?

- Nigdy. To był, w rzeczy samej, prawdziwy komplement. Ale nie zgadzam się, by zabiła dla mnie indyka.

- Och, wystarczy, że zapłaci jej pan za potrawę tyle, by mogła sobie kupić następnego, a będzie uszczęśliwiona.

- I tak nic mnie nie zmusi do tego, bym zjadł drób, który został wrzucony do garnka jeszcze ciepły - zaproponował. - Czy wie pani może, co to są owe flaczki? Nie przypominam sobie, bym kiedyś jadł taką potrawę.

Phoebe ponownie zaczęła chichotać.

- Pewna część świńskich wnętrzności...

- Wielkie nieba! Oby przestało padać, nim nas to spotka. Na szczęście teraz mamy kurczęta. Życzy pani sobie, bym je pokroił, czy woli zrobić to sama?

- Proszę pokroić, jeśli pan tak łaskaw. - Usiadła za stołem. - Nie wyobraża pan sobie nawet, jak bardzo jestem głodna.

- Chyba sobie wyobrażam, bo sam też to czuję. Ciekawe, czemu tego kurczęcia zostało tylko pół?

Ach, pewnie zaniecono go panu Orde'owi. Przy okazji... Jak on się czuje?

- Całkiem nieźle, jak mi się wydaje, aczkolwiek doktor zabronił mu wstawać przez cały tydzień. Nie mam pojęcia, jak zdołam zatrzymać go tyle czasu w łóżku; dla niego to będzie udreka, zanudzi się.

Przyznał jej rację, myśląc jednocześnie, że nie tylko Tomowi rychło sprzykrzy się przymusowy pobyt w gospodzie.

Podczas kolacji rozmawiali mało, gdyż Sylvester był zmęczony, a Phoebe nie poddawała żadnych nowych tematów, obawiając się, że któryś z nich mógłby nakłonić księcia do zadania jej kłopotliwych pytań. On wszakże nie zamierzał jej indagować, nie dlatego jednak, by cała ta sprawa zupełnie go nie interesowała. Pogoda oraz wypadek Toma oznaczały, że wszyscy troje musieli pozostać w gospodzie przez pewien czas. Sylvester podjął kroki, by uczynić sytuację Phoebe nieco bardziej obyczajną i zgodną z obowiązującym konwenansem, lecz nie wątpił ani przez moment, że jego właściwym obowiązkiem było uczynić wszystko, co w jego mocy, by udaremnić ucieczkę kochanków. Oplakane konsekwencje takiej przygody nie musiały być oczywiste dla dziewiętnastoletniego młodzieńca ze wsi, lecz starszy od niego o niemal dziewięć lat Sylvester aż nadto dobrze zdawał sobie z nich sprawę. Musiał je Tomowi uświadomić. Nie chciał dyskutować na ten temat z Phoebe, gdyż byłoby to nie tylko niezmiernie niezręczne, ale i zupełnie bezowocne. Całkowity brak zakłopotania, jaki okazywała, przyłapana pod-

czas potajemnej eskapady z kochankiem, świadczył o wyjątkowym bezwstydzie owej panny.

Kiedy tylko kolacja dobiegła końca, Phoebe poszła na górę do Toma. Okazało się, że przyjaciel poświęcił dużo czasu namysłowi nad jej położeniem. Szczególnie uderzyła go jedna myśl.

- Pamiętasz, o czym mówiliśmy, zanim przyszedł Keighley? O tym, że księżę już na pewno nie będzie chciał prosić o twą rękę. W takim razie wcale nie musisz jechać do Londynu. Ależ z nas kapuściane głowy, że nie wpadliśmy na to wcześniej. A ja się cały czas zastanawiałem, jak cię tam wyprawić...

- Ja od razu na to wpadłam, Tom - wyznała Phoebe. - Księżę już mi nie zagraża, lecz nadal jestem zdecydowana jechać do babci. Nie tylko boję się mamy, aczkolwiek gdy pomyślę, jak bardzo będzie na mnie zła za tę ucieczkę, to aż mi się robi słabo ze strachu, ale, jak mówię, nie tylko o to chodzi. Nie dość, że nie chcę, ja nie mogę tam wrócić. Ojciec mnie nie kocha na tyle, by był gotów stanąć po mojej stronie, nawet gdy go o to błagałam. Kiedy zagroził, że jeśli nie przyjmę oświadczyn Salforda, powtórzy wszystko mamie, poczułam się uwolniona od wszelkich zobowiązań wobec niego.

- Nie jesteś wolna, Phoebe - zauważył trzeźwo Tom. - Nie osiągnęłaś jeszcze pełnoletności i zdanie twego ojca decyduje o wszystkim. Babcia nie będzie mogła cię zatrzymać u siebie wbrew jego woli.

- To prawda. Zresztą, gdyby naprawdę pragnął mojego powrotu, pojechałabym nawet chętnie. Ale jemu na tym nie zależy. Jeśli uda mi się przekonać babcie, bym mogła zostać u niej, papa będzie

równie zadowolony z pozbycia się mnie jak macocha, a w najlepszym przypadku nie będzie czyniło mu różnicy, czy jestem w Austerby, czy nie. Będzie mu brakowało tylko tego, że już nie doglądam stajni.

Tom nie wiedział, co na to odrzec. Ucieczkę przed grożącym Phoebe (przynajmniej tak to wyglądało) niechcianym małżeństwem uznał za rozwiązanie możliwe do przyjęcia i dlatego przyłożył doń rękę, lecz wieść, że przyjaciółka pragnie nadal trzymać się z dala od domu rodzinnego jedynie z tego powodu, że nie czuła się tam szczęśliwa, spadła nań jak grom z jasnego nieba. Nie pochwalał tej decyzji, ale był świadom, jakie nieszczęścia staną się w Austerby udziałem Phoebe po takiej eskapadzie, nie miał więc serca nakłaniać jej do powrotu.

- Co mogę zrobić? - spytał więc. - Pokpiłem sprawę, ale jeśli mógłbym być ci w czymś pomocny, to możesz na mnie liczyć, obiecuję.

Uśmiechnęła się do niego serdecznie.

- Wcale nie pokpiłeś sprawy, wszystko przez tego nieszczęsnego osła. Jeśli miejsce naszego pobytu nie zostanie odkryte do czasu, gdy będziesz mógł już sam sobie radzić, pojedę do Londynu dylizansem za pożyczone od ciebie pieniądze. Na razie jednak nie ma o tym mowy.

- Nie, dopóki śnieg trochę nie stopnieje. Poza tym...

- Poza tym chyba nie uważasz mnie za zdolną do zostawienia cię samego w tarapatkach. Musiałabym być podła. Nie, Tom, nie próbuj się spierać, bo

nie ustąpię. Może gdy księżę będzie wyjeżdżał, a niechybnie uczyni to tak szybko, jak tylko się da, zechce wziąć list do mojej babci.

- Czy on mówił coś o twoim nagłym wyjeździe? - spytał Tom.

- Nie, na ten temat nie padło nawet jedno słowo. Szczęśliwie się złożyło, prawda?

- Trudno powiedzieć. Spodziewałbym się raczej... Przecież musiało go to wielce zdziwić. Co się działo w Austerby, gdy odkryto ucieczkę? Nawet o tym nic nie wspominał?

- Nie, zresztą nie pytałam.

- Mam tylko nadzieję, że on nie doszedł do przekonania... Phoebe, nie wiesz, czy on zamierza jeszcze dzisiaj do mnie zajrzeć?

- Nie, a chcesz się z nim zobaczyć? Mam go do ciebie przysłać? Oczywiście o ile właśnie nie poszedł do stajni. Obiecał mi sprawdzić, co z koniem, i w razie potrzeby przyłożyć mu świeży okład.

- Phoebe! - wykrzyknął porywczo. - Jeśli zażądałaś od niego zajmowania się końmi, to zachowałaś się skandalicznie. Traktujesz go, jakby był chłopcem na posyłki!

Nie wytrzymała i zachichotała cicho.

- Naprawdę? Dobrze mu to robi. Nie, nie obawiaj się, nie wysłałam go do stajni, sam się zaofiarował z pomocą, co mnie zdumiało, nie ukrywam. Czemu chcesz się z nim zobaczyć?

- Nic ci do tego. Keighley zajrzy tu do mnie, nim się położy, i poproszę go, by przekazał księciu moje uprzejme zaproszenie. Ty już dzisiaj nie schodź więcej na dół, rozumiesz?

- Wcale nie mam ochoty nigdzie schodzić, oczy mi się same zamykają, tak jestem znużona. Dobrze, że on to robi, mogę iść do siebie. Ach, wiesz, co się stało? Ten okropny człowiek kazał córce gospodyni oddać swą sypialnię Keighleyowi i spać na sienniku u mnie. Nawet nie spytał, czy się zgadzam. A wszystko dlatego, że sam nie życzy sobie spać w jednym pokoju ze swym służącym. Rzekomo nie chce się od niego zarazić, ale ja wiem lepiej.

- Ja też, i to nawet jeszcze lepiej - podsumował Tom. - Ależ z ciebie gąska! Idź ty wreszcie do siebie, a gdy znowu zobaczysz księcia, okaż mu więcej wdzięczności i grzeczności.

Phoebe miała okazję spełnić życzenie Toma szybciej, niż się spodziewał, ponieważ w tym momencie Sylvester zajrzał do izby.

- Czy mogę wejść? I jakże się pan miewa? Wygląda pan już nieco lepiej.

- Tak, prosimy, niech pan wejdzie - odparła impulsywnie Phoebe, nim chory zdążył otworzyć usta. - Tom właśnie wyraził pragnienie, by pana zobaczyć. Czy zaszedł pan już do stajni?

- Tak. Może pani udać się na spoczynek zupełnie spokojna. Koń nie wykazuje chęci do pozbycia się okładu. Pęcina tego drugiego jest wciąż nieco zaogniona, lecz nie ma powodu do obaw.

- Jestem panu szczerze zobowiązana.

- Ja również, sir - wtrącił Tom. - Okazuje nam pan niezmierną uprzejmość, zadając sobie tyle trudu. Doprawdy nie wiem, jak panu dziękować.

- Ja już podziękowałam w imieniu nas obojga - odezwała się Phoebe, gdyż w jej mniemaniu ksiązę nie zasłużył na aż tak gorące pochwały.

- O tej porze powinnaś już spać - zawyrokował Tom, posyłając jej wymowne spojrzenie. - Jego ksiązęca mość nie będzie się gniewał, że nie dotrzymasz nam towarzystwa, więc życz nam dobrej nocy i idź do siebie.

- Dobrze, dziadziu - powiedziała z przekorą Phoebe, jak zwykle niepoprawna. - Dobranoc, mości ksiązę.

- Miłych snów, Jaskółko - odparł, otwierając przed nią drzwi.

Ku ogromnej uldze Toma, jego przyjaciółka wyszła bez popełniania kolejnych gaf. Wziął głęboki oddech, a gdy Sylvester zamknął drzwi, odezwał się:

- Jestem świadom, wasza ksiązęca mość, że niezbędne są pewne wyjaśnienia...

- Proszę zapomnieć o formach - przerwał mu Sylvester. - Czy ten chirurg bardzo pana wymęczył? Mam nadzieję, że nie, bo pochwalił przede mną Keighleya za wykonanie dobrej roboty.

- Nie, nie męczył mnie, posmarował mi tylko czymś nogę i obandażował ją ponownie - zapewnił Tom. - Ach, to mi o czymś przypomina. Żałuję, że to pan po niego pojechał, i to w taką pogodę. Gdy się o tym dowiedziałem, przeżyłem wstrząs. I zapewne to pan, ksiązę, poniósł kosztą jego wizyty, ponieważ ode mnie nic nie wziął. Jeśli nie powie mi pan, ile zapłacił...

- Przedstawię panu dokładny rachunek - zapewnił Sylvester, postawił obok łóżka krzesło i usiadł na nim. — Wracając do pańskich koni... Przez dobę czy dwie trzeba będzie robić okłady na tę pęcinę, lecz powinna się zagoić bez śladu. Wcale zgrabne gniadosze, o ile zdołałem ocenić przy świetle latarni.

- Ojciec nabył je w zeszłym roku; rasowe sztuki. Wolałbym stracić tysiąc funtów, niż narazić je na szwank.

- Ba, ja myślę, że by pan wolał. Ma pan surowego ojca, tak?

- Nie, nie, jest wspaniały, tylko...

- Rozumiem - rzekł ze współczuciem Sylvester. - Mój był taki sam. Wspaniały, tylko...

— Uśmiechnęli się do siebie. - Musi mnie pan mieć, ksiązę, za byle chłystka, któremu co najwyżej krowy poganiać. Gdyby wszakże ten przekłety osioł nie zaczął ryczeć... Nie, nie ma się

co tłumaczyć, ojciec powie, że spartaczyłem sprawę, a co gorsza, będzie miał rację. A byłoby jeszcze gorzej, gdyby pan nie pospieszył z pomocą.

- Jeśli koniecznie chce pan komuś dziękować, to Keighleyowi. Ja nie potrafiłbym złożyć złamanej nogi.

- Tak, ale to pan pojechał po Upsalla, co było niespotykaną grzecznością. Ach, właśnie... – Zawahał się, nieśmiało zerknął na Sylvestra i zaczerwienił się lekko. - Phoebe nie zrozumiała pańskich intencji, ona z pewnych rzeczy nie zdaje sobie sprawy, ale ja jak najbardziej i jestem panu niewypowiedzianie wdzięczny za to, co pan dla niej uczynił. Chodzi mi o wysłanie córki gospodyni, by u niej spała. Nie wiem, czy to wystarczy, czy może też... Jak pan

myśli, czy teraz, kiedy wpadliśmy w takie tarapaty, powinienem się z nią ożenić?

Sylvester, który do tej pory przyglądał mu się z dobrodusznym rozbawieniem, usłyszawszy to naiwne pytanie, ze zdumieniem ściągnął brwi.

- Czyż nie to właśnie było pańskim zamiarem?

- Dobry Boże, nie! To znaczy, nie było, choć zaofiarowałem się to zrobić, dopóki ten wypadek nie zapędził nas w ślepy zaułek. Teraz, kiedy zostaliśmy tu razem uwięzieni, może jako człowiek honoru powinienem... Jednak dziesięć do jednego, że ona odmówi. I co wtedy?

- Skoro nie uciekliście, by potajemnie wziąć ślub, to co oznaczał ten nagły wyjazd? - spytał Sylvester.

- Ach, czyli słusznie się obawiałem, że tak pan to rozumie.

- Nie ja jeden. Zakończyłem gościnę w Austerby, ponieważ Marlow wyjechał, udając się za wami w pościg w kierunku szkockiej granicy.

- No nie! Co za furia! Skoro podejrzewał mnie o zbałamucenie mu córki, czemu nie posła najpierw do Manor House? Moja matka powiedziała mu, że nie ma powodów do zmartwienia.

- Nie odniosłem wrażenia, by sama była o tym przekonana - skomentował cierpko Sylvester. - Tak się składa, że to właśnie ona zjawiała się rano w Austerby z pańskim listem. Młody pomyłeńcze, nie wiem, co pan jej napisał, lecz z całą pewnością nie zdołał przekonać jej, by się nie martwiła. Tak ją to wzburzyło, że wygłosiła całą tyradę na temat lady Marlow, co zresztą będę zawsze wspominał z największym ukontentowaniem i wdzięcznością, że mogłem być tego świadkiem.

- Wreszcie jej wygarnęła - ucieszył się Tom. - Nie pojmuję, skąd mogło jej przyjść na myśl, że uciekliśmy, by się pobrać. Przecież specjalnie na samym początku listu prosiłem, by niczym się nie martwiła. Lord Marlow, owszem, mógł wyciągnąć taki wniosek, ale nie mama.

- Przeciwnie, akurat on zbył tę sugestię i uwierzył w to dopiero wtedy, gdy jedna z jego młodszych córek wszystko nam opowiedziała. Nie pamiętam, jak ona ma na imię. To taka świętoszkowata dziewczynka, której obłudna lojalność wobec rodziców przyprawia o mdłości.

- Eliza - odgadł natychmiast Tom. - Ale ona przecież o niczym nie wiedziała, oczywiście, o ile nie podsłuchiwała pod drzwiami. Wtedy wiedziałyby jednak, że nie wybieraliśmy się do Szkocji.

- Rzeczywiście podsłuchiwała, a mimo to, jej zdaniem, mówiliście o jeździe do Gretna Green.

Tom zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć przebieg rozmowy.

- Mogłem coś wspomnieć na ten temat, ponieważ nie znajdowałem wtedy innego wyjścia z sytuacji. Na szczęście Phoebe wymyśliła inny plan, o wiele lepszy, i nie kryję, że bardzo mnie tym ucieszyła. Lubię ją niezmiernie, odkąd wyrosłem z pieluch, była mi jak siostra, a w Austerby czułem się jak w domu, ale niech mnie licho porwie, jeśli mam ochotę się z nią ożenić. Oświadczyłem się jednak, bo obiecałem jej pomoc, a to był jedyny pomysł, jaki mi się nasuwał.

- Pomóc jej? - przerwał mu coraz bardziej zdumiony Sylvester. - Ale w czym?

- W ucieczce z Austerby.

- Czemuż, u kaduka, akurat wtedy? Nie czuł pan śniegu w powietrzu? Wiadomo było, że rychło zacznie padać.

- Zgadza się, ale przecież nie miałem wyboru. Nie można było zwlekać, przynajmniej tak uważała Phoebe. Gdybym nie zdecydował się zawieźć jej do Londynu, pojechałaby zwykłym dylizanssem.

- Skąd ten pośpiech?

Tom zawahał się ponownie i obrzucił księcia uważnym, szacującym spojrzeniem.

- Nikomu nie powtórzę - powiedział zachęcającym tonem Sylvester.

Tom, ujęty jego uśmiechem, wyznał impulsywnie:

- Cała ta sprawa wynikła z powodu mistyfikacji. Otóż Phoebe dowiedziała się od lady Marlow, że przyjeżdża pan do Austerby prosić o jej rękę. Ja od razu uznałem to za czysty wymysł, lecz lord Marlow w to wierzył, trudno więc dziwić się Phoebe, że dała się nabrać, i wpadła w czarną rozpacz.

- Więc moje oświadczyzny nie byłyby jej miłe? -upewnił się na wszelki wypadek Sylvester.

- Zupełnie nie. Nic nie mogłoby jej nakłonić do poślubienia pana, tak mniej więcej powiedziała. Poznał pan jednak sytuację w Austerby, może się więc pan domyślić, że gdyby naprawdę chciał się pan oświadczyć, lady Marlow zmusiłaby ją do wyrażenia zgody. Pozostała jej tylko ucieczka. -Umilkł z zakłopotaniem, świadom, że zdradził więcej, niż nakazywała dyskrecja i rozsądek.

Oczy księcia przybrał dziwny wyraz, trudny do zinterpretowania, lecz z całą pewnością niepokojący.

- Wie pan przecież, jakie są kobiety, sir - dodał szybko Tom, pragnąc złagodzić wymowę poprzednich słów. - Ten jej sprzeciw jest oczywiście niedorzeczny, wszak ona ledwo pana zna. Mam nadzieję... To znaczy... Och, może nie powinienem był panu tego mówić.

- Czemu nie? - rzucił lekkim tonem Sylvester, znów uśmiechnięty.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Na widok tego uśmiechu Toma ogarnęła ulga, jednak nie do końca odzyskał spokój.

- Najmocniej przepraszam. Wydawało mi się, że nie będzie to miało najmniejszego znaczenia, skoro i tak nie zamierzał pan prosić jej o rękę, bo nie zamierzał pan, prawda?

- Absolutnie nie. Cóż ja jednak takiego uczyniłem, by wzbudzić w pannie Marlow aż taką niechęć?

- Nie wiem. Nic, jak sądzę - odparł Tom, czując się nad wyraz niezręcznie. - Chyba po prostu nie jest pan w jej guście.

- Czyli nie spełniam jej wymogów. A tak przy okazji... Dokąd ją pan właściwie wiezie?

- Do jej babki, która mieszka w Londynie. Zdaniem Phoebe, babka stanie po jej stronie i obroni ją, gdyby zaszła taka potrzeba,

Sylvester bystro spojrział na Toma.

- Mówi pan o lady Ingham?

- W rzeczy samej. Zna ją pan, sir?

- O, tak! - odparł ze śmiechem w głosie. - To moja matka chrzestna.

- Naprawdę? Proszę powiedzieć, jaka ona jest? Czy zgodzi się zatrzymać Phoebe u siebie? Phoebe w to nie wątpi, ja jednak nie byłbym tego aż tak pewien. Czy lady Ingham nie będzie oburzona ucieczką z domu i nie odeśle wnuczki z powrotem? Co pan o tym sądzi, sir?

- A cóż ja mogę wiedzieć? - spytał Sylvester, wymigując się od odpowiedzi. - Panna Marlow, jak rozumiem, nadal trzyma się swego planu, choć zagrożenie moimi oświadczeniami nie istnieje.

- Tak. Podsunąłem jej myśl, że nie musi już jechać do Londynu, lecz ona dalej przy tym obstaje i, szczerze mówiąc, tak będzie dla niej lepiej, oczywiście o ile lady Ingham okaże jej życzliwość. Lady Marlow to prawdziwa jędra i na nic się zda sądzić, że jej mąż ochroni przed nią córkę, bo on nawet nie ruszy palcem, sir! Phoebe wie aż za dobrze, czego może się po nim spodziewać, bo gdy go błagała o pomoc, odmówił jej z miejsca. Dlatego ona nie chce tam za nic wracać. Co jednak teraz począć? Nawet gdyby śniegi stopniały już jutro, nie mogę jej towarzyszyć

w drodze, a nie zgadzam się, by jechała sama. Jeśli jednak ta straszna kobieta dopadnie nas tutaj, Phoebe znajdzie się w pułapce.

- Nie ma się co tak gorączkować, cny Gałahadzie, rycerzu bez skazy i zmazy. Niebezpieczeństwo znajduje się jeszcze daleko, a nim się przybliży, niechybnie znajdziesz sposób na uratowanie zagrożonej damy albo też ja zrobię to za ciebie.

- Jak? - spytał żywo Tom. Sylvester podniósł się z krzesła.

- Przyjechałem tu kariolką, za mną podąża mój powóz ze wszystkimi bagażami. Zostawiłem dla służących wiadomość w Hungerford, w gospodzie „Pod Niedźwiedziem”, by szukali mnie tutaj. Kiedy przybędą, z przyjemnością osobiście odwiozę pannę Marlow do lady Ingham, Tom rozpromienił się.

- Naprawdę zechciałby pan to zrobić, sir?! - wykrzyknął. - To byłoby najlepsze ze wszystkiego... Oczywiście o ile ona zgodzi się z panem jechać.

- Tylko niechże nie zacznie się pan teraz zadręczać myślą, że ona, być może, nie zechce, bo jeszcze dostanie pan od tego gorączki. Powinien pan odpocząć, to dobrze panu zrobi. Mam nadzieję, że pomimo złamanej nogi uda się panu zasnąć.

- Och, nie ma obaw. Doktor Upsall zostawił mi miksturę do wypicia przed snem, syrop z maku albo czegoś podobnego. Ani chybi będę spał jak zabity.

- Gdyby jednak się pan obudził i czegoś potrzebował, wystarczy zapukać w ścianę u wezłowania. Usłyszę, ja mam lekki sen. A teraz przyślę Keighleya. Dobranoc!

Księżę z uśmiechem skinął głową i wyszedł, zostawiając Toma samego z myślami, wśród których na pierwszy plany wybijała się decyzja, by raczej przemęczyć się bezsennie do rana, gdyby zaszła taka konieczność, niż wyciągać z łóżka samego księcia. Keighley jednak potraktował zalecenia doktora dość swobodnie i zaordynował choremu pokaźną dawkę zostawionego mu środka

nasennego, Tom spał więc twardo przez całą noc, choć przed zaśnięciem odczuwał niepokój z powodu owego dziwnego spojrzenia Sylwestra. Powtórzył sobie całą treść rozmowy i choć żałował poniewczasie, że za dużo powiedział, nie znalazł w niej niczego, czym mógłby rozgniewać księcia. Ostatecznie doszedł do wniosku, że poniosła go fantazja, gdy w oczach rozmówcy zdawał się dostrzegać niebezpieczny błysk. W rzeczywistości ten skromny młodzieniec nie miał żadnych szans, by zrozumieć prawdziwe emocje osoby tak wysoko urodzonej i mającej o sobie jak najlepsze mniemanie, do czego zresztą zachęcano ją przez całe życie. Odkrycie, że Phoebe nie życzyła sobie go poślubić, wprowadziło Sylwestra we wściekłość. Tak długo, jak przypisywał jej ucieczkę uczuciu do ukochanego mężczyzny, nie życzył panie Marlow źle. Sytuacja zmieniła się jednak diametralnie i im dłużej o tym rozmyślał, tym boleśniej czuł się zraniony w swej dumie.

Spomiędzy wszystkich panien do wzięcia wybrał niepokązną pannę ze wsi, pozbawioną urody i ujmującego obejścia, uczynił jej ten honor, a ona miała czelność nim wzgardzić! Co gorsza, uczyniła to tak, że wyszedł na głupca, a takiego afrontu nie mógł puścić płazem. Owszem, byłby gotów jej to zapomnieć, gdyby kierowała nią miłość do innego. Kiedy jednak okazało się, że skandaliczna ucieczka z domu, którą mogło w jakiejś mierze tłumaczyć i częściowo rozgrzeszać jedynie płomienne uczucie Phoebe do Thomasa Orde'a, była podyktowana odrazą do wysłuchania jego oświadczyn, księżę nie tylko nie zamierzał wybaczyć, ale postanowił się zemścić. Oczywiście panna Marlow i tak rychło dostanie nauczkę, jeśli sądzi, że nadarzy jej się okazja do choćby w połowie tak świetnego zamążpójścia jak to, które odrzuciła, lecz to nie zadowalało Sylvestra. O ile jeszcze potrafił przeboleć spostponowanie swej pozycji, o tyle nie mógł znieść, że panna powzięła tak głęboką niechęć do niego. Pozwalała sobie na wygłaszanie niepoehlebnych uwag pod jego adresem i okazywała bezceremonialnie, jak nisko go ocenia. Tom w pewnym momencie przytoczył jej słowa, cóż to było? Nic w świecie nie mogłoby jej nakłonić do poślubienia Sylvestra... Ona jest zbyt pewna siebie, ta panna Marlow! Oczywiście, że nigdy nie wyjdzie za niego, bo on nie da jej takiej możliwości, lecz jeszcze się okaże, czy Phoebe nie zacznie tego żałować.

Z tą mściwą myślą Sylvester zasnął, a ponieważ Tom nie pukał do niego w nocy, obudził się dopiero o dziesiątej rano, gdy Keighley przyniósł mu do pokoju tacę ze śniadaniem. Okazało się wtedy, że wierny służący nie tylko wygląda na chorego, ale i zupełnie stracił głos.

- Natychmiast wracaj do łóżka, John! - zażądał Sylvester. - Naprawdę ci się pogorszyło przeze mnie. Trzeba ci przyłożyć gorące kataplazmy z gorczycy na piersi. Powiedz pani Scaling, żeby przygotowała dla ciebie okład. Idź już.

Keighley próbował szeptem zaprotestować, lecz chwycił go gwałtowny atak kaszlu.

- John, nie bądź głupcem. Za nic nie chcę, żebyś mi tu padł bez życia. Wracaj do łóżka. I każ, żeby ci rozpalono w kominku. To jest moje polecenie i ma być natychmiast wykonane.

- Jakże ja mogę się położyć, wasza książęca mość? - wyszeptał z trudem Keighley. - Kto by się wtedy zajmował panem Orde'em?

- Do diabła z panem Orde'em! Czy ten półgłówek nie może się nim opiekować? Pewnie nie... W takim razie ja będę musiał. Co trzeba przy nim zrobić?

- Na razie nic, bo zadbałem o wszystko, oporządziłem też nasze siwki, ale...

- W takim razie nic tu po tobie. Przestań robić tyle hałasu o nic i kładźże się wreszcie. Nie, nie upieraj się głupio. Jak będziesz do niego ciągle zachodził, to go w końcu zarazisz.

- Już się zaraził - wychrypiał Keighley.

- To pięknie! Ale ja nie mam ochoty chorować, więc zejdź mi z oczu, dopóki nie wydobrzejesz. -Widząc, że sługa czuje się rozdarty między pragnieniem odpoczynku a

determinacją, by nie zaniedbywać obowiązków, Sylvester dorzucił złowieszczym tonem: — Jeśli doprawisz się tak, że będę musiał zajmować się i tobą, to pożałujesz tej mojej opieki, obiecuję!

Keighley roześmiał się, co spowodowało kolejny paroksyzm kaszlu, a w efekcie tak go zmęczyło, że w końcu z ulgą podporządkował się rozkazowi księcia.

Godzinę później Sylvester, bardzo elegancki w szamerowanej bonżurce ze szkarłatno-złotego brokatu, wszedł niespiesznym krokiem do sypialni Toma i powitał go niefrasobliwie:

- Dzień dobry, rycerzu Galahadzie! Podobno spodobało ci się przeziębienie Johna i uparłeś się mieć takie samo? Pomysł godzien baraniej głowy! Jak ci się spało?

- Dziękuję, znakomicie. A przeziębienie wcale mi nie przeszkadza, tak czy owak muszę leżeć w łóżku. Za to diabelnie żal mi Keighleya, jest chory nie na żarty.

- Niedługo będzie ci diabelnie żal samego siebie, bo kazałem mu się położyć i sam zamierzam się tobą opiekować. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Dobry Boże, nie! - zawołał ze zgrozą Tom. — Nie mogę księciu pozwolić na usługiwanie mi.

- Nie masz wyboru.

- Owszem, mam. Ten chłopak robi przy mnie wszystko, co potrzeba.

- I to ma być wybór? Ja albo półgłówek? Thomas, byłbym ci wdzięczny, gdyby twe porównania były dla mnie bardziej pochlebne.

Chory zaśmiał się, lecz powtórzył, że doprawdy nie brak mu niczego z wyjątkiem jakiegoś zajęcia.

- Wszyscy będziemy o tym marzyć, jeśli śnieg rychło nie stopnieje. Może pani Scaling znajdzie dla nas talię kart, a jak nie, to przyjdzie nam wymyślać szarady. Na razie mogę ci zaproponować do czytania „Rycerza świętego Jana”. Opublikowano to ledwie w zeszłym roku, napisała go autorka „Węgierskich braci”. Zaraz ci przyniosę - zaofiarował się Sylvester.

Niedługo potem wrócił z pierwszym tomem najnowszego romansu panny Porter.

- Nie dorównuje to „Węgierskim braciom”, lecz jest całkiem zręcznie napisane - wyjaśnił.

Tom, który nie należał do wielbicieli książek, uczył ulgę, gdyż bał się, że zostanie mu wręczona jakaś opasła praca historyczna. Podziękował serdecznie, a po chwili namysłu zapytał, czy Sylvester często czytuje powieści.

- Wszystkie, jakie wpadną mi w ręce. Skąd to pytanie?

- Och, nie wiem - wykręcił się Tom. - Po prostu myślałem, że książkę raczej nie jest ich zagorzałym czytelnikiem.

Sylvester zdziwił się trochę, po czym znalazł, jak sądził, wyjaśnienie:

- Ponieważ moja matka jest poetką, sądziłeś, że preferuję poezję? Nie, nic z tych rzeczy.

- Jest poetką? - spytał z pełnym szacunku podziwem Tom.

- Tak. Zapewniam cię jednak, że nie gardzi czytaniem powieści. Nabywa chyba wszystkie, jakie tylko się ukazują, przynajmniej tak mi się wydaje. Jest chora, niemal przykuta do łóżka, lektury są więc jej największą pociechą i rozrywką.

- Och! - wyrwało się Tomowi, po czym umilkł.

- Muszę iść do koni. Panna Marlow zapewne jest już w stajni. Mam tylko nadzieję, że nie popadnę w niełaskę, zjawiając się tak późno.

Wrócił do siebie, by dokończyć toaletę, po czym powierzył Keighleya opiece pani Scaling, a sam poszedł dołączyć do Phoebe. Zadymka nie ustawała, lecz w stajni nie było aż tak zimno jak poprzednio, gdyż ustawiono w niej żelazny kosz, w którym płonęły węgle. Phoebe, zdjawszy z konia czaprak i,

obróciwszy konia w boksie, szczotkowała go zamazyście.

- Dzień dobry! - Sylvester zdjął surdut i podwinął rękawy. - Pani pozwoli, że ja to zrobię. Jak to otarcie?

- Wygląda lepiej. Właśnie skończyłam przykładać kolejny gorący okład. Nie mogę przystać na pańską propozycję, książę, Tomowi by się to nie spodobało.

- Niech mu więc pani nie mówi - poradził, wyjmując jej szczotkę z ręki. - Czyżby uważał, że nie mam dość kwalifikacji, by zajmować się jego końmi?

- Och, nie, nie w tym rzecz! On po prostu niezmiernie poważa pańską pozycję, uznałby więc pewnie, że to zajęcie niegodne księcia. Ale nie we wszystkim jest takim głuptasem, zapewniam.

Jej słowom towarzyszył tak szczery uśmiech, że książę nie mógł się nie roześmiać. Sięgnęła po zgrzebło, by zacząć czyścić konia, lecz Sylvester i na to nie chciał się zgodzić, zauważając, że Phoebe ma całą suknię w końskiej sierści, powinna więc już zostawić tę pracę, wrócić na górę, przebrać się i oddać panie Scaling ubranie do czyszczenia. Zauważyła, że ma jeszcze tylko jedną sukienkę, muślinową, w której niechybnie zamarznie na śmierć.

- Poza tym Alice udała się do pana Sharpa, by mu powiedzieć, że książęca miłość potrzebuje jego świni. To są dokładnie jej słowa. Zwierzę jest niedotuczone, właściciel więc pewnie nie zechce się z nim rozstać.

- Dlaczego?

- Bo później uzyska za nie więcej pieniędzy. W dodatku może być nie w sosie. Pan Sharp, oczywiście.

- Słucham?

Phoebe przestała oskubywać suknię z końskiej sierści, podniosła głowę i z wesołym błyskiem w oku spojrzała na Sylwestra.

- To chyba znaczy, że ten człowiek ma raczej nieprzyjemne i ponure usposobienie. Alice zapewne jednak zdobędzie, co sobie zamierzyła, ta dziewczyna jest nieustraszona.

- Powinna być pani służącą, pasowałaby do pani - oznajmił, odwracając konia, by wyszczotkować go z drugiej strony.

Ponownie uniosła głowę i przechyliła ją na bok.

- Chce pan powiedzieć, że ma mnie pan za nieustraszoną? Myli się pan.

- Tak? W takim razie zmieńmy to na „dzielną”. Westchnęła.

- Bardzo bym chciała, żeby tak było. Niestety, w istocie jestem żalonym tchórzem.

- Pani ojciec twierdzi co innego.

- Ponieważ nie straszna mi żadna przeszkoda podczas jazdy wierzchem.

- Czegóż więc się pani lęka?

- Ludzi. Niektórych ludzi. Boję się niezyczliwości, taki chłód może człowieka... zabić.

Spojrzał na nią, marszcząc brwi, lecz zanim zdążył poprosić o wyjaśnienie tych słów, do stajni weszła Alice, głośno tupiąc drewnianymi chodakami, by pozbyć się oblepiającego je śniegu. Za nią podążał niemal bezzębny staruszek o chytrym spo-

jrzeniu. Przedstawiła go jako przebrzydłego, mocnego w gębie padalca, który nie chce sprzedać swej świni, nim nie przekona się, że zje ją prawdziwy książę, a nie byle obwieś, na przykład kapitan -Sharp, udający księcia.

Sylvester, kompletnie zaskoczony, gdyż nikt nigdy nie podawał jego tożsamości w wątpliwość, a tym bardziej nie brał go za kapitana Sharpa, odezwał się:

- Nie wiem, doprawdy, w jaki sposób miałbym go przekonać. Może wystarczy moja karta wizytowa?

Pan Sharp, jako człowiek niepiśmienny, odrzucił tę propozycję. Uznał widać, że dzięki temu postawił na swoim, gdyż zaczął złośliwie chichotać. Nie pomogły też solenne zapewnienia Phoebe, poświadczającej prawdziwość słów panny Scaling, gdyż zdaniem pana Shapa została nabrana przez zwykłych gałganów.

- Panienska nie słucha tej pleciugi - poradził, wskazując kciukiem na Alice. -Jej rodzony brat jest zdrowo kopnięty w globus, a ona sama nieźle sfiksowana. O!

Potem pokiwał kilka razy głową i sprytnie zapytał, kto to widział, by książę sam zajmował się końmi. Tymczasem zniecierpliwiony Sylvester zdążył wyjąć pularę z kieszeni surduta.

- Ile? - rzucił krótko.

Pan Sharp z wielką przytomnością umysłu wymienił taką sumę, że Alice aż krzyknęła z oburzenia, po czym zaczęła błagać księcia, by nie dał się tak oskubać temu obmierzłemu kutwie, ale Sylvester miał już dość starca, rzucił mu trzy złote suwereny w chudą dłoń o koślawych,

sękatych palcach i kazał mu iść precz. Ta hojność w mig przekonała pana Shapa, że ma do czynienia z najprawdziwszym księciem. Udzielił jeszcze Sylwestrovi ojcowskiej rady, by ten uważał, bo inaczej wdowa Scaling zedrze z niego skórę, i wreszcie wyszedł, kuśtykając i nawołując zdartym głosem Willa, żeby przyszedł zabrać świnię.

- Ha! - odezwała się Alice, również zbierając się do wyjścia. - Złam na niego, bo zachował się jak łajdus, ale przynajmniej tyle z tego, za pozwoleniem waszej książęcej miłości, że jak mu wasza książęca miłość tak zapłaciła, to on już wie, że nie kłamała, i zaraz to wszystkim rozpowie. - Na jej twarzy pojawił się wyraz radosnego oczekiwania. - Zlecą się dziś wszyscy zobaczyć waszą miłość na własne oczy, oj, ile kufelków wypiją! Ba, nie miałem tu nic takiego, odkąd była tu raz dziewczyna z dwiema głowami. Jej tato wiozł ją do Londynu pokazywać ją na tym wielkim jarmarku, co go tam w mieście mają. Pół Hungerford się wtenczas do nas zbiegło, i pół Kintbury, i do dziesiątej ludziska wypili wszyscyusieńko do ostatniej kropelki.

Na widok miny Sylwestra, który w osłupieniu, a jednocześnie z wyraźnym zafascynowaniem słuchał tych prostolinijnych wynurzeń, Phoebe nie zdołała utrzymać powagi. Alice odpowiedziała na jej wybuch wesołości szerokim, życzliwym uśmiechem i wyszła, by dopilnować dostarczenia świni. Książę tymczasem chciał się dowiedzieć, czy jako

lokalna atrakcja plasuje się wyżej czy niżej niż dziwoląg z dwiema głowami.

- Niżej, oczywiście - odparła Phoebe, ocierając łzy, gdyż popłakała się ze śmiechu. - Pan sam nie jest taki nadzwyczajny, zdumiewająca jest tylko pańska obecność w tak podłym miejscu. Gdyby zatrzymał się pan w „Pelikanie”, pański przyjazd, ośmielam się sądzić, przeszedłby w okolicy niezauważony.

- Ileż bym dał za to, byśmy mogli teraz wszyscy gościć w „Pelikanie”! - wykrzyknął żarliwie. - Proszę tylko pomyśleć, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej... Chociaż, nie, lepiej o tym nie myślmy.

- Ja na pewno nie będę - zapewniła pogodnym tonem. - W mojej sytuacji tak znany zajazd nie byłby najlepszym miejscem pobytu. Jeśli jednak Keighley do jutra poczuje się lepiej, zapewne przed zmierzchem zdoła pan dotrzeć do Speenhamland, ono przecież nie może być daleko stąd.

- I zostawić panią i Thomasa? Cóż, jeśli ma pani o mnie takie zdanie, to nie dziwię się, że nie życzyła sobie pani moich oświadczeń, panno Marlow.

Splonęła rumieńcem. Co prawda, Tom ostrzegł ją, że z powodu jego gadulstwa książę wie już o wszystkim, lecz dotychczasowe zachowanie Sylwestra uspiło jej czujność. Nic nie wskazywało na to, by miał kiedykolwiek poruszyć drażliwy temat.

- Proszę o wybaczenie, ja wcale nie chciałam... To znaczy, ja tylko... Och, to było bardzo głupie nieporozumienie - tłumaczyła.

Kiedy odważyła się podnieść wzrok, dostrzegła wyraźną kpinę w oczach księcia. Bez wątpienia bawiło go jej zakłopotanie. Poczwała przyływ oburzenia, lecz w tym momencie wszelki ślad złośliwej satysfakcji znikł z jego twarzy, a zaskoczona Phoebe musiała przyznać w duchu, że Sylvester rzeczywiście ma wyjątkowo ujmujący uśmiech. Dziwne. Nigdy przedtem nie patrzył na nią z równą serdecznością, w dodatku ledwie moment wcześniej nic jej nie zapowiadało, dlatego też nie mogła wierzyć w szczerść tego uśmiechu, ale zarazem nie mogła nie uśmiechnąć się w odpowiedzi.

- Tak, to było głupie nieporozumienie - zgodził się. - Czy życzy pani sobie, bym obiecał, że nigdy nie poproszę partią o rękę? Chętnie to zrobię, jeśli to panią uspokoi.

Ona jednak tylko roześmiała się w odpowiedzi, po czym powiedziała, że w tej kwestii nie żywi już najmniejszych obaw, i wróciła do gospody, zostawiając księcia samego w stajni. Zobaczył ją godzinę później w pokoju Toma, gdzie kawałkiem papieru ściernego polerowała bierki, które przyjaciel zręcznie strugał z wyproszonych od pani Scaling drewniak na podpałkę.

- Umie pan grać w bierki, sir? - spytał w uśmiechem chory na widok wchodzącego. - Swego czasu byłem mistrzem w tej grze i jestem gotów zmierzyć się z każdym.

- Nie boję się i przyjmuję wyzwanie — odparł Sylvester, podając mu wielki cynowy kufel z przykrywką. - Piwo domowej roboty, najlepsza rzecz, jaką nam tu dotąd podano. Może twe umiejętności przewyższają moje, lecz ja z pewnością dysponuję większą praktyką, chyba że masz młodsze rodzeństwo, bo wtedy będę musiał się mieć trochę na baczności.

Tom uśmiechnął się.

- Nie, nie mam. A pan?

- Ja też nie, ale często grywam z bratankiem. W tym momencie ktoś kopnął w drzwi, a potem rozległ się głos Willa Scalinga, domagającego się, by mu otworzyć. Sylvester odwrócił się i podszedł do drzwi, nie zauważył więc min młodych znajomych, wstrząśniętych jego ostatnimi słowami. Ponieważ Will chciał postawić ciężką tacę z drugim śniadaniem prosto na złamanej nodze chorego, co wymagało zdecydowanej interwencji księcia, Phoebe i Tom mieli czas, by przybrać opanowany wyraz twarzy. Nie mogli porozmawiać o dręczącej ich sprawie, gdyż Sylvester dotrzymywał im towarzystwa przez większość dnia - najpierw zszedł z Phoebe do izby na parterze, gdzie przygotowano drugie śniadanie dla nich dwojga, potem wrócił z nią do sypialni chorego i opuścił ją dopiero wtedy, gdy przyszła pora, by ponownie zająć się końmi. Pani Scaling wydobyła z jakiejś przepaścistej szuflady w kredensie nieco zatłuszczoną talię kart, więc uwięzieni w zasypanej śniegiem gospodzie podróżnicy nie byli skazani wyłącznie na bierki i różne zgadywanki, a mogli oddać się grom hazardowym. Oczywiście były to desperackie próby, gdyż nie grali na pieniądze, lecz używali łuskanego grochu, pożyczonego od gospodyni, w dodatku do niektórych

gier potrzebowali większej liczby graczy, musieli więc rozdawać karty również nieistniejącym osobom i prowadzić za nie rozgrywkę. Szybko by

im się to znudziło, gdyż doprawdy nie miało to większego sensu, lecz gdy obdarzona fantazją Phoebe zaczęła nadawać nieistniejącym graczom imiona i wymyślać im charaktery, zabawa zdecydowanie nabrała rumieńców, zwłaszcza że Sylvester stworzył dwie postaci kompletnych ekscentryków. Banalna rozrywka niepostrzeżenie zmieniła się w rodzaj przedstawienia, gdyż oboje wcielali się kolejno w wymyślone przez siebie postaci, wykazując się sporym talentem komediowym. Tom, który nawet nie próbował im dorównać, patrzył tylko, grał za samego siebie i się zaśmiewał. Mimo rozbawienia odczuwał narastający niepokój, gdyż Phoebe parę razy dała się ponieść entuzjazmowi i ujawniła swój niezrównany talent imitatorski, udając parę osób, które opisała w swej powieści. Tom znał jedynie postaci książkowe i nie wiedział, na ile odpowiadają pierwowzorom, lecz sądząc po reakcjach księcia, autorka wyjątkowo celnie uchwyciła ich charakterystyczne cechy.

- Na litość, uważaj trochę! - ostrzegł ją, gdy tylko Sylvester wyszedł z pokoju. - Jeśli on rzeczywiście przeczyta powieść, to nie założylbym się nawet o ziarnko kaszy, że nie przypomni sobie tych twoich dzisiejszych popisów. Z łatwością doda wtedy dwa do dwóch, wszak nie jest głupcem. Wiesz, co ci powiem? Powinnaś zmienić tę swoją książkę. Po tym, ile dla nas uczynił, nie można robić z niego nikczemnika, to się nie godzi. Nie pojmuję zresztą, czemu w ogóle tak go przedstawiłaś ani też czemu przypisywałaś mu nieznośną dumę i zarozumialstwo. W jego zachowaniu nie ma nawet cienia wyższości.

- Rzeczywiście, jest miłą osobą, niż przypuszczałam - przyznała Phoebe. - A nie zachowuje się wyniośle, bo w tak podłej gospodzie byłoby to po prostu śmieszne. Na szczęście on zdaje sobie z tego sprawę i akurat za to należy mu się uznanie.

- Phoebe, musisz poprawić powieść. Po pierwsze, on lubi czytać, po drugie, ma bratanka. Nie wiedziałem, gdzie mam oczy podziąć, gdy to usłyszałem!

- Mnie też zrobiło się gorąco - wyjawiała Phoebe. - Nie przesadzajmy jednak, każdy może mieć bratanka. Książę może mieć nawet kilku, ale to w niczym nie zmienia sprawy. Pamiętaj, że hrabia Ugolino miał pełną władzę nad Maximilianem, ponieważ chłopiec był sierotą, nie ma więc mowy o żadnym podobieństwie sytuacji.

- A jaka jest sytuacja w rodzinie Salforda? - spytał przytomnie Tom.

- Nie wiem dokładnie... Rodzina Rayne jest dość liczna, nie znam bliższych szczegółów.

- Powinnaś była dowiedzieć się o nim jak najwięcej, zanim zdecydowałaś się uczynić z niego czarny charakter - powiedział z przyganą w głosie. - Przecież twój ojciec musi mieć aktualne wydanie księgi parów.

- Nawet nie wiem, czy ma - odparła z zawstydzeniem. - Nigdy nie przyszło mi na myśl... Przecież kiedy pisałam, nie miałam pojęcia, że moja powieść zostanie wydana. Owszem, teraz żałuję zrobienia z Salforda nikczemnika, ale tak naprawdę Ugolino zawdzięcza mu głównie wygląd. Bez tego nikt nie rozpoznałby pierwowzoru. Wszystko

przez te nieszczęsne brwi. Gdyby nie nadawały mu takiego drapieżnego wyglądu, nigdy nie zostałby Ugolinem.

- Co ty za głupstwa wygadujesz? Drapieżny wygląd, też coś! On ma naprawdę ujmujący wyraz twarzy.

- No, teraz to przesadziłeś! - zaprotestowała z oburzeniem. - Ujmujący ma tylko uśmiech, temu nie mogę zaprzeczyć, ale poza tym zazwyczaj ma minę wyniośle obojętną. Miałam nawet rzecz „pogardliwie obojętną”, ale to nie byłoby trafne. On nie traktuje innych z pogardą, ponieważ ledwo zauważa ich istnienie.

- Chcesz mi powiedzieć, że moje istnienie też ledwo zauważa? - spytał z ironią Tom.

- Akurat ciebie polubił, sprawia mu więc przyjemność wyróżnianie cię. W dodatku... - Zmrużyła oczy, jakby chciała sobie Sylvestra dobrze przypomnieć. - W dodatku to, co mu powiedziałeś o mej niechęci do niego, rozbudziło jego ciekawość.

- Czemu nie trzymałem języka za zębami? Bardzo tego żałuję!

- Nie czyn sobie wyrzutów, to mu tylko dobrze zrobi - rzuciła niefrasobliwie. - Zapewniam cię, że gdy go spotkałam w Londynie, zachowywał się zupełnie inaczej. Wtedy ani trochę nie zależało mu na zyskaniu dobrej opinii kogoś równie nieznaczącego jak ja, teraz zaś na każdym kroku obsypuje mnie takimi grzecznościami, że niedługo nie pozostanie mi nic innego, jak wpaść w zachwyty nad jego osobą.

- A czemu by nie? Pozwól, że coś ci zdradzę.

Skoro nadal koniecznie chcesz jechać do Londynu, to dostanie się tam będziesz zawdzięczać nie mnie, lecz właśnie księciu. Obiecał zawieźć cię tam własnym powozem, więc bądź dla niego nieco miłsza, z łaski swojej.

- Nie! - wykrzyknęła zaskoczona. - Naprawdę tak powiedział? No proszę! To bardzo grzeczne z jego strony, przyznaję, lecz oczywiście nie zamierzam skorzystać. Nie mogę zostawić cię tu samego, i to w takim stanie. Musiałabym być potworem, żeby w ogóle brać to pod uwagę - skwitowała, po czym dodała nieco impertynencko: - W tej sytuacji nie muszę więc być dla niego miła, prawda?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Książę, gdy opowiedzieli mu o swym sporze, poparł obie strony. Nie było nawet mowy o zostawieniu Toma samego, nie było jednak też potrzeby odwołania wyjazdu Phoebe. Pannę Marlow wysłał się do Londynu pod opieką Keighleya, nad chorym zaś będzie czuwał Sylvester. To proste i praktyczne rozwiązanie problemu wzbudziło uznanie i wdzięczność Phoebe, która obawiała się jedynie, że prędzej niż powóz księcia w zajęździe „Pod Niebieskim Odyńcem” zjawi się jej ojciec.

- Mogę tylko rzec - odezwał się Sylvester, gdy podzieliła się z nim swą troską - że gdy drogi staną się przejezdne, a mój powóz nie dotrze tu jako pierwszy, moi forysie, jak dotąd niezrównani, będą musieli poszukać pracy u kogo innego.

Powóz rzeczywiście przybył dwa dni później, krótko po tym, jak wreszcie przestało padać. Ponieważ forysie potrzebowali aż dwóch godzin, by

pokonać krótki odcinek z Hungerford, Phoebe nie potrzebowała już słuchać opowieści Swale'a, obrazowo odmalowującego, na jakie to straszliwe niebezpieczeństwa byli narażeni po drodze, by mogła ostatecznie pozbyć się obaw. Gościńce wciąż znajdowały się w złym stanie i prawdopodobieństwo rychłego pojawienia się jej ojca było bardzo nikłe.

Ponieważ w zajęździe nie było już miejsca, Sylvester wysłał forysiów i powóz kilka mil dalej, do gospody zwanej „W Pół Drogi”, zatrzymał jednak przy sobie Swale'a. Gdy ten dowiedział się, że ma dzielić sypialnię z Keighleyem, a w dodatku jadać wszystkie posiłki w kuchni, odczuł to jako największy afront, w rezultacie czego przez całe trzydzieści sekund wahał się, czy w ogóle nie zrezygnować ze służby. Na domiar złego okazało się, że ma być do dyspozycji nie księcia, lecz jego nowego znajomego, niejakiego pana Orde'a. Skłonił się na to sztywno i poszukał ukojenia dla swej mocno urażonej godności w traktowaniu nieszczęsnego młodzieńca z tak wyrafinowaną grzecznością, że Tom rychło poprosił Sylwestra, by raczej zajmował się nim Will Scaling, znacznie mniej zręczny, ale i mniej onieśmielający.

Na początku arystokratyczny znajomy budził w Tomie ogromny respekt i pewną unizoność, lecz ponieważ usługiwał mu przy każdej potrzebie przez pełne dwie doby, chory oswoił się z nim i nabrał sporo śmiałości. Dlatego też nie minęła godzina od tej wygłoszonej ze śmiechem skargi na Swale'a, gdy Tom stanowczo wytykał Sylwestrowi, że ten źle rozegrał sprawę.

- Nie wiem, co powiedział pan temu biedakowi, lecz gdybym przewidział skutek mej prośby, milczałbym jak zakłęty. To było naprawdę okropne. Przyszedł tu do mnie, błagając o wybaczenie, coś mętnie tłumaczył, jak to czuje się nie w swojej skórze, a na koniec wyraził nadzieję, że już nie będę miał powodów na niego narzekać. W życiu nie czułem się równie zawstydzony! Zrobił pan ze mnie skarżypytę i paplę. Czym pan go tak przeraził? Zagroził mu pan wyrzuceniem ze służby tylko dlatego, że nie uśmiecha mu się skakać koło jakiegoś połamańca?

- Nie, to by były despotyczne, a ja nie jestem despotą. Ja go tylko spytałem, czy podoba mu się służba u mnie.

- Tylko tyle? - wykrzyknął z ironią Tom. - Wcale się nie dziwię, że miał minę skazańca pod szubienicą. I pan twierdzi, że nie jest despotą? Stosuje pan iście średniowieczne metody!

Na te słowa Sylvester roześmiał się.

- Średniowieczne? Ma u mnie bardzo uczciwy zarobek, zapewniam.

- Nie zatrudnia go pan jednak po to, by usługiwał, komu popadnie.

- Mój drogi, a cóż on tu ma innego do roboty? - przerwał mu Sylvester, nieco zniecierpliwiony.
- Wszystkie jego zajęcia przy mnie nie potrważą dłużej niż dwie godziny, bo w tej podłej karczmie doprawdy niewiele można zrobić. Doba ma godzin dwadzieścia cztery, niech więc w pozostałym czasie Swale zajmuje się panem, zamiast się próżniaczyć.

- On jest pańskim osobistym pokojowcem, a nie moim. Równie dobrze mógłby pan kazać mu zamiatać podłogę albo oporządzać konie. Miałby prawo czuć się pokrzywdzony. W dodatku kazał mu pan dzielić pokój z Keighleyem. Na litość, pokojowiec ma wyższą rangę niż stajenny, nawet starszy stajenny!

- Nie w moich oczach.

- Być może nie, ale...

- Nie ma żadnego „ale”, Tom! - rzekł zirytowany Sylvester; - Moja służba wie, że liczy się wyłącznie to, jak ja kogoś oceniam. To według ciebie też średniowieczna metoda? Swale może odejść, jeśli mu nie odpowiada moje traktowanie, nie jest przecież niewolnikiem. - Nieoczekiwanie uśmiechnął się. - Prędzej można powiedzieć, że mym niewolnikiem jest Keighley... Nie zatrudniłem go i nigdy nie mógłbym go zwolnić. A cóż to za mars na czole? Znowu powiedziałem coś nie po twojej myśli?

- Ja tylko... Nie wiem, jak to wyjaśnić... Ojciec uczył mnie, żeby szanować uczucia osób z niższych stanów, starać się ich nie obrażać. Rozumiem, że nie było to pańską intencją, ale wydaje mi się... Och, nie powinienem tego mówić! - wykrzyknął pośpiesznie.

- Ale już to powiedziałaś, prawda? - spytał uprzejmym tonem Sylvester, lecz jego twarz stężała.

- Proszę o wybaczenie!

Księżę na przeprosiny nie zareagował, za to zauważył w zamyśleniu:

- Znajomość z tobą i panną Marlow zapewne dobrze mi robi, gdyż, jak widzę, mam wiele przywar, z których do tej pory nie zdawałem sobie sprawy.

- Naprawdę mogę tylko jeszcze raz najgoręcej przeprosić - powtórzył Tom nieco sztywno. - Co więcej mam powiedzieć?

- Nic. Chyba że chcesz mnie pouczyć, jak powinienem traktować mych służących? - Urwał, spostrzegłszy wojowniczy błysk w oku Toma i jego nagle mocno zaciśnięte usta, dodał więc szybko: - Och, jak mogłem się do ciebie tak nieuprzejmie odezwać? Teraz ty mi wybaczn! Doprawdy nie chciałem!

Nikt nie potrafił oprzeć się urokowi Sylvestra, gdy ten mówił miłym tonem i przybierał rozbijającą minę, na poły skruszoną, na poły pytającą, która natychmiast usuwała w niepamięć jego poprzedni wyraz twarzy - ironiczny i zimny. Tom wyczuwał jeszcze chwilę wcześniej, że księżę jakby wzniósł między nimi ścianę z lodu i wycofał się za nią, co go mocno dotknęło, teraz jednak ów lód stopniał, nie można więc było dłużej się gniewać.

- Nic się nie stało, zresztą nie miałem prawa pana krytykować. Zwłaszcza po tym, jak okazał mi pan tyle życzliwości.

- Banialuki!

- Wcale nie. Co więcej...

- Przestań nudzić, bo zaraz wyjdę - zagroził Sylvester. - A jeśli próbujesz mnie czarować, prawiać słodkie słówka, to wybaczn, mój drogi, ale wytrączę ci broń z ręki. Pamiętasz, co było rano, gdy z dobrego serca chciałem ułożyć cię w wygodniejszej pozycji? Nie nazwałes mnie wtedy życzliwym, o nie!

Tom uśmiechnął się szeroko.

- Chyba nie umiem pana zadowolić - zażartował. - Najpierw okazuję niewdzięczność, a potem pana nudzę. Ładne rzeczy! Z tą niewdzięcznością to oczywiście nieprawda. Nie wiem, jak dziękować nie tylko za pomoc okazaną mnie, ale i za przysługę, którą chce pan wyświadczyć Phoebe. Kiedy tu trafiliśmy, byłem przekonany, że wpadliśmy w pułapkę, z której nie uciekniemy. Ja już nic nie mogę dla niej zrobić, na szczęście pan postanowił mnie zastąpić w tej roli.

- Ja? Ach, chodzi o zawiezenie jej do Londynu! Tak, możecie na mnie liczyć, oczywiście, o ile ona nadal pragnie tam jechać. Nie bardzo wszakże pojmuję, czemu tak jej na tym zależy.

Tom nie oświecił go w tej kwestii, lecz Phoebe odparła szczerze, gdy Sylvester zwrócił się do niej z tym pytaniem, że nie zamierza wrócić do Austerby. To wyznanie zdumiało go. Uniósł brwi, a Phoebe wyjaśniła:

- Babcia wyjawiała mi kiedyś, że pragnęła, bym u niej mieszkała. Jednak zaraz po śmierci mamy nie było to możliwe, a potem papa ożenił się ponownie, więc babcia tym bardziej nie mogła prosić o przysłanie mnie do siebie, gdyż byłaby to rażąca nieuprzejmość wobec mojej macochy.

- Zeszłego roku, gdy miała pani przyjechać do Londynu, lady Ingham nie zaprosiła pani do siebie, prawda? - podsunął.

Na twarzy Phoebe pojawił się niepokój.

- Nie, ponieważ sądziła... Sir Henry Halford ostrzegł ją, by nie nadwężała zdrowia, dlatego babcia czuła, że nie ma prawa prosić papy o oddanie mnie pod jej opiekę, gdyż nie podołałaby związanym z tym obowiązkom, takim jak zabieranie mnie na bale i... Myślę jednak... Nie, jestem pewna, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby babcia nie myliła się co do moich potrzeb. Nie dbam o bale ani o modne rauty. Owszem, lubiłam pójść gdzieś z ciocią Ingham, ponieważ to niezmiernie miła osoba, która mnie nigdy nie beszta ani nie obserwuje przez cały czas, ani... Tak naprawdę nie jestem żadną rozrywką, chociaż więc wtedy nie przyszło mi do głowy, by prosić babcię o udzielenie mi gościny, to pomyślałam o tym, gdy... - Urwała, odgadując poniewczasie, że zapędziła się i stąpa po bardzo cienkim lodzie. Spłonila się.

- Gdy lękała się pani zostać zmuszoną do zawarcia budzącego odrazę małżeństwa? - podpowiedział uprzejmie Sylvester.

Rumieniec Phoebe pogłębił się, lecz jednocześnie nie mogła się nie uśmiechnąć, słysząc takie postawienie sprawy.

- Tak - przyznała. - Właśnie wtedy pomyślałam, że mogłabym przenieść się do babci, wcale bym jej nie przeszkadzała, przeciwnie, mogłabym okazać się nawet całkiem użyteczna. W dodatku i tak niedługo osiągnę pełnoletność, a wtedy, mam nadzieję... Wierzę, że moja sytuacja ulegnie całkowitej zmianie i nie będę musiała być już od nikogo zależna.

Natychmiast zaczął podejrzewać, że ona tak czeka na ów moment uniezależnienia się, ponieważ żywi uczucia do kogoś, kto nie jest akceptowany przez jej rodzinę. Spytał bez ogródek, czy panna Marlow zamierza zawrzeć związek małżeński.

- Och, nie! - odparła równie otwarcie. - Ja pewnie nigdy nie wyjdę za mąż, mam inne plany, zupełnie inne... - Zmieszała się nagle i dodała: - Przepraszam, niepotrzebnie podniosłam tę kwestię, nie powinnam w ogóle o tym mówić, proszę więc nie zwracać uwagi na moje słowa i powiedzieć mi raczej, czy... Pan może znać babcię lepiej niż ja, więc.. Jak pan sądzi, czy ona będzie chciała, bym u niej mieszkała?

Zdaniem Sylwestra lady Ingham niczego nie pragnęła mniej, lecz odgadywał też - i ta myśl napawała go złośliwą satysfakcją - że jego matka chrzestna nie zdobędzie się na to, by odtrącić córkę ukochanej Vereny.

- Czemu miałyby nie chcieć? - odparł z uśmiechem.

Sprawiło to Phoebe wyraźną ulgę.

- Każdy dzień spędzony z dala od Austerby umacnia mnie w przekonaniu, by w ogóle tam nie wracać - wyznała z powagą w głosie. - Jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa jak teraz. Pan nie może tego rozumieć, lecz ja od kilku dni czuję się jak wypuszczona z klatki. - Nagle wyraz powagi, opuścił jej twarz. - Och, cóż za trywialne porównanie! - zawołała. - Cóż, mniejsza o to!

- Skoro to dla pani aż tak ważne, Keighley odwiezie panią do Londynu od razu, jak tylko drogi staną się przejezdne.

Podziękowała mu, lecz po chwili opadły ją wątpliwości.

- A co z Tomem?

- Nie ufa mi pani? Sądzi, że go zostawię? Po pani wyjeździe wyślę wiadomość do jego rodziców i nie ruszę się stąd, nim nie oddam go bezpiecznie w ręce jego ojca.

- Ależ ufam panu! Ja tylko nie wiem, czy wolno mi aż tak pana wykorzystywać, zabierając pański powóz, pozbawiając pana służącego... Zwłaszcza

że na początku nie byłam dla pana zbyt uprzejma.

- Na początku? Pani nigdy nie jest dla mnie uprzejma - poskarżył się. - Najpierw daje mi pani ostrą odprawę, uciekając przede mną i upokarzając mnie w ten sposób, potem bieża mnie za złe traktowanie służącego, a teraz nie chce dać mi szansy na odzyskanie dobrej opinii w jej oczach. - Widząc zmieszanie Phoebe, zaśmiał się, ujął jej dłoń i pocałował lekko. - Pogódźmy się, Jaskółko! Czy naprawdę jestem aż taki straszny?

- Nigdy tego nie powiedziałam ani tak nie pomyślałam - odparła, zająknawszy się przy tym. - Jakże bym mogła, skoro ledwo pana znam?

- To jeszcze gorsze - oznajmił. - Znieubiła mnie pani od pierwszego wejrzenia. Ja sam często spotykam takich ludzi, lecz nigdy nie podejrzewałem, że dołączę do ich grona.

- Człowiek się tego nigdy nie spodziewa - zareplikowała odruchowo, lecz natychmiast się zmity-gowała. - Och, ten mój nieszczęsny język! - zawołała, wyraźnie zgnębiona. - Proszę o wybaczenie!

Cięta riposta Phoebe wywołała błysk gniewu w oczach Sylvestra, lecz jej szczerza skrucha ułagodziła go równie szybko.

- Co z was za para! I pani, i Thomas mówicie mi

takie rzeczy o mnie samym, jakich nikt mi nigdy nie powiedział. Ciekawe, czego jeszcze się dowiem. Nawet nie muszę prosić, by mnie pani nie oszczędzała...

- O, to było niesprawiedliwe! - wykrzyknęła. - Tom bezustannie panu schlebia.

- On mi schlebia? W takim razie nic pani nie wie o pochlebcach. - Naraz spojrzął na nią przenikliwie i spytał ostro: - Czy pani uważa, że ja lubię, jak ludzie mi nadskakują?

Rozważała to przez moment.

- Nie, ja bym to nazwała inaczej. Pan takiego zachowania po nich oczekuje, niezależnie od tego, czy sprawia to panu przyjemność, czy nie.

- Pani się myli. Ani tego nie oczekuję, ani nie lubię.

Skłoniła głowę, jakby przyznając mu rację, lecz na jej wargach zaigrał leciutki uśmiezek, który wytrącił go z równowagi.

- Doprawdy, panno Marlow... - zaczął gniewnie, lecz urwał, gdy podniosła na niego pytający wzrok. Zaśmiał się, choć niechętnie. - Ktoś mi kiedyś powiedział, że nie jest pani osobą przeciętną, i zaiste, trudno się z tym nie zgodzić.

Phoebe pokraśniała z zadowolenia.

- Naprawdę ktoś tak o mnie powiedział? - spytała żywo. - Och, proszę zdradzić kto.

Sylvester aż pokręcił głową, rozbawiony i zdumiony jej reakcją. Nie był to przecież jakiś szczególny komplement, tymczasem ona była zaintrygowana i rozemocjonowana niczym dziecko, któremu pokazuje się z dala kolorową zabawkę.

- Nie ja, zapewniam panią. Westchnęła.

- To nieładnie z pana strony. Pan mi po prostu opowiada bajki, prawda?

- Skądże! Czemu, miałbym to robić?

- Nie wiem, ale nie zdziwiłabym się, gdyby był pan do tego zdolny. Ludzie zazwyczaj nie mówią o mnie miłych rzeczy, a jeśli nawet, to nic mi o tym nie wiadomo... - Zamyśliła się. - Oczywiście to mogło tylko oznaczać, że jestem osobą dziwną, jeśli nie dziwaczną - oceniła, nagle pełna wątpliwości.

- Albo że zachowuje się pani w sposób skandaliczny - podsunął.

- Nie, to na pewno nie. W Londynie byłam potulna jak trusia i zupełnie bezbarwna.

- Może i była pani potulna, ale bezbarwna na pewno nie.

- Przecież sam pan tak myślał - wytknęła mu nieco cierpko. - Ale też i taka była prawda...

Macocha nie spuszczała mnie z oka.

Przypomniał sobie, jak nudna i wręcz głupia wydawała mu się panna Marlow w Austerby.

- Tak, pani rzeczywiście musi się od niej uwolnić - zawyrokował. - Ale nie sama i nie zwykłym dyliżansem. Rozumiem, że to już ustalone?

- Tak - odparła ulegle - i dziękuję panu. To będzie dla mnie znacznie wygodniejsza podróż. Jak pan sądzi, kiedy będę mogła wyruszyć?

- Trudno mi powiedzieć. Nie widzieliśmy tu jeszcze żadnego pojazdu z Londynu, co każe mi podejrzewać, że za Speenhamland drogi muszą być

zasypane. Moim zdaniem, trzeba poczekać, aż ujrzymy przejeżdżający dyliżans pocztowy.

- Mam niedobre przeczucie, że prędzej ujrzymy powóz mojej macochy i że ona wcale nie minie tego miejsca - powiedziała głucho Phoebe.

- Nie pozwolę zaciągnąć pani z powrotem do Austerby i dam na to pani moje słowo, a to jest coś, na czym można polegać.

- To pochopna obietnica, nie sądzi pan? - zauważyła.

- Owszem. Jestem tego świadom, lecz skoro już się wobec pani zobowiązałem, to przepadło, nie ma dla mnie ratunku. Mogę jedynie prosić niebiosa, bym nie musiał przez to dopuścić się jakiegoś poważnego przestępstwa. Och, pani myśli, że ja tylko tak sobie żartuję, nieprawdaż? W takim razie na dowód mej dobrej woli zaraz zatrudnię do pomocy Alice.

- A w czym ona może okazać się pomocna?

- Pojedzie z panią jako pani pokojówka. O, nie, tylko bez protestów, proszę! Została pani przecież tak surowo wychowana, że chyba nie muszę pani tłumaczyć konieczności podróżowania z przyzwoitką, gdy jest się dobrze urodzoną młodą damą:

- Jakie to staroświeckie. Ja o to nie dbam.

- Pani może nie, lecz lady Ingham z pewnością tak. Ponadto może pani zostać zmuszona do zatrzymania się na noc w zajeździe, jeśli droga okaże się trudna do pokonania.

Na to nie znalazła odpowiedzi, niemniej powiedziała buntowniczo: - Jeśli Alice nie będzie miała ochoty mi to warzy-

żyć, nie zamierzam zawracać sobie głowy takimi niedorzecznościami..

- No, teraz jest już pani w zupełnym błędzie. Ona zrobi wszystko, co jej każę - oznajmił z uśmiechem.

Powiedział to z tak arogancką pewnością siebie, że Phoebe po cichu zaczęła liczyć na tupet Alice, która nikomu nie da sobą rządzić. Nic podobnego nie nastąpiło. Dowiadując się, że ma towarzyszyć panience do samej stolicy, córka gospodyni wpadła w pełną błogości ekstazę i, wpatrując się w Sylvestra z wyrazem radosnego osłupienia na twarzy, powtórzyła z nabożnym zachwytem:

- Do Londynu!

Gdy ponadto usłyszała, że otrzyma całe pięć funtów na swoje wydatki oraz bilet na drogę powrotną dylizansem, przez kilka minut nie była zdolna uczynić czegokolwiek, gdyż, jak to wkrótce wyjaśniła swej oszołomionej rodzicielce, bała się, że jej popękają tasiemki od gorsetu, tak ją rozpierało z radości.

Nadeszła odwilż, a wraz z nią zjawił się również zaginiony stajenny wraz z budzącymi grozę opowieściami o stanie drogi. Pani Scaling odparła złowrogim tonem, że, widząc pogarszającą się pogodę, powinien był w te pędy wracać do zajazdu, a nie zostawać w miasteczku, czego teraz pożałuje. Pożałował rzeczywiście, gdy tylko dowiedział się, jak znakomici goście u niej przebywają. Szybko jednak odkrył, że podczas jego nieobecności pieczę nad stajnią objął prawdziwy tyran, który nie tylko nie zamierzał oddać przejętej władzy, ale zagonił go do roboty, i to ciężkiej. W rezultacie stajenny rychło przebolał bycie pozbawionym przez kilka dni zaszczytu

mieszkania pod jednym dachem z jaśnie państwem. Owszem, nie widywał przez to najprawdziwszego księcia, ale też nikt nie mówił do niego protekcyjnie „chłopcze”, nie wytykał mu niedociągnięć i nie kazał ponownie wykonywać obowiązków, które, w opinii Keighleya, odbębnił. Co więcej, jego urażona duma nie doznała najmniejszej pociechy w kontakcie z drugim z książęcych sług, Swale'em. Swale, nie mając innego wyjścia, musiał jadać w kuchni razem z motłochem, ale żadna ludzka siła nie mogła go zmusić do zauważenia byle stajennego, to już byłoby zwykłe pospolitowanie się. Był tak chłodny, wyniosły, pełen dystansu, a w jego spojrzeniu kryło się tyle wzdargliwej wyższości, że biedny stajenny w pierwszej chwili wziął pokojowca za jego książęcą mość. Później dopiero mógł się przekonać, że Sylvester wygląda na znacznie bardziej przystępnego.

Pierwsze pojazdy, które minęły skromny zajazd pani Scaling, przybyły z zachodu, co mocno zaniepokoiło Phoebe, lecz następnego dnia ujrzano dyliżans pocztowy, zmierzający do Bristolu. Przejechał on jednak o nietypowej porze, gospodyni wywnioskowała więc, że drogi na wschód od zajazdu muszą wciąż być bardzo niebezpieczne.

- Pewnikiem zabrało im ze dwa dni, żeby tu dojechać. Jak ludziska przychodzą na kufelek, to gadają, że takiej srogiej zimy nie było, odkąd rzeka w Londynie zamarzła i rozpalali na lodzie ogniska, a taki był gruby, że nie topniał, i urządzili tam wielką zabawę, i jarmark, i nie wiem, co jeszcze. Jak panienka będzie musiała zostać tu jeszcze z tydzień, to się wcale nie zdziwię - dodała z nadzieją w głosie.

- Co za brednie - zdenerwował się Sylvester, gdy Phoebe mu to powtórzyła. - Proszę nie popadać w desperację z tego powodu, co ludzie wygadują, i to przy kuflu. Jutro pojedę do Speenhamland, by zasięgnąć języka u pocztyłoniów, to bardziej wiarygodne źródło informacji.

- O ile w nocy nie chwyci mróz - odparła z powątpiewaniem, a jej czoło przecięła pionowa zmarszczka. - Dziś nad ranem było doprawdy straszliwie ślisko. I tak będzie miał pan trudności z utrzymaniem siwków na wodzy po tych kilku dniach, po co jeszcze dodatkowy kłopot w postaci przymrozku? Och, nie, sumienie mi nie pozwoli wysłać pana w podróż w tak niesprzyjających warunkach.

Sylvester był wzruszony do głębi.

- Nie spodziewałem się, by kiedykolwiek miała pani wyrazić taką troskę o mnie.

- Cóż, gdyby coś się panu stało, to doprawdy nie wiem, jakbyśmy sobie wtedy poradzi.

Spojrzał na nią z błyskiem uznania w oczach.

- Urok przebywania z panią, droga Jaskółko, polega na tym, że nigdy nie wiadomo, co pani powie w następnej chwili, aczkolwiek człowiek szybko się uczy oczekiwać czegoś niemiłego - zawyrokował z całą powagą.

Mróz w nocy nie chwycił, Tom zaś twierdził rano, gdy Phoebe zajrzała do niego przed zejściem na śniadanie, że słyszał przejeżdżające kolejne pojazdy, w tym niektóre z całą pewnością pojawiły się ze wschodu, od strony Londynu. Pani Scaling potwierdziła tę informację, dodała jednak szybko, że mogły one wyruszyć ledwie z pobliskiego Newbury, niekoniecznie zaś z samej stolicy. Jej zdaniem, nie należało pochopnie ryzykować dalszej podróży, nim śnieg zupełnie nie stopnieje. Właśnie raczyła Phoebe mrozącą krew w żyłach historią o trzech nieszczęsnych pasażerach dyliżansu, którzy jechali na dachu, bo nie starczyło dla nich miejsca w środku, i zamarli podczas jazdy właśnie w taką pogodę, gdy do izby wszedł Sylvester i przytomnie zauważył, że panna Marlow nie wybiera się do Londynu na dachu dyliżansu, nie ma więc potrzeby się paniki. Pani Scaling z niechęcią przyznała mu rację, lecz ostrzegła, że pomiędzy Newbury a Reading znajduje się zdradliwe żwirowisko, zupełnie niewidoczne, kiedy spadnie choćby odrobina śniegu.

- To zupełnie jak dzbanek z kawą. Też jest niewidoczny - skwitował cierpko. - Ja jednak bardzo chętnie go zobaczę, jeśli pani tak łaskawa.

Gospodyni natychmiast pomknęła do kuchni.

- Sądzi pan, że naprawdę ktoś mógłby przy tej paskudnej pogodzie najechać na żwirowisko? - spytała Phoebe.

- Nie.

- Mnie też wydaje się to nieprawdopodobne, lecz pani Scaling zdaje się mniemać...

- Że im dłużej nas tu zatrzyma, tym lepiej na tym wyjdzie - przerwał z irytacją.

- To nie powód, by na mnie napadać - odcięła się, kładąc nacisk na ostatnie słowo. - I to tylko dlatego, że raz zdarzyło się panu wstać wcześniej niż zazwyczaj.

- Najmocniej panią przepraszam - wycedził zimno.

Uśmiechnęła się do niego.

- Nic nie szkodzi. Pan pewnie należy do tych osób, którzy nie mają humoru, póki nie zjedzą śniadania. Wielu ludziom się to zdarza i nic nie mogą na to poradzić, choćby nie wiem jak się starali. Oczywiście nie twierdzą przez to, że pan się stara. Po co miałby pan to robić, skoro nie ma potrzeby, by zachowywał się pan uprzejmie i miło?

W tym momencie weszła Alice, co sprawiło, że Sylvester powstrzymał się od wygłoszenia riposty, która cisnęła mu się na usta. Do chwili gdy córka gospodyni wyszła, książę zdążył się opanować na tyle, by pojąć (ze znacznie mniejszym niedowierzaniem, niż miałyoby to miejsce ledwie tydzień wcześniej), że panna Marlow celowo go prowokuje, więc rzekł tylko:

- Jeśli nawet nie ma nic, co by mnie skłaniało do okazywania uprzejmości, pani sytuacja jest zupełnie inna. To ze względu na panią i pani dobro wstałem o tak barbarzyńskiej porze, mogę jednak w każdej chwili zdecydować, że mimo to nie pojedę do Speenhamland.

Phoebe uniosła brwi.

- Ach, czyli do tego jest pan również kapryśny?

- Do tego? To znaczy do czego? - spytał, po czym ujrzał, jak ona natychmiast otwiera usta, zreflektował się więc i dodał pospiesznie: - Nie, niech już nic pani nie mówi. Chyba potrafię całkiem dobrze odgadnąć, co chciała pani rzec.

Roześmiała się i sięgnęła po przyniesiony przez Alice dzbanek z kawą.

- Dobrze, nie powiem już ani słóweczka, dopóki nie wróci panu dobry nastrój — obiecała.

Już miał odpowiedzieć w równie uszczypliwy sposób, gdy uznał, że lepiej będzie zachować pełne godności milczenie. Cisza trwała do momentu, gdy kilka minut później podniósł wzrok znad talerza i odkrył, że Phoebe przygląda mu się z taką nadzieją, jak ptaszek czekający na okruszki, nie wytrzymał więc i parsknął śmiechem.

- Och, Jaskółko, cóż z pani za nieznośna dziewczyna!

- Ma pan rację, obawiam się - przyznała z powagą. -Jakoś za nic nie mogę się powstrzymać od mówienia rzeczy, które powinnam zachować dla siebie.

- Może się pani nie dość stara? - podsunął.

- Ale ja zazwyczaj się staram - zapewniła. -I tylko, kiedy jestem z takimi osobami jak pan czy Tom...

- Ach, tak - przerwał. - Kiedy jest pani w towarzystwie osób, których opinią nieszczególnie się przejmuje, wtedy folguje swemu językowi?

- Zgadza się - odparła, wielce zadowolona, że trafiła na tak pojętnego rozmówcę. - Znakomicie pan to ujął. Podać panu chleb z masłem, sir?

- Nie, dziękuję. Chyba straciłem apetyt.

- Byłoby cudem, gdybym pan go nie stracił -oznajmiła wesoło. - Po tak długim siedzeniu w domu człowiekowi nawet jeść się nie chce. Czy szybko pan wyruszy? Wiem, to głupie, lecz jestem taka zdenerwowana. Co ja zrobię, jeśli macocha przyjedzie akurat wtedy, gdy pana tu nie będzie?

- Niech się pani schowa w sianie na stryszku - poradził. -Jeśli lady Marlow ma choć odrobinę rozsądku, nie zrobi niczego, by panią odnaleźć.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sylvester pojechał do Speenhamland zasięgnąć wieści u pocztylionów, Phoebe zaś weszła na górę, by pograć z Tomem w pikietę. Raz czy dwa dobiegł ją z drogi turkot kół, a wtedy z niepokojem unosiła głowę, jednak odgłos kopyt zbliżającego się konia nie nasunął jej nawet najmniejszych podejrzeń i dlatego na widok osoby, która weszła do pokoju, nawet nie pukając,

przeżyła szok. Wydała zdławiony okrzyk, karty wypadły jej z ręki. Tom ze zdumieniem odwrócił głowę ku drzwiom.

- Ojczy?! - wykrzyknął z przerażeniem.

Pan Orde obrzucił parę uciekinierów spojrzeniem, które mówiło, że tego właśnie się spodziewał, po czym stanowczo zamknął za sobą drzwi.

- Co wy sobie właściwie wyobrażacie?

- Proszę się nie gniewać na Toma, to moja wina - odezwała się błagalnie Phoebe,

- Nieprawda - zaproponował natychmiast Tom, -Wina jest moja, to ja wszystko spaprałem, i jeszcze złamałem nogę.

- To już wiem - odparł kochający ojciec. - Mam wielkie szczęście, że nie skręciłeś karku. A co sobie połamały moje konie?

- Nic, zupełnie nic. Jeden miał nieco nadwerżoną pęcinę, drugi otartą, lecz zadbałam o nie z największą troską... Och, proszę pozwolić, wezmę pański płaszcz.

- Ty mnie tu nie próbuj ugłaskać i zagadać, dziewczyno - zganił ją, lecz pomoc przyjął. -W piękną awanturę się wdaliście, nie ma co. Naprawdę chciałaś wpędzić swego ojca do grobu?

Phoebe zbladła straszliwie.

- Och, nie! - wykrzyknęła.

Pan Orde złagodniał nieco, widząc, że faktycznie mocno ją przeraził, poklepał ją więc po pobladłym policzku.

- No, aż tak źle nie było, ale wiesz przecież, jak on przeżywa, gdy coś go trapi.

- Ojczy, my wcale nie uciekliśmy, żeby potajemnie wziąć ślub - przerwał mu Tom.

Pan Orde obrzucił syna pełnym życzliwej kpiny spojrzeniem.

- Wiem o tym i bez ciebie, więc to twoje tłumaczenie funta kłaków niewarte. Zechciej mi wyjaśnić, co tu robisz, oprócz tego, że wjechałeś moją kariolką do rowu i połamałeś jej oba kola.

- Wiozłem Phoebe do Londynu, do jej babci, bo inaczej była gotowa jechać zwykłym dyliżansem.

- I to naprawdę nie z winy Toma wpadliśmy do rowu, sir - wtrąciła Phoebe. - Mimo złej pogody radził sobie wspaniale, lecz natknęliśmy się na osła. — Osła? W rzeczy samej to jest pewne usprawiedliwienie - przyznał pan Orde.

- Nie, nie jest, ojczy! Powinienem być postarać się lepiej. Zaiste, wolałbym połamać sobie obie nogi, niż narazić któregoś z koni na najmniejszą szkodę.

Te słowa udobruchały pana Orde'a w zupełności.

- Już dobrze, dobrze. Dzięki Bogu, żeś nie złamał obu. Konie zaraz obejrzę. Przyznam, że obawiałem się czegoś o wiele gorszego.

- Proszę mi wybaczyć, ale... Czy mój ojciec wie, gdzie mnie szukać? - spytała z najwyższym niepokojem Phoebe.

- Oczywiście, przecież nie mogłem ukryć przed nim takich wieści.

- Skąd jednak ty się dowiedziałeś, ojczu? Tylko Upsall mógł wyjawić miejsce naszego pobytu, lecz nie pojmuję, jak to się stało. Nikt z nas nie zdradził mu mojego nazwiska, a Phoebe nawet nie widział.

Doktor rzeczywiście nie zdołał odkryć, kim był jego pacjent, lecz wiedział przecież, kim był niezmiernie elegancki młody człowiek, który zawiózł go do gospody „Pod Niebieskim Odyńcem”. Skromny prowincjonalny lekarz oczywiście nie omieszkał rozgłaszać wszem i wobec, że sam księżę Salford raczył zażądać jego usług. Jak to zwykle bywa w takich przypadkach, wieść lotem błyskawicy obiegła okolicę. Nim dotarła do uszu pana Orde’a, była już mocno przeinaczona, lecz zachowała choć tyle podobieństwa do prawdy, że nie w ciemny bity dziedzic z Manor House zdołał rozpoznać w rzekomym młodym hulacu z rodu Rayne, rozbijającym powozy po gościńcach, swego syna.

Właściwie nie był zbyt zaskoczony. Wrócił do domu ledwie kilka godzin po ukradkowym wyjeździe syna, a strapiona małżonka uraczyła go straszliwymi wieściami, którym nie dał wiary. Znał Toma na tyle dobrze, by z miejsca zbyć wzruszeniem ramion informację, że ten uciekł z Phoebe do Gretna Green i śmiać mu się chciało z Marlowa, który wziął tę bajkę za prawdę. Jego zdaniem, Tom potrafił świetnie sobie radzić (tu spojrzał na syna i nieco ironicznie uniósł brew), więc nie niepokoił się zbyt i czekał na rozwój wypadków. Najpierw lord Marlow wrócił z pościgu za zbiegami, złapawszy jedynie paskudne przeziębienie. Rzuciło mu się na płuca, a przynajmniej tak twierdziła lady Marlow. Musiał położyć się do łóżka i oddał się ubolewaniu nad sobą - nie dziwota zresztą, bo w sypialni napalono mu tak, jakby go chciano uwędzić.

Pan Orde usłyszał też wersję wydarzeń, według której Phoebe uciekła z niechęci do księcia Salford, który przybył do Austerby z zamiarem oświadczyń, lecz to również uznał za plotkę, a utwierdził się w tym przekonaniu, gdy okazało się, że to właśnie rzeczony księżę Salford sprowadził medyka do poszkodowanego w wypadku Toma. Mając dość tych wszystkich bajeczek wyspanych z palca, pan Orde byłby niezmiernie wdzięczny, gdyby syn

i jego serdeczna przyjaciółka zechcieli go oświecić co do przyczyn tej zwariowanej eskapady.

Próbowali sprostać jego życzeniu, lecz nie okazało się to łatwe. Już po kilku zdaniach zawyrokował, że nic a nic z tego nie rozumie. Najpierw księżę jest odrażającym potworem, przed którym Phoebe potajemnie ucieka z domu, a potem, w ciągu zaledwie kilku dni, staje się czarującym wybawcą?

- Nigdy nie twierdziłam, że jest czarujący - zaprotestowała. - To nie ja użyłam tego słowa, tylko Tom. Jest księciem zachwycony i przypodchlebia mu się.

- Nieprawda! - oburzył się Tom. - Nie ja mu się przypodchlebiam, tylko ty go obrażasz.

- Basta! - zainterweniował pan Orde, przyzwyczajony do wiecznych sprzeczek między tymi dwojgiem. -Ja w każdym razie jestem księciu wyjątkowo wdzięczny za to, że otoczył opieką parę najbardziej szalonych dzieciaków, jakie kiedykolwiek znałem. Miałem rację, gdy tłumaczyłem lady Marlow, by się nadmiernie nie troskać, bo cała ta sprawa to wiele hałasu o nic. Nie będę was więcej beształ. Złamana noga to wystarczająca kara dla Toma, a ciebie, moja droga, ja strofował nie będę, chociaż na to zasłużyłaś. Nie zamierzam też cię uspokajać, twierdząc, że lady Marlow nie gniewa się na ciebie, gdyż fest zła, i to bardzo! Sama się przekonasz.

- Nie wracam do Austerby, sir - odparła Phoebe z niewzruszonym spokojem osoby absolutnie zdesperowanej.

Pan Orde lubił ją niezmiernie, jednakże jako rodzic wiedział, co myślałby o człowieku, który pomógłby jego dziecku wystawić jego autorytet na śmieszność, odpowiedział więc uprzejmie, lecz zdecydowanie (Tom znał ten ton głosu), że bez wątpienia wróci ona do domu, i to pod jego eskortą. Obiecał Marlowowi, że bezpiecznie odwiezie jego córkę do Austerby, sprawa więc była przesądzona i nie było nad czym deliberować.

W tej kwestii się mylił, gdyż syn i jego przyjaciółka mieli nadzwyczajnie dużo do powiedzenia, żaden jednak argument nie zdołał odwieść go od wypełnienia tego, co uważał za swój obowiązek. Cierpliwie wysłuchał wszelkich wyjaśnień i argumentów obojga młodych, co trwało bez mała godzinę, po czym życzliwie poklepał Phoebe po ramieniu i rzekł:

- Rozumiem wszystko, moja droga, lecz musisz być rozsądna. Jeśli wołałabyś mieszkać u babci, powinnaś wpierrw napisać do niej i poprosić o jej zgodę, która, mam szczerą nadzieję, zostanie ci udzielona. Nie możesz jednak tak sobie jeździć, jak chcesz i dokąd chcesz, babcia powiedziałaby ci to pierwsza. A co do oczekiwań, że pomogę ci w twojej eskapadzie... Mądra z ciebie dziewczyna, wiesz więc, że nie mogę tego zrobić.

- Pan nic nie rozumie! - zawołała z rozpaczą.

- Nie chce zrozumieć! - wymruczał Tom.

- Tom, nie mów tak - zmiętygowała go. - Może gdybym rzeczywiście napisała do babci... Ale oni będą na mnie tak bardzo źli!

Po jej policzku stoczyła się łza, otarła ją jednak szybko i odezwała się tak dzielnie, jak tylko potrafiła w tej sytuacji:

- Przynajmniej przez jeden tydzień byłam szczęśliwa. Kiedy muszę jechać, sir?

- Najszybciej, jak się da, moja droga, tak będzie najlepiej - odparł nieco szorstkim tonem pan Orde, szorstkość ta jednak w dużej mierze wynikała z sympatii, - Wynajmę powóz, by was przewieźć, lecz noga Toma nieco komplikuje sytuację. Powinienem zapewne najpierw zasięgnąć rady doktora.

Phoebe zgodziła się na takie rozwiązanie, a potem, ponieważ kolejna nieposłuszna łza spłynęła po jej policzku, wybiegła z pokoju. Pan Orde odchrząknął i oznajmił:

- Jak się wyplacze, to jej ulży.

Phoebe rzeczywiście zamierzała się wyplakać w czterech ścianach sypialni, lecz Alice właśnie zamiatała tam podłogę, więc Phoebe zawróciła, zbiegła po schodach i znalazła się w wąskim korytarzu na parterze akurat w tym momencie, gdy otworzyły się tylne drzwi prowadzące na podwórze i do zajazdu wszedł Sylvester. Zamarła w pół kroku, książkę uniósł głowę i ujrzał jej zalane łzami policzki.

- Co się stało? - spytał.

- Papa Toma... - wyjąkała z trudem. - Pan Orde...

Ściągnął brwi.

- Jest tutaj?

- Tak, w pokoju Toma. Mówi, że...

- Chodźmy do jadalni-zażądał. Posłusznie weszła do izby, wyciągnęła chusteczkę i wytarła nos, mówiąc przy tym stłumionym głosem:

- Proszę o wybaczenie, ale naprawdę staram się odzyskać panowanie nad sobą.

Zamknął za nimi drzwi.

- I słusznie, płacz nic tu nie pomoże. Co mówi pan Orde?

- Muszę wracać do domu, bo obiecał papie, że mnie przywiezie. Nic nie rozumie, chociaż to miły człowiek. Wyruszamy tak szybko, jak to możliwe.

- W takim razie nie ma pani wiele czasu - skwitował chłodno. - Ile pani potrzebuje, by przygotować się do wyjazdu?

- To nie ma znaczenia. On i tak najpierw uda się do Hungerford, by wynająć powóz i spytać doktora Upsalla, czy Tomowi ta droga nie zaszkodzi.

- Panno Marlow, ja nie mówię o podróży do Austerby, tylko do Londynu. Tego pani przecież pragnie, prawda?

- Tak, z całego serca! Czy nadal pan myśli o... Ale pan Orde nie wyrazi na to zgody.

- A musi go pani o nią pytać? Jeśli nie zmieniła pani zdania, mój powóz czeka w zajezdzie „W Pół Drogi”, a ja mogę tam panią natychmiast zawieźć. Co pani na to?

Te słowa podziałały na nią w magiczny sposób. Oczy jej rozbłysły, w jednej chwili zmieniła się nie do poznania, a na ten widok na ustach Sylvestra pojawił się lekki uśmiech.

- Och, jakże mam panu dziękować? Jest pan taki dobry!

- Zaraz powiem Keighleyowi, by nie wyprzegał siwków. Gdzie jest Alice?

- Sprząta moją sypialnię, ale nie wiem, czy...

- Proszę jej powiedzieć, że ma ni mniej, ni więcej tylko kwadrans na spakowanie się, i ostrzec, że nie będziemy na nią czekać- zakomenderował, idąc ku drzwiom.

- A co z panią Scaling?

- Zajmę się wszystkim - rzucił przez ramię i już go nie było.

Alice, w pierwszej chwili mocno spłoszona wieściami, w następnej rzuciła trzymaną w rękę ścierkę gestem osoby, która pali za sobą wszystkie mosty.

-Jadę, choćbym miała pęknąć! - krzyknęła i wypadła z sypialni.

Trzęsąc się ze strachu, że lada moment pan Orde odkryje spisek, Phoebe wyciągnęła spod łóżka sakwojaż i zaczęła doń gorączkowo wpychać ubrania. Niecałe piętnaście minut później obie panny cichutko przekradły się do wyjścia, jedna niosła sakwojaż i pudło na kapelusze z wystającą zeń muślinową falbaną, druga zaś dzierżyła w objęciach pękaty słomiany kosz.

Kariojka czekała na podwórzu, Keighley trzymał siwki za uzdy, Sylvester stał obok niego. Roześmiał się na widok obu zdyszanych, nieco nieporządnie wyglądających podróżniczek i podszedł do Phoebe, by wziąć od niej bagaże.

- Zechce pani przyjąć słowa uznania. Sądziłem, że upłynie nie mniej niż pół godziny, tymczasem pani już jest gotowa.

- Nie jestem - wyznała. - Kilka rzeczy musiałam zostawić i... Och, moja suknia wystaje z pudła na kapelusze.

- Przepakuje się pani później - zdecydował. -Kapelusz jednak proszę poprawić, nie będę wiozł damy wyglądającej tak, jakby uciekła z zakładu dla obłąkanych.

W czasie gdy Phoebe starała się doprowadzić swój wygląd do porządku, umieszczono jej bagaż pod siedzeniem, a Sylvester stanął przy stopniu, by pomóc jej wsiąść do kariołki. Za nią wsiadła Alice, książkę zgrabnie wspiął się ostatni, Keighley wskoczył na resor i ruszyli.

- Czy, pańskim zdaniem, sir, uda mi się jeszcze dziś dotrzeć do Londynu? - spytała Phoebe, gdy tylko znaleźli się za bramą.

- Mam taką nadzieję i życzę tego pani serdecznie, jest jednak całkiem możliwe, że przyjdzie pani jeszcze gdzieś przenocować. Zasp już nie trzeba się obawiać, ale droga będzie ciężka, gdyż śnieg topnieje i zmienia się w błoto. Niech się pani zda na decyzje Keighleya, on będzie wiedział najlepiej, co zrobić.

- Jest jeden szkopuł, mianowicie mam przy sobie niewiele pieniędzy - wyznała nieśmiało. - Bardzo niewiele, jeśli mam być szczerą. Gdybyśmy więc zdążyli dojechać do Londynu przed nocą...

- Proszę się o to nie martwić. John zajmie się wszelkimi opłatami. Trzeba będzie też przeproczyć konie, na pierwszą część drogi dostanie pani moje, potem będzie musiała zdać się na pocztowe, one będą wolniejsze, obawiam się.

- Dziękuję, pan jest naprawdę bardzo dobry - stwierdziła, głęboko poruszona tak wielką życzliwością - Proszę powiedzieć Keighleyowi, by starannie podliczał wszelkie wydatki.

- Zawsze tak robi, panno Marlow..

- Rozumiem, lecz miałam na myśli...

- Wiem, co miała pani na myśli — przerwał. - Pragnie pani, bym na koniec przedstawił pani rachunek, i niewątpliwie tak bym właśnie zrobił, gdybym trudnił się wynajmowaniem powozów i koni.

Usłyszawszy to, Phoebe odezwała się zimno:

- Traktuje mnie pan tak protekcyjnie, że choć mam wobec pana dług wdzięczności, to...

- Tak? To co pani zrobi? - spytał ze śmiechem.

- Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślę, zapewniam pana. Nawet gdyby było rzeczą stosowną, by to pan poniósł wszelkie koszty przejazdu, jak myto na rogatkach i opłaty za zmiany koni, to z pewnością byłoby wielce niewłaściwe, gdyby opłacił pan mój nocleg w zajęździe.

- W takim razie, jeśli rzeczywiście zajdzie taka konieczność, wezmę od Keighleya rachunek z owego zajazdu i wręcę go pani przy naszym następnym spotkaniu.

Łaskawie skinęła głową.

- Będę panu niezmiernie zobowiązana.

- Czy to właśnie w taki sposób się odzywam, gdy traktuję ludzi protekcyjnie?

Zaśmiała się cicho.

- Nie da się panu odmówić bystrości.

- Nie, nie da się. Pamięć też mam dobrą. Do tej pory nie zapomniałem pani jakże celnych opisów różnych naszych znajomych. Nie ukrywam, że odczuwam pewien niepokój. Ma pani niebezpieczny dar trafiania w czułe punkty swych ofiar przez wynajdywanie ich najbardziej komicznych cech.

Nie odpowiedziała, co było do niej niepodobne, Sylvester zerknął więc na nią i ze zdziwieniem spostrzegł, że Phoebe się zasepiła. Nie pojmował, co w jego żartobliwej wypowiedzi mogło ją tak zbulwersować, lecz nie zdążył spytać, gdyż właśnie dojechali do gospody i do kariatki podbiegł tamtejszy stajenny, by przytrzymać siwki.

Niedługo potem powóz był gotów do drogi. Alice już w kariołce siedziała niczym we śnie, kompletnie więc oszołomił ją wygląd wytwornego ekwipażu z herbem na drzwiczkach, czterema wspaniałymi rumakami, grzebiącymi kopytami ziemię, parskającymi i potrzęsającymi dumnie głowami, z ubranymi w liberie forysiami, wyścielanymi przepastnymi siedzeniami i przykrywającą podłogę grubą baranicą. Wybuchła płaczem. Mocno zaniepokojona Phoebe zaczęła ją wypytywać, cóż jej się stało, na co Alice odparła pośród rozdzierających łkań, że myśli o sąsiadach, którzy nie mogą widzieć, jak ona odjeżdża jak jaka królowa.

- A co to ma za znaczenie? - odparła z ulgą Phoebe. - Opowiesz im wszystko, jak wrócisz, a teraz wsiadaj. I nie płacz już więcej.

- Nie będę, panienko. Och, jaka ja jestem szczęśliwa - odparła Alice i wgramoliła się do karety.

Książę zbliżył się, by pomóc pannie Marlow przy wsiadaniu. Spłonila się. Wyciągnęła dłoń, a gdy ją ujął, Phoebe odezwała się z zażenowaniem:

- Zastanawiałam się, jak mogłabym wyrazić moją... moją wdzięczność, lecz nie znajduję słów. Mogę powiedzieć tylko, że bardzo panu dziękuję.

- Doprawdy, Jaskółko, przecenia pani tę drobną

przysługę. Proszę przekazać lady Ingham ukłony ode mnie i powiedzieć, że gdy zjawię się w mieście, będę miał zaszczyt ją odwiedzić. Ze swej strony przekażę pozdrowienia od pani obu panom Orde'om.

- Och, tak, proszę to zrobić. Opowie pan Tomowi, jak to się odbyło, prawda? I gdyby mógł pan raczej przeprosić pana Orde'a w moim imieniu, niż go pozdrowić...

- Jak pani sobie życzy.

- Moim zdaniem, tak będzie grzeczniej. Mam tylko nadzieję, że nie rozgniewa się za nadto.

- Niech pani nie zaprzęta sobie tym głowy.

- Kiedy nie mogę. Jeśli on się uniesie, pan potraktuje go zimno i wyniośle, a ja nie chcę, by ktoś wyrządził afront panu Orde'owi.

- Spodziewałem się, że pani nie będzie długo taka miła, to do pani niepodobne - zauważył. - Dobrze, zapewniam, że będę postępował z panem Orde'em tak, by memu zachowaniu nie dało się nic zarzucić.

- Tego się właśnie obawiam.

- Pani jest doprawdy okropna! Proszę wsiadać do powozu, nim się od pani tą cechą zarazę! - wykrzyknął, na poły zirytowany, na poły rozbawiony.

Zaśmiała się, a gdy pomógł jej wsiąść i puścił jej dłoń, wyznała ze skruchą:

- Powiedziałam to bez zastanowienia. Naprawdę nie chciałam być wobec pana nieuprzejma.

- Pani jest absolutnie niepoprawna, ja jednak wykażę się wspaniałomyślnością, życząc pani dobrej podróży.

- To rzeczywiście zdumiewająca wspaniałomyślność. Dziękuję.

Złożono schodki, schowano do powozu, a nim zamknięto drzwi, dało się jeszcze słyszeć zachwycony głos Alice:

- Panienko, nie dość, że ta baranica, to i poduchy nagrzane! To się nazywa dogodzić!

Phoebe pochyliła się, by pomachać na pożegnanie, stajenni puścili konie, odskoczyli i powóz ruszył, huśtając się na resorach. Sylvester patrzył za nim, póki nie znikł za zakrętem, po czym odwrócił się do Keighleya, który stał pół kroku za nim, trzymając za uzdę wypożyczonego konia.

- Postaraj się dowieźć je do Londynu jeszcze dzisiaj, John, ale nie podejmuj niepotrzebnego ryzyka. Masz pieniądze i pistolety, czyli wszystko, co potrzebne.

- Tak, wasza książęca mość, ale gdyby wasza książęca mość pozwolił mi potem wrócić...

- Nie, czekaj na mnie w Salford House. Nie mógłbym potem zabrać i ciebie, i Swale'a. To znaczy, dałoby się, ale nie chcę. Do kariatki naprawdę nie powinny wsiadać trzy osoby.

Keighley uśmiechnął się krzywo i wspiał się na siodło.

- Tak, waszej książęcej mości było ostatnio coś jakby ciasno - zauważył z pewną dozą satysfakcji.

- I niech to będzie dla mnie nauczką! Jedź i złam kark! - odparł Sylvester.

Wracał do zajazdu „Pod Niebieskim Odyńcem” bez pośpiechu, mając umysł zaprzątnięty nie do końca przyjemnymi myślami dotyczącymi minio-

nych kilku dni. Nie powinien był w ogóle skręcać do tej nędznej gospody. Nie miał pojęcia, co go naszło, by to zrobić, przyczyną mogła być chyba tylko przekora. John próbował go od tego odwieść, a Sylvester, który nie mógł znieść, że Keighley (jak zwykle) ma rację, zrobił mu to na złość. No i miał za swoje! Gdy znalazł młodego Orde'a w opałach, nie mógł już się wycofać, tylko skończony nikczemnik zostawiłby tego chłopca na pastwę losu. W dodatku Thomas od razu przypadł mu do serca, dlatego też Sylvester nie rozważył wszystkiego na chłodno i nie przewidział, że udzielenie młodzieńcowi pomocy wpędzi go w dwuznaczną sytuację, czego szczególnie nie znosił. Na szczęście rzadko korzystał z gościńca do Bath, gdyż na długo zostawił tu materiał do obrzydliwych plotek, zwłaszcza w gospodzie „W Pół Drogi”, a doprawdy nic nie było dalsze od jego życzeń. Wszystkiemu była winna ta okropna dziewczyna! Brakowało jej manier i ogłady, była niedopuszczalnie zuchwała, w dodatku nieurodziwa. Jakże on jej serdecznie nie cierpiał! Co go podkusiło, by przyjść jej z pomocą, gdy w rzeczywistości ucieszyłoby go, gdyby dostała zasłużoną nauczkę? Nie miał żadnego powodu, by ratować pannę Marlow, oprócz tego, że wcześniej dał jej na to swoje słowo. Kiedy jednak ujrzał ją w korytarzyku zapłakaną i zrozpaczoną, lecz mimo to

próbującą się zdobyć na dzielny uśmiech, nie pamiętał o pochopnie złożonej obietnicy, postąpił impulsywnie, teraz więc mógł mieć pretensje tylko do samego siebie. Oto wciąż nie mógł wyjechać ze skromnej wiejskiej gospody, gdyż zobowiązał się

do końca opiekować młodym człowiekiem, z którym nie miał nic wspólnego. Poza tym pozbył się na jakiś czas Keighleya, bez którego niemal nie umiał się obejść. W dodatku czekały go słuszne wyrzuty ze strony jakiegoś obywatela ziemskiego, zapewne zresztą porządnego człowieka, którego mógł nawet podczas jednego z dni otwartych gościć w Chance, a na koniec mógł się spodziewać (gdyż doskonale znał ludzi, wśród których się obracał) szerzenia się skandalizujących domysłów, przypuszczeń i pomówień. Z całą pewnością nie uda się zatuszować tej sprawy, jakieś szczegóły nieuchronnie przedostaną się do wiadomości publicznej. W najlepszym wypadku Sylvester zostanie posądzony o to, że odjęło mu rozum, w najgorszym zaś, że on, słynący z bycia wielce wybrednym pod tym względem, zadurzył się bez pamięci w jakiejś wiejskiej gąsce, pozbawionej smaku i obycia, której sama myśl o jego oświadczeniach była tak wstrętą, że przed nimi uciekła.

Tego było już nadto. Skręcając z wprawą w wąską bramę prowadzącą na podwórze zajazdu, Sylvester zdecydował, że nie będzie jedynym, któremu przyjdzie zapłacić za to wszystko. Panna Marlow nie będzie opowiadać o nim ze wzgardą w londyńskim świątku. Zaiste, stosunek panny Marlow do niego będzie jak najdalszy od wzgardy.

Gdy zeskoczył z kariolki i potoczył wokół mściwym spojrzeniem, miał tak zacięty wyraz twarzy, że stajenny, któremu ostrym tonem wydał kilka poleceń, zaczął się pocić ze strachu. Niedługo potem jednak, wchodząc do pokoju Toma, książę był już

zupełnie opanowany i nikt nawet by się nie domyślił jego niedawnego złego humoru.

Trafił akurat na dość napięty moment; Pan Orde, który zgłodniał po podróży, właśnie skończył porządne drugie śniadanie, gdy tymczasem Tom, któremu wreszcie zabrakło argumentów, od dobrych dziesięciu minut zachowywał pełne urazy milczenie. Słyszając odgłos otwieranych drzwi, odwrócił głowę ku wejściu. W jego oczach wciąż tlił się gniew. Widząc, kto wszedł do pokoju, wybuchnął:

- Sylwestrze, to jest okropne! Zrób coś, przekonaj mojego ojca! Nigdy bym nie uwierzył, że on może być tak... Och, właśnie, to jest mój ojciec!

— Nie wiem, w co ty byś nigdy nie uwierzył - odezwał się pan Orde, podnosząc się z krzesła, by skłonić się księciu. - Ja w każdym razie nigdy bym nie uwierzył w to, że wystarczy ci tydzień spędzony z dala od domu, by zupełnie zapomnieć o dobrych manierach. Wasza książęca mość zapewne zastanawia się, czy mój syn nie chował się przypadkiem w oborze. Wcale się temu nie dziwię, lecz zapewniam, że tak nie było. Gdyby jego matka słyszała, jak się przed chwilą do pana odezwał, dałaby mu porządną burę. - Ponieważ Sylvester podszedł do niego i wyciągnął rękę na

powitanie, pan Orde uściskał ją z całą serdecznością. - To dla mnie wielki zaszczyt móc poznać waszą książęcą mość. Czuję się wobec pana wielce zobowiązany, jak pan się z łatwością domyśla. Był pan dla mojego Toma aż nazbyt łaskawy, nie wiem doprawdy, jak mam panu dziękować.

— Ależ nie ma powodu; dla którego miałby mi

pan dziękować, sir, zapewniam pana - odparł Sylvester w ów ujmujący sposób, który natychmiast mu wszystkich zjednywał. - Spędziłem tu wyjątkowy tydzień i zyskałem nowego przyjaciela, którego nie zezwalam besztać. Czynienie mu wyrzutów jest niesprawiedliwe, gdyż sam go prosiłem, by przestał być wobec mnie tak nieznośnie uprzejmy. W dodatku przez całych sześć dni był przykuty do łóżka i zniósł to bez słowa skargi!

- Dobrze mu tak - ocenił pan Orde. - Nieciekawa to sprawa, wasza książęca mość. Marlow aż się rozchorował z tego wszystkiego. No cóż! Myśliwy z niego zawołany, ale rozumu to on nie ma za dużo. Gretna Green, też coś! Najgłupsza rzecz, w jaką można było uwierzyć.

- Klnę się na Boga, że żałuję, iż jej tam nie zawiozłem - zadeklarował żarliwie Tom. - Książę, mój ojciec uparł się zabrać Phoebe z powrotem do Austerby, da pan temu wiarę? On za nic nie chce zrozumieć, jak wielkie to okrucieństwo wobec niej po tym wszystkim!

- Dajże spokój, synu - łagodził pan Orde, - Nic wielkiego się w sumie nie stało, i to dzięki waszej książęcej mości, wszyscy tylko jesteśmy teraz trochę mądrzejsi, i właśnie to powiem lady Marlow.

- Jakby ona kogoś słuchała. I na kogo ja wyjdę w oczach Phoebe. To ja nie pozwoliłem jej jechać dylizansem, więc gdyby nie ten mój upór, od dawna byłaby już bezpiecznie u lady Ingham. Obiecałem ją tam zawieźć, a tymczasem wpakowałem ją w najgorszą możliwą kabałę. Ojczy, błagam...

- Przestań desperować, drogi Galahadzie - przerwał mu Sylvester. - Nie ma powodu do rozpaczki. Panna Marlow przed godziną wyruszyła do Londynu.

Po tych zdumiewających słowach zapadła cisza, którą przerwał dopiero triumfalny okrzyk Toma:

- Sylwestrze, ty... ty koniu trojański!

Książę wybuchnął śmiechem na taki komplement, lecz już chwilę później ściągał brwi, gdyż pan Orde, spojrzawszy na niego, oznajmił bez zbędnych ceremonii:

- Jeśli wasza książęca mość przyłożył do tego ręki, co, jak tuszę, musiało mieć miejsce, to pozwolę sobie rzec, mości książę, że postąpił pan źle. Bardzo źle!

Tom dostrzegł zimny wyraz oczu Sylwestra i natychmiast odgadł, co się stanie, więc wtrącił szybko:

- Ojczy, proszę, nie mów tak.

- Nie będę ukrywał, co myślę, synu — oznajmił pan Orde, wciąż mierząc Sylvestra ponurym wzrokiem. - Jeśli jego książęcej mości to nie w smak, trudno. Swoje powiedziałem i nie odstąpię od tego.

Tom z niepokojem zerknął na przyjaciela, lecz jego interwencja okazała się skuteczniejsza, niż mógł przypuszczać, Sylvester uświadomił sobie bowiem nagle, że młodzieniec próbował ochronić przed afrontem nie jego, lecz swego ojca. Książę dopiero teraz zdał sobie sprawę ze swego lodowatego spojrzenia i usztywnionej postawy. Przypomniało mu się oskarżenie Phoebe, że on potraktuje pana Orde'a zimno i wyniośle. Zbył je wtedy lekko, gdyż uznał je za kolejną zuchwałą próbę sprowokowania go, w tym momencie jednak zaczął się

zastanawiać, czy w jej słowach nie kryło się ziarno prawdy i czy on, tak bardzo dumny ze swych nienaganych manier, rzeczywiście nie traktował ludzi z góry.

- Jest pan wobec mnie niesprawiedliwy, sir - odezwał się do pana Orde'a z pojednawczym uśmiechem. - Nie mogłem postąpić inaczej, gdyż pan obiecał pomoc lordowi Marlowowi, a ja dałem słowo jego córce.

- Bardzo zręcznie, mości książę! - skwitował pan Orde. - Co ja jednak, u licha, powiem teraz jej ojcu?

- Na pańskim miejscu wyjaśniłbym, że nie udało się przywieźć panny Marlow z powrotem, ponieważ już pojechała do Londynu, by odwiedzić babkę.

- Owszem, mógłbym tak powiedzieć - przyznał tamten po chwili namysłu. - Po prawdzie, oni nie wiedzą, że Phoebe mieszkała tu przez kilka dni i może lepiej, by nigdy się nie dowiedzieli. Nie mam jednak ochoty mydlić Marlowowi oczu, bo to właśnie się do tego sprowadza, ot co!

- Ale ojcze, po cóż miałbyś im opowiadać, że jeszcze ją tu zastałeś? Nie przyniosłoby to niczego dobrego. Teraz, gdy już wyjechała, napytałbyś przez to wszystkim tylko większej biedy.

- Masz słuszość, synu. Cóż więc mam im powtórzyć?

- Proszę przekazać, że panna Marlow została bezpiecznie wyprawiona do miasta w moim powozie, pod opieką najlepszego służącego oraz w towarzystwie porządnej młodej panny, która została jej

pokojówką - wygłosił płynnie Sylvester. - Nawet lady Marlow nie dopatrzy się w tym najmniejszego uchybienia, prawda?

- Nie, jak długo nie wie, kim jest pokojówka - mruknął pod nosem Tom.

- Takie uwagi mogą wprowadzić twego ojca w błąd. Śpieszę pana zapewnić, sir, że to bardzo zacna panna, córka tutejszej gospodyni. -

- Może i zacna, ale obrzydliwy z niej pochlebca - zauważył z błyskiem w oku Tom. - Powiedziała panu, książę, że jesteś ważniejszy od indyka.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wbrew przewidywaniom Sylvestra Phoebe dotarła na miejsce jeszcze tego samego dnia, choć dopiero o wpół do jedenastej w nocy. Miała za sobą ośmiogodzinną podróż, gdyż ze względu na stan dróg forysie jechali niemal stępa. Była równie zmęczona jak niespokojna, gdyż na Green Street nie spotkała się początkowo z życzliwym przyjęciem. Gdy powóz zatrzymał się przed domem, Keighley wszedł po schodach i głośno zastukał kołatką, a Phoebe przyglądała mu się przez okno, w którym opuściła szybę. Przez długą chwilę nic się nie działo, poczuła więc lęk, że babcia wyjechała z miasta. Keighley ponownie uniósł rękę, lecz opuścił ją, nie pukając. Rozległ się zgrzyt zasuw, a na progu ukazał się kamerdyner z lampą w ręku. Phoebe odetchnęła z ulgą.

Jeśli spodziewała się, że Horwich serdecznie powita wnuczkę swej pani, to srodze się zawiodła.

Osoby, które zjawiały się o niestosownej godzinie, budziły jego głęboką niechęć, nawet jeśli przybywały w powozie zaprzężonym w czwórkę koni i ze służącymi w liberiach. W świetle pobliskiej latarni mógł dostrzec, że był to naprawdę elegancki pojazd, należący z pewnością do wysoko urodzonej osoby, choć tego wieczoru nosił na sobie ślady długiej i uciążliwej podróży. Na pokrytych błotem drzwiczkach widniał rodowy herb, więc Horwich spojrzał na przybyszy odrobinę łaskawiej, lecz mimo to oznajmił Keighleyowi chłodno, że jaśnie pani udała się na spoczynek i nie przyjmie gości. Oczywiście nie mógł odprawić jej wnuczki, gdy więc zrozumiał, kto przyjechał, wpuścił Phoebe do środka, choć z dużym ociąganiem. Bez słowa stał sztywno w progu, słuchając z najgłębszą dezaprobatą, jak zegnała się z Keighleyem i dziękowała mu z niegodną damy poufałością.

- Pójdę spytać, czy jaśnie pani zechce panienkę dziś przyjąć - zakomunikował zimno, w końcu z ulgą zatraskując Keighleyowi drzwi przed nosem. - Muszę jednak panienkę uprzedzić, iż lady Ingham udała się na spoczynek już przed godziną.

Phoebe postanowiła nie dać się onieśmielić. Odparła na tyle pewnie, na ile potrafiła się zdobyć w tej sytuacji, że babcia najprawdopodobniej wyrazi życzenie zobaczenia się z wnuczką.

- Proszę też, byś zatroszczył się o moją pokojówkę, Horwich. Powinna dostać kolację, bo mamy za sobą długą i męczącą podróż.

- Kolację chętnie zjem, a jakże! - przyświadczyła Alice z szerokim uśmiechem. - Ale nie trza mi specjalów, starczy kawałek zimnej pieczeni i kufelek ciemnego piwa.

Widząc minę kamerdynera, Phoebe zaczęła poważnie powątpiewać, czy Sylvester dobrze zrobił, przydzielając jej do towarzystwa prostą wiejską dziewczynę. Horwich oznajmił lodowatym tonem, że o ile gospodyni nie położyła się jeszcze spać, poleci jej zająć się młodą osobą,

tymczasem panią zechce udać się do salonu porannego, on sam zaś wyśle na górę pokojówkę jaśnie pani, by powiadomiła o nieoczekiwanym przyjeździe pani.

Phoebe wreszcie straciła cierpliwość, sędziwy tyran dowiedział się więc ze zdumieniem, że ona nie zamierza czekać w żadnym salonie.

- Nie musisz mnie też odprowadzać, znam drogę - dodała cierpko. - Jeśli babcia już śpi, to nie będę jej budzić, a jeśli nie, to nie widzę powodu, dla którego miałyby mnie anonsować pokojówka.

Lady Ingham nie spała. Kiedy Phoebe delikatnie zastukała do drzwi, usłyszała polecenie, by wejść. Babka siedziała wsparta na poduszkach w łóżu z baldachimem, czytając książkę. Blask padający z dwóch wieloramiennych świeczników oraz z płonącego na kominku ognia powodował, że ostre rysy lady Ingham rzucały głębokie cienie na jej twarz.

- Co tam znowu? - spytała z irytacją, podnosząc wzrok. - Phoebe?! Wielki Boże! Dziecko drogie, cóż ty tu robisz?

Ogromny ciężar spadł Phoebe z serca, jej twarz ściągnęła się jak do płaczu.

- Och, babciu! - zawołała i pobiegła wprost

w ramiona lady Ingham, która uściskała ją serdecznie, choć trawił ją zrozumiały niepokój.

- Tak, ja też się cieszę, że cię widzę, kochanie, ale powiedz mi, co się dzieje? Nie oszczędzaj mnie, mów wszystko od razu. Czy coś się stało twojemu ojcu? Tuszę, że nie!

- Nie, na szczęście nic z tych rzeczy. Babcia powiedziała mi kiedyś, że gdybym potrzebowała pomocy, to mogę na nią liczyć...

- Ach! Ta wstrętna kobieta! - wykrzyknęła lady Ingham, podrywając się z poduszek i siadając prosto.

- Tak. A papa ją poparł... - wyznała ze smutkiem Phoebe. - To mnie przywiodło do desperacji. Stało się coś czy raczej wyglądało na to, że może się stać... Nie mogłam tego znieść i uciekłam.

- Niech opatrność ma nas w swej opiece! Biedne dziecko, co też oni ci zrobili? Opowiedz mi wszystko.

- Mama wezwała mnie i... Otóż papa zaaranżował dla mnie bardzo korzystne małżeństwo... Chcieli mnie wydać za księcia Salforda! - Phoebe wyczuła, że babcia zeszywniała, przerwała więc, zaniepokojona, lecz usłyszała, że ma mówić dalej. - Za nic nie mogłabym go poślubić. Widzi babcia, spotkaliśmy się przedtem tylko raz w życiu i powzięłam do niego najgłębszą niechęć. W dodatku on mnie wcale potem nie pamiętał. Nawet gdyby jednak przypadł mi do gustu, nie oddałabym ręki komuś, kto o nią prosi wyłącznie dlatego, że jego matka by sobie tego życzyła.

Lady Ingham, panując nad sobą z najwyższym trudem, spytała:

- Czy to ci powiedziała ta okropna kobieta?

- Tak. I jeszcze dodała, że dzięki wychowaniu spełniam najwyższe wymagania, a ksiązę jest tego świadom i również z tego powodu mnie wybrał.

- Ach, tak.

- Babcia... Babcia rozumie, prawda?

- Lepiej, niż myślisz - skwitowała ponuro lady Ingham.

- Wiedziałam. Po tym wszystkim mama oznajmiła, że on właśnie jedzie do nas z papą, a celem jego wizyty niechybnie są oświadczyzny.

- Kiedy ostatni raz widziałam się z twoim... Co takiego? Naprawdę przywiózł do was Salforda?

- Tak, lecz nie pojmuję, skąd to jego przeświadczenie o poważnych zamiarach księcia względem mnie. Musiała nastąpić pomyłka... Oczywiście, o ile ksiązę nie rozważał takiej możliwości, a potem zmienił zdanie po ujrzeniu mnie. Wcale by mnie to nie zdziwiło. W każdym razie rodzice byli pewni jego rychłych oświadczyzn. Błagałam papę, bym im zapobiegł, wyjawiałam mu swoją niechęć do księcia, lecz papa nie chciał słuchać. - Głos zaczął jej się łamać, - Wtedy zrozumiałam, że nikt mnie nie weźmie w obronę, i mogę polegać już tylko na babci. Uciekłam z domu.

- Sama? - spytała ze zgrozą lady Ingham. - Nie powiesz mi chyba, że odbyłaś tak długą podróż zwykłym dylizansem, i to zupełnie sama.

- Och, nie! Przyjechałam powozem księcia Salforda, w towarzystwie... pokojówki, którą dla mnie wybrał, i pod opieką jego najlepszego służącego.

Na twarzy lady Ingham pojawił się wyraz kompletnego niedowierzania.

- Przyjechałaś powozem Salforda?

- To... to wymaga pewnych wyjaśnień - wydukała z zażenowaniem Phoebe.

- Zaiste! Słucham.

- Kiedy to dość długa opowieść...

- Bądź więc tak miła, moja droga, i zadzwoń po służbę. Po tak męczącej podróży szklanka gorącego mleka dobrze ci zrobi - zawyrokowała, po czym dodała: -Ja też się napiję, bo siły mnie opuszczają.

To mówiąc, opadła na poduszki (ku przestrachowi Phoebe) i zamknęła oczy, gdy jednak do sypialni weszła pokojówka, otworzyła je i odezwała się ze zdumiewającą energią:

- Muker, co to za skrzywiona mina? Nie życzę sobie jej oglądać. Biegnij na dół i przynieś nam szybko dwie szklanki gorącego mleka. Wnuczka, która przyjechała mnie odwiedzić, ma za sobą ciężką podróż, musi się wzmocnić. Dopilnuj potem, by miała ogrzaną pościel i porządnie napalone w kominku. W najlepszym pokoju gościnnym!

Kiedy jaśnie pani mówiła takim tonem, służba wiedziała, że lepiej nie dyskutować. Muker, która odpowiedziała na powitanie Phoebe niechętnie i niemal nieuprzejmie, przyjęła polecenia bez słowa komentarza, spytała tylko z najgłębszą dezaprobatą:

- Czy panienka sobie życzy, żeby ta... osoba, która, jeśli dobrze zrozumiałam, jest jej pokojówką, została dopuszczona na górę, żeby panience usługiwać?

- Och, nie, proszę ją wysłać do spania— zaproponowała Phoebe. - Ona... Ona właściwie nie jest pokojówką.

- Zdażyłam to zauważyć, panienko - oznajmiła lodowato Muker.

- Co za nieznośne stworzenie! - mruknęła lady Ingham, gdy za jej oddaną służącą zamknęły się drzwi. - Kim jest ta osoba, która ci towarzyszy?

- Córką właścicielki zajazdu. To książe mnie zmusił, bym ją ze sobą zabrała.

- Córką właścicielki zajazdu? Nie, nie opowiadaj mi jeszcze, Muker niedługo wróci z mlekiem, a jestem tak zaciekawiona, że nie zniósłabym chyba, gdyby nam przerwano w połowie. Zdejmij tę okropną pelisę, moja kochana... Wielkie nieba! A któż ci uszył taką brzydką sukienkę? Czy twoja macocha

zupełnie nie ma gustu? Chociaż teraz to bez znaczenia,

bo już ja dopilnuję, by przynajmniej w tej kwestii było wszystko jak należy. Przysuń sobie krzesło do kominka, będzie wtedy nam obu wygodnie. I gdybyś mogła podać mi sole trzeźwiące, bo mogą się przydać... Znajdziesz je na stole.

Chociaż historia, którą wkrótce wnuczka mogła jej bez przeszkód opowiedzieć, mogłaby rzeczywiście przyprawić o palpitację niejedną starszą damę o słabym zdrowiu, lady Ingham ani razu nie potrzebowała sięgać po sole trzeźwiące, a wnikliwe pytania, które zadawała zdecydowanym tonem w trakcie relacji Phoebe, w żaden sposób nie świadczyły o niedomogach ciała czy intelektu.

Najbardziej szczegółowo wypytywała o pana Thomasa Orde'a, który zainteresował ją żywo, gdy tylko o nim usłyszała. Wnuczka chętnie przybliżyła

jej postać swego najlepszego przyjaciela, a babka przez cały ten czas ani na moment nie spuszczała oczu z jej twarzy. Kiedy dowiedziała się, że przyczyną oświadczeń Toma, który zaofiarował się uciec z Phoebe do Gretna Green („Czym mnie przeraził, babciu, bo jest jeszcze za młody, a w dodatku to jakbym miała wyjść za brata!”), wynikały wyłącznie z jego szlachetności, przestała się nim zajmować. Młody pan Orde w niczym nie zagrażał jej planom.

Ostatnie pytanie zadała tonem niemal obojętnym.

— Czy Salford wspomniał o mnie?

- Tak. Nadmieniał, że babcia jest jego matką chrzestną, więc zrozumiałam, że dość dobrze babcie zna. Pozwoliłam sobie tedy spytać, czy, jego zdaniem, babcia nie zechciałaby może... czy babcia nie zechciałaby się zgodzić, bym u niej zamieszkała, a on dał mi do zrozumienia, że tak.

- Tak powiedział? - Wyraz twarzy lady Ingham był nieprzenikniony. - Cóż, moja droga... Miał absolutną rację! - oznajmiła z niespodziewaną energią. - Sprawi mi to niezmierną przyjemność!

Ten nocy długo nie mogła zasnąć, gdyż relacja wnuczki dostarczyła jej wystarczająco dużo materiału do rozważań. Lord i lady Marlow dość krótko zaprzętały jej myśli (choć następnego dnia zamierzała spędzić przyjemne przedpołudnie poświęcone układaniu listu do Austerby, listu, po którym jej zięć poczuje się jeszcze gorzej), podobnie szybko zapomniała o młodym Tomie. Najbardziej ze wszystkiego intrygowała ją rola, jaką w całej tej dramatycz-

nej historii odegrał Sylvester. Pojawienie się w roli wybawcy zupełnie do niego nie pasowało, nie potrafiła go też sobie wyobrazić mieszkającego w jakiejś nędznej ruderze, w dodatku zajmującego się chorym obcym człowiekiem i jego końmi. Jedyne, co było w jego stylu, to zachęcenie Phoebe do szukania schronienia na Green Street i umożliwienie jej tego. Lady Ingham ani przez moment nie wątpiła, że Sylvester zrobił to z czystej złośliwości, by jej dokuczyć. Nie wiedział tylko (lecz wkrótce się o tym przekona), jak bardzo mu się nie udało dokuczyć matce chrzestnej. Przyjazd Phoebe okazał się dla niej niemal błogosławieństwem. Od kilku miesięcy nudziła się straszliwie, gdyż większość jej przyjaciół i znajomych wróciła na zimę na wieś, została tylko garść osób, które, podobnie jak ona, przeprowadziły się do Londynu na stałe. Towarzystwo bystrej, energicznej wnuczki było dokładnie tym, czego potrzebowała. Nie pojmowała, czemu nie wpadła na to wcześniej. Od pewnego czasu rozważała bez większego zapału ideę wyjazdu do Paryża, ponieważ jedna z najserdeczniejszych przyjaciółek napisała do niej z kontynentu, zapraszając, by i ona dołączyła do grona znakomitych angielskich dam bawiących w tym jakże przyjemnym mieście. Propozycja była nęcąca, lecz jej realizacja wiązała się z wieloma niedogodnościami. Przede wszystkim w Paryżu nie było nieocenionego sir Henry'ego, który jak nikt rozumiał stan zdrowia lady Ingham, poza tym oczywiście niezadowolona Mu-ker gderałaby przez cały czas, a ponadto.- niezależnie od tego, co twierdziła w liście Mary Berry – nie sposób było wypuszczać się w zagraniczne wojaże bez jakiegokolwiek męskiej pomocy. Oczywiście można było najać odpowiedniego człowieka, który by się o wszystko troszczył, lecz to oznaczało dodatkowy koszt, ponadto i tak nadal potrzebny był jakiś dżentelmen, który miałby oko na poczynania owego pomocnika. Nie, z całą pewnością lepiej było zatrzymać przy sobie wnuczkę i zobaczyć, czy rzeczywiście nie uda się dla niej zdobyć tego, co Marlowowie pokpili. Gdy tylko ją ładnie wystroi, z przyjemnością zabierze tę miłą bystrą dziewczynę w kilka miejsc, oczywiście, o ile pozwoli jej na to słabe zdrowie.

W tym momencie lady Ingham napotkała pewną trudność. Nie zamierzała trzymać Phoebe z dala od towarzystwa (choć wnuczka sama jej to sugerowała) i jakkolwiek nie miała nic przeciw pójściu z nią na jeden czy dwa prywatne bale, nic nie mogło jej nakłonić do udania się na któryś z wielkich balów publicznych w Almacku lub na jakiegokolwiek przyjęcie urządzone przez słabo jej znane osoby. Z trudnością tą jednak zdołała się szybko uporać, gdyż szczęśliwie przypomniała sobie o istnieniu potulnej synowej. Rosina miała dwie dorastające córki -wychodząc gdzieś z nimi mogła zabierać również i siostrzenicę męża, jedna panna więcej nie robiła przecież różnicy.

Uporawszy się z tym drobiazgiem, lady Ingham powróciła myślami do kwestii znacznie poważniejszej i trudniejszej do rozwikłania, mianowicie do zagadkowego zachowania Sylwestra.

Zamierzał ją odwiedzić. Gdy Phoebe przekazała jej tę wiadomość, starsza pani z trudem zachowała obojętny wyraz twarzy. Zaczęła ją palić ciekawość. Postanowiła przyjąć go przyjaźnie i życzliwie, choć było to wbrew jej naturze, by w ten sposób odkryć, cóż on właściwie za grę prowadzi. Jego zdumiewające postępowanie mogło wskazywać, że zakochał się w jej wnuczce, dlatego więc starał się pokazać z jak najlepszej strony. Relacja Phoebe, dotycząca przebiegu wizyty Sylwestra w Austerby, nie nasuwała jednak żadnego sensownego przypuszczenia, co takiego mogło go w niej aż tak zachwycić. Na pewno jechał tam uprzedzony do całej sprawy. Lady Ingham czuła, że podczas rozmowy z chrześniakiem nieco przeszarżowała, co wzbudziło jego niechęć. Widziała wtedy ten gniewny błysk w jego oczach i musiała zdecydować, czy się poddać, zostawiając wydarzenia ich własnemu biegowi, czy też spróbować nimi pokierować. Postanowiła podjąć ryzyko, ponieważ skoro Sylvester już zdecydował się na ożenek, nie było czasu do stracenia. Musiał jak najszybciej poznać Phoebe bliżej.

Przypomniała sobie, jak surowo zakazała zięciowi pisać komukolwiek choćby słówko, i ogarnęła ją taka złość, że jej chude palce aż zakrzywiły się niczym szpony. Owszem, mogła się domyślić, że ta okropna kobieta wyciągnie z tego nieznośnego gaduły każdy szczegół, lecz dalszego ciągu doprawdy nie dało się przewidzieć. Jak zona Marlowa mogła być taką idiotką, by powtórzyć wszystko Phoebe, zrażając ją w ten sposób do Sylwestra?

Cóż, przeszłości nie da się zmienić, lecz przyszłość nie malowała się w zupełnie czarnych barwach. Mężczyźni często, nawet aż nazbyt często, zakochiwali się w kobietach, które zdawały się mieć najmniejsze szanse właśnie u nich. Nie dało się wykluczyć, że księcia Salforda, którego przez kilka sezonów nie zdołała usidlić żadna z piękności, pociągnęła dziewczyna (co najmniej) nieprzeciętna, nie tylko niezarzucająca na niego sieci, ale wręcz żywiołowo niechętna jego ewentualnym zalotom.

Było to możliwe, ale mało prawdopodobne, uznała lady Ingham, zważywszy na charakter. Sylwestra. Phoebe mogła go zaintrygować, lecz nie zachwycić. Dziwny był z niego człowiek, gdyż

nigdy, nawet jako nieopierzony młokos, nie próbował szokować zachowaniem. Wszelkie skandaliczne wybryki budziły w nim jedynie pogardę, jak więc mogłaby go oczarować tak nieliczącą się z konwenansami dziewczyna? Postępowanie Phoebe musiało budzić jego dezaprobatę. Ba, nawet gniew! Wszak każdy mężczyzna poczułby się upokorzony, gdyby dobrze wychowana panna na samą myśl o jego oświadczeniach rzuciła się do ucieczki. Dla kogoś tak dumnego jak Sylvester musiał to być afront niemożliwy do zniesienia.

To nasunęło lady Ingham kolejny domysł. Czyżby Sylvester wysłał Phoebe do Londynu nie po to, by zemścić się na swej matce chrzestnej, tylko na samej paninie? Mógł się wszak spodziewać, że oburzona i zgorszona całą tą historią lady Ingham krótko rozprawi się z wnuczką i odeśle ją co koń wyskoczy do domu. Nie mógł jednak wiedzieć, że kiedy to biedne dziecko będzie otwierało serce przed babką, ta ujrzy przed sobą utraconą córkę.

Lady Ingham uważała się za słabą kobietę, lecz do jej słabości na pewno nie należała nadmierna uczuciowość. Owszem, przeżyła moment bólu, gdy jakiś szczególny wyraz twarzy Phoebe przypomniawszy jej Verenę, lecz nie zamierzała o tym rozmyślać. Verena nie żyła, trzeba było zająć się jej córką. Jeśli Sylvester liczył na to, że wnuczka znajdzie się w niełasce u babki, to się boleśnie rozczaruje, co będzie dla niego dobrą nauką.

Już prawie zasypiała, gdy nagle przypomniała jej się córka właścicielki zajazdu. To Sylvester uparł się, by ta dziewczyna towarzyszyła Phoebe podczas podróży, a za tą jakże rozsądną decyzją nie mogła stać chęć dokuczenia czy zemsty. To za mało, by żywić oczekiwania, ale wystarczająco, by nie tracić nadziei, pomyślała jeszcze lady Ingham, nim zapadła w sen.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gdy zobaczyły się następnego ranka, lady Ingham tryskała energią i już miała plany na cały dzień. Przede wszystkim zamierzała zabrać wnuczkę do sklepu z jedwabiami, a potem do swej własnej modniarki.

- W pierwszej kolejności musimy cię odpowiednio ubrać, moje dziecko. Jak patrzę na tę twoją sukienkę, robi mi się słabo.

Jakkolwiek perspektywa wybrania bardziej twarzowych strojów była kusząca, Phoebe musiała poprosić babcinę, by odłożyły to na później, obiecała bowiem pokazać Alice najciekawsze miejsca Londynu, a szczególnie Pantheon Bazaar, słynny jarmark, gdzie oprócz wielu innych atrakcji pokazywano dzikie zwierzęta.

Musiała zadać sobie trochę trudu, by przekonać babcinę do tego pomysłu, gdyż szacownej damie wcale się nie podobało, że młoda panna ma chodzić

po mieście i oglądać lwy jedynie w towarzystwie służącej. W końcu jednak zgodziła się na to, gdyż przypomniała sobie o czekającym ją pisaniu listów do zięcia i do synowej. Phoebe zdążyła już skreślić list do ojca i nic jej nie zatrzymywało w domu. Lady Ingham chciała dać jej powóz, od czego Phoebe sprytnie się wykręciła, zauważając, że stangret na pewno będzie niezadowolony, gdy konie będą musiały stać długo na zimnie. W rzeczywistości miała do załatwienia pewną sprawę i za nic nie chciała, by stangret doniósł chlebobawczyni, dokąd Phoebe w pierwszej kolejności skierowała swe kroki.

Weszła do biura panów Newshama i Otleya w jak najlepszym nastroju, a opuściła je w tak smętnym, że w ogóle nie potrafiła podzielać zachwyty Alice, której podobało się dosłownie wszystko. Stało się coś, czego Phoebe zupełnie nie przewidziała. Na poczynienie jakichkolwiek zmian w tekście książki było już za późno, usunięcie wzmianek o charakterystycznych brwiach hrabiego Ugolina okazało się niewykonalne.

Pan Gilbert Otley, któremu nieznana mu z nazwiska dama w brzydkiej sztywnej pelisie przedstawiła się jako autorka „Zaginionego spadkobiercy”, zdumiał się niezmiernie. Często spekulowali razem ze współnikiem, kim naprawdę może być ta jakże śmiała pisarka, lecz nigdy żadnemu z nich nawet nie przyszło do głowy, że wydają utwór jakiejś zaniedbanej kilkunastoletniej gąski. Jego stosunek do niej zmienił się natychmiast, w głosie pojawił się protekcjonalny ton. Phoebe była aż do przesady przyjazna ludziom i bezpośrednia, niemniej nawet ona odebrała takie traktowanie jej przez osobę o niższej pozycji społecznej jako coś zdecydowanie nie na miejscu. Pan Otley, napotkawszy zdumione spojrzenie młodej panny, pospiesznie zrewidował pierwsze wrażenie i doszedł do wniosku, że lepiej będzie wezwać swego starszego i bardziej doświadczonego partnera w interesach.

Pan Newsham przyjął właściwy sposób postępowania, okazując młodej autorce zarówno należny jej szacunek, jak i iście ojcowską troskę. Gdyby tylko było to możliwe, chętnie przesunąłby wydanie powieści na późniejszy termin, ba, równie chętnie poniósłby koszty ponownego składu, koniecznego przy wprowadzeniu poprawek, by uczynić zadość życzeniom pisarki. Nie mógł tego jednak uczynić, niestety. Data publikacji była ustalona, książka musiała ukazać się za miesiąc, cały nakład był już gotowy. Niefortunnie się to wszystko złożyło, lecz mimo to śmiał żywić nadzieję, że autorka nie była chyba niezadowolona z rezultatów jego pracy.

Phoebe była zachwycona. Trzy cienkie woluminy oprawione w niebieską skórę, ze złożonymi brzegami kart i z tytułem wypisanym jakby na zwoju prezentowały się przepięknie. Nie mogła uwierzyć, że tak wspaniała oprawa zawiera coś, co wyszło spod jej ręki. Gdy podano jej gotową powieść, z wrażenia gwałtownie wciągnęła powietrze. Otworzyła na chybił trafił pierwszy tom i przypadkiem jej wzrok padł akurat na nieszczęsny akapit.

Aparycja hrabiego Ugolina była uderzająca.

Miał harmonijną posturę, pełne gracji ruchy, nienaganne maniery osoby dobrze urodzonej, klasyczne rysy jego twarzy szpeciły wszakże kocie oczy skryte pod skośnymi czarnymi brwiami, nadającymi mu złowieszczy, drapieżny wygląd. Matildą wstrząsnął dreszcz zgrozy.

Dreszcz zgrozy wstrząsnął również twórczynią Matildy. Phoebe gwałtownie zamknęła książkę i spojrzała na pana Newshama błagalnie.

- Nie mogę wyrazić zgody na publikację tego w takim kształcie - powiedziała.

Pan Newsham potrzebował sporo czasu i jeszcze więcej cierpliwości, by przekonać autorkę, że na tym etapie nie ma ona już najmniejszego wpływu na decyzje wydawcy, lecz nie miał jej tego za złe. Przedstawił jej argumenty nie do odparcia, a ponieważ spryt pozwolił mu odgadnąć, że w tej sytuacji bardziej zmartwiłby ją przewidywany sukces niż klęska, na poczekaniu zmyślił bajeczkę o niewielkiej poczytności pierwszej powieści autora. O tym, by romans nieznannej pisarki trafił w ręce osób z najlepszego towarzystwa, jego zdaniem, niemal mowy być nie mogło.

Trochę to podniosło Phoebe na duchu, lecz gdy tylko opuściła progi wydawnictwa, postanowiła napisać do panny Battery z prośbą o wywarcie wszelkiego możliwego wpływu na kuzyna, by zapobiec publikacji. Pan Newsham z kolei, ledwo pożegnał ją z głębokim ukłonem, zatarł ręce i natychmiast odnalazł pana Otleya.

- Pańska kuzynka jest guwernantką na dworze jakiegoś arystokraty, o ile dobrze pamiętam, co pan

kiedyś mówił. Kim jest ten człowiek? To dziewczę musi być jego córką. I napisała coś, co się sprzeda na pniu, mówię panu.

- Co tam jej ojciec! Kim jest ten, którego opis chciała zmienić? - spytał z niepokojem pan Otley.

- Nie wiem, jakiś inny arystokrata - brzmiała wesoła odpowiedź pana Newshama. - To bez znaczenia, oni nigdy nie wytaczają procesów za zniesławienie.

List panny Battery dotarł do jej byłej uczennicy tydzień później, kiedy Phoebe, wciągnięta w wir spraw związanych z modą, nie miała głowy do problemów natury literackiej. Jej życie wydawało się cudem odmienione, nie mogła więc długo trwać w stanie przygnębienia. Nielubiana i niewydarzona pasierbica lady Marlow stała się nagle oczkiem w głowie swojej babki, dzięki czemu przeszła zdumiewającą metamorfozę. Lady Ingham odczuwała głęboką satysfakcję. Phoebe oczywiście nie mogła uchodzić za klasyczną piękność, lecz gdy była gustownie ubrana i nie lękała się, że zostanie zganiona, ilekroć ośmieli się otworzyć usta, stawała się panną godną zainteresowania. Brakowało jej jedynie towarzyskiego obycia, lecz pobyt w Londynie miał temu szybko zaradzić.

Odpowiedź panny Battery okazała się tyleż serdeczna, co mało pomocna. Guwernantka, nieco lepiej obeznana z kwestiami wydawniczymi niż Phoebe, radziła jedynie, by nie niepokoić się możliwością przeczytania powieści przez księcia, gdyż jest to mało prawdopodobne, a nawet gdyby do tego doszło, to przecież i tak nikt nie wie, kto jest autorką.

Mimo tych wszystkich pocieszeń i zapewnień Phoebe wiedziała, że będzie czuła się winna, ilekroć spotka Sylvestra i niemal żałowała napisania powieści. Po tym, jak okazał jej tyle życzliwości, nie zasługiwał na to, by sportretować go jako nikczemnika. Fakt, że opisała go w czarnych barwach, nim jeszcze zaciągnęła wobec niego dług wdzięczności, wcale jej nie tłumaczył, powtarzała sobie surowo.

Sezon jeszcze się nie rozpoczął, lecz z powodu wyjątkowo ciężkiej zimy sporo osób zaczęło wracać do miasta. Wydano kilka przyjęć, lady Ingham przewidywała więc, że przed pierwszym wielkim tegorocznym balem w Almacku życie towarzyskie będzie w pełni. Dlatego też nie zamierzała tracić czasu. Wszyscy musieli dowiedzieć się jak najszybciej, że jej wnuczka zamieszkała z nią na stałe. Phoebe bezskutecznie próbowała ją przekonać o swej niechęci do balów.

- Głupstwa pleciesz, dziecko! - orzekła stanowczo babka.

- Mówię prawdę. Zawsze wychodzę wtedy na głupią gąskę.

- Teraz, kiedy jesteś ubrana równie elegancko jak inne panny, a nawet lepiej niż wiele z nich, nie wyjdiesz.

- Ależ, babciu! - zawołała - z lekką przyganą Phoebe. - Przecież jestem tu dla większej wygody babci, a nie po to, by co noc biegać na bale!

Lady Ingham spojrzała na nią przenikliwie. Tchnącym szlachetnością słowom Phoebe przeczył wyraz jej oczu, w których tańczyły szelmowskie błyski. Pomyślała, że gdyby Sylvester mógł teraz zobaczyć jej wnuczkę... Czemuż, u licha, do tej pory nie złożył im wizyty?

Phoebe zastanawiała się nad tym również. Oczywiście nie widziała żadnego powodu, dla którego on miałby chcieć znów ją zobaczyć, lecz przecież obiecał odwiedzić matkę chrzestną, gdy zajędzie do miasta, a przecież na pewno już przyjechał. Tom z pewnością wrócił do domu, Sylvester mógł więc bez przeszkód opuścić zajazd „Pod Niebieskim Odyńcem”, nie trzymały go tam żadne zobowiązania. Nie czuła się ani trochę urażona tym, że nie dawał znaku życia, lecz byłaby zadowolona, gdyby się pojawił. Miała mu tyle do przekazania! Nic ważnego, oczywiście, same tylko komiczne błahostki, takie jak różne uwagi Alice, które babci nie śmieszyły ani trochę (lady Ingham zdecydowanie nie miała do niej słabości), albo list papy, pełen słów oburzenia, nie z tej racji wszakże, iż Phoebe uciekła, ale że uciekła, nie powiedziawszy mu, gdzie trzyma klucz do szafki z medykamentami dla koni. Również w tym babcia nie dostrzegła nic zabawnego, i kiedy nie

było komu opowiedzieć takiej pysznej facecji, część jej uroku po prostu nikła. Szkoda, że książe się nie zjawił. Widać w ogóle nie przyjechał do Londynu.

W rzeczywistości Sylvester przyjechał, lecz nie zabawił długo. Wkrótce podążył do Chance, ponieważ w Salford House dowiedział się od służby, że lady Rayne również bawi w mieście wraz z synkiem, i zatrzymała się u swych rodziców. Nic o tych jej planach nie wiedział, poczuł więc gniew. Oczywiście, mogła sobie jeździć, kiedy i dokąd chciała (choć nie miała prawa zabierać Edmunda z rodowej posiadłości bez zgody Sylwestra), ale nie mógł jej darować, że podczas jego nieobecności zostawiła księżną samą, nawet go o tym nie uprzedzając. Ruszył rozstawnymi końmi z powrotem do Leicestershire, lecz zastał matkę najzupełniej zadowoloną i wyglądającą zapowiadanej wizyty siostry, został więc w Chance tylko przez parę dni. Nie wspomniał matce o gościnie w Austerby, pozwalając, by myślała, że cały ten czas spędził na polowaniu w Blandford Park. Keighley i Swale mieli najsurowiej przykazane milczenie o całej sprawie, księżna nie mogła się więc dowiedzieć o jego eskapadzie za pośrednictwem służby.

Właściwie trudno byłoby mu odpowiedzieć na pytanie, czemu zataił przed nią przygodę, która niechybnie by ją ubawiła. Nie łamał sobie zresztą nad tym głowy, jedynie przez moment odczuwał pewien niepokój. Och, przecież nie mógł matki martwić wieścią, że przyjrzał się córce jej ukochanej przyjaciółki i uznał ją za nieodpowiedni materiał na swą żonę.

W Londynie już czekały na niego liczne zaproszenia, a wśród nich miły krótki liścik od lady Barningham, zapraszającej na tańce tego właśnie wieczoru. Panna Barningham figurowała na jego liście kandydatek na żonę jako druga... Ponieważ Sylvester nie miał jeszcze żadnych skonkretyzowanych planów, postanowił przyjąć zaproszenie. Zapewne spotka tam kilku dobrych znajomych, w dodatku pani domu nie poczyta mu za afront, że nie odpowiedział na jej bilet.

W obu kwestiach miał rację. W progu spotkał się z lordem Yarrow, który przybył w tej samej chwili. Serdecznie powitał Sylwestra i spytał, gdzie on się, u diabła, ostatnio ukrywał. W bawialni czekało na niego dwóch kolejnych przyjaciół, pani domu zaś wyraziła radość z jego przyścia i nawet nie chciała słuchać przeprosin, twierdząc, że tańce zostały naprędce zaimprovizowane, gości nie obowiązywały więc żadne formalne wymogi. To prędzej ona powinna przeproszać za skromność przyjęcia.

- Trzeba się jednak jakoś ratować, drogi książe, wszak mamy dopiero marzec i towarzystwa w Londynie jeszcze tak niewiele...

- Ma pani absolutną rację, ja zaś z kolei mam ogromne szczęście, że przybyłem do miasta w samą porę, a w dodatku udało mi się uniknąć zasłużonej bury.

- Mówi pan tak, jakbyśmy nie znali się wystarczająco długo, by móc przestawać ze sobą bez zbytecznych ceremonii. Nikogo nowego dziś tu pan nie spotka, ostrzegam. Same znane twarze.

Dlatego zostawiam pana, nie czynię żadnych prezentacji, partnerkę do tańca proszę dziś wybrać samemu, nie zdając się w tej mierze na moją pomoc.

Fakt, że książę Salford przyjął jej zaproszenie na tańce, był wielce obiecujący, więc lady Barningham triumfowała, oczywiście nie zdradzając się z tym. Z Sylwestrem nie było nigdy nic wiadomo. Gdyby okazała choć cień zadowolenia z siebie, a on jeszcze w tym sezonie nie oświadczyłby się Caroline albo, co gorsza, wybrał Sophię Bellerby lub uroczą Mary Torrington, wszyscy drodzy przyjaciele dworowaliby sobie z niej za jej plecami. Popeliła ten błąd w poprzednim sezonie, spodziewając się w podobnej sytuacji zbyt wiele. Towarzystwo Caroline, owszem, wydawało się sprawiać księciu przyjemność, ale trudno rzec, by ją wyróżniał. Żadna z dwunastu panien, obecnych wówczas na balu u lady Barningham, nie wróciła do domu z przekonaniem, że zdecydowanie nie przypadła Sylwestrowi do gustu, z co najmniej zaś trzema flirtował w jak najmiły sposób.

Pani domu byłaby zdruzgotana, gdyby wiedziała, jak poważnej wady książę dopatrywał się tego wieczoru u jej córki. Caroline okazała się zbyt potulna i zgodna. Wystarczyło, by na jakąś jej uwagę uniósł brwi i uznał, że ona musi żartować, a natychmiast odstępowała od swego zdania i zgadzała się z nim we wszystkim. Uważała go za nieporównanie inteligentniejszego od siebie i nie śmiała z nim dyskutować. Cóż, pewne osoby (nieważne, jakie) posądzały go o lubowanie się w takim (czy innym) schlebaniu mu, lecz myliły się bardzo, gdyż jego to właśnie ogromnie męczyło i nużyło. Nie znaczy to, by spędził nudny wieczór, przeciwnie. Obecność dobrych znajomych i jak najserdeczniejsze powitanie były miłą odmianą po tym, czego przyszło mu doświadczyć w Austerby. W dodatku czekało go kolejne mało życzliwe przyjęcie, gdyż matka chrzestna, której obiecał wizytę, na pewno okaże mu niezadowolenie. Aż się uśmiechnął, gdy sobie przypomniał powód jej spodziewanej wrogości.

Tymczasem lady Ingham, gdy wprowadzono go do jej salonu, nie wyglądała na ani trochę rozdrażnioną, przeciwnie, okazała mu znacznie większą przychylność niż jej wnuczka. Sylvester zastał obie damy w domu, lecz Phoebe właśnie pisała list w imieniu babci, więc chociaż wstała, by z przyjaznym uśmiechem podać gościowi dłoń, przeprosiła go od razu, wyjaśniając, że jest zajęta, i wróciła do swej pracy.

- Siadaj, Sylwestrze - zakomenderowała lady Ingham. - Chciałam ci podziękować za opiekę nad wnuczką. Domyślasz się zapewne, jak bardzo jest ci zobowiązana. Gdyby nie twoja uprzejmość, nie byłoby jej teraz u mnie.

- Te podziękowania są, bez obrazy, droga matko chrzestna, doprawdy niepotrzebne i niedorzeczne - skwitował z wdziękiem, całując jej dłoń. - Czy panna Marlow długo tu zostanie?

Lady Ingham uśmiechnęła się.

- Na stałe — odparła spokojnie.

- Musisz być, pani, zachwycona. .

- Ależ z pana mistyfikador - zauważyła od niechcienia Phoebe, wyjmując pieczęć z sekretarzyka, gdyż właśnie ukończyła list. — Akurat pan na pewno nie uważa mojego towarzystwa za miłe, nie ma więc sensu tak udawać.

- Nie muszę udawać, panno Marlow. Okrutnie nam pani brakowało po jej wyjeździe.

- Bo potrzebny był czwarty do wista? - zagadnęła wesoło, wstając od sekretarzyka.

Sylvester podniósł się z krzesła, gdy Phoebe podeszła do kominka, by ogrzać dłonie.

- Nie, ponieważ nie mieliśmy okazji zagrać. Pan Orde wyjechał od razu następnego ranka.

- Jak to? Tak szybko zdecydował się przewieźć Toma do domu?

- Nie, zostawił go jeszcze pod moją opieką, a sam pospieszył uspokoić swą małżonkę oraz pani ojca. Wrócił trzy dni później i Tom odjechał niczym król ogromnym powozem, pełnym wszelkich luksusów, jakie pani Orde zdołała sprokurować, od stert poduszek po sole trzeźwiące.

- Sole trzeźwiące? Niepodobna!

- Zapewniam, że tak było. Proszę spytać Thomasa, czy nie próbował wyrzucić ich za okno. Ale jak pani podróż? Wiem od Keighleya, że dotarła pani do miasta jeszcze tego samego dnia wieczorem. Musiała być pani bardzo zmęczona.

- Owszem, lecz nie myślałam o tym. Alice zaś mogłaby jechać nawet dłużej, tak była zachwycona. Och, muszę pana zasmucić. Ktoś inny przyćmił pana w jej oczach.

- A kto taki? - Spojrzał na nią podejrzliwie. -Dziwoląg z dwiema głowami?

Roześmiała się.

- Nie, Horwich!

- O, to brzmi obiecująco. Proszę opowiadać dalej. Cóż takiego uczynił, by zasłużyć na jej podziw?

- Traktuje ją w najbardziej nieznośny sposób, jaki tylko można sobie wyobrazić. Jakby była karaluchem, wedle słów samej Alice. Obawiałam się, że sprawa jej to ogromną przykrość, a tymczasem nic w Londynie nie wywarło na niej równie wielkiego wrażenia. Zdradziła mi, że Horwich bardziej pasuje na księcia niż pan.

Sylvester, szczerze ubawiony, zażądał kolejnych relacji o niezawodnej Alice, lecz lady Ingham przerwała im z niesmakiem, gdyż nie zamierzała słuchać dykteryjek o pospółstwie. Phoebe opowiedziała mu więc o liście od ojca. Książę wybuchnął serdecznym śmiechem, czym jeszcze bardziej zirytował matkę chrzestną, gdyż głupota zięcia śmieszyła ją nawet mniej niż głupota ludzi z gminu.

Gość nie zabawił długo, nie miał też okazji porozmawiać tylko z Phoebe. Nadarzyło mu się jedynie krótkie tete-a-tete z lady Ingham, gdy ta znalazła jakiś pretekst, by wysłać wnuczkę po coś na piętro.

- Cieszę się, że nie powiedziałaś temu drogiemu dziecku, iż to mnie zawdzięcza twą wizytę w Austerby - powiedziała wtedy chrześniakowi. - Przykro mi z powodu wszystkiego, co cię spotkało, i tym bardziej jestem ci wdzięczna za to uprzejme przysłanie jej do mnie. Zrobiłeś mi przysługę, choć niechybnie musiałeś być na mnie zły. Uwierz jednak, że gdybym wiedziała o waszym poprzednim spotkaniu i o niechęci powziętej do ciebie przez moją wnuczkę, nigdy bym cię na to nie naraziła. Na szczęście nic złego się nie stało i nie ma potrzeby do tego wracać. Ona kwestii twych oświadczeń na pewno poruszać nie będzie i ja, masz na to moje słowo również nie. Teraz, gdy znam ją nieco lepiej, widzę, że wcale byś się nie nadawał. Nie zdziwię się wcale, jeśli będzie ją równie trudno zadowolić jak jej matkę.

Na szczęście Sylvester nie musiał na to odpowiadać gdyż do salonu wróciła Phoebe. Wstał, by się pożegnać, a gdy ścisnął dłoń panny Marlow, zauważył:

- Mam nadzieję, że niedługo spotkamy się ponownie. Pani zapewne będzie uczęszczać na wszystkie bale, nieprawdaż? Po tym, co się wydarzyło w Almacku, nie śmiem prosić, ale... ale czy mogę liczyć na taniec z panią?

- Oczywiście - zapewniła. - Przecież nie odmówię, gdyż byłoby to nieuprzejme.

- To było do przewidzenia! - zakrzyknął. - jak mogłem okazać się tak nierozumny, by dać pani wspaniałą okazję do uczynienia mi kolejnego afrontu?

- Nic miałam takiej intencji - zaprotestowała żywo.

- W takim razie niech niebo ma mnie w swej opiece, gdy będzie pani miała takową. Do widzenia i proszę nie zmieniać się w osobę nazbyt uprzejmą, bo pani nie poznam. Chociaż, nie, wcale nie muszę pani o to prosić.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zanim Phoebe ponownie spotkała księcia, poznała jedną osobę z jego rodziny, mianowicie lady Rayne.

Pewnego dnia lady Ingham wybrała się z poranną wizytą do pani Stour, a wnuczka jej towarzyszyła. Również kilka innych dam zjawiało się tam tego samego przedpołudnia, lecz Ianthe była wśród nich jedyną młodą osobą, nudziła się więc śmiertelnie. Zjawienie się nieznannej panny wydało jej się wybawieniem i skorzystała z pierwszej nadarzącej się okazji, by usiąść koło niej i zagadnąć z czarującym śmiechem:

- My już chyba się kiedyś spotkałyśmy, prawda? Ja niestety, nie mam głowy do nazwisk.

- Myli się pani - odparła ze zwykłą sobie szczerością Phoebe. - Miałam sposobność widzieć panią w ubiegłym sezonie tylko dwa razy i nigdy nie byłam jej przedstawiona. Raz byliśmy tego samego wieczoru w operze, a wcześniej na balu u lady Jersey. Właśnie wtedy, obawiam się, przyglądałam się pani niemal bezustannie, stąd pani wrażenie, że się znamy. Wyglądała pani jednak tak pięknie, że nie mogłam od pani oczu oderwać. Najgoręcej panią przepraszam! Musiała uznać pani takie zachowanie za kompletną impertynencję z mojej strony i pewnie nadal tak myśli.

Lady Rayne oczywiście nie widziała nic obraźliwego w czymś zachwycie swą osobą. Jej początkowa uwaga miała tylko służyć nawiązaniu konwersacji, Ianthe w rzeczywistości w ogóle nie pamiętała twarzy Phoebe. Podjęła rozmowę, udając, jakby doskonale zapamiętała opisaną sytuację.

- Ależ skąd, nie posądzałam pani o nic niestosownego! Przeciwnie, żałuję, że zostałyśmy sobie przedstawione dopiero dzisiaj. Stało się tak zapewne częściowo dlatego, że tak rzadko bywam w mieście... - Westchnęła i dodała ze smutnym uśmiechem: - Widzi pani, jestem wdową.

- Och! - Phoebe była zaskoczona. Trudno było jej uwierzyć w takie wyznanie z ust tak młodej osoby.

- Wydano mnie za męża, ledwo przestałam być dzieckiem - wyjaśniła lady Rayne. - Nie jestem więc jeszcze stara, choć owdowiałam już przed kilku laty.

- Myślałam, że jesteśmy w tym samym wieku. Ianthe nie potrzebowała nic więcej, by obdarzyć nową znajomą gorącą przyjaźnią. Zdradziła ze śmiechem, że jej synek ma już całe sześć lat.

- Niepodobna! - zawyrokowała Phoebe, wchodząc tym samym, najzupełniej bezwiednie, w rolę głównej powiernicy Ianthe.

W ciągu dwudziestu minut dowiedziała się, jak rodzina zmarłego męża narzuciła nieszczęsnej wdowie zaiste mniszę życie, domagając się, by już na zawsze pozostała w odosobnieniu na wsi.

- Czemu pani zgadza się na tak barbarzyńskie traktowanie? - spytała wstrząśnięta Phoebe.

- Niestety, jedna z tych osób ma do swej dyspozycji potężną broń - odparła lady Rayne melancholijnym tonem. - Ten człowiek może decydować o losie mego dziecka, on i tylko on. Tak się stało, że w jednej i tej samej chwili utraciłam zarówno męża, jak i syna. - Widząc zdumione spojrzenie nowej znajomej, wytłumaczyła: - Nie mnie powierzono prawną pieczę nad Edmundem. Nie mogę więcej powiedzieć, w rzeczy samej, już i tak zdradziłam pani zbyt wiele, lecz gdy tylko panią poznałam, wiedziałam od razu, że pani mnie zrozumie. Mogę pani ufać bez zastrzeżeń, czuję to. Nawet pani sobie nie wyobraża, cóż to za ulga móc z kimś tak swobodnie rozmawiać, zazwyczaj muszę być ostrożniejsza. Ale nie mogę pani dłużej obarczać moimi troskami.

Rzeczywiście, przestała mówić o sobie, a to dlatego, że lady Elvaston podniosła się, kończąc wizytę. Córka wstała również, wyciągnęła dłoń do Phoebe i powiedziała cicho:

- Mama wychodzi, więc i ja muszę się pożegnać. Czy pani długo zostanie w mieście? Tak bardzo pragnęłabym znowu panią zobaczyć. Może wyświadczyłaby mi- pani tę przyjemność i odwiedziła mnie kiedyś? Chciałabym, żeby zobaczyła pani mego synka.

- To on jest tu razem z panią? - zdziwiła się Phoebe. -Rozumiałam, że... Och, nieważne. Dziękuję za zaproszenie, będzie mi bardzo miło złożyć pani wizytę.

- Jego pobyt tutaj jest wbrew woli opiekuna, zapewniam panią - pożałowała się płaczącym tonem lady Rayne. - Ale nawet on nie może zabronić mi zabrać dziecka do jego dziadków. Mama uwielbia Edmunda i byłaby niepokieszona, gdybym go ze sobą nie przywiozła.

Uścisnęła dłoń nowej przyjaciółki i oddaliła się, zostawiając ją na pastwę domysłów i wątpliwości. Od pierwszej chwili Phoebe była pod wrażeniem ogromnej urody Ianthe, a w momencie zawarcia znajomości zauroczyło ją też pełne wdzięku obejście oraz urzekający uśmiech, który zarazem sugerował dzielnie znoszone cierpienie. Kiedy jednak romantyczna część natury Phoebe pozostawała pod wpływem otaczającej młodą piękną wdowę aury tragiczności, bystry umysł kazał jej dostrzegać pewne nieścisłości w usłyszanym opowieści, a spora doza zdrowego rozsądku podpowiadała, że niekoniecznie trzeba dawać wiarę każdemu słowu osoby, która rozpoczyna znajomość od najbardziej osobistych zwierzeń.

Przede wszystkim pragnęła dokładnie ustalić, kim jest jej nowa znajoma. Skoro po mężu nosiła nazwisko Rayne, musiała być skoligaconą z Sylves-trem, lecz rodzina była liczna, Phoebe nie mogła się więc domyślić, na ile bliskie jest to powinowactwo. Nie wątpiła, że babcia oświeci ją w tej kwestii. Zadała dręczące ją pytanie, kiedy powóz ruszył spod domu pani Stour.

- Ianthe Rayne? - powtórzyła lady Ingham. — Śliczne stworzenie, nieprawdaż? Głupiutkie oczywiście, ale trudno jej nie współczuć. To córka lorda Elvastona. Poślubiła Harry'ego Rayne'ego od razu tego samego roku, gdy ją przedstawiono w towarzystwie. Ich synek nawet jeszcze nie zaczął mówić, gdy biedny Harry zmarł. Okropna historia! Chyba do końca nie wiadomo, co dokładnie mu dolega, wyglądał jak wcielenie zdrowia. Jakieś sprawy wewnętrzne, tyle tylko wiem. Ach, gdyby posłano wtedy po mego drogiego sir Henry'ego Halforda!

- A kim był jej mąż?

- Jak to? Bratem Salforda, oczywiście! I to bliźniakiem.

- Dziecko lady Rayne jest... - odezwała się słabym głosem Phoebe. -Jest więc...

- Nie, ono nie jest chore, to chyba nie było dziedziczne. - Lady Ingham pochyliła się, by przyjrzeć się uważniej wystawie modystki. - Kochanie, co myślisz o tym kapeluszu ze słomki?

Chociaż nie, z różowymi kwiatami nie byłoby ci do twarzy. O czym to mówiłyśmy? A, o synu Harry'ego. Podobno bardzo uroczy chłopiec. Nigdy go nie widziałam, mieszka w Chance.

- Jeśli dobrze zrozumiałam lady Rayne, Edmund znajduje się pod opieką księcia Salforda, czy tak?

- Zgadza się. Na razie jest też jego dziedzicem, ale to bez znaczenia. Czyżby Ianthe ci się skarżyła? -Spojrzała bystro na wnuczkę i rzekła wprost: - Nie polegaj z nadto na tym, co ona ci powiedziała, kochanie, to naprawdę nie byłoby zbyt mądre. Ianthe i Sylvester nie żyją w zgodzie. Ona, odkąd

dowiedziała się, że testament ustala go jedynym opiekunem dziecka, pomstuje na Salforda, czemu niezbyt się dziwię, gdyż w moim mniemaniu oboje powinni być opiekunami Edmunda na równych prawach, on zaś nie robi nic, by ją ułagodzić. Wystarczyłoby nieco więcej taktu z jego strony, lecz on nie zadaje sobie tego trudu.

- W to wierzę - wtrąciła Phoebe. - A jaki ma stosunek do bratanka? Lubi go?

- Pewnie jest do niego przywiązany ze względu na pamięć brata, choć podobno chłopiec przypomina przede wszystkim matkę, lecz widzisz, moje dziecko, młodzi mężczyźni zazwyczaj nie przepadają za małymi dziećmi. Nie wątpię wszakże, że wywiąże się ze swych obowiązków wobec Edmunda.

- Moja macocha też wywiązywała się z obowiązków wobec mnie... Chyba rozumiem, co w tej sytuacji musi odczuwać lady Rayne.

- Bzdury! Powiem ci wprost, w czym rzecz, bo i tak prędzej czy później dojdzie to do twoich uszu. Teraz są skłócenia z tego powodu, że ta głupiutka ślicznotka chce się znów wydać za męża. Sylvester jednak nie pozwoli jej zabrać chłopca z Chance i ona doskonale o tym wie.

Oczy Phoebe zabłysły gniewem.

- Jak księżę może postępować w tak nieludzki sposób? Czy, jego zdaniem, ona powinna zostać wdową do końca życia? Ach, rozumiem. Powinno jej wystarczyć, że miała zaszczyt wyjść za kogoś z rodu Rayne, prawda? Arogancja tego człowieka przekracza wszelkie granice!

- Nim zaczniesz się tak unosić - wtrąciła sucho lady Ingham - to pozwól sobie powiedzieć, że jeśli to arogancja każe Sylwestrowi nie wyrazić zgody na wychowywanie swego bratanka i dziedzica przez sir Nugenta Fotherby'ego, to Edmund zaiste ma ogromne szczęście, mając tak aroganckiego stryja.

Słuszne oburzenie Phoebe ulotniło się bez śladu.

- Nugent Fotherby? - powtórzyła. - Babcia nie mówi tego poważnie! Ten niedorzeczny fircyk, który nawet nie może obrócić głowy, gdyż nie pozwala mu na to absurdalnie wysoki kołnierzyk i

który pozwolił się papie oskubać z trzystu gwinei, przepłacając za naszą kasztankę, wyjątkowo ładną, to prawda, ale nadto drobnokościstą, co każdy głupi widział!

- Nie znam się na koniach, nie podoba mi się wszakże, że twój ojciec wmówił komuś wybrakowanego konia. To doprawdy podłe!

- Ależ nie, babciu. Akurat w tym nie ma nic zdrożnego, zapewniam. Ktoś, kto nie zna się na kaniach, a udaje wielki autorytet w tej dziedzinie,

sam się prosi, by go wyprowadzić w pole. Na nic lepszego nie zasłużył.

- Ach, tak - mruknęła lady Ingham. Zapadła cisza. Po paru minutach odezwała się Phoebe.

- W tych okolicznościach rzeczywiście trudno winić księcia Salforda, że nie życzy sobie, by jego bratanek dorastał pod bokiem takiego człowieka.

- Nikt też go za to nie wini, z wyjątkiem Ianthe. Nawet lord Elvaston wydaje się tego samego zdania co Sylvester, aczkolwiek zgodzi się na małżeństwo córki, choć nowy zięć jest mu mocno nie w smak.

- Papa by się nie zgodził - wyjawiała Phoebe. -Ba, powiedział mi raz, że gdybym wbiła sobie do głowy jakiegoś barana, który nie tylko jest strojnisiem i mydłkiem, nieodróżniającym konia czystej krwi od byle chabety, ale i pozwala wszystkim darmozjadom i pieczeniarkom w mieście, żeby czepiali się go jak rzepy psiego ogona, to on nie chciałby, mieć więcej ze mną nic wspólnego.

- Jeśli to ojciec uczy cię takiego języka, to zaiste, im prędzej nie będzie miał z tobą nic wspólnego, tym lepiej.

Zawstydzona Phoebe poprosiła o wybaczenie, po czym do końca drogi nie ośmieliła się już odezwać. Nie przyganą babki jednak wprowadziła ją w nastrój przygnębienia, lecz to, czego dowiedziała się o synku lady Rayne.

Gdy usłyszała całą historię, w pierwszej chwili ogarnęła ją konsternacja, która następnie przerodziła się w głębokie przekonanie, że los i księżę Salford połączyli swe siły, by wspólnie doprowadzić ją do ruiny. Los nigdy jej nie sprzyjał, a w swych niecznych poczynaniach chętnie posługiwał się przypadkiem. Sylvester także nie był bez winy, choć trudno było za nią uznać posiadanie na „poły osieroczonego bratanka. Skoro jednak nie chciał skończyć jako zły bohater powieści, to nie powinien był mieć takich diabolicznych brwi, to znaczy - poprawiła się szybko w myślach źle potraktowana przez fatum i pierwowzór postaci autorka - nie powinien tak niemilo odnosić się do niej na balu u lady Sefton.

Ledwo się wtedy do niej odzywał, ograniczając się do kilku grzecznościowych formułek, i patrzył na nią z tak chłodną obojętnością, jakby ją ledwo zaważał. Gdyby okazał uprzejmość, nie uznałaby jego wyglądu za diaboliczny. Kiedy się uśmiechał, wyglądał wręcz ujmująco. Naraz z lekkim zaskoczeniem uświadomiła sobie, że odkąd zjawił się w gospodzie „Pod Niebieskim

Odyńcem”, jego aparycja nie wydawała jej się odpychająca nawet wtedy, gdy dochodziło między nimi do nieporozumień.

To przypomniało jej również, jak wiele mu zawdzięcza. Humor popsuł jej się do reszty, a jedyną pociechę stanowiło to, że księżę nigdy nie dowie się spod czyjego pióra wyszedł „Zaginiony spadkobierca”. Niestety, mimo to Phoebe miała bolesną świadomość, że okazała się podłą zdrajczynią.

Wkrótce fatum znów dało o sobie znać. Gdyby nie przypadkowe spotkanie, które nastąpiło dwa dni później, nic prawdopodobnie by nie wynikło z wyrażonego przez Ianthe życzenia, by poznać Phoebe bliżej. Los jednak chciał inaczej. Babcia wysłała wnuczkę pod opieką Muker na Bond Street, 77 załatwiła dla niej pewną drobną sprawę w jed-nym z eleganckich sklepów. Wyszedłszy z niego, Phoebe natknęła się na lady Rayne, która jako najczulsza matka troskliwie pomagała synkowi wsiąść do zgrabnego powoziku. Na widok panny Marlow Ianthe wydała radosny okrzyk i nie zwleka-jąc wyciągnęła do niej dłoń.

- Co za miło spotkanie! Czy jest pani bardzo zajęta? Może pojechałaby pani teraz do mnie? Mama wybrała się właśnie do Wimbledonu złożyć wizytę

jednej z moich sióstr, będziemy więc same, to dobra okazja do swobodnej rozmowy.

Nawet nie czekała na odpowiedź, tylko skinęła na Muker i oznajmiła, że panna Marlow zostanie później odwiedzona do domu. Phoebe nie pozostało nic innego, jak wsiąść do powozu. Lady Rayne kazała synkowi przywitać się grzecznie.

Edmund ściągnął czapeczkę z głowy, a lekki powiew wiatru rozwiął złociste loki, przez co jego podobieństwo do matki stało się jeszcze bardziej uderzające. Miał delikatną jasną cerę, wielkie niebieskie oczy i jedwabiste włosy, na szczęście przed zbyt dziewczęcym wyglądem chroniła go krzepka budowa ciała i mocno zarysowana broda, świadcząca o skłonności do uporu. Obrzucił obcą panią uważnym spojrzeniem, po czym zdecydował się uczynić zaskakujące wyznanie.

- Mam rękawiczki.

- Rzeczywiście. I to bardzo ładne - przyznała Phoebe.

- W domu nie musiałbym ich nosić - zdradził panicz Rayne, patrząc z pretensją na matkę.

- Edmundzie!

Phoebe dyplomatycznie zmieniła temat.

- Podoba ci się w mieście?

- Oczywiście - odparła za synka Ianthe. - Dziadek nawet obiecał, że zabierze go któregoś dnia na przejażdżkę konno po parku, prawda, kochanie?

- Jak będę grzeczny -mruknął ponuro. -Ale nie dam sobie znowu wyrwać zęba!

- Obiecałam ci przecież, że tym razem nie pójdziemy do pana Tiltona.

- Poprzednim razem też tak mówiłaś - przyponmiał bezlitośnie. - A stryjek Vester powiedział co innego. No i musiałem iść. Nie lubię, jak mi wrywają ząb. Nawet jak mogę go potem trzymać w pudełku i nikt go nie wyrzuca.

- Na pewno byłeś bardzo dzielny - wtrąciła Phoebe.

- Aha. Stryjek Vester powiedział, że jak nie będę, to pożałuję. A jak stryjek Vester robi, żebym pożałował, to mnie boli.

- Widzi pani? - odezwała się stłumionym głosem Ianthe, rzucając znajomej wymowne spojrzenie.

- Keighley też powiedział, że jestem dzielny. Jak spadłem z kucyka. Ani nie pisnąłem! Jestem chłopak z ikłą, o!

- Edmundzie! Co to za wyrażenie? - zbesztła go ostrym tonem matka. - Ile razy mam ci mówić, żebyś nie powtarzał tych wszystkich obrzydliwych rzeczy, których uczą cię w stajni? Natychmiast przepros pannę Marlow. Co ona musi teraz o tobie myśleć?

- Nie ma takiej konieczności, naprawdę - za-opoanowała żywo Phoebe, dostrzegając zaciętą minę panicy.

- Keighley to chwyt - oznajmił z wojowniczym błyskiem w oku. - I mój wyszczególny przyjaciel.

Nim matka zdążyła zareagować zarówno na treść jak i na formę, Phoebe pospieszyła ratować sytuację.

- Wcale się temu nie dziwię. Trochę go znam i zgadzam się, że to wyjątkowy człowiek. Czy to on nauczył cię jeździć? Opowiedz mi o swoim kucyku, proszę. -

Edmunda nie trzeba było zachęcać dwa razy. Zaczął wyliczać wszystkie zalety ulubieńca, a gdy powóz zatrzymał się przed domem Elvastonów, on i panna Marlow byli już w jak najlepszej komitywie. Chłopiec nie chciał rozstawać się z Phoebe, lecz matka odesłała go do pokoju dzieciennego.

- Jeśli raz pozwolę mu zostać, to już zawsze będzie się tego domagał, a mama by sobie tego nie życzyła. Edmund może schodzić do salonu na pół godziny przed pójściem spać.

Phoebe z zaskoczenia zapomniała trzymać język za zębami.

- Czy pani nie wspominała, że lady Elvaston uwielbia wnuka? - wyrwało jej się.

- Bo tak jest. Nie rozpieszca go wszakże zanadto, gdyż to mogłoby dziecku zaszkodzić - odparła natychmiast Ianthe. - A teraz zapraszam panią na górę do mojego pokoju, gdzie będzie pani mogła zostawić kapelusz i pelisę. Nie zamierzam pani szybko wypuścić, ostrzegam.

Rzeczywiście, minęło kilka godzin, nim zaprzężono konie, by odwieźć gościa na Green Street. W tym czasie Phoebe zdążyła dowiedzieć się najdrobniejszych szczegółów o zamążpójściu

znajomej, o jej owdowieniu i perspektywach na kolejny związek. Zanim wstały od stołu, przy którym podano im lekki lunch, usłyszała też relację o pamiętnych słowach samego Sylwestra, który od początku nie chciał się obarczać synkiem brata, jak również rozliczne historie świadczące o jego złym traktowaniu Edmunda oraz podburzaniu go przeciw matce. Doprawdy, hrabia Ugolino był tylko niewiele gorszy od tego bezdusznego potwora, opisywanego przez nieszczęsną i zboląłą matkę dziecka. Phoebe próbowała dociec, czy przynajmniej był przywiązany do brata. Chyba był, lecz oczywiście za swój pełen rezerwy sposób, oceniła Ianthe. Wdowa po „najdroższym Harrym” nie zamierzała Sylwestrowi nigdy wybaczyć jego pozbawionego uczuć zachowania, gdy Harry oddał ostatnie tchnie-

- Trzymał go w ramionach i wydawał się jak z kamienia. Ani jednej łzy, ani słowa pociechy dla mnie, nic! Może pani sobie wyobrazić, droga panno Marlow, jak byłam rozstrojona, och, prawie traciłam zmysły! A on złożył mego najukochańszego męża z powrotem na poduszkach i oznajmił, że Harry nie żyje. To było takie brutalne, że lekarze obawiali się o mnie, gdyż dostałam od tego ataku nerwowego, który trwał całe trzy dni. Sylvester oczywiście wcale

o to nie dbał. Chyba nawet o tym nie wiedział, gdyż wyszedł z sypialni Harry'ego, nie poświęcając mi choćby jednego spojrzenia. Przez kilka tygodni w ogóle go nie widziałam.

Phoebe czuła się bardzo zakłopotana tymi zwierzeniami.

- Niektórzy ludzie, jak sądzę, nie potrafią ujawniać przed innymi swych najgłębszych uczuć — za-zważyła ostrożnie. — Pani wybaczy, ale nie należy przez to mniemać, że są ich zupełnie pozbawieni.

- Och, tego nie twierdzę. Taki nieludzki chłód budzi jednak mą odrazę - zadeklarowała (bez potrzeby, gdyż było to oczywiste) Ianthe. - Nie znam nikogo mniej wrażliwego od Sylwestra. Jedyna osoba, którą darzy względami, to jego matka. Jest jej bardzo oddany, przyznaje. Nawet za bardzo.

- Pani chyba lubi księżnę, prawda? - podsunęła Phoebe, starając się nadać myślom Ianthe nieco przyjemniejszy kierunek. - Czy ona dobrze się do pani odnosi?

- Tak, lecz nawet ona nie rozumie do końca, w jak nieszczęsnym położeniu się znajduję. Nie śmiem marzyć, by wstawiła się za mną u Sylwestra, zabraniając mu wydzierać mi dziecię z ramion, gdyż ona swego syna bezgranicznie uwielbia. Och, współczuję jego żonie. Będzie musiała we wszystkim zadowolić jego matkę.

- Może on się nie ożeni - wtrąciła pocieszającym tonem Phoebe.

- Proszę mi wierzyć, na pewno to zrobi, chociażby po to, by pozbawić biednego Edmunda prawa do dziedziczenia majątku. Mama mówi, że on szuka żony i lada moment się oświadczy.

- To możliwe... Do wzięcia ślubu potrzeba jednak zgody dwóch osób, proszę nie zapominać.

- Chce mi pani powiedzieć, że mógłby spotkać się z odmową?

- Dlaczego nie?

- Sylvester? Przy tym wszystkim, co ma do zaoferowania? Niepodobna! Och, gdyby raz dostał odprawę, nie stałaby mu się krzywda. Wtedy jednak zapewne zrobiłby wszystko, by ową pannę w sobie rozkochać, a potem innej by się oświadczył.

- Zupełnie nie wiem, jak ktoś mógłby się w nim zakochać - zawyrokowała Phoebe z błyskiem w oku.

- Ja również nie, lecz byłaby pani zdumiona, dowiadując się, jak wiele panien wprost usychało z tęsknoty za nim.

- Gdyby było ich rzeczywiście wiele, zaiste byłabym bardzo zdumiona, aczkolwiek śmiem przypuszczać, że przedmiotem ich westchnień była raczej jego pozycja niż on sam.

- To też, lecz nie tylko. On potrafi rozkochać w sobie nawet taką pannę, która początkowo nie żywi do niego nic prócz niechęci. Sylvester znakomicie o tym wie. Raz nawet założył się z Harrym, że zdobędzie serce panny Wharfe, i wygrał!

Phoebe nie wierzyła własnym uszom.

- Założył się? Ależ to nikczemne! jak dżentelmen może zrobić coś równie ohydnego?

- Przecież pani wie, jacy oni są - skwitowała Ianthe, najzupełniej błędnie kierując tę uwagę do niewłaściwej osoby. - A sytuacja wyglądała na-sepująco. Panna Wharfe zasłynęła owego sezonu ze swej nieprzystępności. Była i urodziwa, i dziedziczyła majątek, więc konkurentów do swej ręki miała parę tuzinów. Odmówiła wszystkim, co do jednego. Zaczęto ją nazywać „nieprzystępną twierdzą”. Harry napomknął w żartach, że nawet Sylvester nie dałby rady uczynić wyłomu w jej murach, a on od razu zapytał, czy brat przyjmie zakład. Potem wszyscy mężczyźni w tych swoich londyńskich klubach bardzo wysoko obstawiali własne zakłady, czy Sylwestrowi się powiedzie, czy nie, gdy tylko stało się jasne, że przypuścił szturm do twierdzy. Och, ci mężczyźni są okropni!

Z tym stwierdzeniem Phoebe zgadzała się w zupełności. Opuściła Albemarle Street, mając wiele do przemyślenia. Wrodzona bystrość kazała jej włożyć między bajki zapewnienia o okrutnym traktowaniu przez księcia małego bratanka. Panicz Rayne nie wyglądał na dziecko, któremu dzieje się krzywda. W dodatku jego matka nie była wcale tak oddaną rodzicielką, za jaką pragnęła uchodzić, a jej opowieści zdradzały, jak dalece nie zna się na wychowaniu. Sylvester zapewne nie żywił niechęci do chłopca, raczej obojętność, uznała Phoebe. Oczywiście zamierzał zapewnić mu jak najlepszą opiekę i wywiązać się w pełni z obowiązków, duma nie pozwoliłaby mu postąpić inaczej. Phoebe miała nieprzyjemne skojarzenia, gdyż macocha wiecznie powtarzała, jak to wykonuje swój obowiązek wobec niej. Co więcej, wykonywała go sprawiedliwie. Sprawiedliwie aż do bólu...

Ostatnia opowieść Ianthe poruszyła Phoebe najmocniej. W niej nie znalazła przesady, gdyż potwierdzała ona jej własne podejrzenia, że wyjątkowa uprzejmość Sylvestra wobec niej jest podyktowana wyłącznie chęcią, by Phoebe pożałowała, że tak pochopnie go odtrąciła. Podczas wizyty na Green Street również starał się jej przypodobać, ten czający się w oczach uśmiech, gdy kierował na nią wzrok, był właśnie na to obliczony. Tak, musiała przyznać, że on rzeczywiście wiedział, jak oczarować nieświadomą niebezpieczeństwa damę. Musiała rozstrzygnąć, czy ukrócić te jego podchody od razu, czy też zachęcić go do podwojenia starań, by potem dać mu zasłużoną nauzkę.

To pytanie wciąż pozostawało bez odpowiedzi,

gdy spotkała księcia następnego dnia. Wybrała się na przejażdżkę konną po parku w towarzystwie kuzynek i Dudleya Inghama. W dyskretnej odległości podążali za nimi dwaj służący. Phoebe nudziła się setnie. Mary i Amabel były to dziewczęta dobre, mało urodziwe i zupełnie pozbawione polotu.

Dudley, drugi syn lorda Inghama, zapowiadał, się na zacnego i solidnego członka przyszłego rządu. Na domiar złego Phoebe otrzymała do swej dyspozycji rozpaczliwie apatycznego konia trzeciej, najmłodszej z kuzynek, którego nawet nie nauczono żadnych rodzajów chodu.

Sylvester również wybrał się na przejażdżkę, dosiadając zgrabnego gniadosza. Towarzyszyli mu lord Yarrow i pan Ashford. Ledwo księżę zerknął z rozbawieniem na napotkane grono osób, trafnie ocenił sytuację, po czym wykazał się zarówno obojętnością na ewentualne życzenia przyjaciół, jak zdumiewającą zręcznością. Nikt (z wyjątkiem jego samego) nie miał pojęcia, w jaki sposób oba towarzysztwa połączyły się w jedno, przy czym nieco zaskoczeni panowie jechali przodem, starając się zabawiać rozmową mało bystre panny Ingham, Sylvester zaś został nieco z tyłu z Phoebe.

- Moja biedna Jaskółko - odezwał się żartobliwym tonem. - Jeszcze nigdy nie widziałem równie rozpaczliwego widoku. Czy to koń pociągowy?

- Gorzej. Ulubiony wierzchowiec kuzynki Anny. Wielce stosowny dla damy, bardzo bezpieczny.

- Proszę mi wybaczyć, nie domyśliłem się. Pewnie dlatego, że nie miałem możliwości obserwować, jak subtelnie zmienia chód.

- Nie zmienia - oznajmiła wyniośle. - Wystarcza mu to eleganckie powłóczenie nogami, w czym wydatnie pomaga mu fakt, że jest nieco sztywny w kolanach.

- Ale za to jaką ma budowę.

Phoebe nie zdołała dłużej utrzymać udawanej powagi i wybuchnęła serdecznym śmiechem, na co panna Mary Ingham odwróciła się ku niej ze zdumieniem, dając znać spojrzeniem, że to nie przystoi.

- Och, czy widział pan kiedykolwiek równie dychawiczną szkapę?

- Nie. Nie miałem też przyjemności widzieć równie znakomitej amazonki. To jednak, wyznam, szokujące zestawienie. Czy pozwoli pani, bym to ja dostarczył jej stosownego wierzchowca?

Tak ją zaskoczył tą propozycją, że nie znajdowała odpowiedzi, patrzyła tylko na niego szeroko otwartymi oczami.

- Trzymam w Chance kilka koni pod siodło do dyspozycji szwagierki, gdyż kiedyś dużo jeździła - wyjaśnił z uśmiechem. - Nic prostszego, niż posłać po dwa z nich.

- Oferuje mi pan konie lady Rayne? Jak pan może?! - wykrzyknęła z oburzeniem. - Nie śmiałybym nawet o tym pomyśleć.

- To nie jej konie, tylko moje.

- Skoro trzyma je pan specjalnie dla niej, to nie może nimi tak swobodnie dysponować. Zresztą i tak nigdy bym się nie zgodziła, by używał mi pan koni do jazdy wierzchem. I wie pan o tym.

- Ma pani słuszność - przyznał. - Jednak rani mi serce, że została pani skazana na taką chabetę. Naprawdę trudno mi to znieść.

- Dziękuję... Pan jest bardzo dobry.

- Jaki? Jaskółko, błagam, niech pani nie bierze sobie do serca nauk lady Ingham i nie wypowiada grzecznościowych frazesów. Nie jestem dobry, przeciwnie, muszę być nikiem, czarnym charakterem, skoro przeze mnie musiała pani salwować się ucieczką z domu. - Urwał, gdyż w tym momencie Phoebe spojrzała na niego takim wzrokiem, że śmiech zamarł mu na ustach. Po chwili milczenia spytał cicho: - Co się stało?

Ma pani dziwny wyraz twarzy. Cóż ja takiego powiedziałem? Spłonila się...

- Nie, nic takiego. Nie wiem, czemu miałabym dziwnie wyglądać.

- Raz już widziałem u pani tak zbolaty wzrok, wtedy był skierowany do pani macochy.

- Cóż za niedorzeczność! - zawołała z udawanym rozbawieniem. - Obawiam się, że ma pan zbyt bujną wyobraźnię, mości książę.

- Oby tak było.

- Nie ma co do tego wątpliwości. Ja jedynie... Och. byłam wstrząśnięta, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, może mnie pan podejrzewać o żywienie o panu tak krzywdzącej opinii. Oczywiście pan tylko żartował.

- Owszem, lecz nie żartowałem z intencją zranienia pani. To już mówię poważnie.

Znów obróciła ku niemu głowę, tym razem po to, otwarcie wy badać spojrzeniem jego twarz.

- Widzę. Aczkolwiek, jak mniemam, byłby pan do tego zdolny.

- Nie zrobiłem tego, proszę mi wierzyć.

- A ja nie uważam pana za nikczemnika, i też proszę mi wierzyć.

- Och, zadanie, jakie pani mi stawia, jest znacznie trudniejsze - zaprotestował i ponownie przypuścił wesoły atak: - Gdy tylko sobie przypomnę pierwszy dzień w tym przerażającym zajeździe, ogarniają mnie poważne wątpliwości.

Roześmiała się, lecz nie podjęła rzuconej rękawicy. Książę nie kontynuował tematu i przez kilka minut jechali w milczeniu.

- Och, byłabym zapomniała. Nie powiedziałam panu, że miałam przyjemność poznać wczoraj pańskiego bratanka. Musi być pan z niego bardzo dumny. To przeurocze dziecko.

- I bardzo rozpuszczone. Zna pani moją szwagierkę?

- Zostałam jej przedstawiona zaledwie parę dni temu. Była tak miła, że zaprosiła mnie wczoraj, bym spędziła z nią popołudnie.

- Ach, w takim razie rozumiem to pani dziwne spojrzenie. Ianthe niechybnie odmalowała mnie w najczarniejszych barwach. Wystąpiłem jako bezduszny brat czy jako okrutny stryj?

Nie musiała odpowiadać, gdyż właśnie pomachała do księcia spacerująca wzdłuż alei dama, odwracając jego uwagę. Rozpoznał swą ulubioną kuzynkę, panią Georgianę Newbury i zapragnął, by Phoebe podjechała z nim do Georgie.

- Panno Marlow, jeśli jeszcze nie spotkała pani mojej kuzynki, to z przyjemnością poznam, panie z sobą. Pani Newbury jest najbardziej uroczą z mych krewnych, z pewnością polubicie się panie bardzo. Georgie, cóż ja widzę? Jak to się stało, że spacerujesz zupełnie sama? Gdzież twój dzielny i wierny mąż? Gdzież twoi adoratorzy?

Pochylił się ku niej, a kuzynka ze śmiechem wyciągnęła do niego dłoń.

- Prawda, że to okropne? Mój bohater jest na służbie, a wielbiciele zawiedli. Jedni jeszcze tkwią na wsi, inni pojechali do uzdrowisk zażywać kąpieli błotnych, upadłam więc tak nisko, że musiałam zadowolić się towarzystwem drugiej kobiety. Nie, nie rozglądaj się, nie ma jej tutaj, niedawno się rozstałyśmy.

Sylvester, nim puścił jej rękę, uściskał ją znacząco.

- Zaiste, bardzo nisko upadłaś—przyznał żartobliwym tonem. - Czy mogę ci przedstawić pannę Marlow, jeśli jeszcze jej nie znasz?

- Więc to pani jest wnuczką lady Ingham -rzekła z uśmiechem pani Newbury. - Mogłam się domyślić, wszak przed chwilą wymieniałam ukłony z pani kuzynostwem. I dosiada pani tego... tego ślimaka Anny. To doprawdy straszne. Proszę mi jednak wierzyć, że nawet potraktowana tak nie-sprawiedliwie, zawstydzona pani nas wszystkich swą wspaniałą jeździecką postawą.

- Chciałem użyczyć pannie Marlow jednego z mych wierzchowców, lecz nie dała się przekonać. Mam wszakże lepszy pomysł. Drugi z twoich koni pod siodło, droga kuzynko, nadawałby się dla niej znakomicie.

Pani Newbury posiadała tylko jednego konia do jazdy wierzchem, lecz odkąd Sylvester ukradkiem uściskał jej dłoń, zachowywała dużą czujność, odezwała się więc serdecznie, przerywając protesty Phoebe:

- Proszę nie odmawiać, panno Marlow. Nawet pani nie wie, jak byłabym pani wdzięczna, gdybyśmy mogły czasem udać się razem na przejażdżkę. Nie cierpię chodzić pieszo, lecz samotna przejażdżka jedynie z podążającym z tyłu służącym to coś jeszcze gorszego. Marzę o tym, by móc trochę pogalopować, lecz oczywiście tutaj, w Hyde Parku, nie wolno tego robić. Sylwestrze, gdyby udało mi się namówić pannę Marlow na wspólną eskapadę do parku w Richmond w pierwszy prawdziwie wiosenny dzień, czy zechciałbyś nam towarzyszyć?

- Ależ z największą rozkoszą.

- Niechże pani się zgodzi - poprosiła pani Newbury, zwracając się do Phoebe.

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, zapewniam, lecz doprawdy nie śmiem pani wykorzystywać.

- Wykorzystywać? W ogóle nie ma o tym mowy! Sylvester wie doskonale, jak bardzo ucieszy mnie towarzystwo. Przecież gdyby było mi to nie na rękę, mogłabym powiedzieć, że ów koń okulał bądź został sprzedany, nieprawdaż? Pozwolę sobie przyjść z poranną wizytą do lady Ingham i postaram się uzyskać jej zgodę na nasze szaleństwa. Cofnęła się, kończąc rozmowę. Gdy ruszali, rzuciła pytające spojrzenie na kuzyna, który uśmiechnął się lekko w odpowiedzi, widać pokierowała

sprawą po jego myśli. Pani Newbury nie potrafiła wszakże odgadnąć, co nim powodowało: czy tylko chęć okazania się szarmanckim, czy jakieś poważniejsze zamiary względem panny Marlow. To drugie było mało prawdopodobne, ale przecież nie mniej niż pomysł, że Sylvester wybrał ją sobie jako obiekt kolejnego flirtu. Może więc po prostu starał się być uprzejmy wobec wnuczki swojej matki chrzestnej? Och, nie, nie on! Potrafił być uprzedzająco grzeczny, ale tylko wtedy, gdy miał ku temu powód. Pani Newbury była wielce zaintrygowana tą zagadką i oczywiście gotowa służyć kuzynowi każdą pomocą, jakiej by zażądał. Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby, pomyślała z nagłym rozweseleniem. Zwłaszcza gdy koń jest darem od Sylwestra.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Spotkanie w parku przesądziło sprawę - Phoebe postanowiła nie odtrącać księcia od razu. Właściwie i tak niemal jej to uniemożliwił, lecz to uświadomiła sobie dopiero znacznie później. Ponieważ nie istniała groźba, że Sylvester złamie jej serce, mogła do woli cieszyć się jego towarzystwem, które okazało się nadspodziewanie przyjemne. Szkoda byłoby utracić takiego znajomego. Jeśli próbował ją omotać jak niegdyś ową nieznaną jej pannę Wharfe, nie było lepszego sposobu na pomieszczenie mu szyków niż przyjmowanie jego awansów ze wstrzemięźliwą życzliwością. To był jeden powód przemawiający za dalszym tolerowaniem Sylwestra, wkrótce też znalazł się drugi. Ponieważ najlepsze towarzystwo wreszcie zjechało po zimie do Londynu, do domu przy Green Street zaczęły napływać liczne zaproszenia na bale, rauty i asamble. Phoebe, która początkowo chodziła na przyjęcia z duszą na ramieniu, szybko odkryła, jak nieoceniona jest przyjaźń księcia Salforda. Cóż za różnica między tym sezonem a poprzednim! Wtedy nie miała w mieście żadnych znajomych, paraliżowało ją onieśmienie i nie udało jej się zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Teraz, chociaż nadal znała niewiele osób, stała się ośrodkiem zainteresowania jako najnowszy obiekt umizgów Sylwestra. Ci sami ludzie, którzy poprzednio wzgardzili nią jako pozbawioną urody, obycia i gustu prowincjuszka, zaczęli utrzymywać że twarz panny Marlow jest pełna zachwycającej ekspresji, jej bezpośrednie wypowiedzi — dowcipu, a prostota - świeżości. Powszechnie zaczęto określać ją jako niezwykłą, ba, nawet niezwykłą. Lady Ingham mówiła to od samego początku, lecz nikt o tym nie pamiętał. Zdecydowało zainteresowanie Sylwestra, jeśli bowiem po raz pierwszy wyróżnił pannę niemogącą uchodzić za piękność, to rzeczywiście musiało być w niej coś niezwykłego. Wiele osób zresztą nie pojmowało, coż on takiego w niej dostrzegł, i wróżyło jej tylko krótkotrwały sukces, gdyż nie mogła się równać z cieszącymi się największym wzięciem pannami. Na szczęście Phoebe nie zamierzała z nikim konkurować, wystarczyło jej w zupełności, że poznała kilka miłych osób i już nie uskarża się na brak partnerów do tańca. Żadna dama, którą Sylvester zaszczylił prośbą o taniec aż dwukrotnie w ciągu tego samego wieczoru, nie musiała obawiać się braku powodzenia.

Jak długo okazywał jej względy w nieprzesadny, choć zauważalny sposób, nie było potrzeby zniechęcać go do siebie. Nawet jeśli powodowała nim przewrotność, nie dało się zaprzeczyć, że był przeuroczym towarzyszem, w dodatku takim, przy którym nie musiała uważać na to, co mówi. Do tego miał wspaniałe poczucie humoru, często więc, gdy padła jakaś mało bystra uwaga lub ktoś nieświadomie zachował się w komiczny sposób, Phoebe odruchowo zerkała w stronę Sylwestra, wiedząc doskonale, że on też to zauważył i podziela jej rozbawienie. To dziwne, lecz nawet najnudniejsze przyjęcie nabierało rumieńców, gdy uczestniczyła w nim jedna osoba, z którą można było bodaj przez ułamek sekundy wymienić porozumiewawcze spojrzenie i w tajemnicy przed innymi wspólnie docenić komizm sytuacji, umykający pozostałym. Równie zdumiewające było to,

jak nieciekawe wydawały się wszelkie przyjęcia, gdzie owej osoby zabrakło. Panna Marlow więc, jakkolwiek doskonale zdawała sobie sprawę z arogancji księcia, jego egoizmu i nieznośnej próżności, nie zamierzała - oczywiście tylko na razie - odmawiać sobie jego towarzystwa. Nie bez znaczenia było też, że dzięki niemu mogła dosiadać zachwycającej klaczy o jedwabistym pysku, wyćwiczonej we wszelkich rodzajach chodu oraz tak uroczo swawolnej i pełnej życia, jak tylko dobry jeździec mógł sobie wymarzyć. Phoebe aż wykrzyknęła z zachwytu, gdy po raz pierwszy ujrzała Iskierkę. Nie pojmowała, jak pani Newbury może użyczać komuś tak cudownego stworzenia, zamiast dosiadać go sama. Georgiana nie umiała na to odpowiedzieć, w każdym razie zamierzała jeździć na starym dobrym Jupiterze. To wyjaśnienie Phoebe przyjęła ze zrozumieniem, gdyż sama miała

ukochanego wierzchowca nie pierwszej młodości, którego darzyła najgłębszym sentymentem.

Wkrótce jednak poznała prawdę. Któregoś dnia major (prezentujący się bardzo pięknie w mundurze ze szkarłatną kurtką) miał okazję ujrzeć żonę i jej nową przyjaciółkę, gdy panie ruszały na niemal na codzienną wspólną przejażdżkę. Wyszedł właśnie przed drzwi i stanął u szczytu wąskich schodów prowadzących do domu, gdy ujrzał Iskierkę.

- To ta klacz, którą sprezentował ci Sylvester, Georgie? - wyrwało mu się. - Na Jowisza!

Phoebe znajdowała się wtedy wystarczająco daleko - gdyby chciała - mogła udać, że nie usłyszała ani tego okrzyku, ani późniejszych, znacz-nie cichszych i pełnych zakłopotania słów majora;

- Och, kochanie, na śmierć zapomniałem. Wybacz.

Przez moment wahała się, co zrobić, po czym postanowiła udawać, że niczego nie słyszała, Powo-dował nią wzgląd na znajomą, której nie zamierzała stawiać w kłopotliwej sytuacji. Ponadto żał byłoby zrezygnować z dalszych wspólnych przejażdżek.

Sylvester miał rację, przewidując, że panna Marlow i jego kuzynka przypadną sobie do gustu. Polubiły się natychmiast, a ponieważ lady Ingham nie zgłaszała żadnych sprzeciwów, Phoebe stała się częstym gościem w domu państwa Newbury. Babka nazywała to zupełnie zwariowanym domostwem, lecz wnuczka, która dotąd uczęszczała w Londynie jedynie na ceremonialne i sztywne rauty i bale, nie posiadała się z zachwytu. Nic nie mogło sprawić jej większej przyjemności niż wieczór u Newburys, gdzie panował wesoły chaos. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć u Georgie, powtarzał lord Yarrow, po czym z upodobaniem opowiadał, jak to raz przybył ledwie pięć minut po tym, gdy kryształowy żyrandol w salonie spadł i roztrzaskał się o podłogę, a gospodyni stała wśród szczątków niczym Dydona wśród ruin Kartaginy, tylko nieco bardziej opanowana. Sylvester przyświadczył, że było to wyjątkowo udane przyjęcie, aczkolwiek on osobiście preferował inne, kiedy to nowy kamerdyner wpuścił go do środka, zaanonsował jego

przyjęcie, po czym padł jak długi, nie z wrażenia bynajmniej, lecz dlatego, że nie dał rady dłużej utrzymać się na nogach, tak był straszliwie pijany. Phoebe nigdy nie przypuszczała, że ci wszyscy dystyngowani ludzie potrafią zachowywać się wesoło i bezceremonialnie. Nigdy też Sylvester nie wydawał jej się równie miły jak wtedy, gdy spotykała go u Georgiany. Oczywiście to źle pojęta duma kazała mu ukazywać swą najlepszą stronę wyłącznie najbliższym przyjaciołom, oceniła natychmiast Phoebe, lecz nie mogła też nie zauważyć, że ta jego najlepsza strona była doprawdy czarująca. Podczas zaplanowanej wycieczki do Richmond też nie dało mu się nic zarzucić, co zresztą było niezmiernie zaskakujące, gdyż początkowe grono powiększyło się aż dwukrotnie, przy czym jednej z owych dodatkowych osób zdecydowanie wołałby nie widzieć. Książę ucieszył się szczerze na wieść o dołączeniu do nich majora Newbury, a gdy Ianthe, dowiedziawszy się o całej sprawie, wyraziła gorące pragnienie, by towarzyszyć im razem ze swym bratem Charlesem, zniósł to spokojnie. Kiedy jednak nadszedł z dawna wyczekiwany dzień i okazało się, że zamiast brata lady Rayne pojedzie z nimi sir Nugent Fotherby, nawet major Newbury okazał niezadowolenie. Zdradził żonie na ucho donośnym szeptem, że ma wielką ochotę dać drapak, ponieważ miła wycieczka już na samym początku została zepsuta.

Rzeczywiście początkowo katastrofa wydawała się nieunikniona. Ianthe zdecydowała niemal w ostatniej chwili spotkać się z resztą towarzystwa dopiero przy bramie od strony Roehampton, wysławszy tam uprzednio wierzchowce pod opieką stajennych. Sylvester nic nie wiedział o tej zmianie, i gdy powtórzono mu niespodziewaną nowinę, zirytował się.

- Georgie, czemu jej w takim razie nie powiedziałaś, że jeśli nie chce jechać z nami, to równie dobrze może zostać w domu? Przecież ona każe

im na siebie czekać przy tej bramie godzinę, a jak ją znam, to nawet dłużej.

- Niechybnie tak właśnie się stanie, lecz to nie powód, by dąsać się na mnie - odparła spokojnie lady Newbury. - Otrzymałam jej bilet nie więcej niż dwadzieścia minut temu i jedyne, co mogłam uczynić tej sytuacji, to odesłać jej służącego z przypomnieniem, że ty masz bilety wstępu, więc ona nie może się spóźnić.

- Dużo to pomoże - mruknął.

Kiedy jednak dotarli do umówionej bramy, Sylvester z przyjemnym zaskoczeniem ujrzał czekającą

na nich szwagierkę i rozpoznał ją. Niestety,

towarzyszący jej elegant nie był bynajmniej Charlesem Elvastonem. Na widok Fotherby'ego książę zeszywniał, a jego twarz w mgnieniu oka przybrała wyraz wyniosłej wzgardy. Phoebe musiała mocno ugryźć się w język, by nie powiedzieć mu, co sądzi o tak obrzydliwym unoszeniu się pychą. Mogła jedynie współczuć sir Nugentowi.

Współczuła najzupełniej niepotrzebnie. Fotherby wiedział, że Salford nie darzy go sympatią, lecz myśl, by mógł on (lub ktokolwiek inny) patrzeć na niego z góry, nigdy nie przyszła mu do głowy. Gdyby ktoś próbował mu to uświadomić, nie uwierzyłby, a gdyby jakimś cudem uwierzył, uznałby Sylvestra za nieuleczalnie poszkodowanego na umyśle i byłby głęboko tym faktem wstrząśnięty. Kiedy szwagier Ianthe uniósł do oka monokl, by obrzucić modnisią wymownym spojrzeniem, ten nie spieszył się ani trochę. Było dlań oczywiste, że księżę bacznie studiuje misterne fałdy jego fularu. Wcale go to nie dziwiło, przeciwnie, niemile zaskoczony byłby dopiero wtedy, gdyby to, co zajęło mu tyle czasu, nie zwróciło niczyjej uwagi. To był bardzo rzadko spotykany sposób wiązania - orientalny! Nie każdy go znał. Gdyby Sylvester pragnął go poznać, sir Nugent wyjaśniłby, nie zwlekając, że trzeba lat nauki, by osiąść tę sztukę, a i wtedy należy czasem poświęcić kilka godzin poważnych wysiłków w celu osiągnięcia pożądanego rezultatu. Tak, inni mogli mu jedynie zazdrościć, nikomu nie śniłoby się nawet, by nim pogardzać, gdyż pochodził z najznakomitszej rodziny, miał ponad sześćdziesiąt tysięcy funtów rocznego dochodu.

A najserdeczniejsi przyjaciele (których lord Marlow tak niegrzecznie nazwał darmozjadami i pieczeniarkami czepiającymi się go jak rzepy psiego ogona) upewniali go nieustannie, że nadaje ton w sprawach mody, a w sportach jest niedościgniony, prawdziwy as, mistrz nad mistrze, któremu nikt nie dorówna.

Nieoczekiwanie to właśnie jego doskonała odporność na wszelką obrazę uratowała wycieczkę przed katastrofą. Przy pierwszej sposobności sir Nugent podjechał swą świetnie prezentującą się kasztanką, której wad nie dostrzegał, do Sylvestra właśnie, by móc u jego boku rozwijać opowieść tym, jak to, według jego własnych słów, kazał się lady Rayne stawić na czas.

- Należą się panu gratulacje - wycedził zimno Sylvester.

Sir Nugent lekkim skinieniem głowy okazał, że przyjmuje zasłużone podziękowanie.

- Słusznie pan mówi, mości księżę. Oczywiście że nie było to łatwe. Musiałem się diabło nawysilać. Jeśli mogę się czymś chlubić, to właśnie tym, że umiem przemówić do rozumu. Droga lady Rayne, rzekłem... Och, co się tam będziemy ceregielić, mości księżę, zwróciłem się do niej zupełnie ina-

czej Moja miła, tak właśnie rzekłem. Moja miła, nie ugłaskasz księcia, gdy będzie musiał sterczeć jak ten kolek w bramie. Masz na to moje słowo... I wzięła mnie za nie, mości księżę.

Sylvester po takiej perorze nie mógł dalej mieć ponurnej miny.

- Doprawdy?

- Jak najbardziej - zapewnił z całą powagą sir Nugent. - Serce moje, mówię do niej... Nie ma pan obiekcji?

- Najmniejszych.

- Nie?! - wykrzyknął sir Nugent, obracając się ku niemu na tyle, na ile pozawalał absurdalnie wysoki kołnierzyk i misterne fałdy zawiązanego na orientalny sposób fularu.

- A czemuż miałbym je żywić?

- Utrafił pan w sedno sprawy, mości księżę. Właśnie, czemuż? Sam nie wiem, chyba poczynam w piętę gonić. Najdroższa, mówię tedy (jeśli naprawdę nie ma pan nic przeciw temu), jako żywo masz małe rybki w głowie... Kielbie, znaczy.

- I cóż ona na to? - spytał Sylvester, żalując, że Phoebe pocwałowała do przodu i nie słyszy tej rozmowy.

- Zaprzeczyła. Jej zdaniem, zamierza nam pan przeszkadzać. Chodziło jej o to, jak rozumiem, że będzie pan rzucać nam szkopyły pod nogi na naszej drodze cio małżeństwa.

- Och!

- Dokładnie to samo powiedziałem. Och! - powiedziałem.

- A nie „serce moje”?

- Nie, wtedy nie, gdyż byłem zaskoczony. Tak zaskoczony, że zapomniałem języka w gębie, jak nie przymierzając...

- Kurek na dachu - podsunął usłużnie Sylvester. Sir Nugent zastanowił się.

- Nie - oznajmił wreszcie po namyśle. - Gdyby rozpytał się pan po całej socjecie, czy Nugent Fotherby wyglądał kiedyś w podobnej sytuacji jak kurek na dachu, odpowiedź brzmiałaby „nie”.

- Cóż, w każdym razie nie zamierzam niczego panu rzucać pod nogi, jeśli chce pan poślubić wdowę po moim bracie. Życzę panu dużo szczęścia. Na pewno jednak nic mnie nie przekona, bym powierzył bratanka państwa pieczy.

- Ba! I znowu samo sedno! To jest największe sedno ze wszystkich, mości księżę. Ona nie chce zostawić panu chłopca.

- Ktoś tak potrafiący przemówić do rozumu jak pan zapewne zdoła ją przekonać.

- Też tak myślałem, ale... Dziwne istoty, te kobiety. Zawzięte na te dzieci. Dlatego wolę przekonać pana.

- Nie, poniechajmy tego tematu - zaproponował Sylvester. - Dyskutowanie ze mną nic panu nie da, zmarnuje pan tylko swój cenny czas. Nie mam ani . możliwości, ani życzenia przeszkadzać panu w poślubieniu szwagierki, lecz żaden z argumentów, jakie zechce mi pan przedstawić, nie zdoła nakłonić mnie do tego, bym zrzekł się opieki nad Edmundem. Proszę raczej spróbować owinąć sobie wokół małego palca Ianthe.

To rzekłszy, spiął konia do galopu, by dogonić resztę towarzystwa.

Phoebe nie zdołała pocwałować sobie do woli, gdyż szybko została zawołana z powrotem, lady Rayne pragnęła bowiem, by jechały razem. W rzeczywistości pałała chęcią opowiadania o sobie, i Georgiana nie okazała się wdzięczną słuchaczką. Ianthe wyznała pannie Marlow, że specjalnie za-

brała sir Nugenta zamiast swego brata, gdyż, jej zdaniem, Sylvester uprzedził się do jej przysłego męża zupełnie niesłusznie. Ledwo go wszak zna! Gdyby mógł poznać go lepiej, to czyż wtedy nie byłby bardziej skłonny ponownie rozważyć swej okrutnej decyzji o wydarciu z ramion kochającej matki jedyne dziecko?

Phoebe nie wiedziała, co na to rzec, gdyż szczerą odpowiedź byłaby dla jej rozmówcy nie do przyjęcia. Na szczęście pytanie Ianthe było czysto retoryczne, gdyż bardziej zainteresowały ją własne wyznania niż opinie „drogiej przyjaciółki”.

- Sylvester jest na pewno miło zaskoczony konwersacją z nim - ciągnęła. - Och, nie twierdę przez to, że sir Nugent jest szczególnie bystry, przeciwnie, ma pewne braki, a czasem mówi zupełnie od rzeczy, ale skoro mnie, jego przyszłej żonie, to nie przeszkadza, nie widzę powodu, dla którego miałoby przeszkadzać memu szwagrowi. Fotherby ma pogodne usposobienie, wielu przyjaciół, znakomitą pozycję i jest zawsze najmodniejszy ze wszystkich. A co do plotek o jego popolitowaniu się z osobami niższego stanu i traceniu fortuny w grach hazardowych, po ślubie to się skończy, zapewniam panią. Jeśli zaś chodzi o robienie zakładów na wyścigach konnych, to przy jego majątku te drobne przegrane nie mają żadnego znaczenia. Sama pani widzi, że można bez obaw powierzyć mu Edmunda. Nie wyrządzi dziecku krzywdy i nawet Sylvester musi przyznać, że nikt lepiej nie wpoi chłopcu dobrego smaku. Ach, wystarczy na niego spojrzeć. W porównaniu z nim inni mężczyźni wyglądają prawie na zaniedbanych.

Phoebe popatrzyła, na Ianthe, a w jej oczach widniało bezbrzeżne zdumienie. Przy ubranym z powściągliwą elegancją księciu oraz majorze, który nosił doskonale skrojony mundur, sir Nugent wyglądał jak fircyk. Był wysoki, smukły i naprawdę przystojny, lecz za pomocą rozlicznych wysiłków uczynił z siebie pocieszny figurę. Ramiona miał zbyt poszerzone, a talię zbyt ściśniętą. Każdy szczegół jego garderoby, poczynając od fantazyjnego kapelusza, nasadzonego zawadiacko na szczególnie dziwną fryzurę (najnowsza moda, jak zdradził, najbardziej szykowna w tym sezonie), po lśniące buty został wybrany z myślą wywołania jak największego wrażenia. Przesadnie dopasowaną kurtkę do jazdy ozdobiły wielkie błyszczące guziki, a jej kłapy były tak wycięte, by częściowo ukazywać kamizelkę w krzykliwych kolorach. Pomiedzy fałdami groteskowo wielkiego fularu tkwiła szpilka z brylantem. Na palcach miał tyle pierścieni i tyle breloczków dyndało u jego talii, że wyglądał niczym jubiler obnoszący się dla reklamy ze swymi wyrobami.

Znów została jej zaoszczędzona konieczność udzielania odpowiedzi, choć tym razem z innego powodu niż poprzednio. Właśnie dogonił je i nieco wyprzedził Sylvester, a w ślad za nim zjawiał się sir Nugent, który za pomocą wymownych gestów

i grymasów dał narzeczonej do zrozumienia, że jego misja spaliła na panewce. Na widok tej pantomimy Phoebe o mały włos nie wybuchnęła śmiechem. Po chwili z niepokojem zerknęła na Sylwestra, obawiając się, że ów fircyk wprawił go w jak najgorszy humor. Księżę zwolnił i zrównał się z nimi, a na jego twarzy nie malowała się ani chłodna wzgarda, ani obojętność, obie tak serdecznie niecierpiane przez Phoebe. Wyglądał raczej na rozbawionego, a gdy po chwili zwrócił się do przygnębionego sir Nugenta, zrobił to tak wesołym tonem, że tamten w lot się rozpogodził i zagadnął o opinię księcia na temat swej wybornej kasztanki. Padła czarująca odpowiedź, a Phoebe, usłyszawszy ją, przygryzła dolną wargę i patrzyła przed siebie, starając się zachować wyraz powagi. Ucieszony pochwałą właściciel konia zaczął rozwodzić się nad jego licznymi zaletami, wreszcie zdradził, że nabył go za diablo dobrą cenę. Sylwestra dobiegło stłumione parsknięcie ze strony Phoebe, która dokładnie wiedziała, jak diablo dobra była to cena, kąciki ust mu zadrgały, lecz rzekł doskonale opanowanym głosem:

- Och, doprawdy?

Kasztanka była przeznaczona do polowań, a nikt takich koni nie używał do jazdy wierzchem tuż po zakończeniu sezonu łowieckiego. Dziwaczne postępowanie sir Nugenta mogłoby więc wydawać się nieludzkie, nie było takie jednak. Otóż nie miał on jednego czy dwóch ulubionych terenów łowieckich, jak większość osób, tylko kapryśnie jeździł po całym kraju, dlatego też trzymał liczne konie w bardzo wielu miejscach, w rezultacie rzadko z nich korzystając. Nawet gdy wyruszał na gonitwę, szybko zawracał, gdyż nie chciał pochłapać błotem swych pięknych białych getrów (jako jedyny nosił na polowania białe, gdyż były bezsprzecznie najwytworniejsze). Doprawdy nie istniało najmniejsze

niebezpieczeństwo, że któregoś ze swych wierzchowców przeforsuje. Efektownej kasztance nabytej od lorda Marlowa wyraźnie brakowało dosta-tecznie dużo ruchu, rzucała się więc teraz nie-spokojnie, przez co właścicielowi niewygodnie się jechało, lecz dla prezencji konia był gotów znieść każdą niedogodność.

Sylvester odczekał trochę, by nie wyglądało to na niegrzeczność w stosunku do Ianthe i sir Nugenta, po czym zaproponował pannie Marlow nieco szybszą przejażdżkę właśnie w celu uspokojenia zbyt narowiących się koni. Przystała chętnie, aczkolwiek zduszonym głosem. Iskierka przeszła w kłus, potem w galop, wreszcie w cwał. Obok mknął karosz księcia. Gdy dotarli do końca rozległej łąki, wstrzymali konie. Phoebe pochyliła się, by poklepać szyję Iskierki, Sylvester zaś oznajmił z udawaną przyganą:

- Panno Marlow, raz już musiałem zwrócić pani uwagę, że nie uchodzi wyśmiewać się z prostaczków. Teraz z kolei śmiała się pani z najmodniejszej

osoby, jaką kiedykolwiek wydała Anglia. Pani jest niepoprawna.

- Wcale się nie śmiałam - zaoponowała, chichocząc bez opamiętania. - Zauważył pan przecież, że nie...

- Tak, zauważyłem i byłem przerażony, że lada moment nastąpi wybuch jakże niestosownej wesołości Och, gdyby widziała pani swój wyraz twarzy.

- Przyznaję, mało brakowało. Nie pojmuję, jakim cudem zdołał mu pan odpowiadać z taką powagą.

- Ach, zdążyłem już do niego przywyknąć. Zgaduję wszakże, że pierwszy kontakt z jego wspaniałością musi być prawdziwym wstrząsem.

- To prawda, lecz nie mogę się tym zasłaniać. W ubiegłym sezonie widywałam go wielokrotnie. W rzeczy samej...

W ostatniej chwili zdążyła ugryźć się w język i nie powiedzieć: „opisałam go w mej powieści”.

- W rzeczy samej? - powtórzył, gdy przez dłuższą chwilę daremnie czekał na koniec zdania.

- W rzeczy samej ja też tak dalece się do niego przyzwyczaiłam, że właściwie przestałam go zauważać. Z jednym wyjątkiem. Raz zjawił się na balu w aksamitnym zielonym surducie i kamizelce haftowanej w róże, czego zaiste żadną miarą nie dało się przeoczyć.

Nie odpowiedział, zerknęła więc na niego z ukosa i spostrzegła zmarszczkę między jego brwiami, których końce wydawały się w tym momencie jeszcze bardziej uniesione ku skroniom.

- Ale nie to pani chciała powiedzieć, prawda? Mając nadzieję, że wyraz twarzy nie zdradza jej zaniepokojenia, rzuciła lekkim tonem:

- Nie, lecz nie wiem, czy powinnam wyjawiać prawdę. Nie powtórzy pan nikomu? Otóż choć jego wygląd jest przekomiczny, nie dorównuje jego głupocie. Tak się puszy swą kasztanką, a ja pamiętam, jak zapłacił za nią papie trzysta gwinei, nie widząc jej braków... I on ma się za znawcę! On!

Sylvester ubawiony opowiadką o tym, jak lord Marlow wyprowadził w pole próżnego eleganta, roześmiał się, Phoebe miała więc nadzieję, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

- A jednak cały czas mnie ciekawi, co pani rzeczywiście miała na myśli, Jaskółko - powiedział, skończywszy się śmiać.

Na szczęście właśnie w tym momencie nadjechali galopem państwo Newbury. Georgiana powiadomiła ich o właśnie odkrytej przeuroczej polance, we czwórkę poczekali na Ianthe i sir Nugenta, a potem właściwie nie było już więcej okazji do rozmowy.

Phoebe nieco straciła humor. Czuła się niezręcznie i gnębiły ją wyrzuty sumienia, których bynajmniej nie umniejszał fakt, że Sylvester wyraźnie ją wyróżniał, co niezmiernie jej pochwlebiało. Nie dałoby się nazwać tego zwykłą galanterią, choć książę szarmancko stawiał życzenia Phoebe na pierwszym miejscu. Raczej sprawdzał, co ona myśli, niż flir-tował. Patrzył na nią z aprobatą, w dodatku pozwalał jej traktować się z taką swobodą, że odnosiła wrażenie, jakby znali się od lat. Wszystko to spowodowało, że nim państwo Newbury podjechali do nich, miała ochotę wyznać mu całą prawdę. Pokusa była silna i powróciła jeszcze kilkakrotnie, lecz obawa przed konsekwencjami okazała się silniejsza.. Serdeczność spojrzenia Sylwestra zdawała się zapraszać do pełnej otwartości i zapewniać, że można mu bezpiecznie zdradzić wszystko, Phoebe jednak widywała już u niego zupełnie inny wyraz twarzy i wiedziała, jak szybko książę potrafi wznieść między sobą a rozmówcą jakby ścianę z lodu, zachowując przy tym wszelkie pozory uprzejmości.

Kiedy się rozstawali tego dnia, wciąż dręczyła ją rozterka - przyznać mu się i uprzedzić go, czego mógł się spodziewać w najbliższej przyszłości, czy

też raczej milczeć? Gdy wchodziła do domu, przyszło jej na myśl, by zasięgnąć porady babci. Tylko ona mogła jej pomóc w podjęciu odpowiedniej decyzji. Phoebe postanowiła wyznać wszystko, o ile znajdzie babcię w odpowiednim usposobieniu.

Lady Ingham miała dobry nastrój, lecz była też nieco zajęta. Właśnie odwiedziła ją jedna z najlepszych przyjaciółek, która dopiero co wróciła z długiego pobytu w Paryżu. Pani Irthing opowiadała, jak wspaniale spędziła tam czas, jak cudowne przyjęcia wydawali w ambasadzie sir Charles Stuart i lady Elizabeth (dokładnie takie, jak za dawnych dobrych czasów, nim ten obmierzył Bonaparte nie wprowadził tych wulgarnych zwyczajów!), jak wytworne znalazła tam towarzystwo (nie to, co w Londynie, gdzie na każdym kroku napotyka się nuworyszy i nieciekawe osoby obnoszące się ze swymi koneksjami wśród arystokracji), w jak luksusowym hotelu mieszkała i jak znakomitej jakości rzeczy nabyła w najlepszych sklepach i magazynach, że obudziła w lady Ingham pragnienie, by samej również się tam udać na kilka miesięcy. Pora była po temu odpowiednia, gdyż obecny ambasador i jego małżonka przyjaźnili się z nią od dawna, w dodatku pani Irthing przywiozła zaproszenia od licznych francuskich znajomych, którzy nie widzieli lady Ingham od lat. Chętnie zobaczyłaby się z nimi znowu, czuła też, że pobyt na kontynencie dobrze by jej zrobił. Nie żałowała, oczywiście, przyjęcia pod swój dach wnuczki i pozostania z tego powodu w Londynie, lecz przyszło jej na myśl, by oddać Phoebe pod opiekę syna i Rosiny, a samej wyjechać.

Po chwili namysłu porzuciła ten zamysł. Synowa, nie grzeszyła bystrością, zatem nie można było powierzyć jej delikatnej misji wyswatania panny Marlow z księciem Salfordem. W odczuciu lady Ingham sprawa rozwijała się obiecująco, wymagała jednak, by nią zręcznie pokierować.

Rosina z pewnością zachowywałaby się niezdarnie, w dodatku książkę zniechęciłby się szybko, gdyby nieustannie spotykał pannę w towarzystwie jej miłych, lecz rozpaczliwie nudnych kuzynek. Nie, lady Ingham musiała odłożyć wyjazd do Paryża na później, nie mogła wyjechać, zostawiając Phoebe. Nie było też sensu zabierać wnuczki ze sobą, gdyż, jak wiadomo, co z oczu, to i z serca, a za wiele panien miało chrapkę na zostanie księżną Sałford, by można było ryzykować. Wizyta pani Irthing wywołała wiele wspomnień, którym lady Ingham oddawała się aż do kolacji. Dopiero po niej, gdy przeszły obie z Phoebe do bawialni, zagadnęła wnuczkę, jak jej minął dzień. - Niezmiernie miło... Ach, jest coś, co muszę babci powiedzieć!

Nieszczęsna autorka nieszczęsnej powieści nie zdziwiłaby się wcale, gdyby jej wyznanie spotkało się z najostrzejszą krytyką, jednak lady Ingham, upewniwszy się, że książka zostanie wydana anoni-mowo, wyglądała raczej na rozbawioną. Posunęła się nawet do stwierdzenia, że zawsze miała wnucz-kę za nie w ciemną bitą osóbkę.

Nie wydawało jej się zbyt prawdopodobne, by ktokolwiek z towarzystwa miał przeczytać powieść jej wnuczki, ani też, by portrety nakreślone ręką

kogoś tak młodego i niedoświadczonego, mogły być rozpoznawalne. Kiedy Phoebe wyznała jej straszliwą prawdę o hrabim Ugolinie, uśmieła się serdecznie, lecz gdy następnie padło pytanie, czy aby nie należałoby księcia uprzedzić, co go czeka, odparła szybko i zdecydowanie:

- Pod żadnym pozorem! Czyś ty postradała zmysły?
- Dobrze, babciu, nic mu nie powiem, ale czuję się z tym bardzo podle.
- Nie ma potrzeby, przecież on się o niczym nie dowie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W odróżnieniu od lorda Byrona Phoebe nie mogłaby o sobie powiedzieć, że pewnego dnia obudziła się sławna. Wynikało to wszakże głównie z tego, że pan Newsham przezornie nie zdradził się przed nikim ani słowem co do tożsamości autorki. Nie wyszedłby dobrze na tym, gdyby rozeszło się, że „Zaginionego spadkobiercę” napisała nieopierzona gąska. Lepiej dla książki, by wszyscy głowili się nad zagadką. Biedny pan Otley bezskutecznie protestował. Uważał, że tylko kompletny głupiec wysupłałby z kieszeni całe osiemnaście szylingów za pierwszy romans nieznanej autorki. W końcu zrezygnował, nastawił się na najgorsze i złym okiem popatrywał na wysiłki współnika, zmierzające do tego, by zainteresować powieścią wyższe sfery.

Pan Newsham doskonale wiedział, co robi. Pełne zręcznych sformułowań listy do wpływowych osób, umiejętne posługiwanie się pochlebstwem oraz

rzucane co jakiś czas intrygujące aluzje przyniosły pożądane rezultaty. Lista prywatnych subskrybentów, zamawiających wszystkie trzy tomy i płacących zadatek, by otrzymać romans, nim trafi on do szerokiej sprzedaży, zdumiała pana Otleya niepomierne.

- To dopiero początek - ocenił pan Newsham. - Na razie te, które wydadzą każdy pieniądz, byleby tylko nie pozostać w tyle, gdy chodzi o nowinki. Mówię „te”, bo to same damy. Wiedziałem, że powieść z kluczem nie umknie ich uwagi. Aha, odkryłem, kim jest ten osobnik z dziwnymi brwiami. To sam książę Salford, mój chłopcze! Jeśli owa okoliczność nie nakłoni całej śmietanki towarzyskiej do nabywania naszej książki, to doprawdy nie wiem, czym można tych ludzi zadowolić.

Ponieważ wydawcy korespondowali jedynie z panną Bartery, Phoebe nie wiedziała, że „Zaginiony spadkobierca” znalazł pierwszych nabywców, gdy ujrzała trzy zgrabne woluminy w salonie lady Sefton.

- Droga lady Ingham, czy widziała już pani tę zuchwałą powieść? Och, zapewne niepotrzebnie pytam. Niepodobna wyobrazić sobie czegoś bardziej skandalicznego! - Przejęta gospodyni trzepotała przy twarzy wachlarzem, jakby groziło jej omdlenie. — Cóż za niegodziwa osoba to napisała! To nie Caro Lamb... Tak nas wszystkich postawić pod pręgierzem! Wybaczam jej wszakże ze względu na portret biednej Emily Cowper, prawie popłakałam się ze śmiechu. Emily oczywiście nie zdaje sobie sprawy, sądzi, że to opis pani Burrell. Co jednak

pomyśli Ugolino, kiedy książka wpadnie w jego ręce? A wpadnie niechybnie, ponieważ wszyscy tylko o tym mówią.

Niektórzy, jak wyniosła hrabina Lieven, wzgardliwie zbyli sensację wzruszeniem ramion, inni szczerze się ubawili, jeszcze inni byli oburzeni, wszyscy jednak jak jeden mąż zadawali sobie pytanie, spod czyjego pióra wyszła owa zuchwała książka. Chyba jeszcze nigdy żaden autor nie obserwował sukcesu swego dzieła z równą konsternacją. Cała duma i satysfakcja, jakie Phoebe mogłaby odczuwać, zostały zniszczone przez jeden, jedyny drobiazg, który odpowiednio wcześniej dałoby się łatwo naprawić. Gdyby usunęła każdą wzmiankę charakterystycznych brwiach, wszystko zostałoby jej wybaczone, ponieważ nikogo innego nie sport-retowała tak jednostronnie, u każdego dostrzegła nie tylko cechy komiczne, lecz i godne pochwały. Tylko w przypadku Ugolina wykazała się całkowitą ślepotą na zalety pierwowzoru.

Lady Ingham, zaskoczona, że całe miasto (czy raczej wszyscy, którzy się w nim liczą) mówi o powieści pióra jej wnuczki, zażądała kopii od ociągającej się autorki. Phoebe otrzymała już egzemplarz autorski, który wydawcy przesłali na ręce panny Battery, z lękiem przekazała więc babci trzy elegancko oprawione tomy, a ta natychmiast zasiałła do lektury. Wnuczka obserwowała ją z najwyższym niepokojem, targana sprzecznymi emocjami. -Každy chichot lub wybuch

śmiechu czytającej napawał ją nadzieją, każde wezwanie opieki niebios wtrącało w desperację. Chwilami wymykała się z pokoju, nie mogąc dłużej wytrzymać tego napięcia, lecz nieodmiennie wracała.

- Sylvester rozpozna siebie od razu - zawyrokowała wreszcie lady Ingham, odkładając ostatni tom. - Dziecko, jak mogłaś być tak nierozsądna? Na szczęście cały ten romans to jedno wielkie głupstwo. Oby mój chrześniak potraktował to jako banialuki niegodne jego uwagi. Oczywiście nie może się nigdy dowiedzieć, kto to napisał. Kto zna prawdę oprócz twej guwernantki? O ile wiem, to osoba godna zaufania. Ale czy ktoś jeszcze jest w to wtajemniczony?

- Tak, babciu. Tom Orde.

Lady Ingham cmoknęła z dezaprobatą.

- Nie podoba mi się to. Skąd wiadomo, czy taki żółtodziób nie zacznie się chwalić znajomością z autorką, gdy dowie się o twej sławie? Musisz do niego natychmiast napisać i zażądać pełnej dyskrecji.

Wnuczka wystąpiła z gorącą obroną przyjaciela, nie to jednak przekonało jej babcię, lecz nieoczekiwane pojawienie się osoby, o której właśnie mówiły. Ledwo zaanonsowano panów Orde'ów, Phoebe zerwała się z miejsca i podbiegła uściskać ich obu. Pan Orde po ojcowsku wycalował ją w oba policzki.

- Masz mi może coś do powiedzenia? - spytał pogodnym tonem.

Thomas, poruszający się już w miarę sprawnie, choć wciąż przy pomocy łaski, przywitał się isticie po bratersku:

- Hejże, uważaj, co robisz, nie gnieć mi fularu. Na Jowisza! Niech mnie piorun, jeśli nie wyglądasz jak z obrazka. A to się Susan zdziwi, jak jej powiem.

Żaden z niego adorator, uznała z ulgą lady Ingham i, zapominając o młodzieńcu, zwróciła się do jego ojca, by przyjąć go jak najmilej ze względu na sympatię łączącą go z jej wnuczką.

Wydawało się, że arystokratka z Londynu nie znajdzie wspólnego języka ze zwykłym wiejskim dziedzicem, tymczasem niespodziewanie odkryła w nim wyjątkowo rozsądnego człowieka, który tak samo jak ona lubił mówić wprost, co myśli, w dodatku miał podobne zdanie na temat głupoty lorda Marlowa oraz pretensjonalności, świętoszkowatej obłudy i tępego okrucieństwa jego małżonki. Wkrótce pograżyli się w rozmowie, tak że Phoebe i Tom mogli bez przeszkód usiąść przy oknie i pomówić o własnych sprawach.

Znając swą przyjaciółkę, Thomas oczekiwał niezliczonych pytań dotyczących każdego mieszkańca Austerby i Manor House, lecz Phoebe jedynie grzecznie zagadnęła o zdrowie jego matki, a potem dokładnie wywiedziała się, jak przebiegło dalsze leczenie obu koni. Nie potrzebowała od niego więcej wieści, gdyż niezawodna Sibylla Battery pisywała do niej regularnie.

Susan też przysłała kilka listów, nawet papa zadał sobie trud i raz czy dwa skreślił do córki kilka słów, zupełnie już przekonany (tak dalece nie lubił wszelkich komplikacji), że pojechała do swej babki za jego pełną wiedzą i zgodą. Phoebe, mając zawsze szczegółowe informacje o tym, co się dzieje w domu, była bardziej zainteresowana, co sprowadza przyjaciela do miasta i jak długo w nim zostanie.

Pan Orde przyjechał do Londynu w interesach, a syn postanowił zabrać się razem z nim, gdyż z niesprawną nogą nie mógł ani polować, ani chodzić na ryby i nudził się setnie. Panowie zatrzymali się w hotelu „Reddish” i planowali tygodniowy pobyt. Ojciec obiecał Tomowi zabrać go w kilka interesujących miejsc. Nie, nie do muzeów. Chodziło o miejsca słynące z tego, że można w nich znakomicie zjeść i wypić. Nic, co by interesowało Phoebe. Aha, no i oczywiście zamierzał odwiedzić Salforda.

- Powiedział, że jak tylko będę w mieście, koniecznie mam do niego zajść. Nie mówiłby tego, gdyby tak nie myślał, prawda?

- Akurat go nie ma, udał się do Chance, do matki. Nie wiem, kiedy wraca, lecz zapewne jeszcze przed twym wyjazdem, gdyż z jego słów wynikało, że wybierał się tylko z krótką wizytą.

Tom wyglądał na zaskoczonego.

- Widujesz się z nim?

- Owszem, nawet często - odparła Phoebe, rumieniąc się nieco. - Tak się składa, że poznałam jego kuzynkę, bardzo się polubiłyśmy, często go u niej spotykam i... Och, Tom, wydarzyło się coś strasznego! Lękam się jego powrotu, nie wiem, jak spojrzę księciu w twarz. Gdy się z nim zobaczysz, nie możesz mnie zdradzić, pamiętaj.

- Zdradzić cię? O czym ty, u licha, mówisz?

- O mojej nieszczęsnej, trzykroć nieszczęsnej książce!

- O twojej... Cóż z nią więc?

- Odniosła sukces - odparła z rozpaczą Phoebe. — Naprawdę? Nigdy bym nie przypuszczał! - wykrzyknął Tom, po czym dodał nieopatrznie: - Aczkolwiek, gdy Sibby mi ją pokazała, pomyślałem, że nadzwyczaj ładnie się prezentuje w tej oprawie.

- Rzecz nie w oprawie - ofuknęła go szorstko. - Wszyscy mówią o występujących w książce postaciach i pragną odkryć, kto się poważył coś podobnego napisać. Teraz pojmujesz?

Tom zrozumiał i aż złożył usta do niesłyszalnego gwizdu. Po chwili namysłu spytał:

- Czy on już to czytał?

- Nie, to jest, nie sędzę. Wyjechał właśnie wtedy, gdy zaczęto sprzedawać pierwsze egzemplarze.

- Ciekawe, czy zgadnie? Oczywiście ja mu nic nie powiem, możesz się nie obawiać, lecz wcale się nie zdziwię, jeśli... Wiesz, co bym zrobił na twoim miejscu?- Kiedy Phoebe potrząsnęła głową i utkwiła pytający wzrok w jego twarzy, wyjaśnił: - Przyznałbym się,

- Brałam to pod uwagę, lecz kiedy tylko uświadomiłam sobie, co wyszło spod mojego pióra... - Wstrząsnął nią dreszcz.

- W rzeczy samej nie byłoby to łatwe - zgodził się Tom. - Jednak...

- Nie, chyba bym nie mogła. Gdyby miał się rozgniewać... Nie, na samą myśl ogarnia mnie słabość. W dodatku babcia zabroniła zdradzić się przed nim choćby słówkiem.

- Zapewne lady Ingham wie najlepiej - odparł Tom z powątpiewaniem. - A co zrobisz, gdy on ci zarzuci napisanie tej powieści? Zaprzeczysz?

- Nawet o tym nie mów! - jęknęła błagalnie.

- Powinnaś być na to przygotowana. Aczkolwiek on i tak ci nie uwierzy. Ty nie potrafisz powiedzieć najmniejszego łgarstwa, żeby natychmiast nie zdradzić się pełnym winy wyrazem twarzy.

- Skoro tak, to jeśli mnie spyta, będę musiała powiedzieć prawdę.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie - skwitował, kończąc temat, gdyż jego przyjaciółka już wyglądała tak, jakby miała zasłabnąć. - Uważaj, by ci się nic nie wymknęło. Jak cię znam, ani chybi wygadasz się przed kimś. Idę o zakład.

- Cóż ty pleciesz? Ja miałabym się wygadać? Nie wydawało jej się to prawdopodobne, choć rychło musiała przejść przez kilka bardzo ciężkich prób, gdy rozprawiano przy niej o jej własnej powieści, a ona musiała zachowywać milczenie. „Nie, wcale nie o to mi chodziło!” - wielokrotnie miała ochotę wykrzyknąć, zwłaszcza wtedy, kiedy dyskusja dotyczyła hrabiego Ugolina. Ludzie rozsądni uznawali opis Sylwestra za zwykłą impertynencję i nie traktowali tego poważnie, przyjaciele księcia chętnie zemściliby się za wyświadczony mu afront, lecz najgorsi byli ci, którzy utrzymywali, że nie ma dymu bez ognia. Tych ostatnich Phoebe nie rozumiała i uważała za skończonych głupców. Niestety, nie była jedyną powiernicą Ianthe, z upodobaniem odmalowującej Sylwestra w najczarniejszych barwach przed każdym, kto tylko chciał słuchać.

- Oczywiście zmieniono pewne szczegóły - perorowała ze swadą ta i owa dama. - Nie twierdę, że książę Salford dopuścił się takich nikczemności jak

Ugolino, bo w obecnych czasach to niemożliwe, lecz gdy sobie przypomnę, co mi kiedyś mówiła nieszczęsna lady Rayne...

- Czy to możliwe, by to jej syn był prawdziwym księciem Salford? - dopytywali łatwowierni. - Wszak Sylvester i Henry byli bliźniętami, prawda?

To ohydne oszczerstwo okazało się ponad siły Phoebe, lecz na szczęście w ostatniej chwili lady Ingham zdążyła przywołać ją do porządku srogim spojrzeniem i z ust jej wnuczki nie padło ani jedno pochopne słowo. Niestety, przy następnej okazji nie miał kto zainterweniować.

- Ktokolwiek napisał tę powieść, wie dużo o rodzie Rayne - orzekła z mocą Ianthe podczas wizyty Phoebe. - Wszyscy utrzymują, że to kobieta. Pani też tak myśli, panno Marlow?

- Owszem, to musi być kobieta, w dodatku bardzo niemądra. To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek czytałam.

- Och, nie pozwalam pani tak mówić. Oczywiście, Chance nie jest zamkiem i Sylvester nie mógłby więzić tam Edmunda, i to tak, by nikt o tym nie wiedział, w dodatku mój syn nie ma siostry, lecz to szczegóły pozbawione znaczenia. Przeczytałam „Zaginionego spadkobiercę” dwa razy i utwierdzam się w przekonaniu, że jest tam zawarte ostrzeżenie.

- Ostrzeżenie! - powtórzyła w osłupieniu Phoebe.

- Tak. Dla mnie. Memu synkowi zagraża niebezpieczeństwo. Przecież Matilda to ja.

Autorka dosłownie oniemiała, porażona tym naiwnym odczytaniem. Nigdy przedtem nie przyszło jej do głowy, by Ianthe mogła się identyfikować ze złotowłosą siostrą powieściowego Maximiliana, uwięzionego przez okrutnego stryja. Phoebe nie miała serca do wielkich bohaterów i wspaniałych heroin, gdyż takie papierowe postacie ją nudziły. Zgodnie z wymogami gatunku wymyśliła parę szlachetnych bohaterów, obdarzyła ich niepospolitą urodą oraz wszelkimi możliwymi zaletami, po czym rzuciła ich w wir przygód, z których oczywiście żaden człowiek z krwi i kości nigdy nie wyszedłby cało, o czym doskonale wiedziała.

- Co prawda, Florian to nie Fotherby - ciągnęła Ianthe, nieświadomie odpowiadając na niezadane pytanie Phoebe. - To musi być postać wymyślona. Biedny Nugent nie nadawałby się na bohatera, zresztą został opisany jako baron Macaronio, wszyscy to wiedzą.

Phoebe przeżyła kolejny szok, gdyż jej rozmówczyni wygłosiła powyższą kwestię z niezmaconym spokojem. Okazało się, że lady Rayne nie czuje się ani trochę dotknięta uczynieniem z jej narzeczonego publicznego pośmiewiska, gdyż ją samą nieznana autorka odmalowała w jak najpiękniejszych barwach, a to jej w zupełności wystarczało.

- Harry zaś i Sylvester byli bliźniętami - kontynuowała z namysłem Ianthe.

- W książce między braćmi jest kilka lat różnicy - zaprotestowała słabo Phoebe.

- Tak, lecz to wynika zapewne z tego, że autorka obawiała się powiedzieć pewne rzeczy już nazbyt wyraźnie. W każdym razie Ugolino jest uzurpatorem.

- Chyba nie chce pani sugerować, że jest nim książę Salford - odparła natychmiast Phoebe, starając się zapanować nad głosem.

- Nie, ale takie rzeczy się zdarzały... Zastanawiało mnie często, czemu on zachęca Edmunda do robienia tych wszystkich niebezpiecznych rzeczy, jak jeżdżenie na kucyku po parku albo wspinanie się na drzewa. Zdawało mi się, że byłby zadowolony, gdyby ten biedak spadł i skręcił sobie kark.

- Och, niech pani tak nie mówi. Ja wiem, że pani tylko żartuje, lecz proszę tego nie robić!

Na ślicznej twarzyczce Ianthe odmalował się wyraz uporu.

- Wcale nie żartuję. Nie twierdzę, że księżna podmieniła synów, bo po cóż miałyby to robić? Nie da się wszakże zaprzeczyć, że Sylvester nie cierpi bratanka. Nigdy nie chciał się nim obarczać, sam to powiedział. Potem starał się to zatuszować i udawał życzliwość, ale ja już znałam prawdę. Pozostaje pytanie, skąd ta nienawiść do mego dziecka?

- Lady Rayne, nie można folgować podobnym fantazjom! - wykrzyknęła ze zgrozą Phoebe. - Jak pani może przypuszczać, by jakaś niemądra książka miała związek z rzeczywistością? To tylko fikcja, zmyślenie!

- „Zaginiony spadkobierca” nie jest bardziej niemądry od wielu innych książek, które opowiada-ją o prawdziwych wydarzeniach. Nie może pani temu zaprzeczyć.

- Wiem... To jest, mam powód mniemać, że autorka nie była świadoma sytuacji w rodzinie Rayne.

- Niedorzeczność. Skąd pani mogłaby to wiedzieć?

Phoebe nerwowo zwilżyła usta, po czym odparła drżącym głosem:

- Tak się składa, że znam tę osobę. Oczywiście nie muszę mówić, by nie zadawała mi pani dalszych pytań na ten temat.

- Wie pani, kto to napisał?! - wykrzyknęła poruszona Ianthe. - Och, proszę mi zdradzić ten sekret. Przecież nie będzie pani wobec mnie tak okrutna, by mi nie powiedzieć. Nikomu tego nie powtórzę.

- Nie mogę tego uczynić. Nie powinnam była nawet o tym wspominać, lecz poczułam się zobligowana, kiedy usłyszałam, jak zdumiewające wnioski wyciągnęła pani z lektury. Moja znajoma widziała księcia tylko raz w życiu, gdy pisała tę powieść, i zupełnie nic o nim nie wiedziała. Uderzył ją jedynie wygląd jego brwi, przypomniała je sobie, kiedy kreśliła portret hrabiego Ugolina, obdarzyła go nimi więc. nie przypuszczając ani przez moment, by ktokolwiek mógł...

- Musiała znać szczegóły. Wiedziała, że Sylvester jest opiekunem Edmunda.

- Właśnie nie! To był... Powiedziała mi, że to był jak najbardziej niefortunny zbieg okoliczności.

- Nie mogę dać temu wiary.

- Kiedy to prawda! - zapewniała z żarem Phoebe. - Zaręczam pani!

Zapadki chwila ciszy. W oczach Ianthe z wolna pojawiło się zrozumienie.

- To pani jest ową autorką!

- Nie!

- Ależ jest nią pani! Ależ tak! Och, podstępne stworzenie!

-Myli się pani!

- Nie, mnie pani nie oszuka. Gdyby Sylvester się dowiedział, wpadłby w furię. Zwłaszcza po tym; jak ostatnio to właśnie panią raczył łaskawie uczynić obiektem swych szczególnych względów. Jakże bym chciała, by odkrył prawdę. -Widząc przerażone spojrzenie Phoebe, dodała: - Ja mu tego nie powiem, tego może być pani pewna.

- Mam nadzieję, że nie powie pani nikomu, gdyż to nieprawda, a w dodatku zupełna niedorzeczność. - Phoebe starała się wyglądać na ubawioną. -I proszę zachować dyskrecję co do mej znajomości z prawdziwą autorką, choć zapewne nawet nie muszę pani o to prosić. Zgaduje pani wszakże, jak trudne stałoby się moje położenie, gdyby mnie, zobowiązaną do dochowania sekretu, poczęto zadręczać pytaniami.

- Naturalnie. Och, jakież trzeba mieć talent, by napisać książkę. Ja bym na pewno nie potrafiła. Ależ pani musi być bystra. I naprawdę nie .znała pani żadnych szczegółów z naszego życia? To zadziwia-jące. I jakim sposobem zdołała pani wymyślić tak niezwykle przygody? Wie pani, zupełnie nie po-trafiłam odgadnąć, jak Matilda i Florian zdołają utratować biednego Maximiliana. Nie mogłam ode-rwać się od lektury, dopóki na samym końcu bohaterowie nie natrafili na plaży na łódź, a Florian zakrzyknął: „Uratowani! Matildo, jesteśmy uratowa-ni Hrabia Ugolino już nigdy nas nie dosięgnie!”.

O mał się nie rozplakałam, to było takie poruszające.

Paplała tak jeszcze przez kilka minut, a Phoebe nie mogła jej powstrzymać. Wszelkie próby zapewniania, że to nie ona jest autorką, wywoływały wybuchy perlistego śmiechu. Lady Rayne oczywiście nie zamierzała nikomu wyjawiać sekretu, lecz to przyrzeczenie było dla Phoebe słabą pociechą.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Phoebe bardzo szybko odczuła konsekwencje rozmowy z Ianthe. Najpierw pochwyciła jedno czy dwa ukradkowe spojrzenia, potem parokrotnie domyśliła się, że jest przedmiotem szeptanych na ucho wieści. Czuła się coraz bardziej niezręcznie. Nie minęło kilka dni, a dwie patronesy zarządzające zaproszeniami na wielkie bale w Almacku ledwo skinęły jej głową, onieśmielająca

zaś lady Ribbleton, jedyna siostra księżnej Salford, najzwyczajniej zignorowała Phoebe, która nie mogła dłużej ludzić się myśla, że coś jej się wydaje. Starła się zachowywać jakby nigdy nic, choć w rzeczywistości aż dygotała ze strachu. Tylko jedna osoba ośmieliła się spytać ją wprost, czy jest autorką „Zaginionego spadkobiercy”, lecz była to młoda panna, tego roku debiutująca na salonach, od razu zresztą zganiona spojrzeniem przez matkę. Phoebe oczywiście wykrzyknęła' z odpowiednią dozą zdumienia:

- Ja?!

Dzięki temu miała pewność, że przekonała przynajmniej jedną osobę. Drugą, która mogłaby otwarcie zadać jej to pytanie, była pani Newbury, jednak jakaś niedyspozycja zatrzymała ją na kilka dni w domu, prawdopodobnie więc Georgiana jeszcze nie słyszała najświeższych plotek.

Lady Ingham została o nich powiadomiona przez synową, która towarzyszyła siostrzenicy swego męża na balach i przyjęciach w charakterze przyzwoitki. Rosina z dużym zakłopotaniem powtórzyła teściowej ową pogłoskę, gdyż pomawianie Phoebe o napisanie skandalizującej książki wydawało jej się szokujące. Czasami nawet sądziła, że musiała źle zrozumieć uwagi, które przy niej czyniono. Nikt

o nic nie pytał, wszyscy jedynie robili aluzje. Usłyszawszy to, lady Ingham posłała po wnuczkę i zażądała wyjaśnień, a gdy dowiedziała się, co wydarzyło się podczas wizyty u Ianthe, wpadła w gniew. Nawet jeśli rozumiała powody, dla których Phoebe zachowała się tak nieostrożnie, nie zdradziła się z tym. Jej zdaniem, nikt, kto miał choć odrobinę rozsądku, nie dawał posłuchu temu, co wdowa po Harrym wygadywała o Sylvestrze. Nie należało na to zwracać uwagi, niech sobie gada!

I jak można być taką gąską, by polegać na zapewnieniach o dyskrecji Ianthe? Ostatecznie darowała wnuczce jedynie ze względu na konsekwentne wypieranie się wszystkiego.

- Dobrze zrobiłaś. Ona nie może powiedzieć, że się przyznałaś. Znasz autorkę, jedynie tyle powiedziałaś. Oczywiście tylko ci się zdaje, że ją znasz.

Z pewnością wiele innych osób również żywi podobne domysły. Tak właśnie musimy mówić. Wyraziłaś pewne domniemanie, a Ianthe, jak to ona, uroiła w swej głupiutkiej główce nie wiadomo jakie fantastyczności. Nawet jeśli ktoś nie da wiary temu wyjaśnieniu, to może przynajmniej pomyśli, że udawałaś znajomość z autorką, by wzbudzić zainteresowanie. Cóż, kochaneczko, pewnie ci to nie w smak, lecz teraz nie pora na kaprysy. I nie popadaj -w rozpacz. Sprawa nie jest przesądzona, jeśli będziesz postępowała, jak ci każe. - 2 irytacją postukała złożonym wachlarzem o kolano. - Powinnam była przewidzieć, że Rosina do niczego się nie nadaje. Gdybym to ja z tobą wszędzie chodziła, od razu ucięłabym te plotki. Ha, nie ma co deliberować, co się stało, to się nie odstanie. Kiedy jest ten bal u państwa Castlereagh? Jutro? Znakomicie! To będzie pierwszy wielki

bal w tym sezonie, nie mogło się lepiej złożyć. Zabiorę cię tam osobiście, moje dziecko, i zobaczymy, co uda mi się osiągnąć.

- Czy naprawdę muszę tam iść, babciu? - spytała z lękiem Phoebe. - Wolałabym nie.

- Wielkie nieba, chcesz potwierdzić podejrzenia? Włóżysz nową sukienkę, tę zieloną, haftowaną perełkami, i będziesz się zachowywać tak jak zawsze. Ja natomiast będę udawać niezmiernie ostrożną i przejętą, a zarazem ubawioną jak nigdy. Ta mała sztuczka powinna odnieść skutek. Jeśli nie odniesie, to powiem ci wprost, kochaneczko, że po takim skandalu nigdy więcej nie otrzymasz zaproszenia na publiczny bal w Almacku, a chyba wiesz, co to oznacza. Nawet moje wpływy ci wtedy nie pomogą. - Widząc nieszczęśliwą minę wnuczki, zlitowała się, pochyliła się w fotelu i poklepała Phoebe po dłoni. - Dobrze, tyle reprimendy wystarczy. Wielka szkoda, że Tom nie może tańczyć z tą nogą. Zabrałabym go na jutrzejszy bal, jego towarzystwo podniosłoby cię na duchu.

Lady Ingham niezmiernie polubiła młodego pana Orde'a, lecz nawet gdyby nie chromał, nie zdołałaby go przekonać do wzięcia udziału w wytwornym przyjęciu, na którym, według jego własnego określenia, musiałby prawić dusery wyelegan-towanym nieznanym. Takie wygibasy to nie dla niego, oznajmił stanowczo przyjaciółce, po raz pierwszy ciesząc się, że noga nadal jest niesprawna.

Owego pamiętnego wieczoru Tom udał się więc do teatru przy Drury Lane, głównie po to, by podziwiać właśnie w nim założone gazowe oświetlenie, Phoebe zaś wkrótce po dziesiątej wieczorem ruszyła pod opieką babci do wspaniałego domu państwa Castlereagh.

Lady Ingham spostrzegła od razu, jak bardzo jej wnuczce zagrażał bojkot towarzyski. Natychmiast zmroziła wzrokiem kilka dam, które ośmieliły się koso spojrzeć na Phoebe. Rychło pożałują swęj bezczelności. Można z powodu zdrowia pozostawać nieco na uboczu, lecz to nie oznacza bynajmniej, że utraciło się wszelkie wpływy. Poczula też dumę, gdyż jej wnuczka nie wyglądała na speszoną, głowę trzymała wysoko i wkrótce została poproszona do tańca.

Jej partnerem był młody człowiek, najwyraźniej pierwszy raz w życiu występujący we fraku i jedwabnych pantalonach, tak skrzepowany, że Phoebe czyniła wszystko, co w jej mocy, by go nieco ośmielić, a przy tym zapomniwała o własnym zdenerwowaniu. Uśmiechała się miło i prowadziła czarującą konwersację, najzupełniej bezwiednie zachowując się według przykazań babci. W połowie drugiej figury spostrzegła Sylwestra. Serce podskoczyło jej w piersi.

Stojąc przy drzwiach, rozmawiał z panią domu, otoczony wianuszkami znajomych. Roześmiany, właśnie ścisnął dłoń jednemu z przyjaciół, drugiemu rzucając przez ramię jakąś uwagę. Wydawał się w doskonałym humorze, co natchnęło Phoebe otuchą. Omiótł wzrokiem salę balową, lecz dość pobieżnie, więc ich spojrzenia się nie spotkały. Zadawała sobie pytanie, czy on

potem do niej podejdzie, i nie wiedziała, co byłoby gorsze - zostać zignorowaną czy też zmuszoną do stawienia mu czoła.

Następny miał być walc. Phoebe nie sądziła, by Sylvester już ją spostrzegł, tymczasem on podążył przez całą salę ku miejscu, gdzie siedziała wraz z babcią.

- Niech będzie mi wolno złożyć wyrazy uszanowania. Moja matka zasyła najgorętsze pozdrowienia. Zapewne miło ci będzie usłyszeć, pani, że zostawiłem ją w znakomitym zdrowiu. Panno Marlow, czy zechce pani wyświadczyć mi zaszczyt i poświęcić mi ten taniec?

Wstając, odważyła się zerknąć na niego i ponownie poczuła mocniejsze bicie serca, od czego ogarniała ją słabość. Poprowadził ją na parkiet, wtopili

się w sznur wirujących par. Phoebe miała nadzieję, że nie wyczuwał jej przyspieszonego pulsu. Zmusiła się do tego, by rozpocząć nieobowiązującą, uprzejmą konwersację.

- Nie wiedziałam, że wrócił pan do miasta, mości księżę.

- Nie? Wróciłem z Chance wczoraj, by móc wziąć udział w tym balu. Cieszę się, widząc tu panią, i podziwiam pani odwagę.

Phoebe postarała się zachować panowanie nad sobą.

- Och, nie jestem już tak nieśmiała jak niegdyś.

- Zaiste, nie da się posądzić pani o nieśmiałość. Proszę przyjąć moje komplementy i gratulacje z powodu odniesienia wielkiego sukcesu.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- A ja myślę, że pani wie. O napisaniu powieści, o której jest głośno w całym towarzystwie. Sztuka to nie lada! Bardzo jest pani utalentowana, panno Marlow, czyż jednak musiała wybrać pani dla mnie imię Ugolino? *Znajduje pani mój wygląd aż tak odpychającym?

- Pan się myli... I to bardzo! -zająknęła się lekko.

- Niechże pani nie kłamie! Zdradza panią wyraz twarzy. Sądziła pani, że nie odgadnę prawdy? Nie jestem głupcem i mam dobrą pamięć. A może nie spodziewała się pani, że przeczytam książkę? Może bym i nie przeczytał, lecz moja matka wyraziła takie życzenie. Chciała wiedzieć, cóż takiego uczyniłem, by zasłużyć na aż taką nienawiść? Kogo tak dotkliwie obraziłem? Nie potrafiłem odpowiedzieć na pierwsze z jej pytań, na drugie zaś, po przeczytaniu romansu, mogłem, i to z łatwością, nie uczyniłem tego wszakże.

- Jest mi tak przykro, tak przykro — wyszeptwała z rozpaczą.

- Proszę nie spuszczać głowy. Chce pani, by wszyscy odgadli, o czym rozmawiamy?

Uniosła głowę.

- Próbowałam zmienić szczegóły, lecz za późno, za późno... Nie powinnam była tego pisać, ale przecież nie przypuszczałam ani przez moment... Och, jak mam panu to wytłumaczyć? Co mogę powiedzieć?

- Mogłaby pani zapewne powiedzieć bardzo wiele, ale ja nie potrzebuję tego słuchać. Intryguje mnie tylko jedna, jedyna rzecz, gdyż za nic nie potrafię znaleźć na nią odpowiedzi. Cóż ja za przewinę popełniłem, panno Marlow, by zasłużyć na postawienie mnie pod pręgierzem?

- Ależ żadnej!

- Żadnej? Pamiętam pani zarzuty. Nie rozpoznałem pani, gdy spotkaliśmy się po raz wtóry. Czy to wystarczyło, by uczynić mnie w swej książce nikczemnikiem? Czy z powodu takiej błahostki wniknęła pani w moje sprawy rodzinne, by potem przedstawić je światu w najobrzydliwszy sposób?

- Nie! Gdybym tylko wiedziała... Jak pan może mnie podejrzewać o coś takiego? Nigdy nie słyszałam o istnieniu pańskiego bratanka, nad którym w dodatku sprawuje pan pieczę. Te sprawy były mi

najzupełniej nieznane, o wszystkim zrzucił przypadek! Wybrałam pana na Ugolina jedynie z powodu pańskich skośnych brwi. Nie kryję też, że wydawał mi się pan okrutnie wyniosły. Nie przypuszczałam jednak, że mój romans zostanie opublikowany.

- Czy aby nie popada pani w przesadę w tych swoich mistyfikacjach? To już zbyt nieprawdopodobne, bym mógł dać temu wiarę.

Spojrzała na niego. Książę był zły, niemniej miło się uśmiechał. Przypominało to koszmarny sen.

- Kiedy to szczerą prawdą. Gdy dowiedziałam się o Edmundzie, byłam przerażona.

— Nie na tyle jednak, by powstrzymać publikację-

- Nie mogłam nic zrobić. Wydawcy nie dozwolili mi wprowadzić żadnych zmian. Powieść wyszła już spod prasy, tomy zostały oprawione. Kiedy przyjechałam do Londynu, od razu następnego ranka udałam się do wydawnictwa. Daję słowo!

- Oczywiście będzie mnie pani przekonywać, jak to nigdy nie przyszło jej na myśl, że ja mógłbym zadziałać skuteczniej i zapobiec publikacji - podsunął uprzejmie.

- Nie, nie przyszło. A mógł pan? - zdumiała się.

- O, teraz poradziła pani sobie lepiej! - zawyrokował z uznaniem. - To niewinne spojrzenie jest doprawdy znakomite. Powinna pani regularnie ćwiczyć.

Splonęła rumieńcem.

- Proszę tak nie mówić. Nie tutaj. Nie teraz. Nie mogę z panem tak rozmawiać. Żle postąpiłam... Niewybaczalnie... Gorzko tego żałuję!

- Och, zapewne. Ile osób dziś panią zignorowało?

- Pan doskonale wie, że nie to jest przyczyną mego żalu! - zaproponowała gorąco. - Czy w pańskim mniemaniu jestem aż tak niewdzięczna, by wyrządzić panu afront po tym wszystkim, co uczynił pan dla mnie i dla Toma?

- To był drobiazg, proszę o tym zapomnieć. Ależ głupstwo mi się teraz wymknęło. Przecież pani i tak zapomniała, wcale nie potrzebując mojej zachęty.

- Niechże pan przestanie! Nie chciałam pana obrazić. Równie dobrze mogłam uczynić z pana głównego bohatera.

- I to ma być pociecha? Może jeszcze oczekuje pani ode mnie słów wdzięczności? Czy pani doprawdy nie pojmuje, jak wstrętne jest mi rozpoznanie siebie w jakimkolwiek charakterze w powieści, i to, pani wybaczy, w romansie? To uwłacza mej godności! Nawet gdyby wyposażyla mnie pani we wszelkie zalety, nadal uważałbym to za niedopuszczalną impertynencję.

Zaczęło jej się robić słabo, podobnie jak podczas surowych i bezlitosnych połajanek macochy.

- Proszę odprowadzić mnie do babci - oderwała się błagalnie. - Nie rozumiem, czemu chciał pan ze mną tańczyć. Skoro zamierzał pan porozmawiać, to dlaczego w taki sposób? Nie mógł pan wybrać innej okazji?

- Mogłem, ale po co? Odprowadzę panią do lady Ineham, ale dopiero wtedy, gdy muzycy przestaną grać nie wcześniej. Jest pani bardzo niewdzięczna, Jaskółko, a nie powinna pani.

- Niech mnie pan tak nie nazywa - zażądała, dotknięta jego tonem do żywego.

- Ma pani rację, to do pani nie pasuje. Jak więc mam panią nazywać? Sroką?

- Proszę mnie puścić. Może mnie pan ignorować, ale nie ma potrzeby mnie obrażać.

Nieubłaganie zacisnął doń na jej palcach.

- Jeszcze będzie mi pani dziękować, że jej nie zlekceważyłem. Wie pani, co by dla niej oznaczało, gdybym to uczynił? Czy zdaje pani sobie sprawę z tego, ile par oczu śledzi nas teraz, by zobaczyć, jak się zachowam? Gdybym nie poprosił pani o taniec, tym samym potwierdziłbym przypuszczenia, że jest pani autorką tej skandalicznej książki, i jutro rano obudziłyby się pani obłożona powszechną infamią. Dostałaby pani to, na co sobie zasłużyła. Przyznaję, pokusa była silna. Nie zniżę się jednak do tak nędznej zemsty, gdyż wtedy byłbym równie godzien pogardy jak ów hrabia z pani powieści. Nie, panno Marlow. Może pani liczyć na moje wsparcie. Nauczy się pani być mi wdzięczną za wszystko, co zechcę dla pani uczynić. Jutro zjawię się z wizytą na Green Street, by zabrać panią na przejażdżkę do Hyde Parku. To powinno przekonać nawet najbardziej podejrzliwych.

Tego było już nadto. Phoebe wyrwała się z jego uścisku, nie bacząc już na nic, i pomknęła z powrotem do babki. Oślepią łzami, których nie zdołała powstrzymać, potrafiła po drodze kilka

par i nie dostrzegła, jak wszyscy jej się przyglądają - najpierw jej, a potem Sylwestrowi, porzuconemu na środku sali balowej, aż blademu z gniewu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Nie, lady Ingham nie przyjmuje gości, jest niedysponowana, sir Henry Halford stanowczo zabronił ją w jakikolwiek sposób niepokoić. Nie, panienska również jest niedysponowana, odpoczywa w saloniku i również tego dnia nie zamierza nikogo widzieć. Te niewesołe wieści, ogłoszone grobowym tonem przez kamerdynera, zbiły z pantafyku jedną z przybyłych z wizytą osób, lecz ani trochę nie wzruszyły drugiej.

- Mnie lady Ingham przyjmie - oznajmiła żywo pani Newbury. - Dobrześ wszakże zrobił, Horwich, uprzedzając mnie. Dołożę wszelkich starań, by nie niepokoić twej pani.

- Nie mogę nikogo wpuścić bez zgody jaśnie pani. Pójdę się wywiedzieć, czy uczyni dla pani wyjątek.

- Nie widzę potrzeby. Czy jest w swoich apartamentach? Tak? W takim razie udam się do niej niezwłocznie.

Zachęcony sukcesem bystrookiej damy, drugi z gości oznajmił zdecydowanym głosem:

- Panna Marlow z pewnością zechce się ze mną zobaczyć. Zanieś jej moją kartę wizytową.

Pani Newbury rącho wbiegła po schodach, delikatnie zastukała do drzwi i uchyliła je, odzywając się łagodnym tonem:

- Droga lady Ingham, czy mogę wejść? Nie będę przeszkadzać, chyba się pani zgodzi?

W pokoju panował półmrok, gdyż story były zaciągnięte, W powietrzu unosiła się silna woń octu oraz soli trzeźwiących. Do intruza natychmiast podeszła koścista postać i wysyczała donośnym szeptem, że nie wolno przeszkadzać jaśnie pani.

- To ty, Georgiano? - dobiegł od strony sofy słaby głos pani domu. - Niedomagam i nie mogę nikogo przyjmować, lecz cokolwiek powiem, ty i tak wejdiesz, jak cię znam. Wpędzicie mnie wszyscy do grobu, lecz jakoś nikomu to nie wadzi. Przysuń krzesło dla pani Newbury, Muker, i zostaw nas same.

Wiecznie niezadowolona pokojówka z ponurą miną spełniła polecenie. Georgiana, której oczy tymczasem nieco przywykły do półmroku, podeszła do sofy i usiadła.

- Nie przyszłam po to, by panią dręczyć, ale by pani pomóc na tyle, na ile potrafię - powiedziała kojącym tonem.

- Nikt nie może mi pomóc - odparła z rezygnacją cierpiąca. - Nawet nie będę pytać, czy już całe miasto o tym mówi.

- Należy tak przypuszczać - przyznała Georgia-

na. - Rano złożyła mi wizytę Charlotte Retford i ona twierdzi, że wszyscy już wiedzą, i niczym innym się nie zajmują. Opisała mi, co zaszło na wczorajszym balu, postanowiłam więc przyjść do pani, ponieważ nawet jeśli Phoebe rzeczywiście napisała tę książkę, nie umniejsza to sentymentu, jaki dla niej żywię. Co prawda, Lion ostrzegł, bym się nie wtrącała, lecz ja pragnęłabym jej pomoc, jeśli tylko zdołam.

- Nikt już teraz nie może mieć wątpliwości co do tego, czy to ona jest autorką. Kiedy tylko pomyślę o wszystkim, co mi się udało w ciągu tego ledwie jednego wieczoru osiągnąć. Zdołałam przekonać nawet Sally Jersey, że cała ta fantazja wykluła się w pustej głowie Ianthe Rayne. Ach, gdzież są moje sole trzeźwiące?

- Czemuż ona to napisała? Sądząc po powieści, zdawać by się mogło, że Phoebe nie znosi Sylvestra, a my przecież wiemy, iż nic nie jest dalsze od prawdy.

Lady Ingham, nie przestając wahać soli, oświeciła ją co do całej sprawy. Potem napiła się nieco zmieszanego z wodą spirytusu z rogów jelenich i położyła się z powrotem, zamykając oczy. Pani Newbury przez kilka minut siedziała bez słowa, pogrążona w myślach, po czym powiedziała:

- Sylvester jej nie zdradzi, nawet jeśli mu się wprost przyznała.

- Sama się zdradziła! Zostawiając go na środku sali balowej w połowie tańca, potwierdziła wszelkie podejrzenia. Zrobiłam, co mogłam, lecz tłumaczenia, że jedynie zrobiło jej się słabo, nic nie dały, gdyż mina Sylvestra mówiła sama za siebie. Nigdy mu

tego nie wybaczę, przenigdy! Spostponował ją w miejscu publicznym! Niebiosa mi świadkiem, że nie rozgrzeszam wnuczki z napisania tej skandalicznej powieści, lecz to, co uczynił Salford, było znacznie gorsze, było podłe, niegodziwe, nikczemne! I nawet nie jest dla mnie pociechą, że w takim razie słusznie go wyśmiała w tym swoim romansie, ponieważ przez to zgubiła samą siebie.

- Musiał być wyjątkowo zły, skoro postanowił upokorzyć ją w miejscu publicznym, nie bacząc na możliwe konsekwencje - zawyrokowała Georgiana, w zamyśleniu marszcząc brwi. - To zupełnie do niego niepodobne. Nic nie napawa go większą odrazą niż brak grzeczności, a tego wczoraj sam się dopuścił. Zastanawiam się, czy Lion nie miał racji...

- Na pewno nie! - ucięła z irytacją lady Ingham.

- Ach, też tak sobie pomyślałam - zgodziła się pogodnie kochająca żona majora. - Lion orzekł bowiem, że to sprawa wyłącznie między nimi dwojgiem. Ja mu na to, że nie zostawię jej w ich rękach, i ostatecznie stanął między nami zakład. Wiem doskonale, jak mój kuzyn się zachowuje, gdy wdaje się w kolejny z niezliczonych flirtów. Tym razem to było coś zupełnie innego. Czy to możliwe, by powziął wobec niej poważne zamiary?

Lady Ingham głośno wytarła nos.

- Dla mnie rzecz była już przesądzona - wyznała. - To moje największe pragnienie, Georgie. Wszystko szło znakomicie i nagle taki cios. Po tym wszystkim jego afekt do niej już się nie odrodzi.

Tym samym rozwiązała ostatnie wątpliwości Georgiany, która miała w pamięci słowa mądrego małżonka, lecz na wszelki wypadek potrzebowała się upewnić. „No i nic z tego!” - skomentował major. „Szkoda. Takie miłe dziewczę. Oczywiście po czymś takim on się nie oświadczy. Nie mogła zrobić nic gorszego, niż ośmieszyć go publicznie”.

- Zaiste nie wiem, co teraz począć. - Lady Ingham westchnęła. - Nie ma co namawiać Phoebe, by stawiała czoło tej nawałnicy, nic po sobie nie okazując. Ona nie należy do osób, które to potrafią. W dodatku, gdzie miałyby się teraz pokazać? Na pewno nie otrzyma zaproszenia na publiczny bal w Almacku, a ja nie będę o to zabiegać, gdyż nic nie sprawi większej satysfakcji tej przebrzydłej Burrell niż odmówienie mi!

- Nie, to rzeczywiście nic by nie dało. Mam lepszy pomysł i właśnie dlatego tu przyszedłam. Proszę zabrać ją do Paryża.

- Do Paryża!

- Ależ tak. Phoebe nie może tu tkwić zamknięta w czterech ścianach, a odesłanie jej w tej sytuacji do domu byłoby jeszcze gorsze, gdyż utraciłaby wszelką sposobność powrotu do towarzystwa. Podróż będzie doskonałym wyjściem, wszak nic naturalniejszego niż pani wyjazd do Francji, przecież wszyscy wiedzą, że nosiła się pani z takim zamiarem. Sama nawet słyszałam, jak mówiła pani coś podobnego do lady Sefton.

- I będą też wiedzieli, z jakiego powodu się tam udałam...

- Trudno, temu nie da się zapobiec, lecz przynajmniej stanie się oczywiste, że nie wyrzekła się pani wnuczki, a tym samym choć jedna nić łącząca ją

z towarzystwem nie została przecięta. To wystarczy, by dać do myślenia. W dodatku im głośniejszy skandal, tym szybciej przycicha.

- Nie, ten nie odejdzie w niepamięć tak szybko.

- Już moja w tym głowa, by tak się stało, dlatego też proszę się nie troskać. Podczas nieobecności pań nie będę trwoniła czasu. Kto może przysłużyć się lepiej niż kuzynka Sylvestra, która wszak ma lepsze rozeznanie w jego sprawach od Ianthe? Wieści zasłyszane ode mnie będą bardziej wiarygodne. Rozgłoszę, że wczorajsza scena nie miała nic wspólnego z „Zaginionym spadkobiercą”, lecz była wynikiem nieporozumienia między nimi, które nastąpiło jeszcze przed wyjazdem Sylvestra do Chance. Ba, Sylvester właśnie dlatego wyjechał z miasta, że się posprzeczali, oczywiście o zupełną błaźnię. Zdradzę to wszystko w największym sekrecie tylko jednej lub dwóm osobom, wtedy to się na pewno rozejdzie - dodała bystrze.

Przez moment panowała cisza.

- Odsłoń okna, moja droga - zażądała dziarskim tonem lady Ingham. - Czemu ta niemądra Muker każe nam siedzieć w ciemnicy? Zwariowana z ciebie osoba, Georgie, i prowadzisz najbardziej bałaganiarski dom w Londynie, lecz muszę ci przyznać, że masz złote serce i głowę nie od-parady. Czy jednak ktokolwiek da się przekonać, że to nie Phoebe napisała tę powieść?

- Zmuszę ich do tego, by mi uwierzyli, choćbym miała sama udawać przyjaźń z autorką. Ach, gdyby Sylvester zachował się odpowiednio, udając, że od początku był wtajemniczony w całą sprawę i trak-

tuje ją jako pyszny żart, w ogóle nie byłoby żadnego kłopotu, bo nikt nie mógłby się dąsać na Phoebe, skoro osoba najmocniej wyśmiana nic sobie z tego nie robi.

- Nie mów mi o Sylwestrze - fuknęła lady Ingham. - Gdybym nie chciała ich pożenić, ta powieść ubawiłaby mnie setnie. Moja wnuczka opisała go nadzwyczaj celnie, bez dwóch zdań. Na pewno jeszcze długo będzie to mocno przeżywał albo go nie znam. Och, do licha z tym utrapieńcem! Choćby ze względu na moje zdrowie mógł się przez chwilę zastanowić i nie prowokować jej do dramatycznych ekscesów podczas balu.

Powodowana lojalnością wobec kuzyna Geor-giana już miała coś powiedzieć w jego obronie, gdy spostrzegła rzecz niezwykłą - po policzkach lady Ingham zaczęły powoli spływać łzy. Pani Newbury natychmiast pospieszyła z pocieszeniami, a potem postarała się skierować jej myśli na pogodniejsze tory, mówiąc o wyprawie do Paryża.

- Pomysł jest dobry, w rzeczy samej, lecz niewykonalny — orzekła lady Ingham, osuszając oczy chusteczką. - Nie mogę jechać bez eskorty dżentelmena. Mój biedny małżonek przewracałby się w grobie. Nie, nie mów mi nawet o przewodnikach, nie znoszę mieć wokół siebie obcych. Marny ze mnie podróżnik, na morzu zawsze choruję, a na Muker nie mogę polegać, gdyż ona, masz na to moje słowo, będzie nadąsaną, bo oczywiście nie uśmiecha jej się wyjazd do Francji.

Tego Georgiana nie przewidziała. Kiedy jej propozycja, by może w takim razie obecny lord Ingham

towarzyszył swej rodzicielce w tej wyprawie, została z miejsca odrzucona, nie miała więcej pomysłów. Mogła jedynie wyrazić żal, że tak przemyślny plan spalił na panewce.

- Też żałuję - burknęła pani domu. - Przy moim stanie zdrowia byłoby wszakże szaleństwem wybierać się w podróż bez niczyjej pomocy. Sir Henry Halford ani by słyszeć o tym nie chciał. Gdyby Phoebe miała brata... - Urwała, po czym, ku zdumieniu swego gościa, wykrzyknęła gromkim głosem: - Młody Orde!

- Pani wybaczy, ale nie rozumiem...

Lady Ingham energicznie podniosła się do pozycji siedzącej.

- Ależ oczywiście, najlepsza osoba! Zaraz do niego napiszę. Gdzież oni się zatrzymali? A, w hotelu „Reddish”. Georgie, kochanieńka, podaj mi pióro, kałamarz, papier listowy, pieczęć... Są w sek-retarzyku. Albo nie, sama wstanę! Weź to ode mnie, moje dziecko! - Wepchnęła w rękę Georgiany wachlarz, buteleczkę wody kolońskiej do nacierania skroni, drugą z octem, jeszcze jedną z solami trzeźwiącymi oraz trzy czyste chusteczki.

- O kim pani mówi? Kto to jest?

- Jest właśnie niczym jej brat, znają się od kołyski. — Lady Ingham zaczęła ściągać z siebie szale, chusty i pledy, którymi była opatulona. -Bardzo porządny chłopiec. Trochę jeszcze brak mu miejskiej ogłady, ale i tak prawdziwy z niego dżentelmen.

Pani Newbury ściągnęła brwi, próbując sobie coś przypomnieć.

- Czy aby on przypadkiem nie ma takiej miłej świeżej twarzy o nieśmiałym uśmiechu i czy nie utyka trochę?

- Tak, to on. Podaj mi rękę, żebym mogła wstać... O, nie! Gdzież ta Muker podiała moje bambosze?

- W takim razie on pewnie jest teraz u Phoebe, ponieważ przyszliśmy tu z wizytą o tej samej porze. Zastanawiałam się nawet, kto to może być.

Lady Ingham z powrotem opadła na sofę.

- I dopiero teraz mi to mówisz? Zadzwoń mi po służbę, niech biegną po niego natychmiast.

Georgiana posłusznie zadzwoniła po Muker, lecz jednocześnie spytała z powątpiewaniem:

- Przepraszam, ale chciałabym się upewnić... Sądzi pani, że to rzeczywiście dobry pomysł zabierać tego młodzieńca?

- Owszem, czemuż by nie? Dobrze mu zrobi, jak zobaczy trochę świata. Ach, chodzici o to, czy oni nie zapalają do siebie afektem? O to możemy się nie martwić, zapewniam cię, aczkolwiek nie wiem, czemu miałabym to uważać za powód do zmartwienia - dodała z goryczą. - Po tym, co się wydarzyło wczoraj, będę szczęśliwa, jeśli uda jej się wyjść za kogokolwiek.

Kilka minut później Tom wszedł do pokoju z poważną miną. Obrzucił zaniepokojonym spojrzeniem całą baterię buteleczek oraz medykamentów na stoliczku obok sofy, lecz, ku jego zaskoczeniu, pani domu powitała go tonem pełnym energii. Na samym wstępie usłyszał zadane bez ogródek pytanie, czy zechce zawieźć lady Ingham oraz jej

wnuczkę do Paryża, i wyglądał raczej na przerażonego niż ucieszonego tą perspektywą. Zaoferowano mu wtedy możliwość bawienia tam przez cały tydzień na koszt lady Ingham, na co wyjąkał, że jest wielce zobowiązany, była to jednak wyraźnie czysta grzeczność z jego strony, nie zaś wyraz radości.

- Drogi Tomie, pozwól sobie powiedzieć, że zagraniczny wjazd stanowi niezbędną część edukacji młodego człowieka z dobrej rodziny - oznajmiła wtedy surowo lady Ingham, błyskawicznie zmieniając taktykę.

- Ma pani absolutną słusność - przyznał, a zaraz potem dodał z nadzieją w głosie: - Obawiam się, że ojciec na to nie przystanie.

- Baniałuki! Dziedzic Orde to wyjątkowo rozsądny człowiek, sam mi zresztą mówił, że najwyższy czas, byś nabrał nieco poloru. Uwierz mi, obejdzie się bez ciebie przez tydzień czy dwa. Zaraz do niego napiszę, zaniesiesz mu list. I przestań mnie męczyć, chłopcze! Jeśli nie chcesz jechać ze względu na własne dobro, zrób to dla Phoebe.

Na takie postawienie sprawy Tom oczywiście nie mógł odpowiedzieć nic innego, jak to, że dla Phoebe jest gotów uczynić wszystko. Gdy to rzekł, uświadomił sobie niedostatki tej deklaracji, spieszył się więc i dodał pospiesznie, że lady Ingham wyświadcza mu niezwykłą uprzejmość, za którą jest niewymownie wdzięczny, gdyż z pewnością bardzo mu się w Paryżu spodoba. Pragnął jedynie nadmienić, że bardzo słabo zna francuski i nigdy nie opuszczał Anglii.

Lady Ingham jedynie machnęła ręką na takie

blahostki i wyjaśniła, czemu tak jej spieszo opuścić Londyn. Spytała, czy już wie od Phoebe o wydarzeniach z poprzedniego wieczoru. Wyraz powagi ponownie zagościł na jego twarzy.

- Tak, wiem. Paskudna sprawa i nie będę jej bronił, mówiąc, że nie zrobiła nic złego, wypisując takie rzeczy o Sylwestrze i ogłaszając je drukiem, ale on postąpił równie niewłaściwie, czyniąc jej wyrzuty podczas balu. W moim odczuciu to zachowanie niegodne dżentelmena. Skoro tak postąpił, to chciał ją upokorzyć. Co gorsza, nigdy bym go o to nie podejrzewał. Miałem go za człowieka najwyższej klasy. Och, gdyby ona powiedziała mu prawdę... Ja sam też zamierzałem go odwiedzić... Oczywiście nie zrobię tego, gdyż cokolwiek się stanie, zawsze będę po stronie Phoebe. I powiem mu to prosto w oczy, gdyby kiedy spytał.

Georgiana spojrzała na Toma z aprobatą.

- Ja też bym się na razie powstrzymała ze składaniem mu wizyt. Nie mylił się pan, to naprawdę jest człowiek najwyższej klasy, lecz obecnie znajduje się w stanie wyjątkowego wzburzenia. Gdyby nie to, nigdy by się tak nie zachował, zapewniam pana. Biedna Phoebe! Bardzo ją to dotknęło?

- Kiedy przyszedłem, była w pożałowania godnym stanie, trzęsła się, nie przymierzając, jak galareta. Widzi pani, gdy ktoś ją ostro gani, ona choruje. Teraz tuż trochę z nią lepiej, lecz nadal jest bardzo słaba. Sęk w tym, lady Ingham, że ona chce, bym odwiózł ją do domu.

- Do domu?! - wykrzyknęła ze zdumieniem starsza pani. - Niepodobna, by tego chciała!

- A jednak... Skompromitowała nie tylko siebie, lecz i panią, to jej własne słowa. Woli stawić czoło lady Marlow niż komukolwiek w Londynie. Zresztą w Austerby nie będzie musiała wcale męczyć się tak długo, bo jak tylko ci wydawcy jej zapłacą, razem z Sibby zamierza zamieszkać w jakimś skromnym domku i pisać powieści. Już ma obiecane sute wynagrodzenie za następną.

Te wieści mocno zaniepokoiły lady Ingham. Ku konsternacji Toma, wydała z siebie rozzwierający jęk, po czym z zamkniętymi oczami opadła na poduszki. Czym prędzej posunięto jej pod nos sole trzeźwiące i skropiono jej skronie wodą kolońską. Dzięki tym zabiegom odzyskała dość sił, by zażądać natychmiastowego przyprowadzenia wnuczki. Tom rzucił niepewne spojrzenie na panią Newbury, więc ta sięgnęła po rękawiczki oraz torebkę i oznajmiła, że musi już iść.

- Panna Marlow zapewne wolałaby mnie dzisiaj nie widzieć, jak sądzę. Proszę jej jednak przekazać najserdeczniejsze pozdrowienia, panie Orde, i zapewnić ją o mojej nieustającej przyjaźni.

Przekonanie Phoebe do wyjazdu do Paryża okazało się nadzwyczaj trudne, gdyż myśl o zagranicznym wojażu zdawała się budzić silną obawę. Daremnie babka obiecywała przedstawić ją na dworze, królewskim, snuła opowieści o urokach i wykwincie paryskiego towarzystwa, na darmo zapewniała, że nawet jeśli jakaś nieżyczliwa dusza napisze do kogoś stamtąd list o ostatnim skandalu, to da się wszystkiemu zaprzeczyć. Phoebe wzdrygała się na każdą wzmiankę o przyjemnościach i niespodziankach. W swoim mniemaniu nie zasłużyła na nie zupełnie i marzyła już tylko o jednym - zniknąć wszystkim z oczu. Tomowi, którego lady Ingham poprosiła o pomoc, powiodło się jeszcze gorzej. Pragnąc dodać przyjaciółce animuszu, kazał jej otrząsnąć się z czarnych myśli i wziąć się w garść.

- Chcę wrócić domu - odparła, ani trochę nie pocieszona.

Usłyszała na to od Toma, że nic głupszego zrobić by nie mogła, bo w Austerby pograży się w rozpamiętywaniu całej sprawy, podczas gdy najlepiej będzie przewietrzyć sobie głowę i o wszystkim zapomnieć, chociaż byłoby nie od rzeczy wysłać z Paryża list z przeprosinami do Sylwestra. Po tym powinno jej nieco ulżyć, zresztą nie będzie musiała spotykać księcia przez ładne parę miesięcy, jeśli lady Ingham wynajmie dom w Paryżu, z którym to zamiarem się nosiła.

Niestety, ta mająca dodać jej ducha przemowa przyniosła tylko ten efekt, że Phoebe zalała się łzami i uciekła z pokoju.

Zadanie przekonania jej do wyjazdu złożono więc na barki pana Orde'a seniora, który wywiązał się z niego prosto i skutecznie, mianowicie powiedział panie, że jest to winna babce. Sprawiała jej tyle kłopotu, że mogłaby się odplacić za jej dobroć, stosując się do jej życzeń i starając się ją zadowolić.

- Na mój rozum ona chce jechać do Paryża nie tylko ze względu na ciebie, ale i sama ma na to ogromną ochotę - dodał sprytnie. - A i ja nie ukrywam, że ucieszyłoby mnie, gdyby mój Tom zobaczył nieco świata.

To przesądziło sprawę. Phoebe zgodziła się na wyjazd, by sprawić przyjemność babci i oddać przysługę obu panom. Postanowiła też uczynić wszystko, co w jej mocy, by okazać się jak najbardziej pogodną i nikogo więcej nie martwić smętną miną. Ów zamiar bycia wesołą wprowadziła w życie z takim heroizmem i samozaparciem, że, jak zawyrokował Tom, rychło wszyscy podróżnicy omal nie popadli w najgorsze przygnębienie.

Lady Ingham, której przyszło znosić rozpaczliwą dzielność wnuczki i nieskrywaną niechęć Muker, zapewne poniechałaby całego przedsięwzięcia, gdyby nie wsparcie otrzymywane od młodego pana Orde'a. Wyraziwszy zgodę na wzięcie udziału w wyprawie i postanowiwszy się poświęcić dla dobra Phoebe, rzucił się w wir przygotowań z takim, zapalem i tak niewyczerpanymi zasobami dobrego humoru, że lady Ingham zaczęła sobie cenić jego towarzystwo równie wysoko jak towarzystwo wnuczki. Przy niewielkiej pomocy ojca, który wkrótce musiał wrócić do domu, Tom zdołał załatwić wszelkie niezbędne sprawy związane z paszportami, opłatami celnymi oraz szczegółowym zaplanowaniem całej podróży. Wywiedział się, w jakie dni kursują statki pocztowe, jak najwygodniej przewieźć bagaże, obliczył, ile pieniędzy trzeba mieć przy sobie. Nauczył się też na pamięć takich zwrotów po francusku, które wydawały mu się najbardziej użyteczne. Ponadto nabył stosowny przewodnik, pomocny w podróży, a ilekroć wyciągał z kieszeni pugilares, nieodmiennie miał w nim moc fiszek z niezbędnymi informacjami.

Podróżowanie z lady Ingham nie było łatwe, szybko się o tym przekonał. Stawiała wysokie wymagania, ponadto co i rusz zmieniała zdanie. Najpierw wysłała Toma wraz z wiekowym stangretem, by sprawdzili, czy jej karetka podróżna nadaje się do tak długiej drogi (trzymał ją w swej nie tak znów dużej powozowni, gdzie zajmowała ogromnie dużo miejsca, udręczony syn lady Ingham), a potem zdecydowała, że jednak lepiej będzie wynająć powóz. Tom udał się więc z misją wynajęcia takowego, a kiedy wrócił na Green Street, sytuacja zmieniła się ponownie, gdyż podczas jego nieobecności babcia Phoebe uprzytomniła sobie, że w dyliżansie służba siedzi z przodu, więc Muker zajmie całe jedno siedzenie, oni zaś we trójkę będą tłoczyć się za nią, co oczywiście było nie do przyjęcia.

- Obawiam się, drogi młodzieńcze, że podjął się pan niewdzięcznego zadania - orzekł ze współczuciem lord Ingham, widząc go po raz wtóry tego samego dnia. - Matka moja jest dość chimeryczna. Zameczy pana, niech jej pan na to nie pozwoli. Pan i tak ma nadwerężone zdrowie, pan utyka.

- To nie takiego, sir - odparł pogodnie Tom. -Trzeba tylko smarować nogę maścią, niedługo wydobrzeje.

- Gdybym mógł okazać się pomocny, proszę zwrócić się do mnie bez wahania - zaproponował z dużym wahaniem lord Ingham.

Tom podziękował, lecz zapewnił, że poradzi sobie ze wszystkim. Jego zdaniem, ta pomoc w niczym nie przyspieszyłaby wyjazdu, gdyż zaiste

kapryśna dama zawsze postępowała wbrew radom syna, poirytowana jego wiecznym niezdecydowaniem - oczywiście zdanie to zachował dla siebie. Rozmówca przyjął tę odmowę z widoczną ulgą, lojalnie jednak uprzedził młodego pana Orde'a, że wyjazd zapewne i tak opóźni się o kilka dni, gdyż jego matka w ostatniej chwili zdecyduje się czekać na szytą przez modniarkę suknię lub znaleźć jakąś rzecz, której od lat nie używano i nie wiadomo, gdzie leży.

Tom uśmiechnął się szeroko.

- Cóż, sir, właśnie kiedy do pana wychodziłem, służba wywracała cały dom do góry nogami w poszukiwaniu pelerynki czy czegoś podobnego. Jednak dopilnuję, by pańska matka wyruszyła zgodnie z planem. Przekona się pan.

Lord Ingham z powątpiewaniem potrząsnął głową, a gdy oznaczonego dnia posłusznie stawił się na Green Street, by pożegnać się z rodzicielką i życzyć jej udanej podróży, spodziewał się zastać rozgardiasz i usłyszeć o kolejnej zmianie planów. Tymczasem Tom dotrzymał słowa. U wejścia stała ogromna staroświecka karetka podróżna, na dachu której piętrzył się stos bagaży. W domu podróżnicy byli już gotowi, trochę ich jedynie opóźniło przekonanie lady Ingham, że z pewnością zapomniano jej żelazka do zakręcania loków. Trzeba było rozpakować jej neseser, i to cały, ponieważ Muker włożyła żelazko na sam spód.

Kiedy Tom usłyszał od gościa wyrazy najwyższego uznania, wyznał po cichu, że mało brakowało, by do wyjazdu nie doszło, gdyż zaledwie

poprzedniego dnia lady Ingham prawie dostała waporów ze względu na pogorszenie pogody.

- Udało mi się ją wszakże przekonać, zapewne więc zapakuję nas wszystkich całych i zdrowych na statek pocztowy odpływający we czwartek - zawyrokował optymistycznie.

Lord Ingham spojrzał z niepokojem na nadciągające chmury, pomyślał coś zupełnie przeciwnego niż Tom, lecz zachował tę opinię dla siebie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Lord Ingham miał rację. Ledwo jego matka ujrzała rozkołysane ołowiane morze z pióropuszcami białej piany, oznajmiła, że nawet pułk dragonów nie zdołałby jej wciągnąć na pokład

statku przy takiej pogodzie. W ciągu trwającej dwa dni jazdy (w celu uniknięcia zmęczenia zdecydowała się na nocleg w Canterbury) nabawiła się bólu głowy i stała się wręcz opryskliwa. Jej nastrój nie poprawił się bynajmniej, gdy po przybyciu do Dover i wyjściu z karety przed zajazdem „Pod Statkiem” omal nie straciła kapelusza, który silny podmuch wiatru próbował zerwać jej z głowy?. Przez kilka minut istniało realne niebezpieczeństwo, że wsiądzie do powozu i każe się wieźć do Londynu. Na szczęście Tom przytomnie zadbał o wszystko i kilka dni wcześniej wysłał list do gospody, rezerwując pokoje. Lady Ingham otrzymała najlepszą sypialnię ze wszystkich, pozostali członkowie wyprawy również zostali dobrze zakwaterowani, a w każdym z pomieszczeń porządnie napalono w kominku. To ją nieco ułagodziło. Dawka środka uspokajającego, przepisane przez niezawodnego sir Henry'ego Halforda, godzinna drzemka oraz wyśmienity obiad w dużej mierze przywróciły jej humor. Kiedy jednak Tom doniósł jej, że tego dnia statek pocztowy odpłynął do Calais jak zwykle, taki stan morza nie grozi więc katastrofą, odparła ponurym tonem:

- Tego się właśnie obawiałam.

Następnego dnia pogoda sprzyjała żegludze, to znaczy, tak twierdzili wszyscy, którzy choć trochę się na tym znali. Świeciło kwietniowe słońce, wiatr zelżał, lady Ingham widziała jednak na grzbietach fal białą pianę, a to wystarczało, by odmówiła przeprawy przez kanał. Dla niej żeglowna pogoda oznaczała morze gładkie jak stół. Tom próbował ją przekonać, by skorzystali z okazji i nie czekali na kolejny statek pocztowy, lecz szybko przeprawili się zwykłym lekkim stateczkiem, gdyż cztery godziny niewielkiego kołysania będą lepsze niż potem spędzenie ośmiu godzin w ścisku i duchocie. Usłyszawszy to, lady Ingham natychmiast sięgnęła po sole trzeźwiące i poprosiła Toma, by zechciał przy niej więcej nie używać tego okropnego słowa kołysanie”. Skoro on i Phoebe tak bardzo pragną zobaczyć Paryż, to ona nie zamierza odmawiać im tej przyjemności, ale muszą poczekać na lepszą pogodę.

Czekali przez pięć dni. Inni podróżnicy przybywali do Dover i odpływali do Francji, oni zaś nadal tkwili w gospodzie „Pod Statkiem”. Tom, ostrzeżo-

ny o przysłowiowo już sążnistych rachunkach, jakie wystawiano tam gościom, zaczął się zastanawiać, co pocnie, gdy zabraknie mu pieniędzy jeszcze przed dowiezieniem dam do Amiens, o Paryżu nie wspominając.

Znowu wiało. Lady Ingham miała coraz gorszy humor, Muker chodziła z wyrazem mściwej satysfakcji na twarzy, a Tom uciekał na nabrzeże, by się rozerwać. Jako osoba o żywym umyśle i ciekawa świata, znalazł tam dla siebie wiele interesujących rzeczy. Wkrótce mógł podczas spacerów pokazywać Phoebe różne statki i łodzie, objaśniając, które z nich to brygantyna, które szkuner, a które szkuta.

W przekonaniu lady Ingham w portach roiło się od różnego rodzaju szubrawców, tylko czyhających na okazję, by obrabować nieostrożnego podróżnika, więc zdecydowanie nie podobały jej się ciągle wyprawy Toma do doków. Uspokoila się nieco, gdy na ten czas oddał jej wszystkie pieniądze, które uprzednio powierzyła jego pieczy. Byłaby zadowolona jeszcze bardziej, gdyby zabierał Phoebe na dłuższe spacerów po świeżym powietrzu (by, jak się wyraziła, wiatr wywiał jej wnuczce smutki z głowy), na przykład mogliby wejść ścieżką na klify, lecz z drugiej strony trudno było żądać dokonywania takich wyczynów od chromej osoby poruszającej się o lasce.

Phoebe uważała pomawianie jej o smutek za niesprawiedliwe, przecież z całych sił starała się sprawiać wrażenie wesołej. Tylko raz ponowiła prośbę o odwiezienie jej do Austerby, lecz z tego się rozgrzeszyła, gdyż była to jedynie naturalna reakcja

na utyskiwania lady Ingham, że niepotrzebnie dała się namówić pani Newbury na tę całą eskapadę.

- W takim razie nie jedźmy dalej - zawołała błagalnie Phoebe. - Nie chcę, by babcia tak się przeze mnie męczyła. Myślałam, że babcia pragnie tego wyjazdu, i tylko dlatego się nań zgodziłam. Mnie na zobaczeniu Paryża nie zależy, Tomowi też nie. Wracajmy do Londynu, Tom zawiezie mnie stamtąd do Austerby.

To natychmiast położyło kres narzekaniom lady Ingham. Zazwyczaj myślała ona wyłącznie o sobie i swej wygodzie, lecz zdążyła się szczerze przywiązać do wnuczki. Poczula lekkie wyrzuty sumienia i rzekła zdecydowanie:

- Cóż ty za głupstwa wygadujesz, moje dziecko! Oczywiście, że mam wielką chęć zobaczyć Paryż. Poczekajmy tylko, aż pogoda się poprawi.

Piątego dnia wyglądało na to, że utknęli w Dover na dobre, ponieważ cały czas wiało tak samo. Wszyscy, z którymi Tom zawarł znajomość podczas spacerów po porcie, powtarzali mu, że nie nadarzy mu się rychło lepsza pogoda na przeprowienie się przez kanał, nie ma więc na co czekać. Nie zamierzał tego powtarzać lady Ingham, gdyż to by nic nie dało, nawet gdyby tego dnia nie została w łóżku. Jaśnie pani jest cierpiąca, wyjaśniła ponuro Muker, od morskiego powietrza zawsze choruje, o czym osoby służące jej od lat wiedzą doskonale i mogą powtórzyć każdemu, kto ciekawy.

Phoebe miała tego dnia ich wspólny salonik tylko dla siebie, postanowiła więc napisać list do Sylvestra. Podejmowała tę próbę już po raz czwarty.

Musiała okazać stosowną skruchę, ale uczynić to z godnością, wyrazić wdzięczność za względy, jakimi została obdarowana, a zarazem nie napisać niczego, co mogłoby sugerować, że pragnęłaby go znowu ujrzeć. List skończył podobnie jak poprzednie - spalony w kominku. Phoebe patrzyła, jak papier czernieje, zwija się od gorąca i bucha jasnym płomieniem, i robiło jej się coraz

ciężej na duszy. Oddawanie się wspomnieniom było nad wyraz nierozsądne, ponieważ każde (zwłaszcza te dotyczące szczęśliwych chwil) wywoływało ból. Mimo wysiłków, by spoglądać w przyszłość, myśli o przeszłości wracały niepostrzeżenie, co powodowało, że i przyszłość zaczynała malować się w czarnych barwach. Co gorsza, sprawca jej nieszczęść, w którym na samym początku wyczuła zimne serce i skłonność do okrucieństwa, skwitowałaby jej smętne położenie uniesieniem owych feralnych brwi oraz lekkim wzruszeniem ramion, tak dobrze jej znanym i tak serdecznie przez nią niecierpianym. Nie żywiłby ani satysfakcji, ani współczucia, pozostałby doskonale obojętny.

Od kontemplowania w wyobraźni chłodnej i wyniosłej miny Sylvestra oderwał ją głos Toma, który wołał ją, stojąc na ulicy przed zajazdem, czyli w sposób jak najbardziej niestosowny. Pospiesznie wytarła nos, podeszła do okna, otworzyła je i wyjrzała na zewnątrz.

- No jesteś! Wyjdź szybko, coś ci pokażę. Za nic bym nie chciał, żebyś to przeoczyła!

- Ale co takiego?

- Nieważne co. Pospiesz się, nie pożałujesz! W życiu nie widziałem czegoś bardziej komicznego.

Nie miała ochoty nigdzie chodzić.

- Muszę włożyć kapelusz i pelisę - odparła z ociąganiem.

- Kapelusz? Na ten wiatr? Zwieje ci go z głowy. Okręć ją jakimś szalem i chodź, bo będzie za późno i nic nie zobaczysz!

Może zimny wiatr okaże się mimo wszystko lepszy niż roztrząsanie przeszłości, pomyślała. Obiecała zaraz zejść na dół, zamknęła okno i pobiegła do sypialni. Pomysł zarzucania szala na głowę niezbyt przypadł jej do gustu, lecz babcia kupiła w Londynie grubą i ciepłą pelerynę z kapturem do noszenia na pokładzie statku, Phoebe zarzuciła ją więc na ramiona, zapięła pod szyją i właśnie przetrząsała zawartość szuflady komody .w poszukiwaniu rękawiczek, gdy ktoś nieoczekiwanie odezwał się za jej plecami, od czego omal nie wyskoczyła ze skóry.

- Mogę spytać, czy panienka się gdzieś wybiera? Odwróciła się z okrzykiem:

- Wielkie nieba! Ależ mnie przestraszyłaś, Muker! W ogólnie nie słyszałam, kiedy weszłaś.

- Nie, panienko? - spytała zimno pokojówka, stojąc w progu ze skrzyżowanymi rękami. - Czyżby panienka zamierzała wyjść?

To pytanie, zadane tonem strażnika więziennego, zirytowało Phoebe, choć więc zarumieniła się lekko, odparła zdecydowanie:

- Tak. Na spacer.

Nie dodała nic więcej, ponieważ wiedziała, że

nieprzyjemny ton Muker wynikał głównie z zazdrości; raczej należało jej współczuć, niż się na nią złościć.

- A czy mogę spytać, czy jaśnie pani wie o tym?

- Spytać możesz, lecz zastanawiam się, czemu miałabym ci odpowiadać - odparła Phoebe, mimo wszystko coraz bardziej rozdrażniona.

- Byłoby to wbrew moim obowiązkom, gdybym pozwoliła panience wyjść bez zgody pani.

Phoebe wpadła w furję.

- Ach, tak? No to zobaczymy, czy mnie zatrzymasz!

Ponieważ pokojówka nadal stała na jej drodze, nie pozostało jej nic innego, jak odsunąć ją na bok. Na policzkach Muker wykwitły dwie ceglaste plamy. Podążyła za wnuczką swej pani.

- Bardzo pięknie, panienko! Lady Ingham dowie się o wszystkim! Myślałam, że ma już dość zmartwień na głowie, ale widać...

- Jak śmiesz tak się do mnie odzywać?! - przerwała jej Phoebe, zatrzymując się gwałtownie u szczytu schodów. - Jeśli babcia będzie chciała wiedzieć, dokąd poszłam, możesz ją przecież bez trudu uspokoić, mówiąc, że jestem pod opieką pana Orde'a.

- Pospiesz się, Phoebe! - ponaglił Tom, stojący w holu u stóp chodów. - Zaraz będzie za późno.

- Idę! - odparła i zbiegła do niego.

- To trwało całe wieki - wymruczał, niemal wypychając ją przez drzwi na ulicę. - Przytrzymaj sobie tę pelerynę, inaczej wiatr cię porwie. Co się stało? - dodał, widząc minę przyjaciółki.

- Ta okropna Muker śmiała mi zabronić wyjścia!

- Och, zapomnij o niej - doradził, kuśtykając żwawo u jej boku. — Skwaśniała stara zrzęda! Poczekaj, aż zobaczysz te pantomime w porcie, od razu ci się humor poprawi. Wcale się nie zdziwię, jeśli już pół miasta zleciało się oglądać to przedstawienie. Mam tylko nadzieję, że jeszcze nie zdążyli tego załadować na pokład.

- Ale czego?

- Powozu - odparł ze śmiechem.

- Tom, pusta głowo, tylko po to wyciągnąłeś mnie na ten wiatr?

- Tylko? To nie jest zwykły powóz, uwierz mi na słowo. Należy do kogoś, kto wynajął szkuner, by płynąć do Calais wraz z rodziną. Jest tam on sam, jakiś dzieciuch, który wygląda na jego pokojowca, ponadto... Nie, sama zobaczysz! Kiedy postanowiłem biec po ciebie, właśnie się spierali, jak przetransportować to cacko na pokład, a cały orszak tragarzy niósł tyle skrzynek szampana i koszy z jedzeniem, że starczyłoby na podróż do Indii. No i proszę, nie mówiłem? Co najmniej pół miasta już tu sterczy.

Nawet jeśli Tom nieco przesadził, to z całą pewnością na wybrzeżu zebrał się spory tłum gapiów, którzy z najwyższym zainteresowaniem obserwowali poczynania ludzi, zamierzających przenieść wielki ekwipaż na pokład „Betsy Anne”. Nieduży człowieczek, określony przez Toma mianem dzieciucha, nie spuszczał baczego spojrzenia z owego zdumiewającego pojazdu, co i rusz też podbiegał, by odpędzić dzieciarnię, próbującą zajrzeć do środka.

- Zabierajcie te wasze brudne ręce! - krzyczał rozpaczliwym falsetem. - Jazda stąd! Już was tu nie ma!

Jego niepokój był zrozumiały, gdyż lśniący powóz doprawdy nie miał sobie równych. Był przeogromny, wysoko zawieszony na pasach między groteskowo wielkimi kołami. Wokół dachu zwieszały się pozłacane metalowe ornamenty. Koła i drzwi pomalowano na jaskrawoniebiesko, resztę na jasny brąz. Wnętrze, w którym widać było przepastne, wyściełane poduchami siedzenie i rozkładany stolik, obito niebieskim aksamitem.

- Bajkowa karetka dla Kopciuszka, zrobiona z dyni! - oceniła natychmiast Phoebe. — Któż mógł zamówić wykonanie czegoś równie dziwnego?

Załoga na pokładzie szkunera miotła się tam i sam, a ponieważ na każdym kroku przeszkadzali jej liczni tragarze, wyrażała swe niezadowolenie tyleż szczerze, co dosadnie.

- Przygotowują się do wypłynięcia - objaśnił Tom. - Ale się uśmieję, jeśli przez to wszystko przegapią przyplływ.

Phoebe z rozbawieniem obserwowła całą scenę, gdy nagle jej spojrzenie padło na małego chłopczyka, który krytycznym wzrokiem przypatrywał się poczynaniom dorosłych. Przez moment nie wierzyła własnym oczom, po czym mocno chwyciła przyjaciela za ramię.

- Edmund!

- Co? - spytał ze zdziwieniem, gdyż patrzyła na małego jak na ducha. - O co chodzi?

- Edmund Rayne! Bratanek księcia Salforda!

Tom bystro spojrział na dziecko.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście! Tom, zaczynam podejrzewać najgorsze... Jak wyglądał właściciel powozu?

- Jak paw skrzyżowany z papugą. Komiczna figura. ..-

Phoebe zbladła.

- Fotherby! Lady Rayne musi więc być na pokładzie. Widziałeś ją? Widziałeś bardzo piękną damę?

- Nie, tylko tego dandysa, jego pokojowca i jeszcze tego człowieka, który wygląda mi na ich przewodnika. Chcesz powiedzieć, że ci dwoje uciekają, żeby się potajemnie pobrać?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Przede wszystkim porywają dziecko. Och, Tom, to wszystko moja wina! Muszę natychmiast dostać się na ten statek.

Przytrzymał ją.

- Nigdzie nie pójdziesz. Co ty wygadujesz, jaka twoja wina? Przestań mi tu popadać w jakieś chimeryczne humory, z łaski swojej.

- Nie rozumiesz? Przecież mówiłam ci, że właśnie dlatego żałuję napisania tej okropnej książki.

- Pamiętam, co mówiłaś, lecz nie można winić twej powieści za fanaberie lady Rayne, która ucieka z jakimś frantem-galantem! Jeśli powzięłaś szalony zamiar, by się do nich wtrącać, to ostrzegam, że nie pozwolę zrobić ci z siebie takiej furiatki. To nie twoja sprawa.

- Tom, jeśli ona istotnie wbrew woli prawnego opiekuna zabiera Edmunda z Anglii, to tylko mnie można za to winić - odparła z determinacją. - Nie będę mogła nikomu spojrzeć w oczy, gdy do tego dojdzie. To ja ją zachęciłam. Dopóki nie przeczytała powieści, nie miała takich pomysłów. Sama mi powiedziała, jak bardzo zapadło jej w pamięć zakończenie, a ja nie odgadłam, co ona sobie roi.

- Miałyby postąpić według tego, co było napisane w jakiejś zupełnie fantastycznej powieści? Toż musiałyby mieć pusto w głowie.

- Kiedy ona właśnie ma pusto w głowie! Jeśli wywiezie Edmunda do Francji, to nie wiem, czy książkę będzie mógł go odzyskać lub choćby odnaleźć, ale nawet jeśli uda mu się odebrać powierzone jego opiece dziecko, będzie go to kosztowało wiele trudu, w dodatku wywoła kolejny skandal, a wszystkiemu ja będę winna. Nie mogę wziąć na siebie jeszcze i tego, nie zniosę już nic więcej! Musisz mnie do nich puścić. Gdyby udało mi się zapobiec wywiezieniu Edmunda z kraju, to może Sylvester... Może ludzie powzięliby o mnie lepsze mniemanie. Tom, nie przestaję żałować, że w ogóle cokolwiek napisałam, ale tego cofnąć już niepodobna. Jeślibym jednak zrobiła coś dobrego dla księcia, czy nie byłoby to zadośćuczynieniem?

Uderzyła go ogromna powaga Phoebe oraz niemal tragiczny wyraz jej oczu.

- Skoro uważasz, że tak byłoby lepiej... - zaczął po chwili Tom. - Tak po prawdzie, to jeśli tego chłopca zabierają do Francji bez wiedzy i zgody opiekuna, jest to wbrew prawu, możemy więc wtrącić słówko w tej sprawie...

Phoebe już wchodziła na trap. Kiedy znalazła się na pokładzie, z drzwi prowadzących do części rufowej wynurzył się sir Nugent. Spozstrzegł ją od razu. Podniósł do oka monokl, przyjrzał jej się, a rozpoznawszy ją, podszedł, uklonił się i odezwał zyczliwie:

- Ach, panna Marlow! Jakże się mieszymy? Na mą duszę, jakże to miło z pani strony fatygować się do nas z wizytą. Cieszę się, mogąc powitać panią na naszym pokładzie. Zgrabny

stateczek, prawda? Wynająłem cały, przecież nie mogłem pozwolić, by dama płynęła byle czymś pocztowym.

- Sir, czy zechciałby mnie pan zaprowadzić do lady Rayne? - spytała wprost, ignorując te wszystkie grzeczności.

- Z największą przyjemnością, czy jednak nie poczyta pani tego sobie za obrazę, jeśli pozwolę sobie przemycić aluzję? Nie do lady Rayne.

- Rozumiem... Do lady Fotherby?

- Nie - odparł z żalem. - Nie do lady Fotherby. Do lady Ianthe Fotherby. Tak, mnie też to stoi kością w oku, lecz ona mi mówi, że jak się ją nazywa lady Ianthe, to czuje się o dziesięć lat młodsza. Doskonale pojmuję, jaką jej to sprawia przyjemność, pani zapewne również?

W tym momencie konwersacja została przerwana/gdyż zbliżył się do nich panicz Rayne, stanął na wprost sir Nugenta i spytał:

- Kiedy zobaczę cyrk?

Chłopiec musiał mocno zadrzeć głowę, by spojrzeć w twarz wysokiemu mężczyźnie, lecz jego spojrzenie było surowe i wyraźnie wprawiło eleganta w popłoch.

- Ach! Och! Cyrk! Tak, właśnie! Cyrk!

- Mieliliśmy jechać do cyrku - wytknął mu Edmund. — Mówiłeś, że jak będę grzeczny, to zobaczę cyrk.

- Naprawdę tak mówiłem? - spytał z zakłopotaniem sir Nugent.

- Tak. Aha, po to, żebym był grzeczny - dodał chłopiec ponuro.

- Utrafiłeś w sedno. Sytuacja była diabło trudna, mój drogi, cóż było robić?

- Zelgałeś! Jesteś niedobry! Pan Niedobry! Nie chcę cię na nowego papę. Mój papa nikogo nie oszukiwał!

- Zrozumie mnie - poprosił Fotherby. — Co miałem począć, skoro nie chciałeś z nami jechać i groziłeś, że się rozbeczysz? Cała rodzina i służba by się zbiegła, mielibyśmy się z pyszna.

- Chcę do domu!

- Naprawdę chcesz, kochanie? - wtrąciła szybko Phoebe. - W takim razie poproszę twą mamę, żebym mogła cię tam odwiedzić. Pamiętasz mnie? Opowiadałeś mi kiedyś o kucyku.

Obrzucił ją baczny spojrzeniem. Musiał ją chyba polubić, gdyż jego buzia rozpogodziła się nieco. Grzecznie wyciągnął rączkę na powitanie.

- Jesteś tą panią, która zna Keighleya. Tak, ty możesz zabrać mnie do domu - zezwolił łaskawie. - A jak mi opowiesz o kucyku, to nawet nie będę chorował - obiecał.

- Kiepski z niego podróżnik - oznajmił teatralnym szeptem sir Nugent. - Jak tylko wsiądzie do powozu, od razu mu się kręci w brzuchu. Bardzo to niefortunne, bo lady Ianthe robi się od tego

nerwowa. Szkoda, że nie mogliśmy zabrać jego niani, ale moja pani się nie zgodziła. Opiekunka przekupić by się nie dała, trzeba było ją okpić. Edmund miał jechać z pokojówką, a ta w ostatniej chwili zabiła nas z pantafyku. Za nic nie wejdzie na pokład, bo się boi, mówi nam. Ja ją tedy pytam, co by się stało, gdyby Nelson też się bał wejść na pokład. Ona nie wie. Żabojady by tu wylądowały, odpowiadam. Nic by ich nie powstrzymało, mówię. Na to ona, że nawet gdyby weszła na statek, to też ich nie powstrzyma i też wylądują. Gdyby, gdyby... I tak by nie weszła! Kapryśne kobiety, jedna nieprzekupna, druga na statek nie wsiądzie. Koniec końców zapędziły nas w kozi róg.

- A ten pan to kto? - odezwał się nagle Edmund.

- To pan Orde - wyjaśniła Phoebe. - Sir Nugencie, czy zechciałby pan...

- Dobrze, że spytał, bo sam byłem ciekaw. Miło mi pana poznać. Moja pani zapewne powiedziała by to samo, ale chwilowo jest cierpiąca. Musiała zejść do kabiny i położyć się nieco. Pani pozwoli, że ją zaprowadzę, panno Marlow.

- Poczekam tu na ciebie, Phoebe - rzekł cicho Tom. - Pan Paw-Papuga pewnie przyjdzie dotrzymać mi towarzystwa.

Sir Nugent z galanterią podał dłoń Phoebe, by mogła pokonać krótką zejściówkę. Wyjaśnił, że kabina wydała się lady Ianthe przyciasnawa, lecz

jego pani znosiła wszelkie niewygodę z cierpliwością anioła. Otworzył drzwi i zawołał:

- Mamy gościa, najdroższa!

Ianthe spoczywała na jednej z dwóch koi w dość przestronnym, zdaniem Phoebe, pomieszczeniu. Słyszając te słowa, poderwała się z przerażonym okrzykiem, przyciskając dłonie do piersi, lecz gdy ujrzała stojącą w progu osobę, na jej twarzy odmalowała się ulga.

- Panna Marlow! Jak to możliwe? Och, jakże się cieszę, widząc panią! Pomyśleć, że to właśnie pani pierwsza przysłała złożyć mi życzenia szczęścia. Musi pani przecież wiedzieć, iż wczoraj Nugent i ja pobraliśmy się za specjalnym zezwoleniem. Wyruszyliśmy w drogę od razu spod drzwi kaplicy niezrównanym rydwanem, który Nugent kazał zbudować specjalnie dla mnie. Czyż to nie wzruszające? Wnętrze jest wybite niebieskim aksamitem w odcieniu mych oczu. Kochany, idź i powiedz tym ludziom, by mniej hałasowali. Ogromnie mnie to rozprasza. Te krzyki, tupanie, to skrzypienie nie wiem czego... Sama mam ochotę zacząć krzyczeć. Powiedz im, że cierpię na migrenę, i nie mogę znieść takiej wrzawy. Droga panno Marlow, sądziłam, że udała się pani do Paryża już przed tygodniem.

- Musieliśmy na czas jakiś zatrzymać się w Dover. Lady Ianthe, życzę pani jak najwięcej szczęścia, ale, proszę mi wybaczyć, nie w tym celu tu przybyłam. Zobaczyłam na pokładzie Edmunda i domyśliłam się, co to oznacza. Pani zapewne uzna mnie za osobę impertynencką, lecz nie może pani wywieźć syna z Anglii. Zaklinam, niech pani tego nie robi!

- Jakże to? Przecież pani sama poddała mi ten pomysł.

- Proszę tak nie mówić!

- Kiedy to prawda - odparła ze śmiechem Ianthe. - Gdy tylko przeczytałam, jak Matilda i Florian porwali Maximiliana i uciekli łodzią...

- Przecież nie sądzi pani chyba, że należało te nawypisywane przeze mnie fantastyczności potraktować poważnie. Lady Ianthe, niech mi pani zezwoli zabrać Edmunda z powrotem do Londynu. Hrabia Ugolino nie zagrażał bratankowi poza granicami swego kraju, lecz to było tylko zmyślenie na potrzeby powieści. Księżę Salford będzie panią ścigał. Nie da się wykluczyć, że zechce postawić panią przed sądem.

- Nie znajdzie nas, zapewniam - wyznała w zaufaniu Ianthe. - W dodatku on nie cierpi skandali. Zniesie najgorsze rzeczy, byleby świat nie dowiedział się o jego rodzinnych sprawach.

- Jak pani mogła mu coś takiego uczynić? I księżnej? Jakież pani ból jej sprawi, trwając przy swoim zamyśle.

Ianthe zrobiła nadąsaną minkę.

- To ja jestem mamą Edmunda, nie ona. I jest pani niesprawiedliwa, zupełnie nie dbając o moje uczucia. Pani jeszcze nie jest w stanie zrozumieć serca matki, lecz przynajmniej jedno powinna pani odgadnąć, mianowicie za nic nie zostawiłabym mego dziecięcia na pastwę Sylvestra. Niechże mi pani tylko nie mówi, że Maximilian nie miał oznaczać Edmunda, bo wszyscy wiedzą, że tak właśnie dokładnie jest.

- Bo tak im pani powiedziała! Och, czy nie dość już przez panią wycierpiałam? Obiecała pani pełną dyskrecję...

- I tak też było. Jedyna osoba, która usłyszała ode mnie słówko, to Sally Derwent. Przykazałam jej najściślejsze dochowanie tajemnicy - oznajmiła Ianthe urażonym tonem osoby niesłusznie posądzonej. - Jak może być pani dla mnie tak niemiła, kiedy już i tak mam stargane nerwy? Musiałam zabrać Edmunda bez opiekunki i zajmować się nim przez cały ten czas, bo wobec biednego Nugenta jest taki okropny! Tej nocy nawet oka nie zmrużyłam, gdyż nie przerwaliśmy podróży i Edmund spał na mych kolanach, ale ciągle się budził i płakał, i chciał chorować, udręczył mnie tym straszliwie. Opowiedziałam mu nie jedną bajkę, lecz bodaj pięćdziesiąt, a on ciągle grymasił, że chce do domu, aż miałam ochotę dać mu po buzi, co mi się nigdy nie zdarza. I jeszcze ta niecna pokojówka w ostatniej chwili wymówiła służbę, a na koniec pani czyni mi wyrzuty! Za wiele tego, jak na mnie jedną, nie wiem, jak dalej to zniosę, już teraz jestem cierpiąca. Czemu ci ludzie nie trzymają tego statku prosto i spokojnie, przecież jeszcze nie płynie! Jak tylko postawią żagle, czuję, że rozchoruję się zupełnie, a kto wtedy zajmie się Edmudem?

Płomienną przemowę zakończył wybuch płaczu. Phoebe czym prędzej wykorzystała to ostatnie biadanie i zaczęła przedstawiać tak srodze pokrzywdzonej piękności, jak nierozsądnie byłoby wypływać w morze i to przy takim wietrze, nie mając nikogo do opieki nad dzieckiem. Niestety,

Ianthe odparła, że woli poświęcić zdrowie, zapomnieć o wygodach, a nawet postradać zmysły od wrzawy, kołysania, migreny i braku snu, niż wyrzec się synka.

- Gdybym go oddała, ludzie powiedzieliby, że bogactwo jest dla mnie ważniejsze - zakończyła już dużo mniej szlachetnie.

Ponieważ to było akurat bardzo prawdopodobne, dalsze argumenty Phoebe trafiały w próżnię. Naraz Ianthe poderwała się z koi, twarz jej promieniała.

- Panno Marlow, znalazłam rozwiązanie! Zabierzemy panią ze sobą! To znaczy do Paryża, dalej nie. I tak pani chciała tam jechać, lady Ingham może tam do pani dołączyć, zaczeka pani na nią w ambasadzie, to się bez trudu da urządzić. Ona poradzi sobie bez pani, ma wszak pokojówkę, której ja, proszę nie zapominać, jestem pozbawiona. W rzeczy samej, pani babka sama jako pierwsza orzekłaby stanowczo, że nie powinnam podróżować bez towarzystwa innej kobiety, służącej mi wsparciem. Och, błagam, niech pani ze mną zostanie!

Phoebe jeszcze nie skończyła odmawiać, gdy sir Nugent spytał od drzwi, czy może wejść. Przyprowadził Toma i swym zwyczajem przedstawił go nadzwyczaj skrupulatnie, nie pomijając zbędnych szczegółów. Gość przeprosił za najście i wyjaśnił krótko, że przyszedł po pannę Marlow, gdyż pora wracać na brzeg. Rzucił przy tym przyjaciółce wymowne spojrzenie, informując ją bez słów, że nie udało się przemówić sir Nugentowi do rozumu.

Ianthe uśmiechnęła się do gościa najzupełniej

mechanicznie i przestała zwracać na niego uwagę. Z żarem przedstawiła swój wspaniały plan mężowi, który nie tylko uznał to za genialne rozwiązanie, lecz jeszcze oczekiwał, że młodzi znajomi mu przyklasną. Nie przyklasnęli. Tom wyjaśnił mu, najpierw taktownie, a potem już najzupełniej otwarcie, niemal dosadnie, czemu uważa to za czyste szaleństwo. Nie zamierzał ani towarzyszyć im do Paryża, ani schodzić na brzeg sam, by poinformować lady Ingham, że wnuczka zostawiła ją bez słowa.

Kiedy wchodził do kabiny, nie planował wdawania się w dyskusje, chciał tylko zabrać przyjaciółkę ze statku. Jego zdaniem, nie dało się już nic więcej zdziałać w tej sprawie, mogli więc mieć czyste sumienie. Tymczasem Ianthe zaczęła ponownie rozwodzić się nad swym żalonym położeniem i wręcz oskarżać pannę Marlow o żywienie skrupułów, skoro wszyscy wiedzą, że to właśnie ona sama swą powieścią doprowadziła do obecnej sytuacji. W tym momencie Tom zrozumiał, czemu Phoebe tak głęboko przejęła się porwaniem Edmunda, gdyż miał

przedsmak tego, z czym musiałyby zmierzyć się w przyszłości. Natychmiast wziął jej stronę i zagroził nawet, że uda się do najbliższego magistratu i doniesie o porwaniu chłopca.

- To byłoby niegodne dżentelmena - zawyrokował sir Nugent, z dezaprobatą potrząsając głową.
- Zresztą, jak pan pójdzie, my odpłyniemy i szukaj wiatru w... morzu!

Tom, coraz bardziej rozemocjonowany, odparł natychmiast:

- Na to proszę nie liczyć, gdyż zejść na brzeg nie wcześniej, niż zacznie się odpływ. Co więcej, zabiorę chłopca ze sobą, co będzie jak najbardziej zgodne z prawem. Jeśli spróbują mnie wtedy państwo powstrzymać, dopuszczają się poważnego przestępstwa.

- Pan jest wstrętny, okropny... Nugencie, gdzie jest Edmund?! - krzyknęła Ianthe. - Jak mogłeś zostawić go samego? Mógł wypaść za burtę. Przyprowadź mi go natychmiast, jeśli nie chcesz, bym oszalała z niepokoju.

- Nie, najdroższa, nie czyń tego. I nie troskaj się, jest tu dość marynarzy, by od razu go wyłowili. Ale oczywiście zaraz po niego pójść, skoro chcesz mieć go przy sobie, co zda mi się dziwne...

- Na pewno nie wypadnie za burtę - rzekł Tom, gdy sir Nugent opuścił kabinę.

- Co pan może o tym wiedzieć? To ja jestem jego matką. Nie zaznam ani chwili spokoju, dopóki nie utulę go w ramionach.

Powtórzyła to nawet z jeszcze większą emfazą, gdy jej świeżo poślubiony mąż wrócił sam, oznajmiając, że chłopiec jest bezpieczny pod opieką pokojowca i bardzo zajęty obserwowaniem, jak powóz jest przenoszony na pokład statku. Nie, Ianthe koniecznie chciała widzieć go przy sobie. Gdy jednak dowiedziała się, że jej synek kopnął swego nowego papę, który chciał go zabrać do mamy, szybko przestała upierać się przy obecności chłopca w kabinie. Tak, Nugent słusznie zrobił, zastawiając go na pokładzie, bo gdyby sprowadzony na dół Edmund zaczął płakać, byłoby to ponad

jej siły, już i tak mocno nadwerężone. Niechybnie doznałaby załamania nerwowego.

Phoebe znalazła w tym punkt zaczepienia. Zaczęła przekonywać, że owa smutna okoliczność niechybnie nastąpi, gdy udręczonej matce przyjdzie samej zajmować się dzieckiem podczas trudnej przeprawy przez kanał. Nieoczekiwanie poparł ją sir Nugent. Tak, im dłużej rozważał sytuację, tym bardziej dochodził do wniosku, że to diablo dobry pomysł - pozwolić pannie Marlow odwiedzić Edmunda do Londynu.

- Jemu ten koncept bardzo się spodobał - wyjaśnił. - On tam o Francję nie dba zupełnie. Nie znosi obcych. Ba, wcale mu się nie dziwię, sam mam o nich nie najlepsze mniemanie.

Ta nieoczekiwana zdrada niemal doprowadziła złotowłosą piękność do spazmów. Wylała na małżonka całą gorycz, oznajmiła, że wszyscy są przeciwko niej, po czym dostała ataku

histerycznego płaczu. Walka była więc prawie wygrana, osądziła Phoebe i podwoiła wysiłki zmierzające do przekonania Ianthe, Tom zaś wziął na siebie zadanie przeciągnięcia nie do końca jeszcze zdecydowanego Fotherby'ego na ich stronę.

Przy czterech osobach zaangażowanych w gorący spór trudno było usłyszeć, że krzątanina na pokładzie przybrała na sile. Kołysanie statku stawało się niezauważalnie coraz silniejsze. Naraz „Betsy Anne” wspięła się na falę i opadła, a Tom zatoczył się. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje.

- O mój Boże! Płyniemy!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTA PIERWSZY

Sir Nugent wydał z siebie pełen satysfakcji chichot.

- Kazałem im odbijać, kiedy poszedłem po chłopca. A tobie, moja pani, powiedziałem, że mały patrzy, jak wnoszą powóz. Wystrychnąłem wszystkich na dudka. Ha! Czyż Nugent Fotherby nie jest bystrzejszy niż ktokolwiek inny?

- Więc tak naprawdę wcale nie chciałeś, by panna Marlow zabrała Edmunda? Och, Nugencie! - zawołała z podziwem Ianthe.

- Zgrabnie to urządziłem, prawda? Panie Orde, zgodzi się pan z tym chyba?

Tom dokuśtykał do bulaja, starając się nie stracić równowagi. Ujrzał mijające ich szare fale i aż pobladł z gniewu.

- Pan jesteś zakuta pała! Z tym się zgodzę!

- Nie przy damach - zaprotestował sir Nugent.

- Pan musi być szalony! - krzyknęła Phoebe.

Niech pan każe zawrócić! Przecież nie mogą nas państwo tak po prostu porwać! Babcia! Bagaże! Lady Ingham nie wie, gdzie jesteśmy, w dodatku nie mamy z sobą nic, prócz tego, co na sobie... Nie pomyślał pan o tym? Proszę powiedzieć kapitanowi, by natychmiast wracał do portu.

- Nie zrobi tego.

Tom ostrożnie ruszył ku wyjściu,

- Taak? Zaraz się przekonamy!

Sir Nugent uprzejmie otworzył przed nim drzwi i odezwał się pogodnie:

- Niech pan idzie, nic tu po panu. My tymczasem omówimy całą sprawę.

„Betsy Anne” wyszła już z basenu portowego, gdyż miała wiatr w żaglach i płynęła szybko. Tom chciał wspiąć się na mostek kapitański, lecz prowadzące na niego schodki były jeszcze bardziej strome niż zejściówka do kabin i nie zdołał ich pokonać, musiał więc wołać z dołu do

stojącego na górze krzepkiego człowieka, co od razu stawiało go w gorszej pozycji. Żądanie, by natychmiast zawrócić, ubawiło tamtego. Zagadnął Toma, czy to on wynajął szkuner, a usłyszawszy, że nie, oznajmił:

- Kamień spadł mi z serca.

- Jak pan nie zawróci, to znajdzie się w poważnych tarapatach!

- Znajdę się w nich, jak zawrócę.

- Jeśli zabierze pan mnie i towarzyszącą mi damę do Francji wbrew naszej woli, będzie to porwanie.

- A niech mnie! - kapitan był wyraźnie pod wrażeniem. - Kiepska sprawa.

- Bardzo kiepska!

- Jakoś sobie nie przypominam, żeby kto pana wołami na pokład wciągał. I nikt pana tu nie zwabił. Na własne oczy widziałem, jak pan i ta młoda dama weszliście na mój szkuner, nawet nie pytając, co ja na to. A może się mylę? v

- A niech to, nie myli się pan! - odparł Tom, jak zwykle prawdomówny. - Bądź pan jednak uczciwym człowiekiem i zawróć. Chyba nie chcesz pan wpędzić damy w nie lada opał, a tak się właśnie stanie, jeśli się ją wywiezie do Francji.

- To ja panu powiem, co zrobić, sir - zaproponował kapitan. - Pan tu wejdzie na mostek, dam panu ster i pan zawróci, bo ja nie jestem taki chwat, żeby pchać się do Dover przy takim wietrze od brzegu, ale wszak jestem na morzu raptem od czterdziestu lat, więc co ja tam mogę wiedzieć?

Tom spostrzegł, że kilku marynarzy zaczyna mu się przypatrywać z kpiącym wyrazem twarzy, zaczerwienił się 'więc.

- Czyli tak czy siak nie da się zawrócić?

- Nie.

- A niech to piekło pochłonie! - zawołał Tom, po czym wybuchnął śmiechem. - Tośmy się wpakowali w ładną kabałę! Hej, kapitanie, chciałbym niebawem przyjść popatrzeć, jak pan tym steruje.

- Zapraszam, sir!

Po powrocie do kabiny Tom ujrzał lady Ianthe leżącą na koi, w dłoni zaciskała flakonik soli trzeźwiących. Musiały zostać wyjęte z otwartego eleganckiego neseseru podróznego, wokół którego stała cała bateria buteleczek sygnowanych inicjałami Fotherbych, ułożonymi z szafirów, i zamykanych złotymi koreczkami. Tom aż zamrugał powiekami, oszołomiony takim zbytkiem. Sir Nugent zauważył tę reakcję i wyjaśnił z dumą:

- Robi wrażenie, prawda? To mój własny projekt. Pokazano mi z pięćdziesiąt. Nie, nie dość strojne, ja na to. To rupiecie, oszukaństwo! Tak powiedziałem. Cóż, muszę wykonypować ten

neseser sam, dodałem. Efekt ma pan przed sobą. To samo było z rydwanem mej pani. Windus, mówię do powoźnika, ma być taki, by wszystkim oczy wyszły z orbit. Żaden z tych się nie nadaje, mówię mu. Zrób według mego pomysłu. No i zrobił. Bardzo lubię koncytować różne rzeczy.

- To niech pan teraz wykoncytuje, jak nas wydobyć z tego ambarasu, w który nas pan wpakował! - sarknął Tom i ponuro spojrzął na przyjaciółkę. - Nic z tego, Phoebe. Kapitan mówi, że wiatr jest od lądu i nie da się zawrócić.

- Cóż więc mamy począć?! - wykrzyknęła ze zgrozą.

- Znieść to najlepiej, jak się da. Nic więcej nie możemy zrobić.

Mylił się. Ledwo skończył mówić, drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu pojawił się pokojowiec. Wyglądał na chorego, oczy miał zaszkłone. Jedną ręką przytrzymał się framugi, przez bark miał przerzucone dziecko.

- Sir... Pani... Panicz! - wybełkotał. - Proszę go ode mnie wziąć! Szybko!

Ianthe poderwała się z poduszek.

- Mój syn! Nie żyje?!

- Co za nonsens! - ofuknęła ją Phoebe, czym prędzej biorąc Edmunda od służącego.

- Przykro mi, sir... Ale ja nie mogę... Przez resztę drogi... - wyjąkał pokojowiec, zaciskając kurczowo na framudze już obie ręce.

Jeszcze tego brakowało! Pett, nie możesz się rozchorować!

- Sir, kiedy ja muszę... - wydusił z trudem, po czym szybko zrejterował, tym szybciej, że „Betsy Anne” właśnie wysoko zadarła dziób, by pokonać kolejną falę.

- Edmundzie, odezwij się do mnie - zażądała histerycznie Ianthe.

Phoebe do reszty straciła cierpliwość.

- Niechże pani się opamięta! Nie widzi pani, co mu jest?

Chłopiec, starając się być dzielny aż do końca, uniósł głowę znad ramienia Phoebe i odezwał się mężnie;

- Ja nie umarłem, mamusiu. Ja... Ja tylko wypłułem brzuch!

Tom ledwo zobaczył chłopca, przytomnie zaczął szukać miednicy. Podał ją Phoebe.

- Zuch z ciebie. Nic ci nie będzie - zapewnił jednocześnie chłopca z szerokim uśmiechem.

Panicz Rayne jednak, po chwilowym wybuchu odwagi, znów był małym nieszczęśliwym dzieckiem. Wargi zaczęły mu drżeć.

- Ja chcę do domu!

- Kochanie, nie choruj - odezwała się błagalnie Ianthe, blednąc. - Spróbuj pomyśleć o czymś innym, czymś miłym.

- Nie mogę - zakwilił Edmund, a po chwili porwały go torsje.

Ianthe wzdrygnęła się, zbliżyła do nosa flakonik z solami trzeźwiącymi i zamknęła oczy.

- Tobie też niewyraźnie, najdroższa? - zatroskał się sir Nugent. - Wiesz co? Przyniosę ci kapkę brandy, będziesz zdrowa jak rybka. Nie ma nic lepszego.

- Nie - jęknęła słabo najdroższa.

- Dziwna rzecz, nie sądzi pan? - Sir Nugent zwrócił się do Toma. -jedni ludzie, jak tylko spojrzą na statek, żołądek im się Wywraca, a innym nic nie jest nawet podczas nawałnicy. To musi być cecha rodzinna. Mój ojciec był zawołanym żeglarzem. Ja to samo. Słyszę z tego! Płyniemy dwa lata temu przez kanał z George'em Retfordem. To była dopiero przeprawa! Ludzie wiszą na relingach jak worki, mówię, panu, co za widok. Nugencie, wybieraj, powiada do mnie George (a to zuch nad zuchy), albo twoje cygaro pójdzie za burtę, albo ty. Ciekawe, nie sądzi pan? Nic go nie wzruszyło, zaś dymu z cygara nie dał rady znieść. A przecież nic a nic nie zzieleniał, jak siedliśmy do obiadu, my jedni zresztą, bo inni...

W tym momencie świeżo poślubiona małżonka przerwała mu te wspominki, żądając z niekłamana odrazą, by natychmiast poszedł precz.

- Skoro nic tu po nas, to możemy osuszyć z panem Orde'em butelczynę - odparł. - Oczywiście z radością zostanę, najdroższa. Wszak przysiągłem, że cię nigdy nie opuszczę, a Nugent Fotherby zawsze dotrzymuje słowa. Spytaj, kogo tylko chcesz.

- Wyjdźże wreszcie! Czy chcesz mnie zabić? Widząc, że sir Nugent zamierza wygłosić perorę, przeczącą żywieniu przez niego takich zamiarów, Tom niemal wypchnął go z kabiny.

- Ja chyba też lepiej pójdę - zadeklarował, rzucając niepewne spojrzenie na lady Ianthe. - O ile nie wolisz, bym został, Phoebe.

- Nie, nic tu nie pomożesz. Już dobrze, Edmundzie. Opatulę cię kocykiem, zrobi ci się cieplutko i zaraz ci się polepszy.

- Nie odejdę daleko - obiecał Tom. - Zawołaj, gdybyś czegoś potrzebowała.

Zamknął za sobą drzwi, przekonany, że dwójka chorych wkrótce zapadnie w sen, a jego przyjaciółka będzie jedynie nad nimi czuwać, gdy więc usłyszał jej wołanie ledwo godzinę później, zaniepokoił się. Phoebe stała u stóp zejściówki, sama bardzo blada i wyjaśniła, że Edmund czuje się gorzej.

- A ty? - zatroszczył się Tom. - Ty się nie pochorujesz?

- Nie, nie mam na to czasu - odparła cierpko. -Czekaj, nie schodź! Chcę, byś zapytał tego okropnego człowieka, czy mogę przenieść chłopca do tej drugiej kabiny, pewnie dla niego przeznaczonej, ale sądzę, że i tak nie zamierza jej używać... Ach, i gdyby udało ci się sprokurować gorącą cegłę. Edmund dostał dreszczy, w żaden sposób nie mogę go ogrzać.

- To naprawdę nie brzmi dobrze. Nadal tak choruje?

- Nie, już nie, ale cały się trzęsie, nie może się

uspokoić, nie przestaje szlochać i spazmować. Serce mi się kraje, Tom. Nigdy nie widziałam dziecka tak umęczonego płaczem, a przecież mam młodsze siostry, zajmowałam się nimi, naprawdę widziałam już niejedno. On jest przerażony, nie powinno się zabierać go w taką podróż, to czyste okrucieństwo. Ona musiała o tym wiedzieć, musiała! A teraz powtarza, że gdyby Edmund zadał sobie trochę trudu, to wszystko byłoby dobrze, ale sama sobie żadnego trudu nie zada, o, nie! Jest zanadto cierpiąca i tak wrażliwa, że na widok chorego dziecka dostaje niemal palpacji, trzeba je zabrać sprzed jej oczu. Och, Tom, gdyby ktoś teraz zaofiarował mi latający dywan, żebym wróciła do Dover, nie zrobiłabym tego. Nie zostawię tego biednego dziecka, dopóki nie oddam go pod opiekę księcia Salforda. Nie wiem, czy on w ogóle coś czuje do bratanka, lecz na pewno nie będzie dla niego gorszy niż ta... ta samolubna kreatura!

- Cicho! Nie rozpuszczaj tak języka! - mitygował ją Tom.

Phoebe zaśmiała się nieco histerycznie i ze znużeniem przeciągnęła dłonią po czole.

- Wiem, wiem... To było tylko do ciebie. Pilnuję się, żeby przy niej nic nie powiedzieć, zapewniam cię. - Naraz urwała, podniosła* palec do ust i nasłuchiwała przez chwilę. - Już idę, kochanie!

Nawet najbardziej zagorzały wróg Fotherby'ego musiał przyznać, że przy wszystkich swych wadach jest on niezmiernie życzliwy i każdemu chciałby nieba przychylić. Usłyszawszy prośbę Phoebe, natychmiast udał się na dół, by wręcz błagać o zaszczyt

odstąpienia jej i Edmundowi kabiny. Wygląd chłopca naprawdę nim wstrząsnął.

- Biedaczysko! A to ci go wzięło! - powtórzył tyle razy, że jeszcze bardziej zdenerwował małżonkę. Poinformowany o tym fakcie, pospiesznie odwrócił uwagę od Edmunda i rzekł z troską: - Nadal ci nieswojo, moje serce? Czekaj, powiem ci coś, co cię podniesie na duchu. Przy tym wietrze dotrzemy do Calais raptem za cztery godziny.

- Za cztery godziny - powtórzyła głucho. - Jak możesz być takim okrutnikiem, by mi to mówić? Jeszcze cztery godziny tych tortur. Nie przeżyję tego! Och, moja głowa!

- I co tu zrobić? - Sir Nugent wyszeptał na ucho Phoebe: - Pewnie trzeba by zdrowo na nią wrzasnąć, to by ją uzdrowiło. Ale to diablo przykre rozwiązanie, za skarby świata nie chciałbym się do niego uciekać.

- Sądzę, że zostawienie jej samej dobrze wszystkim zrobi - skwitowała sucho. - Lady Ianthe, gdzie znajdę nocną koszulę Edmunda? Czy jego ubranka włożono do pani kufra? Mogę ich tam poszukać?

Niestety, czuła matka nie mogła zabrać z domu żadnych rzeczy synka, gdyż wzbudziłoby to podejrzenia jej rodziców oraz służby.

Phoebe spojrzała zdumionym wzrokiem na zgrabny nowiutki kufer podróżny oraz na dwa stopy pudeł - krągłych z kapeluszami, podłużnych z sukniami.

- Ale...

- Musiałam kupić wszystko nowe, i to w tak przeogromnym pośpiechu, że z łatwością było o czymś zapomnieć... -Podczas tego wyjaśnienia jej głos stawał się stopniowo coraz cichszy.

— To ja chciałem, by moja pani wyszykowała się na podróż jak najmodniej, a resztę rzeczy wyekspediowała do mojego domu. Pomysł przedni, prawda?

Okazało się więc, że pochłonięta kompletowaniem wyprawy lady Ianthe zupełnie nie pamiętała o zatroszczeniu się o potrzeby synka.

Edmund, zabrany do mniejszej kabiny, położony na koi i otulony pledem razem z butelką po szampanie pełną gorącej wody, przyniesioną z kambuza przez Toma, uspokoił się, a wkrótce zasnął. Czuwająca przy nim Phoebe sama też właśnie zamierzała się trochę zdrzemnąć, gdy zjawił się sir Nugent, błagając, by zechciała dopomóc jego najdroższej. Wyjaśnił szeptem, że w jego panią diablo coś wstąpiło, ponadto potrzebowała pomocy w sprawie zbyt delikatnej, by można o niej powiedzieć.

Phoebe, nie posiadając się ze zdumienia, o co też może chodzić, udała się do kabiny Ianthe. Owa delikatna sprawa oznaczała jedynie konieczność poluzowania tasiemek gorsetu. Fotherby jednak nie przesadzał co do stanu małżonki. Rzeczywiście sprawiała wrażenie, jakby działo się z nią coś i niedobrego, puls miała przyspieszony i nierównomierny.

Tak się niefortunnie złożyło, że Edmund obudził się podczas nieobecności nowej opiekunki. Ledwo ujrzał ojczyrna, żywiłowo zademonstrował niechęć. Sir Nugent próbował wykazać pasierbowi nielogiczność jego żądań, gdyż wypraszenie kogoś

z jego własnej kabiny jest pewną przesadą. W odpowiedzi został znów nazwany panem Niedobrym, Z powagą starał się wykazać chłopcu, że się myli, lecz Edmund pozostał głuchy na wszelkie wywody. Kiedy chorował, całą jego uwagę pochłaniały dolegliwości fizyczne, lecz gdy już nie męczyły go torsje i nie trzęsły nim dreszcze, odezwały się w nim inne potrzeby. Buzia małego, przestraszonego chłopczyka, którego podstępnie zabrano z bezpiecznego domu, ściągnęła się do płaczu.

— Gdzie mój Guziczek? - Zachlipał.

- Hę?

Edmund wtulił twarz w poduszkę i powtórzył stłumionym, lecz zdecydowanym głosem, czego chce.

- Aha. Chcesz guziczka. Nie płacz, po co płakać? Diablo dziwna prośba, ale skoro chcesz... Jaki guziczek?

- Mój Guziczek!

- Ależ oczywiście, drogi chłopcze, ależ oczywiście - uspokajał go pospiesznie sir Nugent. - Nie ma co tak się trapić! Powiedz mi tylko...

- Guuuuuuziczek! - zawołał Edmund i rozplakał się na dobre.

Gdy pięć minut później Tom zajrzał do kabiny, chłopca nie było widać. Skulił się cały pod pledem, spod którego wydobywały się histeryczne łkania. Jego znekany ojczym wyciągał właśnie podszewką na wierzch kieszenie nankinowych pantalonów.

- Cóż tu się dzieje? — spytał Tom, wchodząc do środka i zamykając za sobą drzwi. - Gdzie panna Marlow?

- Pomaga małżonce - odparł z lekkim roztargnieniem Fotherby - Proszę jej nie wołać, potrafię zająć się Edmudem. Ekstraordynaryjny młody człowiek, powiadam panu! Najpierw wziął mnie za niedobrego, widać wciąż się na mnie nie wyznał, a teraz chce dostać guzik.

- Niechże mu więc pan go da. - Tom dokuśtykał do koi i uniósł pled. - Edmundzie, co z tobą?

- Gdzie... mój... Guziczek? - Zaszlochał spazmatycznie, wsuwając się głębiej pod przykrycie.

- Chyba mu się pomieszało w głowie. Nic innego nie mówi, tylko to jedno. Skąd ja mu wezmę guzik? Czy gdyby pan był w jego sytuacji, Orde, chciałby pan guzika?

- Dzieci często mają zdumiewające zachcianki, pamiętam po sobie. Niech mu pan da któryś ze swoich.

- U licha, przecież nie noszę ich przy sobie! -Naraz zaświtało mu straszliwe podejrzenie. - Chyba nie żąda pan, bym któryś... odciał?

Tom stracił cierpliwość.

- A czemu nie?

Na te słowa sir Nugent przeżył szok, lecz, będąc człowiekiem dzielnym, mężnie się z niego otrząsnął.

- Niech pan obetnie swój.

- Niepodobna. To jedyne ubranie, jakie mam, i to dzięki panu właśnie. W dodatku nie ja jestem ojczymem Edmunda.

- Mnie tego honoru też odmawia, więc ta okoliczność się nie liczy. Równie dobrze mógłbym się zresztą obejść bez tego. U licha, to ambarasujące

mieć pasierba, który przy ludziach nazywa człowieka niedobrym.

Tom nawet nie zamierzał na to odpowiadać, ponaglił za to, by sir Nugent sprokurował jakiś odpowiedni guzik. Z ciężkim westchnieniem Fotherby Otworzył jeden ze swych licznych sakwojaży i zamyślił się głęboko. Potrzebował trochę czasu, by zdecydować, która z kurtek może być mu najmniej potrzebna w najbliższej przyszłości. Wreszcie zdecydował się poświęcić

elegancki surdut do jazdy konnej, a gdy zaczął odcinać od niego guzik równie eleganckim scyzorykiem, widać było, jak wielki ból sprawia mu ta operacja. Pocieszała go jedynie świadomość, że sprezentowanie chłopcu tak okazałego i pięknego guzika niechybnie poprawi jego wizerunek w oczach Edmunda.

Podszedł do koi i rzekł triumfalnie:

- Nie ma co płakać, drogi chłopcze. Oto twój guziczek!

Łkania ucichły w jednej chwili. Edmund odrzucił pled, na jego zalanej łzami buzi malował się radosny uśmiech. Wyciągnął ramionka przed siebie, a ojczym włożył mu guzik do jednej z rączek;

Przez moment panowała cisza. Chłopiec patrzył na owo niespodziewane trofeum, powoli zdając sobie sprawę ze straszliwej perfidii pana Niedobrego, który go znowu okrutnie oszukał. Do poczucia najgłębszego zawodu dołączył jakże słuszny gniew. Edmund cisnął guzik w odległy kąt, rzucił się na koję i dał upust nieutulonemu żalowi.

- Na litość boską! - wykrzyknął z desperacją Tom. - Czegóż ty właściwie chcesz, berbeciu?

- Mojego Guziczka!

Odgłosy tej hysterii dobiegły uszu Phoebe, która zjawiała się w kabinie niemal natychmiast. Sir Nugent zapewnił, że nie znęca się nad chłopcem, przeciwnie, dla zaspokojenia jego zachcianki poświęcił jedn z swych najpiękniejszych surdutów, zniszczył go na dobrą sprawę, gdyż chłopiec rozpaczliwie żądał guzika do zabawy. Phoebe zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem.

- Chodziło oczywiście o jego nianię, powinien pan wiedzieć takie rzeczy. Och, idźcie mi już stąd obaj! Chodź do Phoebe, kochanie! Moje ty biedactwo...

- Powiedział, że to mój Guziczek — szlochał w jej objęciach Edmund. - Niedobry, Niedobry! Nie chcę go na papę, nie chcę, nie chcę!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

„Srebrny Lew” był najwykwintniejszym zajazdem w Calais. Sinderby, przewodnik wynajęty przez sir Nugenta Fotherby'ego w celu zapobieżenia wszelkim niedogodnościom podczas zaczynającego się z pewnym opóźnieniem miodowego miesiąca, zarezerwował w zajeździe dwie najlepsze sypialnie i salonik. Przybył do Francji wcześniej, by znaleźć dla możnego chlebodawcy odpowiednie zakwaterowanie i w porcie, i w najlepszym hotelu w Abbeville, gdzie wypadła kolejny nocleg w drodze do stolicy. Wynajął też bonę dla panicza Edmunda, po czym wrócił do Dover, by nadzorować załadowanie bagaży państwa na pokład szkunera. Przez cały ten czas żywił przekonanie, że zadbał o wszystko.

Tymczasem jaśnie pani przybyła bez pokojówki, co już stanowiło poważny kłopot, gdyż oznaczało konieczność zatrudnienia takowej, gdy tylko całe

towarzystwo zejdzie ze statku. Oczywiście nie da się w tak krótkim czasie i w takim miejscu jak port w Calais znaleźć stosownej służącej. Lady Ianthe Fotherby będzie musiała poczekać z tym aż do Paryża, a po drodze zdać się na usługi jakiejś prostej dziewczyny. Niestety, piękna dama nie wyglądała na kogoś, kogo łatwo zadowolić. Co więcej, na pokładzie „Betsy Anne” zjawiły się jeszcze dwie dodatkowe osoby, które nie tylko obracały wniwecz dotychczasowe wysiłki Sinderby'ego, ale też wydawały mu się mocno podejrzane. Nie miały one żadnych bagaży, a kiedy po przybyciu do Calais poprosił o ich paszporty, młodzieniec z okrzykiem zgrozy klepnął się po kieszeni.

- Tylko nie mów, że nie masz paszportów! -zawołała panna Marlow.

- Mam je wszystkie - odparł ponuro Tom. -Wszystkie cztery.

Słyszając tę odpowiedź, panna Marlow wyglądała tak, jakby miała lada moment zemdleć.

Oj, coś to śliska sprawa, ocenił w myślach przewodnik.

Wiedział już, że wbrew początkowym przewidywaniom po przybyciu do Francji będzie musiał się nieźle wyteżać, lecz doprawdy nie przypuszczał, że zostanie wysłany po sprawunki z misją nabycia nocnej koszuli dla sześciolatniego dziecka. Co gorsza, ani pieniądze sir Fotherby'ego, ani nawet tyrada skierowana przez bogatego eleganta pod adresem właściciela zajazdu nie zdołały zapewnić dwóch dodatkowych pokoi, gdyż „Srebrny Lew” pękał w szwach i nie znalazłoby się w nim nawet

jedno wolne miejsce. Ostatecznie zakwaterowano pannę Marlow na poddaszu, gdzie miała spać pokojówka lady Ianthe, Tomowi wstawiono zaś łóżko do sypialni sir Nugenta, z czego oczywiście żaden z dżentelmenów nie był zadowolony. Sinderby musiał też jak najszybciej wyszukać służącą dla jaśnie pani, lecz nadarzyła się jedynie bardzo prosta dziewczynina, która musiała niechybnie wywołać niezadowolenie lady Ianthe. Nikogo innego nie było.

Gdy wrócił z miasta, znalazłszy w składzie pasmanternika dziecięcą nocną koszulę, odkrył, że kolejny efekt jego wysiłków został zmarnowany. Panicz Edmund nie zaaprobował zatrudnionej do niego znakomitej bony o nieskazitelnych referencjach.

- Musiałem ją odesłać, bo ta kapuściana głowa zaczęła do niego gdakać po żabojadku - objaśnił go sir Nugent. - Oczywiście chłopcu to się nie spodobało. Z góry to przewidziałem. Zobacz pani, mówię do panny Marlow, co będzie z tego jej gadania. No i proszę. Ale to nie wadzi, bo panna Marlow chce mieć nad nim pieczę. To był diablo dobry pomysł, by wziąć ją ze sobą.

Ponieważ lady Ianthe położyła się, gdy tylko przybyli pod „Srebrnego Lwa”, do kolacji w wynajętym salonie zasiadły jedynie trzy osoby. Edmund, który odzyskał wigor natychmiast po postawieniu stopy na suchym lądzie, na szczęście zasnął w łóżeczku wstawionym specjalnie dla niego do malutkiej izdebki Phoebe. Czuwał nad nim Pett, jednocześnie prasując uprzednio wypraną jedyną dzienną koszulę chłopca. Miał to robić każdego wieczoru, dopóki garderoba Edmunda nie zostanie uzupełniona.

Phoebe była zbyt zmęczona, by rozmawiać, Tom zaś nazbyt zdenerwowany ich położeniem, ciężar prowadzenia konwersacji spadł więc na barki sir Nugenta. Przez cały czas trwania posiłku starał się zabawiać młodych znajomych snuciem najróżniejszych wspominków, lecz gdy sprzątnięto nakrycia, przeprosił ich i udał się na dół, by zapalić cygaro.

- Nareszcie - skwitował z ulgą Tom. - Phoebe, musimy zdecydować, co dalej. Nie chciałbym krakać, ale znaleźliśmy się w poważnych opałach,

- To prawda - przyznała z godnym podziwu spokojem - ale ja przynajmniej wiem, co robić. Zanim cokolwiek omówimy, chciałabym napisać dwa listy, jeśli nie masz nic przeciw temu. Rozmawiałam już z przewodnikiem w tej sprawie. Wyśle je do Anglii najbliższym statkiem pocztowym, i to przez posłańca. List do babci, razem z paszportami jej i Muker zostanie niezwłocznie dostarczony do zajazdu „Pod Statkiem”, ale nie wiem, jak szybko to nastąpi, gdyż przy tym wietrze statki mogą jutro nie wychodzić z portu. - Westchnęła. - Oby tak się nie stało, ale ponieważ i tak nie ma innego wyjścia, muszę przestać się tym martwić.

- A ten drugi list? Do Sylvestra? - spytał bystro.

- Oczywiście. Jeśli nie uda mu się odkryć, dokąd uciekła Ianthe...

- Niepodobna! Wystarczy, że dowie się o tym powozie, wtedy wyśledzi ją z łatwością.

- Tak, też na to liczę. Nie mamy jednak pewności, czy tak się stanie. Wolę do niego napisać, że postaram się zostawiać dla niego wieści w każdym

miejscu, w którym się zatrzymamy, i że Edmund jest pod moją opieką.

- Dobrze, zaraz napiszesz, ale najpierw musimy omówić ważną sprawę. Ile masz pieniędzy? - Ujrzał, jak przyjaciółka smutno potrząsa głową. - Żadnych? Tak właśnie myślałem. Ja mam tylko to, co w kieszeniach, w sumie dwie gwinee, piętnaście szylingów i kilka półpensówek. Banknoty, które dostałem od ojca, są zamknięte w moim kufrze podróżnym. Pewnie mógłbym poprosić Fotherby'ego o pożyczkę, ale to mi się nie uśmiecha, powiem ci szczerze. Już i tak musiałem pożyczyć od niego koszulę oraz kilka fularów i chusteczek. A jak ty sobie poradzisz?

- Och, to doprawdy najprzykrzejsze ze wszystkiego! - wykrzyknęła. - Ja oczywiście musiałam poprosić o podobną przysługę lady Ianthe, ale człowiek wolałby nie zaciągać żadnych zobowiązań wobec tych dwojga i nic im nie zawdzięczać. Rychło jednak przestaniemy być od nich zależni, jeśli

wszystko pójdzie po mojej myśli. Babcia otrzyma paszporty wraz z listem, zapewne więc wyruszy od razu, nie zważając na pogodę.

- Jestem tego samego zdania. Ależ się będzie na nas srożyć!

- Zapewne, nie sposób wszak jej za to winić. Cóż, gdybyśmy nawet musieli jechać dalej niż do Paryża... Nie, księżę Salford dogoni nas, zanim do tego dojdzie, choćby miał udać się w drogę dopiero po otrzymaniu listu. Sir Nugent przewidział na podróż do stolicy cztery dni, lecz pewnie zajmie to więcej ze względu na Edmunda. Jeśli w ogóle uda im się opuścić Calais...

- Chcą wyjechać jutro, tak?

- Tak, lecz nie wiem, czy nie utkną tu na parę dni. Tom, lady Ianthe zdaje się naprawdę chora.

- Jeśli tak, to wszyscy postradamy od tego zmysły, ale co zrobimy, jeśli nic jej nie jest?

- Ja na pewno pojedę z nimi, nie zostawię Edmunda. Owszem, utrapienie czasem z nim wielkie, ale przecież to tylko dziecko. Kiedy pocałowałam go na dobranoc, objął mnie rączynami za szyję i kazał obiecać, że go nie zostawię. Łzy napłynęły mi do oczu. On nie rozumie, co się dzieje, lęka się, bym i ja raptem nie znikła. Zapewniłam, że nie odstąpię go ani na krok, zanim nie trafi z powrotem do swej niani. To go trochę uspokoiło. Tom, za nic nie mogę go zawieść!

- Rozumiem.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Wiedziałam, że zrozumiesz. Zastanawiałam się wszakże, czy ty nie powinienesz pożyczyć pieniędzy od sir Nugenta i wrócić do Dover, by towarzyszyć babci w przeprawie przez kanał.

- Nie chcę tego słuchać! - przerwał jej. - Jeśli sądzisz, że wyprawię cię z tą parą postrzeleńców na nie wiadomo jakie wojaże po obcym kraju, to nigdy nie byłaś w większym błędzie.

- Miałam nadzieję usłyszeć od ciebie podobną odpowiedź - wyznała szczerze. - Sir Nugent okazał się wprawdzie miły i życzliwy, ale cieszę się niezmiernie, że będę mieć cię przy sobie.

- Miły to on jest, nie przeczę, lecz to jeszcze nie czyni z niego porządnego człowieka. Straszne z niego ladaco, jeśli chcesz wiedzieć. Na statku naopo-

wiadał mi o sobie wystarczająco dużo. Jest dla mnie jasne jak słońce, że należy do wesołej kompanii bardzo bogatych nicponi, którym tylko zabawy i swawole w głowie. Nie dość, że głupiec, to jeszcze bez zasad, jak mawia mój ojciec. Gdyby miał odrobinę przyzwoitości, nie porwałby Edmunda. Ani nas.

Niespodziewanie uśmiechnęła się.

- Pan Niedobry!

- Jak widać, chłopiec ma całkiem sporo oleju w głowie - przyświadczył z szerokim uśmiechem Tom.

Następnego ranka, gdy Phoebe sprowadziła Edmunda do salonu na śniadanie, okazało się, że lady Ianthe wciąż jeszcze nie wstała. Niestety, nadzieje na pozostanie w Calais okazały się płonne. Sir Nugent poinformował z powagą, że jego pani, choć diablo cierpiąca, wyraziła życzenie jak najrychlejszego w yjazdu z tego okropnego miejsca. Przez całą noc nie zmrużyła oka. Jacyś ludzie przechodzili korytarzem pod jej drzwiami, inni, w pokojach nad jej sypialnią, ściągnawszy buty, ciskali nimi po kątach, jeszcze inni trzaskali drzwiami, a za oknem pojazdy turkotały na bruku, od czego aż dostała tiku. Wyjedzie do Abbeville, choćby miało ją to zabić.

Słyszając to ostatnie, siedzący obok Phoebe Edmund podniósł głowę znad talerza.

- To ty chcesz mamę zabić - oznajmił.

- Ja? Też coś! Nie wolno mówić takich rzeczy.

- Mama sama to powiedziała. Na statku.

- Tak, ale... Och, banialuki, i tyle! Jestem jej gorąco oddany. Spytaj, kogo chcesz.

- I zełgałeś mnie, i...

- Jedz jajko i nie gadaj tyle - przykazał Tom, po czym zwrócił się ścisłym głosem do zakłopotanego arystokraty: - Na pana miejscu nie sprzeczałbym się z chłopcem.

- Łatwo panu mówić, bo to nie z pana robi przed ludźmi raroga - zaprotestował sir Nugent. - Skąd mam wiedzieć, co on jeszcze wymyśli?

- Jak stryjek Vester się dowie, jak mnie oszukałeś, to pożałujesz, zobaczysz - zawyrokował złowieszczym tonem Edmund.

- Widzi pan? Zaraz zacznie rozpowiadać, jaki to ja byłem dla niego niedobry.

- Stryjek Vester jest najstraszniejszy na świecie - ciągnął mały prześladowca sir Nugenta.

- Nie powinno się tak mówić o stryjku - zaoponował ten z powagą. - Ja też niezbyt go lubię, przyznaję, ale żeby od razu nazywać go strasznym... Owszem, za wysoko nosi głowę i...

- Stryjek wcale nie chce, żebyś go lubił! - przerwał mu chłopiec, czerwieniąc się z oburzenia.

- Zapewne, ale jeśli próbujesz mnie przestraszyć, mówiąc, że wyzwie mnie na ubitą ziemię...

Nie, nie sądzę, by się odważył, ale gdyby już do tego doszło, to...

- Niechże go pan nie prowokuje wtrącił z irytacją Tom.

- Stryjek Vester zmiele ci kości!

- Zmiele mi kości? - powtórzył niepomiernie zdumiony sir Nugent. - Tobie chyba brak piątej klepki, chłopcze! Po cóż, u licha, miałby to robić?

- On sobie piecze z nich chleb - odparł Edmund, nawet nie mrugnawszy okiem.

- Nikt nie piecze chleba z kości.

- A stryjek Vester tak!

- Basta! - uciał Tom, starając się zachować powagę. - Teraz to ty łcesz. Dobrze wiesz, że stryjek nic podobnego nie robi, przestać więc mleć językiem.

Edmund musiał wyczuć, że z tym drugim panem niewiele wskóra, więc bez słowa wrócił do jedzenia jajka. Gdy skończył, zerknął na Toma spod długich, pięknie zakręconych rzęs i oznajmił:

- Ja nie mieleę. To stryjek Vester zmiele mu język.

Thomas wybuchnął śmiechem, lecz Phoebe zdecydowanie złapała chłopca na ręce i wyniosła go z pokoju. Ośmielony sukcesem swego zuchwalstwa, Edmund zdołał mrugnąć do Toma ponad jej ramieniem, a już na korytarzu oświadczył dobitnie:

- My, Rayne'owie, nie lubimy być noszeni!

Całe towarzystwo wyruszyło do Abbeville godzinę później w doprawdy wielkim stylu. Ponieważ sir Nugent wzgardliwie odrzucił propozycję, by najcięższe bagaże wysłać do Paryża oddzielnie zwykłym zaprzęgiem, spod „Srebrnego Lwa” wyruszyła kawalkada złożona aż z czterech powozów. Otwierał ją bajkowy, wyściełany aksamitem rydwan Fotherby'ego i damy jego serca, następnie w wynajętej karecie pocztowej jechali Phoebe i Tom z Edmundem, zamykały ją zaś dwie bryczki - w jednej siedział Pett oraz tymczasowa pokojówka lady Ianthe, w drugiej piętrzyły się bagaże państwa. Zebrał się całkiem okazały tłumek gapiów, by

obserwować ów niezwykle wyjazd, co zdawało się sprawiać sir Nugentowi niezmierną satysfakcję, zakłóconą, niestety, głośnymi protestami Edmunda, którego w żaden sposób nie dało się nakłonić do wejścia do powozu. Wreszcie poirytowany Tom złapał go i bezceremonialnie wsadził krzyczące i wierzgające dziecko do karety pocztowej. Ponieważ Edmund wywrzaskiwał na cały głos, że jego nowy papa jest niedobry, nieszczęsny ojczym był poważnie zakłopotany. Pocieszyła go dopiero przytomna uwaga Toma, że ci wszyscy ciekawscy zapewne nie znają ani słowa w obcym języku.

Edmund uspokoił się i nawet całkiem dobrze zniósł pierwszą część podróży. Udało się zająć go zabawą polegającą na tym, że każdy z podróżników wymieniał rzecz, którą należało spostrzec po drodze, a kto zobaczył ją pierwszy, wygrywał. Ponieważ droga z Calais do Boulogne nie obfitowała w klucze lecących gęsi, jadących na szarych kucykach wieśniaków oraz stare kobiety siedzące pod żywoplotem, chłopiec zaczął się nudzić. Phoebe uciekła się do opowiadania mu bajek, lecz nawet jej inwencja się skończyła, nim dojechali do miasta. Edmund, który od jakiegoś czasu w ogóle się nie odzywał, oznajmił napiętym głosem, że zaraz będzie chorować. W Boulogne nieco doszedł do siebie, gdyż podróżnicy zatrzymali się na krótki odpoczynek, kiedy jednak trzeba było ponownie wsadzić go do karety, na jego twarzyczce odmalowała się taka rozpacz, że Tom nie wytrzymał i rzucił ponad jego głową:

- To czyste okrucieństwo ciągnąć tego biedaka w taką podróż!

W Abbeville, dokąd dotarli wieczorem, czekał na nich Sinderby z wieściami, które wstrząsnęły sir Nugentem do głębi, tak dalece były niewiarygodne. Otóż zdobycie dodatkowych pokoi dla powiększonego o dwie osoby towarzystwa nie powiodło się. Właściciel hotelu nie dał się przekonać ani do wyrzucenia z potrzebnych sypialni innych gości, ani do sprzedania na pniu całego interesu.

- Ośmielałem się pana ostrzec, że on nie przystanie na żaden z tych conceptów, sir - dodał przewodnik.

- Jak to nie sprzeda? Ty głupcze, nie oświeciłeś go, kim jestem?

- Jak najbardziej, lecz niewiele go to obeszło, obawiam się.

- Czy powiedziałeś mu, że mam największą fortunę w całej Anglii?

- Tak, sir. Kazał panu pogratulować.

- Ten człowiek musi być niespełna rozumu! -wybuchnął zdumiony sir Nugent.

- To zadziwiające, sir. On rzekł dokładnie to samo, tylko po francusku, oczywista.

Sir Nugent spurpurowiał.

- Na mój honor! Śmiał tak rzec o mnie? Och, jeszcze ten nędzny oberżysta się przekona, że mnie się nie odmawia. Idź i powiedz mu, że jeśli Nugent Fotherby czegoś chce, to zawsze to dostaje, choćby miało to kosztować krocie.

Cierpliwość Phoebe się wyczerpała.

- W życiu nie słyszałam nic bardziej niedorzecznego! Niechże pan przestanie się awanturować i powie, czy zostajemy tu, czy nie. Pana to nie

obchodzi, lecz mamy tu małego chłopca, który wprost kona z wyczerpania, podczas gdy pan się nadyma i puszy swą ważnością!

Sir Nugent był tak zaskoczony tym niespodziewanym atakiem, że nie wiedział, co odrzec. Sinderby spojrzął na pannę Marlow z uznaniem.

- Pamiętając o pańskich instrukcjach, sir, że jaśnie pani potrzebuje spokoju, znalazłem inne miejsce, całkiem zadowalające, mam nadzieję. Nie dorównuje temu hotelowi pod względem szyku, lecz ponieważ leży nieco na uboczu, panuje tam cisza, jakże odpowiednia dla osób cierpiących. Udało mi się przekonać właścicielkę zajazdu, by oddała cały do pańskiej wyłącznej dyspozycji, sir, na tak długo, jak pan zapragnie. Madame zgodziła się pod warunkiem, że trzech innych gości, których zdążyła już przyjąć, zechce się co prędzej wyprowadzić.

- Chyba nam pan nie powiesz, że chcieli? - wtrącił Tom.

- W pierwszej chwili nie, sir. Gdy jednak pojęli, że resztę swego pobytu w Abbeville (niedługiego, mam nadzieję) spędzą w owych najlepszych pokojach wynajętych dla sir Nugenta i na jego koszt, wyrazili największe ukontentowanie, iż mogą uczynić zadość jego życzeniom. Jeśli

zechce pan z powrotem dołączyć do jaśnie pani w jej wspaniałym rydwanie, wskażę państwu drogę do zajazdu „Złota Rybka”.

Fotherby przez chwilę stał niezdecydowany, marszcząc brwi i przygryzając dolną wargę. Sprawę przesądził Edmund, wołając płaczliwie:

-Ja chcę do domu! Gdzie Guziczek? Jestem nieszczęśliwy!

Jego ojczym wzdrygnął się, jak żgnięty szydłem, i już bez słowa wdrapał się z powrotem do powozu. Kiedy niedługo potem przekonał się, jakimi rozmiarami i stylem może się poszczycić „Złota Rybka”, zatrzęsł się z oburzenia i gdyby nie stanowcze postawienie sprawy przez jego najdroższą, która oznajmiła, że wolałaby nocować w oborze, niż przejechać choćby jeszcze jeden jard, zapewne nastąpiłaby kolejna zmiana planów. Kiedy troskliwie pomagał swej damie zejść po schodkach powozu, z otwartych drzwi zajazdu wyszła madame Bonnet, by powitać swych ekscentrycznych angielskich gości i natychmiast wpadła w zachwyt na widok urody milady i jej przeuroczego synka. Lady Ianthe od razu postanowiła, że będzie z pobytu w tym miejscu bardzo zadowolona i nic jej nie będzie przeszkadzać.

Edmund oczywiście chmurnie spojrział na obcą panią i schował się za Phoebe, lecz gdy chwilę później z zajazdu wypadł malutki szczeniak, buzia chłopca rozpogodziła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

-Tu mi się podoba!

Zajazd przypadł do serca wszystkim - z wyjątkiem sir Nugenta. Nie otaczały ich luksusy i zbytki, za to mogli napawać się prawdziwie domową atmosferą, było tam też bardzo czysto. W saloniku kawowym stały jedynie twarde ławy i zydle, lecz za to okna sypialni Ianthe wychodziły na niewielki ogródek, miała więc zapewnioną ciszę, a to, jak

orzekła, liczyło się w owym momencie najbardziej. Co więcej, madame, dowiedziawszy się, że milady jest cierpiąca, odstąpiła jej swe wygodne łóżko z puchową pościelą, zaparzyła ziółka i okazała tyle zrozumienia i współczucia, iż udręczona piękność pomimo bolącej głowy i stawów poczuła się zdecydowanie lepiej, a nawet wyraziła życzenie, by jej cizięć przyszło ją ucałować na dobranoc. Madame Bonnet gorąco pragnęła być świadkiem tego wydarzenia, gdyż odkąd tylko ujrzała milady i jej synka, nie opuszczała jej myśl o Sainte Vierge, Najświętszej Paniencie.

Phoebe okazała się odporna na takie uniesienia, gdyż weszła do sypialni lady Ianthe sama i oznajmiła bez ogródek, że nie przyprowadziła Edmunda, bo, jej zdaniem, jego matka nabawiła się poważnej grypy.

- Gdyby miał się od pani zarazić po tym, przez co już musiał przejść, byłoby to doprawdy ponad wszelką miarę!

Ianthe przywołała na twarz omdlewający uśmiech anioła.

- Słusznie pani postąpiła, droga panno Marlow. Moje biedne maleństwo... Niechże go pani ucałuje ode mnie i powie, że mamusia zawsze o nim myśli.

Phoebe, która zostawiła Edmunda zajętego zabawą z pieskiem, odparła sucho;

- Nie omieszkam tego uczynić, jeśli tylko o panią spyta.

Wyszła, zostawiając lady Ianthe w znacznie miłszym jej towarzystwie nowej admiralarki.

Następnego dnia trzeba było wezwać doktora, który potwierdził diagnozę panny Marlow.

Owemu

bystremu człowiekowi wystarczyła doprawdy niewielka zachęta ze strony chorej, by oświadczył, że osoby tak delikatnej kondycji jak milady powinny się bardzo oszczędzać. W żadnym wypadku nie można dopuszczać do przemęczenia.

- Zostaniemy więc tutaj zapewne przez jakiś tydzień - podsumowała Phoebe, wyruszając wraz z przyjacielem i z Edmundem po sprawunki, zamierzała bowiem nabyć bieliznę dla chłopca. - Tom, czy zostawiłeś wiadomość dla księcia Salforda w tym hotelu, w którym mieliśmy się zatrzymać?

Tom obruszył się.

- Oczywiście, że nie! Nieprędko zapomną sir Nugenta, nie sądzisz? Chciał nabyć cały hotel dla jednego noclegu. To ci dopiero wartogłów!

- Wartogłów - powtórzył z upodobaniem Edmund, starając się zapamiętać to jakże użyteczne słowo.

- A niech mnie! - zawołał Tom. - Ty lepiej tego nie powtarzaj, chłopcze! Aha, jeszcze jedno. Nigdy więcej nie nazywaj sir Nugenta gamoniem. - Poczekał, aż Edmund nieco wybiegnie do przodu, a wtedy odezwał się surowo do Phoebe: - Przestań go zachęcać, by zachowywał się tak niegrzecznie wobec ojczyma.

- Ja go nie zachęcam - odparła, a jej mina świadczyła o nieczystym sumieniu. -Ja tylko mu w tym nie przeszkadzam, bo to byłoby doprawdy niemądre. Jeszcze sir Nugent chciałby go zatrzymać! Tom jeśli on zniechęci chłopca, będzie bez porównania łatwiej przekonać lady Ianthe, by oddała synka.

- Jesteś najbardziej podstępna z kobiet! - wykrzyknął wstrząśnięty Tom. - Pilnuj tylko, na Boga, by Fotherby nie zamordował go w napadzie szału. Nasz galant ma niewyraźną minę,- zapewne więc już długo nie wytrzyma takiego przypiekania na różnie, a ten mały wisus co i rusz go pyta, czy potrafi wyciągnąć koniowi muchę z ucha albo coś podobnego, po czym raczy go stwierdzeniem, że stryjek Vester potrafi. Zobaczysz, rychło trafi od tego do domu dla obłąkanych.

Phoebe zachichotała. - Wcale się nie dziwię tej jego niewyraźnej minie. Panna młoda niedomaga, a pasierb nie może go ścierpieć. Nieznośny miodowy miesiąc, nie sądzisz?

Wkrótce jednak przekonała się, że żadna z tych dwóch okoliczności nie stanowiła właściwej przyczyny wyraźnego przygnębienia sir Nugenta. Jeszcze tego popołudnia zastał pannę Marlow samą w saloniku kawowym i już wkrótce zwierzał jej się z powodów swego najgłębszego niezadowolenia. Otóż źle się czuł w zajeździe „Złota Rybka”. To wyznanie zaskoczyło Phoebe. Madame Bonnet nie tylko serwowała wyśmienite dania, ale i okazywała znakomitemu gościowi najwyższy szacunek oraz gotowość zaspokojenia nawet najwybredniejszych wymagań. Cała służba, od kelnera poczynając, na chłopcu na posyłki kończąc, była na każde jego skinienie. Dopiero po kilku minutach wysłuchiwanie wynurzeń sir Nugenta, Phoebe zaczęła pojmwować istotę sprawy. Sir Fotherby nigdy nie zniżył się do zaszczycenia swą osobą hotelu czy zajazdu,

który nie cieszył się największym wzięciem w danej okolicy, jego poczucie własnej ważności oraz potrzeba błyszczenia doznały poważnego uszczerbku. Co wrażliwsze i subtelniejsze osoby mogły nie gustować w ściąganiu na siebie powszechnej uwagi, nawet stronić od tego, lecz sir Nugent, najbardziej majątny człowiek w całej Anglii, potrzebował cudzego zainteresowania jak powietrza. Sprawiała mu niezmierną przyjemność sensacja, jaką budził zbytkowny pojazd Ianthe, cieszyło go, że uniżenie zgięci wpół hotelarze wskazują mu drogę do najlepszych pokoi, napawały go dumą zawistne spojrzenia, jakimi ścigano jego kawalkadę pojazdów. W zajeździe „Złota Rybka” brakowało mu takich właśnie spojrzeń. Oczywiście, gdyby zakupił „Hotel Angielski”, by wyrzucić z niego innych gości i mieć całość dla siebie, też pozbawiłby się publiczności, lecz cóż to byłby za gest! Wieść o jego bajecznym bogactwie obiegłaby całe miasto lotem błyskawicy. Z jakim respektem i podziwem wskazywano by go sobie wzajem, gdyby zechciał wyjść na ulicę. Owszem, wynajęcie dla siebie niepozornej karczmy gdzieś przy bocznej drodze mogło uchodzić za ekscentryczne, lecz nie dawało mieszkańcom Abbeville odczuć jego bogactwa. Ach, nie można było wykluczyć, że poza madame Bonnet i jej najbliższym otoczeniem nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, kto zatrzymał się w mieście.

Oczywiście sir Nugent nie wyjawiał prawdziwej natury swych bolączek aż tak otwarcie, niemniej dało się to łatwo wywnioskować z całej jego wypowiedzi. Phoebe знаła już dobrze różne rodzą-

je dumy i próżności, lecz to było coś nowego. Słuchała zarówno ze zdumieniem, jak i rozbawieniem. Tak, bawiła się znakomicie, trudno było temu zaprzeczyć. Żałowała jedynie, że pisząc powieść, nie znała go lepiej, i ta groteskowa postać pojawiała się na kartach jej romansu jedynie epizodycznie. Co za strata! Niepostrzeżenie zaczęła obmyślać kolejną książkę, tym razem osnuwając intrygę wokół tego arcykomicznego fircyka, gdy do salonu wbiegł Edmund, przerywając jej te rozważania (za co była mu wdzięczna, przecież już jedna jej książka przyniosła jak najbardziej oplakane skutki). Za nim w wesołych podskokach wpadł jego nowy przyjaciel.

Madame nazwała pieska Toto, lecz jej angielskim gościom był znany jako Chien, co wynikało z drobnego nieporozumienia. Otóż panicz Rayne ze względu na pieska przemógł niechęć do obcych i szukając go, odważył się zapuścić do kuchni, a nawet zapytać madame o jego imię. Ta zaś zrozumiała, że chłopiec chce wiedzieć, jak jest „pies” po francusku. Usłyszawszy słowo „chien”, Edmund powtórzył je, a madame klasnęła w dłonie i skinęła głową. W ten sposób Toto zyskał nowe imię.

Sir Nugent zerknął na pasierba z niepokojem, lecz ten miał ważną sprawę do Phoebe. Pilnie potrzebował kolorowych kredek, które Tom dla niego kupił, ponieważ Chien chciał mieć swą podobiznę. Otrzymaawszy kredki oraz kartki papieru, natychmiast położył się na podłodze i oddał sztuce. Wierny Chien siedział obok niego, stukając ogonkiem o podłogę i lekko ziając.

Widząc, że chłopiec jest bez reszty zajęty rysowaniem, jego ojczym podjął wątek i kontynuował litanie żalów, przemierzając pokój w tę i z powrotem.

Tego ranka sir Nugent ubrał się nad wyraz szykownie. Jego strój wyróżniał się tak nowatorskimi cechami, jak białe pantalone czy fular ułożony w oryginalny sposób, który oczywiście przejdzie do historii jako Węzeł Fotherby'ego. Prócz tego uwagę przyciągały nowiutkie buty z cholewami, nigdy przedtem nienoszone, ozdobione parą ogromnych złotych frędzli. Niedościgniony Hoby wykonał je według konceptu sir Nugenta. Nikt nigdy nie mógł się poszczycić robiącym większe wrażenie obuwiem. Przy każdym kroku frędzle bujały się na wszystkie strony, co musiało zwrócić uwagę każdego.

Nawet szczenięcia o wątpliwym rodowodzie.

Chien przyglądał się im się z ogromnym zaciekawieniem. Przez jakiś czas śledził je z łebkiem przekrzywionym na jedną stronę. Te dziwne, ruchliwe rzeczy najwyraźniej się z nim drażniły. Wreszcie udało im się go sprowokować. Gdy jedna z nich zakołysała się niemal tuż przed jego nosem, skoczył i wbił w nią zęby.

Sir Nugent wydał z siebie okrzyk zgrozy, po czym natychmiast zażądał stentorowym głosem, by pies puścił frędzel. Chien zawarczał i zaczął ciągnąć zobycz do siebie, machając przy tym wesoło ogonem. Edmund wybuchnął perlistym śmiechem i zaklaskał w rączki. Ta niewinna radość dziecka jeszcze bardziej wzburzyła zaatakowanego elegan-

ta, który wyraził się w taki sposób, że Phoebe postanowiła pospieszyć mu na ratunek, oczywiście wyłącznie dla dobra chłopca.

Oczom wchodzącego Toma przedstawiła się scena jeśli nawet nie dantejska, to niewiele jej brakowało. Chien warczał i szczekał z podekscytowaniem, wrywając się z objęć Phoebe. Edmund prawie turlał się po podłodze ze śmiechu. Pett, który przybiegł, zaalarmowany krzykami swego pana, klęczał teraz przed nim i czule wyglądał frędzel, tymczasem sir Nugent, aż purpurowy z

gniewu, wygłaszał płomienną tyradę, wyliczając wszelkie możliwe kary, jakie powinny spaść na wstrętne zwierzę.

Tom zareagował z wielką przytomnością umysłu. Edmundowi kazał zabrać psa z powrotem do kuchni, a chłopiec posłuchał, nie odważając się zaprotestować, gdyż podobnego tonu używał stryjek Vester. Następnie Tom rzucił wymowne spojrzenie na Phoebe, ucinając jej chichoty, po czym nieco ułagodził Fotherby'ego obietnicą, że Chien nie ma odtąd prawa wstępu do salonu.

Edmund zawrzał oburzeniem, gdy usłyszał o tym zakazie i zażądał, by Tom dał panu Niedobremu w ucho, za co bardzo szybko został przywołany do porządku. Śmiertelnie obrażony, zaszył się na resztę dnia w kuchni, gdzie zresztą nie było mu źle, gdyż karmiono go kandyzowanymi owocami, marcepanem i rodzynekami.

Następnego dnia sir Nugent wykazał się niezwykłym rozsądkiem, powstrzymując się od włożenia swych pięknych nowych butów, panicz Rayne

zaś zaskoczył wszystkich, zachowując się prawie jak aniołek. Nawet jego znękany ojczym zaczął popatrywać na niego nieco łaskawszym okiem.

Po południu zaczęło padać. Edmund stworzył kilka portretów, lecz ponieważ były nieudane, podarował je swej obecnej opiekunce. Potem zajęły go wyścigi kropel na szybie. Właśnie klęczał na krześle przed oknem, raportując o powolnym posuwaniu się kropli „należącej” do Phoebe, kiedy przed zajazdem „Złota Rybka” zatrzymał się wynajęty czterokonny powóz pocztowy.

To oczywiście natychmiast go zaciekawiło, ale chyba nie bardziej niż Phoebe, gdyż zerwała się z miejsca i podbiegła do okna, ledwo usłyszała turkot kół na bruku cichej uliczki. Od dawna wyczekiwała tego odgłosu. Gdy powóz stanął przed ich gospodą, serce poczęło bić jej szybciej.

Otworzyły się drzwiczki, na bruk lekko zeskoczyła postać w szarym płaszczu z pelerynką. Przy--bysz odwrócił się na moment, by wydać polecenie pocztylionom, po czym wszedł do zajazdu.

Phoebe odetchnęła głęboko. Panicz Rayne wydał z siebie przenikliwy okrzyk, czym prędzej zszedł z krzesła i puścił się pędem przez pokój.

- Stryjek Vester, stryjek Vester!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Edmund, wciąż wykrzykując to samo, otworzył drzwi saloniku, a za nimi już stał Sylvester, któremu nie udało się wejść do środka, gdyż został mocno objęty za nogi. Schylił się, by uwolnić się z kurczowego uścisku bratanka.

- I co powiesz, mały krzykaczu? - spytał.

- Stryjek Vester, stryjek Vester!

Książę ze śmiechem złapał chłopca i podniósł do góry.

- Edmund, Edmund! - przedrzeźniał wesoło. - Ejże, nie uduś mnie! Och, ty wisusie!

Phoebe nadal stała przy oknie, wciąż niezauważona przez gościa, i z lekkim rozbawieniem obserwowała ekstatyczne powitanie, jakie chłopiec zgotował straszliwemu stryjkowi. Nie dziwiła się mu wcale, choć nie spodziewała się aż takiego wybuchu radości. Zdumiała ją za to reakcja Sylwestra. Z pogodą przyjmował próby uduszenia go przez

Edmunda i nie wyglądał na kogoś, kto nie lubi dzieci. Nie przypominał też człowieka, który mówił jej okrutne rzeczy na balu u lady Castlereagh. Do tej pory Phoebe prześladowało wspomnienie jego wyrazu twarzy, lecz teraz tamten obraz znikł, a wraz z nim całe jej zakłopotanie, każące jej lękać się przyjazdu księcia równie mocno, jak go pragnęła.

- Powiedz panu Niedobremu, że nie jestem jego małym chłopcem - poprosił Edmund. - Mama mówi, że ja nie jestem twój, ale to nieprawda, stryjku, prawda?

Zostało to wygłoszone tak zarliwie, że Phoebe nie wytrzymała i roześmiała się. Sylvester ją spostrzegł. Odniosła wrażenie, że chciał ku niej podejść. Wszystko to trwało tylko przez moment. Książę nie ruszył się ani o krok. Wspomnienie ich ostatniego spotkania ożyło i Phoebe zrozumiała, że nic nie zostało jej wybaczone.

Nie odezwał się od razu, postawił Edmunda na podłodze, wyprostował się i dopiero wtedy powiedział:

- Cóż za niespodzianka, panno Marlow... Aczkolwiek, gdybym poświęcił tej sprawie nieco więcej namysłu, zapewne bym odgadł, że panią tu zastanę.

jego głos był spokojny i nie zdradzał, jak potężne emocje nim targają. Najsilniejszą był zarówno gniew na Phoebe - za przyłożenie ręki do uprowadzenia Edmunda - jak i na samego siebie - za radość, jaką odczuł na jej widok. Jedno i drugie wzbudziło w nim taką furję, że bał się otworzyć usta, póki w pełni nie odzyska kontroli nad sobą. Od tamtego pamiętnego balu czynił wszystko, by

zapomnieć o Phoebe. To okazało się niemożliwe, lecz przynajmniej rozpamiętywanie przewin panny Marlow wyleczyło go (jak sądził) z tego niemądrego afektu, jaki do niej odczuwał. Było mu całkiem łatwo skupić się wyłącznie na jej karygodnym zachowaniu, przy całkowitym pominięciu jej zalet, gdyż zadała mu gorszy cios niż ktokolwiek inny. Uczyniła z niego pośmiewisko przed światem, choć może by jej to darował, gdyby ów czarny charakter miał jedynie jego wygląd, a poza tym zupełnie go nie przypominał. Po przeczytaniu powieści Sylvester był o tym przekonany. Chciał zapewnić matkę, która podsunęła mu tę lekturę, że te niedorzeczności nie są warte, by się za

nie oburzać, tymczasem w twarzy księżnej wyczytał nie oburzenie, lecz najgłębszą troskę, i to go poważnie zaniepokoiło.

- To nie jest mój portret! - wykrzyknął, wstrząśnięty. - Tylko brwi się zgadzają!

- Oczywiście, jest trochę przerysowany... - odparła.

Po długiej chwili milczenia spytał: -

- Jestem więc taki jak owa godna wzgardy postać? Nieznośnie arogancki, obojętny względem innych, przekonany o swej wyższości... Jak możesz tak myśleć, mamó?

- Ja tego nigdy od ciebie nie doświadczyłam! -zapewniła szybko, wyciągając ku niemu dłoń. - Czasem jednak zastanawiałam się, czy nie stałeś się nieco... nieczuły wobec innych.

Zamilkł, a księżna nie powiedziała już nic więcej. Nie było takiej potrzeby, gdyż tamtych kilka słów wystarczyło, by zrozumiał - Ugolino był w rzeczy-

wistości jego karykaturą, nieco przesadzoną, lecz rozpoznawalną. Tego wybaczyć już nie mógł. Uraza do przenikliwej autorki przekształciła się w ślepą furję, co było jednocześnie irracjonalne, jak i nieuchronne u osoby o temperamencie Sylvestra.

Patrzył na nią, stojącą po przeciwnej stronie saloniku, i wiedział, że ma przed sobą złego ducha. Uwikłała go w swą niepotrzebną, dziwaczną ucieczkę z domu. Doprowadziła do tego, że począł jej okazywać względy, które ściągnęły na nich uwagę całej socjety. Zapomniał o pierwotnej chęci rozkochania jej w sobie, by dać jej nauczkę, o, zapomniał już dawno... To przez nią zachował się publicznie w sposób niegodny dżentelmena. Owszem, musiała napisać tę książkę, nim się lepiej poznali, lecz mogła zapobiec publikacji lub przynajmniej go ostrzec. Tego nie uczyniła. Mimo to zamierzał potraktować ją z największą uprzejmością, nigdy nie wspominać o jej powieści. Dzięki temu miała się przekonać, jak bardzo się co do niego pomyliła. Nie potrafił pojąć, czemu podczas owego balu postąpił tak, jak postąpił. Sądził, że doskonale nad sobą panuje, a tymczasem, ledwo otoczył ją ramieniem i zamknął jej dłoń w swojej, poczucie zawodu, gorycz i gniew zaślepiły go zupełnie. Kiedy Phoebe ze łzami wyrwała się z jego ramion, poczuł jeszcze większą złość, gdyż wiedział, że sam ją do tego doprowadził. A teraz, gdy spotkał ją ponownie, śmiała się z niego! Nigdy nie wątpił, komu zawdzięcza szalony pomysł Ianthe, by porwać dziecko i uciec za morze, lecz dotychczas nie przypisywał panie Marlow niecznych intencji. W tym jednak

momencie powziął podejrzenie co do istniejącego od dawna spisku pomiędzy nią a wdową po jego bracie. Nieświadoma, jakie myśli przelatwały mu przez głowę, Phoebe przyglądała mu się z konsternacją. Po dłuższej chwili spytała nieco zduszonym głosem:

- Czyżby pan nie otrzymał mego listu, książę?

- Nie miałem przyjemności. Jakże to miło jednak z pani strony, że pani do mnie napisała. Zapewne po to, by poinformować o całej tej sprawie? - rzucił z ironią.

- Nie miałam innego powodu, by do pana pisać.

- Mogła pani sobie zaoszczędzić kłopotu. Po lekturze pani książki łatwo mi było się domyślić, co uczyniła Ianthe, aczkolwiek pani udziału w tym porwaniu nie przewidziałem. Właściwie powinienem był się domyślić, przecież Ianthe uwiozła Edmunda, nie troszcząc się o zabranie opiekunki. Musiała więc mieć inną... Czy pani podjęła się tej roli z czystej złośliwości, czy też skorzystała z pierwszej nadarzającej się okazji do ucieczki z Londynu, w którym ziemia paliła się pani pod stopami?

Słuchając tych niewiarygodnych oskarżeń, Phoebe najpierw przeżyła szok, a potem ogarnął ją gniew nie mniejszy niż Sylvestra, choć nie aż tak dobrze ukryty. Jego ton był lekki, kpiący, tymczasem jej głos drżał, gdy rzuciła:

- Z czystej złośliwości!

- Phoebe to mój przyjaciel, stryжку - odezwał się z niepokojem Edmund. - Czy ty się na nią gniewasz? Nie gniewaj się, proszę cię. Ja ją lubię prawie tak jak Keighleya.

- Naprawdę, kochanie? - ucieszyła się. - To

dla mnie największa pochwała. Ale oczywiście nikt się na nikogo nie gniewa. Stryjek tylko żartował, on lubi żartować. - Spojrzała na księcia i rzekła tak naturalnym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć: - Pan zapewne pragnie zobaczyć się z lady Ianthe. Jest chora, obawiam się. Nie wstaje z łóżka, ma gripę.

Sylwester zarumienił się. Dał się ponieść emocjom, przez co zapomniał o obecności bratanka, choć ten wciąż ścisnął go za rękę. Był zły na siebie.

- Fotherby nie choruje, jak mniemam? — spytał krótko.

- Nie. Dotrzymuje towarzystwa lady Ianthe. Zaraz go powiadomię o pańskim przybyciu. - Uśmiechnęła się do Edmunda. - Pójdziemy zobaczyć, czy to ciasto, które madame obiecała ci na kolację, jest już gotowe?

- Wolę zostać ze stryżkiem.

- Nie, idź z panną Marlow. Ja muszę porozmawiać z sir Nugentem.

- Zmielesz mu kości? - spytał chłopiec z nadzieją w głosie.

- Jak mógłbym to zrobić? Nie jestem potworem z bajki. Zmykaj.

Edmund wyglądał na zawiedzionego, lecz po-słuchał. Księżę zdjął płaszcz, przerzucił go przez oparcie krzesła i podszedł do kominka. Nie musiał długo czekać.

- Na mą duszę! - zakrzyknął Fotherby, wchodząc do saloniku. - To największa niespodzianka w moim życiu! Jakże się pan miewa? Diabło się cieszę, że pana widzę!

Tak serdeczne powitanie kompletnie zbiło Syl-vestra z pantałyku.

- Cieszy się pan? - spytał ze zdumieniem.

- Diabło się cieszę - poprawił go sir Nugent. -Ianthe nie sądziła, by miał pan podążyć naszym śladem. Jej zdaniem, unika pan skandali za wszelką cenę. Ja tam nie byłem taki pewien, lecz nie spodziewałem się pana ujrzeć równie szybko. Niech mnie! Moje gratulacje, książę! Nie mam pojęcia, jak pan wpadł na nasz trop.

- Nie przybyłem po pańskie gratulacje, lecz po mego bratanka. Czy zechce mi pan łaskawie wyjaśnić, co pan sobie wyobrażał, wywożąc go do Francji?

- No i tu zapędził mnie pan w kozii róg. Nugent Fotherby rzadko zapomina języka w gębie. Niech pan spyta, kogo chce, zapewne pan usłyszysz, iż Nugent Fotherby jest szczywany jak lis. Ale to pytanie! Ilekroć sam je sobie zadaję, tylekroć zachodzę w głowę, wyznam panu. Dlatego też wielka to dla mnie ulga słyszeć-, że pan go chce... Bo tak pan powiedział, prawda?

- Tak, a co więcej, nie tylko powiedziałem, ale i dopnę swego.

- Wierzę panu na słowo. Nugent Fotherby nigdy nie wątpi w honor dżentelmena. W takim razie musimy sprawę roztrząsać,

- Nie ma czego roztrząsać.

- To jednak konieczne, zapewniam - odparł z najwyższą powagą sir Nugent. - Ten chłopiec ma matkę. A jej teraz trzeba okazać dużo serca.

- Ja tego na pewno robił nie będę - oznajmił stanowczo Sylvester.

- Oczywiście! Bez obrazy, sir, ale okazywanie jej serca to nie pańska sprawa. Nikt nie mówi, że pan powinien to robić. Jako kawaler, pan tego zapewne nie wie, ale to do mnie należy. Ja jej to chyba nawet przysięgłem, bo to, co było w kaplicy, diabło mi na przysięgę wyglądało...

- Jeśli ta cała gadanina ma na celu odwiedzenie mnie od zamiaru zabrania Edmunda...

- Dobry Boże, nie! - wykrzyknął sir Nugent, blednąc. - Pan źle zrozumiał, oddam go panu z największą radością! Wie pan, co myślę?

- Nie i nie jestem ciekaw.

- On mi przypomina taką postać z Biblii - ciągnął sir Nugent, nie zważając na ów zdecydowany protest. -A może to nawet nie był człowiek, tylko zwierzę? Bez znaczenia. Tak czy siak, wstąpił w nie-go diabeł! - To rzekłszy, dodał pospiesznie: - Proszę się na mnie o to nie dąsać, sir. I może pan liczyć na mą dyskrecję, nie będę o tym rozpowiadał. Na Jowisza, teraz rozumiem, czemu chce go pan z powrotem i wcale pana nie winię. On po panu dziedziczy, tak? Ajajaj, kiepska sprawa! Naturalnie, że woli go pan trzymać w ukryciu przed ludźmi. Nie zdziwię się, gdyby stał się naprawdę niebezpieczny, jak dorośnie.

Sylvester odparł na to ze złowieszczym spoko-jem:

- Zechce pan, sir, uprzejmie przestać pleść androny, a potem już bez dalszej mitręgi spytać lady Ianthe, czy mnie przyjmie. Wystarczy mi pięć minut.

- Pięć minut? Jej starczy pięć sekund, by poczuć się gorzej! - zawołał sir Nugent. - W rzeczy samej, na

pański widok jeszcze bardziej się pochoruje. Musimy z tą kwestią poradzić sobie delikatnie. Moja pani ani podejrzewa pana o obecność tutaj. Ach, prawie się wydało! Opuszczałem jej pokój, gdy panna Marlow pragnęła zapukać. Przykazałem jej milczeć. Panno Marlow, rzekłem do niej... Wielkie nieba! - wykrzyknął zupełnie innym tonem. - Gospodyni! I pokojówka! Błagam o pozwolenie, bym mógł natychmiast pana opuścić! Muszą zostać ostrzeżone! Ani chwili do stracenia... Jestem zobowiązany pana zostawić!

Pospieszył ku drzwiom i w progu zderzył się z Tomem.

- To pan, dokładnie! - ucieszył się sir Nugent. -Przestawiam panu, księżę, pana Orde'a. Orde, to księżę Salford, proszę uprzejmie zabawiać go w mym imieniu. Towarzystwo panów przypadnie panom do gustu, wierzcie mi obaj.

- Proszę się o to nie martwić - wtrącił Tom. -I tak zamierzałem zamienić z księciem kilka słów.

- Doprawdy? O, to diablo dobrze się składa, bo chciałbym zajrzeć do mej pani, w razie gdyby zwietrzyła obecność Salforda.

Tom z ulgą zamknął drzwi za niedorzecznym gadułą i odwrócił się do Sylwestra, który mierzył go wrogim spojrzeniem.

- Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałem się znaleźć zamieszaną w tę przeklętą awanturę - oznajmił chłodno Sylvester. - Może zechcesz mi wytłumaczyć, jak mam to rozumieć?

- Z tego, co zdążyłem usłyszeć — zaczął Tom -wynika, że zbyt się pan trzyma własnych konkluzji,

by cokolwiek zrozumieć, mości księżę. Pan myśli, że co, u diabła, tu robisz? Próbuję panu zaszkodzić w podzięce za pańską życzliwość?

Sylvester wzruszył ramionami, odwrócił się oparł łokieć na gzymsie nad kominkiem.

- Zapewne swym zwyczajem pomagasz pannie Marlow, widząc różnicę między pomaganiem jej a szkodzeniem mnie, ja jej jednak nie widzę.

- Jedyne osoby, które zasługują na wyrzuty, mości księżę, to lady Ianthe i ta malowana figura, jej małżonek. Co do Phoebe... Niebios mi świadkiem, że próbowałem ją powstrzymać od wdawania się w tę sprawę, lecz gdy pomyślę, ile dla pana zrobiła i jak jej pan za to podziękował, to mam ochotę wyzwać pana na ubitą ziemię. Pan by jednak nie przyjął wyzwania, przecież nie dorównuję panu pozycją.

Księżę odwrócił ku niemu głowę, w jego oczach widniało zaskoczenie.

- Thomas, nie mów tak do mnie - odezwał się ciszej i spokojniej niż poprzednio. - I przede wszystkim usiądź. Co z twoją nogą?

- Zostawmy moją nogę. Może pana zainteresuje, mości książę...

- Na litość, przestań do mnie mówić „mości książę”, ilekroć chcesz coś powiedzieć - przerwał mu z irytacją Sylvester. — Usiądź i wyjaśnij mi, cóż takiego uczyniła panna Marlow, by zasłużyć na mą wdzięczność.

- To właśnie zamierzałem zrobić na samym początku, ale wyprowadziłeś mnie z równowagi, a na to akurat nie mogę sobie pozwalać. Lepiej, by

to się nie zdarzyło ponownie, zważywszy, że ty masz minę, jakbyś chciał nas wszystkich zamordować, a Phoebe przysięga, że woli umrzeć z głodu w jakimś rowie, niż podróżować razem z tobą choćby przez pół mili.

- Nikt jej nie będzie prosił, by podróżowała razem ze mną choćby i przez ćwierć!

- To się jeszcze okaże. Usiądź, a wtedy ci opowiem, czemu tu jesteśmy. Najpierw jednak chciałbym wiedzieć, czy lady Ingham jest jeszcze w Dover, A może nie płynąłeś stamtąd?

Książę usiadł przy stole.

- Stamtąd, lecz nie wiem, gdzie ona przebywa,

- Miałem nadzieję, że może widziałeś ją gdzieś po drodze. Chyba nie zdecydowała się na przeprawę. Nie zatrzymałeś się pewnie w zajeździe „Pod Statkiem”?

- Nigdzie się nie zatrzymywałem. Płynąłem w nocy.

- O! Cóż, zgaduję, że ona tkwi tam nadal. A jeśli chodzi o nas... Zostaliśmy porwani, ot co!

Sylvester wysłuchał opowieści o przebiegu wypadków w całkowitym milczeniu, po czym odezwał się chłodno:

- Żałuję niesprawiedliwego posądzenia panny Marlow o działanie na moją szkodę, wołałbym jednak, by jej skłonność do romantycznych przygód znajdowała ujście wyłącznie w pisaniu. Jeśli czuła potrzebę dania mi zadośćuczynienia, mogła wysłać do mnie list z Dover, informując o uprowadzeniu Edmunda do Francji.

- I tak by się zapewne stało, gdyby Fotherby nie

kazał kapitanowi podnieść żagli - odparł spokojnie Tom.

- W ogóle nie powinna była wchodzić na pokład. To są moje sprawy rodzinne, nie dotyczą jej w najmniejszym stopniu - oznajmił Sylvester tak wyniośle, że Tom ponownie stracił opanowanie.

- To samo usłyszała ode mnie, lecz miała na ten temat inne zdanie, i dobrze wiesz dlaczego. Nie winię cię za to, że wpadłeś w gniew z powodu tej książki. Nie winię cię nawet za zganienie Phoebe, ile nie powinieś był tego czynić publicznie. To było niegodne dżentelmena. Owszem, możesz być księciem, ale nawet ty...

Sylwestrowi krew napłynęła do twarzy.

- Basta! Tamto wydarzenie... Ja też żałuję! Bardzo żałuję! Jeśli w twym mniemaniu chowam się za godnością, by usprawiedliwić zachowanie... niegodne dżentelmena, jak rzekłeś... to osądzasz mnie równie niesprawiedliwie, jak ja niedawno pannę Marlow. Zdaje ci się zapewne, że bardzo szczycę się rytulem i pozycją. Otóż mylisz się! To, z czego jestem prawdziwie dumny, to przynależność do mego rodu. Powinieneś to rozumieć, twój ojciec myśli podobnie. Rzekł do mnie, gdy jedliśmy razem obiad:

Bo my z rodu Orde..." a nie: „ja jako szlachcic..."

- W takim razie przepraszam - odparł Tom z lekkim uśmiechem.

- I słusznie! Nie pomawiaj mnie więcej o dumę z powodu mej pozycji! Czy ja jestem byle nuworyszem, który wyskoczył nie wiadomo skąd, dostał wtul za polityczne zasługi, a potem pieje o nim na wszystkie strony jak kogut na płocie? — Urwał, gdy

Tom wybuchnął serdecznym śmiechem i zmierzył go niemal wrogim spojrzeniem. - To nie miało być zabawne.

- Wiem - przyznał Tom, ocierając łzy. - Och, tylko nie czuj się znów urażony. Bardzo dobrze rozumiem, co chciałeś powiedzieć. Ty i mój ojciec jesteście niezmiernie do siebie podobni. Wasza godność jest dla was tak oczywista, że przypominacie sobie o niej jedynie wtedy, gdy jakiś zuchwalec nie okazuje wam dość szacunku. Ciekawe, czy ja też taki będę... - Zaczął się śmiać ponownie, lecz opanował się szybko. - Och, to bez znaczenia. Cała rzecz w tym, że traktujesz udział Phoebe w tej sprawie jako osobisty afront, jako ponowne naruszenie twych praw, tymczasem ona tylko pragnęła zapobiec porwaniu chłopca. Nigdy nie chciała, by spotkała cię jakakolwiek krzywda z jej powodu.

Sylvester wstał, podszedł do kominka i poprawił czubkiem buta jedno z płonących na nim bierwion.

- Bardzo szlachetne intencje - odezwał się w końcu. - Według ciebie jestem jej winien wdzięczność, lecz gdy sobie pomyślę, o ile dyskretniej można by odzyskać Edmunda, gdyby ona się w to nie wdała, to jakoś nie potrafię być wdzięczny.

- A powinieneś - odciął się Tom. - Gdyby nie opiekowała się nim na pokładzie „Betsy Anne”, to nie wiem, co by było. Jeszcze nigdy nie widziałem, by ktoś się tak pochorował, a nikogo innego stan tego biedaka nie obchodził, wierz mi.

- Owszem, za to mogę być wdzięczny, aczkolwiek Edmund w ogóle nie znalazłby się na pokładzie owego statku, gdyby panna Marlow sama nie podsunęła Ianthe pomysłu o ucieczce.

- Sylwestrze, czy nie mógłbyś o tej bzdurnej powieści zapomnieć? - poprosił Tom. - Jak będziesz o niej wspominał przez całą drogę, to zaiste wesołą będziemy mieli podróż.

Książę wpatrywał się w płomienie, lecz na te słowa gwałtownie podniósł głowę.

- My?

- Jak, twym zdaniem, mam zabrać stąd Phoebe z powrotem do Anglii? Czyżbyś zamierzał nas tu porzucić?

- Porzucić? Też coś! Czegóż możecie potrzebować, skoro znajdujecie się w takich łaskach u kogoś znacznie bogatszego ode mnie? Poproś Fotherby'ego o pożyczkę.

- Owszem, będę zmuszony to uczynić, jeśli nadal będziesz się upierał przy swej nędznej zemście. -Tom użył ostatniego określenia z rozmysłem.

- Uważaj! - ostrzegł Sylvester. - Zniosłem od ciebie doprawdy dużo, ale to już trochę za wiele. Gdybym miał we Francji faktora, który podjąłby dla mnie pieniądze i przesłał mi je, dostałbyś ode mnie tyle ile dusza zapragnie, ale nie mam. Co do podróżowania z panną Marlow... Nie, za nic tego nie zrobię! Niech Fotherby o was zadba. Równie dobrze możesz zaciągnąć dług wdzięczności u nie-go jak u mnie.

- Nie, nie mogę - odparł Tom. - W odróżnieniu od ciebie mam wzgląd na Phoebe i chciałbym wydostać ją z opałów, w jakich się znalazła. Znasz lady Ingham. Ten skandal z powodu książki mocno

ją rozdrażnił, a teraz zapewne jest już rozsierzona nie na żarty. Ty jeden mógłbyś owinać ją sobie wokół małego palca. Wystarczy, że przywieziesz nas z powrotem do Anglii i powiesz swej matce chrzestnej, iż to dzięki jej wnuczce odzyskałeś Edmunda. Będzie po kłopotcie. Jeśli jednak odwożę ją sam, a ty będziesz dbał tylko o otoczenie swych spraw pełną dyskrecją, to marne nasze widoki. W dodatku to i tak się rozniesie, skoro kilka osób będzie wiedziało. Co ze Swale'em? Co z...

- Tylko Keighley wie, dokąd się udałem i w jakim celu. Swale'a nie brałem z sobą. Nie jestem takim żółtodziobem, jak ci się wydaje!

Na twarzy Toma pojawił się szeroki uśmiech,

- Za żółtodzioba cię nie mam, ale klepek to ci brakuje na pewno.

Sylvester ściągnął brwi.

- O cóż ci znowu chodzi, u diabła? Według ciebie nie mogę się obejść bez pokojowca? Jestem uzależniony od służby, nie poradzę sobie bez niej? Akurat ty powinieneś wiedzieć najlepiej ze wszystkich!

- Hm. A kto będzie opiekował się Edmudem w trakcie podróży?

- Ja.

Uśmiech Toma stał się jeszcze szerszy.

- A opiekowałeś się nim kiedyś?

- Nie - przyznał niechętnie Sylvester.

- To się setnie ubawisz. Kilka razy dziennie będziesz musiał go myć, bo potrafi się umorusać, nim się spostrzeżesz. Trzeba będzie go ubierać, rozbierać, opowiadać mu bajki, kiedy w powozie zacznie czuć nudności, pilnować, by się nie objadał, gdy nie powinien, a ponieważ nie wiesz, kiedy nie powinien, zapewne będziesz musiał siedzieć przy nim w zajeździe przez pół nocy, bo Edmund nie będzie mógł zasnąć, i może nawet nie uda ci się w spokoju zjeść potem kolacji, bo on się obudzi i narobi hałasu, jak tylko on potrafi. Nie lubi obcych miejsc, niestety. Aha, i nie licz na to, że uda ci się oddać go pod opiekę pokojówki, bo obcych ludzi nie lubi jeszcze bardziej. A jeśli wpadniesz na ten nedorzeczny pomysł, by mu złoić skórę za bycie utrapieńcem z piekła rodem, to zanieś się takim płaczem, że wszyscy naokoło wezmą cię za Heroda dręczącego niewiniątko. Dopiero będziesz miał się z pyszna.

- Do licha, Thomas, niech cię nie znam! - wykrzyknął Sylvester, na poły zły, na poły ubawiony. - Naprawdę jest aż tak źle?

- Gorzej - zapewnił Tom.

- Mój Boże! Powinienem był wziąć ze sobą Keighleya, rzecz jasna. Zrozum jednak, sprawa nie jest prosta. Zabrałem tylko tyle pieniędzy, ile było mi potrzebne na podróż z dzieckiem, nie mogłem przecież przewidzieć, że w drodze powrotnej będą mi towarzyszyć jeszcze dwie dorosłe osoby. Zostanie mi płótno w kieszeniach, nim dotrzemy do Calais.

- Tego nie wiedziałem... W takim razie musimy coś zastawić.

- Zastawić? - powtórzył zaskoczony Sylvester. - Ale co zastawić?

- Zastanówmy się... Nie masz ze sobą neseseru pełnego cennych flakoników?

- Ach, czyli to ja miałbym oddać coś do lombardu? Na szczęście wziąłem jedynie sakwojaż.

- W takim razie zostaje tylko twój zegarek z dewizką. Szkoda, że nie nosisz pierścionków, breloczków i szpil do fularu z drogocennymi kamieniami. Gdybyś miał, na przykład, taką ze szmaragdem jak przepiórcze jajo, którym olśnił nas dziś sir Nugent...

- Och, bądźże cicho! Za nic nie pójdę do lombardzisty ze swym zegarkiem! Ani z niczym innym.

- Nie musisz iść, zrobię to za ciebie. Mnie korona z głowy nie spadnie.

- Wiesz, co ci powiem, Thomas? Jesteś najbardziej...

W tym momencie otworzyły się drzwi i do saloniku weszła Phoebe z miną tak wyniosłą, że Tom zaczął chichotać. Ton jej głosu był lodowaty, nawet Sylwestrowi nie udało się takiego nigdy osiągnąć.

- Zechce mi pan wybaczyć, sir. Tom...

- Panno Marlow - przerwał jej książe. — Byłem wobec pani niesprawiedliwy. Proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny.

Obrzuciła go wzgardliwym spojrzeniem.

- To rzecz najzupełniej bez znaczenia, sir. Tom, przyszłam ci powiedzieć, że dokładnie przemyślałam to, o czym ci wspomniałam na schodach. Zdania nie zmieniałam i już wiem, co zrobię. Otóż poproszę lady Ianthe, by zabrała mnie ze sobą do Paryża i poczekam na babcię w ambasadzie. Sir Charles i lady Elizabeth zapewne pozwolą mi u nich zostać, gdy dowiedzą się, kim jestem. Ty wracaj do Dover z jego książęcą mością...

- Zaiste, wyborny plan! - wykrzyknął Tom. - Dałbym wiele, by zobaczyć minę ambasadora, gdy wpadniesz mu do salonu, przedstawiś się jako wnuczka lady Ingham i obwieścisz, że u niego zostajesz, bo zgubiłaś babcię pod drodze razem z całym bagażem. Na litość boską, jak możesz być tak niemądra? Chcesz, żeby jeszcze cały Paryż o tobie mówił, mało ci Londynu?

Przez jej twarz przeleciał bolesny skurcz, więc Sylvester wtrącił się do rozmowy:

- Dość, Thomas! Panno Marlow, tego planu rzeczywiście niepodobna przeprowadzić. Proszę, by udzieliła mi pani swej zgody na odwiezienie jej do Anglii.

- Prędzej zatrudnię się jako pomywaczka w kuchni! - oznajmiła z żarem. - Wszystko będzie lepsze od podróży w pańskim towarzystwie!

Ponieważ niedawno Sylvester wyraził równie płomienną deklarację w tej kwestii, drgnął, jakby go smagnęła pokrzywą,

- Kiedyś znosiła je pani przez cały tydzień, bez żadnego uszczerbku dla siebie, wytrzyma więc pani jeszcze i tych kilka dni! - odciął się natychmiast.

- Och, po cóż ja weszłam na ten statek! Niezmiernie tego żałuję.

- Ja też. Nic gorszego nie mogła... Przepraszam najmocniej! Miała pani zacne intencje i chciała dla mnie jak najlepiej.

- Nie będę już nigdy chciała dla pana jak najlepiej, proszę mi wierzyć. A co do pańskiej protekcyjnej oferty...

- Pohamuj się, Phoebe! - wykrzyknął surowo

Tom. - Posłuchaj, co mam do powiedzenia. Nie mogłem cię zostawić w opałach, ale dalej już nie pojedę. Wracamy do domu z księciem Salfordem, przy czym wcale nie robi ci on wielkiej łaski, nie ma więc co tak się boczyć, jesteś mu potrzebna do opieki nad Edmundem. Nikt nikomu nie będzie nic winien, wzajem wyświadczycie sobie przysługę i będziecie kwita. Nie zapominaj zresztą, co obiecałaś Edmundowi. Miałaś go nie zostawiać, dopóki nie oddasz go z powrotem pod opiekę niani.

- Teraz już nie będzie o to dbał.

Chłopiec właśnie uchylił drzwi i zajrzał do środka, Tom skorzystał więc z okazji i zagadnął go w tej kwestii. Edmund miał natychmiastową odpowiedź. Nie, nie pozwala, by Phoebe sobie poszła!

Rzekła mu wtedy, że przecież stryjek się nim zajmie, na co chłopiec rezolutnie pokręcił kędzierzawą główką.

- Nie, bo stryjka lichy porwie, jak będzie miał ze mną skaranie boskie przed śniadaniem.

To pełne prostoty wyznanie w lot przyniosło poprawę nastroju. Phoebe wybuchnęła nieopanowanym śmiechem, a Sylvester rzucił się ku bratankowi, by go okrutnie ukarać. Radosne piski i chichoty porwanego na ręce i łaskotanego chłopca właśnie osiągnęły apogeum, gdy na piętrze rozległ się straszliwy ryk gniewu i rozpacz, jakby ktoś doznawał najgorszej udręki. Księżę poderwał głowę, Edmund przestał się wic w jęga objęciach.

- Cóż to, u diabła? -- wykrzyknął Sylvester.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- A temu co znowu się przytrafiło? - Tom pokuśtykał ku drzwiom. - Brzmi to tak, jakby nasz strojniś-wytwarniś znalazł na płaszczu plamkę błota.

- Pett, Pett! - krzyczał wniebogłose sir Nugent, zbiegając na dół. - Gdzie jesteś, Pett?

Tom otworzył drzwi na oścież, a Sylvester postawił Edmunda z powrotem na podłodze, pytając obecnych, cóż takiego może dolegać Fother-by'emu, Ów, zawoławszy służącego raz jeszcze, pojawił się w progu, tuląc w ramionach swe piękne błyszczące buty z cholewami, i rozkazał, by wszyscy obecni popatrzeli.

- Niechże pan przestanie tak się pieklić - zażądał ostrym tonem Sylvester. - Na co mamy popatrzeć?

- Ten parszywy pies, ten kundel! Powieszę go! Rozedrę na strzępy, Bóg mi świadkiem!

Do saloniku wpadł zdyszany pokojowiec.

- Sir, co się stało?

- To! - ryknął sir Nugent, wyciągając przed siebie jeden z butów swego własnego konceptu.

Frędzle zniknęły. Pett jęknął i cofnął się z przerażeniem. Tom zerknął na Edmunda, uczynił heroiczny wysiłek, by zachować powagę, nie podołał zadaniu i zaczął się tak śmiać, że aż musiał oprzeć się o framugę. Phoebe poradziła sobie lepiej, po chwili milczenia odzyskała głos i zdołała z siebie wydusić:

- Och, cóż za nieszczęście! Proszę jednak nie popadać w rozpacz, wszak może pan zamówić do nich nowe.

- Nowe, też coś! Pett, jeśli to ty zostawiłeś drzwi otwarte, by ten łajdacki pies mógł dostać się do mego pokoju, to możesz natychmiast odejść z mej służby! Natychmiast! Słyszałeś?!

- To nie ja! Ja bym nigdy! - zakrzyknął dramatycznie służący. - Może pokojówka?

Usłyszawszy to, sir Nugent począł szukać kolejnego winnego. Odwrócił się do Toma.

- To musiał być pan! To pan się teraz śmieje! To pan wpuścił tego kundla do mego pokoju!

- Oczywiście, że nie. Proszę wybaczyć, ale żeby robić tyle hałasu tylko o parę butów...

Elegant poczerwieniał i postąpił krok w jego stronę.

- Tylko?!

- Daj mu bobu, Tom, daj mu bobu! - zapiszczał podekscytowany Edmund, a jego błękitne oczy aniołka błyszcząły podejrzeniem.

- Fotherby, niechże się pan opanuje - zażądał gniewnie Sylvester.

- Sir, nie są zadrapano, przynajmniej tyle zostało

nam zaoszczędzone - wtrącił pośpiesznie Pett. - Gdy tylko dotrzemy do Paryża, przeszukam całe miasto w poszukiwaniu takich samych. Poruszę niebo i ziemię.

Chlebowdawca nie słuchał.

- Frędzle mego własnego konceptu - lamentował, - Hoby pięć razy mi je przynosił, nim byłem zadowolony.

- O, tak, nigdy tego nie zapomnę, sir...

- Para obłąkańców - skwitował wzgardliwie księżę, kierując tę uwagę do Phoebe.

- Wartogłów - rzucił na próbę Edmund, zerkając na stryjka.

Ta zuchwała uwaga pozostała niezauważona, ponieważ Tom akurat opowiadał księciu o poprzednim ataku Chiena na buty sir Nugenta. Ten, czując się niemal bohaterem antycznej tragedii, nadal desperował nad jednym butem (drugi czule tulił w objęciach Pett) i rozwodził się ze szczegółami nad natchnieniem, które kazało mu wymyślić coś tak olśniewająco modnego.

Sylvester do reszty stracił cierpliwość.

- Jest pan absurdalny!

- Psurdalny - powtórzył zachwycony Edmund, smakując nowe słowo.

- Jak pan tak może mówić? - Sir Nugent był dotknięty do żywego. - Czy pan wie, ile godzin spędziłem na deliberacjach, czy frędzle mają być wykończone gładkim złotym galonem czy też raczej plecionką? Czy pan wie...

- Nie wiem, nie jestem fircykiem. Będę panu niezmiernie...

— Psurdalny wartogłów!

- ... zobowiązany, jeśli... Coś ty powiedział? - Sylvester odwrócił się gwałtownie do bratanka, którego wesoły głosik wreszcie usłyszał.

Zadane groźnym tonem pytanie zawisło w powietrzu. Edmundowi wystarczyło jedno spłoszone spojrzenie na twarz stryjka, by natychmiast spuścić głowę. Nawet sir Nugent zaprzestał narzekań i

czekał na odpowiedź. Chłopiec przezornie nie udzielił żadnej, a księżę, równie przezornie, nie powtórzył pytania. Zamiast tego przykazał surowo:

- Niech ja cię więcej nie słyszę! - Odwrócił się z powrotem do pogrążonego w żałobie dandysa.
- Będę panu zobowiązany, jeśli zakończy pan wreszcie to przedstawienie i posłucha przez chwilę, co mam panu do powiedzenia.

W tym jednak momencie zjawiała się pokojówka z poleceniem od swej pani. Zaalarmowana krzykami milady wyraziła życzenie, by jej małżonek, nie zwlekając, przyszedł do jej pokoju.

- Muszę do niej iść - oznajmił z powagą sir Nugent. - Będzie zrozpaczona, gdy dowie się, jak straszną wieść mam jej do przekazania. Nugencie, rzekła do mnie, gdy wczoraj włożyłem je po raz pierwszy... I pomyśleć, że tylko raz były noszone! Nugencie, rzekła, ustanowisz nową modę. Wszyscy będą cię naśladować. Ach, muszę udać się do niej niezwłocznie.

Wcisnął drugi but w objęcia pokojowca i wybiegł z saloniku. Pett z urazą spojrział na Sylvestra.

- Wasza księżęca mość zechce nam wybaczyć. To dla nas wielka strata. Okrutny cios.
- Zejdź mi z oczu!
- Tak jest, wasza księżęca mość. Natychmiast, wasza księżęca mość. - Służący zgiął się w głębokim ukłonie i czym prędzej zrejterował.

Sylvester odwrócił się do małego winowajcy.

- Jeśli jeszcze raz usłyszę z twoich ust podobną impertynencję, źle się to dla ciebie skończy. A teraz wyjdź!

- Więcej tak nie powiem - odezwał cię błagalnym głosem Edmund.
- Powiedziałem: wyjdź!

Chłopiec zaczerwienił się i uciekł. To wystarczyło, by Phoebe ponownie zraziła się do księcia. Uznała jego postępowanie za bezduszne i okrutne i powiedziała mu to bez ogródek.

- Co więcej, nie godziło się wyładowywać złości na dziecku. Wystarczyło udzielić mu cichej reprimendy, a nie poniżać go przy wszystkich. Zachował się pan w sposób okropny.

- Jeśli będę potrzebował pani rady, panno Marlow, to się o nią zwrócę.

Zerwała się od stołu i zdecydowanym krokiem ruszyła ku drzwiom.

- Niech pan uważa, co mówi - rzuciła ostrzegawczo przez ramię. - Nie jestem jednym z pańskich nieszczęsnych służących i nie muszę znosić pańskiej odstręczającej arogancji.

- Za pozwoleniem! - zawołał za nią. Obróciła się już w progu, w pełni gotowa do kolejnej potyczki.

- Skoro Fotherby nie potrafi myśleć o niczym innym jak tylko o swoich butach, to może pani zechciałaby poinformować lady Ianthe o moim przybyciu? Proszę też spakować rzeczy Edmunda. Chcę go zabrać spod tego dachu tak szybko, jak tylko to możliwe.

Wstrząśnięta tym żądaniem, zakrzyknęła:

- Nie może pan go stąd zabierać o tej porze! On już i tak dawno powinien być w łóżku. Pan sobie może podróżować po nocy, jeśli ma takie życzenie, ale małe dziecko nie!

- Nie zamierzam jechać nigdzie daleko, a jedynie przenieść się z nim i państwem do hotelu. Do Calais wyruszymy rano.

- W takim razie przeniesie się pan beze mnie -oznajmiła. - Czy nigdy nie ma pan względu na dobro i wygodę innych osób, czy musi zawsze myśleć tylko o sobie? Proszę sobie wyobrazić, jak ja będę się czuła, oczywiście, o ile potrafi się pan zniżyć do takiej błahostki. Jak długo podróżowałam w towarzystwie sir Nugenta i lady Ianthe, mego braku bagażu nie dawało się dostrzec, lecz przy panu tak nie będzie. Jeśli pan sądzi, że udam się do wykwintnego hotelu w brudnej sukni, to się pan głęboko myli, mości książę.

Ironicznie uniósł brwi.

- A jakież znaczenie mogą mieć ciekawskie spojrzenia paru hotelowych służących?

- Mogłam się spodziewać, to takie do pana podobne! Pański tytuł i znaczenie osłonią mnie niczym płaszcz, powinno mi to wystarczyć. Och, jak cudownie będzie wspiąć się na takie wyżyny, gdzie można nie zważać na cudzą opinię!

- Tytułu nie używam, jeden sakwojaż nie świadczy o tym, co pani nazywa znaczeniem, a mój płaszcz, zapewniam panią, jest miejscami wytarty! -odparował błyskawicznie. - Proszę się jednak nie niepokoić. Wynajmę dla pani prywatny salonik,- by nie była pani narażona na czyjeś spojrzenia, gdy zechce zjeść posiłek.

Usłyszawszy to, Tom wtrącił przytomnie:

- Nie powinieneś tego robić. I tak brakuje nam pieniędzy, nie zapominaj o tym.

Na twarzy Sylwestra pojawił się wyraz rozdrażnienia.

- W takim razie zatrzymamy się w jakimś małym zajeździe, podobnym do tego.

- Nigdzie nie ma miejsc - ostrzegł Tom. - Jak zaczniemy jeździć po całym mieście, szukając pokoi dla czterech osób, to nie położymy się przed północą.

- Chyba nie sądzisz, że zostanę tutaj!

- Czemu nie? Tu jest dużo miejsca.

- Skoro tak, to i gdzie indziej się znajdzie.

- Nie, nie znajdzie się wtrąciła Phoebe. -Mamy gospodę dla siebie, ponieważ sir Nugent wynajął ją całą, wyrzucając z niej tych, którzy przybyli tu przed nami. I nie pojmuję, skąd u pana ta mina, przecież pan sam zrobił dokładnie to samo, żądając od pani Scaling ogólnej sali do swego prywatnego użytku.

- A kogóż to ja takiego wyrzuciłem z zajazdu „Pod Niebieskim Odyńcem”?

- Cóż, akurat nikogo tam nie było, lecz na pewno by pan to uczynił!

- Och, doprawdy? Pozwoli więc pani sobie powiedzieć...

- Posłuchajcie mnie - odezwał się błagalnym tonem Tom. - Możecie się wzajem obrażać, ile dusza zapragnie przez całą drogę do Dover, i przysięgam, że nawet się nie odezwę, ale teraz zdecydujemy wreszcie, co robimy, bo zaraz służba zacznie nakrywać do kolacji. Sylwestrze, rozumiem, że nie masz ochoty spać pod tym dachem, lecz wzięwszy pod uwagę brak pieniędzy i potrzeby Edmunda, jakie inne wyjście można znaleźć? Jeśli trudno ci ścierpieć Fotherby'ego i jego niedorzeczności, ulóż się z madame, że zapłacisz za swój pobyt.

-Idę położyć Edmunda do łóżka - oznajmiła Phoebe. — Jeśli pan spróbuje zabrać go stąd siłą, powiem mu, że był pan dla mnie niedobry, a to nastawi go wrogo do pana, zwłaszcza po tym, jak okrutnie potraktował pan jego samego.

Wyszła bez przeszkód, gdyż Sylwester nie wiedział, co odpowiedzieć na taką groźbę. Tom zaśmiał się.

- Tak, miałbyś się z pyszna, gdyby teraz o tobie Edmund zaczął mówić, że jesteś pan Niedobry. Fotherby już w piętkę goni, tak się nad nim znęcał. Chyba nawet zaczął wierzyć w to, że mielesz ludzkie kości na chleb.

Wargi Sylwestra drgnęły podejrzenie, lecz powiedział tylko:

- Mój bratanek jest rozpuszczony jak dziadowski bicz, wcale mi się to nie podoba. A jeśli chodzi o ciebie, Thomasie, to mam już serdecznie dość nieznośnej zuchwałości, jeśli więc jeszcze raz...

- O, widzę, że już ci lepiej - powiedział zachęcająco Tom. - Tak myślałem, ty nigdy nie spuszczasz z tonu. Zdaje mi się...

Przerwał mu powrót sir Nugenta, na którego twarzy gościł wyraz przygnębienia.

- Powiadomił pan Ianthe o mym przyjeździe? - spytał od razu Sylwester.

- Dobry Boże, nie! Za nic bym jej nie powiedział - odparł wstrząśnięty sir Nugent. - Nie teraz, kiedy jest tak zdenerwowana. Wiedziałem, jak się będzie czuła, gdy jej przekażę ostatnie wieści. Nie ma rady, musi pan w nocy wykraść chłopca, kiedy my będziemy spać.

- Nic podobnego nie uczynię, to by było najzupełniej niestosowne.

- Niechże pan mi da dokończyć. Żadnej niestosowności w tym nie ma. Pan zapewne myśli, że będzie musiał zakraść się sekretnie do sypialni panny Marlow...

- O niczym takim nie myślę! - uciął wyjątkowo szorstko Sylwester.

- No i znowu - pozałił się sir Nugent. - Ledwo zdążę otworzyć usta, pan przerywa mi w pół słowa! Mówię wszak, że nie musi pan tego robić, nie ma obawy. Ona sama przyprowadzi panu chłopca. Będzie pan musiał oczywiście zabrać ją ze sobą, a jak sadzę, pan Orde też lepiej powinien

udać się z panem, bo jeśli zostanie, by jechać dalej z nami, to nie wiadomo, czy moja pani nie wystrychnie go na dudka, jak się o wszystkim dowie. Rzec w tym...

- Wszystko rozumiem, nie musi pan już nic mówić. Thomas, albo natychmiast przestaniesz się śmiać, albo cię tu zostawię! Niechże pan zrozumie, Fotherby, ja nie muszę porywać mego bratanka, ponieważ Ianthe i pan nie macie żadnej możliwości, by mnie powstrzymać przed zabranie Edmunda. Choć i tak to uczynię, mam jednak wzgląd na uczucia jego matki, pragnę więc ją poinformować o moim zamiarze, co więcej, zapewnić, że jej syn zostanie otoczony jak najlepszą opieką. Dlatego proszę mnie teraz do niej zaprowadzić albo powtórzyć jej samemu, że jutro rano zabieram chłopca do domu.

- Nie uczynię ani jednego, ani drugiego. Może ma pan prawo, by to zrobić... Ba, ja wiem, że ma pan prawo, pytałem mego prawnika. Ale czy moja pani o tym wie? To znaczy, czy będzie chciała przyznać, że wie? Jeśli, pańskim zdaniem, będzie chciała, to nic pan nie wie o kobietach. Co wszelako byłoby dziwne, gdyż mnie pan nie przekona, że miał pan *carte blanche* ledwie rok po wejściu do socjety. Jak miała na imię ta mała latawiczka? Pamięta pan która, prawda? Ta ze złotymi loczkami, co to wysoko mierzyła...

Sylvester aż zeszywniał z gniewu.

- Odmawiam rozmowy na takie tematy!

- Jak pan sobie życzy. Wspomniałem o tym, bo często miałem ochotę spytać... Oho, widzę, że uniósłby się pan pod samą powałą, zostawmy więc tę kwestię. Otóż widzi pan, gdybym szepnęła mej pani, co się szykuje, kazałaby mi temu zapobiec. Ale jak miałbym to zrobić, skoro mnie właśnie na rękę, byś pan chłopca zabrał? Sam pan wie, jakie są kobiety... Taka uwaga chyba nie budzi pańskich obiekcji, prawda? Tak więc moja pani pragnęłaby niechybnie, bym wyciągnął szpadę, i na nic się zda jej tłumaczyć, że nie noszę szpady, gdyż w tym sęk, że

kobiety nie myślą dorzecznie. I tak przyjdzie mi tu pokutować, podczas gdy pan będzie sobie wracał do domu wesół jak szczygieł. Nie zdziwię się, jeśli ona mi nie wybaczy i przez rok!

- To już pańska rzecz.

- Jak pan mógł coś podobnego powiedzieć?! -wykrzyknął rozżalony sir Nugent. - Ja tu ze skóry wychodzę, by panu pomóc, a pan... Och, to on jeszcze nie w łóżku?

W progu saloniku stał panicz Rayne z miną osoby, która podjęła decyzję i nie odstąpi od niej, cokolwiek by się działo. Za nim zjawiała się Phoebe.

- Edmund chce panu coś powiedzieć, nim pójdzie spać, sir Nugencie.

- Nie, proszę go stąd zabrać. Przeżyłem szok i nie jestem w najlepszym nastroju.

- To nie jest tak, że chcę - wyjaśnił rezolutnie chłopiec, podszedł do siedzącego na krześle ojczyrna i stanął przed nim, zakładając rączki z tyłu. -Bardzo mi przykro, że powiedziałem na pana wartogłów, sir. Psurdalny wartogłów - uściślił skrupulatnie.

Fotherby z rozdrażnieniem zamachał ręką, gestem każąc mu odejść.

- No dobrze, dobrze...

- I to nie był Chien - dodał Edmund bohatersko. - To ja. Za to też przepraszam. Proszę! - Wyciągnął ręce przed siebie, otworzył dłonie, w których zaciskał dwa potargane frędzle.

Phoebe wydała zdławiony okrzyk, gdyż o niczym nie miała pojęcia, nie spodziewała się też dalszej części przeprosin. Sir Nugent przez chwilę

wpatrywał się w napięciu w swe sponiewierane frędzle, po czym wydusił z siebie, niemal dławiąc się z furii:

- Ty... ty... Och, jak ja ci zaraz...

- Fotherby! - Sylvester smagnął go tym jak biczem, gdyż elegant ze złowieszczą miną poderwał się z krzesła. Księżę szybko podszedł do nich, a Edmund odetchnął z ulgą, choć był do końca bardzo dzielny i nie cofnął się nawet o krok. - Nie waż się go tknąć!

- Ja tylko chciałem trochę natrzeć mu uszu -wyjaśnił z urazą sir Nugent. - Do licha, chyba jestem jego ojczymem, prawda?

Sylvester zbył tę uwagę krótkim pogardliwym śmiechem, po czym spojrzał na bratanka.

- Oddaj mi te frędzle, wisusie, i zmykaj do łóżka. Chłopiec posłusznie wręczył mu zdobycz, lecz wymruczał przy tym ponuro:

- Myślałem, że jak przeproszę, to już nie będziesz się gniewał.

- Nie gniewam się. - Sylvester niedbale pogłaskał go palcem po policzku. - Słowo Rayne'a. Dobranoc, psotniku. Nie każ pannie Marlow czekać na ciebie.

- Nie gniewa się pan! - wybuchnął Nugent. - Może jeszcze pan tę małą gadzinę nagrodzi?

- Niewykluczone - skwitował chłodno Sylvester. - Udało mu się bowiem dokonać tego, czego ja bym nie zdołał, mianowicie odplacił panu pięknym za nadobne. Porwał go pan z domu, wiedząc, że nic panu nie grozi z mej strony, gdyż ja nie rozgłoszę tego postępku. Sprawy mojej rodziny nie są i nie będą obiektem powszechnego zainteresowania. Cokolwiek bym uczynił, nic nie okazałoby się dla pana równie bolesne, jak to, co zrobił Edmund. Zuch chłopiec! Ależ jego ojciec by się uśmieiał!

- Powinienem wyzwąć pana na pojedynek - zagroził sir Nugent. - Na mą duszę, mam na to ogromną ochotę.

- Nie sądzę... bohaterze. Słynę z celności strzału.

- Nugent Fotherby nie ma sobie równych, każdy to panu powie! Rzecz w tym, że mojej pani by się to nie podobało. Wszak dopiero co jej ślubowałem! Mam ją kochać, a nie strzelać się z panem! Jeśli jednak sądzi, że wezmę dalej ze sobą tego małego odmieńca z piekła rodem...

Na samą myśl o Edmundzie odjęło mu mowę z oburzenia. Spłoszył, porwał ze stołu rzucone tam pogardliwie przez księcia frędzle i wypadł z saloniku.

Tom był pełen jak najgorszych przeczuć, przecież po takiej scenie Salford i Fotherby z pewnością nie mogli zostać pod jednym dachem. Tymczasem najzupełniej nieoczekiwanie wybryk Edmunda przyczynił się do rozwiązania problemu. Ianthe, dowiedziawszy się o przewinie syna, orzekła, że musi zostać on ukarany, na co małżonek powtórzył jej z goryczą, jak to Sylvester stanął w jego obronie. Tym samym obecność księcia w zajeździe „Złota Rybka” się wydała. Lady Ianthe z okrzykiem rozpaczyny opadła na poduszki, lecz sir Nugent miał już serdecznie dosyć. Zapominając o wszystkim, co jej przysięgał, uderzył pięścią w stół (aż podskoczyły wszystkie buteleczki ze złotymi korkami) i kazał jej

natychmiast wybierać między nim a swym piekielnym potomkiem. Oniemiała z wrażenia. Była przestraszona, ale i pełna podziwu, przecież zademonstrowanie siły stanowiło oznakę męskiej przewagi! Należała do tych kobiet, które w podobnej sytuacji natychmiast stają się uległe, choć więc próbowała płacząco protestować, nie zabrzmiało to przekonująco. Kiedy Sylvester zdecydowanie zapukał do drzwi i wszedł do środka, nawet nie czekając na zaproszenie, przyjęła go lepiej, niż mógł się spodziewać. Owszem, czyniła mu wyrzuty, lecz głównie za zachęcanie Edmunda do wybryków i za odmowę przykładowego ukarania chłopca. Po takiej wypowiedzi jej deklaracja, że nie odda ukochanego dziecięcia na pastwę takiego okrutnika, nie wydawała się zbyt sensowna nawet jej samej. Nie znajdując innego wyjścia z sytuacji, zalała się łzami i lamentowała, że nikt nie ma względu na jej biedne nerwy. Te odgłosy rozpaczyny przywiodły do pokoju chorej również Phoebe, która poprosiła, by ze względu na dobro synka lady Ianthe opanowała się nieco.

- Zapewne nie chce go pani zasmucać - przekonywała. - To przecież małe dziecko, proszę tylko pomyśleć, jak bardzo będzie nieszczęśliwy, kiedy usłyszy, jak jego mama płacze.

- Jest pani równie okrutna jak Sylvester - szlochała nieszczęsna piękność. - Nikogo nie obchodzi, jak ja cierpię.

- Mnie na pewno nie - oznajmił zimno książę.

- Och! - Ianthe przestała płakać. Gwałtownie usiadła na łóżku, czerwona z gniewu.

- Palcem nie kiwnę, by cię pocieszyć - ciągnął niezrażony. - Jak widzisz, jestem z tobą najzupełniej szczerzy. Zanim więc oddasz się ponownie odgrywaniu sceny mającej udowodnić, jak jesteś wrażliwa, posłuchaj, co chcę ci powiedzieć. Przez cztery lata pamiętałaś mi kilka głupich

słów, które wyrwały mi się w chwili wzburzenia. Często rzucałaś mi je w twarz, utwierdzając się w przekonaniu, że naprawdę tak myślałem. Nie, nie odwracaj głowy. Spójrz mi prosto w oczy i odpowiedz. Czy w twoim mniemaniu naprawdę mógłbym żywić jakąkolwiek niechęć do wszystkiego, co zostało po moim bracie?

Sięgnęła po chusteczkę i oznajmiła z wyrzutem:

- Nie sądzę, byś tak bardzo dbał o Harry'ego. Po jego śmierci nie uroniłeś nawet jednej łzy. — Urwała nagle, przerażona wyrazem jego twarzy.

Phoebe spojrzała na księcia. Sylvester zbladł straszliwie, usta miał zaciśnięte. Chwilę trwało, nim się odezwał.

- Kiedy Harry zmarł, umarła część mnie. Nie będziemy o tym rozmawiać. - Jego głos brzmiał szorstko. - Mam do powiedzenia tylko tyle: jesteś matką Edmunda, możesz go odwiedzać w Chance, ilekroć zapagniesz. Powtarzałem ci to już wielokrotnie, powtórzę jeszcze ten raz. Przyjeżdżaj, kiedy zechcesz, z mężem lub bez.

Sir Nugent słuchał tego pilnie i gdy tylko za księciem zamknęły się drzwi, zakrzyknął:

- Na mą duszę, to diablo uprzejme z jego strony! Musisz to przyznać, serce moje! U licha, nigdy nie sądziłem, by miał mnie kiedy zaprosić do Chance, zda mi się bowiem, że on mnie niezbyt lubi. No, ale

skoro tak, to zapewne pojedę. Och, nudno tam będzie okrutnie, nie przeczę, żadnych zabaw i rozrywek, a towarzystwo mało swobodne, śmiem twierdzić. Jednak wizytą w Chance nie sposób pogardzić. Już wiem, ja mu się odwdzięczę, pójdę go poprosić, by napił się ze mną kieliszek wina. Albo nie, zaproszę go na kolację. Sądzisz, że powinienem się przebrać, najdroższa? Chociaż nie, to mogłoby go skonsternować. Zmienię tylko fular, to wystarczy i doskonale spełni swą rolę.

Zachwycony swym planem, opuścił szybko pokój, Ianthe znów poczęła płakać, lecz dała się pocieszyć Phoebe, która zapewniła ją, że będzie dbała o jej synka przez całą drogę powrotną.

- Och, droga panno Marlow, gdyby pani z nim nie jechała, za nic nie zgodziłabym się na rozstanie z Edmudem. - Ianthe uścisnęła dłoń Phoebe. -Nie wątpię, że zaopiekuje się nim pani równie troskliwie jak ja. A gdyby ktoś podejrzewał mnie niesłusznie o porzucenie własnego dziecka, pani przecież wie, jak do tego doszło, pani zna prawdę...

- Jeśli ktoś powie przy mnie coś podobnego, usłyszy, że Edmund został pani wydarty - obiecała Phoebe. - A teraz pani wybaczy, ale muszę wrócić do niego i zdmuchnąć świecę, by mógł zasnąć.

Chwilę później zamarła w progu pokoju, który dzieliła z chłopcem, gdyż na brzegu łóżeczka siedział książę Salford. Podniósł się od razu, zdawał się zakłopotany.

- Przepraszam, nie powinienem był tu wchodzić, lecz Edmund mnie wołał.

- Ależ nic nie szkodzi - odezwała się z całą

serdecznością. Tak ciepło nie zwróciła się do niego jeszcze nigdy.

- Phoebe, stryjek mówi, że tata obciął by jeden frędzel, a on drugi - zdradził Edmund, a oczy mu błyszczały.

Nie wytrzymała i roześmiała się.

- Ciekawe, co by stryjek powiedział, gdybyś to od jego butów coś odciął?

- Ach, już mu wytłumaczyłem, że stryjkom się takich rzeczy nie robi. - Sylvester zmierzwił dłonią kręcone włosy bratanka. - Śpij dobrze, okropny wisusie.

- A nie zostawisz mnie? - spytał chłopiec, zdjęty nagłym przestrawem. - Nie pojedziesz beze mnie?

-Nie, bez ciebie nigdzie nie pojedę.

- A Phoebe? A Tom?

- Oni też pojedą z nami.

- To dobrze. - Edmund puścił poję surduta stryjka Vestera. -Ale z nas będzie wesoła kompania!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Towarzystwo dotarło do Calais dwa dni później. Nocleg wypadł im w Etaples, w karczmie, którą ksiądz Salford określił jednoznacznie jako najgorsze miejsce, w którym jego noga postąpiła, Z całej „wesolej kompanii” jedynie Tom spełnił oczekiwania Edmunda.

Sylvester miał zły humor już od samego początku, gdyż nawet zastawienie niedużej perłowej broszki Phoebe oraz jego zegarka z dewizką nie zapewniło im wystarczającej kwoty, by mógł podróżować w stylu, do jakiego przywykł. Pogniewał się na Toma za owo niespodziewane wyjęcie broszki w lombardzie, gdyż przez ten nedorzeczny pomysł on potem będzie musiał wysłać do Francji jednego ze służących, by biżuterię panny Marlow wykupił. Targowanie się o wartość zegarka nappełniło go najgłębszym niesmakiem, ale jeszcze bardziej nie podobało mu się, że przyjdzie mu cokolwiek zawdzięczać Phoebe. Później wynikł kolejny problem. Gdyby wynajęli dwie karety pocztowe z poczwórnym zaprzęgiem, zabrakłoby im apanaży w połowie drogi. Sylvester musiał zdecydować, czy będą się tłoczył wszyscy (razem z małym chłopcem cierpiącym podczas podróży na nudności) w jednym powozie zaprzężonym w czwórkę koni, czy też wynajmą dwa, każdy z parą koni, by pokonać tak ponad siedemdziesiąt pięć mil. Ponieważ Edmund, nim zaczął chorować, miał zwyczaj kręcić się i zadrećcać otoczenie dziesiątkami pytań, Sylvester ostatecznie postanowił wynajmąć dwie karety. Odkrył przy tym, że pan Rayne dysponujący dość skromnymi środkami, zupełnie nie budzi szacunku należnego księciu Salford. Poczciarze

traktowali go obojętnie. Sylvester, który przez całe życie miał do czynienia z ludźmi prześcigającymi się, by go zadowolić, był wstrząśnięty. Dopóki nie wylądował w Calais, nigdy nie podróżował wynajętym pojazdem. Już ten, który otrzymał do dyspozycji w „Srebrnym Lwie”, nie zaspokajał jego wymagań, a w Abbeville było jeszcze gorzej. Obie karety pocztowe okazały się dość brudne, co napełniło zawsze schludnego Sylvestra wstrętem.

- Dlaczego nie ma czterech koni? - chciał wiedzieć Edmund.

- Bo są tylko dwa - uciął stryjek.

- Dwa kościotrupy! - zawyrokował chłopiec ze wzdargą.

Posuwali się noga za nogą. Pierwsza zmiana koni na stacji pocztowej nie przyniosła poprawy, nadal jechali bardzo wolno i dopiero wtedy Phoebe

odkryła, jak wielka jest różnica między czwórką a parą koni. Droga dłużyła się w nieskończoność i choć Edmunda nie chwytaly nudności, co niechybnie miałyby miejsce w kołyszącym się powozie na resorach, ciągniętym przez czwórkę rączych cugan-tów, to z kolei nie było go czym zająć, gdyż nawet wyglądanie przez okno nie było ciekawe. Marudził bez ustanku, co okazało się bardziej wyczerpujące, niż gdyby chorował. Phoebe odczuła ulgę, gdy w Etaples księżę spojrział na nią i oznajmił, że tego dnia dalej nie pojedą. Marzyła tylko o tym, by się wyspać. Poprosiła, by przyniesiono jej do pokoju talerz zupy, lecz Sylvester zaprotestował stanowczo:

- Nie ma mowy! Ani pani, ani Edmund nie jedliście dziś żadnego ciepłego posiłku. Nawet jeśli nie jest pani głodna, trzeba coś zjeść. - Przyjrzał jej się baczniej i dodał: - Zapewne chciałaby pani odpocząć przed zejściem na kolację. Proszę iść się położyć, teraz ja zajmę się Edmundem.

Jeden z posługaczy zaprowadził ją na górę do pokoju, którego okna wychodziły na podwórze. Phoebe zdjęła suknię i powiesiła ją na kołku w nadziei, że może choć najgorsze zagniecenia nieco się rozprostują, po czym położyła się na łóżku i zamknęła oczy. Chyba zaczynała mieć migrenę, lecz to miejsce nie sprzyjało pozbyciu się podobnych dolegliwości. Sądząc po odgłosach dobiegających zza okna, na dziedziniec wychodziła też kuchnia, w której pracowały osoby wyjątkowo skłonne do krzyczenia i trzaskania garnkami.

Właśnie miała zejść na dół, gdy do jej pokoju zajrzał Tom, by spytać, jak się czuje.

Przyniósł jej kieliszek czerwonego wina, przysłanego przez Sylvestra.

- Jego zdaniem, jesteś półżywa ze zmęczenia. W rzeczy samej, wyglądasz dość nędznie.

Phoebe zdawała sobie z tego sprawę, gdyż przedtem przyjrzała się sobie uważnie w upstrzonym przez muchy lusterku na ścianie, i doprawdy nie podniosło jej to na duchu. Z wdzięcznością napiła się wina, licząc na to, że może ono nieco poprawi jej nastrój.

- Ależ harmider robią ci Francuzi! - zauważył Tom. - Sylvester wściekł się, gdy się dowiedział, że ten pokój wychodzi na podwórze, ale nasz jest nad samą salle des buveurs, na zamianie wyszłabyś więc jeszcze gorzej. Akurat trwa jarmark, całe miasto jest

pełne ludzi, nie znajdziemy miejsca nigdzie indziej.

- Wasz? Dzielisz z nim pokój? Jemu to się zapewne niezbyt podoba.

- Och, nie to mu dojadło najbardziej - odrzekł niewesoło. - Nie życzy sobie obcego towarzystwa przy posiłku i nie przywykł, by sługa mu mówił, że obsłuży go „wkrótce”. Zostawiłem go na dole, gdy zaczynał na dobre odgrywać księcia, by sprokuro-wać dla nas oddzielny stolik. Pewnie mu się uda, bo służący już zaczynał się kłaniać, a nawet poszedł umyć ręce, a wszystko wyłącznie ze względu na arystokratyczne maniery i czarujący uśmiech Syl-vestra.

Gdy zeszli na dół, księżę rzeczywiście czekał na nich przy małym stoliku nieopodal wejścia. Na krześle Edmunda położono dwie opasłe księgi.

Chłopczyk siedział na nich z miną aniołka, budząc powszechny zachwyty.

- Jeszcze trochę - szepnął Sylvester do Phoebe, odsuwając dla niej krzesło - a zepsują mi go zupełnie.

- On w ogóle o to nie dba.

- I całe szczęście! Zamówiłem coś dla pani, mam nadzieję, że utrafiłem. Mały tu wybór dań, w domu uznalibyśmy je za pospolite.

Kiedy chwilę później księżę zwrócił się do zagonionego sługi, Edmund, wyraźnie już pogodzony z obcym językiem, oznajmił niespodziewanie, że on też umie po francusku.

- A to ci łgarz! - skwitował Tom. - A co potrafisz powiedzieć?

- Słowa - odparł z godnością Edmund. -Umiem powiedzieć bonjour i petit chou, i... W tym momencie stracił zainteresowanie językami obcymi, gdyż służący postawił przed nim talerz z potrawą, którą wcześniej chłopiec sam wybrał.

Obsługa pozostawiała wiele do życzenia, lecz samo jedzenie okazało się dobre. Kolacja minęłaby spokojnie, gdyby Edmund nie miał ponownie okazji wykazać się znajomością francuskiego. Otóż u szczytu długiego stołu, biegnącego wzdłuż całej sali siedziała niezmiernie tęga kobieta, tak zachwycona urodą chłopca, że ilekroć podniósł wzrok znad talerza, kiwała do niego głową i uśmiechała się, co mu wcale a wcale się nie podobało. Gdy wychodziła z karczmy, mijając po drodze ich stolik, nie wytrzymała i nie tylko pogratulowała Phoebe

tak ślicznego aniołka, ale i wycisnęła na jego policzku głośny całus.

- Petit chou - rzekła z szerokim uśmiechem.

- Salaude - rzucił Edmund, nie posiadając się z oburzenia.

Natychmiast nakazano mu być cicho, po czym Sylvester wyjaśnił wstrząśniętej kobiecie, że chłopiec zupełnie nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia tego słowa, i przeprosił w jego imieniu. Musiał przy tym znieść uśmiezki znajdujących się dookoła osób, które wszystko słyszały. Gdy usiadł, obrzucił niepoprawnego bratanka złowróżbnym spojrzeniem, lecz Phoebe stanęła w obronie dziecka.

- Niesłusznie pan się na niego gniewa, on przecież nie wie, co to znaczy. Musiał usłyszeć to w kuchni zajazdu „Złota Rybka”.

- Madame mówi tak do Elise - wyjaśnił Edmund.

- Tak, ale to nie jest ładne słowo, kochanie -zgaśniła go łagodnym tonem Phoebe.

- Tak właśnie myślałem - odparł chłopiec z sa-tysfakcją.

- Dziwne - zastanawiał się na głos książę - miał przy sobie cztery osoby dorosłe, a pozwalano mu obracać się wśród służby kuchennej.

- A mnie się często zdawało dziwne, że mając przy sobie w Chance nie wiedzieć ile osób dorosłych, obraca się wśród stajennych! - odcięła się gniewnie Phoebe.

Na to nie znalazł odpowiedzi, zapadło więc milczenie, które przerwał Tom, pytając księcia o szczegół dotyczący dalszej podróży. Niedługo później wszyscy rozeszli się na spoczynek. Phoebe zabrała chłopca do siebie, życząc Sylwestrowi dobrej nocy niezwykle zimno, Tomowi zaś wyjątkowo ciepło.

Następnego ranka przy śniadaniu dwoje adwersarzy zachowywało się z uprzedzającą grzecznością. Sylvester wygłaszał kurtuazyjne uwagi, Phoebe odpowiadała w sposób równie konwencjonalny.

Owa chłodna uprzejmość opuściła ją natychmiast, gdy dowiedziała się, że ma podróżować dalej z Tomem. Zaprotestowała natychmiast.

- Och, nie, proszę mi zostawić Edmunda! Przecież pojechałam z panem właśnie po to, by się nim opiekować. To dla mnie prawdziwa radość, zapewniam.

- Bardzo pani łaskawa, dzisiaj wszakże ja go wezmę ze sobą.

- Ale dlaczego? - naciskała. Zawahał się, po czym rzekł:

- Ponieważ mam takie życzenie.

Uznała to za krytykę jej postępowania z Edmundem, który przecież ledwie poprzedniego wieczoru popełnił gafę. Odwróciła się i odeszła, by książę nie dostrzegł jej upokorzenia, nie chciała mu dać tej satysfakcji. Gdy niedługo potem zerknęła na niego ukradkiem, dostrzegła, że bacznie śledził ją wzrokiem. Zbliżył się ku Phoebe i spytał:

- Co takiego powiedziałem, by tak panią zasmucić? Działiałem w dobrej wierze.

Uniosła brwi.

- Zasmucić? Mnie? Nic podobnego.

- Zabieram chłopca, gdyż pani zdaje się cierpieć na migrenę - wyjaśnił.

Ta dbałość o nią rozbroiła Phoebe, jej powściągliwość znikła. Chociaż ksiązę trafnie odgadł, poprosiła, by zostawił jej dziecko. Patrzył na nią przez długą chwilę w milczeniu, po czym rzekł niemal szorstko, nim odwrócił się plecami:

- Nie, proszę się ze mną nie spierać. Tak postanowiłem i koniec.

Gdy dotarli do Calais, migrena dawała jej się we znaki naprawdę dotkliwie, którą to okoliczność winiła za narastające przygnębienie. Edmund, dowiedziawszy się o tym, natychmiast poinformował, że stryjka też boli głowa.

- Mnie? - wykrzyknął ksiązę. - Nigdy w życiu mnie nie bolała, urwisię.

- Aha! - skwitował Edmund i zdradził z poufałym uśmiechem: - Nie boli, tylko trochę pęka.

Ponieważ Tom jeszcze w Abbeville wpadł na pomysł, by zasięgnąć rady Sinderby'ego, tej nocy udało im się znaleźć nocleg w gospodzie wprawdzie skromnej i położonej na uboczu, lecz cichej i dość wygodnej. Napar z ziół oraz długi, mocny i niezakłócony sen uleczyły Phoebe z bólu głowy. Poczucie przygnębienia nie opuszczało jej jednak, czemu nie należało się dziwić, zważywszy, że pierwsze, co ujrzała po przebudzeniu, to mokre od deszczu szyby oraz ołowiane niebo.

- Czeka nas mozolna przeprawa - oznajmił ksiązę, dołączając do reszty towarzystwa podczas śniadania. - Wiatr jest bardzo słaby, co ma wszakże tę zaletę, że ktoś spośród nas może nie będzie chorował. Udało mi się zdobyć dla pani kabinę, panno Marlow, lecz i tak ta podróż znuży panią

ogromnie, jeśli dalej będzie padało, co wydaje się prawie pewne,

- Dlaczego nie mogę dostać jajka?- narzekał Edmund.-Nie chcę zupy mlecznej. Keighley mówi, że to dobre dla kotów.

Phoebe roześmiała się.

- Nie tylko! A jajko będzie jutro.

- Jutro mogę nie być głodny - oznajmił ponuro chłopiec. - Dzisiaj jestem.

- Naprawdę?

- Tak. Aż mi się flaki skręcają!

Sylvester, który przeglądał gazetę, zniżył ją i obrzucił bratanka surowym spojrzeniem.

- Tego z całą pewnością nie nauczyłeś się od Keighleya.

- Nie - przyznał Edmund. - Tak mówi Jem.

- Jaki, u licha, Jem?

- Ten piegowaty. Nie wiesz który, stryjku? - spytał z niedowierzaniem.

- Któryś ze stajennych? Chłopczyk kiwnął głową.

- To mój przyjaciel. Uczy mnie bardzo dobrych słów.

- Jeśli nie chcesz poczuć mojej ręki, to ich przy mnie nie powtarzaj!

Edmund potulnie wrócił do zupy mlecznej, a Sylvester rzucił ponad jego głowę ponurym tonem:

- Bardzo za niego przepraszam, panno Marlow. To wina jego wiekowej niani i jeszcze bardziej wiekowego guwenera. Muszę mu poszukać młodszego.

- Moim zdaniem, lepiej by się nadała rozsądna

guwernantka, podobna do mojej. Taka, która nie gani za podarte ubranie, lubi zwierzęta, rozumie, co to znaczy łapać motyle, zbierać ptasie jajka i...

- Droga panno Marlow, zechce pani zdradzić mi imię swej guwernantki i jej obecny adres - poprosił księżę.

- Poznał ją pan już - przypomniła mu. - Obawiam się jednak, że nie odstąpię jej panu. Sibylla zamieszka razem ze mną, gdy tylko osiągnę pełno-letniość.

- Zamieszka z panią? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak postanowiłam. Będzie zajmować się domem, a ja...-Urwała, gwałtownie wciągnęła powietrze, po czym dokończyła buńczucznie: - A ja będę pisać powieści!

- Ach, tak - skwitował cierpkim tonem Sylvester i ponownie skrył się za gazetą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Kiedy wchodzili na pokład statku pocztowego, wciąż siało. Kiedy panicz Rayne dowiedział się, że nawet jego wszechpotężny stryjek nie może cudownie przenieść go nad fałami, omal nie doszło do bolesnej dla wszystkich sceny.

- Nie, nie, nie! Nie wejść na statek! Nie wejść, nie wejść! - powtarzał coraz bardziej histerycznie, gotów lada moment dostać spazmów.

- Słucham? - spytał Sylvester tak złowieszczym tonem, że chłopiec zaczerwienił się po same uszy, po czym odezwał się błagalnie:

- Stryjku, proszę, ja nie chcę! Będzie mnie bolał schówek na leguminę!

- Co będzie cię bolało?

Edmund zaczął trzeć powieki piąstkami.

- Myślałem, że jest w tobie więcej hartu - rzucił wzgardliwie jego stryjek.

- Bo jest! - W anielskich oczach zabłysło oburzenie. - Keighley mówi, że mam naprawdę twardy kuper!

- Keighley czeka na nas w porcie - zauważył księżę od niechcienia. - Panno Marlow, niechże mu pani nie mówi, jak to Edmunda we Francji opuściła odwaga. Biedak byłby wstrząśnięty.

- Idę na statek - oznajmił chłopiec z determinacją. - My, Rayne'owie, nie zostawiamy naszej odwagi ani we Francji, ani nigdzie!

Przy wejściu na trap zawahał się, czy jednak nie zostać na brzegu, lecz pomogły słowa stryjka:

- Prowadź, młody Rayne!

Po nich Edmund rezolutnie wszedł na pokład.

- Prawdziwy z ciebie chwyt - pochwalił Tom.

- To dla mnie bułka z masłem! - zapewnił chłopiec.

Rejs z Calais do Dover trwał dziewięć godzin i nigdy dziewięć godzin nie dłużyło się Phoebe tak bardzo. Był to dla niej czas niezmaconej nudy. Sylvester otulił bratanka płaszczem i zatrzymał go przy sobie na pokładzie, nie pozostało jej więc nic innego, jak zejść do kabiny i oddać się ponurym rozważaniom na temat przyszłości. Kilkakrotnie zajrzał do niej Tom, przynosząc napoje i najświeższe wieści o Edmundzie. Tak, trochę chorował, lecz niewiele. Udało im się z Sylwestrem znaleźć osłonięte miejsce i zajmowali się chłopcem na przemian. Nie, Phoebe nie była im potrzebna do pomocy, ponieważ Edmund przespał się nieco, a teraz odzyskał humor.

Pod koniec przeprawy przestało padać, wyszła więc na pokład. Chłopiec przechwalał się swą dzielnością, książę ledwie się odżywał. Po raz pierwszy w życiu przyszło mu opiekować się bratankiem i miał nadzieję, że po raz ostatni.

Statek pocztowy wpłynął do portu dopiero o ósmej wieczorem, podróżnicy byli więc zmęczeni, przemarznięci i w nie najlepszych nastrojach, na widok Keighleya jednak dwóch z nich się rozpogodziło. Edmund skoczył ku niemu z radosnym piskiem, książę zaś rzekł z wyraźną ulgą:

- Dzięki Bogu! Możesz się nim zająć, John.

- Tak jest, wasza książęca mość - odparł służący z uśmiechem. - Paniczu Edmundzie, proszę mnie na chwilę puścić, muszę wziąć sakwojaż.

Zdumiał się na widok panny Marlow, jeszcze bardziej zaskoczyła go obecność pana Orde'a, lecz nie dał po sobie nic poznać, gdy Sylvester wyjaśnił, że to właśnie dzięki ich pomocy udało się odzyskać Edmunda.

- Rozumiem, wasza książęca mość - odrzekł tylko. - Jak pańska noga, sir? Ciągłe jest trochę sztywna, jak widzę.

Keighley wynajął dla księcia pokoje w gospodzie „Pod Monarchą” i nie sądził, by zdobycie dwóch dodatkowych przedstawiało kłopot, lecz Phoebe wyraziła życzenie natychmiastowego powrotu do lady Ingham. Sylvester spochmurniał ponownie.

- Byłoby rozsądniej wpierw się upewnić, czy ona nadal tu przebywa. Pozwoli pani, że zabiorę ją do mego zajazdu, byś mogła odpocząć, podczas gdy Keighley uda się zasięgnąć języka.

- Nie, ja to zrobię - wtrącił Tom. - Do mego powrotu zostawiam Phoebe pod twą opieką.

Nie chciała puścić przyjaciela samego, by cały gniew lady Ingham nie skrupił się na nim, lecz Tom oznajmił, że jemu to niestraszne, i poszedł.

Wybrany przez Keighleya zajazd nie należał do zbyt znanych, gdyż dzięki temu istniała możliwość, że nikt z gości nie rozpozna księcia Salforda, któremu nade wszystko zależało na zachowaniu dyskrecji. Oprócz sypialni wynajęto prywatny salonik, a wkrótce Keighley mógł poinformować pannę Marlow o możliwości dostania wygodnej sypialni. Phoebe i Sylvester siedzieli w saloniku wraz z Edmundem, któremu właśnie podano kolację.

- Dziękuję, Keighley, lecz nie sądzę, by miało się to okazać potrzebne.

- Tego nie wiemy - zaproponował Sylvester. - Jak rozumiem, wasza nieobecność trwała tydzień. Nie wydaje mi się, by lady Ingham mogła zabawić tu tak długo, aczkolwiek pani może posiadać lepsze informacje ode mnie.

- Napisałam do niej - wyjaśniła, lecz w jej głosie pojawiło się wahanie. - Musiała przecież wiedzieć, że wrócę, a gdybym ja nie mogła, to wróci Tom.

- W takim razie bez wątpienia czeka na niego. Ponieważ wypowiedział to owym nielubianym przez nią obojętnym tonem, nic nie odrzekła. Edmund właśnie skończył kolację, skorzystała więc z okazji i od razu zabrała go do pokoju, by położyć go spać. Wkrótce zjawiała się pulchna pokojówka, mówiąc, że chętnie zaopiekuje się chłopcem. Nie miał nic przeciw temu, bo pragnął pochwalić się przed kimś nowym swymi przygodami. Odezwał się chępliwie:

- Jestem wielkim podróżnikiem, wiesz? Phoebe zostawiła ich samych. Kiedy wróciła do saloniku, ujrzała Toma, konferującego z Sylwestrem. Zamarła w progu, gdyż przyjaciel wyglądał na zatroskanego. Ujrzawszy ją, Tom uśmiechnął się uspokajająco, lecz jego słowa nie okazały się ani trochę krzepiące.

- Nie znalazłem jej. Musiała wrócić do Londynu. Phoebe przeniosła pełen niepokoju wzrok na twarz księcia.

- Proszę wejść i usiąść, panno Marlow. Jest pani rozczarowana, jak widzę, ale przecież nic takiego się nie stało. Zobaczysz się z nią pani już jutro wieczorem.

- Skoro wyjechała, nie czekając na nas, niechybnie pognewiała się na mnie bardzo.

- Skądże! - zapewnił Tom, starając się podnieść Phoebe na duchu. - Ona wcale nie otrzymała twego listu. Mam go przy sobie. Myślałby kto, że prześlą go jej do Londynu, ale gdzie tam. Zajazd „Pod Statkiem” nie jest ani w połowie taki dobry, za jaki chce uchodzić. Wyobraźcie sobie, że na nowych butach z cholewami znalazłem tłuste ślady palców pucybuta.

- Przez te wszystkie dni nie wiedziała więc, gdzie ja się podziewam! Och, co też ona musi sobie myśleć?

- Przynajmniej nie martwi się, czy nie utonęłaś, przecież wie, że jestem z tobą. Oby tylko nie podejrzewała nas o ucieczkę i sekretny ślub.

Phoebe przycisnęła dłoń do skroni.

- Nie, to na pewno nie... Czy próbowała nas szukać? Co ci powiedziano w zajeździe?

- Niewiele. Wiesz, jak tam jest. Wieczny rozgardiasz i krzątania, goście przyjeżdżają i wyjeżdżają, kto by tam spamiętał takie drobiazgi? Dostała spazmów, to pewne, wezwano do niej doktora, ale gdyby czuła się naprawdę źle, nie ruszyłaby z powrotem do Londynu raptem dzień po naszym zniknięciu.

Phoebe, przerażona, opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

- Spazmy lady Ingham to najcenniejsza rzecz, jaką moja matka chrzestna ma - skwitował z rozbawieniem Sylvester. - Nabyła je wiele lat temu i od tej pory okazują się wielce przydatne, gdyż zjawiają się zawsze w samą porę, by uchronić ją przed czymś, na co nie ma ochoty. Wróciła do miasta, by do woli wylewać swe żale przed sir Harrym Halfordem.

- Zapewne masz rację - zgodził się Tom. - Co ja się z nią namęczyłem, by w ogóle wyjechała z domu! Na mój rozum wygląda to tak, że ledwo popuściłem cugle, bryknęła i uciekła z powrotem do ciepłej stajni. Nie ma więc co popadać w rozpacz, Phoebe.

- Kiedy nie potrafię inaczej. Gdy tylko pomyślę, ile zmartwień jej przysporzyłam... - Urwała, podniosła głowę i spytała cicho: - Zostawiła dla mnie wiadomość?

- Tylko w kwestii bagażu - zdradził z lekkim ociąganiem Tom. - Jest do odebrania na stacji pocztowej.

- Bardzo rozsądnie - pochwalił Sylvester, podchodząc do kredensu. - Niechybnie spodziewała się waszego powrotu do Dover. Panno Marlow, znam pani upodobania na tyle, by nie proponować pani sherry. W takim razie zostaje ratafia.

Przyjęła od niego kieliszek.

- Mamy odebrać bagaże na stacji pocztowej... - powtórzyła. Naraz uderzyła ją pewna myśl. -Czyżby babcia podejrzewała, że i od niej uciekłam?

- Raczej się trochę nadąsała - podsunął Tom.

- Tak, to bardziej prawdopodobne - poparł go Sylvester. -Thomas, co pijesz? Sherry czy maderę? Panno Marlow, dopóki nie spotkamy lady Ingham, jesteśmy skazani na domysły, najzupełniej bezowocne zresztą. Obiecuję uczynić wszystko, by ją przekonać, że bez pani pomocy nie odzyskałbym Edmunda.

Na jej twarzy pojawił się blady uśmiech.

- Sam pan mówił, że jedynie panu zaszkodziłam - przypomniała.

- Och, przecież nie powiem jej tego.

- A ja tak!

Tom postanowił wtrącić się czym prędzej.

- Dobrze, że nie zabrała naszego bagażu z powrotem na Green Street. Z samego rana udam się po niego razem z Keighleyem i z największą radością zrzucę z siebie to ubranie.

- Zważywszy, że masz na sobie moją koszulę i fular, bez których tym samym ja musiałem się obejść, niezbyt mi przypadła do gustu twoja wypowiedź - wycedził Sylvester.

Phoebe odgadła, że w ten sposób próbował odwrócić jej uwagę od smutnych rozważań, roześmiała się więc, by mu nie sprawić przykrości, i już więcej nie wspominała o lady Ingham. Zjawił się kelner, by nakryć do kolacji, a Tom podpowiedział Sylwestrowi, by przynoszone dania odsyłał z powrotem do kuchni. Tym razem Phoebe nie potrzebowała zmuszać się do wesołości.

- Czemu miałbym je odsyłać? - spytał zbity z tropu Sylwester.

- By okazać swą ważność, oczywiście. Spytaj służbę, czy wie, kim jesteś. W razie jakichkolwiek kłopotów zaoferuj, że natychmiast kupujesz to miejsce. Wiesz, przyzwyczailiśmy się, że jesteśmy zabawiani w najlepszym stylu.

Zaintrygowany książę zażądał szczegółowego sprawozdania z podróży do Abbeville. Tak go to ubawiło, że zrewanżował się opowiadką o serdecznym powitaniu, jakie mu zgotował sir Nugent. Do tej pory nie rozumiał jego przyczyny, więc nie wydawało mu się zabawne, teraz cała trójka uznała je za nieodparcie komiczne. Nie tylko obecne troski, ale i dawne urazy poszły w niepamięć. Znowu czuli się ze sobą tak dobrze, jak niegdyś w zajazdzie „Pod Niebieskim Odyncem”. Phoebe i Sylvester po dawnemu przerzucali się dowcipnymi uwagami i Tom już gratulował sobie sukcesu swego strategicznego posunięcia, gdy jedno zdanie zepsuło wszystko.

- Jak czarny charakter z powieści - podsumował wesoło Sylvester.

Figlarny uśmiech znikł z twarzy Phoebe, na jej policzkach wykwitł rumieniec i w okamgnieniu przekształciła się z przeuroczej rozmówczyni

w sztywną kukłę, przynajmniej tak to określił w duchu Tom. Powróciło poprzednie napięcie. Sylvester, po niemal niezauważalnym momencie wahania, kontynuował jakby nigdy nic, lecz z jego głosu znikł serdeczny ton. Znowu ukrył się za obojętnością - bardzo uprzejmy i zupełnie nieosiągalny.

Tom się poddał. Nie wątpił, jak się w rzeczywistości sprawy mają, lecz nie wyglądało na to, by mógł doprowadzić do trwałego pojednania między tym dwojgiem. W jego mniemaniu Sylvester w ogóle już nie pamiętał o hrabim Ugolinie, gdy wyrwała mu się owa niefortunna uwaga, lecz Phoebe była tak przewrażliwiona na punkcie nieszczęsnej powieści, że nawet najmniejsza wzmianka na ów temat musiała zepsuć jej nastrój, przez co również księciu nieuchronnie przypomniał się skandal związany z „Zaginionym spadkobiercą”.

Ledwie kolacja dobiegła końca, Phoebe oznajmiła, że czuje się zmęczona i pragnie udać się na spoczynek, po czym życzyła im dobrej nocy. Sylvester pożegnał ją chłodnym ukłonem, zamknął za nią drzwi i z uśmiechem odwrócił się do Toma.

- Co robimy z resztą wieczoru? Partyjka pikiety? A może uda nam się zdobyć skądś szachy?

Beznadziejna sprawa, ocenił w duchu Tom i opowiedział się za szachami.

Następnego ranka zjadł w pośpiechu śniadanie i udał się wraz z Keighleyem po bagaże. Gdy wrócił, Sylvester stał przy oknie saloniku, czytając gazetę, zaś Phoebe wycierała Edmundowi ubrudzoną jajkiem na miękko buzię.

- Nasze bagaże są na dole, Phoebe. Keighley

czeka, byś mu powiedziała, który z twoich ma ci zanieść do pokoju. Aha, na stacji pocztowej odebrałem też to. - Podał jej zapieczętowaną kopertę, którą wzięła od niego szybko, rozpoznając pismo lady Ingham.

- Niech przyniesie ten mniejszy sakwojaż, proszę. Edmundzie, a ty dokąd?

- Muszę coś powiedzieć Keighleyowi - oznajmił chłopiec z ważną miną i wybiegł z saloniku.

- Biedny John... - mruknął Sylvester, nie odrywając oczu od gazety.

Tom wyszedł za Edmundem, Phoebe zaś złamała pieczęć i rozłożyła pojedynczą kartkę papieru. Sylvester śledził ją znad gazety uważnym spojrzeniem. Skończyła czytać i bez słowa złożyła list.

- I cóż?

Zaskoczona, odwróciła głowę. Sylvester odezwał się tak szorstkim tonem, że nie wiedziała, czemu to przypisać.

- Pani twarz i tak już mi zdradziła, że to niezbyt przyjemne wieści. Równie dobrze może mi pani powiedzieć, co wyczytała w liście.

- W jej mniemaniu namówiłam Toma, by zabrał mnie do domu, i ją porzuciłam. Moker musiała jej to podsunąć, jest o mnie bardzo zazdrosna. Babcia może nawet wierzy, że uciekłam wziąć z Tomem ślub... To wszystko moja wina.

- Mnie tego nie musi pani mówić. Nie od dziś wiem, że ma pani wyjątkowy talent do ściągania na siebie kłopotów.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Potem odwróciła się i podeszła do ognia. Nie pojmowała, jak mógł być aż tak okrutny, jak mógł sobie z niej drwić, gdy widział, jak bardzo jest przygnębiona. Tak, to była oczywista drwina, choć głos księcia brzmiał nie szyderczo, lecz gniewnie. Phoebe nie rozumiała, co rozbudziło jego dawną urazę. Ścisnęło ją w gardle, lecz zdołała się odezwać:

- Obawiam się, że ma pan rację. Zawsze wplączę się w jakąś kabałę. Macocha nazywała mnie szalapatem, próbowała uczynić ze mnie układną pannę. Żałuję, że jej się to nie udało.

- Nie tylko pani tego żałuje!- rzucił gwałtownie.

Ogarnęła ją słabość jak zawsze, gdy ktoś przypuszczał na nią atak. Usiadła czym prędzej i zacisnęła dłonie aż do bólu, wbijając paznokcie w ciało.

- Wplątała się pani w kabałę, jak to pani określa, gdy tylko się poznaliśmy - ciągnął. - Słuszniej byłoby rzec, że rzuciła się pani w nią na złamanie karku. Jeśli nie przeszkadza pani uchodzenie za szalaputa, to jej sprawa, ale pani nie dość na tym, bo bez skrupulów w kolejne awantury wciąga innych. Przez panią ucierpiał Thomas, ucierpiałem ja, i to jeszcze jak! A teraz ofiarą pani szaleństw padła lady Ingham. Czy rozgniewała się tak, że w tym liście wyrzeka się pani? Czyżby czuła się pani pokrzywdzona? Przecież nikt inny nie jest winien pani nieszczęściom, tylko pani sama.

Phoebe słuchała tej perory zaszokowana, nie mogąc uwierzyć, że to nie ktoś obcy, lecz Sylvester ciska jej w twarz te gorzkie zarzuty. Na moment pojawiła się w jej głowie myśl, że on zachowuje się tak, jakby celowo podsycił swą urazę do niej, a potem zaślepił ją gniew i przestała się zastanawiać nad czymkolwiek.

- Nie, to na nic! - rzekł nagle książę. - Och. Jaskółko, Jaskółko...

Nie słuchała go. Gdy się odezwała, jej głos był zmieniony z emocji.

- Owszem, jest ktoś inny, a tą osobą jest pan, mości książę! To pańska arogancja nakazała mi uczynić pana czarnym charakterem. To przez pana uciekłam z domu. Gdyby nie pan, nikt by nie miał pewności, że to ja napisałam tę powieść. Gdyby nie pan, nie weszłabym na ów statek. To pan jest sprawcą wszystkich moich nieszczęść. Zarzuca mi pan, że ucierpiał z mego powodu. Jeśli nawet, to zemścił się pan wybornie, gdyż udało się panu zrujnować mi życie!

Ku jej zdumieniu i oburzeniu, książę skwitował ostatnie zdanie krótkim śmiechem. Zmierzyła go miazdzącym spojrzeniem, na co on odezwał się w te słowa:

- Doprawdy? Skoro tak, postaram się to pani jakoś wynagrodzić. Czy zechce mi pani wyświadczyć ten zaszczyt, panno Marlow, i przyjąć propozycję małżeństwa?

W ten oto sposób książę Salford, słysząc ze sztuki najbardziej czarującego uwodzenia, składał pierwsze oświadczenia.

Phoebe ani przyszło do głowy, że Sylvester był wytrącony z równowagi i zdeprimowany jak goło-wąs, który ledwo opuścił szkolną ławę. Ów śmiech i przesadna formalność wynikały wyłącznie z zakłopotania, o które nie podejrzewała go ani przez chwilę. Księżciu nigdy nie zbywało na umiejętności prawienia gładkich słówek i nigdy nie tracił panowania nad sobą, Phoebe uznała więc, że z niej zadrwił. Zerwała się z krzesła.

- Jak pan śmie?!

Boleśnie świadom swej niezdarności, Sylvester pospieszył... pogorszyć sprawę.

- Pani wybaczy! Pani się myli! Nie było moją intencją... Och, Phoebe, wyrwały mi się te słowa, nim zdążyłem pomyśleć, co mówię. Nie zamierzałem prosić cię o rękę. Obiecałem sobie, że nigdy tego nie zrobię, ale... - Urwał, uzmysławiając sobie, że pograża się coraz bardziej.

- Owszem, temu dam wiarę - odparła z pasją. - Zechciał pan przecież przed chwilą powiedzieć wprost, co o mnie myśli. Przyjechał pan do Austerby obejrzeć mnie sobie, jakbym była klaczką na sprzedaż, i uznał wtedy, że nie spełniam pańskich wymagań. Tak było, prawda?

- I cóż jeszcze usłyszę? - spytał, mimowolnie wybuchając śmiechem.

- Prawda? .

- Tak, ale czy nie pamięta już pani, jak się zachowała? Skąd mogłem wiedzieć, że pani rozmyślnie próbuje mnie zniechęcić do siebie? Dopiero później...

- Nawet wiem kiedy— rzuciła jadowicie. —Wtedy, gdy po raz pierwszy ucierpiał pan przeze mnie z powodu mej ucieczki z Austerby, co zraniło pańską dumę, tak jak zapewne jeszcze nic do tej pory. Wtedy właśnie pomyślał pan, że nadawałabym się na pańską żonę. Ta żarliwa propozycja,

którą raczył mi pan łaskawie złożyć, jest wynikiem mej nieszczęsnej skłonności do popełniania szaleństw, która kazała mi wplątać się w pańskie sprawy. Och, jak mogłam tego nie przewidzieć. Proszę mi to wybaczyć. Gdybym tylko odgadła, że właśnie mój brak manier okaże się dla pana pociągający, zachowywałabym się bez zarzutu. Zaoszczędziłoby to panu wstydu z powodu otrzymania odmowy, a mnie obraży, jaką dla mnie były pańskie oświadczenia. Sylvester zbladł.

- To nie miała być obraza... Jeśli tak to zabrzmiało, to było niezamierzone, proszę mi wierzyć. To, co przedtem powiedziałem, powiedziałem dlatego, że pani szaleństwa przekonały mnie, że pani właśnie nie nadaje się na moją żonę. Po tamtym balu u lady Castlereagh nie chciałem pani nigdy więcej widzieć... Tak przynajmniej sądziłem, lecz myliłem się, bo gdy ujrzałem panią ponownie.. ucieszyłem się.

Nie była to przemowa godna mężczyzny słynącego ze zręcznego komplementowania dam, lecz Sylvester nigdy przedtem nie próbował oczarować damy, która płonie z gniewu i oburzenia.

- Doprawdy? Szybko jednak się pan z tego wykurował, prawda?

Zirytowany, odciął się:

— Nie, chociaż próbowałem. Niechże pani przestanie się nade mną znęcać, mała złośnico.

- Phoebe, czy chcesz się przebrać? - spytał Tom, wracając do saloniku w najbardziej niefortunnym momencie. - Keighley wniósł twój sakwojaż na

górze... - Urwał, po czym wyjąkał, ogromnie skonsternowany: - Och, przepraszam! Nie wiedziałem... Już wychodzę!

-Nie, czemu miałbyś wychodzić? - odparła żywo Phoebe. - W rzeczy samej, chcę zmienić suknię, i zaraz to zrobię.

Tom przytrzymał otwarte drzwi, myśląc sobie, że jeśli Sylvester, zaskoczony w samym środku najzupełniej oczywistej sceny, spuści nieco z tonu i przestanie zachowywać dystans, to on będzie mógł mu doradzić, jak ma uporać się z Phoebe. Zamknął drzwi i odwrócił się.

- Thomas, a cóż to za pyszna mina! Czy chcesz, bym się zawstydził i zaczerwienił? - spytał księżę z kpina w głosie.

ROZDZIAŁ DWUZIESTY SIÓDMY

Wyruszyli z Dover o jedenastej rano, a do tego czasu panna Marlow zdążyła pokłócić się już z oboma towarzyszami podróży. Kiedy wyszła z pokoju z wyniosłą miną, ubrana w elegancką suknię, natknęła się w korytarzu na Toma i spytała go od razu, czy odzyskał pieniądze zostawione w kufrze podróżnym. Gdy ją zapewnił, że nic nie zginęło, poprosiła, by w takim razie wynajął powóz, którym wróciłyby do Londynu.

Tom jak zwykle nie owijał w bawełnę.

- Mam lepsze pomysły na wydawanie moich pieniędzy.

- Oddam ci, obiecuję.

- Bardzo pięknie, tylko z czego?

- Babcia...

- Marne to zabezpieczenie. Nie, dziękuję.

- Jeśli ona ci nie odda, sprzedam swoje perły -oznajmiła.

- Na kogo ja wtedy bym wyszedł? Naprawdę chcesz mnie stawiać w takiej sytuacji?

- Nie życzę sobie podróżować na koszt księcia Salforda! - wyrwało jej się.

- W takim razie nic prostszego. Sprzedaj perły i zwróć mu pieniądze.

Zacisnęła wargi.

- Skoro nie chcesz spełnić mojej prośby, to może przynajmniej spytaj księcia, ile na mnie wydał, odkąd opuściliśmy Abbeville - rzekła sztywno.

- Kiedy będę chciał wyjść na głupca, zrobię to we własnym imieniu, a nie nadstawiając za ciebie karku, panno obrażalska.

Mieli podróżować dwoma powozami. Jednym był faeton Sylwestra, drugim wynajęta karetka pocztowa, do obu zaprzężono czwórkę koni. Kiedy Tom wyszedł z gospody wraz z wyniosłe milczącą Phoebe, panicz Rayne już siedział w faetonie, obok którego stał Sylvester, wkładając rękawiczki. Tom podszedł do niego.

- Czyżbyś zamierzał sam powozić przez całą drogę do Londynu?

- Tak, Chętnie wziąłbym cię ze sobą, lecz wtedy zbrakłoby miejsca dla Keighleya.

- Ale chyba nie bierzesz również Edmunda? Czy nie lepiej, by chłopiec jechał razem z nami?

- Thomas, mój drogi, tylko ze względu na niego kazałem Johnowi przyjechać do Dover faetonem. On nigdy nie choruje podczas jazdy otwartym powozem. Czy zechcesz dotrzymać towarzystwa pannie Marlow? Tuszę, że ta część podróży nie

będzie już dla niej tak męcząca. Późno ruszamy, lecz powinniśmy zjechać do miasta na kolację.

Tom, choć podejrzewał, że Sylvester, zwłaszcza przy jego obecnym nastroju, w rzeczywistości chętnie oddałby bratanka pod ich opiekę, nie oponował. Oddalił się i pomógł Phoebe wsiąść do karety.

Przez pierwszych pięć mil panowało między nimi milczenie. W Lydden panna Marlow zagadnęła (w mniemaniu przyjaciela przestając się wreszcie głupio dąsać), gdzie Tom zamierza się zatrzymać w Londynie.

- U Sylvestra. Zaprosił mnie do siebie na kilka dni. Właściwie mogę zostać u niego tak długo, jak tylko chcę.

- Wielkie nieba! Cóż za zaszczyt na ciebie spłynął! Teraz już rozumiem, czemu nie chciałeś się zniżyć do spełnienia mej prośby. Rychło w ogóle o mnie zapomnisz.

- Jak nie zaczniesz uważać na to, co mówisz, to szybko pożałujesz, że nie zapomniałem. Jeśli cię język świerzbi, to zachowaj kąśliwe uwagi dla Sylvestra, bo on jest zbyt dobrze wychowany, by w końcu złoić ci skórę. Ja nie, więc uważaj.

Przez następną milę znów panowała cisza.

- Tom? - odezwała się cicho Phoebe.

- Tak?

- Ja wcale tak nie myślałam. To, co powiedziałam, było okropne. Nie gniewaj się na mnie.

Uścisnął ją za rękę.

- Och, ty gąsko! Co się z tobą dzieje? - Ponieważ nie odpowiedziała, dodał: - Wiem, że trafiłem dziś w sam środek poważnej sprzeczki między wami. Co

ty wyprawiasz? Naprawdę chcesz skrócić sobie kark?

Cofnęła dłoń. — Wybacz, z łaski swojej. Byłoby rzeczą wielce niestosowną, gdybym powtórzyła, co między nami zaszło. Nie poruszajmy więcej tej kwestii, proszę.

- Dobrze. Tylko nie zadław się tą wyniosłością.

W Sittingbourne zatrzymali się na krótko w karczmie „Pod Różą”. Gdy wyszli z niej i Tom miał podać Phoebe rękę, by pomóc jej wsiąść do karety, Sylvester zagadnął:

- Thomas, nie miałbyś ochoty spróbować, jak powozi się faetonem?

- A jakże! Oczywiście, o ile się nie boisz, że go przewrócę do rowu - zażartował z krzywym uśmiechem. - I o ile... - Zawahał się i zerknął na Phoebe.

— Ależ idź, jeśli chcesz - odparła. - Równie dobrze mogę wrócić dylizanssem. Sylvester odwrócił się i odszedł.

- Wsiadaj - przykazał ostro Tom, a gdy zajął miejsce obok niej, dodał: - Po raz pierwszy w życiu cieszę się, że nie jesteś moją siostrą.

Nie odezwała się. Przez resztę podróży wymienili nie więcej niż kilka zdawkowych uwag. Phoebe udawała, że drzemie, lecz nigdy nie była równie daleka od zaśnięcia, targały nią sprzeczne emocje. Tom wyglądał przez okno, głowiąc się, co Sylvester

mógł powiedzieć, by aż tak ją rozgniewać. Żałował, że nie może mu w niczym pomóc, choćby nawet uwalniając go na jakiś czas od Edmunda.

Keighley dzielnie osłaniał księcia przed niesfornym bratankiem.

- Nie, nie można stryjkowi przeszkadzać, paniczu. Nie, tego już za wiele, paniczu. Nie, nie ma co się złościć, nikt nie ma ochoty, żeby znosić takie fomy - powtarzał niestrudzenie, żałując, że tego ostatniego nie może powiedzieć też księciu.

Po szóstej powozy stanęły przed Salford House.

- Czemu się tu zatrzymaliśmy? - spytała z niezadowoleniem Phoebe.

- Żebym mógł zostawić mój bagaż. - Tom otworzył drzwiczki. - Zapewne Sylvester będzie też chciał pożegnać się z tobą. Spróbuj wykrzesać z siebie choć odrobinę grzeczności.

Wysiadł, tymczasem z pałacu zdążyło już wyjść parę osób.

- Reeth, Reeth, byłem we Francji! - krzyczał Edmund, wbiegając po schodach. - Gdzie Guziczek? Ale się zdziwi, jak jej powiem, co robiłem! Och, Guziczku, szkoda, że cię ze mną nie było! Tęskniłaś za mną? Phoebe wszystko robi nie tak jak trzeba! Musiałem ją nauczyć, wiesz?

- Okropny huncwot - zauważył Sylvester. - Reeth, pan Orde zostanie u mnie przez kilka dni, zajmij się nim teraz. Thomas, wejdiesz do domu? Ja odwiozę pannę Marlow do lady Ingham.

Tom obawiał się, że ten plan może przynieść więcej szkody niż pożytku, rzekł więc półgłosem:

- Lepiej tego nie rób. Niech ona trochę ochłonie. Sylvester zdawał się nie słuchać.

- Idź z Reethem, Thomas, niedługo wrócę. Wspiął się do powozu i chwycił Phoebe za rękę, niemal nie czekając, aż służba zamknie za nim drzwiczki.

- Phoebe, musisz mnie wysłuchać. Wiem, wiem, wszystko zepsułem... Nie mogę ci teraz wyjaśnić, mamy za mało czasu... Nie pozwolę ci tak odjechać. Nie możesz myśleć, że oświadczyłem się dla kpiny lub po to, by cię obrazić.

- Obiecał pan sobie nigdy mi się nie oświadczyć, to pańskie własne słowa. - Próbowała wyrwać się z jego uścisku. - Kiedy już pan ochłonie, będzie wdzięczny, że nie skorzystałam z tak świetnej oferty. Czy zechce mnie pan puścić, mości książę?

Zamiast tego uściskał jej dłonie mocniej.

- Kiedy ja cię Kocham!

- Jestem wielce zobowiązana, jednakże nie mogę odwzajemnić pańskiego afektu, sir.

- Będziesz musiała, zobaczysz - obiecał.

- O, nie! - zakrzyknęła, rozzłoszczona już nie na żarty. - Niechże mnie pan puści! Może pańskie maniery pozwalają panu zachowywać się tak niestosownie na środku ulicy, ale dla mnie to niedopuszczalne. Będę musiała pana pokochać, też coś! Gdybym nie była tak zagniewana, nie zdołałabym się powstrzymać od śmiechu na myśl o tym, jak trafnie scharakteryzowałam Ugolina, pisząc, że nawet gdy próbował udawać układnego, nie potrafił ust otworzyć, by nie zdradzić się z nieznośną arogancją.

- Wyznaję, że cię Kocham i pragnę cię za żonę, a ty nazywasz to arogancją?

- Tak, a ponadto kpina. Nigdy nie spotkał się pan z odmową, prawda, mości książę? jeśli jakaś dama nie okazywała panu przychylności, czynił pan wszystko, by stać jej się miłszym, niż tego pragnęła.

Dużo miłszym, śmiem twierdzić. Posuwał się pan nawet do stawiania zakładów, że powiedzie się panu tam, gdzie inni nic nie wskórali.

- A cóż to za niedorzeczności? Ja?

- Tak, pan! Co pan powie na temat pewnej panny zwanej „niezdobytą twierdzą”? A może pańskie podboje są tak liczne, że pan jej nie pamięta?

- Pamiętam - odparł z chmurną miną. - Usłyszałaś o tym od Ianthe, prawda? A czy powiedziała ci również, że ów zakład był jedynie prywatnym żartem między mną a moim bratem i nie chcieliśmy, by ktokolwiek się o nim dowiedział?

- Może mi pan powie, że nie oblegał owej twierdzy?

- Phoebe, czy musisz mi wyrzucać błędy młodości?

- Nie robiłabym tego, gdyby od tamtego czasu pozbył się pan zarozumiałstwa, tak się jednak nie stało. Robił pan wszystko, by mnie oczarować. Musi mieć pan dużą praktykę, gdyż postępował pan niezwykle zręcznie, i gdybym nie wiedziała, co się za tym kryje, dałabym się zwieść. Ja jednak wiedziałam. Tom zdradził panu przyczynę, dla której uciekłam z domu. To pana dotknęło, z zemsty umyślił więc pan rozkochać mnie w sobie, bym pożałowała, że panem wzgardziłam.

Sylvester oniemiał, ponieważ dawno już zapomniał o owym małostkowym postanowieniu.

- I cóż, mości książę? Nie zaprzeczy pan? Puścił jej dłonie i popełnił największy błąd ze

wszystkich.

- Nie. Byłem dotknięty i rzeczywiście w przyływie... tak, zarozumiałości... arogancji... nazywaj to, jak tylko chcesz... Przyznaję, powziąłem taki niecny zamysł. Ale to trwało bardzo krótko, uwierz mi!

- Nie wierzę!

Kareta skręciła w Green Street. Panna Marlow, wyrzuciwszy z siebie dużą część gniewu, który musiała w sobie tłumić przez tyle przykrych godzin, popadła w przygnębienie. Dręczyciel, który obok niej siedział, najpierw publicznie ją upokorzył, potem odpłacił jej niewdzięcznością za przykrości, które poniosła dla jego dobra, na końcu obraził ją na wszelkie możliwe sposoby, a teraz, gdy tylko egoistyczny potwór o sercu z kamienia nie rozumiałby, jak bardzo jest nieszczęśliwa i jak rozpaczliwie potrzebuje usłyszeć słowa zapewnienia... Milczał.

Może on z kolei potrzebował zachęty? Postanowiła dać mu ją czym prędzej.

- Inne obiekty pańskich westchnień, mości książę, to same diamenty czystej wody, musiałabym więc być niezwykle naiwna, by uwierzyć, że naprawdę woli pan mnie. Oświadczył się pan, ponieważ jest gotów uczynić wszystko, byleby tylko nie doznać porażki, i otrzymać to, na co ma ochotę.

Jeśli miał odzyskać dawny charakter, to teraz albo nigdy. Rzekł obojętnie:

- Nie musi pani już nic więcej mówić, panno Marlow. Nie będę pani przekonywał, bo cokolwiek powiem, zda się to na nic.

- Jeśli chce pan wiedzieć, co naprawdę o panu myślę - odparła drżącym głosem - to jest pan znacznie gorszy niż Ugolino.

Nic nie odrzekł. Ha! Miała więc rację! Wcale jej nie kochał i oczywiście bardzo ją to cieszyło. Jedyne, czego potrzebowała do pełni szczęścia, to znaleźć zaciszne miejsce, na przykład zagracony stryszek lub komórkę na węgiel i tam do woli oddać się swej radości.

Powóz zatrzymał się. Sylvester otworzył drzwiczki, zeskoczył na bruk i własnoręcznie opuścił schodki. Och, jakie to było protekcyjne. Phoebe zebrała się w sobie, wysiadła i wygłosiła z wielką godnością:

- Chciałam panu podziękować, mości książę, za odwiezienie mnie do Anglii. Gdybyśmy mieli się więcej nie spotkać, pragnęłabym przed pożegnaniem zapewnić, że jestem w pełni świadoma, co panu zawdzięczam, oraz życzyć mu wiele szczęścia.

Cała ta piękna przemowa mogła równie dobrze pozostać niewypowiedziana, gdyż Sylvester nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

- Idę z panią - oznajmił krótko, sięgnął do kołatki i zastukał.

- Błagam, by pan tego nie robił!

Ujął jej dłoń w swoje.

- Panno Marlow, niech mi pani pozwoli uczynić dla pani tę jedną, jedyną rzecz. Znam lady Ingham i jej wybuchowy temperament. Jeśli jednak ja zobaczę się z nią najpierw, nie odczuje pani jej gniewu.

- Bardzo pan łaskaw, mości książe, lecz nie potrzebuję niczyjego pośrednictwa.

Drzwi otworzyły się.

- Panienska Phoebe! - wykrzyknął Horwich, po czym napotkał groźne spojrzenie drugiej z przybyłych osób, skłonił się i wymamrotał: - Wasza księżęca mość...

- Zanieś bagaże panny Marlow do domu! - rozkazał zimno Sylvester i ponownie zwrócił się do swej towarzyszki. Dalsze przekonywanie jej nic by nie dało, dlatego postanowił skorzystać z tego, że kamerdyner niechybnie podsłuchiwał: - Pożegnaj się teraz z panią, lecz żadne słowa nie są w stanie wyrazić mej wdzięczności za wszystko, co pani uczyniła. Proszę przekazać lady Ingham moje pozdrowienia oraz uprzedzić, że pragnąłbym wkrótce złożyć jej wizytę, by opowiedzieć, jak wielce jestem pani zobowiązany, gdyż pani sama zapewne tego nie zrobi. Do zobaczenia. Niech panią Bóg błogosławi... - Zgiął się w głębokim ukłonie i ucałował jej dłoń.

Płonący z ciekawości Horwich wybałuszył oczy.

Dla udręczonej Phoebe, która w tym momencie nie potrafiła pojąć intencji Sylwestra, jego słowa okazały się ową ostatnią kroplą, przepelniającą czarę goryczy.

- Oczywiście! To jest... Pan nazbyt mnie chwali, mości książe! Do zobaczenia! - wykrzyknęła nieskładnie i umknęła do domu.

- Kiedy bagaże zostaną zabrane, jedź do Salford House, tam otrzymasz zapłatę - rzekł książe pocztylionowi. - Ja się przejdę.

Kiedy Reeth otworzył drzwi swemu panu, przeżył głęboki wstrząs. Podejrzewał przedtem, że dzieje się coś niedobrego, teraz uzyskał pewność. Już kiedyś widział u księcia podobny wyraz twarzy. Oczywiście nie śmiał zająknąć się na ten temat nawet słowem, lecz przynajmniej mógł powiedzieć coś, co niechybnie będzie księciu miło usłyszeć.

- Nie zdążyłem przedtem powiadomić waszej księżęcej mości, lecz... - zaczął, pomagając zdjąć mu płaszcz.

- Reeth, a cóż ty tu, do diabła, robisz? - zawołał Sylvester, dopiero w tym momencie zdając sobie sprawę z jego obecności. - Wielki Boże, chyba nie chcesz mi powiedzieć, że moja matka jest tutaj?

- Czeka na waszą księżęca mość w bawialni - odparł sługa z szerokim uśmiechem. - Bardzo dobrze zniosła podróż, spieszę zapewnić.

Sylvester szybko ruszył ku schodom.

Księżna siedziała przed kominkiem, była sama. Odwróciła głowę, gdy syn wszedł do pokoju i uśmiechnęła się figlarnie.

- Mamo!

- Nie, Sylvestrze, tylko mnie nie besztaj, nie życzę sobie tego. Masz mi, z łaski swej, powiedzieć, że jesteś uszczęśliwiony, widząc mnie tutaj.

- Nie muszę ci tego mówić. - Pochylił się nad nią, by ją ucałować. - Jak mogłaś ruszyć w podróż beze mnie? Och, nie powinienem był ci pisać, co się wydarzyło, obawiałem się jednak, że mogłabyś o tym usłyszeć od kogoś innego. Mamo droga, bardzo się niepokoiłaś?

- Ani trochę. Wiedziałałam, że bezpiecznie przywieziesz go z powrotem. Oczekiwać jednak ode mnie, bym pozostawała w Chance, podczas kiedy w Londynie zachodzą tak niezwykle wydarzenia, to chyba zbyt wiele. Usiądź, proszę, i opowiedz mi wszystko. Wynurzenia Edmunda kazały mi snuć najbardziej szalone domysły, zaś ten przeuroczy młodzieniec, którego przywiozłeś z sobą, wyraził opinię, że zapewne wolałabym usłyszeć całą opowieść z twoich ust. Któż to jest, mój drogi?

Sylvester przysunął sobie krzesło i usiadł, a wtedy księżna po raz pierwszy zobaczyła twarz syna, gdyż padło na nią światło świec. Podobnie jak Reeth, była wstrząśnięta. Rozpoznała wyraz twarzy Sylvestra; wyglądał tak przez wiele miesięcy po śmierci Harry'ego. Modliła się, by już nigdy więcej go takim nie ujrzała, musiała więc teraz spleść mocno dłonie, gdyż z całego serca pragnęła wyciągnąć je ku niemu.

- To Thomas Orde - odparł z uśmiechem, który zdawał się kosztować go wiele wysiłku. - Miły chłopiec, prawda? Zaprosiłem go, by został tutaj tak długo, jak zechce. Zdaniem jego ojca powinien nabrać miejskiej ogłady. - Zawahał się chwilę i dodał: - Zapewne wiesz od niego lub od Edmunda, że jest najlepszym przyjacielem panny Marlow. Właściwie jej przybranym bratem.

- Och, „Tom i Phoebe” nie schodzą Edmundowi z ust. Nie potrafię wszak pojąć, czemu brali udział w owej awanturze. Panna Marlow wydaje się lubić mego wnuka.

- Była dla niego bardzo dobra. To długa historia, mamo.

- A ty jesteś zmęczony i wolałbyś opowiedzieć mi ją później. Nie będę cię więc męczyć, mój drogi. Zdradź mi jednak cokolwiek o Phoebe, gdyż ona mnie szczególnie interesuje, jeśli mam być szczerą, przyjechałam do miasta po to, by się z nią zobaczyć.

- Zobaczyć się z nią? Nie rozumiem, mamo. Czemu miałabyś to robić?

- Cóż, dostałam list od Louisy, z którego dowiedziałam się, że wszyscy widzą w niej autorkę tej nedorzecznej powieści, przez co biedne dziecko bardzo ucierpiało. Miałam nadzieję położyć kres tym absurdalnym plotkom, lecz przybyłam do Londynu za późno, lady Ingham już zdążyła

wyjechać z wnuczką w podróż do Paryża. Nie pojmuję, czemu twoja matka chrzestna nie napisała do mnie w tej sprawie. Przecież zrobiłabym wszystko, by pomóc córce Vereny.

- Tak, mam, jest za późno. To ja mogłem zażegnać ów skandal, a zamiast tego... - Urwał i spojrzał na nią bystro. - Nie przypominam sobie, czy widziałem cioteczkę Louise na balu u państwa Castlereagh. Była tam?

- Tak, mój drogi.

Wstał gwałtownie i podszedł do kominka.

- Zapewne ci doniosła, co się tam wydarzyło.

- Niefortunne zajście - orzekła spokojnie księżna. - Twój gniew był zrozumiały.

— Nic nie usprawiedliwia mojego postępu, mam. Wiedziałem przecież, jak ona się lęka podobnych scen... Och, jeszcze widzę jej twarz przed sobą.

- Jaka ona jest, Sylwestrze? - Ponieważ nie odpowiedział, zagadnęła: - Czy ładna?

Potrząsnął głową.

- Nie należy do piękności, mam. Gdy jednak jest czymś ożywiona, zda się urzekająca.

- Słyszałam, że jest niezwykła.

- O, tak, rzeczywiście jest niezwykła! - zakrzyknął z goryczą. - Mówi wszystko, co jej tylko przyjdzie do głowy, urządza skandaliczne eskapady, wpada z jednych w tarapatów w drugie, woli towarzystwo koni i stajennych niż eleganckie rauty, jest zuchwałą, czasem aż strach spojrzeć jej w oczy, bo nie wiadomo, czy nie wybuchnie śmiechem, nie ma umiejętności przystojących młodym pannom, nie zachowuje się godnie, jest niemożliwa do opanowania, szczerą aż do bólu, doprawdy nieznośna i... najmilsza na świecie.

- Polubię ją? - spytała księżna, nie spuszczać wzroku z syna.

- Nie wiem - odparł z lekkim zniecierpliwieniem. - Możliwe... Mam nadzieję, że tak... A może wcale nie. Skąd mogę wiedzieć? Ale to i tak bez znaczenia, bo ona mnie nie chce. - Umilkł, a później rzekł z największą udręką: - Mam, wszystko zepsułem, zraziłem ją do siebie zupełnie. Cóż mam teraz począć?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Phoebe spędziła niespokojną noc, gdyż prześladowały ją wspomnienia dramatycznych wydarzeń z poprzedniego dnia, ukoronowanych burzliwą sceną zrobioną przez babcię. Obudziło ją wejście młodszej pokojówki, która odsłoniła okna i przyniosła na tacy śniadanie oraz list przysłany z Salford House nie więcej niż dziesięć minut wcześniej. Służąca oczywiście nie posiadała się z ciekawości, lecz nadzieje na zaspokojenie jej okazały się płonne, gdyż panienka przyjęła

wiadomość z największą obojętnością. Bardziej była zainteresowana tym, by nalano jej herbaty. Pokojówka pokręciła się jeszcze trochę po pokoju, a potem wyszła, rozczarowana, zostawiając panienkę siedzącą w łóżku z filiżanką w dłoni.

Ledwie Phoebe została sama, chwyciła list i otworzyła go gwałtownie. Spojrzała na podpis, a z jej

piersi wyrwał się zdławiony okrzyk na widok podpisu: „Elizabeth Salford”.

List był krótki i nie zawierał nic strasznego. Księżna pragnęła poznać córkę ukochanej przyjaciółki oraz podziękować jej za opiekę nad wnukiem. Wyrażała nadzieję, że, być może, panna Marlow zechciałaby złożyć jej wizytę jeszcze tego dnia, w południe, gdy będzie zupełnie sama i będą mogły porozmawiać bez przeszkód.

Młoda, pozbawiona znaczenia panna, do której skierowano równie miłe słowa, powinna być doprawdy ucieszona, lecz postronny obserwator, widząc twarz Phoebe, uznałby niechybnie, że czyta ona najokropniejsze wieści. Przystudiowawszy trzykrotnie każde zdanie i nie znalazłszy śladu ukrytej groźby, skupiła się na słowach „będę zupełnie sama”. Zdawały się one sugerować, by adresatka nie obawiała się niczego. To jednak oznaczało, że Sylvester powiedział matce... Właśnie. Co jej powiedział?

Zerwała się z łóżka, narzuciła na siebie szlafroczek i zbiegła do pokoju babci. Podała jej list, żądając napiętym głosem, by go przeczytała.

Lady Ingham z dezaprobatą spojrzała na wnuczkę, która poczyniła sobie tak bezceremonialnie, i zawołała:

- Cóż znowu?!

W owym okrzyku czaiła się jednak nadzieja, gdyż babka oczywiście wiedziała, skąd przyszedł list. Biedna lady Ingham też miała za sobą ciężką noc, gdyż dręczące ją pytania nie dały jej spać. W pierwszej chwili była zdecydowana czym prędzej odesłać pannę do domu, ułagodziła ją jednak (co Sylvester trafnie przewidział) intrygująca relacja Horwicha. Zdawało jej się to obiecujące, lecz potem opadły ją wątpliwości, gdyż Phoebe nie sprawiała wrażenia młodej damy, do której uderza w konkury wielce pożądanym kawaler. Nadzieja odżyła w niej na nowo wraz z przybyciem listu z Salford House. Podobnie jak wnuczka, najpierw spojrzała na podpis.

- Elizabeth! Ależ to wybornie! Musi pisać w jego imieniu. I sama, przy jej stanie zdrowia, przybyła do Londynu... Oby nie przypłaciła tego życiem,

Phoebe z niepokojem śledziła twarz czytającej.

- Co mam zrobić, babciu? - spytała, gdy otrzymała list z powrotem.

Lady Ingham siedziała pogrążona w myślach i wnuczka musiała powtórzyć pytanie.

- Jak to co? Oczywiście zrobisz tak, jak księżna sobie życzy! Napisała do ciebie bardzo miło, aż trudno odgadnąć, czemu to zrobiła, skoro... Widać nie czytała książki.

- Czytała, babciu. I sama ją dała synowi, wiem to od księcia.

- W takim razie nie zdradził jej, kto jest autorką. Tego możesz być pewna/ponieważ ona Sylvestra uwielbia. Gdyby tylko udało się ją przekonać, by otoczyła cię opieką, wtedy... Ale nie, przecież w końcu ktoś i tak jej to powie!

- Ja sama jej powiem, babciu.

Lady Ingham w duchu przyznała wnuczce rację, lecz ponieważ to kładło kres jej na nowo rozbudzonym nadziejom, zdenerwowała się tak, że rzekła z kwaśną miną:

- Oczywiście zrobisz, jak zechcesz. Mojej rady przecież nie posłuchasz. I nie proś, bym ci towarzyszyła, bo stan zdrowia mi na to nie pozwala, jestem zbyt cierpiąca na takie wysiłki. Pozwałam ci wziąć lando. Przynajmniej postaraj się odpowiednio wyglądać. Włóż tę jedwabną beżową suknię i różowy... Nie, w różowym twoja cera wydaje się szara. Weź ten kapelusik ze słomki z brązowymi wstążkami.

Tak więc panna Marlow, wyszykowana zgodnie z zaleceniami babki, wkrótce przed południem wsiadła do landa tak blada, jakby to była dwukółka mająca zawieźć ją na szafot.

Znajdowała się w takim stanie, że nie zdziwiłaby się, gdyby w Salford House czekał na nią cały legion Rayne'ów, potępiająco wytykających ją palcami. Nic podobnego nie nastąpiło, w holu krzątała się jedynie służba, a każdy, z wyjątkiem dobrotliwie uśmiechniętego kamerdynera, miał doskonale obojętny wyraz twarzy. Na szczęście Phoebe nie przyszło do głowy, że wszystkie te osoby znalazły się tam nieprzypadkowo, korzystając z najróżniejszych pretekstów, byleby tylko móc ją zobaczyć. Taka liczba służących zatrudnionych w jednej tylko części domu, wydała jej się przesadna, by nie rzec zbyt kowna, lecz widać Sylwestrowi to odpowiadało.

Weszła za kamerdynerem po schodach. Serce biło jej mocno, brakło jej tchu, a te nieprzyjemne objawy jeszcze by się nasiliły, gdyby wiedziała, ile par oczu śledzi z ukrycia każdy jej krok. Nie wiadomo było dokładnie, skąd wzięła się pogłoska, że księżę wybrał wreszcie połowicę do dźwigania

złotych kajdan i że nie przyszło mu to bynajmniej łatwo, lecz wiedzieli o tym wszyscy od ochmistrza poczynając, na najskromniejszej pomocy kuchennej kończąc. Wiele z tych osób zdołało być świadkami przybycia panny Marlow, większość poczuła rozczarowanie, jedynie Augusta Penistone i Button nie miały jej nic do zarzucenia. Pierwsza miała sentymentalne usposobienie, więc każdą wybrankę swego kuzyna uznałaby za wcielenie zalet, dla drugiej zaś była aniołem zesłanym przez opatrzność, by jej pieszczoszka nie dotknęło żadne nieszczęście, grożące dziecku

zabranemu gdzieś do obcych krajów bez opieki niani - zatonięcie w morzu, przejeżdżenie, zaniedbanie i dziesiątki innych.

Kamerdyner zaanonsował przybycie panny Marlow i Phoebe przestąpiła próg bawialni księżnej. Drzwi zamknęły się za nią, lecz miast podejść bliżej, stała jak wryta, wpatrując się w twarz pani domu.

- Och! — wyrwało jej się bezwiednie, gdyż była tak zaskoczona, że się zapomniała.

Nikt jej nie uprzedził o uderzającym podobieństwie pomiędzy synem i matką. Dopiero po chwili zaczynało się dostrzegać różnice. Oczy księżnej spoglądały ciepło, a jej usta zdawały się nieustannie życzliwie uśmiechać. Nim Phoebe zdążyła sobie to uzmysłwić, księżna zaśmiała się ze szczerym rozbawieniem.

- Tak, on ma te brwi po mnie, biedak.

- Och... Błagam o wybaczenie! - wydukała zaambarasowana Phoebe.

- Podejdz, chciałabym ci się przyjrzeć. Wiesz pewnie od babci, że cierpię na drobną dolegliwość, z powodu której sama nie mogę się podnieść.

Phoebe jednak nie ruszyła się z miejsca. Kurczowo zaciskała dłonie na torebce.

— Księżno... Jestem niezmiernie wdzięczna za zaszczyt, jaki księżna zechciała mi wyświadczyć... Ale nie mogę... Nie mogę korzystać z gościnności, nie mówiąc najpierw, że to ja... To ja napisałam tę skandaliczną powieść.

— Ależ ty jesteś podobna do matki! - zawołała księżna Salford. - Wiem, że ty ją napisałaś, dlatego tak bardzo pragnęłam cię poznać. Chodź i ucałuj mnie. Pocałowałam cię kiedyś, gdy leżałaś jeszcze w kołysce, ale ty nie możesz tego pamiętać.

Ośmielona w ten sposób, Phoebe podeszła i pochyliła się, by złożyć nieśmiały pocałunek na policzku księżnej, która nie tylko odpowiedziała jej serdecznym uściskiem, lecz rzekła:

— Moje drogie, biedne, głupiutkie dziecko. Opowiedz mi wszystko.

Nigdy jeszcze nie zwrócono się do niej tak pieszczotliwie. Sibylla Battery była szorstka, pani Orde rzeczowa, lady Ingham cierpka, a owym trzem kobietom jej dobro najbardziej leżało na sercu. Phoebe po raz pierwszy zetknęła się z czułością, w rezultacie czego upadła na kolana przy fotelu i wybuchnęła płaczem. Takie niekonwencjonalne zachowanie spotkałoby się z ostrą krytyką lady Ingham, lecz księżna wydawała się nie widzieć w tym nic złego, gdyż zachęciła pannę, by ta się wyplakała do woli, zdjęła jej kapelusz i gładziła ją po głowie.

Odkąd się dowiedziała, że serce syna należy do panny Marlow, Elizabeth Salford postanowiła nie tylko ją polubić, ale i na zawsze zapomnieć o owej nieszczęsnej powieści, choć nie spodziewała się, by to miało jej przyjść łatwo. Co innego w cichości ducha żywić wątpliwości na temat syna, a co innego czytać o nim jako o nikczemniku w romansie rozchwytywanym przez całą socjetę. Lecz

gdy tylko ujrzała autorkę, a w jej szczerych oczach najgłębszą skruchę, serce w niej stopniało. Zachwycił ją też jej wygląd. Sylvester uprzedził, że nie jest to piękność, lecz nie spodziewała się ujrzeć nadmiernie szczupłej dziewczyny o ciemnej cerze, zalecającej się jedynie parą szarych oczu. Skoro jej syn, doskonale znający swą wartość i chłodno kompletujący listę cech, niezbędnych jego przyszłej żonie, zdecydował, że tylko ta panna jest w stanie dać mu szczęście, to był zdolny do silniejszych uczuć, niż sądziła. Chciało jej się śmiać, gdy przypomniawszy sobie, co jej niegdyś mówił, gdyż Phoebe nie miała nic wspólnego z ową wymyśloną małżonką. Gdyby się z nią ożenił, dochodziłoby do niezliczonych utarczek, których podobno tak nie cierpiał, a przecież jeszcze niedawno uważał, że podstawą udanego związku jest przestrzeganie konwenansów.

Oczywiście to małżeństwo wcale nie musiało okazać się szczęśliwe, lecz księżna, która serdecznie znieubiła owych pięć nieznanych jej, lecz jakże chętnych panien, doszła do wniosku, że równie dobrze mogło się udać, gdyż obie strony będą musiały się starać. Kiedy więc cała historia „Zaginionej spadkobiercy” została już wyplakana na jej

kolanach, mogła z całą szczerością zapewnić autorkę, że w sumie cieszy się z wydania owej powieści, gdyż Sylwestrowi wyszło to na dobre.

- Nie zamartwiaj się tym, co napisałaś o okrutnym traktowaniu bratanka przez hrabiego, ponieważ gdy tylko twój bohater zaczął zachowywać się tak nikczemnie, jego podobieństwo do Sylwestra znikło. W dodatku mój niesforny wnuk, obawiam się, w niczym nie przypomina Maximiliana. Z tego, co słyszałam od pana Orde'a, Edmund rychło pokazałby Ugolinowi, gdzie raki zimują.

Phoebe nie wytrzymała i zaśmiała się cichutko, lecz potem rzekła z powagą:

- To naprawdę był czysty przypadek, zapewniam, ale on... to znaczy, księżę, nie chciał w to uwierzyć.

- Wiedział o tym dobrze, choć mógł ci powiedzieć co innego. Akurat to obeszło go najmniej, Ianthe przez lata rozsiewała o nim gorsze (gdyż z bardziej wiarygodnego źródła pochodzące) opowieści, a on przyjmował to z zupełną obojętnością. To, co go prawdziwie dotknęło, to twój opis Ugolina, gdy ten pojawia się w powieści po raz pierwszy. Jeśli powiem, że mój syn przeżył wstrząs, nie przesadzę. Nie, nie spuszcza głowę. To była dlań pożyteczna lekcja, śmiem twierdzić. Widzisz, moja droga, ostatnio zaczęłam się martwić, czy nie stał się, używając twego określenia, arogancki. Może sądzisz, że powinnam była zauważyć to już dawno, lecz mnie on zawsze traktuje jak najlepiej, a ponieważ od kilku lat nie bywam w towarzystwie, nie mogłam wiedzieć, jak odnosi się do innych.

Jestem ci więc wdzięczna za to, że dowiedziałam się od ciebie tego, o czym nikt inny nie śmiał mi napomknąć.

- Ależ to była tylko karykatura, bardzo przesadzona! - zapewniła spieszenie Phoebe. -Jego maniery są zawsze nienaganne, nie robi nic, by dać otoczeniu odczuć swą ważność. Doprawdy, byłam wobec niego niesprawiedliwa, przedstawiając go w podobny sposób. W rzeczy samej, gdyby nie... -Umilkła.

- Śmiało, powiedz. Jeśli nie będziesz ze mną szczerą, mogę zacząć sobie wyobrażać rzeczy gorsze od prawdy.

- Otóż... Otóż zdawało mi się, że jest grzeczny dla innych tylko po to, by mieć dobre mniemanie o sobie, a na pochlebstwa nie zważa jedynie dlatego, gdyż wydają mu się one naturalne wobec osoby jego stanu. Nie wiem, czemu tak mi to u niego dokuczało. Gdyby po prostu był pyszny, byłaby to gorsza cecha, a przecież wywołałaby jedynie moje rozbawienie, a nie irytację. Sądzę... Sądzę, że to jego obojętność tak mnie oburza. Czasem aż miałabym ochotę go uderzyć - wyrwało jej się.

Księżna roześmiała się.

- To mogę zrozumieć. Powiedz jeszcze, jaki jest w towarzystwie. Czy wybredny? Czy dużo wymaga?

- Ależ nie, księżno. Jest czarujący, nigdy nie robi żadnych ceremonii. Jednakże... Nie wiem, jak to wyjaśnić... Wyczuwa się w nim dystans, jakiś chłód... Och, nie chciałam pani zmartwić. Błagam, niech mi pani wybaczy!

Uśmiech księżnej stał się smutny.

- Nie ty mnie zmartwiłaś. Zmartwiło mnie, że Sylvester wciąż przebywa w odległych polarnych rejonach... Ale to już przeszłość. Nie sądzę, by nadal w nich przebywał, o, nie!

- Chodzi o jego brata? - odważyła się zapytać Phoebe, nieśmiało zerkając na twarz księżnej.

- Tak. Nie byli do siebie podobni, lecz tak sobie bliscy, że nawet małżeństwo Harry'ego nie osłabiło tych więzi. Po śmierci brata Sylvester oddalił się. Nie ciałem, lecz... Ach, widzę, że rozumiesz. Powinam się była tego domyślić, wszak bardzo bystra z ciebie osoba. Mój syn jest niezmiernie powściągliwy. Nie pozwoli nikomu dotykać swych ran, a ta rana... - Zamilkła na chwilę, po czym podjęła: - Trzymał się z daleka od wszystkich tak długo, że stało się to jego drugą naturą, stąd twoje wrażenie dystansu i chłodu. Tak, te słowa opisują go bardzo trafnie. -Wzięła Phoebe za rękę. - A co do owej obojętności... Znam ją od lat, to wrodzona cecha wszystkich Rayne'ów, wynikająca, jak słusznie zgadujesz, z dumy. U Sylwestra pogłębiło się to, gdy odziedziczył po ojcu tytuł i majątek w wieku lat ledwie dziewiętnastu. Uznałam to za najgorsze, co mogło mu się przytrafić, pocieszałam się jednakże myślą o dobrym wpływie mego brata, który był prawnym opiekunem mych synów przez owe dwa lata, których im brakowało do pełnoletności. Niestety, William, choć to człowiek wyjątkowej dobroci, nie tylko sam wysoko się ceni, lecz w

jego mniemaniu głowa rodu Rayne przewyższa dostojnością głowę dynastii hanowerskiej, czyli Sylvester zda mu się lepszy od naszego króla. Darzę brata głębokim

uczuciem, ale poglądy ma rodem ze średniowiecza. Martwi go, że zacierają się różnice stanu, ongiś tak wyraźne, że arystokraci nie zachowują tego, co nazywa odpowiednim dystansem. Oczywiście ostro zbeształby Sylvestra, gdyby ten potraktował niegrzecznie choćby pomoc kuchenną, lecz zarazem to on go nauczył, że uprzejmość wobec wszystkich jest obowiązkiem osoby szlachecko urodzonej. Mówiąc krótko, noblesse oblige. Otrzymując takie nauki oraz od młodego wieku będąc panem wielu ludzi, mój syn wyrobił sobie pewne niezbyt dobre cechy. Mówiąc szczerze, moja droga, zapewne nie do końca ich się pozbędzie. Jego żona, jeśli będzie ją kochał, zdoła wywrzeć na niego dobry wpływ, lecz i ona nie zdoła zmienić jego charakteru.

- Nie, nie zdoła. To jest, chciałam rzec...

- Zresztą Sylvester ma też cechy godne podziwu - ciągnęła księżna, reagując na ową uwagę jedynie lekkim uśmiechem. -A najdziwniejsze jest to, że część jego zalet też wynika z owej dumy. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, by uchylić się choćby od najdrobniejszego zobowiązania wynikającego z jego pozycji. Niestety, ta jego troska o poddanych nie wypływa z serca. Została mu wpojona, uważa się za odpowiedzialnego za los zależnych od niego ludzi i przyjmuje na siebie to brzemień, lecz nie ma w nim owego współczucia, które rodzi prawdziwych dobroczyńców. Z wyjątkiem kilku drogich mu osób inni już zawsze będą mu obojętni, obawiam się. Dla owych najbliższych będzie jednak gotów na wszystko, poczynając od bohaterskich

czynów, po najbardziej uciążliwe obowiązki, takie jak poświęcanie czasu na zabawianie chorej matki.

- Dla niego nie jest to uciążliwe, jestem o tym przekonana! - zaprotestowała żarliwie Phoebe.

- Wielkie nieba, przecież to musi być dla niego najnudniejsze ze wszystkiego. Staram się nie sprawiać mu sobą kłopotu, lecz, jak zapewne zdążyłaś zauważyć, mój syn zawsze i tak -wie lepiej, zwłaszcza wtedy, gdy jest święcie przekonany, że działa dla czyjegoś dobra.

- Tak, często wydaje się postępować dość... arbitralnie - przyznała.

- Harry pokpiwał z jego apodyktyczności. Najgorsze jest to, że trudno sobie z nią poradzić, gdyż on zazwyczaj nikomu nie rozkazuje, tylko uniemożliwia mu zrobienie czegoś innego. Pewnego razu jakiś niedowarzony medyk przekonał go, że wyleczą mnie kąpiele w gorących źródłach, więc Sylvester zdołał zawieźć mnie do Bath wbrew mojej woli i nawet bez mojej wiedzy, gdyż nie wyjawiał mi, dokąd naprawdę jedziemy. Wybaczyłam mu jedynie dla tych wszystkich trudów, jakie go kosztowała ta podróż. Jego żona będzie musiała wiele znieść, nie będzie wszak nigdy mogła powiedzieć, by jej dobro nie leżało mu na sercu.

Phoebe splonęła rumieńcem pod spojrzeniem księżnej.

- Pani się myli, księżno. Ja... To znaczy on...

- Czy nie zdołasz mu wybaczyć? Zraził cię do siebie zupełnie? Tak mi powiedział, lecz miałam nadzieję, że to tylko desperacja.

- Kiedy on tak naprawdę nie chce mnie poślubić. On tylko pragnął zemścić się za to, że przed nim uciekłam, chciał, bym go pokochała, gdy już będzie za późno... Nie potrafi ścierpieć jakiegokolwiek porażki. Oświadczył się wbrew sobie, nie zamierzał tego czynić, sam mi to powiedział. A potem duma już nie pozwoliła mu się wycofać.

- Doprawdy, mój syn przynosi mi wstyd! - wykrzyknęła księżna. - Wyznał mi, że wszystko zepsuł, i muszę przyznać mu rację. Nie dziwię się wcale twjej odmowie, dziecko, lecz zarazem miło mi słyszeć, jak dalece opuściła go wszelka zręczność, gdy cię prosił o rękę. Z mego doświadczenia wynika, że jeśli mężczyzna ma naprawdę szczerą i poważną intencję, to rzadko wygłasza piękną przemowę, nawet jeśli słynie z umiejętności prawienia gładkich słówek.

- Ale on nie chce się ze mną żenić - powtórzyła Phoebe, szlochając w mokrą chusteczkę. - Kiedy powiedziałam, że mu nie wierzę, odparł, że nie będzie mnie przekonywał.

- Wielkie nieba, a to głuptas:

- Dodałam więc, że jest gorszy od Ugolina, a na to zupełnie zamilkł! - wyznała tragicznym tonem Phoebe.

- Tego już za wiele - oznajmiła księżna, której głos tylko nieznacznie drżał od wstrzymywanego śmiechu. - Umywam ręce od spraw tak niemądrego syna. Po tylu zachętach z twjej strony cóż on robi? Wraca do domu w czarnej rozpacz, twierdząc, że go nie chcesz! Posunął się nawet do spytania mnie, co ma uczynić. Pierwszy raz w życiu!

- W czarnej rozpacz? - powtórzyła Phoebe, rozdarta między nadzieją a niedowierzaniem.

- Jak najbardziej. Nie mieliśmy tu z niego wczoraj pociechy. Po kolacji przyprowadził do mnie na herbatę pana Orde'a i nawet opowieść o sir Nugencie i guziku nie rozbawiła go ani trochę.

- Może... Może czuje się głęboko dotknięty. Tak, na pewno tak jest, znam go przecież. W rzeczywistości on mnie nawet nie lubi. Gdyby pani słyszała, księżno, co mi powiedział na mój temat. A w następnej chwili... oświadczył mi się.

- Biedak wyraźnie stracił głowę. Wierzę, że nie było twą intencją doprowadzenie go do tego smutnego stanu, dlatego choćby z czystej życzliwości pozwól mu przynajmniej się wytłumaczyć. To powinno mu pomóc, a zgodzisz się przecież, moja droga, że byłoby niedobrze, gdyby ksiązę Salford miał już na zawsze pomieszany rozum. Miej na względzie dobro naszej rodziny, pomyśl, jak byłaby skonsternowana.

Phoebe nie wytrzymała i zachichotała.

... — A co do tego, że on cię nie lubi - ciągnęła

księżna - nie wiem, jak w tej materii się sprawy mają, lecz nie przypominam sobie, by kiedykolwiek przedtem nazwał jakąś pannę najmiłą na świecie.

Phoebe próbowała coś powiedzieć, lecz z jej ust wydobył się jedynie dziwny dźwięk.

- Do tej pory mój syn zapewne zdążył zgryźć palce do żywego lub zamordować biednego pana Orde'a - rzekła księżna, wyciągając dłoń ku ozdobnemu sznurkowi od dzwonka na służbę. - Lepiej zobacz się z nim, moje dziecko, i postaraj się go jakoś pocieszyć.

Zawiązując wstążki kapelusza w rozpaczliwie krzywą kokardę, Phoebe poprosiła z wielkim żarem:

- Och, nie! Błagam!

Księżna obdarzyła ją uśmiechem.

- On z najwyższym niepokojem czeka na mój znak, kochanie. Jeśli zadzwonię raz, zjawi się tutaj. Jeśli zadzwonię dwa razy, przyjdzie Reeth, by sprowadzić cię na dół, a Sylvester będzie wiedział, że nie chcesz go więcej widzieć. Cóż więc postanawiasz?

- Nie mogę przecież... Ale też nie chcę, żeby on... Och, Boże, co mam zrobić? - niemal lamentowała Phoebe, spłoniona i półprzytomna.

- Zrób, co zechcesz, moja droga, lecz musisz mu sama powiedzieć, co wybierasz - odparła księżna, pociągając za sznurek od dzwonka. Raz.

Phoebe załamała rękę.

- Kiedy ja nie wiem! To niemożliwe, by on chciał mnie poślubić! Przecież mógłby mieć pannę Torrington, taką piękną, miłą, wytworną i... - Urwała gwałtownie, gdyż usłyszała odgłos otwieranych drzwi,

- Wejdz, proszę - odezwała się spokojnie księżna. - Chciałabym, byś odprowadził pannę Marlow do powozu.

- Z przyjemnością, mamó.

Elizabeth Salford wyciągnęła rękę do panny Marlow, by przyciągnąć ją do siebie i ucałować w policzek.

- Do zobaczenia, drogie dziecko. Mam nadzieję, że rychło ujrzę cię znowu.

Phoebe odpowiedziała tak nieskładnie, że w oczach cierpliwie trzymającego otwarte drzwi Sylwestra pojawił się błysk zrozumienia.

Odważyła się zerknąć na niego przelotnie, gdy szła w jego stronę. Był blady, owszem, lecz nie wyglądał na pogrążonego w czarnej rozpacz, przeciwnie, zdawał się wyjątkowo wesół i pewny siebie. Przyjęła to z mieszanymi uczuciami i minęła go ze spuszczonego wzrokiem.

Gdy zamknął drzwi, odezwał się doskonale opanowanym głosem:

- To niezmiernie uprzejme z pani strony, że zechciała pani złożyć wizytę mojej matce, panno Marlow. Mama bardzo pragnęła panią poznać.

- Poczytuję sobie za wielki zaszczyt, że zechciała mnie zaprosić, sir - odparła z nawet większym spokojem niż on.

- A czy ja dostąpię zaszczytu porozmawiania z panią przez kilka minut, nim pani odjedzie? Spokój opuścił ją w jednej chwili.

- Nie! To znaczy, chciałam powiedzieć, że nie mogę zostać dłużej. Stangret babci nie lubi długo czekać.

- Wiem, dlatego też kazałem Reethowi odesłać go do domu. Zatrzymała się w połowie schodów.

- Odesłać go do domu? Pan wybaczy, ale któż dał panu prawo...

- Lękałem się, by się nie przeziębiał.

- Nawet panu przez głowę taka myśl nie przeszła! - zaprotestowała z oburzeniem. - A nawet gdyby, to i tak pan by się tym nie przejął.

- To prawda, do tego jeszcze nie doszedłem -

przyznał. - Nie zaprzeczy pani jednak, że dokonuję postępów. - Uśmiechnął się. - Och, niechże mnie pani tylko nie zje. Obiecuję odesłać panią na Green Street jednym z moich powozów... niedługo.

Zdała sobie sprawę, że oto miała przykład metod działania, dopiero co opisanych jej przez księżnę.

- Muszę więc pozostać w pańskim domu tak długo, aż raczy pan posłać po powóz?

- Nie. Jeśli nie zechce pani nawet mnie wysłuchać, każę zaprzęgać natychmiast.

Był nie tylko arogancki, ale też zupełnie pozbawiony skrupułów. Postępował bardzo nieuczciwie, uśmiechając się do niej w taki sposób. Co gorsza, przebywanie z nim sam na sam stawało się coraz bardziej niebezpieczne.

- Nie ma... Nie ma najmniejszej potrzeby, by pan mi cokolwiek tłumaczył, księżę. Cokolwiek!

- Nawet pani nie wie, jaką ulgę sprawiają mi pani słowa - odparł, prowadząc Phoebe przez hol ku uchylonym drzwiom, za którymi widniały rzędy półek z książkami. - Nie będę się przed panią tłumaczyć, proszę, być spokojną. To byłoby nie tylko niepotrzebne, to byłaby katastrofa, gdybym musiał. Czy mogę zaprosić panią do biblioteki?

- Jaki... Jaki piękny pokój - zdobyła się na grzecznościową formułkę, rozglądając się dookoła.

- I ile mam książek, prawda? - dorzucił uprzejmie, zamykając za nimi drzwi. - Nie, nie przeczytałem wszystkich.

- Nie zamierzałam powiedzieć żadnej z tych rzeczy - odparła, z trudem powstrzymując śmiech.

-A co pan chciał mi powiedzieć?

- Tylko tyle... najmiłsza! — odrzekł, biorąc ją w objęcia.

Oczywiście walka z nim była skazana na niepowodzenie, w dodatku byłaby zachowaniem niegodnym damy. Wiadomo też powszechnie, że wariatom nie należy się sprzeciwiać. Panna Marlow nie sprzeciwiała się więc owemu niebezpiecznemu szaleńcowi, któremu pomieszał się rozum, otoczyła jego szyję ramionami, posunęła się nawet do odwzajemnienia uścisku. Potem oparła policzek na jego ramieniu i powiedziała:

- Och, Sylwestrze!

Powtórzyła to kilkakrotnie, gdyż zdawało się to sprawiać mu ogromne zadowolenie.

- Jaskółko, moja Jaskółko - odparł, mocniej przygarniając ją do siebie.

Ponieważ jego słowa były sensowne, świadczyły o tym, że głowa rodu Rayne powoli zaczyna odzyskiwać zmysły. Phoebe odetchnęła z ulgą i zaaplikowała kolejny środek uśmierzający, wyznając:

- Wybacz tę okropną rzecz, którą ci powiedziałam. Wcale tak nie myślę.

- Którą okropną rzecz, mój skarbie? - spytał, ponownie popadając w stan zidiocenia.

- Że jesteś gorszy od Ugolina. Dziw, że mnie nie uderzyłeś.

- Nie pozwoliłbym, żeby włos spadł ci z głowy, i dobrze o tym wiesz. Właśnie, bardzo śliczny masz kapelusik, pozwól jednak, że go zdejmę. - Z tymi słowami pociągnął za koniec kokardy i już po chwili odrzucił kapelusz Phoebe na bok. - O, tak lepiej...

- Ale ja nie mogę cię poślubić po napisaniu tej książki. - Złagodziła ten cios, tuląc się do Sylwestra jeszcze bardziej.

- Nie tylko możesz, ale i musisz, choćbym miał zaciągnąć cię do ołtarza siłą. Jak inaczej mogę odzyskać dobre imię?

Rozważyła to, po czym nagle olśniła ją znakomita myśl. Uniosła głowę.

- Wiem, co zrobię. Napiszę o tobie książkę, tym razem uczynię cię bohaterem.

- Dziękuję, najdroższa, ale nie - odparł zdecydowanie.

- A co powiesz na dalszą część „Zaginionego spadkobiercy”, w której Ugolino dokonuje już tak nikczemnych czynów, że kończy na szafocie?

- Wielki Boże, nie! Jaskółko, jesteś najbardziej niepoprawną istotą, jaka kiedykolwiek istniała!

- Ale wtedy nikt nie mógłby wątpić, że Ugolino nie był wzorowany na tobie - zauważyła bystro. -Zwłaszcza jeśli zgodnie z konwenansem zadedykuję ci ową powieść, oczywiście podpisując się jedynie „Autorka”.

- Coraz lepiej! Już widzę jedną z owych pompatycznych epistoł, z mym nazwiskiem i tytułem wybitymi wielką czcionką na samym początku, z następującym dalej zwrotem „mości książę”, którym tak lubisz mnie obdarzać, a potem z kilkoma stronicami nieznośnego panegiryku na mą cześć z tyłoma pochwałami, ile zdołasz wymyślić.

- Nie zdołam wymyślić żadnej. Musiałabym łamać sobie głowę całymi tygodniami, by powiedzieć

o tobie coś innego niż to, że jesteś nieznośnie arogancki i...

- O, nie, więcej mnie tak nie nazywaj. Nawet jeśli kiedyś byłem arogancki, czemu zaprzeczam, to jak mógłbym dalej taki być po owej lekcji, jaką otrzymałem od ciebie i Thomasa? - Zamilkł i obrócił głowę ku drzwiom, nasłuchując. - Jeśli się nie mylę, właśnie słyszę jego kroki, chyba wrócił ze spaceru. Nie sądzisz, że zasługuje na to, by złożył nam gratulacje jako pierwszy? Bardzo się starał nas połączyć. - Gdy wyjrzał na korytarz, Tom akurat miał wejść na schody. - Pozwól na chwilę do biblioteki, chciałem ci coś powiedzieć, powinno cię zainteresować. A cóż ty tam masz? - dodał, spoglądając z zaciekawieniem na mały bukiet, który przyjaciel ścisnął w dłoni.

- Nic takiego - odparł nonszalanckim tonem, rumieniąc się po same uszy. - Zobaczyłem je przypadkiem i pomyślałem, że może ucieszyłyby księżnę. Wspominała wczoraj, że stęskniła się za wiosennymi kwiatami.

- Proszę, proszę! Próbujesz nadszkakiwać mojej matce, co? Nic z tego, nie życzę sobie mieć ciebie za ojczyma!

- Nie godzi się tak mówić o księżnej pani - odparł z godnością Tom.

- Słusznie! - pochwaliła go Phoebe, gdy wszedł do biblioteki. - Bardzo miło z twojej strony, że przyniosłeś kwiaty chorej, pani Orde by to pochwaliła.

- Tak też sobie właśnie... Och, na Jowisza! - wykrzyknął, przenosząc pytające spojrzenie z jednego na drugie.

- Tak - odparł krótko Sylvester.

- To wybornie. - Tom serdecznie uściskał mu dłoń. - Nic mnie nigdy bardziej nie ucieszyło. Życzę wam dużo szczęścia. Ech, ależ nawyprawiałaś, ty gąsko... Uściskał przyjaciółkę, przykazał jej przystojnie się zachowywać i oznajmił taktownie, że sobie pójdzie.

- Znajdziesz ją w bawialni - podpowiedział uprzejmie Sylvester. - Pozwól sobie przypomnieć, że lepiej byś zrobił, gdybyś poszedł przeprosić lady Ingham.

- Zrobię to, oczywiście, ona jednak nie lubi, gdy się jej składa wizyty nazbyt wcześnie.

- Chcesz raczej powiedzieć, że strach cię obleciał... Opowiedz jej tedy, nie zwlekając, jak to zasiadłem pisać do lorda Marlowa z prośbą o rękę jego córki. Lady Ingham z radości padnie ci w ramiona, zobaczysz.

Tom rozpogodził się.

- Znakomity pomysł. Jeśli nie masz obiekcji, rzeczywiście tak zrobię.

- Zrób. - Sylvester zamknął za nim drzwi i odwrócił się ku ukochanej.

Ukochana mierzyła go złowrogim spojrzeniem.

- Ze wszystkich aroganckich rzeczy, jakie kiedykolwiek słyszałam z twych ust...

- Mości książę! - wtrącił Sylvester.

- ... ta była najgorsza! Skąd możesz wiedzieć, czy babcia będzie zadowolona?

Oczy mu się śmiały.

- Czemu miałyby nie być, skoro to ona nas wyswatała?

- Babcia?!

- Głuptaku, a jak sądzisz, kto wysłał mnie do Austerby?

- Chcesz mi powiedzieć, że przyjechałeś z polecenia babci?

- Tak, lecz z największą niechęcią - wyznał bezczelnie.

- Och! Czyli... Czyli gdy wysłałeś mnie wtedy do niej... Sylwestrze, ty potworze!

Szybko porwał Phoebe w objęcia i z wielką przytomnością umysłu pocałował ją, by położyć kres dalszym oskarżeniom, zaś jego zbulwersowana narzeczona, uświadamiając sobie, że zepsucie Sylwestra jest zbyt duże, by dało się go uratować, odstąpiła (przynajmniej na jakiś czas) od dalszych prób naprawiania jego charakteru.